



Santa
Montefiore

*Morze
utraconej
miłości*

*Pascynująca
opowieść o zdradzie,
determinacji
i miłości*

Świat Książki

Montefiore Santa

Morze utraconej miłości

Niezapomniany romans na gorącym południu Włoch.

Celestria Montague ma młodość, urodę, majątek, arystokratyczne korzenie i tłumy wielbicieli. Zagadkowe samobójstwo ojca, człowieka z pozoru szczęśliwego, burzy dotychczasowy porządek jej życia. Próbując dojść prawdy, Celestria dociera z Anglii na malownicze włoskie południe. I tam spotyka Hamisha: pierwszego mężczyznę, który nie poddaje się jej urokowi, artystę zamkniętego w sobie po śmierci ukochanej żony. Wydaje się, że oboje mogą sobie nawzajem pomóc, i wydaje się też, że wcale tego nie chcą...

Nastrojowa historia wielkiej namiętności, zdrady i rodzinnej tajemnicy.

Kiedy zastanawiałam się, gdzie umiejscowić akcję tej książki, miałam szczęście otrzymać zaproszenie do Apulii w południowej części Włoch. Zaprosiła mnie jedna z moich najdawniejszych przyjaciółek Athena McAlpine, która razem ze swoim mężem Alistairem na najcudowniejszy pod słońcem pensjonat przerobiła dawny klasztor, kiedyś zamieszkały przez mnichów. Od razu znalazłam się pod urokiem tego pięknego zakątka, który udało im się wyczarować, i doszłam do wniosku, że przynajmniej część akcji mojej powieści będzie rozgrywać się właśnie tam. Z całego serca dziękuję Athenie i Alistairowi, ponieważ bez II Convento di Santa Maria di Constantinopoli *Morze utraconej miłości* nigdy by nie powstało.

Pragnę także podziękować mojej bratowej Sarah Palmer-Tomkinson, oraz jej matce Christinie Miliard Barnes za odpowiedzi na moje pytania dotyczące katolicyzmu, muszę jednak z całą mocą podkreślić, że Sarah i Christine nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, co napisałam! Dziękuję również Victorowi Sebestyenowi, autorowi książki *Twelve*

Days - Revolution 1956 („Dwanaście dni - rewolucja 1956 roku") za pomoc w niewielkiej części książki związanej z Węgrami; mojemu przyjacielowi, psychologowi Johnowi Stewartowi za wgląd w umysły moich bohaterów; Jayne Roe, Karen i Malcolmowi Weaving oraz Dorothy Cosgrove za rozbudzenie we mnie miłości do Yorkshire i Lancashire. Dziękuję moje matce, Patty Palmer-Tomkinson za trud, jaki sobie zadała, czytając wstępne wersje książki, oraz za jej bezcenne komentarze.

Moja wdzięczność należy się także Sue Fletcher, która zredagowała powieść i zmusiła mnie do ostatecznego wysiłku; mojej agentce Sheili Crowley za rady, zaraźliwy entuzjazm i wejście na rynek amerykański; Lindzie Shaugnessy, za prowadzenie sprzedaży moich powieści na całym świecie; Karen Geary, Ariane Gały i wszystkim przyjaciołom z wydawnictwa Hodder, którzy starają się ze wszystkich sił, aby moje książki trafiały do rąk czytelników w jak najlepszej formie.

Na koniec jak zawsze najmocniej i najserdeczniej dziękuję Sebagowi. Bez niego w ogóle bym nie pisała.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Kornwalia, sierpień 1958

Ksiądz Miles Dalglish jechał na rowerze drogą prowadzącą do Pendrift Hall, siedziby rodziny Montague, i z przyjemnością przyglądał się, jak złociste słońce przenika przez liście drzew limonkowych, rzucając jasne, rozedrgane plamy na żwir i paprocie, i ogrzewa zielone pola i łąki, na których pasły się brązowe krowy. Świeża bryza od morza owiewała twarz rowerzysty i wysoko pod niebo unosiła mewy oraz ry-bitwy. Ksiądz Dalglish był nowy w okolicy. Stary ojciec William Hancock zmarł niedawno i wyruszył do pracy na Drugą Stronę, zostawiając swemu następcy parafię wcześniej, niż ten oczekiwał. Tak czy inaczej, Bóg postawił przed młodym kapłanem zadanie, które należało wypełnić z radością w sercu.

Dziś ksiądz Miles miał się spotkać z rodziną Montague, najbardziej liczącą się w całym Pendrift.

Zbudowany z jasnego kamienia, opleciony pędami wista-rii Pendrift Hall miał wysokie okna i pełne pianistej zieleni ogrody, schodzące aż na brzeg morza. Na dachach gruchały gołębie, a na ganku co roku budowała gniazdo rodzina jaskółek. Dom był duży i trochę zniszczony, podobny do ulubionej zabawki dziecka, kochanej i często używanej. Emanował

aurą ciepła i zadowolenia, którą ksiądz Dalglish natychmiast wyczuł. Wiedział, że polubi mieszkającą tu rodzinę i z przyjemnością myślał o czekającym go popołudniu.

Zahamował i zsiadł z roweru. Przysadzisty labrador z białym pyskiem wybiegł mu na spotkanie, machając ogonem i szczekając z podnieceniem. Kiedy ksiądz się pochylił, żeby poklepać go po głowie, pies ucichł, wyczuwając łagodny charakter młodego człowieka, i zajął się obwąchiwaniem jego błyszczących czarnych butów. Duchowny podniósł wzrok i zobaczył służącego, który stanął w drzwiach, ubrany w czarny frak i starannie wyprasowaną białą koszulę. Lokaj powitał księdza pełnym szacunku skinieniem głowy.

- Dzień dobry księdu... Pani Montague już czeka, proszę za mną.

Ksiądz Miles oparł rower o ścianę i ruszył za służącym przez rozległy kamienny hol, w którym dominował kominek i umieszczone nad nim okazałe poroże. Powietrze w domu przesycone było przyjemnym aromatem rozpalanego zimą ognia, cynamonu i kilkuset lat istnienia.

Duchowny zauważył otwartą szafkę pod schodami, pełną rakiet i piłek do tenisa i stary wysoki zegar, spokojnie *tykający* pod ścianą, podobny do pogrążonego w drzemce sługi. Z salonu dobiegał szmer przyciszonych głosów i dźwięki klasycznej muzyki. Młody kapłan wziął głęboki oddech.

- Przyjechał ksiądz Dalglish, pani Montague - oznajmił lokaj z powagą, gestem wyciągniętej ręki zapraszając gościa do dużego pokoju.

- Dziękuję, Soames. - Julia Montague podniosła się na powitanie duchownego. - Witamy w Pendrift, proszę księdza.

Miles Dalglish potrząsnął dłonią gospodyni i natychmiast się uspokoił, widząc jej ciepły, serdeczny uśmiech. Julia Montague była pulchną, piękną blondynką o delikatnej, białej skórze, jasnych włosach w chłodnym odcieniu i otwartej, łagodnej twarzy. Jej promienna uroda i pełen radości sposób bycia sprawiały, że wszyscy czuli się przy niej jak na przyjęciu. Nosła duże naszyjniki z jasnozielonych i jasnoniebieskich kora-

li, które podkreślały barwę jej oczu, miała tak zaraźliwy śmiech, że nikt, nawet pompatyczny Soames, nie mógł pozostać obojętny na jego dźwięk, oraz poczucie humoru, dzięki któremu zawsze dostrzegała dobre strony ponurych sytuacji. Przypominała rajskiego ptaka, który uwił sobie gniazdo w samym sercu Kornwalii, krainy tweedu i morza.

- Nasza rodzina czeka na księdza na tarasie - ciągnęła z uśmiechem Julia.
- Czy mogę podać księdzu coś do picia, zanim rzucę go na pożarcie wilkom?

Ksiądz Dalglish roześmiał się, a Julia pomyślała, że jest niezwykle przystojny jak na duchownego. Było coś czarującego w zmarszczkach, które pojawiały się wokół jego ust, gdy się uśmiechał, a ukryte za okularami głęboko osadzone oczy błyszczały inteligencją. Był też zaskakująco młody, mógł mieć najwyżej trzydzieści lat.

- W tej sytuacji chyba poproszę o szklankę wody - powiedział.
- Mamy doskonały sok z czarnego bzu, może spróbuje ksiądz odrobinę?
- Dlaczego nie, z przyjemnością.
- Soames, proszę przynieść na taras dwie szklanki soku z czarnego bzu - poleciła Julia.

Służący kiwnął głową i wycofał się. Julia ujęła księdza pod ramię i przez wysokie drzwi wyszła z nim na skąpany w słońcu taras.

Taras był szerokim kamiennym patio ze schodami o nieregularnej szerokości stopniach, po których schodziło się wprost do ogrodu. Między kamieniami rosły krzaczki poziomek i kępki drobniutkich, domagających się uwagi niezapominajek. Ocieężałe pszczoły krążyły wokół słodko pachnących wielkich lilii i frezji w dużych glinianych donicach, i opijały się nektarem lawendy, rosnącej pod balustradą. W ogrodzie płacząca wierzba moczyła gałązki w ozdobnym stawie, na którym urządziła sobie gniazdo para dzikich kaczek.

Rodzina umilkła na widok księdza Milesa. Arenie Montague, mąż Julii, jako pierwszy zerwał się z krzesła i pośpieszył na powitanie.

- Miło nam, że wreszcie możemy księdza poznać - rzekł serdecznie, ściskając dłoń przybysza. - Śmierć księdza Han-cocka pogrążyła nas w prawdziwym smutku. To był wybitny kapłan, jego słowa często były dla nas natchnieniem...

- Tak jest... Przypadło mi w udziale bardzo trudne zadanie podążania jego śladem...

- Z czym ksiądz na pewno doskonale sobie poradzi - dokończył uprzejmie Archie, przeczesując palcami brązowe wąsy, porastające jego górną wargę jak starannie przystrzyżony żywopłot.

- Pozwoli ksiądz, że przedstawię go siostrze Archiego Penelope, a także jej córkom Lotty i Melissie. - Julia nadal trzymała duchownego pod ramię, ponieważ wiedziała, że obcowanie z rodziną jej męża może być nieco przytłaczającym przeżyciem.

Penelope postąpiła krok do przodu i uściśniła rękę księdza tak silnie, że skrzywił się lekko, wyraźnie zaskoczony. Mocno zbudowana, przysadzista Penelope o obfitym biuście i podwójnym podbródku natychmiast przywiodła na myśl krowy rasy jersey z pasącego się na łące stada jej brata.

- Bardzo mi miło poznać księdza. - Głos Penelope był głęboki i soczysty; kobieta wymawiała spółgłoski z takim naciskiem, jakby znajdowała w tym najprawdziwszą przyjemność. - Jest ksiądz znacznie młodszy, niż się spodziewaliśmy...

- Mam nadzieję, że mój wiek nie stanowi dla państwa powodu do rozczarowania - odparł.

- Wręcz przeciwnie. Czasami starsi ludzie przez lata tak przyzwyczajają się do brzmienia własnego głosu, że tracą wrażliwość na głos innych. - Penelope odwróciła się i gestem zachęciła córki, żeby podeszły bliżej. - Oto Lotty, moja najstarsza córka, i Melissa, która dopiero niedawno skończyła dwadzieścia pięć lat.

Uśmiechnęła się z dumą, patrząc, jak dziewczęta witają się z księdzem. Ubrane w piękne, kwieciste letnie sukienki, z długimi włosami upiętymi wysoko, obie wyglądały bardzo miło i atrakcyjnie. I Lotty, i Melissa były dość płytkie i chętnie nabijały sobie głowy głupstwami, do czego zresztą zachęcała je matka, której życiowym celem było wydanie córek za dobrze urodzonych i zamożnych młodych mężczyzn. Według Pénélope jej córki były najlepszymi kandydatkami na żony w całym Londynie i po prostu nie mogły marnie wyjść za mąż. Małżeństwo z miłości było zdaniem siostry Archiego idiotycznym wymysłem, w wysokim stopniu niepraktycznym i nierozsądnym. Pénélope uważała, że nie można ufać sercu, które siłą rzeczy posiada naturalną skłonność do zakochiwania się w nieodpowiednich mężczyznach, i sama stanowiła najlepszy dowód słuszności swojej teorii. Nauczyła się kochać Milona Flinta dopiero w pewien czas po ślubie, w głębi duszy żywiła jednak nadzieję, że jej dziewczęta zrobią lepsze partie niż ona. Wyszła za Flinta, to prawda, lecz ani na moment nie przestała być Pénélope Montague.

- To jest Milton, mąż Pénélope, i David, ich syn - ciągnęła Julia, prowadząc księdza dalej.

Milton był wysoki i atletycznie zbudowany, o gęstych jasnych włosach, czesanych z szerokiego czoła, i z tryskającymi życiem niebieskimi oczami.

- Cieszę się, że mogę księdza poznać. Grywa ksiądz w tenisa?

Miles Dalglish uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Niestety nie...

- Tata ma obsesję na punkcie tenisa - wtrącił David przepraszającym tonem. - Trzeba jednak przyznać, że nigdy nie zabiera rakiety na mszę!

Parsknął śmiechem, a ksiądz Miles poczuł, że obecność młodego człowieka z jego pokolenia jest dla niego pewnym wsparciem. Julia uwolniła jego ramię i usiadła.

Duchowny zajął miejsce obok niej i założył nogę na nogę, usiłując zachowywać się jak najswobodniej. Był trochę zde-

nerwowany. Jego powołanie było trwałe niczym skała, znajomość Pisma Świętego, dzieł doktorów Kościoła i filozofii niezrównana, a biegłość w łacinie wyjątkowa, lecz nawiązywanie i utrzymywanie stosunków z ludźmi stanowiło jego piętę achillesową. „Nic dobrego nie wynika z tego, że kapłan wiecznie błądzi myślami na wysokościach”, powiedział mu kiedyś ksiądz William Hancock. „Musisz się nauczyć kontaktować z ludźmi na ich własnym poziomie, bo będzie z ciebie marny duszpasterz i równie dobrze mógłbyś wstąpić do zakonu kontemplacyjnego”. Miles Dalgleish wiedział, że stary ksiądz miał całkowitą rację. Biskup posłał go przecież między ludzi, aby głosił im Słowo Boże. Poprawił okulary na nosie, zdecydowany nie zawieść hierarchy.

- Nasi synowie wybrali się do lasu ze swoim kuzynem Harrym, aby zastawić pułapki na szkodniki - wyjaśniła Julia. - Leśniczy płaci im po sześć pensów za martwego szczura, więc myślę, że szybko się wzbogacą. Mój trzyletni malec, którego nazywamy Bouncy*, jako że jego nóżki zachowują się całkiem jak sprężyny, jest na plaży z nianią. Powinni wkrótce wrócić, a Celestria, moja bratanica... - Julia rozejrzała się dookoła. - Nie mam pojęcia, gdzie się podziała. Może jest ze swoją matką Pamelą, żoną Monty'ego, brata Archiego i Penelope... Pamela leży w łóżku, ponieważ dostała migreny. Często cierpi na tę dolegliwość, ale może później do nas zejdzie. Jest Amerykanką...

Julia się zawahała, bo Pamela Bankroft Montague, jak kazała się nazywać, była wyjątkowo rozpieszczoną osobą i często spędzała w łóżku całe dni, skarżąc się na zbyt ostre lub zbyt przyćmione światło.

Rozkapryszonym tonem prosiła, aby zostawić ją samą z Poochim, jej wypudrowanym pekińczykiem, a jednocześnie domagała się, aby dzieci, Celestria i Harry, poświęcały jej jak najwięcej uwagi, i bezustannie dzwoniła na służbę. Julia miała poważne wątpliwości, czy ksiądz Dalgleish w ogóle kiedykolwiek pozna Pamelę, która

*** Bouncy (ang.) - skoczny (przypis tłum.)**

nie była katoliczką i nienawidziła Kościoła, uczestnictwo w jego posłannictwie nazywała zaś stratą czasu.

- Monry przyjedzie dziś wieczorem pociągiem z Londynu -podjęła po chwili. - To niezwykle człowiek i mam nadzieję, że ksiądz go pozna. Na pewno pozna ksiądz jego dzieci, Harry'ego i Celestnę. Harry pięknie śpiewa i należy do szkolnego chóru...

Julia zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Soames wkroczył na taras, niosąc tacę z napojami. Kiedy podał księdzu szklanę z sokiem z czarnego bzu, gospodyni zauważyła, że dłonie młodego duchownego lekko drżą.

Niedługo potem wrócili z lasu Wilfrid i Sam, najstarsi synowie Julii i Archiego, oraz Harry. Pełni podniecenia po ranku spędzonym na budowaniu obozowiska i zastawianiu pułapek, wszyscy trzej mieli zdrowo zarumienione policzki i błyszczące oczy.

- Znaleźliśmy trzy martwe szczury! - zawołał Wilfrid, posyłając matce radosny uśmiech.

- Wspaniale - odpowiedziała. - Kochani, przywitajcie się teraz z księdzem Dalglishem, dobrze?

Na widok koloratki księdza chłopcy umilkli i niepewnie uścisnęli jego rękę.

- Co zrobiliście ze szczurami? - spytał duchowny, próbując dodać im odwagi.

- Powiesiliśmy je na drzwiach za ogony! - wyjawiał Sam, marszcząc nos w triumfalnym uśmiechu. - Są ogromne, wielkości Poochiego!

- Ale Poochiego lepiej nie wieszajcie za ogon! - zaśmiał się David.

- Razem z nim trzeba by powiesić Pamelę! - prychnął Archie. - Przecież ona ani na moment nie spuszcza go z oka!

- Och, jesteś niedobry, kochanie! - skarciła męża Julia i rzuciła Harry'emu przepaszający uśmiech.

Wszyscy członkowie rodziny chętnie żartowali sobie z Pamelą, nie zawsze biorąc pod uwagę uczucia jej dzieci.

- Gdzie mama? - zapytał Harry.
- Leży w łóżku - odparła Julia. - Ma migrenę.
- Znowu?! - zirytował się chłopiec.
- Naprawdę nie czuje się najlepiej...
- Tylko wtedy, kiedy taty nie ma w domu - niewinnym tonem zauważył Harry.

Miał rację. Kiedy Monty był w domu, migreny w cudowny sposób omijały Pamelę.

W idyllicznej atmosferze Pendrift Monty pojawiał się i znowu znikał. Zwykle przyjeżdżał z Londynu pociągiem o 19.30, w odpowiedniej porze, żeby wychylić szklaneczkę whisky, wypalić cygaro i zagrać w tenisa z Archiem, Miltonem oraz Davidem. Wkraczał do holu łobuzersko uśmiechnięty pod rondem panamy, w eleganckim garniturze z jasnego lnu, trochę wygniecionym po podróży pociągiem, z gazetą pod pachą i teczką w rękę, pogodny i pełen energii jak nikt inny na świecie. Ponure nastroje Pameli w jednej chwili rozwiewały się jak szara mgła, która czasami wisiała nad Pendrift, lecz jej zachowanie bynajmniej nie ulegało poprawie - nadal stawiała żądania i skutecznie starała się skupiać na sobie uwagę wszystkich mieszkańców domu. Jako jedyna córka bogatego amerykańskiego biznesmena Richarda W. Bankrofta II, Pamela od urodzenia była rozpieszczoną egocentryczką.

Chłopcy zabrali labradora Purdy'ego na plażę, gdzie zamierzali pograć w krykieta, natomiast niania wróciła znad morza z Bouncym i Celestrią. Usta młodego księdza rozchyliły się lekko, kiedy zobaczył niebiańsko piękną dziewczynę, zmierzającą w jego kierunku. Poczul się głęboko zawstydzony, ponieważ serce zaczęło mu szybciej bić, a policzki oblał gorący rumieniec. Miał nadzieję, że to upał jest przyczyną tych dolegliwości. Celestrią ubrana była w krótką, szeroką

czerwoną spódniczkę w białe kropki i wiązany na karku top, który odślaniał jej brzuch. Jasne włosy opadały falami na gładkie, opalone ramiona, a poruszała się lekko i z niezwykłą gracją. Ksiądz nie potrafił odgadnąć, jakiego koloru były oczy, ukryte za dużymi ciemnymi okularami w białych ramkach.

- Ach, Celestrio, chodź do nas i poznaj księdza Milesa Dal-gleisha! - zawołała Julia.

Mały Bouncy usłyszał głos matki, puścił rękę niani i rzucił się biegiem w stronę tarasu, piszcząc z radości i podniecenia.

- Mamusiu, mamusiu! - krzyczał głośno.

- Halo, skarbie! - odpowiedziała Julia.

Kiedy malec zorientował się, że ma widownię, wziął się pod boki i ruszył przed siebie zabawnym krokiem, kręcąc zadkiem, uśmiechając się i zerkając na obecnych spod gęstych rzęs. Wszyscy zaczęli bić mu brawo i śmiać się do łez. Bouncy był dzieckiem, które jednoczyło całą rodzinę. Jego zaraźliwy uśmiech, odziedziczony po Julii, potrafiłby rozmrozić najgrubszy lód. Chłopiec miał gęste jasne włosy i jasnobrązowe oczy, w kolorze domowych karmelków. Uwielbiał popisywać się i ciągle był do tego zachęcany przez dorosłych, chociaż niania załamywała ręce, kiedy przy byle okazji zrywał z siebie ubranko i biegał po domu nago. Bouncy seplenił, co jeszcze dodawało mu uroku. Julia i Pamela, które miały ze sobą niewiele wspólnego poza faktem, że wyszły za braci Montague, w Bouncym odkryły łączący je most.

- Skarbie, jesteś taki cudowny! - zawołała teraz Julia, biorąc synka na kolana i z rozkoszą całując go w karczek.

Celestria weszła na taras, śmiejąc się i klaszcząc w ręce. Ksiądz Miles wpatrywał się w nią jak zaczarowany.

- To moja bratanica Celestria, starsza siostra Harry'ego -przedstawiła dziewczynę pani domu, nie odrywając wzroku od Bouncy'ego.

Celestria zdjęła okulary, zatknęła je za dekolt i wyciągnęła rękę do duchownego.

- Jest ksiądz znacznie młodszy, niż sobie wyobrażałam -rzekła. - Ksiądz Hancock był mniej więcej w wieku niani!

- Ależ, Celestrio! - Penelope z dezaprobatą wydeła wargi. -Niania jest przecież w doskonałej formie!

Ksiądz zaczerwienił się jeszcze mocniej, a wyniosłą twarz Celestria rozjaśnił ciepły uśmiech.

- Chyba powinien ksiądz trochę popływać - powiedziała. -Morze jest dziś wspaniałe, zimne, ale bardzo odświeżające!

- Może zechce ksiądz zdjąć marynarkę? - zaproponowała Julia, która wreszcie zauważyła dyskomfort biedaka.

- Nie, nie, tak jest mi zupełnie dobrze - odparł ksiądz Miles. - Przywykłem do upału, ponieważ dość długo mieszkałem we Włoszech...

- Nie ma to jak angielskie lato! - oznajmił Archie. - Kiedy człowiekowi wydaje się, że będzie chłodno i szaro, zza chmur wychodzi gorące, palące słońce. Pogoda w naszym kraju jest kompletnie nieprzewidywalna, słowo daję!

- Pójdę na górę do mamy i przebiorę się - rzuciła Celestria, z wdziękiem przechodząc między krzesłami.

Ksiądz Dalgleish nie mógł oderwać od niej wzroku, ale odetchnął z ulgą, kiedy zniknęła.

Uroda Celestria była rzeczywiście nieprzeciętna. Nie decydowały o niej tylko gęste jasne włosy, lśniące jak łany zbóż wokół Pendrift, przejrzyście szare oczy, nigdy nie zamglone ani odrobiną smutku, czy pięknie wykrojone wargi i delikatne, lecz wyraziste rysy, ale sposób bycia młodej dziewczyny. Celestria była zawsze opanowana, pewna siebie i nieco wyniosła, choć w żadnym razie nie arogancka. Wiedziała po prostu, jakie miejsce zajmuje w świecie, i miała niezbitą pewność, że inni mają o niej wysokie mniemanie.

Celestria niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat i, jak mówiła jej matka, „balansowała na krawędzi kobiecości”, jednak dziewczyna wcale nie czuła, aby jej równowaga została w jakikolwiek sposób zachwiana, a gdyby Pamela wiedziała, że jej córka pozwoliła Aidanowi Cooneyowi wsunąć rękę pod majteczki i sama dotykała przez spodnie jego naprężonej

męskości, nigdy nie powiedziałaaby czegoś równie głupiego. Celestria już teraz była uznaną piękną i od chwili, gdy w wieku osiemnastu lat została przedstawiona w towarzystwie, zajmowała znaczącą pozycję w londyńskim świecie balów i przyjęć. Wielu młodych mężczyzn pielęgnowało w sercu zamiar oświadczenia się o jej rękę. Większość z nich gapiła się na nią z zachwytem i traktowała jak figurkę z porcelany, co dziewczyna uważała za idiotyczne. Jej zdaniem głupcem nie był tylko Aidan Cooney, w którego oczach płonęło coś mroczniejszego i gorętszego niż zwyczajny podziw.

Celestria nie była taką tam sobie zwyczajną angielską piękną. Miała w sobie egzotyczny rys, któremu mężczyźni nie potrafili się oprzeć. Kiedy w Europie wybuchła wojna, zaniepokojona matka wywiozła dziewczynkę do Nowego Jorku. Zamieszkały z rodzicami Pameli w ich penthousie na Park Avenue, gdzie sufity były tak wysoko, że Celestria prawie ich nie widziała, a z okien roztaczał się imponujący widok na Central Park. Przez następne sześć lat Celestria była radością dziadka, który stracił córkę na rzecz Monty'ego i Anglii, a teraz cieszył się obecnością małej dziewczynki, poświęcał jej mnóstwo uwagi i zasypywał wspaniałymi opakowanymi, pachnącymi nowościami prezentami. Dziadek zajął w sercu Celestria miejsce ojca, który poszedł na wojnę i zniknął z jej życia. Stał się ojcem, którego mogła objąć i który zawsze był przy niej, podczas gdy Monty przebywał za morzem i przysyłał sygnały istnienia w cieniutkich kopertach, doprowadzając matkę do łez. Celestria nauczyła się posługiwać swoim wdziękiem i bez trudu łowić serca otaczających ją ludzi, zupełnie jak rybak, który sprawnie zarzuca sieci, wyciągając z głębin coraz więcej ofiar. Nauczyła się oczarowywać, budzić zachwyty i bardzo szybko pojęła, czego oczekuje od niej dziadek. Jego aprobata i aplauz działały jak narkotyk, a Celestria syciła się jego miłością i stawała się coraz bardziej pewna siebie. Dziadek chętnie popisывał się nią przed swoimi gośćmi. Kiedy miała siedem lat, guwernantka sprowadzała ją przed proszonymi kolacjami na dół, ubraną w odświętną sukienkę i lśniące pan-

tofelki, z lokami opadającymi na ramiona. Dziewczynka śpiewała piosenki i rumieniła się, gdy wszyscy bili jej brawo. Z łatwością manipulowała ludźmi, którzy uważali, że jest jeszcze za mała, aby mieć świadomość posiadanej charyzmy, doskonale zdawała sobie sprawę ze swojej urody i błyskawicznie pojęła, że naśladowując dorosłych, zdobywa ich podziw.

- Co za zabawne dziecko! - zachwycali się. - Jaka bystra dziewczyneczka! Im bardziej była „zabawna”, tym bardziej się nad nią rozplęwali.

Umiała oszukać wszystkich, ale nie dziadka. On znał ją lepiej niż rodzona matka, lepiej ją rozumiał i poświęcał jej o wiele więcej uwagi.

Interesował się każdym aspektem jej życia. Codziennie przed snem czytał na głos, budząc w niej miłość do książek, później podsuwał jej klasyczne dzieła literatury, które sam uwielbiał jako dziecko. Nie był muzykalny i często się skarżył, że nigdy nie miał możliwości nauczyć się grać na jakimkolwiek instrumencie, lecz bardzo cenił dobrą muzykę i często spędzał wieczory w operze. Jeździł z pięcioletnią Celestrią na lekcje baletu i osobiście czuwał nad jej nauką gry na pianinie. Dostrzegał wszystkie detale, nawet najdrobniejsze. Zachęcał wnuczkę do wysiłku w szkole, chwalił ją za zwycięstwa i nie krył rozczarowania, kiedy opuszczała się w nauce. Przy tym wszystkim ani na chwilę nie pozwolił jej zapomnieć, że kocha ją całym sercem.

Pamela Bancroft Montague wydawała się niezdolna do jakiegokolwiek miłości poza miłością własną. Nie była to jej wina. Problem tkwił w tym, że rodzice rozpieszczali ją, nauczyła się więc myśleć wyłącznie o sobie i wierzyć, iż stanowi centrum wszechświata, w którym nie ma miejsca dla nikogo innego. Kochała Celestrię jako coś w rodzaju dodatku do siebie samej - tę miłość nakazywał jej instynkt, któremu była

posłuszna. Mąż także rozpieszczał ją do nieprzytomności. Pamela lśniła jak najjaśniejsza gwiazda i Monty za to właśnie ją uwielbiał. Uroda Pameli budziła lęk w sercach i kobiet, i mężczyzn. Mężczyźni padali przed nią na kolana, onieśmieleni i pokonani od pierwszego wejrzenia, kobiety zaś wiedziały, że ich uroda traci wszelki blask w obecności pięknej Amerykanki.

W latach wczesnego dzieciństwa Celestria nie odczuwała braku ojca. Przyjechała do Ameryki jako dwulatka, a wróciła do Londynu sześć lat później. Nie pamiętała nawet, jak Monty wyglądał. Po opuszczeniu Nowego Jorku boleśnie tęskniła za dziadkiem i zawsze bardzo cieszyła się na tydzień, który jesienią spędzała w baśniowym zamku, który Richard W. Bancroft kupił w Szkocji, aby tam polować, a także na coroczne tętnie wakacje w rodzinnym domu Bancroftów na wyspie Nantucket. Podobnie jak matka, szybko nauczyła się kochać samą siebie znacznie mocniej niż innych. Kiedy Monty próbował zrekompensować dziewczynce długie lata rozdzielenia prezentami, przyjmowała składane dary z widoczną przyjemnością, obdarzając go w zamian całusami oraz uroczymi uśmiechami i manipulując nim równie chytrze, jak innymi dorosłymi. Później rodzicom urodził się mały chłopczyk, synek Harry, i w momencie jego przyjścia na świat Pamela Bancroft Montague odkryła, że jednak potrafi kochać kogoś bardziej niż samą siebie. Celestria nie poczuła się odrzucona ani zaniedbana, ponieważ nadal ogrzewał ją jasny płomień miłości dziadka.

Gdy Celestria wróciła, ubrana w prostą białą sukienkę haftowaną w stokrotki, rodzina zajmowała właśnie miejsca przy długim stole pod wielką kwadratową markizą. Księża Dalgleisha posadzono u szczytu, Archie naprzeciwko gościa. Julia usiadła obok duchownego, wskazując Penelope miejsce po jego drugiej ręce.

Soames dyskretnie zabrał nakrycie przeznaczone dla Pamelii. Uważał, że pani Bancroft Montague jest wyjątkowo męczącą osobą. Syn kucharki Warren od rana już sześć razy biegał do jej pokoju z gorącymi napojami, miseczkami z jedzeniem i wodą dla tego jej przeklętego psa. Soames zupełnie poważnie się zastanawiał, czy nie wyłączyć dzwonka w pokoju żony pana Monty'ego.

Ksiądz przeżegnał się, złożył dłonie i z pochyloną głową odmówił dziękczynną modlitwę.

- *Bénédicte, Domine, nos et haec tua dona quae de tua largitate sumus sumpturi...*

Kiedy jego ręce po raz drugi wykonały znak krzyża, Celestria podniosła wzrok i napotkała spojrzenie duchownego. Przypominał jej przestraszonego lisa. Miała już dodać mu odwagi uśmiechem, gdy Archie zaczął zachęcać wszystkich, aby nakładali sobie potrawy.

- Przystąpmy do walki! - zawołał ze śmiechem. Celestria siedziała między Lotty i Davidem. Miała pełną

świadomość, że uwaga księdza skupiona jest na niej, chociaż na nią nie patrzył. Pomyślała, że byłoby zabawnie trochę powodzić go na pokuszenie, ot tak, dla rozrywki. Idea celibatu wydała jej się nagle fascynująca, zwłaszcza w przypadku tak przystojnego mężczyzny. Miał inteligentne brązowe oczy i szczupłą twarz o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i mocnej dolnej szczęce. Przyszło jej do głowy, że gdyby zdjął okulary, wyglądałby całkiem, całkiem...

- Proszę księdza, w jaki sposób został ksiądz powołany do służby Kościołowi? - zagadnęła, powstrzymując pełen rozbawienia uśmiešek.

Ksiądz przez chwilę sprawiał wrażenie całkowicie zaskoczonego pytaniem i powoli poprawił okulary na nosie, poruszony faktem, że obecność młodej kobiety tak silnie na niego działa. Czyżby wiara i powołanie nie stanowiły tarczy osłaniającej go przed tego typu odczuciami?

- Kiedy byłem małym chłopcem, pewnej nocy miałem sen - odparł.

- Naprawdę? - Celestria uniosła brwi. - Proszę nam go opowiedzieć!
Duchowny popatrzył na nią uważnie.

- Ujrzałem przy sobie anioła, który powiedział mi, że moja przyszłość związana jest z Kościołem katolickim. Otoczył mnie świetlisty obłok, tak jasny, że nie miałem cienia wątpliwości, iż to Bóg wzywa mnie na służbę. Od tamtej pory ani na chwilę nie opuściło mnie pragnienie odebrania święceń kapłańskich. Nigdy nie zapomniałem tamtej wizji i zawsze wracam do niej, gdy ogarnia mnie zwątpienie...

- To zupełnie jak powołanie Szawła na drodze do Damaszku - zauważył Archie, przeżuwając kawałek kiełbasy.

- Prawie cud! - wykrzyknęła Penelope głosem jeszcze bardziej soczystym niż zwykle.

- Jakie to wspaniałe, że cuda zdarzają się i we współczesnym świecie - dodała Julia.

- Tak jest - rzekł ksiądz Dalglesch.

- Ale czy czasami jednak ma ksiądz wątpliwości? - zapytała Celestria, ignorując ciężkie westchnienie ciotki Penelope.

Ksiądz Miles wiedział, że nie może poczuć się urażony jej impertynencją.

- Wszyscy jesteśmy po prostu ludźmi - powiedział ostrożnie. - I nikomu nie wolno uważać się za nadczłowieka tylko dlatego, że otrzymał wizję i powołanie. Bóg postawił przede mną zadanie, które czasem wydaje mi się bardzo trudne. To, że jestem księdzem, nie czyni mnie całkowicie odpornym na rozmaite upadki i kłopoty. Mam słabości, podobnie jak wszyscy, ale wiara dodaje mi siły. Nigdy nie zwątpiłem w swoje powołanie, chociaż często zdarza mi się wątpić we własne umiejętności i możliwości...

Nagle wydał się wszystkim wyższy, dojrzalszy i obdarzony jakimś szczególnym dostojeństwem, jakby miał za sobą całe dziesięciolecia doświadczenia i mądrości. Nikt nie był świadomy, że gdzieś w najgłębszym zakamarku jego serca powoli kiełkuje złowrogie ziarenko.

Jakiś czas później, już na plebani mieszczącej się w domu tuż obok kościoła Najświętszej Marii Panny, pani Hoddel przyniosła księdzu Milesowi herbatę. Duchowny siedział w milczeniu w saloniku, ale jego oczy bynajmniej nie wędrowały po stronicach książki, która spoczywała na kolanach. Pani Hoddel rozejrzała się dookoła, popatrzyła na piętrzące się wszędzie stosy papierów i książek, na uginające się pod ciężarem opasłych tomów półki, i pomyślała, że na dobrą sprawę nie ma gdzie postawić tacy. Z pełnym zniecierpliwieniem prychnięciem podeszła do małego stolika i umieściła tacę na szczycie wieży z listów. Ksiądz Dalgleish otrząsnął się z zamyślenia i pośpieszył jej z pomocą.

- Nigdy nie uda mi się posprzątać w tym pokoju, bo ksiądz zawsze robi tu piekielny bałagan - oznajmiła gospodyni, wycierając dłonie w fartuch, który opinał jej szerokie biodra.

Duchowny z przeproszącą miną lekko wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nawet w tym domu nie ma dość miejsca dla wszystkich moich książek - mruknął.

- Nie mógłby ksiądz sprzedać przynajmniej niektórych? Spojrzał na nią z przerażeniem.

- W żadnym razie, co za pomysł!

Kobieta westchnęła ciężko i pokręciła głową.

- No, cóż... Zostawiłam dla księdza i księdza Brocka zimną szynkę i trochę sałatki na kolację.

- Dziękuję bardzo. - Ksiądz Miles pochylił się, żeby nalać sobie herbaty.

- I zabieram księdza sutannę do domu. Muszę ją porządnie pozszywać, a nie zrobię tego bez maszyny do szycia. Nie mogę przecież dopuścić, aby wyglądał ksiądz jak jakiś obdartus...

Znowu podziękował jej z serdecznym uśmiechem.

- W takim razie będę się zbierać. Do zobaczenia jutro, proszę księdza.

Postaram się przyjść jak najwcześniej, żeby jakoś

powalczyć z tym przeklętym kurzem. Będę chyba po prostu musiała sprzątać wszędzie, omijając te księdza papierzyska. Nie najlepsze rozwiązanie, ale co można na to poradzić...

Gdy zamknęła za sobą drewniane drzwi, z piersi duchownego wyrwało się westchnienie ulgi. Pani, a raczej panna Hoddel była bardzo pobożną kobietą, co do tego nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Kłopot sprawiał otoczeniu jej wiecznie kwaśny humor, który oczywiście nie miał nic wspólnego z pobożnością. Niestety, nikt nie jest doskonały, nawet ja, pomyślał ksiądz Miles z lekkim uśmiechem. Pani Hoddel była starą panną po sześćdziesiątce i z wielkim poświęceniem służyła Kościołowi, za bardzo skromną sumę zajmując się plebanią i mieszkającymi tam księżmi. Ludzie tacy jak ona byli prawdziwym błogosławieństwem, bez dwóch zdań. Ksiądz Miles prosił Boga o cierpliwość. Błagał Go także o siłę i wybaczenie. Od chwili, kiedy ujrzał idącą przez ogród Celestrię Montague w roztańczonej spódniczce w kropki, nie był w stanie przestać o niej myśleć. Wyjął różaniec z kieszeni i zaczął powoli przesuwając drewniane paciorki, cicho odmawiając dziesiątkę.

2

W rodzinie Montego i Pameli Montague nie było ani jednej osoby, która dostrzegłaby coś niezwykłego w lecie 1958 roku. W powietrzu nie wyczuwało się choćby cienia niepokoju, niezadowolenia czy smutku. Nic. Tego roku, jak zawsze, pojechali do Konwalii na cały sierpień. Sezon spotkań towarzyskich dobiegł końca, Londyn sprawiał wrażenie zmęczonego, zakurzonego miasta, przypominającego w jakimś sensie wesołe miasteczko tuż nad ranem, kiedy wszyscy wybawili się już do upadłego i rozeszli się do domów. Monty nadal uważał Pendrift za swój dom, chociaż Pamela nienawidziła tego miejsca.

- jest strasznie zimno! - skarżyła się, mimo że w połowie sierpnia z nieba zwykle lał się żar, a Celestria i Harry byli opaleni na czekoladowy brąz. Może nie należało się dziwić, że tęskniła za letnimi miesiącami swego dzieciństwa, które spędzała w Nantucket; może właśnie ta tęsknota sprawiała, że Kornwalia zawsze wydawała jej się wilgotna, niezależnie od pogody.

Rozsunęła zasłony i wpuściła do pokoju słoneczny blask, zirytowana, że nadal jest jej zimno. Włożyła sweter i narzuci-

ła ciepły szal na ramiona. Miała nadzieję, że ksiądz już sobie poszedł. Nie znosiła Kościoła, a do duchownych po prostu nie miała cierpliwości, ponieważ zawsze próbowali nawracać zbłąkane owieczki. Pamela wierzyła tylko w rzeczy, których mogła dotknąć, lecz nawet one często jej nie zadowalały. Spojrzała na zegarek. Monty miał przyjechać wcześniej niż zwykle, bo całe dziesięć dni spędził we Francji, doglądając jakichś spraw biznesowych. Dużo podróżował, ale praca była pracą i Pamela musiała pogodzić się z jego boleśnie długimi wyjazdami.

Zamyśliła się. Nikt nigdy nie powiedział złego słowa o Mon tym... Na spisanie negatywnych określeń, jakie mamrotano pod jej adresem, nie starczyłoby chyba słownika, ale Monty'ego wszyscy uwielbiali. We wczesnej młodości był tryskającym energią najmłodszym dzieckiem, beniaminkiem,

O przydomku „Monty”, który doskonale pasował do chłopca i przyłgnał do niego tak skutecznie, że nikt poza matką praktycznie nie pamiętał jego prawdziwego imienia Robert. Owdowiała starsza pani Montague, Elizabeth, mieszkała teraz w osobnym domu na terenie majątku i przy każdej okazji odwiedzała syna i synową, aby trochę ponarzekać. Trudno byłoby spotkać osobę bardziej niezadowoloną z życia niż Elizabeth Montague. Cała rodzina co roku spodziewała się, że starsza pani nie dożyje następnego lata, lecz Elizabeth nie zamierzała umierać, zupełnie jakby się bała, że w niebie nikt nie będzie chciał słuchać jej wiecznych skarg. Pozornie pozbawiona ciepłych uczuć, najmocniej z trojga swoich dzieci kochała Monty'ego. Kiedy wchodził do pokoju, jej oczy rozjaśniał blask miłości, a blade policzki oblewał lekki rumieniec. Można by pomyśleć, że w postaci syna dostrzegła cień ukochanego zmarłego męża i znowu oddawała mu całe swoje serce.

Jako młodszy syn Monty był wolny od poważnej odpowiedzialności, związanej z utrzymaniem Pendrift Hall. Ten obowiązek czternaście lat wcześniej spadł na barki Archiego, który po śmierci ojca odziedziczył majątek. Ciężki wysiłek

przytłoczył go do tego stopnia, że ostatnio coraz bardziej się garbił i na długie godziny znikał w swoim gabinecie, gdzie nikt nie śmiał mu przeszkadzać. Archie Montague sprawiał wrażenie pogodnego, łagodnego człowieka, ale pod cienką warstwą pozorów krył się gwałtowny, wybuchowy temperament. Archie żył w ciągłym napięciu, ponieważ musiał zajmować się ogromnym majątkiem i zatrudnionymi w nim ludźmi, nie wspominając o trzech synach, którym trzeba było zapewnić wykształcenie, oraz znanej ze skłonności do ekstrawagancji żonie. Podczas gdy Monty zawsze robił, co chciał, Archie jako bardzo młody człowiek musiał zgłębiać tajniki uprawy roślin i hodowli zwierząt oraz zarządzania rodzinną posiadłością, którą jego pradziadek kupił w osiemnastym wieku. Archie harował u boku ojca, natomiast Monty wędrował po świecie, szukając rozmaitych przyjemności w ciepłych krajach. Pewnego dnia Monty niespodziewanie wrócił i poprosił ojca o pożyczkę na zainwestowanie w uprawę trzciny cukrowej w północnej Brazylii. Archie uważał ten pomysł za idiotyczny, ale Monty umiał radzić sobie z ludźmi i miał mnóstwo uroku osobistego, którym potrafił olśnić matkę i oczarować ojca. W przeciwieństwie do biednego Archiego, Monty zawsze otrzymywał od rodziców wyłącznie pochwały. Wszyscy poza nimi sądzili, że chłopak postradał zmysły i zmarnuje cały majątek rodziny Montague, lecz rodzice ślepo wierzyli w możliwości młodszego syna i nie chcieli słyszeć ani słowa krytyki pod jego adresem. Monty wziął pieniądze i zniknął na cały następny rok, a rodzina wstrzymała oddech. Po roku wrócił jako bogaty człowiek i wszyscy odetchnęli z ulgą. Elizabeth triumfowała, a Ivan otrzymał z powrotem całą sumę, którą pożyczył synowi, na dodatek dużym procentem. Później, słuchając tej historii, Pamela szczerze podziwiała odwagę Monty'ego. Nigdy nie wyszłaby za tchórza ani za biedaka.

Teraz odwróciła się od okna i zeszła na dół, niosąc Poochie-go na rękach jak dziecko. Soames był w holu, zdejmował srebrne przedmioty z parapetu kominka, aby oddać je do wypolerowania.

- Dzień dobry - odezwał się uprzejmie, skrywając irytację. Miał nadzieję, że uda mu się nie natknąć na Pamelę, kiedy ta w końcu zdecyduje się opuścić pokój, ale najwyraźniej tego dnia prześladował go pech.

- Ach, Soames! Umieram z głodu. Proszę przynieść mi coś do jedzenia, dobrze?

- Oczywiście, pani Bancroft Montague.

- Ksiądz już poszedł?

- Tak jest, ponad godzinę temu.

- Doskonale. Gdzie pani Julia?

- Na tarasie, z panią Penelope.

- A Celestria?

- Panna Celestria poszła na plażę z panienkami Lotty i Me-lissą. Panicz Harry jest w lesie razem z kuzynami, zastawiają tam nowe pułapki.

- Dobrze... Poochi też chętnie coś przekąsi, najlepiej odrobinę kiełbasy... Uwielbiasz kiełbaskę, prawda, skarbie? Och, tak, naturalnie...

Pamela potarła czubkiem nosa o łeppek pieska. Soames szczerze współczuł nieszczęsnemu zwierzakowi, ponieważ intensywny i ciężki zapach perfum Pameli mógłby zwalić z nóg nawet konia.

Pamela wyszła przez otwarte drzwi na taras. Julia siedziała w cieniu, trzymając między dwoma palcami zapalonego papierosa, i słuchała wykładu Penelope na temat małżeństwa.

- Masz szczęście, Julio - mówiła Penelope. - Ciebie właściwie to nie dotyczy, bo przecież masz samych synów, ale ja bez przerwy się zamartwiam. Wszędzie dookoła dosłownie roi się od drani, którzy gotowi są wykorzystać niewinne dziewczęta. Sęk w tym, że młode dziewczyny uwielbiają łajdaków...

- Nie mam nic przeciwko draniom, chodzi tylko o to, aby byli bogaci - oznajmiła Pamela, mrużąc oczy w blasku słońca.

Postawiła Poochiego na ziemi i z gracją usadowiła się na wyłożonej poduszkami ławie.

- Czasami drań bywa nawet zabawny - dodała po chwili namysłu.

- Och, Pamelo! - zawołała Julia. - Mówisz to tylko dlatego, żeby się trochę posprzeczać!

- I na pewno nie chciałybyś, żeby Celestria wyszła za mąż za jakiegoś łobuza - dodała Penelope.

Pamela uśmiechnęła się lekceważąco, jak kobieta przekonana, że jej córka w żadnym razie nie popełniłaby takiego błędu.

- Wydaje mi się, że Celestria posiada wszystkie cechy, pozwalające na trzymanie drania w szachu.

Penelope spojrzała na Julię i przewróciła oczami.

- Chociaż zasadniczo to kobiecie dobrze robi, kiedy mężczyzna trzyma ją w szachu - wyjaśniła swój punkt widzenia Pamela. - Na przykład Monty nosi w sobie jakąś ulotną tajemnicę... Może mi się to nie podobać, ale dzięki temu nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby porzucić go dla kogoś innego!

Zanim zdążyła dodać coś więcej, od frontu domu dobiegł chrzęst żwiru pod kołami zatrzymującego się samochodu. Biegający skrajem lasu Purdy także usłyszał charakterystyczny dźwięk i pędem ruszył przez pole w stronę domu, głośno ujadając. Drzwi wozu otworzyły się i zatrzasnęły. Chwilę później na taras wkroczył Monty w zsuniętym na jedno oko kapeluszu panama, z aktówką w rękę i „Daily Telegraph” pod pachą. Uśmiechał się, a jego gładka, mocno opalona twarz promieniała wesołością.

- Dzień dobry paniom! - rzekł, zdejmując kapelusz. Podeszedł do siedzącej na ławie żony i schylił się, aby ją pocałować.

- Dzień dobry, moje kochanie! - Roześmiał się. - Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszego dnia, bo nareszcie cię widzę!

Celestria wylegiwała się na plaży razem z kuzynkami. Był przyptyw, lecz morze wydawało się łagodne jak potężny lew po popołudniowej drzemce. Mewy zataczały koła wysoko pod niebem, co jakiś czas przysiadając na klifach otaczających wschodni kraniec plaży i dziobiąc kraby, jeśli te okazały się na

tyle głupie, żeby wypełznąć z oczka wodnego między skałami. Słońce grzało mocno, więc dziewczęta były senne i rozleniwione. Celestria odwróciła się na plecy i splótła ręce pod głową.

- Myślicie, że ksiądz Dalglish nigdy nie uprawiał seksu? - spytała.

- Jasne że nie - odparła Melissa. - Skoro ta wizja nawiedziła go jako małego chłopca, to po prostu nie miał czasu na seks...

- Ale chyba miał pokusy? - wtrąciła Lotty. - Nie jest przecież takim staruchem jak ksiądz Hancock...

- Na pewno miał. - Celestria wciąż jeszcze czuła na sobie spojrzenie młodego duchownego. - Sęk w tym, że najgorszy jest wróg, którego nie znamy... Łatwiej walczy się z czymś, czego próbowaliśmy.

- Każdy ksiądz składa przysięgę czystości, której nie wolno mu złamać - zauważyła Lotty. - Dla mężczyzny musi to być bardzo trudne. Ksiądz Dalglish sam powiedział, że ma słabości, podobnie jak wszyscy ludzie...

- Szkoda... - ciężko westchnęła Celestria. - Jest całkiem przystojny, prawda?

- Nie udawaj, że rzeczywiście ci się podoba! - prychnęła Melissa.

- Celestria lubi wyzwania, to wszystko - zachichotała Lotty. - A nie ma większego wyzwania niż zdobycie serca księdza...

- To byłoby okrutne - powiedziała poważnie Melissa. - Mam nadzieję, że nigdy nie postąpiłabyś w tak nieodpowiedzialny sposób, moja droga...

Obie siostry wiedziały, że jeśli jakaś dziewczyna miałaby szanse rozkochać w sobie księdza Milesa, to była nią właśnie Celestria.

- No, jeżeli prędko nie spotkam mężczyzny, który kompletnie mnie oczaruje, całkiem niewykluczone, że mogłabym wypróbować księżulka, choćby z nudów. Mam już trochę dosyć tego, że nigdy nic się tu nie dzieje!

Usłyszały czyjś głos, wołający do nich z najwyższej części ścieżki, wiodącej z domu na plażę. Uniosły głowy i zobaczyły Monty'ego, a za nim Wilfrida, Sama i Harry'ego. Purdy gnał przed nimi, radośnie machając ogonem. Pies uwielbiał wyprawy na plażę, ponieważ zawsze kojarzyły mu się z zabawą. Tego popołudnia Monty i chłopcy postanowili zabrać go na łódkę, za czym po prostu przepadał. Dziewczęta podniosły się z piasku i osłoniły oczy przed słońcem, patrząc na zbliżającą się grupkę.

Monty powitał córkę szerokim uśmiechem.

- Co tu knujecie, młode wiedźmy? - Zaśmiał się, całując rozgrzany policzek Celestria.

- Straszne rzeczy - odparła, puszczając oko do kuzynek.

- Chcecie się do nas przyłączyć? - spytał Monty.

W łodzi nie było miejsca dla tylu osób, ale jemu zawsze zależało, żeby wszyscy byli zadowoleni.

- Za żadne skarby świata! - zawołała Celestria, patrząc na leżącą na wydmie łódź.

Była to niewielka czerwona motorówka, wielka namiętność jej ojca.

Monty nadł jej nazwę „Princess”. Zarówno żona, jak córka uważały, że z. to na cześć jednej z nich, przy czym każda była głęboko przekonana, że chodzi właśnie o nią.

- Byłybyście zachwycone, gdybyście chociaż raz spróbowały - pokiwał głową. - Nie ma nic lepszego niż siedzenie na środku oceanu, skąd nie widać nic poza wodą i niebem!

- Będziemy łowić ryby. - Harry z dumą wskazał wędkę.

Monty trzymał w ręku kubełek z żywą przynętą oraz wędki i podbieraki. Celestria zajrzała do środka i cofnęła się gwałtownie, z obrzydzeniem marszcząc nos.

- Nie pokazujcie mi tego obrzydlistwa! Zostaję tutaj, na suchym lądzie, bo tu jest mi najlepiej!

- Chodźmy, chłopcy! - zachęcił Monty. - Bierzmy się do roboty, żeby piraci nie musieli na nas długo czekać!

Wrzucił wędki i resztę sprzętu do łodzi, i z pomocą swojej załogi zaciągnął ją do wody. Dziewczęta machały im z plaży. Silnik zakrztusił się kilka razy, zaraz jednak złapał normalny

rytm i Monty z chłopcami oraz zachwyconym Purcym wypłynęli na ciemnoniebieskie wody.

Po paru chwilach dziewczyny widziały już tylko drobne kropki na horyzoncie.

- Nie lubię morza - odezwała się Celestria. - Budzi we mnie niepokój...

- Nie żartuj! - zawołała Lotty. - Przecież nic nie może się im stać, bo stryj Monty jest świetnym żeglarzem!

- Co z tego? - mruknęła Celestria. - Morze potrafi pokonać najświetniejszych żeglarzy... Jedna sekunda i już po wszystkim...

Monty przyglądał się córce z łodzi. Jej smukła, elegancka sylwetka przypominała mu młodą Pamelę. Stojąc, przybierały podobną pozycję - opierały ciężar ciała na jednej nodze, z ręką na wysokości talii, co podkreślało kobiecą linię biodra. Były do siebie bardzo podobne, chociaż Celestria nie była tak twarda jak Pamela. Nie, jego córka wydawała się miękka, miękka i elastyczna jak glina czekająca na ręce, które nadadzą jej ostateczny kształt. Monty doskonale wiedział, że nie będą to jego ręce. Nie miał na to szans. Za dużo czasu spędzał poza domem, w podróży, starając się sprawnie żonglować wszystkimi piłeczkami naraz, zadowolić wszystkich i spełnić wszystkie nadzieje, jakie pokładali w nim bliscy. Chwilami gubił się w tych staraniach tak bardzo, że tracił poczucie, kim naprawdę jest. Cóż, teraz nie powinien rozczulać się nad swoim losem,.. Miał w łodzi trzech podekscytowanych chłopców, a dookoła ogromne morze, pełne ryb i krabów do złowienia. Obserwował Celestrię, dopóki nie wtopiła się w piasek i na moment jego serce, zwykle tak spokojne, wypełniło uczucie żalu. Trudno, sprawy wymknęły mu się spod kontroli. Nie był już wolnym człowiekiem i musiał zebrać plon, który posiał... Utkwił wzrok w falach, zahipnotyzowany rytmicznym kołysaniem ciemnozielonych mas wody.

Dla Celestria punktem kulminacyjnym wakacji było urodzinowe przyjęcie stryja Archiego pod koniec sierpnia. Julia co roku wydawała wieki bal w ogrodzie i zapraszała mnóstwo przyjaciół i znajomych. Wszyscy tańczyli do białego rana w ogromnym namiocie, udekorowanym kwiatami ze szklarni, oczywiście według pomysłu pani domu. Tym razem bal zapowiadał się jeszcze wspanialej niż zazwyczaj, ponieważ Archie obchodził pięćdziesiąte urodziny.

Celestria nie mogła się już doczekać tego dnia. Miała dosyć nudnego życia na wsi i chciała wracać do miasta. Nie lubiła grać w tenisa. Przyjemność polegająca na popisywaniu się długimi nogami w króciutkich szortach trwała krótko, a sama gra nużyła dziewczynę i wydawała jej się pozbawiona większego sensu. Nie znosiła też przesiadywania na tarasie z ciotkami i kuzynkami, które najchętniej plotkowałyby bez końca. Poranki najczęściej spędzała na plaży z Bouncym. Niania była wdzięczna, że Celestria dotrzymuje jej towarzystwa, ona zaś patrzyła, jak chłopczyk buduje zamki z piasku i kopie fosy łopatką. Celestria rozumiała, dlaczego jej matka bardzo kocha Harry'ego - uważała, że mali chłopcy mają władzę nad sercami kobiet. Dopiero później miała się dowiedzieć, iż nie tracą jej nawet wtedy, gdy dorastają.

Lato dobiegało końca, do urodzinowego balu został już tylko tydzień. Celestria spędzała wieczory z książką w małym, uroczym zakątku, znanym jako „ogródek Penelope”, ponieważ kiedy jej ciotka była dzieckiem, niania zawsze zostawiała ją tam w wózku na popołudniową drzemkę.

Celestria leżała właśnie wygodnie na trawie, pochłonięta lekturą *Zatoki Francuza* Daphne Du Maurier, gdy z otwartego okna biblioteki dobiegł ją głos ojca. Monty rozmawiał / . lulią, która chyba płakała.

- Ma straszne kłopoty... Och, dużo bym dała, żeby nie

obarczać cię tymi problemami, kochany Monty, ale nie wiedziałam już, do kogo się zwrócić...

- Bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się na tę rozmowę - powiedział Monty.

- Jesteś takim dobrym człowiekiem...

Julia podkreśliła wyraz „dobrym”, jakby miała ochotę zasugerować, że Pamela nie może się równać ze swoim mężem. Celestria wiedziała, że jej stryjenka właśnie to miała na myśli.

Julia ciężko westchnęła. Celestria podniosła się cicho, oparła o mur i ostrożnie zajrzała do pokoju. Czuła się trochę jak szpieg.

Ojciec palił cygaro, stojąc pod oknem w przeciwległej ścianie. Jego głos, mocny i spokojny, wyraźnie kołował nerwy przygnębionej Julii.

- Dochody z gospodarstwa były całkiem niezłe - podjęła Julia, lekko pociągając nosem. - Ale wiesz, jaki jest Archie, zawsze lubił grać na giełdzie. Uznał, że trzymanie wszystkich oszczędności w jednym koszyku nie jest rozsądne i postanowił zainwestować w obligacje...

Monty skinął głową.

- Obligacje nie przyniosły żadnych zysków. Potem Archie kupił trochę ziemi od Toma Pritchetta, którego farma graniczy z naszą posiadłością, zapożyczył się i teraz ma problemy ze spłacaniem rat. Chyba wziął pożyczkę na zbyt wysoki procent, a do tego dochodzą jeszcze podatki i wszystko to razem...

Julia przerwała, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Celestria była przerażona. Czuła się okropnie, patrząc na Julię, zawsze tak pogodną, a teraz pogrążoną w rozpacz. Nie miała pojęcia, że stryj i jego żona wpadli w finansowe tarapaty, zaraz pomyślała jednak, że ojciec na pewno im pomoże. Monty miał mnóstwo pieniędzy.

Monty przeszedł przez pokój i usiadł obok Julii.

- Wszystkim się zajmę - powiedział. - Po pierwsze, pozwól mi pokryć wszystkie koszty urodzinowego przyjęcia, dobrze? Doskonale wiem, ile kosztują takie imprezy. Zrobię

to z prawdziwą przyjemnością, ale musisz zachować całą rzecz w tajemnicy. Za nic nie chciałbym, żeby Archie dowiedział się o wszystkim, bo to bardzo dumny człowiek...

- Oddam ci te pieniądze, co do grosza.

- Potraktuj to jako prezent, moja droga. Ostatecznie spędzam tu z rodziną każde lato, więc pozwól mi odwdziaczyć się przynajmniej w ten sposób. Julia wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i osuszyła oczy chusteczką.

- Dziękuję ci, Monty. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Jesteś jak rycerz w lśniącej zbroi, zawsze szlachetny i gotowy pomóc... Co byśmy bez ciebie zrobili? Jak to dobrze, że mamy kogoś takiego jak ty...

- Wspaniała z ciebie kobieta, Julio. Idealna żona i matka. Naprawdę cieszę się, że zechciałaś zwrócić się z tym do mnie.

- Archie byłby wściekły, że robię to za jego plecami, ale ja wiem, że stoimy pod ścianą. Nie mogę już patrzeć, jak się zadrecza... Jest przygnębiony, przytłoczony, zupełnie jakby cały czas dźwigał wór pełen okropnych trosk i zmartwień... Na początku naszego małżeństwa był zupełnie inny... - Przez twarz Julii przemknął leciutki uśmiech. -

Oczywiście w młodości każdemu wydaje się, że jest niezwyciężony...

Archie myślał, że odziedziczy Pendrift dopiero po wielu, wielu latach, już jako starszy człowiek, i z całą pewnością nie zdawał sobie sprawy, że to taki ciężar... Wszyscy wyobrażaliśmy sobie, że Ivan będzie żył wiecznie.

Archie czasami łatwo traci panowanie nad sobą, ale mnie wcale to nie przeszkadza. Niepokoi mnie tylko jego milczenie. Wolałabym już, żeby miotał się jak wściekły, niż całymi godzinami przesiadywał w gabinecie, ledwo żywy ze zmartwienia. Kiedy ogarnia go taki nastrój, nie potrafię do niego dotrzeć...-Julia westchnęła i oparła dłoń na ramieniu szwagra. -

Kocham go całym sercem, naprawdę... I chcę tylko, żeby wrócił do mnie tamten dawny Archie, mój najlepszy przyjaciel... Wiem, że rozumiesz, o co mi chodzi.

- Rozumiem, możesz mi wierzyć. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc.

- Obiecuję, że nigdy więcej nie poproszę cię o pożyczkę...

- Możesz prosić tak często, jak uznasz to za konieczne. Jesteśmy rodziną, a rodzina musi trzymać się razem.

Gdy w holu rozległ się jakiś hałas, Julia poderwała się i wygładziła bluzkę.

- Boże, to niania z Bouncym, wrócili właśnie z plaży... -W drzwiach odwróciła się jeszcze i rzuciła Monty'emu pełen wdzięczności uśmiech. - Nasza tajemnica, tak? - powiedziała cicho.

Celestria została pod oknem. Widziała, jak ojciec siada na kanapie i zakłada nogę na nogę. Dalej palił cygaro, bawił się nim, przekładając je między palcami i wpatrywał się w wiotkie zawijasy dymu. Błądził myślami gdzieś daleko, jego twarz była niezwykle poważna, wręcz skupiona. Celestria z niepokojem pomyślała, że jego oczy mają ponury wyraz. Wyglądał zupełnie inaczej niż zawsze. Nagle poczuła się nieswojo, jakby naprawdę go szpiegowała. Niepotrzebnie podkradła się do okna, niepotrzebnie podsłuchiwała... Szybko cofnęła się, usiadła na trawie, podniosła książkę i po paru chwilach zapomniała o rozmowie Julii z ojcem.

Nie czytała, znowu myślała o zbliżającym się balu. Miała do wyboru dwie suknie - jedną z jasnobłękitnego jedwabiu, która podkreślała kolor jej oczu, i drugą, ciemnoróżową z elegancką czerwoną szarfą, w której wyglądała na wręcz niewiarygodnie szczupłą w talii. Decyzja była naprawdę trudna... Julia zaprosiła przecież braci Wilmotte, którzy zawsze spędzali wakacje w pobliskiej posiadłości Rock, a o ile dobrze pamiętała, Dan Wilmotte był dość atrakcyjnym młodzieńcem.

3

Celestria powinna była zauważyć, że sprawy nie układają się tak, jak należy. Reperkusje problemów Archiego miały dotknąć ich wszystkich w sposób, o jakim nawet jej się nie śniło, była jednak młoda i samolubna, i potrafiła myśleć wyłącznie o balu. Jej suknie wisiały w szafie, podobne do magicznych płaszczy, zdolnych w jednej sekundzie przenieść ją do lśniącej kryształami i rozjarzonej żyrandolami sali balowej, gdzie mężczyźni w eleganckich strojach przyglądali się jej z uwielbieniem, a kobiety z zawiścią. Do świata, gdzie dźwięki muzyki odbijały się od lustrzanych ścian i szampan czekał w kieliszkach na wysokich nóżkach. Celestria miała dwadzieścia jeden lat i bardzo pragnęła się zakochać. Julia zajęła się przygotowaniem do urodzinowego przyjęcia, dokładnie jak co roku, i nikt nigdy by nie zgadł, że pod uśmiechem ukrywała dławiący niepokój. Do Pendrilt przyjechała ciężarówka z kilkoma ludźmi, którzy rozstawili wielki namiot, a pracownicy firmy cateringowej zaczęli zwozić skrzynie z kieliszkami i zastawą stołową. Celestria z wielkim podnieceniem przyglądała się, jak powoli w ogrodzie powstaje świat z jej marzeń. Bal nie zapowiadał się na tak wy-

rafinowany jak niektóre londyńskie imprezy, ale spragnionej rozrywki dziewczynie bynajmniej to nie przeszkadzało. Wiedziała, że mnóstwo ludzi będzie podziwiał jej urodę i że przetańczy całą noc z Danem Wilmotte'em, niezależnie od tego, jaką kreację wybierze. Wreszcie coś się miało wydarzyć w tym sennym zakątku Kornwalii. Pomyślała, że może nawet wreszcie się zakocha, kto wie... Matka zawsze powtarzała, że miłość przychodzi w najmniej spodziewanym momencie.

Lotty i Melissa były równie podekscytowane jak Celestria i musiały zmierzyć się z nie lada wyzwaniem, jakim było znalezienie męża. Lotty, obdarzona przez naturę długimi, kasztanowymi włosami była ładniejsza niż Melissa, ale, jak z okrutną arogancją ujmowała to Pamela, „w królestwie ślepców królem jest jednooki”. Żadna z siostr nie olśniewała urodą. Podobnie jak większość Angielek, obie miały owalne twarze o słabych, drobnych podbródkach i wodniście niebieskie oczy, odziedziczone po matce, Pénélope. Pamela mawiała, że takie twarze są „jajowate”. Jajowate twarze bywały oznaką arystokratycznego pochodzenia, chociaż oczywiście w przypadku Lotty i Melissy wcale tak nie było. Milton miał wyrazistą, przystojną twarz, duże oczy i zdecydowany podbródek -te cechy odziedziczył szczęśliwy David, razem z wysokim wzrostem i atletyczną budową ciała. Szkoda, że jego córki miały pecha i urodziły się podobne do matki, myślała Celestria. Pamela była skłoną do dramatyzowania egocentryczką, ale przynajmniej obdarzyła Celestrię piękną twarzą.

W dzień balu Celestria z samego rana uciekła na plażę, aby uniknąć pomagania Julii przy kwiatach. Melissa miała zbyt dobre serce, żeby ukryć się razem z kuzynką, Celestria zdołała jednak namówić Lotty. Dziewczęta leżały w słońcu na kąpielowych ręcznikach, natomiast Bouncy kopał dół w piasku z nianią, a starsi chłopcy grali w krykieta z Purdym. Celestria miała na sobie białe szorty i zawiązaną na supeł pod biustem

turkusową bluzkę koszulową, w zestawieniu z nią jej szare oczy wydawały się błękitne. Lotty ubrana była w białe spodnie - nie lubiła odsłaniać raczej krótkich i umięśnionych jak u kuczka nóg - a kapelusz z szerokim rondem osłaniał jasną, usianą piegami cerę.

- Jesteś pewna, że nie powinnyśmy wrócić do domu i pomóc w przygotowaniach? - spytała, lekko marszcząc brwi.

Celestria przeciągnęła się leniwie.

- Przeszkadzałybyśmy tylko... Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść, wiesz, jak to jest... Poza tym ktoś musi przecież pilnować chłopców, bo niania nie widzi nikogo poza Boun-cym...

- Jak my wszyscy... - westchnęła Lotty. - Bardzo chciałabym mieć dziecko...

- Najpierw musisz znaleźć sobie męża - roześmiała się Celestria. - Czy też może ciocia Penelope nie tłumaczyła ci, skąd się biorą dzieci?

Twarz Lotty rozjaśnił lekki uśmiech.

- Umiesz dochować tajemnicy, prawda?

- Przecież wiesz... - Celestria podniosła się na łokciu i zmierzyła kuzynkę uważnym spojrzeniem.

- Nie mówiłam o tym nawet Melissie...

- Och, Melissa na pewno zaraz wygadałaby wszystko waszej mamie!

- Więc mogę ci zaufać?

- Jasne!

Lotty zastanawiała się chwilę.

- Jestem zakochana - powiedziała w końcu, podnosząc na Celestrię błyszczące szczęściem oczy. - Naprawdę i szczerze...

- W kim? Znam go?

- Na tym właśnie polega problem... To nie jest ktoś zbyt odpowiedni...

- Nie z dobrej rodziny? - Celestria była zaskoczona i jednocześnie zaintrygowana. - Nowobogacki?

Uważała, że jeśli kandydat na męża jest bogaty, jego pochodzenie nie ma wielkiego znaczenia.

- Nie jest bogaty - odparła Lotty. - To pianista.
 - Francis Browne! - wykrzyknęła triumfalnie Celestria. Lotty spojrzała na nią ze zdziwieniem.
 - Skąd wiedziałaś?
 - To twój nowy nauczyciel muzyki. Mama zastanawia się, czy zwolnić starą panią Gilstone i zatrudnić Browne'a, co dla mnie byłoby prawdziwym błogosławieństwem, bo pani Gilstone ma cuchnący oddech. Twoja mama mówi, że Francis jest naprawdę dobry, a teraz okazuje się, że chyba aż za dobry!
 - Jest utalentowany, wrażliwy i miły... - Rozświetlona miłością twarz Lotty wyglądała prawie pięknie.
 - O, mój Boże... I jesteś zakochana z wzajemnością, jak sądzę?
 - Tak. Francis chce się ze mną ożenić.
 - Zawsze możecie uciec! To bardzo romantyczne rozwiązanie, poza tym wydaje mi się, że ludzie tacy jak on często decydują się na ucieczkę z ukochaną...
 - Mama i tata umarliby ze wstydu! - zawołała Lotty. - Nie mogłabym im tego zrobić!
 - Cóż, nie można mieć wszystkiego... Jest przystojny?
 - Bardzo. Ma jasne włosy, wąski nos i najpiękniejsze brązowe oczy na całym świecie. Nazywa mnie „Afrodytą”...
 - Jakże by inaczej... Pocałował cię już?
- Policzki Lotty powlokły się buraczkowym rumieńcem.
- Tak... Ale tylko jeden raz. Nie mogę się już doczekać, kiedy wrócimy do Londynu i wreszcie się z nim zobaczę. Tutaj Francis nie może do mnie nawet pisać, ponieważ mama natychmiast wszystko by odkryła. Mama chce, żebym wyszła za Eddiego Richmonda.
 - Bo jest bogaty i odziedziczył majątek ojca w Northumberland!
 - Eddie jest bardzo sympatyczny, ale mnie po prostu nie wydaje się atrakcyjny...
 - O atrakcyjności mężczyzny decyduje coś więcej niż kształtny podbródek! - parsknęła Celestria, ale Lotty nawet

się nie uśmiechnęła. - Eddie ma ładne oczy, to prawda, no i odrobinę wystające przednie zęby, przez co wygląda trochę jak królik, za to jest nieprzyzwoicie bogaty! Stoisz przed wyborem - miłość albo pieniądze. Paskudna sprawa...

- Nie stoję przed żadnym wyborem, ponieważ moim zdaniem liczy się tylko miłość. Mamy jednak spory problem z mamą...

- Rzeczywiście spory, nie da się ukryć!

- Żyjemy w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku... -Lotty westchnęła. - Dziewczyna powinna mieć prawo poślubić człowieka, który jej się podoba. Minęło już trochę czasu, odkąd Emmeline Pankhurst i jej zwolenniczki przykuwały się do żelaznych ogrodzeń...

- Jeżeli wyjdiesz za Francisa Browne'a, wszystkie będziemy uczyć się gry na fortepianie za darmo - zakpiła Celestria.

- Nie żartuj sobie! Będziemy musieli policzyć ci podwójną stawkę, żeby mieć z czego żyć! Rodzice na pewno mnie przecież wydziedziczą...

- Och, nie sądzę! Mogłoby być gorzej, mogłabyś zakochać się w księdzu Dalgleishu!

Lotty roześmiała się głośno.

- To byłoby wbrew moim zasadom i mam nadzieję, że także wbrew twoim!

Od morza powiał nagle lodowaty wiatr i Celestria zadrżała. Na horyzoncie zaczęły gromadzić się fioletowe chmury, niania wyjęła z kosza sweter dla Bouncy'ego. Malec odgadł jej intencje i truchcikiem ruszył przed siebie w stronę morza. Wiatr porwał jego śmiech, jakby był to słaby, wysoki krzyk mewy. Fale wydawały się duże i rozwścieczone, waliły w brzeg jak pazury potężnego lwa. Bouncy upuścił łopatkę, którą natychmiast poderwał z piasku rozochocony Purdy. Niania sztywno podniosła się z koca i pośpieszyła za malejącą w oddali drobną postacią. Celestria i Lotty patrzyły z przerażeniem, jak Bouncy biegnie coraz szybciej, głuchy na przybierający na sile ryk fal. Tylko Purdy wypuścił z pyska łopatkę i zaczął ujadać, wyraźnie przestraszony.

Chłopczyk dotarł do linii bijących o brzeg fal i nagle się zatrzymał. Odwrócił się, poszukał wzrokiem niani i rozpłakał się. Pod ciemniejszym niebem morze wyglądało jeszcze groźniej niż przed chwilą. Niania dobiegła, chwyciła Bouncy'ego za rękę i ostro skarciła go za ucieczkę. Mały zalał się łzami.

- Nie umiesz pływać! - tłumaczyła mu niania, kiedy oboje na chwilę przystanęli obok dziewcząt. - Morze jest niebezpieczne dla takich maluchów jak ty!

- Dzięki Bogu, że nic mu się nie stało - szepnęła Lotty do kuzynki. - Śmiertelnie się przestraszyłam.

- Niania także! - mruknęła Celestria. - Zobacz, jest zupełnie zielona... Odwróciła się twarzą do Lotty, dygocząc z zimna i zdenerwowania.

- Nie podejmuj pochopnych decyzji - powiedziała. - Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby brak pieniędzy mógł być zabawny, a już na pewno nie jest romantyczny... Wychowałam się w zamożnym domu, jesteś przyzwyczajona do tego, że niczego ci nie brakuje... Z kimś takim jak Eddie Richmond miałabyś dobre, wygodne życie. Z czasem może nawet byś go pokochała...

Lotty potrząsnęła głową.

- Jak na tak egocentryczne stworzenie, czasami udzielasz bardzo rozsądnych rad!

- W dawnych czasach kobiety wychodziły za mąż dla majątku, a po ślubie brały sobie kochanków. Moim zdaniem to wyjątkowo rozsądne rozwiązanie, nie uważasz?

- Ale częściej gadasz bzdury! - zirytowała się Lotty. - Małżeństwo to święty sakrament, moja droga! Składasz przysięgę przed Bogiem, prawda? Kiedy stanę przed ołtarzem, przysięgnę Bogu kochać męża całym sercem! Zdrada małżeńska jest dla mnie poza wszelką dyskusją i ty też powinnaś tak o tym myśleć!

- Skąd ja biorę te wszystkie okropne pomysły wiła się Celestria z łobuzerskim uśmiechem.

- Pewnie od twojej matki... Przecież to Amerykanka!

Niania otrzepała Bouncy'ego z piasku, osuszyła łzy malca i włożyła mu granatowy sweterek.

- Robi się zimno - poskarżył się Harry. - Wracamy do lasu, sprawdzić pułapki na szczury.

- Na pewno kilka się złapało! - entuzjasmował się Wilfrid. -

Podprowadziliśmy mamie najlepszy cheddar, żeby skusić te paskudy!

- I namoczyliśmy ser w whisky mojego taty - zachichotał Harry.

Wszyscy trzej wyglądali na bardzo zadowolonych z siebie, zupełnie jak banda triumfujących złodziejasków.

- Chodźcie już! - zawołał Sam, ruszając biegiem prowadzącą do domu ścieżką.

- My też pójdziemy już do domu - powiedziała niania do Bouncy'ego. - Po tym wszystkim dobrze ci zrobi kubek gorącego mleka. Nie poskarżę się pani Julii, że mi uciekłeś, bo tylko by się zmartwiła. Nie bardzo mi się podoba, że mieszkamy tak blisko morza...

Twarz starszej kobiety wydawała się pomarszczona i blada, wiatr szarpał wymykające się spod szpilek pasma siwych włosów.

- Znałam kiedyś człowieka, który się utopił - podjęła. - Znaleźli jego ciało dopiero po tygodniu, to znaczy znaleźli to, co z niego zostało... Paskudna sprawa, słowo daję. Bardzo dobrze pływał, ale to go nie uratowało, o, nie... Biedak... No, Bouncy, wyrzuć ten wodorost, przecież to strasznie brudne!

Dziewczęta poszły przodem, ponieważ ścieżka była wąska, a Bouncy trzymał nianię za rękę.

- Myślisz, że niania dogoniłaby Bouncy'ego, gdyby sam się nie zatrzymał? - zapytała cicho Lotty.

- Nie - odparła Celestria. - I nie wydaje mi się, żeby niania przeżyła kąpiel w tej lodowatej wodzie... Oboje by utonęli.

- Może powinniśmy powiedzieć ciotce Julii? - Lotty była wyraźnie wstrząśnięta tym, co widziała.

- Nie. Bouncy nie ucieknie więcej niani, bo naprawdę mocno się wystraszył. Poza tym mój tata i twoja mama dorośli pod jej opieką i nigdy nic im się nie stało, prawda?

- Niania była wtedy młodsza - mruknęła Lotty.

Po chwili dotarły do gwarne go, pełnego ludzi domu. Przeistoczona w prawdziwego żandarma Julia ostrym tonem wydawała polecenia małej armii pomocników. Namiot był już rozpięty, podłoga wysłana dywanami, na przykrytych białymi obrusami stołach piętrzyły się talerze, kieliszki i szklanki. Z kuchni napływały smakowite zapachy. Purdy oblizał się kilka razy i pobiegł do drzwi. Milton i Monty wnosili do namiotu krzesła, David wypisywał tabliczki do zawieszenia na drzwiach toalet, a Melissa z matką pomagały Julii układać kwiaty. Lotty od razu zgłosiła się do pomocy, przepraszając, że nie zrobiła tego wcześniej. Celestria wiedziała, że tej sytuacji może liczyć tylko na Pamelę, która z pewnością trzymała się z daleka od wszystkich pożytecznych zajęć. Kiedy zapytała o matkę, ojciec powiedział, że Pamela nie najlepiej się czuje i odpoczywa z książką w saloniku. Celestria nie zamierzała pozwolić, by zaprzągnięto ją do roboty, oświadczyła więc, że sprawdzi, czy matce nic nie dolega.

W holu minęła ponurego Harry'ego.

- Nie było żadnych szcurów? - zagadnęła pogodnie.

- Muszę pomóc cioci Julii - odrzekł chłopiec.

- Cóż, jesteś mężczyzną, a dziś każda para silnych rąk jest na wagę złota!

- A ty gdzie idziesz?

- Och, ja także muszę pomagać - skłamała pośpiesznie. - Ciocia potrzebuje nicy, bo w namiocie zrobiła się dziura,...

Przewróciła oczami, aby przekonać Harry'ego, że jest równie zniechęcona jak on i ruszyła na poszukiwanie matki.

Pamela leżała na sofie, ze stopami opartymi na trzech poduszkach, obok na stoliku stała filiżanka gorącej herbaty. W pokoju rozbrzmiewały kojące dźwięki muzyki klasycznej,

pekińczyk drzemał z głową opartą o kolana pani, jej długie białe palce głaskały jego sierść.

- Poochiego bardzo denerwuje całe to zamieszenie -oświadczyła Pamela, kiedy Celestria stanęła w drzwiach. -Dom przypomina dworzec kolejowy w godzinach szczytu, a Poochi nienawidzi dworców! Masz takie zaróżowione policzki, dziecko, gdzie ty byłaś?

- Na plaży.

- Przy tej pogodzie?

- Och, mammo, wcale nie jest zimno!

- Cały ojciec! Dla mnie szare chmury, mżawka i wiatr to po prostu rozpacz w kratkę. Nie wyobrażam sobie, jak można w taki ziąb siedzieć na plaży!

- Na razie nie pada.

- Ale lada chwila będzie! Tylko popatrz na te kłębiące się chmurzyska! Zimno mi się robi na sam ich widok... Może posiedzisz tu trochę ze mną, bo potwornie mi się nudzi...

Celestria opadła na fotel.

- Zadzwoń po Soamesa - powiedziała Pamela, ciaśniej otulając się białym kaszmirowym swetrem. - Niech rozpali w kominku...

Celestria poszukała wzrokiem dzwonka.

- Nie ma tu dzwonka? - skrzywiła się Pamela. - Więc biegnij i zawołaj go, skarbie, zanim twoja nieszczęsna matka umrze z zimna...

Dziewczyna nie miała ochoty wracać do holu, gdzie ktoś w każdej chwili mógł ją poprosić o pomoc, wiedziała jednak, że Pamela nie zrezygnuje łatwo, zachowała się więc w sposób najzupełniej nietypowy i sama schyliła się, żeby rozpalić ogień. Pamela była przerażona.

- Nie rób tego, kochanie! Wybrudzisz się tylko i zniszczysz sobie paznokcie! Idź po Soamesa, naprawdę, on sobie poradzi z tym w mgnieniu oka! Ostatecznie po to ma się służbę! Daj spokój, skarbie, posłuchaj mnie...

Ale Celestria przyklękła już przed kominkiem i zapaliła małe kulki z gazety, które Soames powtykał pod szczapy. Nie

było to trudne zadanie. Drewno okazało się suche i natychmiast rozgorzało jasnym płomieniem, obyło się więc bez brudnych rąk i połamanych paznokci. Celestria podniosła się i triumfalnie popatrzyła na ogień.

- Nie mam pojęcia, dlaczego jesteś taka zadowolona z siebie, moja droga.
- Pamela lekko wydeła wargi. - Dama nie powinna wykonywać prac, które należą do mężczyzn.

- Nie chcę, żeby złapała mnie ciotka Julia - wyjaśniła Celestria, wracając na fotel. - Byłabym wykończona już przed rozpoczęciem balu...

- Bardzo słusznie, skarbie, trzeba pozwolić, żeby inni zajęli się ciężką pracą... Gdzie kucharek sześć, i tak dalej, sama wiesz... Zdecydowałaś się już, którą sukienkę włożysz? Mówiłam ci, żebyś wzięła ze sobą jeszcze ze dwie, miałabyś większy wybór. Zamarzniesz w tych lekkich szmatkach.

- Chyba włożę różową - odparła Celestria. - Jestem dziś w różowym nastroju...

- Trzeba będzie upudrować ci trochę policzki, bo jesteś zbyt rumiana. Ta kornwalijska pogoda nie wpływa zbyt dobrze na cerę.

- Leżałyśmy z Lotty na słońcu...

- Mam nadzieję, że Lotty nie zapomniała o kapeluszu! Przecież ta dziewczyna jest okropnie blada!

- Nie, nie zapomniała. Ale wiesz co? Lotty się zakochała! Oczy Pameli rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Czy to ktoś odpowiedni?

- Absolutnie nie!

- Jak to? Kto to taki?

- Nie mogę ci powiedzieć, mamó, bo złamałabym słowo. Pamela skrzywiła się z rozczarowaniem.

- Mogę ci tylko zdradzić, że to zupełnie zwyczajny chłopak...

- Zwyczajny?

- Nie z naszej klasy.

Na ustach Pameli Bancroft Montague wykwitł leciutki i bardzo złośliwy uśmiezek.

- Ojej... - westchnęła z wyraźnym zadowoleniem. - Ciekawe, co powie na to Penelope.

- Ciotka Penelope chce, żeby Lotty wyszła za...

- Edwarda Richmonda, wiem - dokończyła Pamela. -Edward byłby doskonałą partią dla Lotty. Ostatecznie dziewczyna nie ma urody jak z obrazka, ale z Edwarda także nie jest żaden Adonis. Są dokładnie na tym samym szczeblu łańcucha pokarmowego.

- Łańcucha pokarmowego? Co masz na myśli? Pamela przestała gładzić sierść Poochiego i zamyśliła się.

- To, że Lotty nie jest ani panterą, ani tygrysią, prawda? -powiedziała. - Najbardziej przypomina sarnę, słodką i łatwowierną. Znamy mnóstwo ludzi w tym typie. Edward nie jest ani lwem, ani gepardem, należy raczej do zwierząt stadnych, przeciętnych i niezbyt oryginalnych. Moim zdaniem to zwykły jeleń.

- Niezła teoria, mamó! A ja? Kim ja jestem?

- Ty, mała? Lwicą, oczywiście, i powinien interesować cię tylko lew. Znajdujesz się na samym szczycie łańcucha pokarmowego, więc w żadnym razie nie powinnaś wychodzić za bawoła, łasicę czy nawet ogiera.

- Krótko mówiąc, chodzi o połączenie urody, klasy i inteligencji, tak?

- Tak jest. Nie jesteś zwierzęciem stadnym. Masz urodę i grację, które odróżniają cię od reszty i chociaż nie jesteś córką księżnej, posiadasz wszystkie cechy, jakie mogą zapewnić ci tak wysoką pozycję.

- Brak mi tylko jajowatej twarzy! - parsknęła śmiechem Celestria.

- To po mnie odziedziczyłaś ten zdecydowany podbródek.

Kiedy Monty wszedł do saloniku, jego żona i córka z wielkim rozbawieniem robiły przegląd całej rodziny, sprawnie rozmieszczając wszystkich jej przedstawicieli na odpowied-

nich szczeblach łańcucha pokarmowego. Długą chwilę przyglądał im się z pobłażliwym uśmiechem.

- Kim jest tata? - spytała Celestria. Pamela zmrużyła oczy.

- Gepardem - powiedziała niskim, nieco zachrypniętym głosem. -

Najszybszym zwierzęciem na świecie...

- A ty, najdroższa, jesteś białą tygrysyką, pięknym i bardzo, bardzo rzadko spotykanym okazem - rzekł Monty. - Więc to tutaj się ukryłaś! - zwrócił się do Celestria.

- Teraz możesz już spokojnie wyjść. Wszystko gotowe, Julia poszła wziąć kąpiel. Myślę, że też powinnaś to zrobić.

- Może spotkam dziś mojego lwa - rzuciła Celestria, podnosząc się z fotela.

- Nawet nie patrz na inne zwierzęta, skarbie - przestrzegła ją matka. - Ja nie popełniłam takiego błędu.

- Rozpaliłam porządny ogień, prawda? - Celestria uśmiechnęła się do ojca.

- Sama to zrobiła, głupie dziecko! - wyjaśniła Pamela. Monty postanowił pominąć milczeniem fakt, że jest jeszcze lato.

- W tym roku zapakowałam do walizki moją etolę z norek - dodała Pamela. - Włożę ją dziś wieczorem...

- Może odstraszysz w ten sposób wszystkie zwierzęta podrzędnego rodzaju - zażartował Monty.

- Och, mama nie potrzebuje futrzanej etoli, żeby to zrobić! - zaśmiała się Celestria. - Zwierzęta z niższych szczebli łańcucha pokarmowego bez trudu rozpoznają tygrysykę!

Celestria stała przy oknie i patrzyła na zachodzące słońce. Dni powoli stawały się coraz krótsze, lato wycofywało się w popłochu przed nadgorliwą jesienią. Światło miało bursztynową barwę, było miękkie, ciepłe i w jakiś sposób smutne. Pod zachmurzonym, ciemniejącym niebem morze lśniło jak wielki miedziany arkusz. Jak na złość, akurat tego wieczoru siąpił lekki deszczyk. Celestria z podnieceniem pomyślała, że ciemne chmury zapowiadają może nawet burzę. Wyobraziła sobie, jak przytula się do Dana Wilmotte'a, podczas gdy po niebie przetacza się głuchy grzmot. Morze było złowrogo spokojne, zupełnie jakby wstrzymywało oddech przed nawałnicą.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Różowa suknia wyglądała olśniewająco, zwłaszcza w zestawieniu z brylantami Pamelii. Celestria wyprostowała się, podziwiając leciutko błyszczącą od olejku skórę na nagich ramionach. Nie miała cienia wątpliwości, że przyćmi wszystkie inne kobiety. Interesuje mnie tylko lew, pomyślała. Melissa może zadowolić się bawołem albo jeleniem, ale nie ona. Biedna Lotty, dlaczego musiała zakochać się

w nieodpowiednim mężczyźnie... Celestria była pewna, że sama nigdy nie popełni takiej pomyłki.

Została w swoim pokoju do chwili, kiedy cała rodzina zeszła już na dół. Uwielbiała mocne wejścia. Słyszała dobiegające z salonu głosy, szmer rozmów, co jakiś czas przerywanych wybuchami śmiechu. Powoli zaciągnęła zasłony. Niebo przybrało ciemnofioletowy kolor i wyglądało jak rozległy siniak, morze budziło się przed nadchodzącą burzą.

Zamykając za sobą drzwi, Celestria usłyszała stukot pierwszych kropli deszczu o parapet.

Gwar stawał się coraz intensywniejszy. U szczytu schodów Celestrię powitał Poochi i silny zapach tuberozy. Mogło to oznaczać tylko jedno - Pamela także postanowiła zaczekać z wejściem do ostatniej chwili. Na widok córki twarz Pameli rozjaśnił promienny uśmiech.

- Och, skarbie, wyglądasz przepięknie! - zawołała, mierząc Celestrię pełnym podziwu spojrzeniem.

W córce widziała wielką piękność, jaką sama kiedyś była, a także coś w rodzaju medium, dzięki któremu zawsze mogła wracać do lat młodości.

- Rzucisz ich wszystkich na kolana - dodała z satysfakcją.

- Ty też wyglądasz ślicznie - odparła szczerze Celestria, chociaż słowo „śliczna” było niewątpliwie zbyt słabym określeniem wielkiej urody matki.

Pamela Bancroft Montague miała czterdzieści osiem lat, lecz nadal była uderzająco piękna. Jasne włosy ściągnęła w gładki, lśniący kok, który podkreślał kształt jej teraz już nieco pełniejszej twarzy oraz chłodny odcień akwamarynowych oczu w obramowaniu smoliście czarnych rzęs. W uszach nosiła brylantowe kolczyki, na szyi, której skóra wciąż jeszcze była jędrna, brylantową kolie, a do piersi przypiętą brylantową broszę. Pamela świetnie wiedziała, że w jej wieku nadmierna szczupłość dodaje lat i ujmuje urody. Jej wargi miały kolor truskawkowego soku, przez co połyskujące między nimi zęby olśniewały bielą. Ramiona otuliła etolą z norek, która stanowiła doskonały dodatek do sukni z ciemnozielonego

jedwabiu. Głębokie kolory zawsze sprawiały, że skóra Pameli promieniała zachwycającym blaskiem. Tego wieczoru włożyła czarne rękawiczki do łokcia i trzymała w ręku malutką czarną torebkę z błyszczącą klamrą w kształcie kwiatu, a w niej szminkę Elizabeth Arden, złotą puderniczkę i miniaturową buteleczkę perfum. Doskonale wiedziała, co zrobić, żeby wydać się jak najbardziej atrakcyjną, i przekazała tę umiejętność córce. Ujęła Celestrię za rękę i obdarzyła ją pełnym aprobaty uśmiechem. Była z niej dumna. Młoda dziewczyna stanowiła swoiste przedłużenie istnienia matki, żywe przypomnienie, jak cudowna była młodość Pameli.

Ramię w ramię weszły do salonu. Ich pojawienie się w splendorze brylantów i jedwabiu spowodowało, że rozmowy ucichły. Wszyscy członkowie rodziny zwrócili się ku nim z ustami rozchylonymi z podziwu i zaskoczenia. Tylko Bouncy nadal gadał coś do Purdy'ego i starał się zachęcić go do zabawy, ciągnąc za ogon. W końcu Monty ruszył w stronę żony i córki.

- Jakie piękne dziewczęta! - wykrzyknął jowialnie. - Czy naprawdę należą do mnie?

Ujął dłonie Celestii i ucałował je z ukłonem, następnie objął Pamelę i pocałował ją w policzek. Wyglądał bardzo atrakcyjnie w białej koszuli i muszce, z jasnymi włosami odgarniętymi z czoła i twarzą mocno opaloną po całym popołudniu spędzonym w łodzi. Jego oczy błyszczały z dumy, kiedy wprowadzał Pamelę i Celestrię do pokoju. Obie kobiety wpłynęły w tłum niczym para łabędzi.

Julia miała na sobie jasnoturkusową suknię. Wyglądała bardzo elegancko i dystyngowanie, a jej dźwięczny śmiech rozbrzmiewał ponad gwarem podekscytowanych głosów. Gdyby tak gorączkowo nie zaciągała się papierosem, Celestria nigdy by nie odgadła, jak bardzo jest zdenerwowana. Dziewczyna przypomniła sobie podsłuchaną rozmowę między Julią i ojcem i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Archie nic jest odrobinę zaniepokojony wystawną oprawą przyjęcia. Jubilat stał pod oknem z Harrym i dwoma starszymi synami,

śmiejąc się z ich opowieści o polowaniu na szczury i co jakiś czas muskając wąsy wskazującym palcem. Kiedy poklepał Wilfrida po głowie i potargał włosy nad czołem Sama, obaj chłopcy spojrzeli na niego z miłością i podziwem. Celestria nie wiedziała, czy Archie wie o prezencie jej ojca, czy też Julia zgodnie z obietnicą zachowała całą sprawę w tajemnicy. Skupiła uwagę na najmłodszym kuzynie. Bouncy siedział na kolanach Monty'ego i udawał, że jedzie konno, przeskakując przez wyimaginowane przeszkody.

- Jeszcze raz! - domagał się po każdym „wyścigu”, a Monty spełniał jego żądania, nie okazując zmęczenia czy znudzenia zabawą.

Celestria była pewna, że nikogo już nie brakuje, kiedy nagle w salonie znowu zapadła cisza. Obejrzała się, by zobaczyć, kto stoi w drzwiach. W progu, zasysając powietrze rozdętymi nozdrzami, tkwiła Elizabeth Montague.

- Zła wróżka! - syknęła Celestria do matki na widok czarnej, solidnej sylwetki babki.

- W łańcuchu pokarmowym twoja babka jest chyba hieną, nie sądzisz? - odszepnęła Pamela.

- Więc jakim cudem spłodziła lwa?

- Tylko *jednego* Iwa i to wyłącznie dzięki twojemu dziadkowi, który także był lwem - odparła z naciskiem Pamela. - Teraz w rodzinie jest tylko jeden lew - mój mąż. Archie jest borsukiem, a Penelope chyba lochą...

- Jesteś okrutna, mamo!

- Świat zwierząt jest okrutny, skarbie. Pies zjada psa, natomiast hiena pożera resztki posiłków wszystkich innych stworzeń.

Elizabeth Montague wkroczyła do salonu, podtrzymywana przez swego kuzyna, Humphreya Hornby-Hume'a, potężnie zbudowanego mężczyznę o krwistych policzkach i wylupiastych oczach. Twarz Elizabeth była jak zwykle nachmurzona - lata rozczarowań i niezadowolenia zatarły w pamięci staruszki wszelkie ślady radosnych wspomnień. Elizabeth po prostu zapomniała, jak się uśmiechać, a teraz była już

za stara, by nauczyć się tej sztuki od nowa. Na wieczór zawsze wkładała czarne stroje i utrzymywała, że jest to najbardziej odpowiedni kolor dla kobiety, która jedną nogą jest już w grobie. Podpierała się laską, ponieważ postępujący artretyzm kompletnie zrujnował staw w jej prawym biodrze. Palila jednego papierosa za drugim, bezustannie przypominając wszystkim, że palenie i jedzenie to jedyne przyjemności, jakie jej jeszcze zostały, oczywiście poza rozmowami z Montym, którego kochała zaborczą, gorącą miłością, oraz wnukiem Bo-uncym, podobno bardzo podobnym do jej ukochanego brata, poległego w czasie pierwszej wojny światowej. Elizabeth uwielbiała mężczyzn, może dlatego, że zazdrość, jaką czuła wobec młodszych i bardziej atrakcyjnych od niej kobiet, wydawała jej się po prostu nieznośna. Dziś trudno było sobie wyobrazić, że ta tęga stara kobieta o rozłożystych biodrach i grubych jak pale nogach kiedyś uchodziła za pociągającą, seksowną flirtiarę. Kiedy weszła do pokoju, Monty, jak na dobrego syna przystało, natychmiast ucałował powykęcane przez artretyzm ręce matki, zaraz po nim zrobił to samo Archie. Twarz staruszki odtajała na widok ukochanego syna, kąciki jej ust zadrgały w leciutkim uśmiechu. Archie wycofał się szybko, przyzwyczajony do przebywania w cieniu młodszego, obdarzonego większą charyzmą brata. Julia jak zwykle zauważyła wszystko i jej serce ścisnęło się boleśnie ze współczucia. Mimo to powitała teściową równie serdecznie jak pozostałych krewnych. Można było odnieść wrażenie, że Julia wszystkich lubi tak samo, że jest jak promień słońca, który każdego obdarza takim samym ciepłem. Jeżeli nawet nie przepadała za teściową, to z całą pewnością nigdy jej tego nie okazała. Pochlebiała jej nawet, a te pochwały powtarzał Humphrey, który nigdy nie *zauważał* kwaśnego humoru starszej kuzynki.

- Teraz, kiedy najważniejsza osoba w rodzinie jest już z nami, przejdziemy chyba do namiotu - zasugerowała Julia. - Niedługo pojawią się pierwsi goście...

- Ach, jesteś zbyt miła, Julio! - wykrzyknął żartobliwie Humphrey, którego głos był dość cienki i przenikliwy. - Nie zasłużyłem na tak wspaniałe powitanie!

- Twoje dowcipy nigdy nie były szczególnie zabawne, Humphreyu - prychnęła wzgardliwie Elizabeth. - Cóż, nie ulega wątpliwości, że jestem najstarszą osobą w tym gronie... Przyszłam na urodziny Archiego tylko po to, aby przypomnieć światu, że nadal żyję!

- Chodźmy więc do namiotu! - zachęciła Julia, starając się zagonić całą grupę w kierunku drzwi.

- Nie widzę powodu, żeby ludzie cieszyli się z czegoś, co bynajmniej nie jest radosne - nie dała sobie przerwać staruszka.

- Droga kuzynko, nie ma na świecie kobiety równie pełnej życia jak ty... - zaczął Humphrey.

- Bo i z czego tu się śmiać... - ciągnęła Elizabeth kwaśnym tonem, nie zwracając najmniejszej uwagi na dusery, jakie prawił jej kuzyn. - Wiem, mój drogi, że twoim zdaniem beze mnie ten bal nie ma sensu, ale teraz przynieś mi drinka i krzesło, bo inaczej całkiem dosłownie stanę się duszą przyjęcia, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

- Archie, mój drogi, może powtórzysz wszystkim, aby skierowali się do namiotu - powiedziała Julia, na której twarzy nagle pojawił się wyraz znużenia.

Archie odchrząknął.

- Proszę o uwagę! - zawołał, prostując się i wypinając pierś do przodu. Nikt go nie słuchał.

- Głośniej, chłopcze! - krzyknęła Elizabeth.

Kilka razy z całej siły uderzyła laską o podłogę, aż porcelana zagrzechotała w serwantce pod ścianą. Wszyscy natychmiast umilkli i odwrócili się do Archiego.

- Julia prosi, żebyśmy przeszli teraz do namiotu - powiedział Archie niepewnym tonem.

W odpowiedzi rozległ się mocny, zdecydowany głos Monty'ego.

- Zanim zgodnie z wolą gospodarzy pójdziemy do ogrodu, chciałbym życzyć mojemu bratu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, i to szczególnych urodzin. Bardzo się cieszę, że jestem tu dziś wraz z całą rodziną i wiem, że Archie także jest szczęśliwy, widząc nas wszystkich. Nie ma nic silniejszego i ważniejszego niż więzy krwi. Archie, mój kochany bracie i przyjacielu, życzymy ci wielu takich szczęśliwych okazji! Niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, chcę, abyś zawsze pamiętał, że ja, twój brat, kocham cię i podziwiam!

Serdeczne słowa Mon ty ego sprawiły, że Julia uśmiechnęła się ze wzruszeniem, Archie zaś spuścił wzrok, wyraźnie zażenowany. Wcale nie czuł się godny podziwu młodszego brata.

Podczas gdy wszyscy bili brawo, Elizabeth znowu udało się skoncentrować rozmowę na sobie.

- Sądzę, że to mój ostatni bal, Humphrey... - westchnęła. - W przyszłym roku będziecie mieli podwójny powód do radości...

- Dzień dobry, babciu! - zawołała Celestria, ujmując starszą panią pod rękę z drugiej strony.

Zanim Elizabeth zdążyła odpowiedzieć, jej kuzyn, którego wyłupiaste oczy zapłonęły na widok młodej dziewczyny, rozpromienił się z zachwyty.

- Ach, urocza Celestria! - zapiał głosem jeszcze wyższym niż zwykle. - Tak mi się wydawało, że Pendrift jaśniej dziś nieziemskim blaskiem! Wyglądasz jeszcze piękniej niż zazwyczaj, moja droga!

Z tymi słowami utkwiał wzrok w biuście Celestria.

- Czyżbyś podziwiał moje brylanty, kuzynie? - zakpiła dziewczyna.

Humphrey z trudem oderwał oczy od zagłębienia między jej piersiami.

- Są niezwykle, lecz ty błyszczysz jaśniej niż jakiegokolwiek klejnoty!

- Nie słuchaj tego starego nudziarza - wtrąciła Elizabeth. - Gdyby był pięćdziesiąt lat młodszy, niepokoiłabym się, ale w tej sytuacji...

- Zraniłaś moje serce, kuzynko! Jakże jesteś okrutna!

- Celestrio, ta suknia jest prawie nieprzyzwoita - oświadczyła starszka. - W moich czasach tylko prostytutki pozwalały sobie na tak głębokie dekolty. Taki strój może sprowadzić na ciebie wyłącznie kłopoty...

- Ale ja uwielbiam kłopoty, babciu!

- W towarzystwie doświadczonego mężczyzny kłopoty bywa/ą bardzo przyjemne. - Humphrey zaczął się pocić.

- Twój wygląd to deklaracja, która jest w stanie wywołać nieprzychylny komentarz - ciągnęła Elizabeth. - Należysz do rodziny Montague i powinnaś zachowywać się w bardziej dyskretny sposób. Popatrz na swoje kuzynki, ich suknie są eleganckie i zupełnie stosowne... Zaszczepiłam Penelope świadomość tego, co moralne, a co nie, i cieszy mnie, że przekazała ten zmysł swoim córkom. Twój ojciec został wychowany w tym samym duchu, moja droga, ale cóż, skoro poślubił twoją matkę... Amerykanie nie mają za grosz wyczucia i nic nie da się na to poradzić! Celestria się roześmiała, a Humphrey mrugnął do niej nad starannie ufryzowaną siwą głową Elizabeth.

- Uwielbiam Amerykanów - powiedział. - Twoja matka to zachwycająca kobieta, Celestrio. Szczerze mówiąc, zamówię sobie chyba taniec z Pamelą, zanim inni wszystkie zarezerwują. Z tobą także chciałbym zatańczyć, moja droga. Obiecujesz uszczęśliwić starego brzydala?

- Oczywiście - skłamała gładko Celestria.

Na samą myśl o bliskim kontakcie z tym wzdętym, dymiącym od potu brzuchem krew ścinała jej się w żyłach.

Humphrey pośpieszył do namiotu na poszukiwanie Pameli, Celestria była jednak przekonana, że wyprawa ta skazana jest na niepowodzenie. Nie miała cienia wątpliwości, że Pamela odrzuci propozycję Humphreya, jeszcze zanim ten zdąży dokończyć zdanie. Tacy mężczyźni jak Humphrey tylko irytowali matkę, która była przecież białą tygrysią, pełną pogardy dla dzikich wieprzy zajmujących znacznie niższą pozycję w łańcuchu pokarmowym.

- Zaraz podprowadzę cię do krzesła, babciu. - Celestria pragnęła jak najszybciej pozbyć się babki i wmieszać między gości, którzy przybywali już coraz tłumniej.

- Przynieś mi popielniczkę - poleciała Elizabeth. - Chciałabym zapalić.

Usiadła sztywno, oparła łaskę o stół i zaczęła szukać w torebce papierosów. Elizabeth zawsze wtykała papierosy do cygarniczki z kości słoniowej, którą ojciec przywiózł jej z Indii na dwudzieste pierwsze urodziny. Kiedy Celestria poszła po popielniczkę, kelner podsunął starszej pani ogień i postawił na stole przed nią kieliszek z szampanem. Celestria odwróciła się już w stronę babki, gdy nagle kątem oka zauważyła wyjątkowo przystojnego mężczyznę. Znieruchomiała na moment, starając się nie rozchyłać ust, jak miała to w zwyczaju Melissa. Obiekt jej zainteresowania nie widział jej, zajęty rozmową z Danem Wilmotte'em, który teraz znacznie stracił na atrakcyjności. Obaj śmiali się serdecznie, odchylając do tyłu głowy, jak zwykle robią pozbawieni trosk ludzie. Nieznajomy miał mocno zarysowany podbródek, co szczególnie spodobało się Celestria. Kącik jego warg był z jednej strony mocniej uniesiony, nos garbaty, a ciemnobrązowe włosy, dość długie i opadające na czoło, sugerowały przyjemną arogancję. Jego urok dotarł do Celestria z przeciwnej strony namiotu, trochę jak sygnał latarni morskiej do statku, wskazujący ląd, a jednocześnie ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Dziewczyna natychmiast pozwoliła mu się oczarować, chociaż wygląd i sposób zachowania obcego zapowiadał mnóstwo kłopotów. Ciepłe uczucie podniecenia popęzło w górę jej kręgosłupa niczym wygrzany na słońcu wąż.

- Celestrio!

Odwróciła głowę i napotkała rozwścieczone spojrzenie babki, obok której teraz pojawiło się dwóch starszych mężczyzn. Elizabeth w wyciągniętej przed siebie ręce trzymała papierosa, z którego końca osypywał się popiół.

- Moja wnuczka jest nieznośnie roztargniona - oświadczyła, z dezaprobatą wydymając wargi.

Celestria szybko podsunęła szklaną popielniczkę pod papieros, żeby staruszka mogła strząsnąć popiół, i postawiła ją na stole. Wyraz zachwyty, malujący się na twarzach towarzyszy Elizabeth wyraźnie świadczył, że jej roztargnienie bynajmniej im nie przeszkadza. Ku ich nieskrywanemu rozczarowaniu Celestria nie zaczęła, aż babka im ją przedstawi, lecz bez słowa odwróciła się na pięcie, szukając wzrokiem przystojnego nieznajomego.

Mogła zgadnąć, że sam ją odnajdzie. Atrakcyjni mężczyźni zawsze szukali jej towarzystwa.

- Witaj, Celestrio! - zawołał Dan i objął ją niczym stary przyjaciel.

Gdyby Celestria nie widziała jego towarzysza, z pewnością chętnie przyjęłaby te oznaki serdeczności, teraz jednak z pewnym zakłopotaniem poklepała go po ramieniu, nie chcąc go zranić i upokorzyć.

- Pozwól, że przedstawię ci Rafferty'ego - powiedział Dan. Rafferty ujął jej dłoń i uniósł do ust, ani na moment nie przestając patrzeć jej prosto w oczy. Celestria była oczarowana.

- Bardzo mi miło cię poznać, Rafferty - odparła. Rzuciła mu spojrzenie spod rzęs, które powinno zniewolić jego serce, i umiejętnie podkreśliła leciutki amerykański akcent, z jakim mówiła.

- Jesteś Amerykanką! - zdziwił się, uwalniając jej dłoń.

- Moja mama jest Amerykanką, ja jestem Angielką - oświadczyła Celestria, ciesząc się egzotyczną nutą połączenia dwóch kultur.

- Ja jestem Irlandczykiem, pochodzę z hrabstwa Cork. To moja pierwsza wizyta w Kornwalii.

- Rafferty zatrzymał się u nas - wyjaśnił z uśmiechem Dan.

- Dan, mój drogi, mógłbyś mi przynieść kieliszek szampana? - Celestria na moment oparła obleczoną w rękawiczkę dłoń na ramieniu młodego mężczyzny.

Dan z entuzjazmem stuknął obcasami wypolerowanych czarnych półbutów i zaczął przedzierać się przez tłum w kie-

runku stołu, na którym Julia poleciła ustawić alkohol. Rafferty uśmiechnął się porozumiewawczo, dając Celestii do zrozumienia, że przejrzał jej plan, dziewczyna nie widziała jednak powodu, by się zarumienić.

- Mieszkasz tutaj? - spytał Rafferty. - Urzekające miejsce...

- To rodzinna siedziba. Wszyscy zwałamy się stryjowi Archiemu na głowę prawie na cały sierpień. Przez pozostałą część roku mieszkam w Londynie, przy Belgravia Square. Znasz trochę Londyn?

Rafferty roześmiał się z niedowierzaniem.

- Widzę, że uważasz mnie za prowincjusza!

- A jesteś nim? Bo wiesz, czasami trudno się zorientować...

- Studiuję na wydziale prawa w Oxfordzie, więc spędzam sporo czasu w Londynie.

- Zatrzymujesz się u Wilmotte'ow?

- Tak, to starzy przyjaciele moich rodziców... Rozleniwione spojrzenie Rafferty'ego zatrzymało się na moment na piersiach Celestii.

- Jesteś bardzo piękna... - zamruczał.

Zauważyła, że jego oczy mają niezwykle odcień zieleni. Były koloru mchu.

- Dziękuję - odparła cicho.

- Na pewno stale to słyszysz...

- Komplementy nigdy nie są nudne.

- Nie czerwienisz się, a to znaczy, że otrzymujesz ich za dużo!

- Chciałbyś, żebym się zaczerwieniła?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo wtedy uznałbym, że jednak mam jakąś szansę... Roześmiała się, niepewna, czy kpi z niej, czy nie. Rafferty

patrzył na nią spokojnie. Wytrzymała żar jego spojrzenia, usiłując odgadnąć, co kryje ciemna zieleń źrenic. Rozgrzany wąż znowu popętał w górę jej kręgosłupa. Nagle tuż obok nich pojawił się Dan z kieliszkiem szampana w ręku i cudowne napięcie rozwiało się jak mgła.

Celestria miała nadzieję, że przy kolacji będzie mogła siedzieć obok Rafferty'ego, a na razie dalej prowadziła z nim i z Danem lekką, frywolną rozmowę, starannie maskując wibrujące pożądanie. Rafferty patrzył dziewczynie w oczy dłużej, niż wypadało, a raz czy dwa jego palce musnęły skórę jej przedramienia, powodując lekkie drżenie mięśni w dole jej brzucha. Przypomniała sobie niezwykle odczucia, jakie budziły w niej palce Aidana Cooneya, i nagle zakreśliło jej się w głowie z podniecenia. Ksiądz Miles Dalglish obserwował Celestrię z drugiej strony namiotu. Otoczony starszymi paniami, z zachwytem korzystającymi z możliwości zamienienia paru zdań z przystojnym nowym proboszczem, nie potrafił zapanować nad wzrokiem, który wciąż wędrował nad głowami gości w stronę dziewczyny, zajętej rozmową z dwoma młodymi mężczyznami. Jej uroda zapierała dech w piersiach. Rozbrzmiewające wokół niego głosy połączyły się, tworząc przyciszony szum jakby bzyczenia komarów. Ksiądz Miles powtarzał sobie, że jego reakcja na urodę Celestii jest całkowicie naturalna i że Bóg zsyła mu tę próbę, aby oparł się pokusie i wyszedł zwycięsko z walki. Jestem kapłanem, powtarzał sobie w myślach, ale także mężczyzną. Szatan może mnie kusić, lecz ja nie ulegnę.

- Powiedziałałam mojemu wnukowi, że nie ma sensu chodzić na mszę tylko raz na jakiś czas, bo człowiek musi wypełniać świąteczny obowiązek! To oczyszcza duszę, prawda? Zupełnie nie rozumiem, co dzieje się z tymi młodymi ludźmi...

- Faktycznie... - Ksiądz niepewnie pokiwał głową.

Inne starsze panie skwapliwie przytaknęły, dodając swoje własne historie, lecz ksiądz Miles nie udzielił im żadnych rad. Jego myśli błądziły gdzie indziej, a posiane w sercu ziarno zaczęło kiełkować. Nagle ścianami namiotu szarpnął gwałtowny podmuch wiatru. Płótno załopotowało, liny naprężyły się, o dach zagrze-

chotały szybkie, mocne uderzenia. Oczy wszystkich spoczęły na płóciennym suficie, który przyjął na siebie wściekłą ulewę. Julia gorączkowo paliła papierosa, maskując zdenerwowanie pogodnym, beztróskim uśmiechem. Pamela wyraźnie delectowała się dramatyzmem sytuacji, stojąc w samym środku grupy swoich wielbicieli i otulając ramiona etolą z nerek.

- Mam nadzieję, że wichura nie porwie namiotu i nie zawlecze go do morza - odezwała się Celestria.

- Jeżeli ulewa nie ucichnie, nie będziemy mogli wrócić do domu - zauważył z zadowoleniem Dan. - Będziemy musieli zostać w Pendrift na noc...

- Och, to by było zabawne! - zawołała Celestria, ucieszona perspektywą przecignięcia balu aż do rana.

- W takim razie wypijmy za burzę - zaproponował Rafferty. - Niech trwa całą noc! Niech grzmi i ryczy jak smok! Trochę przypomina mi to okres nalotów...

Naturalnie żadne z nich nie pamiętało zbyt dobrze wojennych lat.

Rafferty utkwiał w Celestria ciemnozielone oczy, a kąci jego ust zadrgały w łobuzerskim uśmiechu. Dziewczyna uniosła kieliszek.

- Za burzę! - powtórzyła uwodzicielskim tonem. - 1 za nowych przyjaciół! Lubię poznawać ludzi!

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie księdza Milesa, który w skupieniu przypatrywał się jej zza okularów. Uśmiechnęła się, a duchowny zaczerwienił się, zażenowany i pełen poczucia winy. Uniósł kieliszek z cytrynowym likierem w nieco niezgrabnym geście, a potem szybko odwrócił się do swoich parafianek, usiłując połączyć w całość oderwane fragmenty rozmów i przekonująco odpowiedzieć na pytania.

Ku wielkiemu rozdrażnieniu Celestria, Julia wyznaczyła jej miejsce obok Dana, nie Rafferty'ego. Wybaczyła ciotce wyłącznie dlatego, że to właśnie Dan poznał ją z tajemniczym Irlandczykiem. Po drugiej ręce miała Humphreya, którego twarz była niemal zupełnie fioletowa z podniecenia wywoła-

nego widokiem atrakcyjnych kobiet i wypitym alkoholem. Celestrię przeszył dreszcz obrzydzenia. Sądząc po szerokości uśmiechu Humphreya, kuzyn babki był niewątpliwie zachwycony miejscem, jakie mu przydzielono.

- Ach, Celestrio! - wykrzyknął, opierając rękę na pupie sąsiadki. - Piękna Celestrio! - poruszył palcami i wydał teatralny jęk. - Co ty ze mną wyczyniasz, niegodziwa dziewczyno!

Celestria usadowiła przedmiot jego pożądania na krześle i przykryła kolana serwetką. Miała właśnie w bardzo nieuprzejmy sposób zareagować na zachwyty Humphreya, kiedy jej wzrok zatrzymał się na sąsiednim stole, gdzie siedzący obok Melissy Rafferty dawał jej jakieś znaki. Melissa promieniała radością, natomiast Rafferty rzucił Celestria zrozpaczone spojrzenie, w odpowiedzi na które dziewczyna uniosła oczy ku niebu. Było dla niej oczywiste, że doskonale rozumie się z Raffertym i że chwilowe rozdzielanie bynajmniej im obojgu nie zaszkodzi. Jestem pewna, że wolałby siedzieć obok mnie, pomyślała z radością i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej w ten sam sposób, jak zwykle unosząc wyżej jeden kącik ust. Celestria znowu uśmiechnęła się radośnie. Och, jak cudownie jest być zakochaną, pomyślała.

Ksiądz Dalgleish nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie. Kiedy stawał przed wypełnionymi parafianami ławkami w kościele, błyszczał, rzucał cytatami z dzieł ojców Kościoła i klasyków z taką łatwością, jakby łacina była jego ojczystym językiem, i napełniał wszystkich entuzjastycznym pragnieniem doskonalenia charakteru i wyzbywania się grzesznych skłonności. Właśnie dlatego biskup, mimo stosunkowo młodego wieku i braku doświadczenia, powierzył mu parafię Pendrift wraz z dwoma sąsiednimi. Ksiądz Miles posiadał charyzmę, dzięki której inspirował ludzi, stymulował ich, zachęcał do działania i smarował olejem zardzewiałe ogniwa ich wiary, kiedy jednak przychodziło do codziennych rozmów i zwyczajnych spraw, bardzo często miał uczucie, że ktoś posadził go za szklaną taflą, która uniemożliwia mu nawiązanie kontaktu z parafianami. Denerwowało go to, uznawał jednak wagę zadania, jakie postawił przed nim Bóg. Teraz, siedząc pomiędzy Penelope Flint i pełną wigoru sześćdziesięcioparoletnią nieznajomą, po raz setny przypominał sobie, że jedyną metodą poprawienia umiejętności komunikowania się z ludźmi jest stosowanie ich w praktyce. Widział,

jak Celestria zajmuje miejsce przy stole pod przeciwległą ścianą namiotu i jego serce wypełniło uczucie gorzkiego rozczarowania. Jakże pragnął siedzieć tuż obok niej... Nagle kątem oka dostrzegł własne stopy i żołądek skurczył mu się z przerażenia. Na jednej nodze miał czerwoną skarpetkę, na drugiej zieloną. Pośpiesznie ukrył je pod długim obrusem, w ostatniej chwili unikając badawczego spojrzenia Penelope. Szczerze wstydził się swego roztargnienia.

- Twoja babka ma rację, Celestrio. W takiej sukience dosłownie prosisz się o kłopoty, ale przecież ty lubisz kłopoty, jak sama powiedziałaś... Uwielbiasz je, prawda, złotko?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Humphrey - odparła Celestria. - Chyba szampan uderzył ci do głowy...

Czuła, jak dłoń kuzyna Elizabeth mocno ściska jej kolano.

- Mnie nie oszukasz - szepnęła.

- Dlaczego miałabym cię oszukiwać?

- Bo wyglądasz jak niewiniątko, a w gruncie rzeczy jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką, może nie?

- Teraz zaczynasz mnie nudzić - westchnęła ze znużeniem. Ręka Humphreya nadal obmacywała jej kolano.

- Wyczuwam nieskromność w dziewczynie, wiesz? Mam węch jak pies, słowo daję... Lubisz pieszczoty, co? Cóż, w naszej rodzinie to rzecz normalna... Twoja babka także lubiła sobie pofiglować, gdy była młoda. Pod względem urody nigdy nie mogłaby się z tobą równać, ale była seksowną bestyjką... Jako jej kuzyn nie miałem prawa do pieszczot, to chyba jasne, ale ty, ty...

Celestria poczuła na policzku jego gorący oddech.

- Lubisz cielesne przyjemności, prawda? Tak jest, zmysłowa z ciebie kobietka, bez dwóch zdań...

Palce Humphreya powędrowały wyżej po udzie dziewczyny.

- Nic nie podoba ci się tak jak dotyk męskiej dłoni, co? Ach, ty kokietko...

- Gdzie się podziały twoje dobre maniery, Humphrey? -zapytała głośno Celestria. - Chyba trochę się zapominasz, nie wydaje ci się?
Zauważyła, że zwróciła uwagę kilku osób, między innymi swego kuzyna Davida.

- Co powie babcia, jeśli szepnę jej, że trzymałeś rękę na moim udzie?
Humphrey pośpiesznie wycofał dłoń i położył ją na stole.

- Wszystko w porządku, Celestrio? - zagadnął przez stół David.

Uśmiechał się, ale w jego oczach pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Pożartowaliśmy sobie trochę, ot i wszystko, czyż nie tak, złotko? - zarechotał Humphrey.

- To ty tak uważasz - rzuciła ostro Celestria.

Znowu pochwyciła spojrzenie Rafferty'ego. Miała nadzieję, że widział błędzącą rękę Humphreya, ponieważ jej zdaniem zawsze dobrze było poruszyć męski zmysł rycerskości. W każdym mężczyźnie krył się cień rycerza w lśniącej zbroi. Zrobiła minę uciśnionego niewiniątka i wzniosła oczy do nieba, potem zaś odwróciła się do Dana i podjęła rozmowę.

Wiedziała, że zaraz po kolacji znowu znajdzie się na parkiecie, w opiekuńczych ramionach Rafferty'ego.

Celestria zwykle konała z nudów w trakcie oficjalnych przemówień, lecz tego wieczoru nie widziała powodu do narzekań. Dan był sympatycznym towarzyszem, choć o Humphreyu z pewnością nie dało się tego powiedzieć. Pijany i rozentuzjasmowany, coraz częściej błędził palcami po jej udzie, zdecydowany do maksimum wykorzystać rzadką okazję, jaką dawało mu uwięzienie dziewczyny przy stole na cały czas trwania kolacji. Celestria wiedziała, że jeżeli poskarży się na niego babce, ta tylko powtórzy swoją wcześniejszą uwagę o niestosownym stroju. W myśli wyraźnie słyszała głos star-

szej pani: „Moja droga, gdybyś włożyła choćby odrobinę bardziej dyskretną suknię, biedny Humphrey nie uległby pokusie,..”.

Kiedy jej stryj ujął mikrofon, dłoń Humphreya znowu spoczęła na udzie Celestii. To przeważyło szalę, nie zamierzała znosić obrzydliwych zalotów ani chwili dłużej. Podczas gdy Archie przeprowadzał próbę mikrofonu, lekko stukając palcem w metalową siatkę, poszukała schronienia w małym salonie. Czowała na sobie spojrzenie gorących oczu Rafferty'ego i miała nadzieję, że pójdzie za nią.

W salonie panowała cisza, tylko deszcz cicho szumiał za zasłonami.

Kilku kelnerów szybkim krokiem przemierzyło pokój, niosąc tace z dzbankami kawy i filiżankami, i mamrocząc: „Dobry wieczór panience”.

Celestria wzięła tak głęboki oddech, jak pozwalał jej gorset sukni, i wyrzała do holu. Rafferty najwyraźniej nie zamierzał za nią podążyć.

Była rozczarowana, rozumiała jednak, że ktoś mógłby uznać jego nagłe zniknięcie za oznakę braku szacunku wobec stryja Archiego, nie wspominając już o siedzących obok Rafferty'ego damach, z których jedną była kuzynka Melissa...

Splotła ramiona z przodu i wysunęła dolną wargę, kołysząc biodrami, aby sprawdzić, czy spódnica jej sukni tańczy.

- Psssst! - dobiegło ją syknięcie od strony schodów. Harry, Wilfrid, Sam i mały Bouncy siedzieli na podeście

u szczytu i wyglądali przez szpary między drewnianymi kolumnkami.

- Co wy tam robicie? - zawołała Celestria, uśmiechając się wesoło.

Nigdy nie widziała bardziej uroczego wianuszka zaróżowionych dziecięcych twarzy. Chłopcy mieli na sobie piżamy, a ich włosy rozdzielone były na środku równiutkimi przedziałkami, niewątpliwie wykonanymi przez nianię.

- Sssspegujemy! - wyznał głośno Bouncy.

Zacinał się i seplenił bardziej niż zwykle, ponieważ był bardzo zmęczony.

Pomyślała, że pewnie pierwszy raz o tak późnej porze nie leży jeszcze w łóżku.

- Nie powinieneś już spać, Bouncy? - zapytała, wspinając się na schody i dołączając do chłopców.

- W takim hałasie nie da się spać - poskarżył się szczerze Wilfrid. - Namiot stoi tuż pod naszymi oknami!

- I chcemy popatrzeć na tańce! - oznajmił Harry.

- Ssssspiegujemy - powtórzył Bouncy, którego duże brązowe oczy były rozszerzone z podniecenia.

- Niania wie, że tu jesteście?

- To nie moja niania! - oznajmił buntowniczo Harry.

- Ani nasza! - dorzucił Sam. - Niania zajmuje się Boun-cym!

- Słyszycie deszcz? - odezwał się Wilfrid. - Jak głośno stuka o szyby...

- Będzie grzmiało? - zapytał Sam.

- Na pewno! - Jego starszy brat z przekonaniem pokiwał głową. - Będą waliły pioruny i będzie się też błyskało. Mam nadzieję, że nie boisz się grzmotów i błyskawic, Bouncy?

Malec rzucił mu niespokojne spojrzenie.

- Wiesz, co to grzmot?

Bouncy wsunął sobie palec do ust i przytaknął.

- To tylko rozszoszczone chmury kłóca się między sobą! - wyjaśnił odkrywco Wilfrid. - Nic więcej! Więc nie ma się czego bać, rozumiesz?

- Założę się, że deszcz zaleje nasze pułapki - narzekał Harry.

- Razem ze szczurami, jeżeli macie szczęście - wtrąciła Ce-lestria. - Będziecie mogli zanieść je Cyrilowi, a on hojnie wam zapłaci!

- Fajny jest taki bal? - zagadnął Harry z nutką zazdrości w głosie.

- Bardzo, ale teraz zrobiło się trochę nudno, ponieważ stryj Archie i nasz tata mają wygłosić przemówienia. Tu jest o wiele zabawniej, mówię wam... - Przeczesła palcami gęste włosy Bouncy'ego. - A jeśli o ciebie chodzi, młody człowieku, to chyba najwyższy czas, żebyś poszedł spać. Jest już strasznie późno. Co powie niania, kiedy cię tu znajdzie?

- Nie zzzznajdzie mnie, bo się sssschowam! - uśmiechnął się szeroko Bouncy.

Kąciki ust Celestria zadrżały. Nie można było nie uśmiechnąć się w odpowiedzi na psoty Bouncy'ego. Schyliła się i pocałowała zaróżowiony policzek małego.

- Zmykaj do łóżka, skarbie, dobranoc!

Gdy zbiegała po schodach na dół, chłopcy patrzyli, jak spódnica sukni wzdyka się wokół jej nóg niczym rozłożony spadochron.

Czekała na sofie w salonie jak cierpliwa lwica na swego partnera, tylko jednym uchem słuchając najpierw Archiego, potem swego ojca, którzy przemawiali dość długo, wyraźnie zachwyceni brzmieniem swoich głosów, zagłuszających szum ulewy. Wygodnie oparła się na poduszkach i wyobrażała sobie, że tańczy z Raffertym.

Do pokoju zajrzał Soames.

- Wszystko w porządku, panienko Celestrio? - zagadnął.

- Oczywiście, Soames. Dolega mi tylko ostra nuda, nic, czego nie wyleczyłaby muzyka i taniec...

Kiedy przemówienia wreszcie dobiegły końca, pobiegła do łazienki, aby sprawdzić, czy dobrze wygląda, gotowa spędzić romantyczne chwile w ramionach swego nowego przystojnego wielbiciela.

Wielkie nadzieje obróciła jednak wniwecz Melissa, którą Celestria znalazła stojącą przed lustrem, w stanie nadzwyczajnego podniecenia.

- Zakochałam się! - westchnęła Melissa, wpatrzona w odbicie swojej zarumienionej twarzy.

Celestria zauważyła rozluźnione mięśnie dolnej szczęki kuzynki i w myśli surowo przykazała sobie, aby nigdy nie dopuścić się podobnego zaniedbania.

- W Raffertym? - spytała, nie zamierzając bawić się w udawanie niewiedzy.

- Znasz go? - zdziwiła się Melissa.

- Poznałam go przed kolacją. To przyjaciel Dana. Twarz Melissy rozjaśnił uśmiech.

- Dan bardzo ci się podoba, prawda? Lotty mi o tym powiedziała...

- Nie bardzo - odparła niedbale Celestria. - Jest miłutki, ale raczej jednak nie w moim typie...

- Rafferty obiecał mi pierwszy taniec - wyznała pośpiesznie Melissa.

- Może drugi obieca mnie.

Melissa z rozpaczą zacisnęła wargi. Doskonale zdawała sobie sprawę, że rywalizacja z Celestrią nie ma najmniejszego sensu.

- Och, słyhać już muzykę! - zawołała.

Siłą powstrzymała napływające jej do oczu łzy i wybiegła z łazienki.

- Dlaczego Melissa płakała? - zapytała Pamela, która wpadła na chwilę, żeby przypudrować nos i nałożyć świeżą warstwę szminki. - Na pewno przez jakiegoś mężczyznę. Zawsze chodzi o mężczyznę...

- Zakochała się w Raffertym.

- W kim?

- W Raffertym. To Irlandczyk, przystojniejszy, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Przyjechał z Danem Wilmotte'em.

- Najwyraźniej nie jest to ktoś z jej poziomu łańcucha pokarmowego... - Pamela położyła małą torebkę na marmurowym blacie i wyjęła z niej złotą puderniczkę.

- Rafferty jest lwem - obwieściła dumnie Celestria. Matka staranie omiotła nos puszką.

- Teraz rozumiem, skąd te łzy... Biedna Missy, nie powinna stawiać sobie poprzeczki aż tak wysoko, bo tylko posiniaczy się przy upadku. Nie wątpię, że poczułaś sympatię do Rafferty'ego...

- Cały wieczór robił do mnie słodkie oczy.

- Co za beczelność... - westchnęła Pamela.

- Zachęcałam go do tego, mamó.
- Czy to aby na pewno rozsądne? Nic o nim nie wiesz...
- Jest zachwycający i uroczy!

Pamela wsunęła puszek do puderniczki i zamknęła ją z trzaskiem.

- To jeszcze nie znaczy, że posiada cechy, które czynią go godnym ciebie.
- Jeśli chodzi ci o pieniądze, to nic nie wiem o jego finansach - mruknęła Celestria.

- Nie jestem aż tak merkantylnie nastawiona do życia, kochanie...

Wolałabym się raczej dowiedzieć, czy to dobry człowiek. Czy jest lojalny? Uczciwy? Czy cię szanuje? Czy też ugania się za tobą tylko po to, żeby na chwilę zawlec cię gdzieś w krzaki?

- Ależ, mamó, naprawdę! Rafferty wcale taki nie jest! W każdym razie tak mi się wydaje...

Przypomniała sobie rozgrzaną do czerwoności dłoń Hum-phreya na swoim udzie i postanowiła opowiedzieć o tym matce.

- Humphrey?! - wykrzyknęła z obrzydzeniem Pamela. -Co za okropność! Rozpustny staruch! Widzisz, skarbie, wszyscy mężczyźni są tacy sami, wszyscy ślinią się na widok apetycznego ciała... Kobieta musi się tylko zdecydować, czy chce im je dać, czy nie...

- Ale przecież nie tata!

- Tata też, kochanie. Właśnie dlatego tak dbam o swoją urodę, że nie chcę oddać go jakiejś młodej laleczce...

Celestria była wstrząśnięta. Nigdy wcześniej nie słyszała, aby matka w taki sposób wyrażała się o ojcu.

- Niedobrze mi się robi na myśl, że tata mógłby zachowywać się tak obrzydliwie jak Humphrey - powiedziała.

- Oczywiście, że tata bardzo różni się od Humphreya, nie powinnaś mieć co do tego najmniejszych wątpliwości! Jest zbyt dobrze wychowany i uczciwy! Nigdy nie zalecałby się w taki sposób do dziewczyny, która mogłaby być jego córką, chociaż muszę przyznać, że lubi sobie poflirtować...

Celestria usłyszała nutę goryczy w głosie matki, która niezbyt pewnie stała przed lustrem, drżącą ręką poprawiając fryzurę. Pamela była lekko wstawiona, co Celestria wydało się dziwne i w ogóle do niej niepodobne.

- Twój ojciec podarował mi ją, kiedy zarobił pierwsze wielkie pieniądze - rzekła Pamela, dotykając brylantowej broszy, przypiętej do gorsetu sukni.
- Powiedział, że musiał znaleźć gwiazdy dość duże i jasne, aby przyćmić blask moich oczu... To uwaga jak najbardziej w jego stylu...

Zaśmiała się cicho. Celestria zauważyła, że gorycz znikła, przegnana ciepłem miłych wspomnień.

- Odparłam wtedy, że nawet mój ojciec nie potrafiłby wybrać lepiej, a Monty był taki dumny... Wiem, że trochę ciążyła mu świadomość, iż ożenił się z dziedziczką wielkiego majątku. Chciał sam zarobić duże pieniądze, stanąć na własnych nogach. Nie przyjął od mojego ojca nic, dosłownie nic, oczywiście poza mną... No i rzeczywiście zrobił majątek... Mój ojciec jest z niego bardzo dumny, chociaż nigdy mu tego nie powiedział. Ach, ci mężczyźni, zupełnie nie radzą sobie z wyrażaniem uczuć...

Celestria w milczeniu wpatrywała się w dwie złączone gwiazdy, lśniące w żółtawym świetle. Wydawały jej się symbolem związku rodziców, świecącego własnym, wyjątkowym blaskiem.

- Czy życie nie byłoby cudowne, gdyby udało się zatrzymać jego bieg tuż przed upadkiem ze szczytu na znacznie mniej przyjemną nizinę? - westchnęła Pamela.

- To znaczy?

- Cóż, życie nie jest usłane różami, nawet z twoim ojcem... Nad małżeństwem trzeba pracować i nieźle się natrudzić, a ciężka praca to nie moja domena...

Drżącą ręką chwyciła ligninową chusteczkę i osuszyła kącik oka.

- Tak czy inaczej, chyba jednak spróbuję... - powiedziała cicho. - Twój ojciec jest wart wysiłku, prawda? Żałuję tylko, że nie spędza w domu chociaż trochę więcej czasu, bo powoli staje się dla mnie obcym człowiekiem...

- Ojciec po prostu za dużo pracuje. - Celestria pokiwała głową. - Może gdybyś z nim porozmawiała...

- Jeśli ktoś ciągle tylko pracuje i nie znajduje czasu na rozrywkę, robi się nudny.

- Tata nie jest nudny!

- Ale jego nieobecność sprawia, że moje życie jest nudne, kochanie. Po wojnie musieliśmy poznawać się od nowa, a teraz czuję, że znowu dzieje się to samo, tylko nie ma już wojny, przez którą nasze oddalenie się od siebie było możliwe do zaakceptowania... Można znieść, że kogoś nie ma, bo walczy za ojczyznę, lecz nie da się usprawiedliwić wiecznej nieobecności pragnieniem zarabiania pieniędzy... Już nie...

Celestria przykryła dłoń matki własną. Nie było jej łatwo rozmawiać w ten sposób o ojcu. Postawiła go na tak wysokim piedestale, że prawie go nie widziała, a już na pewno nie знаła. I nie była gotowa przyjąć do wiadomości, że ideał ma wady.

Wróciły do namiotu, kiedy po niebie przetaczał się pierwszy grzmot.

Zespół muzyczny zaczął grać piosenki Franka Sinatry i sporo par już tańczyło, zachęconych przykładem Archiego i Julii. Celestria dostrzegła Rafferty'ego i Melissę, przytulonych do siebie na parkiecie, była jednak pewna, że Irlandczyk zachowuje się tak wyłącznie z uprzejmości. Ostatecznie Melissę trudno było nazwać pięknnością, prawda?

- Mogę? - usłyszała nagle.

- Dan! - zawołała Pamela. - Jak miło cię widzieć! Kim jest ten przystojny młody człowiek, którego przywiozłeś ze sobą?

- To Rafferty O'Grady, pani Montague.

- Naprawdę jest tak czarujący, jak wszyscy twierdzą?

- Raczej szalony i nieprzewidywalny! - zaśmiał się Dan, nie spuszczać oka z Celestriei. - Wszyscy Irlandczycy tacy właśnie są...

- W takim razie cieszę się, że zostawiam moją córkę pod twoją opieką - powiedziała z naciskiem Pamela.

Uniosła brwi, jakby chciała dać Celestii do zrozumienia, że takie zdanie na ten temat miała od samego początku, i niezbyt pewnym krokiem ruszyła między stolami na poszukiwanie męża. Celestria była zaintrygowana. Miły i przystojny Dan nie mógł się równać z mrocznym, tajemniczym Raffertym. Sama etykieta „szalonego i nieprzewidywalnego” czyniła z młodego mężczyzny zakazany i niezwykle pożądanym owocem.

Wyszli na parkiet i zaczęli tańczyć, chociaż Celestria wcale nie miała ochoty przytulać się do Dana tak, jak Melissa bezczelnie tuliła się do nieszczęsnego Rafferty'ego. Na zewnątrz szalała ulewa, niebo rozdzierały błyskawice. Dziewczyna wyobraziła sobie ryczące morze, którego łwie łapy miotają fale

O brzeg. Zastanawiała się, czy mały Bouncy poszedł spać, jak mu radziła, czy też dalej siedzi u szczytu schodów, przerażony burzą. Zaraz potem kątem oka dostrzegła Rafferty'ego

I wszystkie myśli uleciały jej z głowy.

Udawiała, że taniec z Danem sprawia jej przyjemność. Rafferty nie powinien myśleć, że już ją zdobył, poza tym małe polowanie zawsze działa jak smakowita przyprawa. Toteż tańczyła, a kiedy udawanie przestało ją bawić, wróciła do stołu, wsparta na ramieniu Dana, zadowolona, że stary rozpustnik Humphrey zwolnił miejsce i zniknął gdzieś w tłumie. Dan dolał jej szampana, ona zaś, żeby nie denerwować się oczekiwaniem na Rafferty'ego, pociągnęła spory łyk alkoholu.

- Znakomity szampan! - pochwaliła. - Nalej mi jeszcze, dobrze?

Ostatecznie świętujemy urodziny stryja Archiego! Poczuliby się mocno urażony, gdybym nie wypięła za jego zdrowie!

Dan spełnił prośbę Celestii, którą tego wieczoru wyjątkowo drażniła jego uprzejmość. Przyszło jej do głowy, że wolałaby, gdyby powiedział, że za dużo pije, kazał jej przestać i potraktował ostro i zdecydowanie.

Cóż, wszyscy mężczyźni byli w jej rękach jak ciasto, jak glina... Wypięła jeszcze jeden kieliszek. I jeszcze jeden.

- Nalej mi! - poleciła. - Jeszcze troszeczkę! Za zdrowie jubilata!
Zaczęło kręcić się jej w głowie, lecz Dan znowu bez wahania nalał szampana. Miała już z rozdrażnieniem skarcić go za to, że tak jej pobłaża, kiedy obok nich pojawił się Rafferty z Melissą.

- Mogę prosić panią do tańca? - zapytał z uśmiechem Rafferty.

- Oczywiście! - Dan podniósł się z krzesła. - Jeżeli mnie zaszczyci twoja dama...

Celestria patrzyła, jak Dan ujmuje dłoń Melissy i prowadzi ją na parkiet.

- Celestrio? - odezwał się Rafferty.

Pomyślała, że jej imię nigdy jeszcze nie brzmiało tak pięknie. Wyciągnęła rękę, świadoma, że zdjęła rękawiczki i zaraz poczuje ciepły dotyk jego skóry. Ich palce zetknęły się i gorący jak ogień wąż znowu popęłzył po jej plecach. Stłumiła pełen podniecenia chichot. Bąbelki szampana wciąż łaskotały ją w brzuchu. Rafferty rzucił jej pewny siebie uśmiech, który uznała za diabelsko uwodzicielski.

Gdy znaleźli się na parkiecie, przyciągnął ją do siebie i przycisnął policzek do jej policzka.

- Teraz mam cię wyłącznie dla siebie... - zamruczał. -1 jestem tu, gdzie chciałem być od początku balu...

Celestria była zachwycona. Kołysali się w rytm muzyki, a jej z każdą chwilą coraz bardziej kręciło się w głowie. Nie pamiętała już, ile kieliszków szampana wypila, zresztą niewiele ją to obchodziło.

Dostrzegła tańczących rodziców i nawet mimo mgiełki alkoholu zorientowała się, że nie są szczęśliwi. Ojciec miał surowy, poważny wyraz twarzy, a Pamela wyglądała na smutną i zatroskaną. Celestria zamknęła oczy i wciągnęła w nozdrza korzenny aromat skóry Rafferty'ego. Podekscytowana bliskością ich ciał, zaczęła ocierać się o partnera w leniwym, sennym rytmie, prawie nieświadoma tego, co robi. Bardzo szybko poczuła twardy, namacalny dowód jego podniecenia.
Zdawała

sobie sprawę, że celowe kuszenie mężczyzny może okazać się niebezpieczne, była jednak zaciekawiona i całkowicie pewna władzy, jaką dawała wielka uroda.

- Chodźmy stąd... - szepnął jej do ucha Rafferty i wyprowadził ją z namiotu.

Kiedy szli przez hol, Celestria zerknęła w górę, w kierunku szczytu schodów, gdzie wcześniej ukrywała się czwórka chłopców. Nie dostrzegła nikogo, co znaczyło, że wszyscy poszli już spać.

- Gdzie mnie porywasz? - zaśmiała się, udając, że stawia opór.

- W miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Otworzył drzwi prowadzące do małego salonu i na palcach wszedł do środka. Nie zapalił światła.

- Pachnie spalonym drewnem... - zauważył.

- Rozpaliłam tu dziś po południu w kominku, bo mama nie znosi zimna.

- Nic nie widzę... Gdzie jest kanapa, do cholery?

- Teraz ty musisz pójść za mną. - Ostrożnie poprowadziła go dookoła stolika do kawy, na którym Julia ułożyła albumy z reprodukcjami obrazów i postawiła dużą misę, pełną zbieranych przez lata pocztówek. Rafferty nie tracił czasu. Zrzucił frak i padł na poduszki, pociągając Celestrię za sobą w taki sposób, że znalazła się między jego ciałem i oparciem kanapy. Bez słowa zaczął ją całować. Rozpalony wąż zdążył się już całkowicie obudzić i wędrował po plecach dziewczyny, sprawiając, że przenikał ją jeden dreszcz po drugim, a między udami pulsowało źródło rozkosznego ciepła. Odgłos stukających w okno kropli deszczu nasilał romantyczną atmosferę i serce Celestria wezbrało uczuciem szczęścia. Jego ciepłe dłonie pieściły jej twarz, palce wędrowały po policzkach, szyi, dekolcie i częściowo odsłoniętych piersiach, ona zaś wygięła plecy w łuk, ośmielając go jeszcze bardziej. Rafferty odsunął się na moment i Celestria ujrzała w ciemności szeroki uśmiech na jego twarzy.

- Czarny koń z ciebie, prawda? - wyszeptał.

Gdy zaraz potem przejechał językiem po jej wargach, na jedną okropną sekundę przypomniała sobie Humphreya i jego błędzącą w górę jej uda dłoń. Usiłowała odepchnąć od siebie to wspomnienie i skupić się na Raffertym, który teraz pieścił jej piersi i całował szyję. Jego zarost drażnił jej skórę, mokry język ślizgał się po obojczyku, a wąż pożądania, ochłodzony nieprzyjemną myślą o Humphreyu, znowu stał się gorący. Rafferty chwycił rękę Celestii i pociągnął ją w dół, w miejsce, gdzie najlepiej można było wyczuć jego napiętność. Oplótł jej palcami sztywny drąg między swoimi nogami i jęknął, gdy zaczęła go dotykać.

A więc to jest to, pomyślała Celestria. To jest ta wiecznie domagająca się uwagi rzecz, która płodzi pokolenia, rujnuje reputacje, wszczyna wojny, inspiruje bohaterskie odruchy i pragnienie przygody, odkryć oraz podbojów, ale równie często przyczynia się do upadku wielu błyskotliwych, utalentowanych ludzi. Ten organ był powodem wspaniałych i strasznych przeżyć... Czowała się jak Dalila z nożyczkami w ręku - jeden ruch i byłoby po wszystkim...

- Jesteś piękna... - wymruczał Rafferty.

Nagle zachciało się jej śmiać. Bawiło ją, że mężczyźni aż tak zatracają się w ciałach pięknych kobiet. Aidan Cooney był taki sam - dyszał ciężko, pocił się, poruszał biodrami, szeptał napięte słowa, jakby członek między nogami doprowadzał go do szaleństwa i nie zamierzał przestać, dopóki nie zostanie zaspokojony.

Teraz palce Rafferty'ego wślizgnęły się pod jej spódnicę, delikatnie przemknęły po koronce jedwabnych pończoch i spoczęły na dolnej krawędzi pasa do podwiązek.

- Lubisz to, co? - szepnął, unosząc głowę, aby popatrzeć na nią.

Celestria widziała tylko dwie błyszczące perły tam, gdzie padające spod drzwi światło odbijało się w jego oczach. Palce mężczyzny gładziły skórę jej ud, dopóki nie odszukały koronkowych majteczek. Przypomniała sobie cudowne uczucie,

jakie rozbudziły w niej pieszczoty Aidana, i odrobinę rozchyliła nogi, żeby ułatwić mu dostęp.

- Od pierwszej chwili zorientowałem się, że to lubisz - ciągnął Rafferty. W jego głosie Celestria wychwyciła tę samą nutę pewności i zadowolenia z siebie, jaką wcześniej słyszała u Humphreya. Rozwścieczona jego zarozumiałstwem, mocno zacisnęła uda, unieruchamiając między nimi jego dłonie. Rafferty zaśmiał się, wyraźnie rozbawiony.

- Nie udawaj, że nie jesteś podniecona! Jesteśmy tacy sami, ty i ja... - Próbował uwolnić rękę, ale uda dziewczyny pozostały zaciśnięte. - Daj spokój, piękna, wpuść mnie...

Nawet nie zauważył, że wcale się nie śmiała. Kiedy usiadła, cofnął dłoń.

- Co się stało?

- Wygląda na to, że źle mnie zrozumiałeś. Wziąłeś mnie za puszczałską, a ja jestem dziewicą, oczywiście... - Wygładziła fałdy sukni.

- Nie zamierzałem cię obrazić! - Rafferty sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego.

- Ale uznałeś, że jestem łatwa, tak?

- Pomyślałem po prostu, że moglibyśmy trochę się zabawić...

- To samo powiedział Humphrey!

- Kto to jest Humphrey?

- Obłeśny stary nudziarz, który przez całą kolację trzymał rękę na moim kolanie! - wykrzyknęła ze złością. - No, wydaje mi się, że wystarczy już tej świetnej zabawy!

Przeskoczyła przez jego kolana i, całkowicie trzeźwa i wolna od romantycznych uniesień, ruszyła w kierunku drzwi.

- Czy uraziło cię coś, co powiedziałem? - wykrztusił zdumiony Rafferty.

- Cała ta sytuacja to jedno wielkie nieporozumienie! - odparła, naciskając kłamkę.

Rafferty zerwał się z kanapy, objął ją w talii od tyłu i obsypał pocałunkami jej włosy.

- Nie zamierzałem aż tak się śpieszyć... - jęknął pokornie. - Poniosło mnie, przepraszam! Jesteś piękną kobietą, a ja gorą-cokrwistym Irlandczykiem... Doprowadziłaś mnie do szaleństwa...

- Mnie także poniosło - rzuciła chłodno i otworzyła drzwi. - Zabawiliśmy się trochę, ale to wszystko. Wracajmy na przyjęcie.

Serce kobiety jest niezgłębione i skomplikowane, pomyślała z westchnieniem. Nawet ona sama nie do końca rozumiała, dlaczego tak się zachowała. Opuściła salon poważnie rozczarowana faktem, że jednak wcale nie zakochała się w Raffertym. Cóż, nie mogłaby kochać mężczyzny, który nie darzył jej szacunkiem. Okazało się, że Rafferty nie jest lwem, tylko zwykłym psem w lwiej skórze.

Przechodząc przez hol zauważyła, że w gabinecie Archiego pali się światło, a drzwi są uchylone. Kiedy Rafferty zniknął w namiocie, zawróciła i zajrzała do pokoju wuja.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyła stojącego przy oknie ojca, który wpatrywał się w szalejącą na zewnątrz burzę, jego palce bawiły się dymiącym cygarem. Monty nie usłyszał cichych kroków córki, która znowu poczuła się trochę tak, jakby go szpiegowała. Jego profil był poważny, zaciśnięte usta tworzyły prostą, surową linię. Przez głowę Celestii przemknęła nagle myśl, że ojciec zachowuje się tak, jakby w obecności innych grał rolę pogodnego, zadowolonego z życia syna, męża, ojca i stryja, natomiast w samotności był kimś zupełnie innym. Chwilę zastanawiała się nawet, jaki jest prawdziwy Robert Montague.

Przypomniała sobie niepokojącą rozmowę z matką i niepewność zapała jej dech w piersiach.

Monty odwrócił się i pochwycił jej spojrzenie. Celestria gwałtownie wciągnęła powietrze, ale twarz ojca złagodził już wesoły uśmiech.

- Ach, mój skarbie! - odezwał się, podchodząc do niej i zostawiając za sobą burzę oraz własne ponure myśli. - Zakradłaś się tu cichutko jak myszka! To zupełnie do ciebie niepodobne!

- A ty jesteś strasznie poważny, to też do ciebie niepodobne, tato! Dobrze się czujesz?

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- To chyba najgwałtowniejsza burza w tym roku - rzekł. -Niezwykła jak na koniec lata...

- Wydaje mi się, że coś cię smuci - nie ustępowała Celestria.

Popatrzył na nią z mieszanką zaskoczenia i niepokoju.

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytała.

- Nic mi nie dolega, kochanie - odparł powoli. Dopiero jego uśmiech przekonał ją, że mówi prawdę.

- Wolę, kiedy się uśmiechasz - wyznała.

- W takim razie postaram się, żebyś zawsze widziała mnie uśmiechniętego!

- Gdzie mama?

- Zatańczysz ze mną? - zagadnął niespodziewanie. Celestria nie potrafiła odgadnąć, czy zignorował jej pytanie, czy też go nie dosłyszał.

- Z radością! Jestem jedyną „ślicznotką”, którą możesz wziąć w ramiona bez obaw, że narazisz się na gniew mamy!

Monty obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. Uśmiechnęła się do niego, świadoma, że wino pozbawiło ją ostrożności. Poczowała lekki dreszczyk podniecenia na myśl, że jej słowa wywołały taką reakcję ojca. Pokręcił głową i poklepał ją po ręce.

- Chodź, zatańczmy, zanim powiesz coś, czego później będziesz żałowała - rzekł.

Po pewnym czasie Monty wrócił do gabinetu brata i znowu stanął przy oknie. Pozostali domownicy udali się już na spoczynek. Powietrze wciąż przesiąknięte było zapachem papierosów i wina, który powoli stawał się lekko kwaśny.

W ręku trzymał pustą butelkę po szampanie. Rozpiął kamizelkę i rozwiązał muszkę, tak że luźno zwisała na gorsie koszuli. Deszcz nadal siekł szyby, a wicher zawodził ponuro,

uganiając się po domu. Monty czuł, że nie jest już tym jowialnym człowiekiem, którego wszyscy znali i kochali, lecz mężczyznę prześladowanym przez przeszłość i pustą rzeczywistość przyszłości. Dawno temu obsiał pola swojego życia, nie zastanawiając się, co i kiedy zbierze. Okres wzrostu plonów był przyjemny, ale Monty stracił kontrolę nad dojrzewającymi roślinami. I teraz pozostało mu już tylko jedno wyjście.

6

Rankiem po balu Julia wpadła do sypialni Celestii z twarzą poszarzałą jak zimna owsianka. Zachrypniętym ze zdenerwowania głosem oświadczyła, że Bouncy ego nie ma w jego pokoju i nikt nie widział go od chwili, kiedy późnym wieczorem poprzedniego dnia pozostali chłopcy zostawili go na schodach.

- Ty też go tam widziałaś, tak? - spytała, lecz głos jej się załamał i zaczęła płakać.

Gdy tak stała w drzwiach przygarbiona, z potarganymi, sterczącymi we wszystkie strony włosami, w krzywo zapiętym szlafroku, wydała się Celestii dziwnie drobna i postarzała z niepokoju. Dziewczyna szybko zerwała się z łóżka.

- Powiedziałam mu, żeby poszedł spać - rzekła. Skrzywiła się, czując pulsujący w skroniach ból, ściągnęła szlafrok z wieszaka na drzwiach i ziewnęła głośno.

- I poszedł? - dopytywała się Julia. - Widziałaś, jak szedł do siebie?

- Nie.

- Niania nie wie, co się z nim stało... Mogłabym zamordować tę głupią staruchę za to, że do tego dopuściła... - Julia po-

tarła czoło otwartą dłonią i wzięła głęboki oddech. - No, chyba nic się nie stało... To duży dom, w końcu go znajdziemy...

- Czy Harry i inni nie odprowadzili go do pokoju?

- Jasne, że nie... To przecież tylko mali chłopcy...

- Musimy przeszukać dom od strychu do piwnic! Bouncy musiał się gdzieś schować!

Julia bezradnie potrząsnęła głową.

- Już to zrobiliśmy... Wszyscy go szukają, ale...

- Bał się burzy - przerwała jej Celestria. - Więc na pewno nie wyszedł na dwór!

Nagle pamięć podsunęła jej obraz Bouncy'ego, biegnącego na spotkanie wzburzonych fal i zrobiło jej się niedobrze z przerażenia.

Dołączyła do poszukujących malca i zaczęła od strychu. Zajrzała do wszystkich szaf, kredensów, skrzyń i komód, pod wszystkie łóżka, kanapy i krzesła. Co jakiś czas nawoływała malca, chociaż instykt podpowiadał jej, że nie ma go w miejscach, gdzie szuka. Serce biło jej ciężko, porażone strasznymi możliwościami, które podsuwała wyobraźnia.

Przycisnęła nos do szyby. Deszcz ustał i niebo było jasno-błękitne w niewinnym blasku świtu. Morze szumiało spokojnie. Wciąż zadawała sobie pytanie, czy Bouncy mógł sam pójść na plażę.

Szukali wszyscy, w milczeniu, nie mówiąc o tym, czego bali się najbardziej. Celestrię prześladowała myśl, że Bouncy ego zabrało morze. Porwało, pochłoneło, wciągnęło aż na samo dno, gdzie teraz leżał, nieruchomy i pozbawiony oddechu. Co jakiś czas spotykała bladą jak duch nianię, która wołała swego podopiecznego słabym, drżącym głosem. Nie śmiała spojrzeć staruszce w oczy. Łączyła je ciężka jak głaz tajemnica - obie doskonale wiedziały, jak mało brakowało, aby poprzedniego dnia niania na zawsze straciła Bouncy'ego.

Archie szukał synka w ogrodzie. Co parę kroków przystawał, opierał ręce na biodrach i z rozpaczą potrząsał głową. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że mały chłopiec zniknął w środku nocy.

Celestria zbiegła mokrą ścieżką na plażę. Kamienie raniły jej bose stopy, ale za bardzo się śpieszyła, żeby wracać po buty. Musiała się dowiedzieć, czy Bouncy utonął. Nie mogła nikomu zdradzić, dlaczego podejrzewała, że poszedł nad morze, zresztą sama nie była pewna, czemu tak uważa. Czowała tylko, że coś każe jej biec na plażę i mówi, że odpowiedź kryje się w morzu. Słońce grzało twarz, chociaż było jeszcze bardzo wczesnie. Powietrze po burzy pachniało czystością i wilgotną trawą. Dotarła do skał i rozejrzała się, szukając wzrokiem małego kuzyna. Serce biło jej głucho i mocno, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zaraz wyrwie się zza ciasnej klatki piersiowej. Pusta plaża rozciągała się pod jej wzrokiem, tylko tu i ówdzie mewy dziobały pozostawione przez przyływ muszle. I wtedy nagle zauważyła brak czegoś, o co zawsze zahaczała spojrzeniem. Na plaży nie było łodzi ojca. Zwykle leżała na wydmach, przywiązana do wbitego w piasek kołka. A teraz nie było... W pierwszej chwili pomyślała, że zabrały ją wzburzone fale, lecz wydmy znajdowały się dość głęboko, na piasku zaś widoczne były jeszcze ślady po ciągniętej do wody łodzi. Znikały po kilkuset metrach, co wskazywało, że ktoś spuścił łódkę na wodę zaledwie przed kilkoma godzinami. Pomyślała, że musi jak najszybciej powiedzieć ojcu o kradzieży łodzi. Niewykluczone, że złodzieje zabrali także Bouncy'ego... Pobiegnęła w kierunku domu, potykając się na ścieżce i przełykając łzy przerażenia na myśl, że naprawdę wydarzyło się coś złego. Miała mokre stopy, postanowiła więc wejść do domu przez drzwi prowadzące do spiżarni, pomieszczenia przeznaczonego dla Purdy'ego i do zmywalni. Światło nie było włączone, co uświadomiło jej, że Purdy pewnie jeszcze śpi. W gorączce poszukiwań Bouncy'ego wszyscy zapomnieli o psie. Celestria otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka, czując intensywny zapach psiej sierści. W mrocznym pomieszczeniu ledwo widziała leżącego w koszu Purdy'ego. I dopiero po chwili, kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do przyćmionego światła, ujrzała zwiniętą w kłębek u boku

psa małą postać w koszulce od pizamy zawiniętej aż pod szyję i mocno zaciśniętymi na tkaninie małymi dłońmi. Był to Bouncy. Uczucie ulgi kompletnie ją obezwładniło. Oparła się o ścianę i rozplakała. Purdy otworzył oczy i westchnął. Najwyraźniej nie spał już od pewnego czasu i czekał tylko, aż jego mały przyjaciel wreszcie się obudzi. Chłopczyk nawet nie drgnął, Celestria przykucnęła i pogłaskała go po głowie. Skórę miał ciepłą i jedwabiście miękką. Głębiej wtulił nos w pi-żamkę.

~ Bouncy... - odezwała się cicho.

Mały uniósł powieki i usiadł, zdezorientowany i zaskoczony, lekko marszcząc czoło. Purdy wykorzystał szansę, odsunął się i radośnie zamachał ogonem.

- Bouncy, kochany, co ty tutaj robisz? Wszyscy cię szukamy...

- Bałem się bbbuzy... - odparł Bouncy niepewnie, zwijając koszulkę w kulę i wciskając ją sobie pod brodę. - Gdzie mamusia?

Celestria wzięła go na ręce i pocałowała w skroń. Malec przesiąkł zapachem Purdy'ego.

- Chodźmy jej poszukać - powiedziała. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ucieszy się na twój widok...

Julia była przygotowana na najgorsze. Jej najmłodsze, ukochane dziecko wyszło w nocy z domu i utonęło w morzu. Wcześniej czy później znajdą jego małe ciało, wyrzucone na brzeg. Wyobrażała sobie stojącego w progu policjanta, pogrzeb, małą trumienkę i swoją rozpacz, która pograży ją w wiecznej, nieprzeniknionej ciemności i udręce.

- Ciociu Julio! - zawołała Celestria.

Znalazła ją skuloną na kanapie w holu, otoczoną przez Archiego, Penelope, Melisę, Lotty i śmiertelnie przerażoną nianię.

- Mamusiu! - wykrzyknął Bouncy, wyciągając ramiona do matki.

Twarz Julii otworzyła się jak słonecznik, zanim kobieta ukryła ją w dłoniach, zalewając się łzami radości.

- Bouncy, skarbie! - zaszlochała. - Gdzie ty byłeś, na miłość boską?!
Chwyciła chłopca w objęcia, z całej siły przycisnęła do piersi i zaczęła całować jego czuprynkę.

- Spał w koszu razem z Purdym - wyjaśniła Celestria.

- Z Purdym? - Julia parsknęła śmiechem, nie przestając płakać. - Co tam robiłeś?!

- Bałem się bbbbuzy - powtórzył wcześniejsze wyznanie Bouncy. - Purdy się mną zaopiekował...

- Dzielny Purdy! - zawołał Archie, trochę za mocno poklepując synka po plecach. - Dzielny pies! Mądry, a na dodatek dobra z niego niańka! Lotty, bądź tak dobra, pobiegnij nad staw i zawiadom Davida, że znaleźliśmy Bouncy'ego!

- Pójdę obudzić chłopców - odezwała się cichym głosem niania. - Zostawić Bouncy'ego z panią, pani Julio?

- Tak, dziękuję...

Julia patrzyła chwilę na oddalającą się staruszkę.

- Nianiu! - powiedziała.

Stara opiekunka odwróciła się, z rękami złożonymi jak do modlitwy.

- Tak, pani Julio?

- To nie pani wina, nianiu.

Niania uśmiechnęła się słabo i powoli, ciężkim krokiem ruszyła po schodach na piętro. Celestria pomyślała, że chyba jednak powinna powiedzieć ciotce o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia. Lotty miała rację, niania robiła się już po prostu za stara. Ludzie w jej wieku powinni odpoczywać w domach opieki, a nie zajmować się małymi dziećmi.

Nagle przypomniała sobie o łodzi ojca.

- Gdzie jest mama? - spytała. - Ktoś ukradł łódź taty...

- Jak to? - zdziwił się Archie.

- Nie ma jej na plaży.

- Pewnie porwał ją przyływ, bo po burzy fala była wysoka - rzekł Milton.

Zniknięcie łodzi Monty'ego wydawało się wszystkim mało ważne w porównaniu z tragedią, która groziła im jeszcze przed paroma minutami.

- Nie, ktoś ciągnął ją po plaży do wody, widziałam ślady.

- Powiem o tym twojemu ojcu, kiedy zejdzie na śniadanie - obiecał Archie.

Całkowicie rozbudzony Bouncy z przyjemnością napawał się świadomością, że znowu znajduje się w centrum uwagi bliskich. Siedział na kolanach matki i ze swadą opowiadał

o swojej przygodzie.

Przerwało mu stłumione chrząknięcie. W progu stał Soames w starannie wyprasowanej białej koszuli i fraku, dziwnie niedopasowany do rozczochranych postaci w szlafrokach.

- Śniadanie czeka w jadalni - obwieścił, kiwając głową, wyraźnie zażenowany widokiem pani domu w koszuli nocnej.

Nagle u szczytu schodów pojawiła się Pamela w długim różowym szlafroku, z jasnymi włosami odczesanymi do tyłu

i Poochim pod pachą. Soames odchrząknął ze zmieszaniem i wycofał się dyskretnie.

- Podobno Bouncy się zgubił... - zaczęła Pamela, zaraz jednak uśmiechnęła się z ulgą na widok chłopca, podskakującego na kolanach matki. - Dzięki Bogu, że nic mu się nie stało... Poochi już od paru godzin kręcił się pod drzwiami i drapał podłogę. Psy zawsze wyczuwają, kiedy dzieje się coś złego... No, głupi kundlu, teraz możesz się już uspokoić, Bouncy jest bezpieczny... Gdzie go znaleźliście?

- W koszu Purdy'ego - odparł Milton. - Idę na śniadanie - dorzucił, ruszając w kierunku jadalni, gdzie kucharka ustawiła już podgrzewane półmiski z jajkami na bekonie, grzankami, owsianką i sardynkami. - Po tym balu i pracowitym poranku zjadłbym konia z kopytami...

Archie skinął głową, potwierdzając słowa szwagra.

- Mało brakowało, a zwariowalibyśmy ze zdenerwowania - powiedział. - Czas na śniadanie, kochani! Nie czekajcie, aż wszystko wystygnie!

- Gdzie jest tata? - spytała Celestria matkę, która niespiesznie schodziła po schodach.

- Nie wiem - odrzekła spokojnie Pamela. - Nie widziałaś go?

- Ktoś ściągnął do wody jego łódź. Pamela rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

- Nie wydaje mi się, żeby chciało mu się tak wcześnie wypływać - zauważyła.

- Chyba ktoś ją ukradł - ciągnęła Celestria. - Ślady wyglądały na dość świeże, w każdym razie na pewno zrobione dziś rano...

- Musisz powiedzieć mu o tym, kiedy się zjawi. Nie martw się, kochanie, w najgorszym razie ojciec kupi sobie nową łódź. Ta i tak była już stara i dość zniszczona.

Celestria poszła za matką do jadalni. Archie i Milton siedzieli już przy dużym okrągłym stole i pochłaniali śniadanie. Powietrze pachniało kawą i bekonem, i Poochi zaczął się ślinić.

- Och, jesteś głodny, mój malutki... - zamruczała Pamela, stawiając pieszka na podłodze i delikatnie klepiąc go po łebku. - Może masz ochotę na plasterbek bekonu, co?

Wzięła w palce kawałek bekonu i pomachała nim tuż nad nosem Poochiego. Archie uniósł brwi, patrząc jak mały psiak nadgryza mięso, a potem łyka cały plaster.

- Szkoda marnować tak dobrą wędlinę dla zwierzaka... - Popatrzył znacząco na stojący z boku półmisek z jajkami.

- Poochi był dziś bardzo nieszczęśliwy - westchnęła Pamela, nalewając sobie filiżankę kawy. - Małe pieski są wyjątkowo wrażliwe...

- Jeżeli nie będziesz uważać, Purdy weźmie Poochiego za kawałek bekonu i pożre go na śniadanie!

Pamela nawet się nie uśmiechnęła. Tam, gdzie chodziło o jej ulubieńca, była kompletnie pozbawiona poczucia humoru. Rzuciła szwagrowi chłodne spojrzenie lodowatoniebieskich oczu i przełknęła łyk kawy.

- Ten durny pies nie ma szans z moim Poochim - oświad-

czyła dobitnie. - Poochi jest nieduży, ale potrafi być ostry. Ma zęby ostre jak pazury!

Archie nie zamierzał się z nią spierać.

- Czy wszyscy dobrze się bawili? - zagadnął, kiedy dorośli zajęli już miejsca przy stole.

Celestria zauważyła, że twarz Melissy oblał krwisty rumieniec, sięgający aż do uszu.

- Było wspaniale! - zachwyciła się Penelope. - Okropnie się zaczerwieniłaś, Melisso.

Lotty ze zdziwieniem spojrzała na siostrę i przypomniała sobie, że widziała ją tańczącą z tym niewiarygodnie przystojnym Irlandczykiem, który przyjechał z Danem Wilmotte'em. Celestria nie miała teraz nic przeciwko temu, aby przekazać Rafferty'ego w ręce Melissy, jeżeli tak bardzo jej na nim zależało. Parę chwil pieszczot na kanapie udowodniło jej ponad wszelką wątpliwość, że Rafferty, chociaż całkiem sympatyczny i atrakcyjny, nie jest dość dobry, aby miała się nim dłużej interesować.

- Melissa chyba się zakochała - powiedziała chłodno, zapominając o łodzi ojca.

- Melissa? - Milton odwrócił się do córki. Nieszczęsna dziewczyna nawet nie próbowała zapanować nad zmieszaniem.

- Jest bardzo czarujący... - rzekła cichutko.

- Kto taki? - zapytała Pamela.

- Rafferty O'Grady - wyjaśniła Celestria. - Wyjątkowo przystojny Irlandczyk...

- Twój Rafferty? - zdziwiła się Pamela.

- Wcale nie mój. Tańczyliśmy ze sobą, i tyle. Uroczy młodzieniec, przez cały bal nie spuszczał wzroku z Melissy...

Jej słowa sprawiły Melissie wyraźną ulgę, chociaż krew odpłynęła z twarzy dziewczyny, i była teraz biała jak prześcieradło.

- Cieszę się, że dziewczęta nie kłócą się o mężczyznę - oznajmił pogodnie Archie.

- Och, to dlatego, że nie polują na tę samą odmianę zwie-

rzyny! - zaśmiała się Pamela, wsuwając następny plasterk bkonu do pyszczka Poochiego.

Pamiętała o nieodpowiednim romansie Lotty i miała całkowitą pewność, że Celestria wyjdzie za mąż znacznie lepiej niż córki Pénélope i Milona. Julia zeszła na dół ubrana w białe spodnie i długi jasnoniebieski rozpinany sweter. *Otaczające* jej szyję duże akwamary-ny podkreślały barwę błyszczących radością oczu. Wypiła kawę i pozwoliła sobie na papierosa, co uspokoiło jej nerwy i powstrzymało drżenie rąk. Jak zwykle promiennie uśmiechnięta, zabawiała wszystkich historyjkami z balu. Harry, Wilfrid i Sam wpadli do jadalni z zarumienionymi policzkami, bo przed śniadaniem wybrali się do lasu, żeby zajrzeć do pułapek. Poinformowali obecnych, że ulewa nie spowodowała śmierci żadnego szczura, ale uwięziła je w norach, w rezultacie czego pułapki były puste. Ledwo żywy ze zmęczenia David zasiadł nad talerzem z dużą porcją jajek na bekonie i grzanek, natomiast Lotty i Melissa szeptały sobie coś do ucha, chichocząc i zasłaniając usta dłońmi. Szeroko otwarte oczy Lotty i intensywnie różowe policzki Melissy powiedziały Celestria, że Rafferty z pewnością nie ograniczył się do tańca z jej kuzynką, ale niewiele ją to obeszło. To ona zrezygnowała z przystojnego Irlandczyka, więc jej duma była nietknięta. Rozejrzała się dookoła. W jadalni panowała radosna atmosfera, Julia była szczęśliwa, że przygoda Boun-cy'ego dobrze się skończyła, ale przy stole kogoś brakowało.

- Mamo... - odezwała się Celestria.

- Kochanie, chyba powinniśmy wybrać się dziś do miasta. Nie będziemy przeszkadzać w sprzątanu po balu...

- Gdzie jest tata? Pamela zmrużyła oczy.

- Rzeczywiście, trochę dziwne, że go nie ma... Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. Nigdy nie spóźnia się na śniadanie, ale może on też wpadł na pomysł, żeby pojechać do miasta... Wiesz przecież, że uwielbia pogawędki z miejscowymi...

Celestria pochyliła się nad stołem.

- Stryju Archie, czy tata pożyczał rano twój samochód?

- Nie, kiedy szukałem Bouncy'ego, samochód stał w garażu. Pomyślałem sobie, że to małe diablątko mogło schować się tam w nocy... Komu przyszłoby do głowy, że poszedł spać w koszu Purdy'ego, co?

Celestria ze zniecierpliwieniem postukała palcami o blat stołu.

- Czy nikt nie zamierza nic zrobić?! - wykrzyknęła z oburzeniem.

~ Na twoim miejscu nie martwiłbym się nieobecnością Monty'ego, moja droga - rzekł Archie. - Przyjdzie, kiedy poczuje zapach smażonego bekonu...

- Ale na plaży nie ma jego łodzi! Co niby miałyby robić o tej porze na środku oceanu?

- Może łowić ryby? - uśmiechnął się David. - Kto wie, czy nie naszła go chęćka na świeżego śledzia...

- Nie żartuj sobie! Czuję, że coś jest nie w porządku! Przy stole zapanowała cisza. Wszyscy popatrzyli po sobie, następnie zgodnie utkwili wzrok w Pameli.

- Czy Monty położył się w nocy spać? - zapytał Archie, wycierając resztkę żółtka skórą grzanki.

Nie wydawał się szczególnie zaniepokojony, udawał raczej poruszonego ze względu na bratanicę.

- Oczywiście...

- Był wstawiony?

- Jak my wszyscy, prawda?

- Leżał w łóżku, kiedy się obudziłaś?

- Nie... - Na twarzy Pameli pojawił się nietypowy wyraz zmieszania. - Ale akurat w tym nie ma nic nadzwyczajnego, bo przecież najczęściej budzę się o wiele później niż Monty...

- Moim zdaniem powinniśmy go poszukać! - Celestria podniosła się z krzesła.

- Pomogę ci! - zawołał z entuzjazmem Harry, a jego dwaj kuzyni natychmiast także zgłosili się do pomocy. - Może złapał się w jedną z naszych pułapek...

- To wcale nie jest śmieszne, Harry! - ofuknęła go siostra.
- Wydaje mi się, że mimo wszystko nie mamy powodu do niepokoju - odezwał się Milton. - Monty na pewno nie wpakował się w żadne kłopoty, nie znam rozważni ejszego człowieka... Mógł wybrać się na przechadzkę, żeby do końca wytrzeźwieć po balu i wcale bym się mu nie dziwił. Sam także chętnie wywietrzyłbym głowę z resztek alkoholu, a ty, szwagrze?
- Ja też - przytaknął Archie.
- Obaj mężczyźni wstali od stołu i skierowali się do drzwi.
- Rozejrzemy się za Montym...
- Ty również nie zamierzasz nic zrobić, mamó? - zirytowała się Celestria.
- Idę na plażę sprawdzić, czy nie ma tam taty!
- Och, chyba jednak troszkę dramatyzujesz, kochanie!
- Cóż, ktoś musi go poszukać! Jeżeli wypłynął łodzią w tę burzę, to prawie na pewno utonął. I jak teraz smakuje ci kawa?
- Celestria odrzuciła włosy do tyłu i wyszła z pokoju.
- Zawsze powtarzałam, że to urodzona aktorka - odezwała się Pamela.
- Co za dzień! - westchnęła Julia. - Po balu zostały już tylko śmieci do sprzątnięcia... Tak czy inaczej, warto było, bo Archie bardzo się cieszył, a przecież o to chodziło...
- Dziewczęta też dobrze się bawiły, może nawet za dobrze, jeśli sądzić po rumieńcach Melissy! - zaśmiała się Pamela.
- Są młode - powiedziała Penelope. - Sama do dziś pamiętam swój pierwszy pocałunek...
- Naprawdę? - uśmiechnęła się Julia, strząsając popiół do popielniczki, którą postawił przed nią Soames. - Kto to był?
- Miał na imię Willy - wyznała Penelope z lekceważącym prychnięciem.
- Mam nadzieję, że skończyło się na pocałunku - zauważyła z przekąsem Pamela. - Kobieta nie może mieć zaufania do kogoś, kto nazywa się Willy...*

*** Willy (ang.) zdrobnienie od imienia William, ale także jedno z określeń penisa.**

Celestria szybkim krokiem szła ścieżką na plażę. Harry, Wilfrid i Sam biegli za nią, chociaż nie podzielali jej niepokoju. Monty był najbardziej odpowiedzialnym, solidnym człowiekiem, jakiego znali, bohaterem, który zawsze śpieszył wszystkim na ratunek. Kiedy chcieli zastawić pułapkę, Monty najlepiej wiedział, w jaki sposób to zrobić i gdzie ją umieścić. Jeżeli zamarzyło im się rozbić w lesie obóz, Monty wiedział, jakie drewno nadaje się na szałas i jak uszczelnić mchem szczeliny między gałęziami. Umiał rozpalić ogień hubką i krzesiwem i potrafił wspaniale piec kasztany. Bez trudu trafiał króliki z dużej odległości, sprawnie je oprawiał i piekł na rożnie, był też doskonałym żeglarzem. Kiedyś urządził na swojej łodzi piracki statek i zabrał chłopców na poszukiwanie ociężałych od złota hiszpańskich galeonów. Wszyscy ubrali się wtedy w koszule w pasy, jedno oko zasłonili przepaską i wypili całe morze lemoniady, którą Monty nazwał „rumem”. Nikt nie rozumiał rytmu przyływów i odpływów lepiej od niego, nic więc dziwnego, że nikomu nie mieściło się w głowie, aby ktoś taki utonął w morzu. Celestria wiedziała już teraz, dlaczego morze tak mocno przyzywało ją tego ranka. Nie wołało ją z powodu Bouncy'ego, ale z powodu ojca, którego właśnie pochłoneło. Spokojna gładkość powierzchni to oznaka sytości. Powietrze było wilgotne i słone, promienie słońca grzały twarz, a niebo wydawało się idealnie błękitne, świeżo umyte deszczem. Poranek sprawiał wrażenie doskonałego, lecz Celestria co chwilę kręciło się w głowie ze zdenerwowania.

W chwili, gdy przystanąła pośrodku szerokiej plaży, drobna i wiotka w porównaniu z klifami i skałami, ze wzrokiem utkwionym w morze, pewien rybak, który właśnie wciągał do łodzi sieci, podniósł głowę i ujrzał małą łódź, kołyszącą się tuż pod linią horyzontu.

- Hej, Szyper, widzisz to? - krzyknął do przyjaciela.

Merlin, zwany Szyprem, wyprostował się i pokrytą odciskami dłonią osłonił oczy od słońca.

- Wygląda mi na łódź - odparł powoli.
- Rybacka? - zapytał Trevor.
- Motorowa - odpowiedział Merlin po chwili namysłu. - Jest ktoś na pokładzie?
- Nie, chyba że śpi,.. - Trevor uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dużą lukę w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się dwie górne jedyńki. Stracił je kilka lat wcześniej, w bójce pod gospodą „Snout & Hound”.
- Lepiej sprawdźmy - rzekł Merlin. - Tylko najpierw skończmy z tymi rybami.

Przeładowali ryby z sieci do dużych beczek, rzucały się w nich, z trudem łapiąc oddech i powoli konając. Potem zbliżyli się do motorówki i stanęli burta w burtę.

- A to ci dopiero... - powiedział Trevor, przechylając się i zaglądając do łódki. - Jest pusta...

W zamyśleniu potarł stwardniałą dłonią pokryty zarostem podbródek.

- Ani żywej duszy,.. - zdziwił się Merlin.
- Co się mogło stać?
- Nie wiem, może tego, co nią płynął, zeżarła wielka ryba! - Merlin parsknął śmiechem, rozbawiony własnym dowcipem.

Trevor mu zawtórował. Wszystkie żarty Merlina uważał za bardzo zabawne.

- I co o tym myślisz? - zapytał Merlin, trzęsąc głową.
- Głupi wszarz schlał się i utonął. Patrz, jest nawet butelka! Rzeczywiście, pod ławką przetaczała się butelka po szampanie.
- Zostało coś w środku?
- Nie, wygląda na całkiem pustą.
- A to co takiego?
- Co?
- To złote, obok butelki!
- Trzeba będzie wyciągnąć, nie? - Trevor ostrożnie wgramolił się do malej motorówki, schylił się i podniósł złoty ze-

garek na łańcuszku. - To ci dopiero... - mruknął, obracając go pod słońce.

- Ładny... Kieszonkowy zegarek, picuś glancuś!

- Chodzi?

Trevor otworzył zegarek jak ostrygę.

- Chodzi jak się patrzy! - gwizdnął z uznaniem. - Elegancka rzecz, nie ma co!

- Opowiadałem ci dowcip o eleganckiej damie?

- No, gadaj!

Merlin od razu zaczął się śmiać.

- Chcesz umówić się z damą na randkę... - wykrztusił. - Jeżeli powie „nie”, ma na myśli „może”, jeżeli powie „może”, ma na myśli „tak”, a jeżeli powie „tak”, to nie jest z niej żadna dama!

Trevor odwrócił zegarek i uważnie przyjrzał się złotej kopercie.

- „R.W.E.M.” - przeczytał, mrużąc oczy. - Kto to taki?

- Z takim eleganckim złotym zegarkiem? - Merlin spoważniał. - Tylko ktoś z najważniejszej rodziny w okolicy...

- No, to kto?

- Robert Montague.

Trevor gwizdnął i uniósł brwi.

- O, niechże cię... - wymamrotał. - Musimy wrócić na brzeg i zanieść im złą wiadomość!

- Nie masz pojęcia, jak bardzo złą. - Merlin z ponurą miną pokiwał głową. Już nie chciało mu się śmiać.

7

Kiedy motorową łódź „Princess” doprowadzono do portu Pendrift, ludzie zaczęli gromadzić się na molo, przyciągnięci ciekawością i aurą tragedii. Merlin przycumował motorówkę do pała, a Trevor wyskoczył na brzeg, ściskając w ręku złoty zegarek.

- Co z panem Montague, Szyper? - zawołał ktoś z tłumu. - To jego łódź, jeśli się nie mylę!

Merlin nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Instykt podpowiadał mu, że w pierwszej kolejności powinien zawiadomić rodzinę.

- Nic - odparł ostrożnie. - Łódź się zepsuła, i tyle...

Zgromadzeni ludzie zaczęli mamrotać między sobą i Merlin zrozumiał, że wcale mu nie uwierzyli. Szybkim krokiem ruszył w stronę gospody „Snout & Hound”. Biały budynek z czarnymi belkami i małymi ciemnymi okienkami, obficie ustrojonymi kwiatami, już od ponad trzystu lat witał zmęczonych rybaków i przemytników.

- Potrzebuję skorzystać z telefonu - oznajmił Merlin od progu.

W niewielkiej sali zapadła cisza. Przez snujące się w powietrzu smużki dymu wszyscy widzieli zatroskaną twarz przyby-

sza i czytali z niej, że wydarzyło się coś strasznego. Merlin wolałby porozmawiać z panią Julią w samotności, ale aparat telefoniczny stał na ladzie baru, przy której kilku miejscowych raczyło się wczesnym lunchem. Żaden z nich nawet nie udawał, że nie słucha, a Merlin nie miał ochoty powiedzieć im, aby pilnowali własnego nosa, pomyślał zresztą, że i tak wkrótce o wszystkim się dowiedzą.

- Chciałbym porozmawiać z panią domu - rzekł Merlin, kiedy w słuchawce rozległ się wyniosły głos Soamesa.

- Niestety, pani Julia nie czuje się dobrze i nie może podejść do telefonu.

- A pan Archie?

- Także nie.

- To pilna sprawa, dotyczy pana Monty'ego. Mówi Merlin...

Soames od razu rozpoznał nieco zardzewiały głos Merlina, nie lubił jednak wdawać się w pogawędki z miejscowymi. Nie zamierzał też niepokoić pana Archiego, który zamknął się w gabinecie, ani pani Julii, zajętej nadzorowaniem uprzątnięcia i składania namiotu, usłyszał jednak nutę niepokoju w głosie Merlina i natychmiast skojarzył to z nieobecnością pana Monty'ego na śniadaniu.

- Proszę chwilę poczekać, pójdę poszukać pani Julii - powiedział i odłożył słuchawkę na blat stołu.

Merlin czekał dobre pięć minut. W tle słyszał uwagi kucharki, narzekającej, że po przyjęciu zostało mnóstwo jedzenia.

- Oburzające! - trąkotała kobieta. - Starczyłoby tego dla całej armii! I pomyśleć, że jeszcze niedawno żywność była racjonowana!

W końcu w słuchawce coś zatrzeszczało i odezwał się Soames.

- Pani odbierze telefon w salonie - poinformował. Mikrofon znowu wydał serię trzasków. Kiedy rozległ się

głos Julii, Soames z pewną niechęcią odłożył słuchawkę na widełki.

- Dzień dobry, Merlinie...

- Dzień dobry, pani Julio.
- Co się stało?
- Chodzi o łódź pana Monty'ego... Znaleźliśmy ją dziś na morzu.
- Pana Monty'ego w niej nie było?
- Nie, ale pod ławką był jego zegarek kieszonkowy. Trevor go ma.
- Dobry Boże! - wykrzyknęła Julia. - Zaraz przyślę Archie-go do gospody!

Zawahała się. Merlin widział, że oczy wszystkich obecnych w pubie utkwione są w jego twarzy. Usta mieli rozchylone, oczy wybałuszone z ciekawości. Julia odezwała się cicho, jakby w obawie przed własnymi słowami:

- Nie myśli pan chyba, że wypadł za burzę, co?
- Na dnie leżała butelka po szampanie, pani Julio. Chyba powinna pani powiadomić straż przybrzeżną.
- Dziękuję, Merlinie...

Julia powoli odłożyła słuchawkę, prawie nie śmiejąc oddychać. Jak w transie przeszła przez pokój, nogi ciążyły jej jak w nocnych koszmarach, kiedy czasami śniło jej się, że próbuje uciec przed nienazwanym zagrożeniem. Archiego znalazła w gabinecie.

- Stało się coś okropnego... - Stała w progu, biała jak ściana. - Merlin znalazł na morzu łódź Monty'ego.. Była pusta, jeśli nie liczyć kieszonkowego zegarka Monty'ego i butelki po szampanie.
- Archie zerwał się na równe nogi.

- Cholera jasna! Zaraz zadzwonię do straży przybrzeżnej! Nie sądzisz chyba...

Umilkł. Wyraz oczu Julii wystarczył za odpowiedź. Odwrócił się i chwycił słuchawkę.

- Poproś Miliona, żeby czekał na mnie w samochodzie -rzucił pośpiesznie. - Trzeba natychmiast jechać do portu...

Julia spełniła polecenie męża. Była w stanie myśleć wyłącznie o tych biednych dzieciach. Jeżeli coś złego przydarzyło się Monty'emu...

Celestria wracała krętą ścieżką do domu na czele małej grupki, złożonej z chłopców i Purdy'ego. Harry nie rozumiał jej niepokoju. Miał dwanaście lat i nie potrafił sobie wyobrazić, aby cokolwiek mogło zachwiać jego bezpiecznym światem, rozmawiał więc z kuzynami tak, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Celestrię mdliło ze zdenerwowania. Od chwili przebudzenia czuła, że świat uległ zmianie, jakby w nocy jego oś przesunęła się o parę stopni, pozostawiając wszystko pozornie takie samo, lecz w gruncie rzeczy kompletnie odmienione.

W domu zastała pandemonium. W ogrodzie trwało sprzątanie, natomiast Julia siedziała na tarasie razem z Penelope, Davidem, Melissą i Lotty. Paliła papierosa, a jej twarz była napięta i poszarzała. Serce Celestria na moment przestało bić. Odgadła, czego dotyczyła rozmowa, ponieważ wszyscy mówili przyciszonymi głosami i na jej widok nagle umilkli. Pameli nie było. Nie było także Archiego i Milтона. Kiedy Celestria podeszła, Julia bez słowa potoczyła wzrokiem po twarzach pozostałych.

- Kochanie... - odezwała się w końcu, wstając niepewnie z fotela.

Nie miała pojęcia, jak powiedzieć dziewczynie, że Monty zaginął na morzu i najprawdopodobniej nie żyje.

- Znalezione łódź ojca - podjęła z trudem.

- A tata? - zapytała Celestria, świadoma, że z jej gardła wydobywa się tylko zachrypnięty pisk.

Julia potrząsnęła głową i ponad ramieniem Celestria spojrzała na Harry'ego.

- Co się stało? - Chłopiec wyprostował się i wsunął ręce do kieszeni.

- Tata zginął, mówiłam ci... - jęknęła dziewczyna. Julia objęła ich oboje i mocno przytuliła.

- Znaleźli jego łódź, Harry. Nie było go w środku, ale na dnie leżał jego kieszonkowy zegarek, dlatego sądzimy, że mu-

siał w nocy wsiąść do łodzi... Wasz ojciec zawsze nosi ten zegarek do uroczystego stroju... Nie można też wykluczyć, że upuścił zegarek i nie zauważył tego, a dopiero później ktoś ukradł łódź... Jest to całkiem prawdopodobne... Lotty otoczyła Celestrię ramieniem.

- Straż przybrzeżna już go szuka - powiedziała. - Jestem pewna, że nic mu się nie stało, niepotrzebnie się zamartwiamy...

- Możliwe, że to wszystko ma zupełnie proste wyjaśnienie - przytaknęła Julia.

- Dobrze znam mojego brata i zgadzam się z Julią - odezwała się Penelope. - Monty nie jest człowiekiem, który skakałby do morza, to po prostu nic ten typ! Za bardzo kochał życie...

- Ale co robił w łodzi, i to tak wcześnie rano? - wyjąkała Celestria. - Gdzie mama?

Nikt nie odpowiedział.

- Nic nie wie?

Celestria była wstrząśnięta, ale bynajmniej nie zdziwiona. Wszyscy za bardzo bali się reakcji Pameli, żeby pośpieszyć do niej z taką wiadomością.

- Muszę ją znaleźć... - mruknęła.

Zastała matkę w sypialni, stojącą przy oknie, nadal w szlafroku, Z Poochim w ramionach. Pamela wpatrywała się w morze z takim wyrazem twarzy, jakby już wiedziała, że pochłonęło jej męża.

- Mamo... - odezwała się niepewnie Celestria. - Tata zaginął na morzu...

Znaleźli jego łódkę i kieszonkowy zegarek.

Pamela odwróciła się do córki.

- O czym ty mówisz?

- Tata zaginął. Znaleźli łódź, ale pustą...

- Jesteś pewna?

- Tak. Stryj Archie i Milton pojechali do portu, straż przybrzeżna już zaczęła poszukiwania...

Pamela zalała się łzami.

- Uważają, że nie żyje? - załkała, osuwając się na parapet. -

Nie wierzę w to! Po co miałyby wypływać tą przeklętą łodzią o takiej dziwacznej godzinie?!

- Pokłóciliście się wczoraj w nocy? Pamela rzuciła Celestria oburzone spojrzenie.

- Oczywiście że nie!

- Byliście pijani?

- Nie bardzo...

- Na pewno? - Celestria przypomniała sobie drżące ręce matki i jej chwiejny krok.

- Naturalnie! No, dobrze, Monty był trochę wstawiony, ale nie na tyle, żeby zrobić coś głupiego! Doskonale wiesz, że ojciec nie jest taki! Poza tym, zostawiłby nam przecież jakąś wiadomość!

Drzwi skrzypnęły i obie kobiety odwróciły się z nadzieją, że ujrzą bezpiecznie powracającego Monty'ego, ale w progu stał tylko zmartwiony Harry.

- To prawda? - spytał cicho.

- Nie przejmuj się, skarbie! - zawołała matka, podbiegając do niego i otaczając go obłokiem różowego jedwabiu oraz zapachu tuberozy. - Ojcu nic się nie stało, pewnie siedzi teraz w jakiejś kawiarni w mieście, popija kawę i czyta gazetę! Wiesz, jaki jest! Musimy natychmiast przestać się martwić! Co ojciec sobie pomyśli, kiedy znajdzie nas w takim stanie? Chwyła chłopca w ramiona i przycisnęła upudrowany policzek do jego twarzy.

W porcie Merlin czekał na pana Archiego. Zebrany na molo tłum stał nieruchomo, spragniony informacji. Ludzie mamrotali i starali się odgadnąć prawdopodobny powód zniknięcia pana Monty'ego. Wszyscy zgadzali się, że najpewniej został porwany i uprowadzony, może przez piratów.

Ucichli, kiedy Archie zaparkował swojego rovera przed pubem „Snout & Hound”. W środku nie było ani jednego klienta, nawet kelnerki i sam właściciel przyłączyli się do tłumu na

zewnątrz w nadziei, że dane im będzie zobaczyć przynajmniej zwłoki.

- Dobry Boże... - mruknął Archie do szwagra. - Co się tu dzieje?

Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę molo. Ludzie rozstąpili się, mężczyźni zdjęli kapelusze, żeby okazać im uszanowanie. Archie poznawał większość twarzy, ale nie znał miejscowych tak dobrze jak jego młodszy brat. Mimo swego pochodzenia Monty często z przyjemnością pił piwo i grał w rzutki w lokalnym pubie, śmiejąc się gromko z zasłyszanych dowcipów.

Merlin uchylił kapelusza.

- Tu jest, panie Archie - rzekł poważnie, wskazując łódź. Trevor wysunął się zza pleców przyjaciela i otworzył

dłoń, na której leżał kieszonkowy zegarek. Archie wziął go do ręki.

- Jak znaleźliście łódź? - spytał. Merlin podrapał się po brodzie.

- Łowiliśmy ryby, było koło dziewiątej rano... W powietrzu wisiała jeszcze mgła i dlatego myślę, że pan Monty mógł się zgubić, jeśli wypłynął wcześniej...

Archie skinął głową.

- Trevor pierwszy zobaczył łódź - ciągnął Merlin. - Była daleko od nas, musiała dryfować. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, zorientowaliśmy się, że jest pusta, jeżeli nie liczyć zegarka i butelki...

Archie uniósł brwi.

- Butelki?

Zmrużył oczy i uważnie popatrzył na Medina, który bezradnie wzruszył ramionami. Monty nigdy nie pił dużo. Merlin kiwnął głową i Trevor zeskoczył na pokład, ukląkł, wyjął spod ławki butelkę po szampanie i podał ją przyjacielowi.

- No, tylko popatrzcie! - zawołał, podnosząc butelkę, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. - W środku jest kartka!

- List w butelce? - z niedowierzaniem zapytał Milton. - To chyba jakiś żart...

- Jeżeli żart, to w złym guście. - Arenie ogarnął wzrokiem tłum ciekawskich.

Wziął butelkę i usiłował wytrząsnąć z niej kartkę, lecz okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał.

- Trzeba będzie ją rozbić, panie Archie - poradził Merlin.

Miejscowi zaczęli się niecierpliwić, szemrali z niezadowoleniem.

Niektórzy przypuszczali, że w butelce jest wiadomość od porywacza albo żartobliwy list od samego Monty'ego. Wszyscy wiedzieli, że Monty uwielbiał żarty.

Nagle tłum rozstał się i do Archiego podszedł oficer policji.

- Ach, inspektor Trevelyan! - Archie uściśnął dłoń mężczyzny.

Inspektor Trevelyan miał dość charakterystyczny wygląd -siwe sumiaste wąsy, szpakowate gęste brwi, mięsistą, nieco obwisłą dolną wargę i błyszczący nos, który wyglądał jak kawałek stopionego wosku. Nigdy się nie uśmiechał. W tweedo-wej czapce oraz beżowym prochowcu był lokalną ciekawostką, podobnie jak pub „Snout & Hound”, ponieważ należał do Pendrift dłużej, niż ktokolwiek pamiętał.

- Nie natknęliśmy się na żaden ślad - poinformował ponurym tonem. -

Wysłaliśmy grupę policjantów na klify, a patrole straży przybrzeżnej wypłynęły w morze, ale jak na razie nikt nic nie zauważył... - Popatrzył na butelkę. - Co jest w środku?

- Próbujemy się tego dowiedzieć - odparł Archie. - Ta cholerna kartka nawet nie drgnie...

- Trzeba będzie rozbić butelkę.

Archie nie był pewny, czy chce, aby całe miasto dowiedziało się, jaką wiadomość zawiera kartka. Jeżeli faktycznie był to żart, czuł, że zrobi z siebie głupca, a jeśli sprawa była poważna, nie powinna obchodzić nikogo poza najbliższą rodziną. Przeszedł między tłoczącymi się ludźmi, jak często przechodził między krowami ze swego stada, rozgarniając napierające ciała. Przyklęknął na jedno kolano i uderzył szyjką butelki o skały pod pomostem. Szkło pękło z brzękiem, szyjka odpa-

dła w jednym kawałku i poszła na dno. Uważając, aby nie poranić się ostrym brzegiem, wyciągnął kartkę z butelki.

Od razu zauważył, że kartka pochodziła z Pendrift, a dokładnie z lewej górnej szuflady jego biurka, w której przechowywał papier do pisania i koperty. Widniały na niej dwa słowa, pozornie pozbawione sensu.

Wybaczcie mi

Nie ulegało wątpliwości, że jest to pismo Monty'ego. Milton zajrzał szwagrowi przez ramię.

- Co to znaczy, na miłość boską?! - zapytał.

- Bóg jeden wie...

- Chyba nie popełnił samobójstwa?! Nie wyobrażam sobie, aby Monty mógł coś takiego zrobić, to po prostu niemożliwe... Zresztą z jakiego powodu?!

Archie był kompletnie zagubiony. Poddałby się smutkowi, gdyby był przekonany, że jego brat rzeczywiście zdecydował się na taki krok, lecz i on, podobnie jak Milton, nie potrafił sobie tego wyobrazić. Po pierwsze, Monty był najpogodniej-szym człowiekiem, jakiego znał, po drugie, jako wierzący i praktykujący katolik zdecydowanie odrzucał samobójstwo, a po trzecie, gorąco kochał żonę i dzieci. Miał więc trzy doskonałe powody, aby nie porywać się na własne życie.

- To jakieś szaleństwo! - wykrzyknął z wściekłością. - Kiedy go zobaczę, zabiję własnymi rękami!

Pokazał kartkę inspektorowi Trevelyanowi.

- Pachnie mi to samobójstwem - rzekł policjant, oddając list.

- Można by przyjąć taką wersję wydarzeń, gdyby te dwa słowa napisał ktoś inny - zgodził się Archie. - Ale ponieważ chodzi o Monty'ego, po prostu w to nie wierzę!

- Będziemy kontynuować poszukiwania. - Trevelyan ze zrozumieniem pokiwał głową. Jego przygarbione ramiona świadczyły o długotrwałym napięciu i zmęczeniu. - Jeżeli czegoś się dowiemy, przyjedziemy prosto do Pendrift Hall...

- Dziękuję - odparł Archie.

Archie i Milton wrócili do domu niepewni i zagubieni. Merlin i Trevor zasiedli w pubie, aby raz po raz opowiadać o znalezieniu łodzi i wysłuchiwać opinii wszystkich obecnych na temat tego, co naprawdę się zdarzyło. Nic nie jednoczy społeczności mocniej i w trwalszy sposób niż fascynująca tajemnica.

Kiedy samochód Archiego zatrzymał się przed Pendrift Hall, rodzina wysypała się na zwirowany podjazd, spragniona wiadomości. Archie potrząsnął głową.

- Cholerny głupiec! - wybuchnął. - Zostawił idiotyczny list w butelce po szampanie! Po co to zrobił, do diabła?!

Pamela wyjęła kartkę z jego ręki.

- To jego charakter pisma. Nie sądzisz chyba, że... Nie, nie zrobiłby tego! Nie Monty... To jakiś żart!

Było już za późno, aby chronić Celestrię i Harry'ego. Znaleziona w butelce kartka krążyła między krewnymi, którzy po kolei zgodnie uznawali ją za całkowicie bezsensowną.

- Może wydawało mu się to zabawne, bo miał trochę w czubie, ale potem nastąpiła katastrofa - powiedziała z wahaniem Penelope.

- Twierdzisz, że Monty nie żyje? - zapytała ze złością Pamela.

- Mówię tylko, że mógł wypaść za burtę i utonąć...

- To przecież znaczy, że nie żyje, prawda? Może w końcu szczerze przyznacie, że wszyscy jesteście tego zdania, co?! Mój mąż i ojciec moich dzieci nie żyje! - Pamela zasłoniła oczy rozdygotaną dłonią i zachwiała się. - O, mój Boże... Muszę się położyć... Mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi...

Julia i Penelope pośpieszyły jej na pomoc, ujęły pod ramiona i zaprowadziły do domu. Celestria i Harry w milczeniu patrzyli na oddalającą się matkę. Żadne nie miało ochoty jej towarzyszyć. Kiedy Pamela dostawała ataku hysterii, lepiej było trzymać się od niej na odległość.

- Muszę się napić... - rzekł Archie, wchodząc do holu. - Soames! Soames!

Soames zjawił się natychmiast. Na jego twarzy malował się wyraz wystudiowanej obojętności, mający ukryć fakt, że lokaj wysłuchał całej rozmowy przez okno w spiżarni.

- Przynieś mi szklaneczkę whisky - rzucił pan domu. -I drugą dla pana Milтона.

Celestria i Harry, otoczeni przez Melisę, Lotty, Wilfrida i Sama poszli za Davidem i dwoma starszymi mężczyznami do gabinetu Archiego. W jedną z czterech pokrytych półkami na książki ścian wbudowany był duży kominek z bordowym *parawanem*, naprzeciwko niego stały dwie podniszczone kanapy. Fotel, w którym Archie zwykle oddawał się lekturze, przez minione lata dostosował się do kształtu jego ciała, a obicie siedzenia przetarło się w kilku miejscach, odsłaniając wypełniającą wnętrze gąbkę, nieprzyjemnie kojarzącą się z wnętrznościami zabitych królików, na które z zapalem polowali chłopcy. Powietrze było duszne i pełne kurzu, zupełnie jakby od dawna nie otwierano tu okna. Celestria ze ściśniętym sercem przypominała sobie ponury wyraz twarzy ojca, którego poprzedniej nocy obserwowała od progu.

Ciężko usiadła na kanapie obok milczącego, pobladłego Harry'ego, otoczyła brata ramieniem i przyciągnęła do siebie. Był lekki i bezwładny jak balon, z którego uleciało powietrze, oczy miał mokre od łez. Melissa i Lotty wzięły rodzeństwo między siebie.

Celestria podniosła głowę i spojrzała na Archiego.

- Mama ma rację, tak? Tata nie żyje...

Soames wniósł tacę z drinkami. Archie uniósł szklaneczkę z whisky do ust, skrzywił się lekko i przełknął. Cała ta sytuacja wydawała mu się kompletnie niezrozumiała.

- Nie zamierzam spisywać Monty'ego na straty, dopóki nie znajdę ciała - rzekł twardo, buntowniczo poruszając węsami, - Albo przynajmniej niepodważalnego dowodu, że faktycznie utonął!

- Może to morderstwo? - zasugerował David, zagłębiając się w fotel wuja. Archie był zbyt zdenerwowany, żeby usiąść. Milton pod-

szedł do okna, wsunął ręce do kieszeni i utkwiał wzrok w przecinającej trawnik ścieżce, jakby spodziewał się ujrzeć na niej Mon ty'ego.

- Z jakim motywem? - spytał Archie.

- Pieniądze... - David bezradnie wzruszył ramionami. Archie zdecydowanie potrząsnął głową.

- Niemożliwe! Monty był bogaty, ale nie aż tak!

- Niewykluczone, że Pénélope ma rację - przyznał Milton. - Coś, co zaczęło się jako żart, skończyło się katastrofą...

Celestria popatrzyła na Wilfrida i Sama, którzy siedzieli na drugiej kanapie, przestraszeni i milczący.

- Co robiliście przedwczoraj, kiedy wypłynęliście z tatą motorówką? - zapytała.

- Bawiliśmy się w piratów - odparł Sam.

- Wkładaliście może listy do butelek?

Wilfrid i Sam spojrzeli na siebie ze zmarszczonymi brwiami, usiłując sobie przypomnieć. Celestria odwróciła się do brata.

- Czy tata wygłupiał się na łodzi? Udawał, że wypada za burtę albo coś takiego?

- Udawaliśmy, że ostrzeliwujemy hiszpańskie statki handlowe... - powiedział powoli Harry.

- Nie wkładaliśmy listów do butelek, ale rozmawialiśmy o tym - rzekł Sam. - Stryj Monty powiedział nam, że gdybyśmy zgubili się na morzu, nie ma pewniejszego sposobu przesłania wiadomości do domu... Mówił, że fale wcześniej czy później wyrzucą butelkę na brzeg...

- Uroczy pomysł - sarkastycznie zauważył Monty. - Bardzo wątpię, aby Monty napisał te dwa słowa w łodzi. Dam głowę, że wziął kartkę z mojego biurka, napisał to tutaj, znalazł butelkę i zabrał ją ze sobą, żeby zrobić głupi żart.

- Wiadomo przecież, że uwielbiał bawić się w poszukiwaczy skarbów - przypomniał David. - Może kartka w butelce miała być elementem gry, którą planował?

- Więc dlaczego napisałby: „Wybaczcie mi”, co? - Archie wychylił alkohol do dna. - Moim zdaniem nie ma wątpliwości, że to list samobójcy!

- Gdyby tata zamierzał się zabić, w co nadal nie wierzę, na pewno napisałby dłuższy list - powiedziała Celestria ze zniecierpliwieniem. - Nigdy nie był małomówny, prawda? I nie zostawiłby nas w takiej niepewności... Napisałby: „Jestem nieszczęśliwy, nie mam innego wyjścia”, albo coś w tym rodzaju, a nie dwa słowa, które można różnie interpretować i rozumieć. Trudno nazwać go skrytym i tajemniczym, nie wydaje wam się?

Długą chwilę nikt się nie odzywał. Wszystko wskazywało na samobójstwo, ale ani Celestria, ani pozostali nie chcieli w to wierzyć. Nagle odezwał się cichy, cienki głosik.

- Tata w żadnym razie nie chciałby sprawić nam bólu - powiedział Harry. - Bardzo nas kocha...

Ściągnięta, pełna napięcia buzia chłopca była zupełnie nieruchoma, tylko po jednym policzku spływała powoli błyszcząca łza, zostawiając wilgotny ślad.

Z zamyślenia wyrwał ich ostry dźwięk dzwonka przy frontowych drzwiach. Nikt się nie poruszył. Wydawało się, że cały dom wstrzymał oddech, dopiero po chwili rozległy się kroki Soamesa i przyciszony szmer rozmowy. Zimny wiatr wpadł do holu i przemknął po gabinecie, w którym rodzina zaginionego z zapartym tchem czekała na wiadomości. Celestria zadrżała i założyła ramiona na piersi. Poczowała, jak jej gardło ściska się boleśnie, chociaż, oczy miała zupełnie suche. Nie mogła płakać, wydawało jej się, że rozpacz odebrała jej możliwość wyrażania emocji. Wiatr był wilgotny i pachniał morzem. Pomyślała, że oto właśnie przyszedł ktoś z informacją o odnalezieniu ciała jej ojca.

W końcu Soames zapukał do drzwi gabinetu.

- O co chodzi? - zapytał Archie pełnym napięcia głosem.

- Przyjechał inspektor Trevelyan - odparł Soames.

Oczy Archiego na moment spoczęły na młodszych dzieciach.

Zastanawiał się, gdzie jest niania i dlaczego Julia nie poleciła jej zabrać gdzieś chłopców, żeby nie musieli znosić denerwującego oczekiwania.

- Proszę zaprowadzić go do salonu!

Celestria podniosła się, usiłując zaprotestować.

- Sam z nim porozmawiam - powiedział twardo Arenie. Wszyscy w milczeniu patrzyli, jak przechodzi przez pokój i zamyka za sobą drzwi.

- Znaleźli ciało... - szepnęła Celestria z rezygnacją, rozcierając sobie szyję. - Wiem, że to w tej sprawie przyszedł inspektor...

- Jeszcze nic nie wiadomo - mruknął Milton bez przekonania.

- Właśnie! - przytaknął David.

- Nie denerwuj się, Celestrio - odezwała się Lotty. - Nie wierzę, że wuj Monty nie żyje. To jakieś potworne nieporozumienie... Tata ma rację, jeszcze nic nie wiadomo, nie możemy zakładać z góry, że stało się najgorsze...

- Mamy list! - warknęła Celestria. - Nic nie zakładamy, wszystko jest oczywiste!

Wydawało im się, że minęło sporo czasu, zanim Archie wrócił do gabinetu. Jego twarz była szara jak kamień.

- Znaleźli jego buty - rzekł cicho. - Fale wyrzuciły je na skały...

Celestria głośno wciągnęła powietrze. Harry rozplakał się żałośnie.

- Czy to znaczy, że tata nie żyje? - zaszlochał. Celestria porozumiała się wzrokiem ze stryjem, który ze smutkiem pokiwał głową.

- Obawiam się, że to prawie pewne - powiedział.

- Ale przecież każdy zdejmuje buty, kiedy idzie popływać... - zauważyła nieśmiało Melissa.

- Ojciec nie poszedł popływać, głupia! - wybuchnęła Celestria.

Z piersi Archiego wyrwało się ciężkie westchnienie.

- List w butelce, zegarek, teraz buty... Wszystko to wskazuje, że Monty odebrał sobie życie. Chyba naprawdę popełnił samobójstwo, chociaż wydaje się nam to zupełnie niewiarygodne...

8

Ksiądz Dalglish wsiadł na rower i pojechał do Pendrift Hall zaraz po tym, jak pani Hoddel, sama jeszcze nieświadoma prawdziwego znaczenia plotki, przyniosła mu wiadomość

0 Mon tym.

- Pan Monty upił się wczoraj i wypadł za burtę swojej łodzi - powiedziała, delektując się myślą o kielkującym skandalu. - Wszyscy o tym gadają...

Duże ciemne znamię, ozdobione trzema długimi czarnymi włosami, drżało na jej prawym policzku, kiedy na próżno starała się ukryć podniecenie.

Ksiądz Miles był zbyt poruszony, aby wypytywać ją o szczegóły, poza tym wiedział, że jego gospodyni często roznosi plotki, rozdęte jak balon i w niczym niepodobne do wiadomości w jej pierwotnym kształcie.

Zaczekał, aż pani Hoddel opróżni kosz na śmieci przy jego biurku, które to zajęcie usiłowała przeciągnąć jak najdłużej w nadziei na pytania, a kiedy wreszcie wyszła z pokoju, natychmiast zadzwonił na posterunek policji

i odbył krótką rozmowę z inspektorem Trevelyanem. I dowiedział się, że pani Hoddel nie była aż tak źle poinformowana, jak przypuszczał.

Monty'ego rzeczywiście nikt nie widział od za-

kończenia balu, a odnalezienie butów na skałach upewniło inspektora, że nieszczęśnik naprawdę utonął, zostawiając dwoje dzieci i żonę. Była to straszna tragedia. Duchowny nie miał cienia wątpliwości, że Monty uległ wypadkowi. Ze smutkiem myślał o zrozpaczonej rodzinie zmarłego, przede wszystkim zaś

O Celestii, pięknej, beztrudnej dziewczynie, która poruszała się tanecznym krokiem i tryskała energią. Czuł, że musi niezwłocznie pośpieszyć jej z pomocą.

Jechał wśród rzucających cienie drzew i szerokich pasm bursztynowego światła. Leżące tu i ówdzie pomarańczowe liście przypominały światu, że nadeszły ostatnie dni lata. Niecały tydzień wcześniej ksiądz Miles pedałowal tą samą drogą, czując na twarzy ciepłe promienie sierpniowego słońca i głęboką radość w sercu. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że parę dni później tragedia zmusi go do kolejnej wyprawy do Pendrift Hall, tym razem z sercem ciężkim jak kamień. Skupił myśli na mszy, którą miał odprawić następnego ranka,

I poprosił Boga, aby wskazał mu najskuteczniejszy sposób dodania otuchy rodzinie Montague.

Zatrzymał się, kiedy na ścieżce przed nim ukazało się stado brązowych krów. Muchy bzycały wokół rogatych głów zwierząt, które muczały i oganiały się od owadów z wyraźną irytacją, trochę podobne do grupy otyłych kobiet, czekających na dostawę świeżych ryb w sobotni ranek. Młody chłopak z kijem poganiał je bezskutecznie. Ksiądz Dalgleish cierpliwie czekał, aż stado zejdzie na łąkę, obszczekiwane przez podeksytowanego psa, który niezbyt dobrze radził sobie ze swoim zadaniem. Myślał o tym, że dzięki modlitwie i medytacji udało mu się przegnać niewłaściwe pragnienia, rozbudzone przez uroczą Celestrię. Na chwilę uległ czarowi dziewczyny, to wszystko. Teraz wiedział, że kiedy zobaczy ją znowu, już wolny od olśnienia jej urodą, skupi całą uwagę na duszy, która tak bardzo potrzebowała pocieszenia. Wstydził się swojej słabości, miał jednak świadomość, że na drodze życia czyha na niego jeszcze wiele pokus i był zdecydowany odważnie stawić czo-

ło każdej z nich. Miał nadzieję, że słabość umocni go i będzie przypominać, iż jest tylko marnym grzesznikiem, podobnie jak wszyscy. To doświadczenie powinno stać się dla niego lekcją pokory.

Takie myśli kłębiły się w głowie duchownego, kiedy dotarł do Pendrift Hall. Fronton domu znajdował się w cieniu, ponieważ słońce powoli zniknęło już za horyzontem. Purdy nie wybiegi na powitanie gościa, ale drzwi otworzyły się zaraz i stanął w nich Soames, wyprostowany, z wysoko uniesionym podbródkiem. Podobny do starego żołnierza na warcie, patrzył na księdza spod krzaczastych brwi, poruszając długim, dumnym nosem. Bez cienia uśmiechu zaprosił przybyłego do środka. Ksiądz Miles pomyślał, że to ponure powitanie pasuje do aury smutku i żałoby, która już wydawała się spowijać cały dom.

- Proszę zaczekać w holu - rzekł Soames. - Powiadomię rodzinę o przybyciu księdza...

- Gdyby nie chcieli mnie widzieć, całkowicie to zrozumiem - powiedział taktownie duchowny.

Lokaj powoli podszedł do drzwi salonu, zapukał i wszedł do środka. Ksiądz Dalglish nadstawił uszu, ale słyszał tylko rytmiczne tykanie stojącego zegara. Dochodziła szósta. Poprawił okulary na nosie i otarł pot z czoła. Jazda rowerem pod górę trochę go zmęczyła.

Drzwi skrzypnęły donośnie i Soames usunął się z progu, aby przepuścić księdza. Julia i Penelope siedziały na kanapie, naprzeciwko nich tkwiły Melissa i Lotty. Celestria zajęła miejsce przy fortepianie, jakby miała ochotę coś zagrać.

- Och, proszę księdza... - Julia podniosła się szybko. - Jestem bardzo wdzięczna, że ksiądz przyjechał...

Jeżeli niespodziewane przybycie duchownego zaskoczyło ją, nie dała tego po sobie poznać.

- Chciałem przekazać wyrazy współczucia... - odezwał się ksiądz Miles, mimo woli spoglądając na Celestrię, która patrzyła na niego z obojętnym wyrazem twarzy. - Dopiero jakąś godzinę temu dowiedziałem się, co się stało...

- Proszę siadać... - Julia wskazała gościowi fotel.

Wyczuta jego niepewność i zmieszanie, i jak zwykle próbowała rozładować atmosferę, chociaż sama nie miała w sobie ani odrobiny pogody ducha.

- Na razie nie wiemy jeszcze, co właściwie się stało - ciągnęła. - Monty zostawił list, w którym prosi nas o wybaczenie i wiele wskazuje na to, że rzucił się z łodzi do morza... Sęk w tym, że wydaje nam się po prostu niewiarygodne, aby faktycznie zrobił coś tak strasznego... To zupełnie do niego nie pasuje...

Julia drżącą ręką sięgnęła po paczkę papierosów.

- Zagraj coś pogodnego, kochanie - powiedziała Penelope do Celestria. - Mamy za sobą naprawdę ciężki dzień.

Celestria zaczęła grać. Uderzała w klawisze tak mocno, że Julia musiała podnieść głos, aby ksiądz ją słyszał.

- Wyprawiłam młodszych chłopców pod opieką Davida na polowanie na króliki - wyjaśniła. - Czułam, że trzeba koniecznie w jakiś sposób odwrócić uwagę Harry'ego. Biedny chłopiec po prostu uwielbiał ojca...

- Jak znosi to jego żona?

- Leży w łóżku z migreną - oświadczyła Penelope bez wahania. - Wątpię, czy w ogóle jeszcze kiedyś wstanie...

- Przyjedzie jutro na mszę? - zapytał ksiądz Miles.

- Na pewno nie... - Julia zdecydowanie pokręciła głową. - Pamela nie jest osobą religijną...

Nie chciała powtarzać rzeczy, jakie jej szwagierka wygadywała o Kościele, nie zamierzała przedstawiać żony Monty'ego w złym świetle. Ksiądz Dalglish miał nadzieję przynieść ulgę zbolącej wdowie, a mógł to uczynić wyłącznie dzięki mocy modlitwy.

- Arenie poszedł teraz zawiadomić naszą matkę, a Milton nadal szuka ciała - obwieściła Penelope donośnym głosem, nie zwracając uwagi na obecność bratanicy. - Jeżeli znaleźli buty, to wszystko jest oczywiste, prawda? Monty musi gdzieś tam być, chyba że skończył w brzuchu jakiejś wielkiej ryby...

Celestria gwałtownie podniosła się z miejsca. Jej twarz była śmiertelnie blada, co podkreślało przejrzystą szarość dużych oczu. Włosy ściągnęła do tyłu i niedbale upięła na czubku głowy, przez co sprawiała wrażenie młodszej i bardzo kruchej.

- Nie wierzę, że tata utonął - oznajmiła. - Dlaczego morze wyrzuciło zasznurowane buty? To przecież jakaś bzdura!

- Zgadzam się z Celestrią - powiedziała Melissa. Lotty poważnie skinęła głową.

- Moim zdaniem wuj Monty został porwany!

- Więc skąd ta prośba o wybaczenie? - spytała Julia z westchnieniem.

- Zmusili go do napisania - odpaliła Celestria. Przeszła obok księdza i dołączyła do kuzynek na kanapie.

- Ale kartka pochodzi z gabinetu Archiego... - Julia nerwowo zaciągnęła się papierosem.

Po wypełnionym dramatycznymi wydarzeniami dniu potwornie bolała ją głowa.

- Ktoś włamał się do domu i kazał tacie napisać te dwa słowa! - Celestria ze złością popatrzyła na ciotki. - Tata nie popełnił samobójstwa! -

Odwróciła się do księdza. - Jest katolikiem, wierzy w niebo i piekło!

Każdy wie, że targnięcie się na własne życie to prosta droga do potępienia, nie zbawienia! Dlaczego wieczne potępienie miałoby być lepsze niż życie?!

Spuściła wzrok i zauważyła, że ksiądz włożył skarpety od różnych par.

Ksiądz Miles podążył za jej spojrzeniem, chociaż już wiedział, czego może się spodziewać. Znowu to zrobił - miał jedną skarpetkę czerwoną, a drugą żółtą. Popatrzyli na siebie i wtedy Celestria uśmiechnęła się słabo.

Mimo tragicznego tonu dnia, ksiądz Dalgleish nie mógł odpowiedzieć inaczej niż dokładnie w ten sam sposób.

- W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać - powiedziała z westchnieniem Julia.

- I modlić się - z powagą dodał duchowny. - Niezależnie od tego, co się zdarzy, wszystko jest wolą Boga...

- Albo Monty'ego - sarkastycznie uzupełniła Penelope.

Gdy Elizabeth Montague usłyszała tragiczną wiadomość, w pierwszej chwili nie chciała uwierzyć.

- To nieprawda! - oświadczyła zapalczywie. - Robert nigdy nie zachowałby się tak egoistycznie!

Jej twarz przybrała sinoczerwony kolor, więc Archie przestraszył się i próbował przekonać matkę w racjonalny sposób.

- Wiem, że to niewiarygodne, ale nie ma innego wyjaśnienia... Monty zniknął. Kartka w butelce, buty na skałach, dryfująca łódź, wszystko to razem wskazuje na jedno - Monty odebrał sobie życie...

- W żadnym wypadku nie zrobiłby czegoś takiego, nawet gdyby był potwornie nieszczęśliwy - odparła Elizabeth. - A nie był, bo wiedziałabym o tym! Jestem jego matką, na miłość boską! To musi być jakiś żart! Chory żart, ale żart! Albo porwanie!

Archie westchnął. Podobną rozmowę odbył wcześniej z Davidem i teraz ze znużeniem potarł czoło otwartą dłonią.

- Obawiam się, mamó, że na tym etapie musimy spodziewać się najgorszego... Nie wiemy, w jaki sposób to się stało ani dlaczego i całkiem prawdopodobne, że nigdy nie poznamy prawdy, ale Monty chyba nie żyje...

Elizabeth osunęła się na kanapę.

- Jeżeli faktycznie tak jest, niedługo podążę za nim - rzekła z rozpaczą.

Archie nalał jej szklaneczkę dzinu, podszedł do okna i utkwiał wzrok w smudze blednącego światła. Dom, w którym mieszkała Elizabeth, stał w ogrodzie, w odległości kilkuset metrów od głównej rezydencji, a jego duże okna wychodziły na morze. Był to ładny biały budynek, wzniesiony mniej więcej w tym samym okresie co duży dom, lecz zdecydowanie mniej zadbane i bardzo wilgotny. Sprawiał równie smętne i chłodne wrażenie jak jego pani, i wymagał całorocznego ogrzewania. Na zewnątrz ocean kołysał się spokojnie pod intensywnie różowym niebem, a pierzaste chmury wędrowały

tuż nad linią horyzontu, przybierając głęboki odcień szarości, gdy podświetlało je słońce.

- Po co ta kartka? - Archie mówił jakby do siebie. - „Wybaczcie mi” ... Co mielibyśmy ci wybaczyć, Monty? To, że zostawiłeś zrozpaczoną rodzinę? Że nikomu z nas nie zdradziłeś, że czujesz się nieszczęśliwy? Że dusiłeś to wszystko w sobie? Że nigdy nie poprosiłeś o pomoc?

- Monty nie był nieszczęśliwy! - warknęła Elizabeth, przełykając dżin. - Był pogodny i wesoły, od zawsze. Nic nie ukrywał, nie miał skomplikowanego charakteru. Bez niespodzianek... Przypominał ojca; otwarty i szczery. Trudno znaleźć uczciwszego człowieka... Jeżeli nie żyje, to nie dlatego, że szukał śmierci. Śmierć znalazła go sama i porwała na tamtą stronę... - Wyprostowała się i mocno zacisnęła szczęki, jakby walczyła ze sobą, usiłując zapanować nad emocjami. - Nie uwierzę, dopóki nie znajdzie się oczywisty dowód... Nie będzie pogrzebu, dopóki nie znajdziemy ciała. Na razie mój Robert nadal żyje!

Archie odwrócił się do matki. Była krępą, solidnie zbudowaną kobietą o rozłożystych biodrach, kwadratowej twarzy i mocnych, zdecydowanych rysach, lecz teraz, w tym zimnym pokoju, sprawiała wrażenie drobnej i delikatnej.

- Może przeprowadzisz się na jakiś czas do nas, mamó? - zaproponował miękko, w pełni świadomy, że Julia nie podziękuje mu za ten pomysł. Elizabeth popatrzyła na niego surowo.

- Może i jestem stara, ale od czternastu lat radzę sobie sama i nikomu nic nie zawdzięczam. Nie ma najmniejszego powodu, abym teraz miała stać się dla kogoś ciężarem. Jutro jak zwykle pojedę z wami na mszę do kościoła, potem chciałabym porozmawiać chwilę z księdzem Milesem, w cztery oczy. Jeżeli Robert zginął, tylko Bóg zdoła mnie pocieszyć...

Archie był już w drzwiach, kiedy usłyszał za sobą brzęk tłukącego się szkła. Odwrócił się pośpiesznie i zobaczył klęczącą na podłodze matkę, która drżącymi dłońmi zbierała rozbite okruchy.

- Zostaw mnie w spokoju! - rzekła stanowczo. Gwałtowność reakcji Elizabeth całkowicie zaskoczyła Archiego, spełnił jednak jej polecenie. W progu spojrzął przez ramię i ujrzał, jak matka osuwa się na kolana i zasłania twarz rękami. Naturalny instynkt kazał mu rzucić się na pomoc, wiedział jednak, że Elizabeth nie życzy sobie, aby ją pocieszał. Odszedł z sercem przenikniętym tym samym poczuciem niższości, które prześladowało go przez całe życie. Jak to możliwe, że ktoś taki jak Monty podziwiał takiego człowieka jak on, Archie? Co można było w nim podziwiać?

Ksiądz Dalglish oparł dłonie na kierownicy roweru. Zmierzch gęstniał, powietrze stawało się coraz chłodniejsze, wiatr niósł aromat morza i pierwsze dymne nuty zapachu jesieni. Duchowny zatrzymał się na moment, zastanawiając się, czy jego wizyta przyniosła komukolwiek jakąś korzyść. Jego poprzednik, ksiądz Hancock, dokładnie by wiedział, co należy powiedzieć, ale on nie... Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów ani właściwego tonu, by je przekazać.

Nagle wyczuł przy sobie czyjąś obecność. Odwrócił się, wciąż trzymając kierownicę. Na progu domu siedziała Celestria. Potarła zapałkę i zapaliła papierosa, a wtedy jej delikatnie oświetlona twarz zajaśniała w mroku.

- Mama nie znosi, kiedy palę. Mówi, że papieros nie przystoi damie...

- I chyba ma słuszność - odparł ksiądz Miles.

- Ale dzisiaj mogę się czuć usprawiedliwiona, nie sądzi ksiądz?

- Bardzo ci współczuję, Celestrio...

- Tak, wiem... To jest straszne. Kiedy siedzę tam razem z innymi, mam wrażenie, że lada chwila oszaleję. Powtarzam sobie w kółko, że wygląda to na samobójstwo, ale to zupełnie niepodobne do taty, więc dlaczego miałby zrobić coś takiego, i tak dalej, i tak dalej... Mam ochotę zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć ani słowa z tego, co mówią tamci. Mama znowu

leży w łóżku z migreną, ale teraz nie ma już taty, by pomógł jej wydobyć się z przygnębienia... Ciotka Penelope ma rację, mama nigdy nie odzyska równowagi... - Celestria podniosła głowę i wypuściła z ust kłęb dymu. - Co zmusza człowieka do odebrania sobie życia?

- Nieznośne cierpienie. Depresja tak głęboka, że każda alternatywa wydaje się lepsza niż to, w czym człowiek żyje...

- No, widzi ksiądz? Właśnie tego nie rozumiem! Tata był taki pogodny i wesoły... Zawsze uśmiechnięty, zawsze... Miał czas dla każdego. W jego oczach nikt nie był nieważny czy głupi... Ojciec przejmował się ludźmi. Dbał o nas. Kochał życie. Dlaczego ktoś taki miałby napisać króciutki list, wepchnąć go do butelki, wypłynąć motorówką na środek morza i wyskoczyć za burtę?

Duchowny oparł rower o ścianę i usiadł obok dziewczyny. Czuł, że Celestria potrzebuje rozmowy i cieszył się, że może się na coś przydać.

- Wszędzie jeździ ksiądz rowerem? - zagadnęła.

Ksiądz Miles poczuł nagle wiosenny zapach leśnych liliowych dzwoneczków i jej ciepłej skóry. Było to tak urzekające, że duchownemu serce zabiło mocniej i szybciej niż zwykle.

- Dopóki utrzymuje się ładna pogoda - powiedział.

- A kiedy pada?

- Wtedy moknę albo przesiadam się do samochodu.

- Więc ma ksiądz samochód?

- Tak... - Uśmiechnął się łagodnie. - Ale nie lubię prowadzić...

- Boi się ksiądz?

- Powiedzmy, że się denerwuję.

- Założę się, że kiedy ja zacznę się uczyć jeździć, to inni będą bardziej zdenerwowani niż ja!

Wsunęła papieros między wargi, zaciągnęła się i wypuściła dym z ust, nie spuszczać wzroku z księdza.

- Czy człowiek, który popełni samobójstwo, idzie do Piekła? - spytała.

- Życie dostajemy od Boga i tylko On ma nam je prawo odebrać.
 - Tak uczy Kościół... Wierzy ksiądz w to?
 - Tak. Życie jest święte, nie możemy nim dysponować. Musimy przyjmować wszystko, co Bóg nam daje, i dziękować Mu za to.
 - Więc jeśli tata zabił się, jest potępiony na wieki, tak?
 - Przebywa w Piekło, dopóki Bóg nie zechce mu przebaczyć. Trzeba się za niego modlić.
 - Bóg słucha naszych modlitw?
 - Przecież dlatego się do Niego modlimy... - Ksiądz Miles poprawił okulary na nosie. - Pomyśl tylko, czy gdybyś zrobiła coś złego, twój ojciec wiecznie miałby ci to za złe?
 - Na pewno nie!
 - Sama odpowiedziałaś na swoje pytanie... Bóg jest kochającym Ojcem, który wszystko wybacza. Człowiek nie może jednak bezkarnie zabijać, także samego siebie.
 - To z powodu taty przez całe życie chodziłam na mszę... Mamę nic to nie obchodzi, chyba nie wierzy w Boga. Nie jest religijna. Uważa, że religia to ludzki wymysł, taki sposób na zmuszenie prostaczków, żeby trzymali się właściwej ścieżki... Ja sama też nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek naprawdę myślała o Bogu...
 - Ale myślisz o Nim teraz!
 - Tylko z konieczności. Jeżeli tata nie żyje, to znaczy, że przebywa w miejscu, gdzie nie mogę nawiązać z nim kontaktu. Tym miejscem rządzi Bóg, więc muszę spróbować się z Nim porozumieć...
- Księżdz Milesa ogarnęła fala obezwładniającego wzruszenia.
- To jeden z wielu punktów widzenia. - Uśmiechnął się nieśmiało. - W chwilach takich doświadczeń Bóg może być wielką pociechą, wierz mi...
 - Tak czy inaczej, nadal mam nadzieję, że tata żyje. - Ce-lestria odwróciła głowę i strząsnęła popiół na żwir.
 - To najzupełniej naturalne. Zawsze żyjemy nadzieją, do ostatniej chwili.

- Mój dziadek mawia, że zmarli przeistaczają się w gwiazdy na niebie...
- Piękna myśl...
- Żałuję, że go tu nie ma!
- Twojego dziadka?
- Tak. On wiedziałby, co zrobić. Jest człowiekiem, który wie wszystko...
- Gdzie teraz jest?
- W Nowym Jorku... - Celestria zaciągnęła się ostatni raz, zgmiotła niedopałek i rzuciła go między krzewy. - Mama najmocniej kocha Harry'ego, oczywiście na drugim miejscu po sobie samej, natomiast ja jestem najważniejsza dla dziadka...
- A dla ojca?
- Dla taty? Dla taty wszyscy są najważniejsi...

Ksiądz Miles pożegnał się z Celestrią i wsiadł na rower, dopiero kiedy dziewczyna weszła do domu. Został sam w ciemności, otoczony leciutkim zapachem leśnych dzwonek. Z okna na piętrze niepostrzeżenie obserwowała go ciemna postać. Pamela ciaśniej otuliła ramiona szalem i zadrżała. Odwróciła się, gdy ksiądz zniknął za zakrętem podjazdu. Potem podniosła oczy ku niebu, zastanawiając się, czy Bóg naprawdę istnieje.

Tej nocy Celestria poczuła silne pragnienie, aby popatrzeć na pogrążonego we śnie Bouncy'ego. Było już późno i wszyscy udali się na spoczynek. Wyczerpanej dziewczynie ciągle chciało się płakać, ogarnęło ją też dziwne rozdrażnienie. Przypomniła sobie, jak rano szukała na plaży Bouncy'ego, nieświadoma, że morze zabrało ojca.

Na palcach przemknęła korytarzem do pokoju chłopca. Ściany wyklejone były kremową tapetą w jasnoniebieskie słonie. Bouncy uwielbiał te zwierzęta, nazywał je „sonikami”. Ostrożnie otworzyła drzwi. W miękkim, łagodnym blasku lampki na olejek eukaliptusowy ujrzała malca w niebieskiej piżamie, który leżał na łóżku z rozrzuconymi ramionkami

i nóżkami. Bouncy zrzucił koc na podłogę, oczy miał zamknięte, skórę promieniającą zdrowiem, pełne wargi rozluźnione, lekko uśmiechnięte w przyjemnej sennej rzeczywistości. Nie drgnął nawet, nadal oddychał głęboko i powoli, tak jak potrafią oddychać jedynie dzieci. Nagle dziewczyna poczuła, jak gorące łzy wypływają jej spod powiek na policzki. Bouncy wyglądał tak cudownie i niewinnie...

Usłyszała za plecami jakiś szmer i odwróciła się. W progu stała otulona szlafrokiem Julia. Celestria uśmiechnęła się do niej przez łzy. Ciotka podeszła do niej na palcach i otoczyła ją ramieniem.

- Dziś rano wydawało nam się, że to Bouncy'ego spotkało coś złego... - szepnęła dziewczyna.

- Teraz, kiedy Bóg zabrał Monty'ego, wstyd mi tej ogromnej ulgi i radości - odparła Julia. - Moje serce pełne jest uczucia wdzięczności i smutku...

- Bouncy to prawdziwy skarb - westchnęła Celestria. - Dobrze jest patrzeć na niego, kiedy tak bezpiecznie śpi w swoim łóżku... Ten widok daje mi nadzieję. Znaleźliśmy Bouncy'ego, więc może uda nam się znaleźć i tatę...

Długo stały obok siebie, połączone wymownym milczeniem.

- Nie jesteś sama, kochanie... — odezwała się w końcu Julia.

Celestria była zbyt wzruszona, aby odpowiedzieć. Pozwoliła, aby ciotka przytuliła ją mocno, oparła głowę na jej ramieniu. Obie płakały cicho, wpatrzone w uśpionego chłopca.

Od poprzedniego ranka, kiedy to Merlin i Trevor znaleźli iódź pana Monty'ego, ludzie w miasteczku rozmawiali niemal wyłącznie o tym wydarzeniu. Nikt nie wierzył w samobójstwo najmłodszego syna Elizabeth Montague, co do tego wszyscy się zgadzali. Mnóstwo osób powoływało się na bliską znajomość z zaginionym, ponieważ Monty zawsze chętnie poświęcał czas każdemu, kto tego potrzebował lub po prostu miał na to ochotę. Nie, Monty, którego znali, był człowiekiem zadowolonym z życia, gotowym dzielić się tą (wewnętrznie) satysfakcją z całą resztą świata.

Nie ulegało wątpliwości, że stanowił część życia małej kornwalijskiej miejscowości w tym samym stopniu co drożdżowe pierogi i gęsta bita śmietana. Lubił czytać gazetę nad filiżanką kawy w kawiarni Maggie Brewick, kupować papierosy w sklepiku na rogu i sączyć piwo w pubie „Snout & Hound”. Ludzie zawsze witali go ciepło i serdecznie, on zaś znał każdego z imienia i nazwiska, poczynając od recepcjonistki w gabinecie lekarskim po sędziego Taleka, który dzień w dzień przesiadywał na ławce, podobny do znoszonego, porzuconego przez właściciela płaszcza.

Interesował się najdrobniejszymi szczegółami z życia miejscowych - wiedział, którą z kobiet porzucił mąż, czyj pies choruje, czyje dziecko przeszło do następnej klasy z doskonałym świadectwem i kto musi zrobić remont łazienki, potrafił rozmawiać o inflacji, rządzie, odsetkach i dawnych dobrych czasach. Nawet Arenie nie miał pojęcia, że syn pani Craddick leży w szpitalu, chory na polio. Pani Craddick pracowała na poczcie i nigdy nie odważyłaby się wdać w rozmowę z Archiem czy Penelope, lecz Monty zaglądał do okienka, jeżeli akurat nie było kolejki i chociaż ostatnio przyjeżdżał z Londynu tylko latem, wiedział prawie wszystko o jej krewnych i wypytywał o nich o wiele serdeczniej niż jej własny mąż. Współczucie i zrozumienie, które jej okazał, doprowadziły ją kiedyś do łez. Powiedziała o tym swoim przyjaciółkom i Monty jeszcze bardziej urósł w oczach członków małej społeczności, chociaż zapewne nie w oczach pana Craddicka.

Oczywiście Pamela nigdy nie zaglądała na pocztę, a Celestria przyjeżdżała do miasteczka tylko po najzupełniej niepotrzebne rzeczy, dla samej przyjemności robienia zakupów i ani razu nic przyszło jej do głowy, żeby porozmawiać z tubylcami. Ludzie patrzyli na nią z zachwytem w oczach, ponieważ jej uroda kompletnie ich olśniewała.

- Dzień dobry, panno Montague - mówili. Mężczyźni uchylali kapeluszy, kobiety uśmiechały się uprzejmie i kiwały głową, co tylko upewniało Celestrię, że jest łabędziem pośród stada gęsi.

- Pozdrowienia dla ojca panienki... - słyszała ze wszystkich stron.

W odpowiedzi rzucała łaskawy uśmiech, który przyjmowano z wdzięcznością, i natychmiast zapominała o wszystkim. Pierwszą rodzinę Pendrift miejscowi darzyli szacunkiem i podziwem, lecz Monty był jednym z nich, zwyczajnych ludzi.

Nadszedł niedzielny ranek. Większość mieszkańców miasteczka była wyznania anglikańskiego, lecz niektórzy, w tej

grupie rodzina Montague, byli katolikami i co niedzielę uczęszczali na mszę do kościoła Najświętszej Marii Panny, jednej z niewielu katolickich świątyń, które pozostały tu po wielkim rozłamie, dokonanym przez Henryka VIII, Jednak tej niedzieli w katolickiej świątyni wierni zgromadzili się liczniej niż zwykle, natomiast protestancki kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych świecił pustkami. Wielebny Woodley ze zdziwieniem wpatrywał się w puste ławki i zachodził w głowę, co stało się z jego zgromadzeniem.

Ubrana na czarno Celestria pojechała z rodziną na mszę. Od zniknięcia Monty'ego Harry prawie się nie odzywał. Twarz miał smutną, a oczy zupełnie pozbawione wyrazu. Pamela została w łóżku i zażądała, aby Soames wezwał telefonicznie weterynarza, ponieważ Poochi przestał jeść.

- Jest bardzo przygnębiony - powiedziała. - I nie dziwię mu się, bo sama też tak się czuję...

David poszedł przodem z młodszymi chłopcami, nie próbował ich jednak na siłę rozweselać. Julia prowadziła Boun-cy'ego za rączkę, a niania szta obok. Staruszka zauważyła, że malcowi rozwiązało się sznurowadło, nie chciała jednak zatrzymywać wszystkich, aby je zawiązać. Archie w zastępstwie Monty'ego trzymał pod rękę Elizabeth, która także zdecydowała się na czarny strój.

- Noszę jeszcze żałobę po Iwanie - oświadczyła Archiemu, kiedy po nią przyszedł. - Nie chcę opłakiwać także i Roberta... Przetrwał wojnę, więc na pewno przetrwa i tę sytuację.

Milton kroczył obok żony, która, zgodnie z angielską tradycją obchodzenia żałoby, nie okazywała żadnych emocji.

Lotty i Melissa wzięły Celestrię między siebie. Podobne do pary żałobnych drухen, miały na głowach dyskretne czarne kapelusiki, które wyglądały bardzo skromnie w porównaniu z ekstrawaganckimi czarnymi piórami na kapeluszu Celestrie. Lotty była tak głęboko zasmucona zniknięciem wuja, że w środku nocy wstała z łóżka i napisała do Francisa Browne'a. Powstrzymywała się od korespondencji z ukochanym przez kilka tygodni, lecz teraz, wyraźnym, równym charakterem pi-

sma przelała na papier całą tęsknotę i ból, jakie nagromadziły się w jej sercu. Siedząc samotnie w gabinecie wuja Archiego i pisząc na tym samym papierze, na którym Monty skreślił złożony z dwóch słów list pożegnalny, zastanawiała się, czy Celestria miała rację, kiedy powiedziała, że łatwiej będzie uciec z Francisem niż wyjawić prawdę rodzicom. W obliczu tak niespodziewanej śmierci Monty'ego czuła się zdecydowana i pozbawiona lęku. Dlaczego miałyby spędzać całe życie z niekochanym mężczyzną? Tylko ze względu na wygodę i zabezpieczenie finansowe? Francis nie miał pieniędzy, ale był bogaty we wszystkie zalety, jakie miały istotne znaczenie w oczach Lotty.

„Uświadomiłam sobie, że życie w każdej chwili może nam zostać odebrane”, napisała. „Nie chcę żyć w atmosferze wiecznego kompromisu. Pragnę mieć wszystko, co ważne, a Ty jesteś dla mnie całym światem”. Teraz list spoczywał w torebce Lotty, czekając na wysłanie następnego dnia rano.

Kiedy rodzina Montague szła główną nawą, wszystkie oczy zwróciły się ku nim, a głowy pochyliły z szacunkiem. Julia ścisnęła lekko łapkę Bouncy'ego, ponieważ duży tłum zawsze budził w nim lęk. Chłopiec wyciągnął drugą rękę do niani, która ujęła ją i pogładziła mięciutką skórę kciukiem. Julia napotkała spojrzenie Merlina. Mężczyzna zdjął czapkę i przycisnął ją do piersi, z całego serca żałując, że nie może cofnąć czasu i sprawić, aby w znalezionej motorówce spoczywał jej uśpiony szwagier, a nie ta straszna kartka w butelce po szampanie.

Członkowie rodziny zajęli miejsca w dwóch pierwszych ławkach.

Celestria usiadła obok brata i wzięła go za rękę. Harry dalej patrzył przed siebie z takim wyrazem twarzy, jakby jej nie zauważał. Oboje przeżywali ciężkie chwile, bo dopóki nie zostanie znaleziony zwłok, wciąż płonął nikły ogień nadziei. Niestety, ogień ten, podobnie jak promień światła, nie stanowił fizycznego dowodu.

Myśli Celestria zaczęły błądzić, co często zdarzało jej się podczas mszy. Nie znała łaciny i monotonia powtórzeń szyb-

ko ją usypiała. Przyszła do kościoła, ponieważ wiedziała, że ojcu by się to podobało, a poza tym wciąż wierzyła, że może jednak Bóg jeszcze pozwoli go odzyskać. Może trzeba Go było trochę przekonać i w takim wypadku modlitwa na pewno okazałaby się użyteczna. Jej umysł uspokoił się dopiero wtedy, gdy ksiądz Dalglish stanął przed ołtarzem we wspaniałych liturgicznych szatach. Bardzo różnił się od nieśmiałego człowieka, z którym poprzedniego wieczoru rozmawiała na progu Pendrift Hall. Teraz emanowały od niego autorytet i charyzma, które przepełniały świątynię. Celestria zarumieniła się, zawstydzona, że zadawała mu tak głupie pytania i razem z kuzynkami podśmiewała się z idei celibatu.

- Zanim rozpocznie się msza, chciałbym przywitać wszystkich obecnych w naszym kościele - przemówił ksiądz Miles. - Wiem, że wielu z was przybyło tu, aby w tym smutnym i trudnym okresie złożyć wyrazy szacunku Robertowi Montague i jego rodzinie. Serdecznie witam przybyłych i dziękuję za wsparcie i pociechę... - Jego oczy spoczęły na Celestria, pełne zrozumienia i współczucia. - Będziemy prosić Boga, aby Robert Montague bezpiecznie wrócił do najbliższych i abyśmy wszyscy, zjednoczeni we wzajemnej miłości, mogli udzielić pomocy tym, którzy dziś jej potrzebują...

Celestria zauważyła, że dolna warga Harry'ego zaczęła drżeć i oczy zapiekły ją od łez. Nagle wszystko wydało jej się boleśnie rzeczywiste - ojciec nie wrócił, nie dał najmniejszego znaku życia i nie został odnaleziony. Chociaż jej serce mówiło, że nie mógł popełnić samobójstwa, rozsądek powoli akceptował niepodważalne fakty. Pomyślała nagle, że może jednak nie знаła charakteru ojca tak dobrze, jak sądziła.

Po zakończeniu mszy wierni wysypali się na rozświetlony słońcem dziedziniec. Piękny dzień wydawał się drwić z powagi chwili.

Mieszkańcy Pendrift złożyli uszanowanie Elizabeth, Julii i Archiemu oraz Penelope i Miltonowi, uśmiechając się ze smutkiem do dzieci, które rozglądały się jak zwierzątka w ogrodzie zoologicznym i usiłowały zignorować obecność ciekawskich. Celestria stała z boku razem z Lotty i Melissą,

które pragnęły ratować kuzynkę przed koniecznością rozmowy z miejscowymi.

- Jakbyś już i tak nie przeżyła dosyć trudnych chwil... -mruknęła Melissa, obserwując matkę, która ścisnęła dłonie nigdy dotąd niewidzianych ludzi.

- To kara za pozycję najważniejszej rodziny w okolicy... -westchnęła Lotty. - Wszyscy uważają, że w pewien sposób stanowią ich własność.

- Nie! - odparła Celestria, potrząsając głową tak zdecydowanie, że pióra na jej kapeluszu zachwiały się gwałtownie. -To dlatego, że ci ludzie naprawdę kochali tatę... Każdy z nich uważa, że Robert Montague był jego najlepszym przyjacielem. Nie stracili zwyczajnego członka społeczności, ale przyjaciela... Ja nigdy z nimi nie rozmawiałam, lecz tata znał wszystkich, dosłownie wszystkich. A ci starsi, na przykład ten... -

wskazała Merlina, który rozmawiał właśnie z Archicem, trzymając kapelusz w ręku - założę się, że znał tatę jeszcze jako małego chłopca... Nagle od sporej grupy oderwała się kobieta w średnim wieku i podeszła do trzech dziewcząt. Była pulchna i dość atrakcyjna, z włosami mysiego koloru, ściągniętymi w kok pod granatowym kapeluszem. Celestria pomyślała, że gdzieś ją już widziała, nie mogła jednak przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach. Kobieta zawahała się chwilę i mocno zarumieniła pod wyniosłym spojrzeniem Celestria, zaraz jednak wyprostowała się i uśmiechnęła nieśmiało.

- Nazywam się Craddick... - zaczęła miękkim, dziewczęcym głosem, który owijał się wokół wypowiedzianych przez nią głosek niczym gęsty dym.

Celestria uścisnęła jej rękę.

- Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo przykro mi z powodu pani ojca...

- ciągnęła kobieta. - Był dobrym, szlachetnym człowiekiem.

Najlepszym...

Uśmiechnęła się, spuściła wzrok i jej policzki znowu oblały się rumieńcem.

- Dziękuję pani - odezwała się Celestria.

Pragnęła, aby pani Craddick jak najszybciej sobie poszła, lecz ta najwyraźniej nie miała takiego zamiaru.

- Widzi pani, mój syn poważnie zachorował - podjęła, podnosząc błyszczące od łez oczy. - Naprawdę poważnie... Myśleliśmy, że umrze, ale pani ojciec, pan Montague, znalazł najlepszego lekarza i opłacił go... Zakazał mi komukolwiek o tym nie mówić. Nie chciał, aby mój mąż czuł się w jakiś sposób zobowiązany... Teraz zależy mi jednak, aby ludzie dowiedzieli się o dobrych uczynkach pana Montague. Cała rodzina powinna wiedzieć, co robił dla innych. Pani ojciec był wyjątkowo szlachetnym człowiekiem, panno Montague...

- Jak teraz czuje się pani syn? - zapytała Lotty.

- Och, powoli wraca do zdrowia, panno Flint, dziękuję bardzo... - Pani Craddick znowu popatrzyła na Celestrię. - Gdyby nie pani ojciec, mój Rewan... - jej głos załamał się nagle. - No, nie chcę pańienek dłużej zatrzymywać...

Odwróciła się i uciekła, wtapiając się w morze ciemnych garniturów i kapeluszy.

- Wiedziałaś o tym? - zapytała Melissa. Celestria potrząsnęła głową.

- Nie...

- Wuj Monty to prawdziwy czarny koń... - Lotty się lekko uśmiechnęła. Celestria zmrużyła oczy, przypominając sobie podsłuchaną rozmowę między Julią i Montym.

- Tak czarny, że aż niewidzialny - rzuciła sucho. - Zaczynam podejrzewać, że w ogóle nie znałam własnego ojca...

Po powrocie do domu Celestria poszła prosto do pokoju matki. Pamela siedziała na łóżku, ubrana w kaszmirowy sweter i piękną koszulę nocną, i usiłowała nakarmić Poochiego kawałkiem chleba z pasztetem. Podniosła na córkę zaczerwienione, błyszczące oczy.

- Nie chce jeść...

- Wcześniej czy później zgłodnieje - odparła Celestria, rozpinając płaszcz.
- Zupełnie stracił apetyt...
- Podobnie jak my wszyscy.
- Nawet nie przypuszczałam, że Poochi żywi serdeczne uczucia do twojego ojca... Biedna psina jest na dnie rozpaczy...
- Wysłałaś telegram do dziadka? - Celestria zdjęła kapelusz, stanęła przed lustrem toaletki Pameli i zaczęła wyjmować spinki z włosów.
- Nie chcę go niepokoić, dopóki nie mamy całkowitej pewności. Celestria pochyliła głowę i z roztargnieniem utkwiała wzrok w metalowej spince.
- Och, wydaje mi się, że mamy już pewność... - powiedziała cicho.
- Nie uwierzę, dopóki nie odnajdziemy ciała - oświadczyła twardo Pamela.
- Całkiem możliwe, że nigdy go nie odnajdziemy, mamó.
- Niewykluczone, że jest w brzuchu wielkiej ryby, jak nietaktownie zauważyła ciotka Penelope...
- Przy wybrzeżu Kornwalii nie ma tak wielkich ryb! - zaprotestowała Pamela. - Przecież ta głupia baba o niczym nie ma pojęcia...
- Nagle załżała się łzami.
- Och, na miłość boską, zacznij wreszcie jeść, ty głupi kundlu! - załkała. Celestria przysiadła na brzegu łóżka i ujęła dłoń matki.
- Co my teraz zrobimy?! - zaniósła się szlochem Pamela. - Nie mogę dalej żyć bez Monty'ego! Był dla mnie wszystkim! Jak mógł narazić mnie na tyle cierpienia?! Jeżeli był nieszczęśliwy, to przecież mógł mi o tym powiedzieć! Poradzilibyśmy sobie jakoś, rozwiązalibyśmy jego problemy! Jak mógł okazać się takim egoistą, jak mógł się zabić...
- Musimy mimo wszystko żyć dalej - rzekła Celestria, starając się być silną ze względu na matkę. - Harry wróci do

szkoły, my do Londynu i życie jakoś się ułoży... Tylko taty już z nami nie będzie...

Zapadło długie milczenie, podczas którego Pamela usiłowała przetrwać słowa córki. Nagle mocno chwyciła ją za rękę.

- Och, skarbie, okłamałam cię...

- Okłamałaś mnie? Jak to? Kiedy?

- Kiedy rozmawialiśmy o twoim ojcu i o tamtej nocy... Powiedziałam ci, że nie pokłóciliśmy się, ale to nieprawda...

- O co się pokłóciliście?

- Był takim strasznym flirciarzem...

- Tata?!

- Kochanie, jesteś jeszcze za młoda, żeby to zrozumieć... Zbyt niewinna i naiwna...

Celestria pomyślała o Aidanie Cooneyu, lecz w tej chwili czuła w sobie tylko ogromną, dotkliwą pustkę. Pamela delikatnie pogłaskała córkę po policzku.

- Twój ojciec uwielbia piękne kobiety. Naturalnie pogodziłam się z jego skłonnością do flirtowania i najczęściej przymykam na to oko, ale mimo to cierpię, gdy widzę, jak te jego jasnobrzowe oczy płoną na widok kogoś młodszego i ładniejszego ode mnie, Nie znam kobiety, która potrafiłaby się oprzeć temu spojrzeniu Monty'ego... Ma się wrażenie, że zagląda ci do serca, zna twoje pragnienia i wie, czego ci w życiu brakuje... Tak czy inaczej, tamta noc okazała się dla mnie ostatnią kroplą... Kiedy poszliśmy do naszego pokoju, zaatakowałam go. Powiedziałam, że jest już za stary, żeby czarować młode dziewczyny, że robi z siebie głupca... - Pamela szybko otarła palcami łzy. Jej paznokcie były długie, czerwone i idealnie zadbane. - Powiedziałam mu też, że mam dosyć jego długich nieobecności i nie chcę, aby nadal tak dużo podróżował, że zachowuje się nie fair, tak często zostawiając mnie samą...

- I co on na to? - zapytała cicho Celestria.

Twarz Pameli wykrzywił grymas zniechęcenia i rozpacz.

- Tak go to rozzłościło, że twarz zupełnie mu się zmieni-

ła... Pomyślałam nawet, że chyba wstąpił w niego jakiś obcy, zły duch. Oświadczył, że jego flirty są absolutnie nieszkodliwe, że to tylko niewinna rozrywka, dzięki której czuje, że żyje. Mówił, że zaharowuje się na śmierć, żeby zapewnić nam - tobie i mnie - wszystko, co najlepsze, i żeby Harry mógł uczyć się w najlepszych szkołach w Anglii. Krzyczał, że Elizabeth ciągle zmusza go do wysiłku, że chce widzieć w nim idealnego syna i mężczyznę, i że brakuje mu już czasami siły, aby spełniać jej oczekiwania, że wszyscy czegoś od niego chcemy, że czuje się jak skała pośrodku morza wymagających ludzi, skała, w którą fale uderzają coraz mocniej i mocniej, aż w końcu nic z niej nie zostaje... Powiedział mi, że jestem rozpieszczona i chciwa... - Ramiona Pameli zaczęły drżeć. - I że im szybciej wyjdiesz za mąż, tym lepiej, bo inaczej staniesz się taka jak ja i doprowadzisz go do szaleństwa swoimi żądaniami...

- Tak powiedział?

- Mówił różne straszne rzeczy, kochanie, pewnie pod wpływem alkoholu. Nigdy go takim nie widziałam, przysięgam. Teraz tamten obraz jego twarzy będzie prześladował mnie do końca życia...

Celestria siedziała w milczeniu, lekko marszcząc brwi. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że matka zburzyła cały jej świat i zepchnęła ją na dno ciemnej jaskini, z której nigdy nie zdoła się wydobyć. Z trudem przełknęła ślinę, starając się nie zwracać uwagi na obolałe gardło.

- Zabił się, żeby nas ukarać? - zapytała zdławionym głosem. - Dlatego że za dużo od niego wymagaliśmy? Przecież nasze wymagania względem niego to nic w porównaniu z piekłem, na które nas skazał, prawda?

Ksiądz Dalglish mówi, że samobójstwo to śmiertelny grzech i że tata poszedł prosto do piekła...

- Naprawdę? Monty jest w piekle?

- Nie wiem, dlaczego patrzysz na mnie / takim zdziwieniem... Nie wierzysz w piekło i niebo, więc czemu się tym przejmujesz...

- Nie, nie wierzę! - Pamela zaśmiała się cynicznie. - Nie ma żadnego piekła, są tylko inni ludzie!

Celestria podniosła się z ciężkim westchnieniem.

- Nie zapomnij wysłać depeszy do dziadka, mamó... Powinien wiedzieć, co się stało. Sama zaraz do niego napiszę.

Po południu Celestria usiadła przy biurku stryja Archiego i wysunęła lewą górną szufladę. Wewnątrz, równo ułożone, leżały kartki papieru z adresowym nadrukiem oraz karty do korespondencji. Próbowała wyobrazić sobie stan ducha ojca, gdy siedział tu w środku nocy, zastanawiając się, co napisać w ostatnim liście. Nadal uważała, że jeśli ktoś zamierza rozstać się z życiem, to pragnie wyjaśnić rodzinie powody swojej decyzji i zapewnić najbliższym przynajmniej niewielką dozę spokoju ducha. Tymczasem jej ojciec napisał tylko dwa pozbawione większego sensu słowa... Co miała mu wybaczyć? Że odebrał sobie życie? Że skazał rodzinę na wielkie cierpienie? Że pokłócił się z żoną? Że powiedział takie straszne rzeczy o córce, która, nawiasem mówiąc, była zdeterminowana żyć inaczej niż matka?

Przypomniała sobie, jak stał przy oknie, w miejscu, gdzie znalazła go podczas balu. Rzeczywiście wyglądał wtedy inaczej niż zwykle, był poważny i pełen niepokoju. Twarz nosiła wyraz bezwzględności, który obudził lęk w jej sercu. Na jej widok rysy mu złagodniały i tamten nieznany Monty znowu przeistoczył się w pogodnego, wesołego ojca, którego tak kochała. Powoli zaczęła układać w całość fragmenty swoich rozmów z matką oraz ciotką Julią, a także chwile, kiedy niepostrzeżenie przyglądała się ojcu. Była więcej niż pewna, że gdy cała rodzina beztrząsco cieszyła się letnimi wakacjami, Robert Montague ukrywał jakiś mroczny sekret.

Wyjęła z szuflady kartę i wybrała jedno z leżących na tacy piór.

„Kochany Dziadku”, zaczęła. „Stało się coś straszego i potrzebuję Twojej pomocy...”.

Elizabeth Montague stała przy oknie w saloniku księdza Milesa i wpatrywała się w ogród. Palcami jednej ręki mocno ścisnęła główkę laski, a jej twarz była zeszywniała z oburzenia. Ksiądz Dalglish podsunął jej krzesło, ale nie chciała usiąść.

- Mój syn nie umarł - oznajmiła, nie patrząc na duchownego.

Wyczuła malujące się na jego twarzy współczucie, którego nienawidziła, ponieważ w ogóle nie odróżniała go od litości.

- Nie poznał ksiądz mojego syna, prawda?

- Nie miałem tej przyjemności, pani Montague...

- W takim razie pozwól ksiądz, że opowiem mu o Robercie. To wyjątkowy człowiek, wspaniały syn i mąż, ojciec, brat i przyjaciel. Nigdy nie zawiódłby nas w tak straszny sposób, nie leży to w jego naturze. Robert jest jak jasna gwiazda, wszyscy go kochają. Dam sobie rękę uciąć, że w całym Pendrift nie ma osoby, która ma o nim złą opinię. Wszyscy darzą go największą sympatią i szacunkiem, więc dlaczego ktoś taki miałby odebrać sobie życie?

Podbródek starszej pani zadygotał, ale natychmiast zapanowała nad wzruszeniem i zacisnęła szczęki.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie... - rzekł ksiądz.

- Jest człowiekiem sukcesu, wszystko, czego dotknie, obraca się w złoto. Ma ten specyficzny urok, podobnie jak wcześniej jego ojciec, a teraz mały Bouncy i Celestria, chociaż nie mam pojęcia, po co charyzma dziewczynie tak powierzchownej jak moja wnuczka... Tylko się zmarnuje. Pewnie ksiądz nie wie, że Robert zarobił pierwsze wielkie pieniądze jako bardzo młody człowiek... Zjeździł cały świat, starając się dowieść swojej wartości. Archie wszedł w bezpieczną niszę, którą przygotował mu mój mąż. Przeznaczenie związało przyszłość Archiego z Pendrift, natomiast Robert musiał wyruszyć na podbój świata... Nigdy nie wątpiłam, że powróci z tarczą, w chwale zwycięzcy. Robert ma więcej zdolności, inteligencji

i dowcipu niż pozostała dwójka moich dzieci razem wzięta... Namówił nas, żebyśmy zainwestowali w produkcję cukru w Brazylii. Nie zawahaliśmy się i szybko okazało się, że dobrze zrobiliśmy, pokładając ufność w Robercie, bo dzięki niemu staliśmy się bogaci... - Elizabeth utkwiała zaczerwienione oczy w twarzy księdza. - Wiem, że matka powinna kochać wszystkie swoje dzieci jednakowo, ale ja najmocniej kocham Roberta... Ten chłopak jest moją prawdziwą chlubą... Ksiądz Miles nie wiedział, co powiedzieć. Zmieszany i niepewny, splótł palce obu dłoni, gdy tymczasem imponująca starsza pani wpatrywała się w niego z dumnie podniesioną głową. Pragnął, aby Bóg podsunął mu właściwe słowa, które mogłyby przynieść Elizabeth pociechę, ale nic nie słyszał.

- Wszystko jest w ręku Boga... - zaczął z wahaniem.

- Być może... - Elizabeth znowu odwróciła się twarzą do okna. - Spodziewałam się, że przeżyję mojego męża, lecz nie syna... Nie moje najmłodsze dziecko, mojego ukochanego Roberta... Nie, nie jestem w stanie tego zaakceptować. Gdyby miał jakieś kłopoty, na pewno by mi o tym powiedział. Jestem jego matką, przyszedłby do mnie ze swoimi problemami...

- Możemy tylko modlić się o jego ocalenie.

- Modlitwa... - prychnęła wzgardliwie. - Jestem pobożna, stale się modlę i co mi to dało? - Przeszła obok księdza, kierując się w stronę drzwi. - Miałam raczej nadzieję, że zrobi ksiądz jakiś cud...

- Bardzo chciałbym, ale...

- Cóż, skoro nie umie ksiądz przemienić wody w wino, niech się ksiądz przynajmniej modli - przerwała mu. - Ja także będę się modlić, razem z całą moją rodziną. Robert jest teraz w rękach Boga. Nic więcej nie możemy zrobić.

Minęły trzy dni i nadal nikt nie natknął się na żaden ślad, wskazujący na fakt życia lub śmierci Roberta Montague. Pendrift pograżyło się w żałobie. Ludzie przestali wątpić w samobójstwo Monty'ego i nie snuli żadnych intrygujących teorii, nawet w pubie „Snout & Hound”, tej wylegarni plotek oraz intryg. Roberta opłakiwała cała rodzina z wyjątkiem Elizabeth, która nadal stanowczo twierdziła, że żadne z jej dzieci nie popełniłoby samobójstwa.

Ksiądz Dlagleish większość czasu poświęcał teraz na rozmowy z mieszkańcami miasteczka. Powietrze w jego saloniku przesiąknięte było zapachem perfum zapłakanych kobiet, z których każda kochała Monty'ego, nie jako kochanka, lecz jako dobrego, szlachetnego człowieka, zupełnie pozbawionego egoizmu. Dlaczego ktoś, kto miał tyle powodów, aby żyć, zdecydował się umrzeć, pytały. Ksiądz Miles odpowiadał, jak umiał, wykorzystując wiedzę i umiejętności zdobyte w seminarium. W rezultacie tych wizyt zaczął lepiej rozumieć mężczyznę, którego wszyscy nazywali „panem Mon ty”. Robert Montague potrafił trafić do serca każdego. Czasami po prostu gawędził z kimś w pubie, byli jednak i tacy, jak mały Rewan

Craddick, za którego leczenie płacił z własnej kieszeni. Nie ulegało wątpliwości, że dzięki panu Monty'emu życie wielu osób stało się lepsze. Ksiądz Miles ze wszystkich stron słyszał wyrazy podziwu i wręcz uwielbienia pod adresem Monty'ego, nie mógł więc pojąć, co skłoniło go do podjęcia takiego kroku. Dlaczego ktoś, kto miał tyle powodów, aby żyć, zdecydował się umrzeć, powtarzał w duchu pytanie, które słyszał tak często.

W czwartek rano odwiedził go niespodziewany gość.

Ksiądz siedział przy biurku, zajęty korespondencją, na którą w ostatnich dniach brakowało mu czasu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Z piersi duchownego wyrwało się ciężkie westchnienie. Kolejna zrozpaczona dusza, którą trzeba pocieszyć, pomyślał, odkładając pióro.

- Proszę! - zawołał.

Do pokoju wsunął głowę młody wikary, ksiądz Howel Brock.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale w saloniku czeka jakaś pani... Mówi, że to ważne.

- Jak się nazywa?

- Nic przedstawiła się, powiedziała tylko, że przyszła w prywatnej sprawie... - Ksiądz Brock uniósł brwi. - Zasłania twarz rondem kapelusza i przeciwsłonecznymi okularami. Bardzo tajemnicza osoba...

Ksiądz Dalglish poczuł zaciekawienie. Podniósł się, poprawił kamizelkę i poszedł do salonu. Pani Hoddel myła podłogę w korytarzu, machając zniszczonym mopem. Na widok księdza wyprostowała się i oparła na kiju, wycierając brudną rękę w kwiecisty fartuch.

- Czeka na księdza sama Greta Garbo! - zachichotała.

Ksiądz Miles zignorował tę uwagę i otworzył drzwi.

Nieznajoma siedziała na brzegu kanapy, trzymając na kolanach drzemiącego kudłatego pieska. Uderzająco piękna, miała na sobie doskonale skrojony czarny kostium i czarne pantofle z krokodylej skóry. Na szyi nosiła naszyjnik z pereł i brylantów. Niewielki kapelusik przypięła szpilkami z boku głowy, z ron-

da spływała cieniutka jak mgiełka woalka, która przesłaniała jej oczy. Na widok wchodzącego nie uśmiechnęła się, zdjęła jednak ciemne okulary, ukazując lodowatozimne błękitne źrenice. Serce księdza Milesa natychmiast zabiło mocniej. Czekająca na niego kobieta była bardzo podobna do swojej córki.

- Nazywam się Pamela Bancroft Montague - powiedziała z amerykańskim akcentem. - Jestem żoną Roberta...

Wypowiadając imię męża, spuściła oczy, aż jej długie czarne rzęsy musnęły policzki. Była starannie umalowana, lecz puder i szminka nie mogły zamaskować przygnębienia. Dłonią w rękawiczce lekko głaskała pieska.

- Bardzo pani współczuję z powodu straty męża... - odezwał się ksiądz, siadając w fotelu naprzeciwko gościa.

Pamela wzięła głęboki oddech i potrząsnęła głową.

- Mój mąż był katolikiem, jak z pewnością ksiądz wie...

- Tak jest.

- Natomiast ja nie wyznaję żadnej religii... Jestem ateistką.

- Nie wierzy pani w Boga?

- Nie wiem... - wymamrotała, starając się nie patrzeć mu w oczy.

- W takim razie jest pani agnostyczką - uśmiechnął się ksiądz.

- To nie brzmi aż tak źle, prawda?

- Bóg istnieje, pani Bancroft Montague, niezależnie od tego, czy wierzy pani w Niego, czy nie. I czeka cierpliwie, aż otworzy pani swoje serce i oczy. Jego miłość jest bezwarunkowa.

- Chcę wierzyć, naprawdę...

W korytarzu szczotka cicho stuknęła o drzwi.

- Wszystko, co mówię, zostanie między nami, tak? - zaniepokoiła się Pamela.

- Oczywiście.

- Wolę, żeby rodzina męża nie dowiedziała się o mojej wizycie u księdza...

- Chwileczkę... - Ksiądz Miles wstał i szybko poszedł do drzwi.

Kiedy je otworzył, czerwona jak burak pani Hoddel o mało nie wpadła do środka. Wprostowała się pośpiesznie i wygładziła fartuch.

- Może byłaby pani tak dobra i zaparzyła herbatę - zaproponował ksiądz. - Sprzątanie korytarza może poczekać, zauważyłem natomiast, że w gabinecie jest mnóstwo kurzu... Zajmie się tym pani, prawda?

- Mogę pościierać kurz tylko dookoła książek księdza... -wymamrotała z irytacją pani Hoddel.

- Przepraszam, że nie zdążyłem jeszcze ich wszystkich poukładać.

- Jak tam sobie ksiądz chce... - Gospodyni schyliła się i podniosła metalowe wiadro z brudną wodą. - Całe to sprzątanie nie służy moim plecom...

Odchodząc, zdążyła jeszcze zajrzeć do saloniku, gdzie tajemnicza kobieta siedziała na kanapie, zwrócona plecami do drzwi.

- Nie mam się do kogo zwrócić - podjęła Pamela, kiedy ksiądz Miles wrócił na swoje miejsce. Muszę być silna dla dobra dzieci...

- Celestii i Harry'ego...

- No tak, poznał ich ksiądz... Tamtego dnia, gdy przyjechał ksiądz na lunch, miałam potworną migrenę. Czasami cierpię na tę dolegliwość. Tak czy inaczej, Monty był moją skałą, proszę księdza, a teraz, kiedy go zabrakło, czuję się okropnie osamotniona...

- A rodzina męża?

- Wszyscy oni są strasznie brytyjscy, jeśli ksiądz wie, o co mi chodzi...

Penelope zachowuje się tak, jakby nic się nie stało, Milton jest teraz bardziej milczący niż kiedykolwiek, a Archie nigdy nie był specjalnie silny. Julia, jego zona, jest równie wstrząśnięta jak ja, ale ona także zachowuje się w bardzo dystyngowany sposób, jak przystało osobie z rodziny Montague... Tylko ja obnażam przed nimi swoje uczucia i może dlatego mam wrażenie, że jestem dla nich ciężarem...

- Jak znoszą tę sytuację dzieci?

- Harry jest jeszcze w tym wieku, że łatwo odwrócić jego uwagę od poważnych problemów, na szczęście, lecz Celestria wymyśliła sobie, że jej ojciec został zamordowany. Nie należy się temu specjalnie dziwić, prawda? Dziewczynki zawsze uwielbiają ojców, w każdym razie większość dziewczynek...

Pamela spuściła wzrok.

- Celestria wspominała o dziadku, który mieszka w Nowym Jorku - odezwał się ksiądz po chwili milczenia. - Rozumiem, że to pani ojciec...

- Tak, to mój ojciec! - Twarz Pameli przybrała nagle twardego wyraz. - Mam do niego dość skomplikowany stosunek, natomiast Celestria kocha go całym sercem. Na czas wojny wywiozłam ją do Ameryki, Harry'ego nie było jeszcze na świecie, więc pojechałyśmy tylko we dwie. Ojciec nigdy nie był mi szczególnie bliski, wiecznie nie miał czasu i sądził, że prezenty zrekompensują mi jego nieobecność. Był zbyt zajęty robieniem pieniędzy, poza tym zawsze chciał mieć syna... Richard Bancroft III mógłby przejąć po nim biznesowe imperium. Cóż, urodziła mu się Pamela, nie upragniony syn... Myślę, że kiedy w jego życiu pojawiła się Celestria, wiedział już, co wcześniej stracił, bo dosłownie zasypywał ją oznakami miłości i zachwytu... - Zaśmiała się gorzko. - Nigdy mu tego nie wybaczyłam, ale Celestria nadal uważa dziadka za najważniejszą osobę... - Zawiesiła nagle głos, przypomniawszy sobie, gdzie się znajduje. - Jej zdaniem mój ojciec to chodzący ideał.

- Teraz na pewno nie widujecie się zbyt często...

- Do niedawna co roku spędzaliśmy z nim tydzień w śmiesznie ekstrawaganckim zamku, który kupił w Szkocji, ale ja źle znosiłam to przenikliwe zimno, podobnie jak moja matka - ona także woli unikać tego miejsca i zostaje w Ameryce. Na cały lipiec wyjeżdżaliśmy do Nantucket, gdzie jako dziecko spędzałam wszystkie wakacje, lecz ostatni raz byliśmy tam dwa lata temu. Krótko mówiąc... - Penelope zawiesiła głos, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć dalej.

- Celestria musi bardzo tęsknić za pani ojcem...

- Kiedy pod koniec wojny wróciliśmy do Londynu, była po prostu zrozpaczona. Nie poznała własnego ojca i strasznie brakowało jej dziadka, ale Monty ze wszystkich sił starał się nawiązać z nią kontakt i ostatecznie odniósł sukces. Tak, Monty miał ogromny urok, nie można było go nie kochać... - ściszyła głos. - Londyn był szarym miastem w porównaniu z Nowym Jorkiem, nadal obowiązywała tu reglamentacja towarów i tak dalej... Trudno było nam przystosować się do nowych warunków. A później urodził się Harry... Mój kochany Harry... - Oczy Pameli rozbłysły miłością. - Harry także bardzo kochał ojca, ale od początku był moim małym synkiem... Dzieci potrafią radzić sobie w życiu, prawda? Harry nie płacze zwinięty w kłębek w kącie łóżka, a ja tak... Znowu biega do lasu z kuzynami, zastawia pułapki na szkodniki i poluje na króliki z Davidem. Zastanawiam się tylko, o czym myśli w nocy, kiedy nic nie rozprasza jego uwagi...

- Często wydaje nam się, że dzieci łatwiej znoszą śmierć bliskich niż dorośli, ale to nie znaczy, że się nie boją. Sięgają po prostu po inne sposoby, aby stłumić rozpacz i tęsknotę, to wszystko...

- Serce mi krwawi na myśl o tym, ile Harry wycierpiał przez mojego męża. Czy Monty w ogóle nie zastanawiał się nad tym w tę noc, kiedy postanowił odebrać sobie życie? To chyba najbardziej egoistyczny uczynek, jaki można sobie wyobrazić... Moje dzieci zostały bez ojca, a ja jestem wdową... - Rozpląkała się. - Na dodatek czerń to nie mój kolor...

- Pani Bancroft Montague... - zaczął ksiądz Dalglish, lecz przerwał mu melodramatyczny szloch Pameli.

- Co ja mam teraz zrobić? Jak dalej żyć? Powinien był zabrać mnie ze sobą!

- Musi pani myśleć o dzieciach. Właśnie teraz potrzebują pani bardziej niż kiedykolwiek!

- Nikt nie ma ze mnie żadnego pożytku, taka jest prawda! Jestem beznadziejną matką... - Otworzyła czarną torebkę, wyjęła z niej białą chusteczkę i osuszyła nią oczy. - Widzi ksiądz, Monty'ego nigdy nie było w domu, ciągle podróżował

w interesach. Zaraz po ślubie wyglądało to zupełnie inaczej... Inwestował w jakieś przedsięwzięcie, które przynosiło mu dużo pieniędzy albo nie, ale byliśmy razem. Dopiero po wojnie założył biuro w Paryżu i zaczął spędzać pół tygodnia tam, a drugie pół w Londynie. Po pewnym czasie okazało się, że musi wyjeżdżać na cały tydzień, potem z tygodnia zrobiły się dwa tygodnie i Monty stał się naprawdę trudno uchwytny. Nigdy nie udawało mi się z nim skontaktować. Później wracał i starał się być dobrym ojcem i mężem, i pod wieloma względami faktycznie nie można było na niego narzekać. Kupował mi wspaniałe prezenty, mówił, jaka jestem piękna, zabierał Celestrię na podwieczorki do Fortnums, a Harry'ego do sklepu z zabawkami, gdzie fundował mu nową kolejkę czy coś takiego... Był doskonały, a jednocześnie straszliwie niedoskonały. Gdy teraz wracam myślami do tamtych chwil, uświadamiam sobie, że Monty tylko ślizgał się po powierzchni życia naszej rodziny i nigdy nie wnikał głębiej, bo nie poświęcał nam czasu i nie dzielił się z nami swoimi myślami. Zawsze był taki... - przerwała, szukając właściwego określenia.

- Taki zdystansowany, zupełnie jakby sercem i umysłem przebywał gdzie indziej, a przy tym czarujący, zabawny, dowcipny, po prostu dusza każdego przyjęcia i balu... Zazdrościły mi wszystkie żony w Londynie, proszę mi wierzyć... Tymczasem rzeczywistość była znacznie mniej wspaniała... - Westchnęła i subtelnie pociągnęła nosem. - Zależało mi tylko na tym, żeby był z nami, ale jego rozmaite przedsięwzięcia rozwijały się w różnych miejscach, więc spędzał coraz więcej czasu w Paryżu... Czasami miałam wrażenie, że nie ma takiego biznesu, którym Monty nie byłby zainteresowany. Może nie powinnam mu tego zazdrościć, bo rzeczywiście bardzo ciężko pracował - dla nas... Pewnie ksiądz pomyśli, że jestem przerażająco zepsuta, ale często wydawało mi się, że mój mąż znacznie więcej daje z siebie prawie obcym ludziom niż nam...

- Wcale nie sędzę, żeby była pani zepsuta - powiedział spokojnie duchowny. - Myślę tylko, że jest pani zagubiona, to wszystko...

- I jak mam się teraz odnaleźć? - Pamela stłumiła szloch. - Nie wiem nawet, gdzie szukać...

- Bóg pani pomoże.

- Skoro nie mogę Go zobaczyć, to skąd mogę mieć pewność, że będzie przy mnie?

- Proszę zamknąć oczy i zajrzeć w głąb swojego serca...

- Wszyscy mi to powtarzają! Jak mam zajrzeć do swojego serca? Nie mam przecież oczu wewnątrz głowy!

Ksiądz o mało się nie roześmiał, lecz Pamela mówiła najzupełniej poważnie.

- Kiedy następnym razem zobaczy pani piękny zachód słońca, proszę zatrzymać się na chwilę, żeby popatrzeć na niebo. To samo dotyczy cudownych widoków, zapierającego dech w piersiach świtu, ptaków śpiewających pod koniec dnia... Kiedy pani serce wypełni pełen wzruszenia zachwyt nad przyrodą, proszę zwrócić myśli ku Temu, który to wszystko stworzył. Proszę przystanąć i powiedzieć: „Otwieram przed Tobą serce. Boże, abys mógł wypełnić mnie swoją miłością i uleczyć moje rany”.

Pamela pociągnęła nosem, schowała chusteczkę i zamknęła torebkę.

- Spróbuję... - rzekła cicho. - Mam nadzieję, że Bóg zdoła odnaleźć wszystkie potrzaskane kawałki mojego serca...

Pani Hoddel zapukała i weszła do pokoju, uginając się pod ciężarem tacy z filiżankami i dzbankiem, przykrytym żółtą serwetką, którą sama zrobiła na drutach. Ksiądz zerwał się z fotela i pośpieszył gospodyni na pomoc.

- Odpocznę teraz trochę, jeżeli ksiądz nie ma nic przeciwko temu - oświadczyła. - Wczoraj sprzątnęłam księdza gabinet i nie mam ochoty przechodzić przez to ponownie, dopóki nie będzie takiej konieczności. Chętnie wypiłabym filiżankę herbaty, bo naprawdę porządnie się zmęczyłam...

Utkwiła wzrok w tajemniczym gościu z nadzieją, że uda jej się wciągnąć kobietę w czerni do rozmowy. Ksiądz Milest z trudem wypchnął ją za drzwi.

- Z całą pewnością powinna pani napić się herbaty

oświadczył z przekonaniem. - Bardzo dziękuję, że przyniosła nam pani filiżanki i dzbanek.

Pani Hoddel wróciła do kuchni bardzo niezadowolona i zjadła spory kawałek ciasta. Ksiądz Dalgleish opuścił salon dopiero po godzinie, aby odprowadzić panią Bancroft Montague do drzwi.

- Będzie tu pani mile widziana zawsze, gdy uzna pani, że potrzebuje pomocy czy rady - rzekł. - Może zdecyduje się pani przyjść na niedzielną mszę, serdecznie zapraszam... Myślę, że w kościele znajdzie pani prawdziwą pociechę.

Pamela odwróciła się i ujęła oburącz dłoń księdza.

- Powinien ksiądz wiedzieć, że nie jestem dobra...

- Nie osądzam ludzi, proszę pani. Nie mam do tego prawa ani chęci.

Staram się wskazać im właściwą drogę, i tyle... Wszyscy jesteśmy grzesznikami.

- Ucho igielne, i tak dalej! - odparła, śmiejąc się cicho.

- Więc jednak zna pani Pismo Święte!

- Trochę... - uśmiechnęła się. - Trudno się z nim nie osłuchać w rodzinie takiej jak moja...

Kiedy wyszła na drogę, ze zdziwieniem odkryła, że czuje się znacznie lepiej.

Nikt nie miał ochoty zająć się skomplikowanym zadaniem, jakim było porządkowanie spraw Monty'ego, a już zwłaszcza Pamela, która wolałaby zaszyć się w jakiejś bezpiecznej norze i jak niedźwiedź przespać czas do wiosny. Tak czy inaczej, problem rozwiązał się sam, a raczej rozwiązał go telefon od adwokata rodziny, pana Scrunthera, który poprosił o jak najszybsze spotkanie. Od zniknięcia Monty'ego minął już ponad tydzień, nie natrafiono na żaden nowy trop. Wszelki ślad po Montym zaginął wśród fal, razem z tajemnicą jego ostatnich chwil, na zawsze zapieczętowaną na skalistym dnie morza.

Biuro adwokackie pana Scrunthera znajdowało się w pobliskim mieście Newquay, na głównej ulicy, nad lokalem agencji nieruchomości, specjalizującej się w wynajmowaniu ślicz-

nych nadmorskich domków. Pameli i Celestii towarzyszył Archie, ponieważ żadna z kobiet nie miała pojęcia o interesach Monty'ego. Archie był poza tym wykonawcą testamentu brata, chociaż Monty nie można było oficjalnie uznać za zmarłego, ponieważ nie udało się odnaleźć jego ciała. Dopiero po zakończeniu dochodzenia należało zwrócić się do sądu z prośbą o wystawienie świadectwa zgonu. Monty zachował się bardzo nieodpowiedzialnie. Jeżeli już chciał popełnić samobójstwo, mógł przynajmniej zadbać, aby rodzina mogła spokojnie pochować jego ciało.

Adwokat przywitał przybyłych ze smutną miną, ucisnął im dłonie i z zaobfitej siwej brody wymamrotał wyrazy współczucia.

- Co za smutny dzień... - rzekł, wprowadzając ich do słabo oświetlonego, pachnącego wilgotną wełną i dymem z cygar gabinetu. - Pamiętam pana Montague jeszcze z czasów, kiedy jako bardzo młody człowiek wyruszał do Brazylii na poszukiwanie złota. Nie brakowało mu wtedy odwagi. Któż mógłby przewidzieć taki koniec jego życia...

- Szkoda, że nie zechciał stawić czoła trudnościom, jakiegokolwiek one były - powiedział Archie, siadając.

Pan Scruther sztywnym krokiem podszedł do swego krzesła. Kornwalia nie nadawała się na miejsce zamieszkania dla cierpiącego na artretyzm... Usiadł ostrożnie i oparł się o skórzane obicie, guziki kamizelki o mały włos nie trzasnęły pod naporem jego wydatnego brzucha. Zdjął okrągłe okulary, starannie wyczyścił je białą ściereczką i dopiero wtedy umieścił z powrotem na dużym, przypominającym kartofel nosie.

- Z przykrością muszę powiadomić, że pan Montague miał całe mnóstwo problemów - oświadczył.

Wyglądał jak dyrektor szkoły, który omawia wybryki trudnego dziecka z jego rodzicami.

- Monty? - odezwała się Pamela. - Mnóstwo problemów? Adwokat pochylił się nad stołem i otworzył dużą czarną teczkę, następnie uniósł głowę i spojrzał na klientów znad po-

każnego nosa, na którego czubku rosła malutka kępka kręconych siwych włosów.

- Z pewnością wiedzą państwo, że firma Imperial Amalgamated Investments zakończyła działalność dwa lata temu... - przerwał, słysząc, jak Pamela gwałtownie wciąga powietrze.

- Firma Monty'ego zakończyła działalność? - powtórzył Archie z przerażeniem i spojrzął na Pamelę. - Wiedziałaś coś o tym?

- Nie... - Pamela zmarszczyła brwi, wyraźnie zaskoczona. - Musiał założyć jakieś nowe przedsiębiorstwo, bo przez ostatnie dwa lata harował jak niewolnik...

Pan Scrunther pokręcił głową i obrzucił ich uważnym spojrzeniem znad okularów.

- Inne jego firmy zostały zlikwidowane w ciągu ostatnich sześciu miesięcy - oznajmił. - Mówię o Buckingham Trust Company oraz St James's Holding Company. Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć, pani Montague, ale pani mąż był poważnie zadłużony...

- To chyba jakaś pomyłka! - przerwał adwokatowi Archie. - Przecież zaledwie dwa tygodnie temu Monty wyjechał w interesach do Paryża!

- Mówił, że zarządza milionowym funduszem! - zawołała Pamela. - Chyba nie mógł stracić tak ogromnej sumy?!

Prawnik znowu pokręcił głową.

- Stracił większość na giełdzie - wyjaśnił. - Wszyscy inwestorzy stracili pieniądze. Pozostałą sumę wycofał sam...

- Co z nią zrobił? - zapytała Pamela.

- Niestety, tego nie mogę pani powiedzieć, ponieważ nie posiadam takich informacji. Pani małżonek odwiedził mnie w przedostatni czwartek.

Chciał uporządkować swoje sprawy na wypadek przedwczesnej śmierci. Oczywiście ani przez chwilę nie podejrzewałem, jakie są jego intencje...

- Był u pana w przeddzień balu? Co mówił?

Pamela popatrzyła na Celestrię, która siedziała nieruchomo, chłonąc każde słowo. Zaciśnięte usta tworzyły ponurą li-

nię; ich wyraz nie złagodniał nawet w chwili, gdy odwzajemniła spojrzenie matki.

- Był zdenerwowany, powiedział, że wszystko stracił. Może właśnie taki był cel jego ostatniej wyprawy do Paryża, zamierzał sprawdzić, co ewentualnie da się uratować...

- Dlaczego nic mi nie powiedział? - Pamela skuliła się na krześle. - Skoro wszystkie jego firmy zbankrutowały, to z czego ostatnio żyliśmy, do diabła?

- Z oszczędności, inwestycji... - Pan Scruther przerwał. - Kiedyś pani mąż dysponował dużym majątkiem...

- I gdzie się to wszystko podziało? Adwokat wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, ile sam mi powiedział - że nic mu nie zostało.

- Cóż, to tłumaczy, dlaczego odebrał sobie życie - odezwała się Celestria.

- Nie mógł znieść świadomości, że nas zawiódł. Wszyscy bez przerwy opowiadają o wspaniałym Montym, o tym, jak to bezinteresownie pomógł im wydobyć się z kłopotów? Tyle że sam wpakował się w monstrualne problemy. Ojciec nie potrafił odmawiać. Zaproponował nawet, że sfinansuje twoje urodzinowe przyjęcie, stryju Archie! Archie spojrzał na nią ze zdziwieniem. Julia dotrzymała słowa.

- Tak, mniej więcej tydzień przed balem podsłuchałam rozmowę taty i cioci Julii w bibliotece... Ciocia Julia płakała, a tata naturalnie zaoferował jej pomoc...

- Monty przybywa na ratunek... - mruknął Archie, głośno wciągając powietrze przez nos.

Nie znosił mówić o swoich kłopotach w obecności obcych i czuł się upokorzony, że jego żona błagała kogoś o pieniądze.

- Płacił też rachunki za pobyt w szpitalu syna pani Crad-dick - ciągnęła Celestria. - Wygląda na to, że tata troszczył się o wszystkich z wyjątkiem siebie...

- Pomagał innym? Ale z czego? Przecież, nie miał już pieniędzy! - Nagle krew odpłynęła z twarzy Pameli, jej szczęka opadła, a usta otworzyły się niczym paszcza rekina. - O, mój

Boże! - wykrzyknęła z przerażeniem. - Wydał też moje pieniądze! Jestem tego pewna! Pan Scrunther odchrząknął.

- Dwa lata temu pani mąż przepisał dom w Belgravii na pani imię, unikając w ten sposób podatku spadkowego na wypadek swojej śmierci.

- Czy zrobił to w czasie likwidacji firmy Imperial Amalgamated Investments? - spytał Archie.

- Tak.

- Dobrze, że przynajmniej przez chwilę o nas pomyślał! - prychnęła Pamela. - Nie zniosłabym świadomości, że lada chwila znajdziemy się bez dachu nad głową!

- Śmierć pana Montague panią całkowicie zaskoczyła, wydaje mi się jednak, że on starannie wszystko zaplanował. Bardzo mi przykro, że nie poinformował państwa o swojej sytuacji finansowej... - Prawnik podrapał się po brodzie. - Może ja powinienem był to zrobić...

- Nie mógł pan zawieść zaufania, jakie pokładał w panu mój brat - uspokoił go dyplomatycznie Archie. - Doskonale pana rozumiemy...

- Warto byłoby podjąć to ryzyko, gdyby dzięki temu udało się zapobiec całej tej sytuacji - oświadczył pan Scrunther.

W drodze powrotnej do domu Pamela w milczeniu wpatrywała się w przednią szybę samochodu. Teraz znali już motyw decyzji Monty'ego, chociaż wydawał się on całkowicie niezrozumiały. Archie mocno ścisnął kierownicę i myślał o tym, że nad Pendrift Hall zawisły nagle czarne chmury. Od pewnego czasu zamierzał poprosić Monty'ego o pomoc, lecz teraz ratunek mógł nadejść wyłącznie z Nieba... Jego żona nie zdradziła mu, że już uświadomiła sobie, w jak poważnych tarapatkach się znaleźli. Nie mogła wiedzieć, że on nosił się z tą samą myślą, co ona. Upokarzała go świadomość, że nie poradzi sobie bez Monty'ego, to trochę tak, jakby nagle pozbawiono go męskości, wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia.

Teraz nie miał pojęcia, co robić, do kogo się zwrócić. Celestria obserwowała, jak krople deszczu powoli spływają po szybie. Niebo było szare, ocieźżałe od chmur. Ponura aura spowijała wszystko niczym gęsta mgła. Nikt się nie odzywał, każde z nich tkwiło we własnym świetle, próbując w jakiś sposób przyjąć do wiadomości zdumiewające informacje o człowieku, którego pozornie tak dobrze znali.

- Dlaczego nic mi nie powiedział? - Pamela w końcu przerwała milczenie.

- Doprowadza mnie to do szaleństwa! Gdyby sam się nie zabił, zadusiłabym go gołymi rękami!

- Ale czy potraktowałabyś go ze zrozumieniem, gdyby zwierzył ci się ze swoich kłopotów? - odezwał się Archie, zanim przyszło mu do głowy, że może nie jest to taktowne pytanie.

- Najwyraźniej Monty doszedł do wniosku, że nie! - odparła Pamela. - Nigdy nie wypytywałam go o sprawy finansowe. Mówił, że o biznesie najlepiej rozmawia się z mężczyznami, po kolacji, przy szklaneczce porto. Na pewno miał dosyć takich rozmów w klubie i nie widział potrzeby, aby przynosić pracę do domu...

- Nie wiadomo, czy tata stracił także i twoje pieniądze - powiedziała Celestria. - Zresztą w jaki sposób mógłby zdobyć do nich dostęp?

- Ponieważ założył dla nas wspólny rachunek bankowy i miał dostęp do wszystkich naszych pieniędzy. Ja nigdy nawet nie sprawdzałam stanu konta, po prostu wydawałam jakąś sumę, jeśli miałam na to ochotę. Twój dziadek dał mi pewną kwotę, kiedy wyszłam za męża. W tamtych latach uważało się, że to ogromny majątek, nie przyszło mi nawet do głowy, że kiedykolwiek wydam wszystko. A już z pewnością nie podejrzewałam, że zrobi to mój mąż!

- Zapomniałaś, że trzeba najpierw mieć dowody winy, zanim się kogoś potępi? - zapytała Celestria, wściekła, że matka już oskarża ojca. - To obowiązujące prawo, także i w tym kraju!

- Zadzwoń do banku zaraz po powrocie do domu - po-

wiedział Archie przez zaciśnięte zęby. - Nie martw się, Pamela, dotrzemy do sedna tej sprawy...

- Nie wytrzymam tego, po prostu nie *wytrzymam!* - dramatyzowała Pamela, ocierając łzę z bladego policzka. - Myślałam, że znam człowieka, którego poślubiłam! Straciłam wszystko..., Co zrobimy, jeśli wydał moje pieniądze? Co z czesnym Harry'ego i naszym domem? Jak utrzymamy dom bez pieniędzy, z czego zapłacimy służbie, dobry Boże?! Skończymy na ulicy, w nędzy! Dlaczego Mon ty nie pomyślał o tym, zanim rzucił się do wody?

- Właśnie dlatego się zabił - rzekł Archie. - Bo nie umiał poradzić sobie z tym, że wszystkich zawiódł...

- Co powie na to wasza matka?! - wykrzyknęła Pamela. - Chyba tym razem zabraknie jej słów...

- Nie zamierzam jej o tym mówić - oświadczył Archie. - Po co niepotrzebnie sprawiać jej ból...

Pamela z dezaprobatą uniosła brwi.

- Nie przejmujcie się, sama wezmę na barki jej cierpienie! - rzuciła sarkastycznie.

Archie zgrzytnął zębami. Pamela wystawiała jego cierpliwość na ciężką próbę. Nie wiedział, dlaczego jeszcze nie wybuchnął. Ta kobieta nie miała pojęcia, co to znaczy żyć w nędzy, tymczasem jemu i Julii naprawdę groziła utrata Pendrift Hall. Teraz nie mieli się do kogo zwrócić, a rozpieszczona przez życie Pamela gadała bzdury o biedzie. Czyżby zapomniała o swoim niezwykle bogatym ojcu? Albo może po prostu nie chciała zrezygnować z głównej roli w rodzinnym dramacie... Późnym wieczorem Archie przebrał się w piżamę w swojej garderobie, przylegającej do łazienki Julii, skąd napływały dźwięki klasycznej muzyki z gramofonu i kwiatowy zapach jej olejku do kąpieli. Wszyscy poszli już spać, wyczerpani i emocjonalnie wykończeni. Wstrząs, jaki przeżyła w dniu zaginięcia Bouncy'ego, rozbudził w Julii gorący zapal do zajmo-

wania się synkiem. Czytała mu książeczki, przytulała przy każdej okazji i zaglądała do jego pokoju mniej więcej pięć razy w ciągu nocy.

Samobójstwo Monty'ego było dla wszystkich potwornym ciosem, lecz Arenie wiedział, że jego żona w skrytości ducha dziękowała Bogu, iż morze zabrało jej szwagra, a oszczędziło syna. W jej świadomości oba te wydarzenia były ze sobą nierozzerwalnie związane. Mężczyzna za chłopca, zupełnie jakby pod powierzchnią oceanu czyhał potwór, któremu trzeba złożyć ofiarę, jak w greckim micie.

Powoli wszedł do pokoju Julii. Siedziała przy toalecie i szczotkowała włosy. Jej spojrzenie zagubione było gdzieś w przestrzeni między własną twarzą i lustrem. Na widok męża zamrugła i natychmiast skupiła na nim wzrok.

- Wszystko w porządku, kochany? - spytała, jakby dopiero teraz dostrzegła nękający go niepokój.

Bez słowa skinął głową. Nie ulegało wątpliwości, że nic nie jest w porządku. Julia wstała i podeszła do niego. Nie odsunął się, pozwolił, aby otoczyła go ramionami.

- Chodzi o Pendrift? - wyszeptała.

Archie oddychał nierówno, usiłując zapanować nad rozpaczą.

- Nie wiem, co robić - odparł. - Zawiodłem cię...

- Wcale mnie nie zawiodłeś! Żyłabym szczęśliwie nawet w szalasie, pod warunkiem, że wszyscy bylibyśmy razem!

- Tylko tak mówisz, kochanie... Dobrze wiem, że Pendrift Hall to twoja największa miłość, oczywiście po dzieciach...

Odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy, lekko marszcząc brwi.

- Po dzieciach? Po dzieciach i tobie! Ty jesteś moją największą miłością, Archie! To ciebie kochałam, zanim pojawiły się nasze dzieci, nie pamiętasz już?

- Mówisz mi takie cudowne rzeczy...

- Nie cudowne, tylko prawdziwe. Wolałabym chyba, żebyś sprzedał wszystko, bo wtedy moglibyśmy żyć w spokoju, a nie wśród zmartwień i trosk, prawie nie rozmawiając ze sobą i zapominając, że obok istnieje to drugie...

- Gdybym sprzedał Pendrift Hall, żadne z nas nie byłoby szczęśliwe, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Pendrift jest w naszej krwi, stanowi część naszego istnienia, jest jak jeszcze jedno dziecko. Rozstanie z tym domem byłoby jak amputacja nogi albo ręki, jak wydarcie sobie kawałka serca. Wyobrażasz sobie, że Bouncy, Wilfrid albo Sam mogliby żyć w jakimś innym miejscu? Pendrift to cały ich świat, nie znają innego. Sprzedam raczej wszystkie obrazy i meble niż dom, który jest dla nich tak ważny... Nie, musi istnieć jakieś inne rozwiązanie...

- Zastanawiałam się nad czymś jeszcze, Archie... Niania jest już staruszką i czas pozwolić jej odpocząć. Nie ma to nic wspólnego z tamtym rankiem po balu ani z koniecznością oszczędzania pieniędzy... Chciałabym po prostu sama zająć się Bouncym. Możemy moglibyśmy przeznaczyć dla niani jeden z domków na farmie i wypłacać jej niewielką emeryturę...

Spojrzał na nią niepewnie.

- Naprawdę tego właśnie chcesz?

- Mało brakowało, a straciłabym Bouncy'ego... Bardzo go kocham i nie chcę przegapić ani jednej chwili jego dorastania...

Archie pocałował Julię w czoło.

- Jeżeli tak czujesz, to masz moje całkowite poparcie. Bouncy'emu będzie znacznie lepiej pod opieką matki.

- Bardzo się cieszę, że się ze mną zgadzasz!

- Jestem szczęśliwa, kiedy ty jesteś zadowolona i spokojna, kochanie.

- Znajdziemy jakiś sposób, żeby uratować Pendrift, zobaczysz!

- Nigdy nie wybaczę Monty'emu, że tak nas zdradził... Zostawił po sobie taki piekielny bałagan...

- Wdowę i dwoje osieroconych dzieci... - westchnęła Julia.

- Pamela i dzieci dadzą sobie radę, Richard zabierze ich do tego swojego zamku, ale co z nami?

- Nie myślmy o tym teraz, kochany. - Poprowadziła męża do łóżka. -

Położymy się spokojnie spać, a jutro spróbujemy

coś wymyślić. Kiedy człowiek jest zmęczony, wszystko wydaje mu się o wiele gorsze, niż jest w rzeczywistości. Położymy się i nacieszymy swoją bliskością. Dziękuję Bogn, że nie zabrał mi ciebie albo któregoś z dzieci, jestem Mu taka wdzięczna, że żyjemy i jesteśmy razem... Nic nie ma znaczenia, tylko nasza rodzina...

Leżeli w ciemności, objęci tak, jak w pierwszych latach małżeństwa, zanim dzieci pojawiły w ich życiu i wcisnęły między nich. Julia wtuliła twarz w ciepły zakątek między barkiem i szyją Archiego, a on gładził jej włosy.

- Co ja bym bez ciebie zrobił... - szepnął. - Jesteś bardzo silna i odporna, kochanie... Mam szczęście, że cię spotkałem...

- Nie, oboje mamy szczęście, że los zetknął nas ze sobą. Wszystko się ułoży, zobaczysz... Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło... Po prostu w tej chwili nie widzimy jeszcze wyjścia z naszych trudności, i tyle. Kiedy rano wzejdzie słońce, oświetli wszystko tak jasno, że zrozumiemy, co trzeba zrobić...

- Słońce zawsze świeci, gdy jesteś w pobliżu - rzekł Arenie, całując żonę w czoło. - Nie powtarzam ci tego tak często jak powinienem, ale bardzo cię kocham, staruszeko...

- A ja kocham ciebie... - Zaśmiała się sennie. - Mój ty śmieszny staruszeko...

- Boże, jakież to upokarzające! - jęknęła Celestria.

Wrzucała ubrania do walizki, nie fatygując się, aby je wcześniej poskładać. Lotty i Melissa leżały na łóżku i patrzyły na nią w milczeniu. Nie bardzo wiedziały, jak ją pocieszyć.

- Ojciec przepuścił nie tylko swoje oszczędności, ale także pieniądze mamy! Zostawił nas bez grosza przy duszy, dosłownie! Wydał wszystko, co miałam odziedziczyć, jestem tak wściekła, że zaraz oszaleję!

- Przecież twój dziadek na pewno przyjdzie wam z pomocą... - odezwała się Lotty. - Jest jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce, prawda?

- Oczywiście, że przyjdzie nam z pomocą! Pomoże mamie, ale co ze mną?! Na koncie była suma, którą miałam dostać po rodzicach, a także mój posag! Teraz nie mam nic, jakby wszystko poszło z dymem! Przez ostatnie dwa lata ojciec w ogóle nie pracował, macie pojęcie? Jego firmy zbankrutowały, żył z oszczędności! - Celestria zdarła jedwabne sukienki z wieszaków. - No, te ciuszki raczej mi się już nie przydadzą, bo przecież teraz będę społecznym pariasem!

Wrzuciła je do walizki, w której kłębiły się już pończochy i pantofle.

- Trochę przesadzasz - powiedziała spokojnie Melissa.

- Najprawdopodobniej wkrótce dowiecie się, że jednak wuj Monty zabezpieczył gdzieś jakąś sumę. Nie wierzę, żeby zostawił was bez niczego. Kto miałby opłacać rachunki za szkołę Harry'ego, na przykład?

- Dziadek! - roześmiała się cynicznie Celestria. - Nie zapominajcie, że tata ożenił się z dziedziczką ogromnej fortuny! Może od początku zdawał sobie sprawę ze swojej nieodpowiedzialności, kto wie! Tak czy inaczej, stryj Archie zadzwonił do banku i tam powiedzieli mu, że na koncie nie ma nic oprócz dużego debetu. Nie mogę uwierzyć, że ojciec zabił się z tego powodu! Wyobrażacie sobie, co ludzie powiedzą? Cały Londyn będzie o tym gadał przez parę miesięcy! I kto zechce ożenić się z córką samobójcy, który nie zostawił jej ani grosza?!

- Tragedia doda ci tylko uroku - zauważyła pocieszająco Lotty.

- Wręcz przeciwnie! Moim zdaniem wszyscy będą omijać mnie szerokim łukiem ze strachu, że to choroba dziedziczna, albo, co gorsza, zaraźliwa! Bieda to bardzo nieprzyjemny stan, nie zapominaj o tym, Lotty!

Melissa rzuciła siostrze zaciekawione spojrzenie.

- Babcia bardzo to wszystko przeżywa - rzuciła śpiesznie Lotty, mocno się rumieniając. - Nie chce wierzyć, że wuj Monty mógł coś takiego zrobić. Ciągle siedzi przy oknie i wpatruje się w morze, jakby miała nadzieję, że lada chwila pojawi się na ścieżce przed domem i wyjaśni jej, co się stało...

- Nie żałuj jej. - Celestria podeszła do okna. - Niedługo dołączy do niego po drugiej stronie...

Patrzyła na ocean, na linię horyzontu, gdzie nisko wiszące chmury i mgła łączyły się z grzywiastymi falami i rozpryskującymi się w powietrzu kroplami morskiej wody. Para mew unosiła się na wietrze niczym latawce.

- Nie wydaje mi się, żeby widok morza sprawił mi jeszcze

kiedyś przyjemność - rzekła cicho. - Nigdy nie zapomnę, że zabrało mi ojca i przyniosło nam wszystkim tyle cierpienia... Im szybciej wyjadę do Londynu, tym lepiej...

- Po co ten pośpiech? Harry wraca przecież do szkoły dopiero dziewiątego września!

- Nie mogę tu dłużej wytrzymać - odparła Celestria.

Siostry milczały. Same także miały wkrótce wrócić do Londynu, Melissa do męczącego zajęcia, jakim było szukanie odpowiedniego męża, a Lotty do swojego romansu z Francisem oraz decyzji, którą ostatecznie musiała podjąć.

- Biedny Harry... - westchnęła Lotty, nie chcąc teraz myśleć o własnych sprawach. - Jakie to okropne, tak wcześnie stracić ojca...

- W życiu chłopca powinien być obecny mężczyzna, który daje mu przykład - przytaknęła Melissa.

- Ładny mi przykład! - zadrwiła Celestria, rozpylając wokół siebie obłok perfum i chowając buteleczkę do kosmetyczki.

Pokój na chwilę wypełnił zapach dzwonek, lecz zaraz przez otwarte okno wpadł do środka ostry jesienny wiatr.

- Wszystko się skończyło - ciągnęła Celestria zimnym, pełnym złości głosem. - Lato, nasze dzieciństwo, Kornwalia, cały świat stanął na głowie! Jadę do Londynu, bo chcę przejrzeć rzeczy taty, dowiedzieć się, co jeszcze przed nami ukrywał. Dokąd uciekał przez te dwa lata, kiedy ciągle wyjeżdżał, jakoby w interesach. Mam wrażenie, że w ogóle go nie znałam... - Położyła kosmetyczkę na nieporządnym wzniesieniu rzeczy w walizce. - Usiądźcie na wierzchu, dziewczyny, a ja spróbuję zapiąć suwak... Ta cholerna walizka jest za mała, nic się w niej nie mieści. Zadanie okazało się ponad jej siły. Zapakowała za dużo ubrań, większości nie włożyła na siebie ani razu. W końcu postanowiła zostawić w szafie wszystkie stroje plażowe.

- I tak nie będą mi potrzebne tam, gdzie się wybieram - rzuciła ponuro, przyglądając się, jak Melissa zamyka jej walizkę.

Kiedy zeszła do holu, Soames stanął w progu ze srebrną tacą na listy w ręku.

- Panienko Celestrio, trzeba było wezwać Warrena, żeby zniósł tu tę walizkę - powiedział. - Wygląda na bardzo ciężką...

- I jest ciężka, Soames. Pełna smutków...

- Ach, tak... - odchrząknął. - Mam tu dla panienki z tuzin listów.

- Naprawdę? Pewnie wszyscy ci ludzie piszą, jakim wspaniałym człowiekiem był mój ojciec!

- I mają rację - rzekł Soames, który zawsze darzył Roberta Montague najwyższym szacunkiem.

Celestria prychnęła pogardliwie i wzięła od niego listy.

- Proszę sprawdzić godziny odjazdu pociągów do Londynu, dobrze? Wyjeżdżam dziś wieczorem.

- Tak szybko?

- Na szczęście zostawiam wam mamę! - roześmiała się. Soames nie uznał tej uwagi za zabawną.

W salonie Julia paliła papierosa nad starym albumem ze zdjęciami, Pénélope rozwiązywała krzyżówkę, a Wilfrid, Sam i Harry dopasowywali kawałki układanki, którą Archie zostawił dla nich na obitym aksamitem stoliku do kart. Był to bardzo kojący widok. Gdyby nie tragedia, która kładła się cieniem na każdej przyjemniej chwili, Celestria z radością patrzyłaby na tę emanującą aurą rodzinnej harmonii scenę. Archie, Milton i David wybrali się pograć w squasha ze znajomymi, którzy mieszkali na drugim końcu Pendrift, a mały Bouncy razem z nianią poszedł na podwieczorek do dziecinnego pokoju. Pamela odpoczywała w łóżku razem z Poochim, który ku jej niewypowiedzianej uldze zaczął niedawno skubać ciasteczko.

- Wracam do Londynu nocnym pociągiem - oznajmiła Celestria. -

Dostałam tony listów... - dodała. - No cóż, wszyscy uważają samobójstwo ojca za szczególne wydarzenie...

Julia podniosła wzrok znad zdjęć Monty'ego z okresu dzieciństwa.

- Chcesz jechać dziś wieczorem?

- Tak.

- Sama?

- Tak.

- Czy to rozsądne? - Julia spojrzała na Penelope, całkowicie pochłoniętą wpisywaniem hasła. - Penelope, myślisz, że to rozsądne, aby Celestria sama jechała do Londynu?

Penelope podniosła głowę i popatrzyła na dziewczynę znad okularów.

- My wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu - powiedziała. - Zaczekaj trochę, pojedziemy wszyscy razem...

- Nie mogę czekać. - Celestria z rozmachem padła na fotel i zaczęła przekładać listy, jakby tasowała talię kart. - Uważacie, że powinnam je otworzyć, czy lepiej nie, bo wzruszę się do łez?

- Co na to twoja matka? - nie ustępowała Julia.

- Na co? - Celestria wybrała kopertę zaadresowaną najładniejszym charakterem pisma i rozdarła ją.

List napisała pani Wilmotte.

- Na twój pomysł wyjazdu do Londynu...

- Nie mówiłam jej, nie sądzę zresztą, by ją to obeszło. Mama myśli wyłącznie o sobie. Nie sądzę, żeby teraz przez dłuższy czas chciała ruszyć się z łóżka!

- Nie wydaje ci się, że może cię potrzebować? - zapytała Penelope.

- Nie. Tak czy inaczej, ma przecież tego swojego cholernego kundla, prawda? Zaczął dzisiaj jeść, więc chyba wszyscy powinniśmy skakać z radości!

Julia wyczuła w Celestria paskudny, mroczny gniew. Pożałowała nagle, że nie ma u swego boku Archiego, który mógłby ją wesprzeć. Co takiego zamierzała robić Celestria sama w Londynie? Nie miała przecież pieniędzy, żeby wybrać się na zakupy na Bond Street...

- Słuchajcie, dobrze wiem, co na ten temat sądzicie - ciąg-

nęła dziewczyna. - Uważacie, że jestem zrozpaczona i wstrząśnięta, i w zasadzie macie słuszność. Tak, jestem wstrząśnięta. Tata kompletnie nas zawiódł. Nie możemy wyprawić mu pogrzebu, bo nie ma ciała. Nie możemy nawet uznać go za zmarłego, dopóki jakiś przekłety sąd nie wystawi aktu zgonu. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zastrzelił się albo coś w tym rodzaju... Wtedy mielibyśmy przynajmniej zwłoki, które można włożyć do trumny i pochować... Tak, jestem wściekła i przygnębiona. To chyba dość naturalne, że chcę wrócić do domu, prawda? Dziadek się nami zaopiekuje, ma mnóstwo pieniędzy, zresztą zawsze mogę przeprowadzić się do niego do Nowego Jorku. I tak przez większość część mojego dzieciństwa był moim ojcem...

Wzruszyła ramionami, nie zwracając uwagi na zaskoczenie, malujące się na twarzach Julii i Penelope.

Julia była zbyt poruszona, aby się odezwać, lecz Penelope odłożyła pióro i podniosła podbródek, powoli wypuszczając powietrze przez nos. Zdjęła okulary i położyła je sobie na kolanach.

- Cóż, moja droga, bardzo jasno i dobitnie wyraziłaś swoje uczucia... Na twoim miejscu też pojechałabym do Londynu i spędziła trochę czasu w samotności. Przede wszystkim po to, żeby zastanowić się nad sobą. Może uda ci się przeistoczyć pewną część tej energii nie w nienawiść, lecz we współczucie... Pamiętaj też, że to Monty dawał ci wszystko, czego dusza zapagnie, i to on wychował cię i zapewnił najlepszą i najkosztowniejszą edukację, jaką mogłabyś otrzymać...

- Nie chodziło mi o to... - mruknęła Celestria, patrząc na swoje stopy.

- Poproszę Archiego, żeby odwiózł cię na stację - powiedziała krótko Julia.

Zabolało ją, że Celestria nie dostrzega nikogo poza sobą. Ukradkiem zerknęła na Harry'ego, głęboko oburzona, że dziewczyna pozwoliła sobie na wygadywanie takich okropnych rzeczy w jego obecności.

Czując, że temperatura uczuć wobec niej wśród obecnych znacznie się obniżyła, Celestria postanowiła wybrać się na samotny spacer po klifach. Włożyła nieprzemakalny płaszcz i kalosze, wsunęła ręce do kieszeni, zagwizdała na Purdy'ego i z rozmachem zatrzasnęła za sobą drzwi. Nikt nie rozumiał, co działo się w jej sercu, nawet ciotka Julia, która zawsze była dla niej taka miła... Czy naprawdę nie pojmowali, że człowiek, który utonął, nie miał nic wspólnego z Robertem Montague? Przeklęty samobójca roztrwonił majątek własny i żony, a na dodatek spadek, który miała otrzymać jego córka, łąał jak najęty i przez dwa lata nie zhańbił się ani jednym uczciwie przepracowanym dniem. Regularnie wyjeżdżał do Paryża i Mediolanu, chociaż nie miał tam żadnych interesów do załatwienia. Był bezmyślnym samolubem i potwornym tchórzem. Nieodwracalnie zniszczył życie swoich najbliższych. To był obcy człowiek, wcale nie jej ojciec. Więc gdzie podział się Monty, ten, którego wszyscy znali i kochali? Co się z nim stało? Czy w ogóle istniał? Idąc mokrą ścieżką, wijącą się na szczycie klifu niby gigantyczny wąż, Celestria doszła do wniosku, że musi znaleźć odpowiedzi na te pytania. Błyskotliwy umysł, którego możliwości czasami starannie ukrywała, mówił jej, że w całą tę sprawę musi być zamieszany ktoś jeszcze. Ktoś, kto popchnął jej ojca do kłamstw, oszustw, a wreszcie tchórzliwego targnięcia się na własne życie.

Opadająca na jej twarz mżawka miała słonawy posmak. Powietrze nie było zimne, lecz wilgoć przenikała przez ubranie aż do kości. Purdy biegł obok Celestria, z nosem przy ziemi, siłując się z wiatrem, który podnosił sierść na jego grzbiecie. Dziewczyna pochyliła głowę i utkwiała wzrok w ścieżce, wciąż zastanawiając się nad wyrokami niełaskawego losu.

Nagle ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciła się szybko i ujrzała śpieszącego ku niej księdza Milesa. Purdy natychmiast go poznał, zamachał ogonem i podbiegł, aby się przywitać, wtykając mokry nos w fałdy płaszcza duchownego.

- Ach, to ksiądz... - wyjąkała Celestria, która nie spodziewała się spotkać tu kogoś w taką pogodę.

- Tak mi się wydawało, że to pani - powiedział duchowny. - Poznałem Purdy'ego, jeszcze zanim dotarło do mnie, że to pani mu towarzyszy... Byłem u pani babki...

Okulary księdza pokryte były drobnymi kropelkami, a kapelusz i płaszcz kompletnie przemoczone.

- Nie powie mi ksiądz chyba, że wybrał się do nas bez samochodu? - Celestria z niedowierzaniem zmarszczyła nos.

Potrząsnął głową.

- Pomyślałem, że szybki spacer w deszczu poprawi mi nastrój...

- Sądziłam, że słudzy Boga są zawsze zadowoleni i szczęśliwi!

- To smutny czas dla nas wszystkich - odparł poważnie.

- Wiem, tata jest w piekle! Dla niego to także niewesoły okres!

Ksiądz Miles usłyszał nutę gniewnego żalu w głosie dziewczyny i zrozumiał, że Bóg nie bez powodu postawił go na jej ścieżce. Wolnym krokiem ruszyli razem w stronę miasteczka.

- Nigdy nie twierdziłem, że pani ojciec jest w piekle...

- Proszę mówić mi po imieniu, wszystkie te formalności są zwyczajnie śmieszne!

- Tylko Bóg ma prawo decydować, gdzie powinien znaleźć się twój ojciec, Celestrio. Moim zdaniem ta sprawa ma wiele aspektów, ot choćby czy naprawdę było to samobójstwo, czy pan Montague został do niego zmuszony, czy był sobą, kiedy wyskoczył za burzę...

- Och, nie sądzę, aby był sobą, cokolwiek to może znaczyć...

- Dlaczego tak mówisz?

Celestria opowiedziała mu o wizycie u adwokata w Newquay i o tym, jak jej ojciec żył w kłamstwie przez ostatnie dwa lata, a może więcej.

- Jadę dziś do Londynu, żeby dotrzeć do sedna tej zagadki. Ktoś, gdzieś musi wiedzieć coś więcej o sprawach ojca i jego poczynaniach. Ciotka Julia uważa, że powinnam zostać w Pendrift, natomiast ciotka Penelope myśli, że jestem roz-

puszczona jak dziadowski bicz. Stryj Archie jest bezużyteczny niczym parasol w słoneczny dzień, a wuj Milton najchętniej zapominałby o tym wszystkim i rozegrał kolejny mecz tenisa. Oni mnie po prostu nie rozumieją!

Ksiądz Miles usłyszał rozpacz w jej głosie i serce ścisnęło mu się ze współczucia. Przemoknięta Celestria sprawiała wrażenie zagubionej i samotnej. Przystanął i spojrzął na nią z tak wielką litością, że natychmiast się rozpląkała.

- Bardzo przepraszam, naprawdę... - zaszlochała.

- Dobrze jest wyrzucić z siebie to, co nam doskwiera - powiedział łagodnie, dotykając jej mokrego ramienia.

- Od zniknięcia taty nie płakałam chyba ani razu... Teraz, kiedy już zaczęła, nie mogła się opanować. Miała uczucie, że serce pęknie jej na tysiąc kawałków.

- Więc najwyższy czas, żebyś to zrobiła...

- Sęk w tym, że nie rozumie mnie nikt poza księdzem!

- Na pewno cię rozumieją - rzekł, uświadamiając sobie, jak bardzo podobna jest do matki.

- Nic zna ich ksiądz... Mama najbardziej interesuje się swoim głupim psem, a dziadek jest w Nowym Jorku... Kiedy mówię innym, co czuję, patrzą na mnie lodowatym wzrokiem, zupełnie jakbym zrobiła coś strasznego... I nic nie zmieni tego, że tata okazał się cholernym egoistą! - Poderwała dłoń do ust. - Przepraszam, niepotrzebnie przeklinam...

- Nic się nie stało, parę razy słyszałem już to słowo.

- Nie mam do kogo ust otworzyć. Jestem sama na świecie i jeszcze na dodatek muszę być silna ze względu na innych, chociaż najbardziej chciałabym, żeby ktoś zaopiekował się mną i pocieszył...

Duchowny zawahał się na moment, szukając odpowiednich słów. Z każdym dniem coraz bardziej przyzwyczajał się do towarzystwa płaczących kobiet, jednak żadna z nich nie była pogrążona w takiej rozpaczycy jak Celestria. Banał, że wkrótce poczuje się lepiej, raczej nie miał szans przynieść jej pociechy.

- Może wpadłabyś na chwilę na plebanię? - zaproponował

zamiast tego. - Pani Hoddel poda nam herbatę i będziemy mogli spokojnie porozmawiać w suchym i ciepłym pokoju...

Uśmiechnął się, a jego twarz promieniała tak wielką dobrocią, że Celestria nic potrafiła odmówić.

Purdy z wyraźną przyjemnością ułożył się przed trzaskającym w kominku ogniem, który pani Hoddel przewidująco rozpałała w czasie nieobecności księdza.

- Nie pozwolę, żeby ten pies nabłocił w całym domu - oświadczyła stanowczo na widok brudnej sierści Purdy'ego. - Niech poleży na starym ręczniku przed ogniem, dopóki nie wyschnie. Kto by pomyślał, że w lecie trzeba będzie palić w kominku! Coś okropnego! Nie wiadomo, czy w Boże Narodzenie nie dopadnie nas fala upałów!

Poszła po ręcznik, nie czekając, aż Celestria i ksiądz Dal-gleish zdejmą płaszcze i nakrycia głowy, i otrzepią je z wody.

- Co za dzień! - mruknął duchowny. - Nie da się ukryć, że to już koniec lata!

- Dzień śmierci mojego ojca był dla mnie końcem lata i dzieciństwa - wyznała dramatycznie Celestria, podając księdzu swój płaszcz.

Pani Hoddel przyniosła do saloniku herbatę i duży talerz z ciasteczkami.

- Coś jeszcze, proszę księdza? - zapytała, opierając dłonie na biodrach.

- Nie, dziękuję bardzo...

- Ksiądz Brock kazał powtórzyć, że wróci dopiero koło szóstej. Pojechał do Newquay.

- Dziękuję pani.

- No, dobrze... Gdyby mnie ksiądz potrzebował, to jestem w kuchni, żeby pozwolić trochę odpocząć nogom, jeżeli nie ma ksiądz nic przeciwko temu, zresztą plecy też bolą mnie jak nie wiem co... W tym domu codziennie trzeba się nieźle nabiegać, poza mną nie ma tu nikogo do roboty...

Oczy pani Hoddel dłużej, niż nakazywało dobre wychowa-

nie, wpatrywały się w młodą kobietę, która z mokrymi włosami i bez makijażu wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Gospodyni uznała, że panna jest wyniosła jak księżniczka. W ogóle niepodobna do swojego ojca, który był prawdziwym dżentelmenem. Zawsze miał dla każdego dobre słowo i miły uśmiech...

Prychnęła cicho i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Czuję się okropnie przygnębiona i zagubiona - powiedziała Celestria, popijając herbatę. - Zupełnie jakby całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem...

Jej szare oczy pociemniały od łez.

- To normalna reakcja i z pewnością nie powinnaś się jej wstydić. W takich okolicznościach ludzi często ogarniają gniew, żal, rozgoryczenie i poczucie zdrady. Bardzo trudno jest poradzić sobie z samobójstwem bliskiej osoby. Ci, którzy zostają, mają poczucie winy, że nie zdołali pomóc samobójcy. Czują się niekochani, bezwartościowi i odrzuceni, bo ukochany człowiek wolał umrzeć niż dalej żyć wśród nich. Faktem jest, że samobójca nie bierze pod uwagę nikogo poza sobą. Jego rozpacz i napięcie są tak wielkie, że myśli jedynie o ucieczce, nic więcej nie ma dla niego znaczenia...

- Właśnie dlatego muszę wyjaśnić, co się naprawdę stało! Rozmawiałam z nim w noc jego śmierci i jestem absolutnie pewna, że nie był pogrążony ani w rozpacz, ani w napięciu!

- I z tego powodu jesteś wściekła...

- Tak, jestem wściekła z tego powodu, ale także dlatego, że kochałam kogoś, kto nie istniał! Moja rodzina uważa, że nie powinnam poddawać się emocjom... Że powinnam opłakiwać go z godnością, tak jak oni...

- Nie okazując uczuć? - Ksiądz Miles przypomniał sobie rozmowę z Pamelą.

- Właśnie! Mam ochotę krzyknąć i walić pięściami w ścianę, tymczasem oni przeżywają żałobę w spokoju i z godno-

ścią, jak przystało rodzinie Montague! Najgorsze jest to, że potrwa to bardzo długo, bo dopóki nie ma ciała, nie może być pogrzebu! Cała nadzieja w starym Merlinie... Może pewnego dnia złapie w sieć wielką rybę z tatą w brzuchu i wtedy cały ten smutny epizod wreszcie się skończy... - Ramiona Celestii zadygotały, z jej piersi wyrwał się głośny szloch. - Nie mogę tu dłużej zostać, nie zniosę tego ani chwili dłużej! Przed zniknięciem ojca chciałam już wrócić do Londynu, bo mi się nudziło, a teraz wrócę między plotkarzy i nikt się ze mną nie ożeni, ponieważ jestem biedna! Nigdy nie brakowało mi pieniędzy, ale wiem, że na pewno mi się to nie spodoba! - Przygryzła wargę, świadoma, że kłamie w obliczu Boga, który doskonale wiedział, że dziadek nie dopuści, aby była naprawdę biedna. - A jeżeli nawet nie będę biedna, to i tak do końca życia pozostanę córką zniesławionego człowieka! - dorzuciła pośpiesznie.

Wyglądała tak żałośnie z mokrymi, splątanymi włosami, twarzą zaczerwienioną od wiatru i łez, i rozpaczliwie przygarbionymi ramionami, że ksiądz Dalglish posłucha! instynktu, usiadł obok niej na kanapie, tej samej, na której tydzień wcześniej siedziała jej matka, i wziął ją w ramiona. Celestria oparła głowę na jego piersi i rozplakała się jak dziecko.

Małeńkie nasionko, zasadzone w mrocznym zakątku serca duchownego, teraz poruszyło się w ciepłe fizycznego kontaktu i zaczęło rosnać. Ksiądz Miles uświadomił sobie, co się dzieje, ale nie odepchnął dziewczyny. Był głęboko zawstydzony swoją reakcją, lecz ta bliskość sprawiała mu przyjemność. Odetchnął zapachem wilgotnych dzwonek i zakreśliło mu się w głowie. Rozumiał, że Bóg wystawia go na próbę, o wiele trudniejszą, niż się spodziewał. Przypomniawszy sobie, że Chrystus oparł się pokusie i pomyślał, że on także musi to zrobić.

Nie wziął jednak pod uwagę tego, że Celestria bez walki poddała się impulsom kierującym jej postępowaniem. Poczul na szyi jej miękkie wargi i ciepły oddech na skórze. Nie szlochała już, oddychała szybko i płytko. Przez sekundę trwał nieruchomo, obezwładniony cudownymi doznaniem. Pot wy-

stąpił mu na czoło, całe ciało stało się gorące jak ogień, Nigdy wcześniej nie doświadczył uczuć, które teraz przypuściły atak na jego zmysły. Po krótkiej chwili powróciło do niego przygnębiające uczucie wstydu. Jak mógł dopuścić do takiej sytuacji? Czy osłabł z powodu próżności? Poczul upokorzenie. Próżność była jednym z siedmiu grzechów głównych.

Wreszcie z wysiłkiem delikatnie odepchnął dziewczynę od siebie.

- Nie, Celestrio... - szepnął, starając się ujrzeć pod piękną twarzą zagubioną duszę. - Nie wolno ci tego robić...

Celestria patrzyła na niego z bardzo bliska. Nagle cofnęła się z przerażeniem, jakby dostrzegła coś okropnego w tych głębokich, pełnych współczucia oczach. Wstała, lekko chwiejąc się na nogach, i pobiegła do drzwi, nie zwracając uwagi na protesty księdza. Purdy przeciągnął się i niechętnie wybiegł za nią w deszcz.

- Celestrio! - zawołał. - Celestrio!

Było już jednak za późno. Zanim zdołał ją zatrzymać, chwyciła płaszcz i kapelusz, i pośpiesznie włożyła kalosze. Obserwował przez okno, jak biegnie ulicą i znika we mgle, która teraz opadła na Pendrift,

Celestria leżała na łóżku w garderobie ojca z twarzą ukrytą w poduszce. Z trudem zniosła podróż do Londynu. W pociągu przewracała się z boku na bok w dusznym przedziale, czuła się strasznie samotna. Szczerze żałowała, że nie towarzyszą jej Lotty albo Melissa, ale Penelope nigdy by się na to nie zgodziła.

- I co będziesz tam sama robić? - zapytała z głęboką dezaprobatą.

Ku zdumieniu Celestria, Pamela podeszła do całego projektu z głęboką wyrozumiałością i zgodziła się na wyjazd córki, stawiając tylko warunek, aby codziennie telefonowała. Tak czy inaczej, pozostali członkowie rodziny mieli wrócić do Londynu już za tydzień, a w ciągu dnia w domu zawsze była gospodyni, pani Waynebridge.

Za każdym razem, gdy Celestria myślała o księdzu Milesie, robiło jej się słabo ze wstydu. Był dla niej taki dobry, poświęcił jej tyle czasu, wysłuchał żalów, starał się zrozumieć jej punkt widzenia i nie potępił jej, a ona wzięła uczucie głębokiej wdzięczności do księdza za miłość.

Wiedziała, że do końca życia nie zapomni wyrazu jego twarzy i nigdy nie przestanie się wstydzić. W tamtej okropnej chwili ksiądz Miles nagle

wydał jej się wyższy, zupełnie jak podczas niedzielnej mszy, a jego oczy przybrały odległy, dziwny wyraz. Natychmiast zrozumiała, że ten mężczyzna znajduje się poza zasięgiem jej ramion. Była głupia, próbując sprowadzić go do swojego poziomu. Przypomniała sobie teorię łańcucha pokarmowego i doszła do wniosku, że ksiądz Dalglish w ogóle nie był zwierzęciem.

Nawet lwica nie jest w stanie schwytać promienia światła.

- Och, co on musi sobie o mnie myśleć... - jęknęła. Przewróciła się na plecy i utkwiała wzrok w suficie. Ojciec

pewnie wpatrywał się w niego co najmniej sto razy, kiedy Pamela wyganiała go z sypialni do garderoby, bo za dużo wypił albo wypalił za dużo cygar, których zapach przyprawiał ją

o migrenę. Trudno było uwierzyć, że Monty nie żyje. W jego pokoju nadal było pełno rzeczy, jakby opuścił go zaledwie dzień wcześniej.

Czyste, wyprasowane garnitury wisiały w szafach, wyczyszczone do połysku buty czekały, równo ustawione, popielniczka na stole pełna była monet i spinek do mankietów, na oparciu krzesła powoli pokrywała się kurzem błękitna koszula, szczotki w oprawach ze srebra i kości słoniowej leżały na komodzie, bordowy szlafrok wisiał na drzwiach, kapcie przycupnęły pod łóżkiem, książka z zakładką na nocnym stoliku czekała w nadziei, że ktoś ją jeszcze przeczyta do końca. Powietrze nadal pachniało Montym. Dobiegający z zewnątrz szum samochodów przypominał, że świat kręci się wokół własnej osi i że wszyscy są zajęci swoimi sprawami, podczas gdy Celestria za wszelką cenę usiłuje odnaleźć sens

i znaczenie życia.

Pani Waynebridge przyniosła jej śniadanie na górę, sapiąc jak stara lokomotywa.

- Proszę bardzo, skarbenku... - powiedziała serdecznie, stawiając tacę na wałku w nogach łóżka.

W miękkim akcencie pani Waynebridge, która urodziła się i wychowała w Yorkshire, było coś cudownie kojącego; Celestria знаła go równie dobrze jak gorące grzanki z pastą marmite i ciepłe mleko z miodem.

- Dam głowę, że nie wyspałaś się w tym pociągu - dodała gospodyni, prostując się i wygładzając biały fartuch.

Była pulchna i okrągła jak słodka pianka, miała szpakowate włosy i miłą twarz, jej oczy były zaczerwienione i błyszczące od łez, nie chciała jednak, aby Celestria wiedziała, jak długo i obficie płakała.

- Nie wiem, co ze sobą zrobić... - Celestria westchnęła i powoli wygramoliła się z łóżka. - Wszystko wygląda zupełnie tak, jakby ojciec nadal tu był, prawda, Wayne?

- Kiedy umarł mój ojciec, spędziłam cały dzień w jego pokoju, przeglądając rzeczy. - Pani Waynebridge uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - Nagle każdy przedmiot zyskał większe znaczenie, bo należał do niego... Postaraj się zapamiętać wszystko, co w nim kochałaś, to najważniejsze... Zachowaj w pamięci wszystkie dobre chwile, jakie z nim spędziłaś, i wracaj do nich myślami, zamiast rozpaczać z powodu pustych lat, które cię czekają.

Gospodyni z trudem przełknęła ślinę, daremnie usiłując postępować zgodnie z własną radą. Już w lipcu zaczęła podejrzewać, że wydarzy się coś złego, bo w ogrodzie usiadła na ziemi sroka. Na próżno czekała na drugą, ponieważ dwie sroki zwiastują radość, a jedna smutek...

- Chcę zrozumieć, dlaczego to zrobił!

- Tego nigdy się nie dowiesz... Tylko twój ojciec wie, co nim kierowało...

- Muszą istnieć jakieś wskazówki - upierała się Celestria.

- Zamierzam przekopać każdy centymetr jego pokoju i gabinetu. Mówię ci, Wayne, że w końcu coś znajdę!

- Chyba lepiej zrobisz, zostawiając przeszłość w spokoju...

- Pani Waynebridge przyglądała się, jak Celestria wbija zęby w grzanekę z miodem, którą dla niej przygotowała. Miód pochodził z pasieki Archiego w Pendrift. - Nic dobrego nie wyniknie z tego grzebania w rzeczach taty... No jedz, dziecko, jedz... Musisz się porządnie odżywiać, potrzeba ci czulej opieki i dobrego jedzenia...

Doskonale wiedziała, że matka nie otacza dziewczyny czułą opieką. Cóż, różnie w życiu bywa...

- Na lunch zrobię ci pyszny omlet, a kolację znajdziesz w lodówce - dorzuciła.

- Dziękuję, Wayne.

W oczach starszej kobiety zalśniły łzy.

- Znam cię od niemowlęcia... - Na moment zamknęła oczy, starając się opanować emocje. - Wszyscy przeżyliśmy wojnę i stratę najbliższych... Nawet w czasie najgorszych nalotów nie opuściłam tego domu, chociaż moja siostra namawiała mnie, żebym zamieszkała u niej w Yorkshire. Sęk w tym, Celestrio, że złe rzeczy po prostu się zdarzają... Przeżywamy je i idziemy dalej, bo nie mamy innego wyjścia. Być może nigdy nie dowiesz się, dlaczego twój ojciec odebrał sobie życie, ale zareczam ci, że nie miało to nic wspólnego z tobą, Harrym ani panią Pamelą. Mężczyźni są inni, ulegają rzeczom, które dla kobiet są po prostu niezrozumiałe. Kochałam mojego Alfiego, lecz w ogóle nie rozumiałam jego głupiego postępowania... Wyrosłaś na wspaniałą młodą kobietę, skarbeńku, i we właściwym czasie znajdziesz przyzwoitego człowieka, który pokocha cię i zaopiekuje się tobą oraz waszymi dziećmi... Kiedy zaczniesz myśleć o własnej rodzinie, spojrzysz na to wszystko z zupełnie innej perspektywy, wierz mi...

Celestria rzuciła jej roztargniony uśmiech i zabrała się do wysuwania szuflad w nocnych szafkach ojca.

- Bóg wie, co tu znajdę - mruknęła. - Nie mam nawet pojęcia, czego szukam.

- Wszędzie znajdziesz wzorowy porządek, ot co! Pan Montague nie znosił bałaganu, prowadził dom jak wojskową operację. Zawsze musiałam sprzątać po twojej mamie, ale z panem Montague sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej...

Celestria była już we własnym świecie. Wyjmowała z szafek książki i przeglądała stare fotografie i listy, powiązane wstążkami.

- No, wracam na dół... - Pani Waynebridge na moment zawahała się w progu. - Zostawiam cię samą, skarbeńku.

Celestria podniosła głowę.

- Dziękuję, Wayne! Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, naprawdę! Gospodyni uśmiechnęła się, zadowolona z komplementu, i powoli zeszła do kuchni.

Celestria spędziła cały ranek w garderobie ojca. Znalazła grę planszową, zupełnie nową, oraz album w wyblakłych zielonych okładkach, pełen zdjęć z Pendrift, z okresu dzieciństwa Monty'ego. Zauważyła, że ojciec najczęściej pojawiał się na fotografiach w przebraniu, z szerokim uśmiechem na twarzy, w cylindrze, z laseczką lub z parasolem. Ku swemu zdziwieniu ujrzała na zdjęciach uśmiechniętą babkę, odmienioną nie do poznania dzięki malującej się w oczach radości. Odkryła też pudła pełne metalowych znaczków, guzików i odznak, drobnych pamiątek i pocztówek, historycznych książek i starych komiksów, nie natknęła się jednak na nic, co wskazywałoby, że ojciec był nieszczęśliwy czy choćby przygnębiony. W szufladach wszystko poukładane było tak porządnie, jakby Monty chciał wiedzieć, gdzie znajduje się każdy przedmiot na wypadek, gdyby go potrzebował. Biorąc pod uwagę te pedantyczne skłonności, Celestria tym bardziej nie rozumiała, jak mógł popełnić samobójstwo i zostawić tyle nieuporządkowanych spraw. Było to w oczywistej sprzeczności z jego naturą.

Dopiła herbatę, oparła ręce na biodrach i uważnie rozejrzała się dookoła. Pokój robił przytulne wrażenie, chociaż duch człowieka, do którego należał, już go opuścił, i zawierał tylko rzeczy świadczące o szczęśliwym życiu. Wszystko to razem tylko potwierdza moją teorię, pomyślała. Tata wcale nie zamierzał ze sobą skończyć. Nie miał wyboru, bo ktoś go do tego popchnął. Dowiem się, kto to zrobił, nawet jeżeli miałyby mi to zająć całe lata...

Przejrzała rzeczy w gabinecie. Był to duży pokój z wychodzącymi na ogród wysokimi oknami. Jedną ścianę od podłogi do sufitu pokrywały półki pełne książek historycznych i klasycznych powieści, chociaż Celestria nigdy nie widziała,

aby ojciec czytał coś poza gazetami. Kominek był pusty i starannie wymieciony, ale lekko orzechowy aromat dymu mieszał się z zapachem cygar Monty'ego, którym przesiąkły ciemnoczerwone kotary i kanapa. Obity aksamitem fotel sprawiał wrażenie zbyt dużego, podnózek stał przed nim wyczekująco, chociaż nie było już żadnej szansy, aby właściciel miał jeszcze kiedykolwiek oprzeć na nim nogi. Nad kominkiem wisiał portret ojca Monty'ego Ivana, który spoglądał z płótna głębokimi, pełnymi miłości oczami, a na parapecie tykał zegar z orzechowego drewna, odmierzając minuty z niezmierną regularnością. Teraz ojciec Celestii był równie martwy jak portret Ivana, a czas nadal płynął...

Sprawdziła szuflady biurka. Sama nie wiedziała, co spodziewała się znaleźć i w końcu wczesnym popołudniem z rozgoryczeniem zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie nigdy nic zdoła dowieść słuszności swojej teorii. Pani Waynebridge usmażyła omlet, pulchnymi palcami operując patelnią i jajkami ze zręcznością osoby, która całe życie poświęciła usługiwaniu innym.

- Szukałam wszędzie, Wayne - oznajmiła Celestia ze zniechęceniem. - Nie udało mi się znaleźć nic podejrzanego... Równie dobrze mogę chyba zapomnieć o tej sprawie i zacząć opłakiwać ojca w tak dystyngowany sposób jak ciotka Penelope.

Ostatnią część zdania wypowiedziała dobitnie i głośno, naśladowując głos ciotki. Pani Waynebridge parsknęła śmiechem.

- Mówisz tak samo jak ona.

- Założę się, że ciotka Penelope nie dopatruje się niczego podejrzanego w samobójstwie taty!

- Co miałaś nadzieję znaleźć? - zapytała gospodyni.

- Och, nie wiem... Chyba coś, co świadczyłoby, że był nieszczęśliwy...

Pani Waynebridge zdjęła patelnię z fajerki i odwróciła się do Celestii, która niemal leżała na stole, opierając głowę na zgiętym ramieniu.

Dziewczyna była blada i zmęczona, a pod oczami miała prawie fioletowe cienie.

- W spiżarni jest jakieś pudło z papierami... - Gospodyni lekko wzruszyła ramionami. - Wątpię, żebyś tam znalazła to, czego szukasz, ale nigdy nie wiadomo... Kilka tygodni temu, tuż przed wyjazdem do Kornwalii, pan Montague prosił, żebym je wyrzuciła. Strasznie się wtedy śpieszył... Pudło jest bardzo ciężkie, więc do tej pory nie wyniosłam go do śmietnika. Chciałam poczekać, aż zjawi się Jack Bryan, ten, który ostrzy nam noże... Twój ojciec bardzo porządnie wysprzątał swój gabinet, wiesz? Zamierzał wrzucić wszystkie te papierzyska do kominka, ale przypomniałam mu, że przy ostatniej takiej próbie o mały włos nie podpalił domu!

Celestria wyprostowała się i pytająco popatrzyła na panią Waynebridge.

- Wysprzątał gabinet? Po co, skoro i tak utrzymuje tam idealny porządek?

- Miał mnóstwo rzeczy, ale wszystko uładzone jak w pudełeczku, słowo daję... Nienawidził wyrzucać, pod tym względem był podobny do sroki...

Nie wiem, dlaczego nie trzymał tych papierów w pracy.

Bo nie miał pracy, pomyślała Celestria. Wiedział, że Wayne nie przeczyta żadnych dokumentów, ponieważ była analfaberką. Dziewczyna przygryzła skórę przy paznokciu kciuka, zastanawiając się, dlaczego ojciec postanowił pozbyć się papierów w środku lata, kiedy rodzina przebywała w Kornwalii. Może skorzystał ze sposobności, żeby zniszczyć rzeczy, które ktoś mógłby znaleźć po jego śmierci, przemknęło jej przez głowę.

Pośpiesznie zjadła omlet.

- Jeżeli będziesz tak szybko jadła, nabawisz się niestrawności - ostrzegła pani Waynebridge, wkładając do ust małą kawałek swojej porcji.

- Czy tata dziwnie się zachowywał?

- Nie odzywaj się, kiedy masz pełną buzię, dziecko... - skarciła ją odruchowo pani Waynebridge i zmrużyła oczy, jakby starała się sobie coś przypomnieć. - Był bardzo zajęty, ale nie powiedziałabym, żeby zachowywał się jakoś dziwnie...

Może był trochę roztargniony... Tak, śpieszył się, żeby załatwić wszystko przed wyjazdem.

- Załatwić wszystko, czyli właściwie co? - Celestria z trudem przełknęła ostatni duży kęs.

- Sporo czasu spędzał przy telefonie. Zostawiałam mu herbatę na tacy w gabinecie, ale później najczęściej znosiłam na dół pełne filiżanki. Nie chciał, żeby mu przeszkadzać, zamykał drzwi...

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym dziś rano, Wayne?

- Mówię przecież, że wcale nie zachowywał się dziwnie... Twój ojciec był zapracowanym, wечно zajęтым człowiekiem, i tyle...

- Słyszałaś może coś? Cokolwiek... Gospodyni rzuciła jej urażone spojrzenie.

- Nie sądzisz chyba, że mam zwyczaj przystawiać ucho do dziurki od klucza, co?

- Ależ skąd, w żadnym razie! Układałam po prostu obraz jego ostatnich dni, to wszystko...

Pani Waynebridge westchnęła ciężko.

- Rozmawiał z jakąś kobietą - wyznała niechętnie. Celestria uniosła brwi.

- Z kobietą?

- Tak. „Kochana jesteś, Gitta”, powiedział, a potem odłożył słuchawkę.

Zdziwiłam się, bo po pierwsze, myślałam, że rozmawia z panią Pamelą, a po drugie, to jakieś zagraniczne imię... Dlatego zapamiętałam, rozumiesz...

Celestria z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Trudno z ciebie cokolwiek wydobyć, Wayne, słowo honoru! Jest może coś jeszcze, czego mi nie powiedziałaś?

Na białej skórze pani Waynebridge wykwitły różowe rumieńce. Spuściła oczy.

- Bałam się ci powiedzieć, bo może twój ojciec... No, wiesz...

- Spotykał się z inną kobietą? - podsunęła spokojnie Celestria.

- Och, pan Montague nigdy by czegoś takiego nie zrobił! - zdenerwowała się gospodyni.

- Nie martw się, Wayne, nie powiem o tym mamie. To będzie nasz wspólny sekret.

Celestria drżącymi ze zniecierpliwienia palcami otworzyła stojące w spiżarni pudło. Czowała, że wreszcie ma szansę trafić na dowody potwierdzające jej teorię. Jeżeli ojciec spotykał się z inną kobietą, to może padł ofiarą zazdrości męża kochanki... Z rosnącym podnieceniem zaczęła przeglądać znajdujące się w pudle papiery. Były tu listy, które nie mogły nic wniesić do sprawy, niektóre adresowane na skrytkę pocztową w South Kensington, inne do domu przy Belgravia Square, oraz informacje o inwestycjach z banku.

Jeden z listów zwrócił jej uwagę, ponieważ w kopercie tkwiła fotografia Monty'ego na dziedzińcu budynku, który wyglądał na klasztor. Twarz ojca skąpana była w słońcu, wargi wygięte w półuśmiechu, jakby właśnie skończył opowiadać dowcip. Sprawiał wrażenie pogodnego, wolnego od wszelkich trosk. List napisał ktoś o imieniu „Freddie”, osoba, która, wnioskując z adresu na nadruku, mieszkała w klasztorze we Włoszech. Charakter pisma był staranny, litery zdobiły owalne pętle.

Mój drogi Monty,

Bardzo się cieszę, że znowu mogliśmy Cię gościć. Wnosisz do naszego domu światło i miłość, szkoda tylko, że nie udało Ci się rozjaśnić uśmiechem ponurej twarzy Hamisha. To przykre, ale w tej chwili wydaje się to całkowicie niemożliwe. Przepraszam Cię za jego koszmarne zachowanie, wiem jednak, że rozumiesz, co się z nim dzieje. Żałuję, że nie mogłeś zostać dłużej. Piszę, żeby poinformować cię, iż okoliczności, w jakich się teraz znajdujemy, skłoniły mojego męża i mnie do podjęcia decyzji o przekształceniu Convento w pensjonat. Hamish jest przeciwny temu pomysłowi, z oczywistych powodów, my nie widzimy jednak innego rozwiązania. Moglibyśmy wydobyć się z tego dołu, gdyby sprzedał część swoich obrazów albo chociaż

zgodził się na wystawę, lecz on nie chce nawet o tym słyszeć- Jeżeli ktoś tu powinien opłakiwać zmarłych, to raczej ja, ale co z żywymi? Życie wśród zmarłych nikomu nie służy. Chciałabym również podziękować Ci, mój drogi, za Twoją hojność. Nie trzeba było wkładać ręki do kieszeni, naprawdę... Jestem wdzięczna i zawstydzona. Przesyłam Ci najserdeczniejsze pozdrowienia. Niech Bóg Ci błogosławi i czuwa nad Tobą.

Freddie

Celestria długo wpatrywała się w list. Czyjego autorka była jeszcze jedna kobieta z wyraźną słabością do ojca? Czy Monty także i jej dawał pieniądze? Czy była jego kochanką? I co robiła we Włoszech? Na kartce nie było daty, a stempel na znaczku pocztowym kompletnie się rozmazał. Nie ulegało wątpliwości, że Monty nie chciał, aby ktokolwiek znalazł list od Freddie, ale jaki był tego powód! Odłożyła list do pudła, wsunęła zdjęcie do kieszeni i wróciła do przeglądania papierów.

Bardzo szybko natknęła się na wyciągi bankowe, cały plik, co najmniej kilkadziesiąt sztuk. Były związane sznurkiem i równo ułożone, jakby uporządkowała je staranna sekretarka. Nadal nie wiedziała, czego właściwie szuka, gdy nagle jej oczy zatrzymały się na długiej kolumnie kwot, które wypłacano z konta. Ze zdziwieniem zorientowała się, że były to przelewy bankowe na zupełnie nieznaną jej nazwisko -F.G.B. Salazar. Więc to tam są nasze pieniądze, pomyślała i serce zabiło jej mocniej z podniecenia. Sumy były duże i regularnie przelewane, a w ciągu dwóch ostatnich miesięcy jeszcze większe i wypłacane częściej niż poprzednio. Pochłonięta studiowaniem wyciągów, nie usłyszała dzwoniącego telefonu. Oprzytomniała dopiero, kiedy w progu stanęła pani Waynebridge.

- Do ciebie, Celestrio... Pan Aidan Cooney.

Dziewczyna niechętnie zostawiła papiery i odebrała telefon w kuchni.

- Aidan?
- Kochanie, ogromnie ci współczuję z powodu tej tragedii z ojcem...
- Tak, to straszne... - mruknęła.
- Telefonowałem do Kornwalii i jakiś arogancki sługus powiedział mi, że jesteś tutaj!
- Soames... - Uśmiechnęła się lekko. - Bywa dość pompatyczny i wyniosły, to prawda.
- Przyjechałaś sama?
- Tak, nie mogłam już dłużej wytrzymać w Pendrift. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wszystko okropne - wszyscy w żałobie, a tu nie ma ciała, nie ma pogrzebu i wciąż ten koszmarny stan zawieszenia... Musiałam wyjechać. - Słowa wypłynęły z jej ust gorącą falą.
- Pozwól, że zaproszę cię na kolację. Tylko we dwoje. Zaopiekuję się tobą...

Jego głos był głęboki i nieco zachrypnięty, słodki jak trzciniowy cukier. Do oczu Celestii napłynęły łzy, nagle gorączkowo zapragnęła znaleźć się w jego ramionach.

- Bardzo chętnie - odparła, wdzięczna, że nie zmienił się w stosunku do niej z powodu samobójstwa Monty'ego.
- Przyjadę po ciebie o siódmej... - zawahał się na moment. - Masz mój numer na wypadek, gdybym był ci potrzebny, prawda? Przyjadę natychmiast, wystarczy, że zadzwonisz.
- Dziękuję! Czuję się nie najgorzej, naprawdę. Do zobaczenia wieczorem, Aidan.

Z uśmiechem odłożyła słuchawkę. Towarzystwo Aidana Cooneya było dokładnie tym, czego potrzebowała.

- Wayne! - zawołała. - Wychodzę na kolację!
- Pani Waynebridge przybiegła z drugiego końca domu, lekko zdyszana.
- Z kimś sympatycznym? - spytała, biorąc się pod boki.
 - Bardzo. Mama na pewno uznałaby go za doskonały materiał na męża, ale nie wiem, czy ja przychyliłabym się do tej opinii.

- W takim razie kto byłby dobrym kandydatem na męża, twoim zdaniem?
- Nie wiem... - Westchnęła i lekko wzruszyła ramionami. - Ktoś bardziej nieprzewidywalny... Ktoś, kto nie patrzyłby na mnie z takim psim oddaniem...
- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, moje dziecko - mruknęła gospodyni.
- Właśnie o to chodzi! Aidan to cudowny koń, chyba tak...
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, słowo daję!
- Szukam lwa.
- Dosyć kłopotliwe zajęcie...
- Otóż to. - Uśmiechnęła się szeroko. - Kłopotliwe zajęcia to moja specjalność!

Pani Waynebridge z dezaprobatą pokręciła głową.

- Co mam zrobić z tymi papierzyskami? - spytała, patrząc na rozłożone na podłodze spiżarni dokumenty.

Gdyby pan Montague żył, z pewnością nie byłby tym zachwycony.

- Nic, na razie zostaw je tutaj. I powiedz Jackowi Bryanowi, żeby porządnie naostrzył nasze noże, bo niewykluczone, że będą mi potrzebne! Celestria pojechała taksówką do Coutts Bank w West Endzie i poprosiła o rozmowę z dyrektorem.

- Pan Smithe wyszedł na lunch - poinformowała ją kasjerka.

- Muszę się z nim widzieć w bardzo ważnej sprawie - zastukała ze zniecierpliwieniem palcami w ladę. - Nazywam się Celestria Montague.

Ku jej wielkiej irytacji, kasjerka nie rozpoznała nazwiska.

- Najlepiej będzie, jeśli porozmawia pani z panią Bentham - powiedziała kobieta, świadoma, że wyniosła młoda dama może być kimś ważnym. - Jestem tutaj nowa, więc nie bardzo mogę pani pomóc.

Zakaśłała przepaszając i ruszyła na poszukiwanie koleżanki.

Celestria potoczyła wzrokiem po wysokim suficie, zdobio-

nych drewnianych ladach, kamiennej podłodze i wielkich, ciężkich drzwiach. Bank emanował aurą formalności i bogactwa w dobrym stylu, co natychmiast skojarzyło jej się z ojcem. Wyobraźnia podsunęła jej obraz Monty'ego w ciemnym garniturze i płaszczu, ze skórzaną teczką w ręku i przewieszonym przez przedramię eleganckim parasolem. Teraz sala była niemal pusta, tylko w kącie starszy mężczyzna w meloniku wypisywał czek.

W końcu zjawiała się pani Bentham. Była w średnim wieku, ubrana w konwencjonalny kostium, grube brązowe pończochy i klasyczne pantofle na solidnych obcasach. Na widok Celestria jej twarz o nieco grubo ciosanych rysach rozjaśnił miły uśmiech.

- Dzień dobry, panno Montague - powiedziała, z zapalem potrząsając ręką Celestria. - Zapraszam do mojego biura, tam będziemy mogły spokojnie porozmawiać.

Celestria ruszyła za nią. Obcasy pani Bentham mocno stukały o wypastowaną posadzkę, budząc echo w pustej sali. Starszy mężczyzna w meloniku odwrócił się, wyraźnie zafascynowany widokiem pięknej młodej kobiety, poruszającej się lekkim, tanecznym krokiem. Celestria napotkała jego wzrok i odpowiedziała tak wyniosłym spojrzeniem, że biedak pośpiesznie zajął się swoim czekiem.

Biuro pani Bentham mieściło się w ładnym pokoju z ozdobnymi stiukami i dużym podnoszonym oknem, wychodzącym na cichą boczną uliczkę. Kobieta uprzejmym gestem wskazała Celestria krzesło z wysokim oparciem i zaproponowała filiżankę herbaty.

- Dziękuję bardzo... - Dziewczyna z uśmiechem potrząsnęła głową, opierając na kolanach torebkę z brązowej krokodylej skóry. - Chciałam porozmawiać z panią o moim ojcu.

- Pan Montague należy do naszych najlepszych klientów - odparła pani Bentham, lecz po jej twarzy przemknął cień niepokoju.

- Należał - sprostowała Celestria.

- Słucham?

- Mój ojciec nie żyje.

Pani Bentham gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Zginął w Kornwalii, w czasie burzy na morzu. Kobieta poderwała dłoń do ust.

- Kiedy? - wykrztusiła z trudem.

Mówiła załamującym się głosem i Celestria natychmiast wyczuła, że dla pani Bentham Monty znaczył o wiele więcej niż jego pieniądze.

- O, mój Boże - jęknęła cicho. - Proszę mi wybaczyć, to dla mnie straszny wstrząs...

- W zeszłym tygodniu.

- Tak mi przykro... Co za tragedia...

- Nie muszę pani mówić, że to wielki cios dla całej naszej rodziny...

Przyjechałam do Londynu, żeby uporządkować sprawy ojca.

- Oczywiście... Może pani na mnie liczyć, jeżeli tylko moja pomoc będzie pani potrzebna. - Pani Bentham wyjęła z rękawa białą płócienną chusteczkę, uniosła okulary i osuszyła oczy.

Celestria zauważyła, że jej ręce drżały.

- Pani ojciec był takim dobrym człowiekiem... Zawsze znajdował czas na rozmowę. Większość klientów nie zadaje sobie tyle trudu... To zrozumiałe, wszyscy są zajęci, ale pan Montague... - Uśmiechnęła się i musnęła dłonią zarumienione policzki. - Pan Montague był prawdziwym dżentelmenem., Zawsze z przyjemnością załatwiałam jego sprawy...

- Chciałabym dowiedzieć się, dlaczego tak duże kwoty były przelewane z rachunku ojca na konto niejakiego F.G.B. Salazara. - Celestria podała wyciągi pani Bentham, która poprawiła okulary na nosie i z wysiłkiem zapanowała nad emocjami.

Kobieta długą chwilę przebiegała wzrokiem kolumny przelewów. W końcu potrząsnęła głową i oddała wyciągi Celestria.

- Przykro mi, ale nie jestem w stanie wyjaśnić tej kwestii... - zawahała się, jakby porównywała wagę swoich uczuć

wobec pana Montague z ciężarem lojalności wobec banku i zasad, którymi powinni kierować się jego pracownicy. Celestria wyczuła słabość i bez wahania przypuściła atak.

- Moja matka leży w szpitalu, ponieważ nadal nie może otrząsnąć się ze straszego szoku, a mój braciszek Harry od dnia śmierci ojca nie wypowiedział ani jednego słowa... Jest jeszcze mały i tata był dla niego całym światem...

Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, że kłamie jak najęta. Spuściła oczy, aby spotęgować efekt, i cicho pociągnęła nosem. Po chwili usłyszała długie westchnienie.

- Mogę tylko powiedzieć pani, że F.G.B. Salazar mieszka na południu Włoch - powiedziała pani Bentham. - Nie wiem, gdzie dokładnie, to nie moja sprawa. Powinna pani zwrócić się z tymi pytaniami do hrabiny Valonya.

- Do kogo?

- Do sekretarki pana Montague. W ciągu ostatnich kilku miesięcy w ogóle się tu nie pojawiał, ale hrabina Valonya przychodziła co tydzień, aby zlecać nam przelewy i inne transakcje.

- Zna pani jej adres?

Pani Bentham zdjęła okulary i potarła punkt między brwiami, wyraźnie wyczerpana wzruszeniem.

- Niestety nie... Często wysyłałam potwierdzenia przelewów do Węgierskiego Klubu w Hampstead, może tam czegoś się pani dowie.

- Bardzo dziękuję pani za pomoc. - Celestria wsunęła dokumenty do torebki i wstała. - Nie dziwi mnie, że ojciec miał do pani tak wielkie zaufanie.

- Pan Montague był dżentelmenem. Jego odejście to niepowetowana strata dla nas wszystkich.

Celestria zostawiła panią Bentham przy biurku, ocierającą oczy białą chusteczką i głęboko poruszoną. Przyszło jej do głowy, że dobrze się stało, iż pan Smithe wyszedł na lunch, ponieważ mógłby okazać się znacznie mniej komunikatywny. Zerknęła na zegarek - miała jeszcze dość czasu, aby na chwilę zajrzeć do Węgierskiego Klubu.

Atmosfera powoli się zagęszczała. Celestria nigdy nie słyszała o hrabinie Valonya, ale może to właśnie ona była tajemniczą Gittą, z którą Monty rozmawiał przez telefon.

Złapała taksówkę i po pół godzinie wysiadła z samochodu u stóp schodów prowadzących do Węgierskiego Klubu w Hampstead. Wnętrze budynku miało słabe oświetlenie, wysokie sufity i ciemną podłogę z szerokich, wywoskowanych desek. Drewniane schody biegły ku podestowi, gdzie na ścianie wisiało ogromne lustro w stylowej pozłacanej ramie. Powietrze przesycone było ciężkim, kwaśnym zapachem gnijących kwiatów. Na dole nie było żywej duszy, lecz z piętra dobiegał szmer rozmów. Celestria ruszyła po schodach na górę, mocno ściskając torebkę. Nie wiedziała, czego może się spodziewać.

Na piętrze znajdowały się dwie ogromne sale przedzielone okrągłym holem. Dwie starsze panie w kapeluszach i rękawiczkach siedziały tam na małej kanapie obitej szkarłatnym welwetem, pogrążone w cichej rozmowie i gestykulujące z wyraźnym oburzeniem. Na widok Celestria umilkły i popatrzyły na nią czujnie spod zmrużonych powiek.

Dziewczyna

zignorowała je i weszła do pierwszej sali, gdzie małe grupki ludzi przy stolikach piły kawę i paliły papierosy. Atmosfera była ponura, zupełnie jakby przepelniający obecnych smutek przybrał postać niewidocznej, lecz ciężkiej mgły, która przygniatała wszystko i wszystkich.

Celestria miała przed sobą głównie starszych, elegancko ubranych ludzi. Niektóre panie nosiły kapelusze ozdobione piórami i futrzane etole, chociaż wciąż jeszcze było ciepłe lato. Ich szyje zdobiły naszyjniki z pereł, w słabym świetle połyskiwały brylantowe brosze. Kilku panów w kapeluszach i garniturach grało w karty; na ich twarzach malowało się rozgoryczenie i zniechęcenie, chociaż kiedyś tryskali pewnie energią i pogodą ducha. W kącie przy barze skrzypcowy tercet grał tęskne cygańskie melodie. Para w podeszłym wieku powoli tańczyła pod oknem. Niektórzy z obecnych mówili po węgiersku, inni po angielsku z wyraźnym obcym akcentem, lecz wszyscy rozmawiali na ten sam temat: *Rewolucja... Zdrada... Odważni ludzie, oddali życie za ojczyznę... Jesteśmy już starzy, chcielibyśmy umrzeć we własnym kraju, przynajmniej tyle nam się należy...* Celestria zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana, szczególnie przez kobiety, których wrogość była równie wyczuwalna jak ich smutek. Nie widziała w tym nic dziwnego -była tu obca, nikt jej nie znał. Szybko doszła do wniosku, że postąpi rozsądniej, jeśli zwróci się do mężczyzn, i sztucznie pewnym siebie krokiem zbliżyła się do stolika, przy którym czterech starszych panów oddawało się grze w karty.

- Przepraszam bardzo - odezwała się słodkim głosem. -Szukam kogoś... Jeden z graczy uniósł krzaczaste brwi, rude jak lisi ogon, i lekko skinął głową.

- Szukam pewnej pani, hrabiny Valonya - dokończyła.

Na dźwięk wymienionego przez nią nazwiska cała czwórka wymieniła porozumiewawcze spojrzenia. Mężczyzna z rudymi brwiami wrzucił ramionami i wyjął z ust fajkę.

- Hrabina nie zaglądała tu co najmniej od tygodnia - odparł.

- Wie pan, gdzie mogę ją znaleźć? - Celestria uśmiechnęła się z przymusem.

- A kto jej szuka?

- Nazywam się Celestria Montague.

- Hrabia Badrassy - rzekł mężczyzna, wyciągając do niej rękę. - Zechce pani usiąść i sprawić przyjemność staremu człowiekowi?

- Dziękuję, ale nie mogę zostać - odrzekła Celestria, nie chcąc urazić rozmówcy. - To dość pilna sprawa...

Hrabia Badrassy powiedział coś po węgiersku do swoich towarzyszy i wszyscy parsknęli gromkim śmiechem. Celestria nie wątpiła, że to ona jest tematem dowcipu. Ogarnęło ją zniechęcenie, ale nagle wpadła na pewien pomysł.

- Chodzi o rodzinę hrabiny - powiedziała z naciskiem. - Mam dla niej smutne wiadomości.

Natychmiast spoważniali. Doskonale znali te słowa, które najczęściej oznaczały śmierć bliskich. Hrabia Badrassy wetknął fajkę do ust i sięgnął po karty, dając Celestria do zrozumienia, że ich rozmowa dobiegła końca.

- Mieszka przy Weymouth Mews. Nie pamiętam numeru, ale bez trudu rozpozna pani dom hrabiny.

Celestria uświadomiła sobie, że nie ma szans na uzyskanie dokładniejszej informacji.

Po chwili znalazła się na zewnątrz i z ulgą odetchnęła ciepłym powietrzem. Szybko zbiegła po schodach, pragnąc jak najszybciej zostawić za sobą starych, pogrążonych w rozpaczliwej stagnacji ludzi.

Do Weymouth Mews dojechała taksówką. Była to skąpana w bursztynowych promieniach popołudniowego słońca mała, brukowana uliczka, pełna domów z czerwonej cegły, na ich parapetach stały kolorowe skrzynki z pięknymi kwiatami. Na jednym z parapetów drzemał puchaty biały kot, rytmicznie kołysząc ogonem i śniąc o mleku i tłustych myszach. Młoda kobieta popychała dziecięcy wózek w stronę głównej ulicy. Hrabia Badrassy powiedział, że Celestria bez trudu rozpozna dom hrabiny, ale ona nie była tego taka pewna. Za-

łowała, że nie zadała mu jeszcze kilku pytań, ponieważ teraz nie miała pojęcia, czego szukać. Młoda kobieta z wózkiem była już za daleko i w zasięgu wzroku Celestria znajdował się tylko biały kot, na którego pomoc raczej nie mogła liczyć.

Postanowiła pójść dalej, w górę ulicy i zaglądać do wszystkich okien. Może hrabina Valonya zatknęła węgierską flagę przy drzwiach wejściowych, ale nawet jeżeli to zrobiła, Celestria i tak by jej nie rozpoznała. Szła przed siebie, aż wreszcie jej uwagę przykuł ostatni dom po lewej. Nie był większy od innych, lecz tym, co go wyróżniało, był potężny krzew wistarii, jego zielone liście pokrywały całą fasadę, niemal zasłaniając okna. W krzewie zagnieździło się stado ptaków, najwyraźniej zachęconych do zamieszkania w tym miejscu widokiem małych drewnianych domków, umocowanych na gałązkach; na platformach domków ktoś rozsypał ziarno i ustawił miniaturowe miseczki z wodą. Z zewnątrz wyglądało to ładnie, ale Celestria od razu pomyślała, że w środku można pewnie dostać ataku klaustrofobii.

Chwilę stała w cieniu, zastanawiając się, co powie hrabinie, jednak zanim zdążyła pozbierać myśli, drzwi otworzyły się i na schody wypadła ekstrawagancko ubrana jasnowłosa istota.

- Próbuje pani ukraść moje ptaki? - zasyczała głosem niskim jak u mężczyzny, z mocnym akcentem.

Wykrzywiła twarz w grymasie złości, a wtedy pokrywający skórę podkład popękał jak wyschnięta glina. Oczy Celestria spoczęły na dekolcie kobiety, białym i wyzywającym, podkreślającym obfity biust, wciśnięty w niebieską sukienkę obcisłą tak bardzo, że talia wydawała się nienaturalnie wąska, a jej właścicielka sapała jak lokomotywa.

- Nie, ale skąd! - odparła, cofając się o krok w przerażeniu.

Kobieta prychnęła.

- Mam nadzieję! Mieszka tu kilka bardzo rzadkich gatunków! Karmię je i dbam o nie, więc należą do mnie, rozumie pani?

- Przepraszam, hrabino... Nazywam się Celestria Montague.

Przypomniała sobie radę matki, aby na agresywny ton zawsze odpowiadać łagodnym, gdyż taka reakcja zupełnie zbija z tropu oponenta. Rada okazała się skuteczna, ponieważ hrabinie Vaionya nagle zabrakło słów, przynajmniej na chwilę.

- Niech pani wejdzie - odezwała się wreszcie, cofając się w głąb ciemnego wnętrza.

Celestria poszła za nią, wyczuwając w powietrzu smużkę kwaśnego odoru alkoholu, zmieszanego z mdląco słodkim zapachem piżma.

Dom przypominał szalony buduar - kanapę przykrywały jedwabne jasnozielone i różowe narzuty, fioletowe aksamitne zasłony obszyte były koronką i wyglądały jak kurtyna w marnym teatrze, podłoga zarzucona była perskimi dywanami i wszędzie, dosłownie wszędzie na koronkowych serwetkach stały rośliny w doniczkach. Celestria zauważyła otwartą butelkę dzinu na okrągłym stole. Szklanki nie było. Opary alkoholu wydawały się tak gęste, jakby hrabina pociła się dzinem i próbowała zamaskować ten fakt, perfumując się piżmem. Celestria, która miała bardzo wrażliwy węch i delikatny żołądek, natychmiast poczuła mdłości. Podziękowała *losowi*, kiedy hrabina zapaliła papierosa, przesycając powietrze zapachem tytoniu.

- Proszę usiąść - powiedziała kobieta, osuwając się na krzesło przed pustym kominkiem. - Przysłał panią ojciec?

Zanim Celestria udzieliła odpowiedzi, hrabina z trudem się podniosła i oparła na parapecie nad kominkiem, zastawionym porcelanowymi figurkami.

- A może matka? - zaśmiała się złośliwie.

- Mój ojciec nie żyje - odrzekła Celestria.

Nie przestawała się zastanawiać, co łączyło tę dziwną kobietę i jej ojca.

Nie wydawało jej się, aby byli kochankami. Monty nigdy nie upadłby tak nisko.

Hrabina odwróciła się gwałtownie. Jej jasne oczy pełne były poczucia winy.

- Nie żyje? - Nie miała chyba siły, by zamknąć szeroko otwarte usta. - Nie, to nieprawda! Oszukuje mnie pani!

- To prawda. - Celestria otworzyła torebkę i wyjęła papierosa.

Doszła do wniosku, że im szybciej stąd wyjdzie, tym lepiej. Wsunęła papierosa między wargi i błysnęła płomykiem zapalniczki.

- Wypłynął łodzią na morze i zginął - dodała, wydmuchując dym w cuchnące powietrze.

Hrabina nieprzytomnie potoczyła wzrokiem po pokoju, usiłując sobie coś przypomnieć.

- Rozmawiałam z nim w zeszłym tygodniu! Był bardzo żywy!

- Najwyraźniej rozmawiała z nim pani niedługo przed śmiercią.

Węgierka nie sprawiała wrażenia zdolnej przypomnieć sobie, co robiła kilka godzin wcześniej, a cóż dopiero przed tygodniem.

Twarz hrabiny rozjaśnił nagle triumfalny uśmiech.

- Nie powstrzyma mnie pani przed widywaniem się z pani ojcem! Miłość staje się jeszcze słodsza, kiedy jest owocem zakazanym!

Celestria westchnęła ze zniecierpliwieniem. Dobry Boże, pomyślała ze znużeniem, jeszcze jedna kobieta z obsesją na punkcie taty.

- Nie interesują mnie pani uczucia wobec mojego ojca. Obchodzą mnie one tyle, co zeszłoroczny śnieg, proszę mi wierzyć. Tak czy inaczej, to nie ja rzucam pani kłody pod nogi, aby utrudnić wam spotkanie. Ojciec popełnił samobójstwo, jeśli chce pani wiedzieć. Otrącił nas wszystkich.

Hrabina Valonya milczała. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń, odgradzona od świata myślami. Celestria wykorzystała tę chwilę, aby zaplanować następny krok. Paląc papierosa, uważnie obserwowała hrabinę. Mięśnie twarzy kobiety rozluźniły się, pełne wargi były rozchylone, dolna szczęka opadła. Dziewczyna dostrzegła ciemne odro-

sty, przy których żółtawy blond wyglądał jeszcze bardziej wulgarnie. Kobieta wydawała się prawie bezwładna i dziwnie zmaląła. W końcu odwróciła się i popatrzyła na Celestrię błyszczącymi oczami.

- I przyszła pani mi to powiedzieć? - syknęła. - Że on nie żyje? Po to pani przyszła?

- Tak - odparła Celestria. - Chcę się też dowiedzieć, na co przeznaczone były pieniądze, które w jego imieniu wysyłała pani do Włoch.

Na wzmiankę o pieniądzach hrabina zeszywniała.

- Nie wiem, o czym pani mówi...

Patrzyła na Celestrię podejrzliwie, jakby ta próbowała złapać ją w pułapkę i sprawdzić jej lojalność wobec Roberta Montague,

- Po co to ukrywać? Przecież była pani sekretarką ojca, prawda?

Hrabina spojrzała na nią z oburzeniem.

- Sekretarką?! - Roześmiała się z przymusem. - Uważa pani, że ja, hrabina Valonya, byłam zwyczajną sekretarką?!

Teraz to Celestria na moment straciła grunt pod nogami.

- Co tydzień jeździła pani do banku... - zaczęła, usiłując odzyskać równowagę.

- Tak, pracowałam razem z pani ojcem! Nigdy nie byłam jego sekretarką. Odgrywałam bardzo ważną rolę w jego planach, beze mnie nie mógłby zrealizować swoich zamierzeń. Wygląd może mylić, chyba wie pani o tym... Jak na młodą kobietę z dobrego domu jest pani wyjątkowo nieuprzejma!

- Czym się zajmował?

Tata nie pracował od dwóch lat, pomyślała, coraz bardziej zagubiona w swoich poszukiwaniach.

- Skoro pani ojciec nie rozmawiał z panią o swojej pracy, to ja tym bardziej nie powinnam tego robić. Jeżeli wysyłał pieniądze za granicę, to najwidoczniej miał w tym jakiś cel. A jeśli myśli pani o ich odzyskaniu...

- na moment zawiesiła głos i wzruszyła ramionami. - Niech Bóg pani dopomoże, bo ja nie muszę.

Hrabina wstała, zachwiała się i znowu przytrzymała para-

petu nad kominkiem. Wrzuciła niedopałek do paleniska i niepewnym krokiem podeszła do okrągłego stołu. Drżącą ręką chwyciła butelkę i przytknęła ją do ust.

- Rzadko piję! - rzekła agresywnie, ocierając usta. - Kochałam Monty'ego. Nie jest pani w stanie pojąć głębi tego uczucia, głównie z powodu młodego wieku i zepsucia. Gdyby przeżyła pani to, co ja, gdyby ciągle o jeden krok wyprzedzała pani własną śmierć, wiedziałaby pani, że miłość jest jedyną rzeką, jaką zabieramy z sobą na tamten świat.

Pociągnęła jeszcze tyk i głośno przełknęła alkohol. Celestria skrzywiła się z niesmakiem. Czuła obrzydzenie do ludzi, którzy wydawali odgłosy przy jedzeniu i picciu. Teraz natychmiast przypomniała jej się ciotka Penelope, która przy stole zawsze siorbała jak świnia.

- Nie było takiej rzeczy, której nie zrobiłabym dla pani ojca. - Hrabina pokiwała głową jak nakręcana laleczka i przytrzymała się oparcia krzesła.

- Naprawdę nie było... Ale co pani może wiedzieć o takich sprawach, założę się, że w ogóle nie znała pani swojego ojca... A jeśli chodzi o pani matkę, to Monty był dla niej obcym człowiekiem, tak jest. To ja znałam go najlepiej, lepiej niż wy wszyscy, rozumie pani?!

Z każdą chwilą mówiła coraz bardziej bełkotliwie, gubiła końcówki wyrazów. Celestria bez słowa patrzyła, jak hrabina, zataczając się, idzie w kierunku schodów. Trzymała się za bok i krzywiła z bólu.

- Jeżeli śmierć mnie także zabierze, połączymy się w niebie, już na zawsze...

Postawiła stopę na pierwszych schodku, zachwiała się i z głuchym stukotem runęła na podłogę.

Celestria zamarła na moment, nie wiedząc, co robić. Hrabina leżała w wyraźnie niewygodnej i mało dystygowanej pozycji. Dziewczyna podeszła do niej i zbadła tętno. Hrabina Va-lonya żyła, ale była nieprzytomna. Celestria myślała teraz bardzo jasno i klarownie.

Zamierzała zatelefonować po pomoc, lecz najpierw postanowiła pomóc samej sobie. Zaczęła przeszukiwać dom, tym razem doskonale wiedząc, czego szuka.

Zacząła od piętra. Nie potrafiła przewidzieć, ile czasu upłynie, zanim hrabina odzyska przytomność, więc działała bardzo szybko. Kiedy weszła do łazienki, z przerażeniem zobaczyła w klozecie martwą wiewiórkę. Okno było szeroko otwarte. Odwróciła wzrok i wzięła głęboki oddech. Nie miała pojęcia, jak można tak żyć, ale jeszcze dziwniejsze było to, że ojca łączył jakiś związek z taką kobietą.

W sypialni nie znalazła nic interesującego, nie licząc butelki z morfiną, schowanej za nocnikiem w szafce przy łóżku. Nie ulegało wątpliwości, że celem wyprawy hrabiny na górę miała być właśnie ta buteleczka.

Celestria zbiegła na dół i zajęła się przeglądaniem stosu papierów na fortepianie. Zerknęła na hrabinę i zauważyła, że jej ciałem wstrząsają lekkie dreszcze. Twarz kobiety była śmiertelnie blada. Działo się z nią coś złego. Rozdarta między współczuciem a pragnieniem osiągnięcia celu pośpiesznie przerzucała dokumenty, mając nadzieję, że hrabina wytrzyma jeszcze trochę.

- Za chwilę zadzwonię po karetkę, obiecuję... - powiedziała, doskonale wiedząc, że hrabina jej nie słyszy.

W końcu znalazła plik potwierdzeń przelewów, których adresatem był nie kto inny jak F.G.B. Salazar w Apulii, w południowych Włoszech.

Apulia... Celestria gorączkowo potarła czoło. Tak, to w Apulii mieszkała niejaka Freddie, której list do Monty'ego znalazła wśród papierów w spiżarni...

Znalazła także rachunki za wizyty, wystawione przez kilku lekarzy z Harley Street oraz recepty na morfinę i inne leki, których nazwy nic Celestria nie mówiły, wszystkie opłacone przez Salazara. Co łączyło jej ojca, Salazara, hrabinę i Freddie, na miłość boską...

Złożyła papiery i wsunęła je do torebki. Hrabina leżała zupełnie nieruchomo. Celestria chwyciła słuchawkę i wybrała numer pogotowia. Podała niezbędne szczegóły, przedstawiła się fałszywym nazwiskiem i wybiegła, nie sprawdzając, czy hrabina żyje, czy nie.

Punktualnie o siódmej wieczorem zabręczał dzwonek przy drzwiach. Celestria zdążyła się wykapać i przebrać, nie miała jednak czasu, by zastanowić się nad wagą znalezionych dokumentów, nadal tkwiących w jej torebce. Postanowiła zrobić to później, bez zbędnego pośpiechu. Nie poświęciła ani jednej myśli nieszczęsnej hrabinie, której mętna rola w życiu Monty'ego z pewnością wymagała wyjaśnienia. Muskając wargami policzek Aidana i wdychając zapach jego kremu do golenia, z ogromną ulgą pozwoliła sobie żyć tylko chwilą obecną.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała szczerze, kiedy ją pocałował.

- Tęskniłem za tobą, kochanie - odparł.

Żołądek Celestria skurczył się z podniecenia, jego głos i pieszczący ucho ciepły oddech przypomniały jej ich poprzednie rozkoszne spotkanie. Jeśli ktokolwiek może pomóc jej zapomnieć o paskudnym minionym tygodniu, to właśnie Aidan.

- Zarezerwowałem stolik w uroczej restauracji na Pimlico Green.

Wyjątkowo przytulne, spokojne miejsce. Pomyślałem, że na pewno spodoba ci się bardziej niż jakiś modny, gwarny i zatłoczony lokal.

- Miałaś rację, nie chciałabym dziś wieczorem wpaść na znajomych. -

Ujęła go pod ramię i razem zeszli do samochodu. - Nie jestem na to jeszcze gotowa...

- Oczywiście, kochanie... Tak się cieszę, że jesteś tutaj i mogę się tobą zaopiekować. Zimno mi się robiło na myśl, że tkwisz w tej zabitej deskami dziurze gdzieś w Komwalii.

Aidan otworzył przed Celestrią drzwi lśniącegozielonego austina healeya i pozwolił sobie ogarnąć jej ciało nieśpiesznym, pełnym zachwyty spojrzeniem.

- Chyba jeszcze nie powiedziałem ci, jak pięknie dziś wyglądasz... - zamruczał.

Jego głos był głęboki i szczerzy. Celestria uśmiechnęła się

z wdzięcznością. Pierwszy raz w życiu czuła się niepewnie, zupełnie jakby ojciec zabrał ze sobą na dno morza cały zapas jej poczucia własnej wartości.

Restauracja rzeczywiście okazała się bardzo przytulna. Stoliki ustawiono na małym placyku, obok jeszcze otwartej o tej porze kwiaciarni. Zapach lilii i róż wypełniał łagodne londyńskie powietrze, nadając temu miejscu przyjemnie obcy akcent.

- Prawie jak w Paryżu - zauważył wesoło Aidan, kiedy kelner podsuwał Celestii krzesło.

- Jest nawet czerwona róża na stoliku - dodała Celestria, wachając piękny kwiat. - Szkoda, to jedna z tych odmian, które nie pachną...

Aidan oparł łokcie na stole. Jego niebieskozielone oczy lśniły, gdy z czułością patrzył na Celestrię.

- Chciałbym zabrać cię do Paryża. Uśmiechnęła się i przechyliła głowę,

- Może ci na to pozwolę... - odparła.

- Mam nadzieję, że po kilku kieliszkach wina „może” zmieni się w „tak”.

- Uniósł rękę, przywołując kelnera. - Poprosimy butelkę sancerre - rzucił, nawet nie zaglądając do karty win.

Kiedy kelner zniknął, Aidan ujął dłoń Celestii i przytrzymał ją nad stołem.

- Jeżeli nie chcesz, nie musimy rozmawiać o twoim ojcu.

- Od wielu dni bez przerwy o nim rozmawiam. Głowa mnie już od tego boli.

- Wyobrażam sobie! Zawsze najgorszą rzeczą jest niepewność... Jeszcze go nie znaleźli, prawda?

- I już nie znajdą.

- Bardzo lubiłem twojego ojca. Był jednym z tych ludzi, którzy błyskawicznie zdobywają sympatię innych.

- Dlatego cała ta sprawa wydaje mi się tak nierzeczywista..., Tata nigdy nie odebrałby sobie życia. Myślę, że został zamordowany.

Oczy Aidana się rozszerzyły.

- Zamordowany? - powtórzył. - Przez kogo? Celestria potrząsnęła głową.

- Nie wiem, ale powoli zaczynam poznawać tę stronę życia ojca, o której istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Na razie nie chcę o tym mówić. Sama nie jestem pewna, jak to wszystko rozwikłać i zrozumieć.

- W takim razie napijmy się wina i porozmawiajmy o innych rzeczach - zaproponował. - Może masz ochotę, żebym opowiedział ci o nieszczęściach naszych wspólnych znajomych?

Uśmiechnęła się szeroko i cofnęła rękę.

- Och, to mi wygląda na najlepszą rozrywkę!

- Tak jest, nie ma nic bardziej interesującego niż sekrety życia innych londyńczyków! W niektóre z nich po prostu trudno uwierzyć, gdyby nie to, że wiedza pochodzi z wyjątkowo wiarygodnych źródeł...

Kelner nalał odrobinę sancerre do kieliszka Aidana, który poruszył nim kilka razy, powąchał i spróbował.

- Doskonale! - oznajmił. - O to mi chodziło!

Streścił Celestria wszystkie znane sobie skandale, wzbogacając niektóre wymyślonymi faktami. Oboje pękali ze śmiechu, dziewczynie udało się wreszcie na krótko zapomnieć o ojcu i znalezionej w butelce wiadomości. Wino było tak lekkie, że dopóki nie zakręciło jej się głowie, nie zauważyła, ile wypłała, a potem miała tak dobry nastrój, że w ogóle nie przejmowała się swoim stanem.

Aidan był przystojny i pociągający, miał włosy koloru piasku i oczy o rozleniwionym spojrzeniu, niebieskozielone jak morska woda w zagłębieniach na plaży. Wysoki, o szerokich ramionach i muskularnych, mocnych i szybkich nogach, dzięki którym zdobywał punkty dla swojej drużyny rugby w Eton, a później na uniwersytecie. Jego matka, Mary-Rose, darzyła go bezwarunkowym uwielbieniem, kobiety także rozpieszczały go i zabiegały o jego względy. Aidan doskonale wiedział, jak przypodobać się damom w dowolnym wie-

ku, i zajmował bardzo wysoką pozycję na rynku matrymonialnym. Celestria uważała, że jego pewność siebie jest po prostu fascynująca. Często obrzucał ją spojrzeniami, od których ugięły się pod nią kolana, zupełnie jakby kochał się z nią oczami. Dobrze pamiętała jego dotyk, pieszczoty, którymi celowo rozpłomienił jej zmysły. Wyciągnęła do niego rękę.

- Wieczór z tobą to najlepsza rzecz, jaka mogła mi się teraz zdarzyć - wyznała lekko zachrypniętym z podniecenia głosem.

- To dopiero początek - odparł, ściskając jej palce i delikatnie masując dłoń. - Popatrz, jest jeszcze całkiem jasno... Nie możesz wrócić do domu, dopóki nie zapadnie noc.

Jego zmysłowe, pełne pożądania spojrzenie spoczęło na jej wargach, które rozchyliły się w oczekiwaniu.

- Nie pozwolę ci odejść - szepnął.

Celestria zaczerwieniła się, świadoma nieuchronności tego, co miało nastąpić, i spuściła oczy.

- Zabiorę cię do domu. Nie powinnaś być teraz sama, kochanie...

- W takim razie będziesz musiał znosić mnie przez cały tydzień! - Z uśmiechem bawiła się jego palcami. - Mama przyjedzie z Kornwalii dopiero w następny wtorek.

- Zabieram cię na cały tydzień... - zawahał się i nagle spoważniał. - Na dwa albo na resztę... - zawiesił głos. - Zabieram cię na tak długo, jak tylko zechcesz... - dokończy! nieco mniej serio.

Uregulował rachunek i zawiózł Celestrię do swego mieszkania w Chelsea. Słońce kryło się już za dachami budynków, barwiąc niebo mglistym odcieniem różu. Było jeszcze bardzo ciepło, wilgotne nieruchome powietrze wydawało się dziwnie ciężkie. Ulice były ciche i puste, tylko stadko tłustych gołębi spadło z nieba na rozsypane na chodniku okruchy i resztki jedzenia. Sporo ludzi nie wróciło jeszcze z wakacji, zajęcia w szkołach miały się zacząć dopiero za parę dni. Londyn był niczym wymarłe miasto - nie było żadnych przyjęć, proszo-

nych kolacji ani wystawnych lunchów u Ritza, które mogłyby rozproszyć uwagę Celestii. Wyglądając przez okno, zastanawiała się, czy życie jeszcze kiedykolwiek będzie takie jak dawniej. Nagle przez jej głowę przemknęła przerażająca myśl - czy naprawdę chciała, aby wszystko znowu było jak dawniej? Wyobraźnia usłużnie podsunęła całą serię obrazów: przyjęcia, zaręczyny, ślub, dzieci, przyjęcia, przyjęcia, przyjęcia, nigdy niekończący się cykl frywolnej egzystencji... Otrząsnęła się z tych wizji, porażona narastającym uczuciem rozczarowania. Chyba wypiałam za dużo wina, pomyślała, odrzucając z czoła wzburzone powiewem powietrza włosy. A może za mało?

Aidan zaparkował samochód przy Cadogan Square, Miał duże, wysokie mieszkanie z eleganckimi francuskimi oknami, przez które wychodziło się na balkon z widokiem na plac. Celestria stała w gęstniejącym zmroku i patrzyła przed siebie.

- Piękna noc... - szepnęła, obserwując jak subtelny róż na zachodzie przechodzi w szarość.

Aidan stanął za jej plecami i objął ją w pasie.

- Nawet w części nie jest tak piękna jak ty.,. - wyszeptał, całując jej szyję. Odwróciła się do niego, z oczami wypełnionymi niespodziewanym smutkiem.

- Pocałuj mnie, Aidan... Całuj mnie tak, żebym nie musiała myśleć o niczym i nikim poza tobą...

Ujął jej *twarz* w dłonie i zaczął ją pieścić wargami. Zaciśnęła powieki i smakowała jego usta, rzeczywiście nie myśląc o niczym innym. Jego pocałunek był delikatny i czuły, ciepły oddech owiewał skórę. Objął ją ciasno i przyciągnął tak blisko do siebie, że wreszcie poczuła się bezpieczna. Świadomy, że stoją na balkonie, gdzie mógł ich zobaczyć każdy przechodzący ulicą człowiek, Aidan wprowadził Celestrię do mieszkania. Długo leżeli na brązowej aksamitnej kanapie, ciasno objęci. Dziewczyna nie protestowała, kiedy jego ręka wśliznęła się pod sukienkę i zaczęła powoli gładzić skórę nad pończochami. Ani razu nie pomyślała o Raffertym, ponieważ pieszczo-

ty Aidana były tak cudownie znajome. Potrzebowała go. Nie chciała myśleć o ojcu ani zagłębiać się w targające nią uczucia straty i opuszczenia. Pragnęła zatracić się w Aidanie i jak gąbka chłonać miłość, którą tak chętnie ją obdarzał.

- Chcę się z tobą kochać... - wymamrotał. - Pobierzmy się, kochanie.

Pozwól mi się sobą zaopiekować... - w jego głosie zabrzmiała ponaglająca nuta. - Obiecuj, że będziesz moja na zawsze.

- Och, tak! - odparła, z trudem łapiąc oddech i pozwalając, aby los niósł ją niczym fala pustą muszelkę.

Przynajmniej pozornie zapomniała o ojcu, tysiącach funtów, które podziały się nie wiadomo gdzie, i o hrabinie Valo-nya. Teraz liczył się tylko Aidan i jego szeroko otwarte ramiona. Zaopiekuje się mną, pomyślała z rozbudzoną przez wino satysfakcją. Już nigdy nie będę sama...

Celestria obudziła się z potwornym bólem głowy koło drugiej w nocy. Minęła dłuższa chwila, zanim zorientowała się, gdzie jest. Leżała w obcym pokoju, na obcej kanapie, zupełnie naga, co trochę ją zaniepokoiło. W świetle, które przenikało do środka z ulicy, rozpoznała Aidana. Spał obok niej, z twarzą wtuloną w jej szyję. Popatrzyła na sufit, usiłując przypomnieć sobie i uporządkować wydarzenia ubiegłego wieczoru. Kochali się - to akurat doskonale pamiętała. Przede wszystkim miała uczucie dyskomfortu między nogami. Nie mogła sobie przypomnieć, czy czuła przyjemność, czy nie, i żałowała tego, bo przecież był to jej pierwszy raz. Wiedziała, że w czasie gry wstępnej ogarnęła ją fala wielkiego podniecenia - Aidan był prawdziwym mistrzem pieaszot. Na pewno uśmiechnęłyby się na wspomnienie tamtych chwil, gdyby nie ten cholerny ból głowy... Niewątpliwie miała za sobą wspaniałe przeżycia, chociaż szczegóły uleciały jej z pamięci. Tak czy inaczej, teraz czuła się raczej marnie. Kiedy z trudem podniosła się z łóżka, ostrożnie, by nie obudzić kochanka, przypomniała sobie, że chyba mówił coś o małżeństwie. Niestety, zupełnie nie pamiętała, co i w jaki sposób odpowiedziała.

Zdołała znaleźć wszystkie części ubrania, beztriosko rozrzucone po całym salonie. Majtki wyciągnęła spod kanapy, jeden pantofel był w korytarzu. Ubrała się pośpiesznie i na palcach wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. To już druga osoba, którą zostawiam w stanie nieświadomości w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, pomyślała. Tyle że tym razem sama czuję się wykorzystana...

Ruszyła w kierunku Pont Street. Ulica przed nią była pusta, od czasu do czasu mijały ją tylko taksówki z zapalonymi żółtymi światłami. Bez trudu zatrzymała jedną z nich. Zdawała sobie sprawę, że wygląda nieszczególnie, więc nie próbowała rozmawiać z kierowcą. Patrzyła w okno, czując dziwną pustkę w środku. Miłość fizyczna miała być wyjątkowym, świętym przeżyciem, połączeniem ciał i dusz dwojga ludzi, którzy darzą się miłością i szacunkiem, a nie pijaną nocą na kanapie i mglistym wspomnieniem, z trudem przywoływanym następnego dnia rano...

Celestria Montague, która w wieku dwudziestu jeden lat przekroczyła próg kobiecości, wczołgała się do łóżka, naciągnęła koc na głowę, żeby jak najdokładniej zapomnieć o całym świecie, i zapadła w głęboki, twardy sen. Nic jej się nie śniło.

Sześć godzin później obudził ją natarczywy dzwonek telefonu, który stał w sąsiednim pokoju, sypialni jej matki. Gdzie jest Wayne, pomyślała nieprzytomnie, czekając, aż gospodyni podniesie słuchawkę. Telefon nadal dzwonił. Celestria z jękiem przetoczyła się na drugi bok i przykryła głowę poduszką. Było jeszcze za wcześnie, aby stawić czoło Aidanowi, zresztą na razie nie wiedziała, co właściwie do niego czuje. Zastanowię się nad tym później, powiedziała sobie i zasnęła.

O jedenastej dwadzieścia pięć znowu obudziło ją brzęczenie telefonu. Dzwonił bez końca. O, Boże, ależ jest napalony, jęknęła w myśli. Tym razem nie mogła zignorować dzwonka. Z trudem ściągnęła zaspane ciało z łóżka, dotarła do biurka

matki i podniosła słuchawkę. Ku swemu wielkiemu zdumieniu po drugiej stronie usłyszała donośny bas Richarda W. Bancrofta **II**.

- Lisku? Dzwonię do ciebie od samego rana!
- Dziadek?! - pisnęła zaskoczona. Richard od lat nazywał ją „Liskiem”.
- Nie, Święty Mikołaj! A któż by inny?
- Skąd dzwonicz? - spytała.
- Z hotelu Claridges.
- Jesteś tutaj, w Londynie! - zawołała z radością.

Nagle poczuła się tak, jakby ktoś zrobił jej zastrzyk z adrenaliny.

- Czy moja wnuczka robi mi zaszczyt i zje dziś ze mną lunch w Ritzu?

- Och, jaka wspaniała niespodzianka!

- Mam nadzieję... - mruknął Richard. - Wiem, że ostatnio przeżywasz trudne chwile...

- Łagodnie mówiąc! - roześmiała się ochryple.

- Opowiesz mi wszystko przy lunchu. O dwunastej trzydzieści, dobrze?

- Rozmawiałeś z mamą?

- Od niej dowiedziałem się, gdzie cię szukać, Lisku. Ukryłaś się w norze i wcale mnie to nie dziwi, ale pomyślałem, że może ucieszy cię moje towarzystwo... Nie spóźnij się!

Celestria usłyszała śmiech dziadka i oczami wyobraźni zobaczyła, jak siedzi w imponującym apartamencie w hotelu Claridges, z cygarem w ręku, owinięty bordowym szlafrokiem z jedwabnym szalowym kołnierzem, w otoczeniu pięknie oprawionych zdjęć - po partii golfa z prezydentem Eisenhowerem, na uroczystości otwarcia biblioteki miejskiej z Bernardem Baruchem, po koncercie Marii Callas w Rzymie, z divą w ramionach. Dziadek Celestria był ostatnim z gigantów amerykańskiego przemysłu, królem naftowym. Był też Amerykaninem, który tak mocno pokochał Wielką Brytanię, że kupił najbardziej imponujący szkocki zamek, jaki udało mu się znaleźć, i wspaniale go umeblował. Podróżował z włas-

ną zastawą ze srebra i kryształu, a w pokojach apartamentu w Claridges przed jego przyjazdem ustawiano bukiety jasnych storczyków oraz lilii. Richard W. Bancroft II prowadził życie na najwyższym poziomie. Lubił otaczać się pięknymi przedmiotami i zawsze wybierał rzeczy najwyższej jakości.

Celestria osunęła się na łóżko matki, próbując uporządkować kłębiące się w głowie myśli. Miała wrażenie, że zamiast mózgu ma w głowie motek wełny. Spojrzała na zegarek - była jedenasta trzydzieści. Została jej niecała godzina, aby wziąć kąpiel i ubrać się, a wiedziała przecież, że zdaniem dziadka Lisek zawsze musi wyglądać jak z obrazka.

Kiedy zanurzyła się w pachnącej dzwonkami wodzie, która miała oczyścić jej ciało z szaleństw poprzedniego wieczoru, ogarnęła ją nagle ogromna ulga, że dziadek jest blisko niej. Przyjechał się nią zaopiekować. Mogła powiedzieć mu wszystko, pewna, że wysłucha uważnie, nie spuszczając z jej twarzy mądrych szarych oczu. Jeżeli coś było nie tak, nie musiała się już o to troszczyć, bo Richard W. Bancroft II posiadał wielką władzę i majątek. Może nie sprowadzi z powrotem ojca, ale z pewnością uratuje Pamelę, Harry'ego i ją od ubóstwa. Kto w-ie, może nawet Celestria wyjedzie do Ameryki i zamieszka z dziadkami w Nowym Jorku, znajdzie sobie miłego Amerykanina i rozpocznie z nim nowe życie na Manhattanie. I będzie miała dom na wakacje w Nantucket. Ta myśl bardzo jej się spodobała. Kiedy włożyła jasną letnią spódnicę i żółty bliźniak, a do tego świetliste perły na szyję i do uszu, poczuła się prawie normalnie. Podpięte po bokach włosy opadały falami na ramiona i plecy. Starannie nałożyła tusz do rzęs i szminkę. Wychodząc, spojrzała w wiszące w holu lustro; chwilę zastanawiała się, czy wygląda tak promiennie, bo stała się już kobietą, przed którą tajemnice seksu stoją otworem, czy też zawdzięcza tę nagłą metamorfozę szkarłatnej szmince i perłom matki.

Pojechała do Ritza taksówką. Kiedy wysiadała, serce mocniej zabiło jej z radości na widok lśniącego czerwonego bentleya, który zatrzymał się przed wejściem do restauracji, mru-

cząc jak wielki kocur. Nienagannie ubrany szofer w czarnym kapeluszu i rękawiczkach otworzył tylne drzwi samochodu, a do pomocy rzucili się natychmiast dwaj portierzy z Ritza, rumiani z ekscytacji, ponieważ Richard W. Bancroft II nie tylko był bardzo ważnym gościem, ale także niezwykle hojnie rozdawał napiwki. Celestria przystanęła i z rozbawieniem patrzyła, jak z miejsca obok kierowcy wysiada Rita, asystentka dziadka, który bez pośpiechu opuścił miejsce z tyłu wozu, z charakterystyczną pewnością siebie witając się z portierami. Potężnie zbudowany i nadal silny niczym niedźwiedź, garbił się trochę i kroczył powoli i dostojnie, jak człowiek, który jest zmuszony czynić pewne ustępstwa na rzecz szkód wyrządzo- * nych przez wiek i czas. Miał gęste siwe włosy, bystre, inteligentne oczy oraz życiową energię znacznie młodszego człowieka. Uniósł rękę, aby podziękować szoferowi, i ruszył w górę po schodach. Rita, która mu wszędzie towarzyszyła, szybkim krokiem poszła przodem, aby uprzedzić dyrektora hotelu o przybyciu swego szefa, zaraz okazało się jednak, że niepotrzebnie się trudziła - pan Windthorne czekał już w holu na szacownego gościa.

Celestria weszła do środka za niewielką grupką, ciekawa, kiedy ją zauważą. Była częstym gościem w Riztu i większość obsługi знаła po imieniu. Po chwili pan Windthorne, który właśnie uściskiem dłoni witał się z dziadkiem, dostrzegł ją i uśmiechnął się z przyjemnością. Piękna blondynka, która przystanęła blisko wejścia, od razu skupiła na sobie jego uwagę.

- Panie Bancroft, jest już panna Montague - oznajmił z radością.

Richard Bancroft odwrócił się powoli i posłał wnuczce szeroki uśmiech.

- Punktualna i promienna jak zawsze! - zawołał z wyraźnym amerykańskim akcentem, wyciągając do niej ramiona.

Celestria objęła dziadka z czułością, przyciskając policzek do jego policzka z uczuciem, że po żegludze na wzburzonym morzu wreszcie wpływa do bezpiecznego portu.

- Pachniesz dzwonekami, a przecież do wiosny jeszcze daleko... -
Roześmiał się wesoło.

Niespodziewanie poczuł się o wiele młodszy. Celestria wzięła go pod rękę, on zaś lekko poklepał ją po dłoni.

- Dzień dobry, panno Montague - odezwała się Rita nieco chłodnym tonem.

Pracowała dla pana Bancrofta od piętnastu lat i nie lubiła, kiedy wokół szefa kręciły się kobiety, a zwłaszcza jego wnuczka. Kiedy jej chlebodawca przebywał w towarzystwie Celestria, prawie zapominał o istnieniu asystentki.

- Pan Bancroft chce udać się prosto do swojego stolika - poinformowała teraz pana Windthorne'a z ważną miną, zmierzając na niebezpiecznie wysokich obcasach w stronę wejścia do restauracji.

- Siądziemy do posiłku w najpiękniejszej sali restauracyjnej w Londynie i z przyjemnością spędzimy tu czas nawet do późnego popołudnia - dodał dziadek Celestria. - Cieszę się, że nic nie zmieniło się u was w ciągu ostatniego roku, panie Windthorne.

Dziewczyna kątem oka dostrzegła swoje odbicie w dużych połączonych lustrach i doszła do wniosku, że i ona, i dziadek wyglądają całkiem nieźle. Wyobraziła sobie, jak wsparta na jego ramieniu idzie środkową nawą katolickiego kościoła przy Farm Street. Dobrze, że nadal miała kogoś, kto poprowadziłby ją do ołtarza.

- Mów, co się właściwie dzieje, Lisku! - Richard Bancroft z poważnym wyrazem twarzy popatrzył na wnuczkę.

Rita i pan Windthorne wycofali się, aby pan Bancroft mógł nacieszyć się wnuczką i doskonałym winem przy okrągłym stoliku w lewym rogu sali, tuż przy oknie.

- Wszyscy uważają, że tata popełnił samobójstwo - zaczęła. - Na dnie jego łodzi leżała butelka, a w niej kartka z papeterii stryja Archiego ze słowami: „Wybaczcie mi”. Znaleźli tam także zegarek z dewizką, a fale wyrzuciły na skały jego buty, chociaż naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego były zasznurowane. Moim zdaniem tata został zamordowany.

Richard Bancroft zaśmiał się i pociągnął łyk bordeaux.

- Głęboki aromat, doskonałe - zauważył z uznaniem. Sommelier napełnił ich kieliszki. - Spokojnie, Lisku, nie mów „hop!”, dopóki nie przeskoczysz... Zanim dobry detektyw dojdzie do ostatecznego wniosku, starannie rozważa wszystkie fakty.

- Byliśmy też u adwokata, który powiedział nam, że tata nie pracował przez dwa ostatnie lata i że jego firma zbankrutowała. Tymczasem nam wciąż mówił, że podróżuje w interesach po Europie... W jakich interesach, skoro nie miał już firmy?

- Rzeczywiście...

- Stracił nie tylko swoje pieniądze, ale także mamy!

- Rozumiem. - Richard Bancroft zmrużył oczy. Przez jego twarz przemknął cień, chociaż przez wysokie oszklone drzwi do sali wlewały się jasne promienie słońca. - Mów dalej.

- Roztrwoniał wszystko, co miałam odziedziczyć, dziadku. Mama, Harry i ja właściwie nie mamy z czego żyć, jesteśmy biedni jak kościelne myszy. Dziadek roześmiał się i potrząsnął głową.

- Gadasz głupstwa, Lisku!

- Nie jesteś oburzony i wstrząśnięty?

- Opowiedz wszystko do końca.

Kelner czuwał w pobliżu stolika, gotowy przyjąć zamówienie. Richard Bancroft złożył je, nie konsultując się z wnuczką.

- Powinnaś się porządnie odżywiać, jesteś blada jak śmierć. Zaraz dostaniesz solidną porcję krwistego mięsa, słuchaj rad starego doktora...

Trochę wina też dobrze ci zrobi, może odzyskasz rumieńce.

Celestria wypła odrobinę wina, żeby zrobić mu przyjemność, chociaż uważała, że poprzedniego wieczoru wypła przydział alkoholu na cały miesiąc, lekko licząc.

- Na razie nie wygląda to wszystko zbyt ciekawie - mruknął. - Mów dalej, Lisku.

Z ulgą streściła wydarzenia, które miały miejsce w Pendrif t,

przekonana, że teraz sprawa trafiła w ręce kogoś znacznie lepiej wykwalifikowanego niż ona.

- Nie mogłam tam dłużej siedzieć. Mama całymi dniami nie wstawała z łóżka i skarżyła się, że Poochi z powodu stresu przeżywa nerwowe załamanie. Atmosfera w domu stała się nie do wytrzymania, na dodatek policja nie wpadła na żaden trop. Nie ma ciała, więc nie można zorganizować pogrzebu, a może się przecież zdarzyć, że zwłoki nigdy nie zostaną odnalezione. I co wtedy zrobimy? Kiedy się to skończy?

- Poza tym, co powiedział wam prawnik, nie ma żadnych dowodów, że Monty był nieszczęśliwy?

- Żadnych. Ja uważam nawet, że tata był najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Richard Bancroft w zamyśleniu pokiwał głową.

- Co dalej?

- W spiżarni w naszym domu znalazłam pudło z papierami. Wayne mówi, że tata przed wyjazdem do Kornwalii starannie wysprzątał gabinet.

- Na co się natknęłaś, Sherlocku?

- Na list od kobiety imieniem Freddie, która mieszka w dawnym klasztorze w Apulii. W kopercie była też fotografia, na której tata robi wrażenie bardzo zadowolonego z siebie... List nie ma daty. W tym samym pudle były wyciągi bankowe, z których wynika jasno, że z rachunku rodziców przelewano ogromne sumy pieniędzy do Włoch. Chciałam wiedzieć, gdzie się to wszystko podziało, więc poszłam do banku, gdzie poinformowano mnie, że takie informacje są zastrzeżone, ale...

- Posłużyłaś się swoim urokiem, prawda, Lisku? - Richard Bancroft uśmiechnął się jednym kąciem ust, pełen podziwu dla umiejętności Celestii.

- Dowiedziałam się, kim była asystentka taty, która utrzymywała zresztą, że jest jego partnerką. Hrabina Valonya, najbardziej przerażająco groteskowa kobieta, jaką w życiu widziałam. To ona porozumiewała się z bankiem i załatwiała inne sprawy, Bóg wie, jakie... Odnalazłam ją przez Węgierski

Klub w Hampstead. Mieszka w dziwnym domu, zarośniętym pnączami, wśród których gnieźdzą się stada ptaków. Odrażająca baba, nie chciała mi nic powiedzieć! Najdziwniejsze, że próbowała wmówić mi, iż parę dni temu rozmawiała z tatą. Nie uwierzyłam jej, oczywiście. Była pijana. Uważała, że ja i mama uknułyśmy spisek, żeby nie dopuścić jej do taty, zupełnie jakby była jego tajemniczą kochanką czy coś w tym rodzaju. Sądziłam, że tata miał lepszy gust. Sądząc po łzawych wyznaniach połowy kobiet w Pendrift, z pewnością mógł przebierać w nich jak w ulegalkach, gdyby miał ochotę.

- Twój ojciec faktycznie był uiubieńcem dam - powiedział starszy pan. - Nie ma w tym zresztą nic złego...

Celestria wyjęła z torebki gruby plik rachunków i położyła je przed dziadkiem.

- Znalazłam je w jej salonie. Jest uzależniona od morfiny, to jasne... I pewnie od alkoholu, bo piła dzin nawet przy mnie, prosto z butelki. Ohyda... Ten Salazar płaci jej rachunki, może także wypłaca pensję. Jednak najważniejsze jest to, że mieszka w Apulii, tam, gdzie ta cała Freddie... Zbieg okoliczności? Nie sądzę. To właśnie tam tata wysyłał pieniądze. Chcę wiedzieć, dlaczego, i zamierzam odzyskać to, co nasze. Myślisz, że Salazar szantażował tatę, dziadku? Może ojciec płacił mu za milczenie... Tak czy inaczej, uważam, że to Salazar odpowiada za śmierć taty. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie można wykluczyć, że tata miał romans z Freddie, a Salazar groził mu, że poinformuje o wszystkim jego rodzinę... Jedno jest dla mnie jasne - tata nie chciał, żebyśmy o tym wiedzieli.

Richard Bancroft długo przeglądał dokumenty, pogrążony w zamyśleniu. Napił się wina i odchylił się do tyłu, żeby kelner mógł postawić przed nim półmisek z pasztetem z gęsich wątróbek. Celestria popatrzyła na eskalopki, które zamówił dla niej dziadek, i nagle zaburczało jej w brzuchu z głodu. Nie jadła od poprzedniego wieczoru. Nastrój bardzo jej się poprawił dzięki pocieszającej obecności dziadka, z apetytem zabrała się do jedzenia.

- No, Lisku-Holmesie, teraz już wiem, że najlepsze cechy odziedziczyłaś po mnie.

- A najgorsze? - zagadnęła z uśmiechem, bo i tak знаła odpowiedź.

- Po matce.

Pewnie roześmiałyby się serdecznie, gdyby w tej samej chwili nie przypomniała sobie o kłótni rodziców w noc zniknięcia ojca. Pamela powtórzyła jej słowa Monty'ego, który w złości oświadczył, że im prędzej córka wyjdzie za mąż, tym lepiej, bo inaczej stanie się taka jak matka i doprowadzi go do szaleństwa swoimi wymaganiami. Żart dziadka wydał jej się nagle wyjątkowo mało śmieszny.

- Zgodzisz się chyba ze mną, że cała ta sprawa jest dosyć podejrzana? - spytała.

Richard Bancroft wzruszył ramionami i oddał jej rachunki.

- To ty jesteś detektywem... Możliwe, że nic się w tym nie kryje, ale nie da się też wykluczyć, że jest dokładnie odwrotnie.

- Chcę pojechać do Włoch i odszukać Salazara.

- Tego się obawiałem - mruknął.

- Nie mam racji?

Ujął jej rękę, jego stare, mądre oczy popatrzyły na nią ze zrozumieniem.

- Może nie masz, ale zawsze należy słuchać podpowiedzi instynktu.

Ciekawe, gdzie bym dzisiaj był, gdybym nie przestrzegał tej zasady...

- Zacząłeś od przeczucia, dziadku?

- Tak, zacząłem od przeczucia, podobnie jak ty. Nie zdajesz sobie sprawy, skąd wyszedłem, i nie uwierzyłabyś, co zrobiłem, żeby osiągnąć to, co osiągnąłem. - Richard Bancroft uśmiechnął się lekko na myśl o swoim imperium, od kopalni węgla w Pensylwanii po ropę w Kalifornii, gazety w Chicago i ośrodki narciarskie, które budował w Kolorado. - Nie zdobyłbym nic, gdybym nie słuchał instynktu... - Rzucił wnuczce uśmiech hazardzisty. - Sfinansuję twoje śledztwo, Lisku.

- Naprawdę?! - zawołała z radością. - Co mam powiedzieć mamie?
 - Im mniej, tym lepiej. Powiedz, że wyjeżdżasz na krótkie wakacje, bo musisz uciec od stresu i spokojnie przemyśleć wiele ważnych spraw.
 - Wiedziałam, że zaopiekujesz się nami, dziadku. - Celestria nie kryła zadowolenia.
 - Co takiego? Wyjeżdżasz do Włoch? Po co? - zapytała z oburzeniem Pamela.
 - Dziadek uważa, że przyda mi się odpoczynek.
 - Całe twoje życie to jeden wielki odpoczynek! - Pamela poczuła bolesne ukłucie zazdrości.
- Jej ojciec nie wpadł na pomysł, żeby to ją wysłać do Włoch...
- Muszę odzyskać równowagę po śmierci taty.
 - Chyba dotyczy to nas wszystkich, nie wydaje ci się? Przeżywam tu prawdziwe piekło, żyjemy w stanie zawieszenia. Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie wrócę do Londynu i pošlę kochanego Harry'ego do szkoły. Tutaj całe dni spędza na świeżym powietrzu, z Davidem i chłopcami. Dzięki Bogu za Davida... Nie mam pojęcia, co zrobiłabym z Harrym, gdyby David nie dostarczał mu rozrywek. I ciągle mam okropne migreny, ta tragedia zupełnie mnie wykończyła...
 - Dziadek się nami zaopiekuje. Nie będziemy nędzarzami.
 - Pieniądze nie mogą uleczyć poczucia zdrady. Zostałam głęboko zraniona. Mężczyzna, którego kochałam, z którym zdecydowałam się dzielić najlepsze lata mojego życia, okłamał mnie i roztrwonil mój majątek. A wydawało mi się, że tak dobrze go znam. Nie wiesz, jakie to uczucie... Boże, ponad dwadzieścia lat spałam z nim w jednym łóżku... No, ale ciebie mało to obchodzi. Kiedy zamierzasz jechać i gdzie się zatrzymasz?
 - Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu.

- Ale nie przed moim powrotem, dobrze? I w ogóle skąd ten pośpiech?
- Nie ma sensu, żebym siedziała w Londynie, który teraz jest kompletnie wymarły. Wszyscy znajomi i przyjaciele wyjechali, więc nudzę się jak mops... - Pomyślała o Aidanie, którego zostawiła na kanapie w jego mieszkaniu w Chelsea.

Ciekawe, czy próbował się do niej dodzwonić, kiedy była na lunchu z dziadkiem.

- Gdzie się zatrzymasz? - powtórzyła Pamela.

- W Apulii.

- Apulia? Gdzie to jest?

- Na południu Włoch, tam, gdzie widać obcas włoskiego buta...

- Dlaczego nie wybrałaś jakiegoś cywilizowanego miejsca, na przykład Toskanii? Dziadek na pewno ma tam przyjaciół, u których mogłabyś zamieszkać!

- Ma także przyjaciół w Apulii. Mieszkają w dawnym klasztorze, Convento di coştam, nie mogę sobie przypomnieć... Podobno jest to bardzo piękne, ustronne miejsce, a właśnie takiego mi potrzeba. W dodatku nad samym morzem...

Nerwowo przygryzła wargę. Miała nadzieję, że matka nie dostrzeże nic podejrzanego w jej nagłym pragnieniu odpoczynku w spokojnym, cichym zakątku.

- Nad samym morzem, coś takiego - prychnęła sarkastycznie Pamela. - Zupełnie jak Pendrift! Kto z tobą jedzie?

- Nikt. Mogę jechać sama.

- W żadnym razie! Nie pozwolę, żeby moja dwudziestoletnia córka samotnie podróżowała po świecie! Mogliby cię porwać albo coś w tym rodzaju...

Celestria pomyślała, że jej misternie ułożony plan legnie w gruzach.

- Więc kto mógłby ze mną pojechać?

Pamela się zawahała. Przez jedną okropną chwilę bała się, że matka zaproponuje jej swoje towarzystwo.

- Wayne - powiedziała w końcu Pamela, wyraźnie zado-

wolona ze swojego pomysłu. - Możesz wziąć ze sobą Wayne. Od lat nigdzie nie wyjeżdżała, może będzie miała ochotę na krótkie wakacje.

- Przecież Wayne nigdy nie wystawia nosa poza Londyn! jeździ najdalej do Yorkshire!

- Nie szkodzi, spróbuj ją namówić. Będzie idealną przy-zwoitką. Żaden obleśny Włoch nie poradzi sobie z Wayne.

- Wayne nie umie nawet pisać ani czytać! - protestowała Celestria.

- I co z tego? Wszystkie napisy i tak będą po włosku, prawda?

- A jeżeli Wayne się nie zgodzi?

- Płacę jej pensję... - zaczęła Pamela i nagle zawahała się, uświadomiwszy sobie, że nie ma już pieniędzy. - Dziadek może zapłacić także i za jej wakacje. Niech Wayne potraktuje to jako premię.

Celestria wyobraziła sobie, jak Wayne przeszkadza jej na każdym kroku prowadzonego dochodzenia, i jej zapał gwałtownie ostygł.

- Do kiedy dziadek będzie w Claridges? - spytała Pamela, zmieniając temat.

- Nie powiedział.

- Pewnie zobaczę się z nim, zanim wyjedzie do Szkocji. - Nie sprawiała wrażenia szczególnie uradowanej tą perspektywą. - Może teraz, kiedy straciłam męża, wreszcie odzyskam ojca...

Celestria zignorowała jej zawołane aluzje.

- Jak czuje się ciotka Julia? - zapytała matkę.

- Kopci jak komin. Nawet ona nie może się zdobyć na uśmiech, więc wyobraź sobie, jak czujemy się my, normalni ludzie, pozbawieni jej naturalnej pogody ducha... Archie spędza dużo czasu z Elizabeth, która za nic nie chce uwierzyć w śmierć Monty'ego. Odbyła rozmowę z księdzem Dalglishem i oświadczyła mu, że w żadnym razie nie może uznać jej syna za zmarłego... Dopóki nie ma ciała, nie chce o tym słyszeć. Mówi, że nosi się na czarno na znak smutku po zniknię-

ciu syna, nie na znak żałoby po jego śmierci. Bóg jeden wie, co sobie wymyśliła. Może sądzi, że Monty ma amnezję i tuła się po całym kraju, pewnie bez butów... Przeżywam najgorsze tygodnie mojego życia, naprawdę! Chyba nigdy nie dojdę do siebie po tym wszystkim!

- Spróbuj wybrać się na mszę - poradziła Celestria.

Nie miała pojęcia, dlaczego zachęca do modlitwy kobietę, która w nic nie wierzy. Może dlatego, że doskonale zdawała sobie sprawę, iż odkąd Monty odszedł z życia Pameli, tylko Bóg miał szansę wydobyć ją z depresji.

- Może spróbuję... - odparła Pamela.

Celestria drgnęła, całkowicie zaskoczona. Matka powiedziała to nietypowo łagodnym tonem.

- Muszę już kończyć, skarbie - rzekła Pamela. - Zadzwoń do mnie jutro, dobrze?

Pamela z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Nie mogła zwierzyć się córce, że już rozmawiała z księdzem Dalgley-shem. Nie potrafiła wyjawić, jak bardzo czuła się opuszczona i samotna. Stojąc przy oknie, w milczeniu obserwowała zachodzące słońce. Wieczór był piękny. Niebo przybrało odcień lekkiego błękitu; na tym pastelowym tle jaśniało złociste słońce, kreśląc na horyzoncie linię w kolorze płynnego miodu. Przypomniała sobie radę księdza Milesa, aby zatrzymać się na moment i popatrzeć na zachód słońca.

- Gdzie ci się tak nagle śpieszy?! - zawołała Penelope, kiedy Pamela przebiegła obok niej w szlafroku.

Przez ostatnie trzy dni żona Monty'ego w ogóle nie opuszczała sypialni.

- Chcę popatrzeć na zachód słońca! - odpowiedziała Pamela, kierując się w stronę klifów.

Dobry Boże, pomyślała Penelope, ta kobieta w końcu kompletnie postradała zmysły...

Celestria odkryła, że wydarzenia, które puściła w ruch poprzedniego wieczoru, gwałtownie nabrały tempa i wymknęły się spod kontroli. Aidan zjawiał się w jej domu objuczony ogromnym bukietem róż. Dziewczyna wyczuła słodki zapach kwiatów, jeszcze zanim je zobaczyła, lecz dopiero po chwili pamięć podsunęła jej mętne wspomnienie propozycji małżeństwa. Nie należała do osób, które łatwo jest zmusić do zrobienia czegokolwiek wbrew ich woli. Teraz była gotowa naprędce wymyślić jakąś wymówkę, pokajając się, że wypła za dużo wina, czuła się zagubiona, czy coś w tym rodzaju, byle tylko wykpić się z obietnicy, jaką być może złożyła. Kiedy jednak spojrzała w pełne niepokoju oczy Aidana, straciła wolę walki.

- Nie żałujesz chyba ostatniej nocy? - zapytał szybko, najwyraźniej powtarzając na głos kwestię, którą wcześniej ułożył sobie w myśli. - Nie było cię, kiedy się obudziłem... Dzwoniłem do ciebie prawie przez cały dzień, ale nikt nie odpowiadał. Strasznie się niepokoiłem. Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż cię wykorzystałem... Nigdy bym tak nie postąpił.

- Ach, ty głuptasie! Wayne nie pracuje w weekendy, a ja

po prostu spałam! - skarciła go z czułością. - Młoda dama nie powinna budzić się w łóżku mężczyzny, bo źle by to o niej świadczyło! Nie jestem dziewczyną tego rodzaju.

- Oczywiście... - Aidan odetchnął z ulgą. - Wyjdiesz za mnie, prawda? Nie zmieniłaś zdania?

Zawahała się na moment, zaraz jednak odsunęła na bok wątpliwości.

- Tak - powiedziała. - Widzisz, niepotrzebnie się martwiłeś. Jakie piękne kwiaty, uwielbiam róże...

Doszła do wniosku, że może jednak ostatnia noc nie była pomyłką. Aidan był przecież doskonałym materiałem na męża - bogaty, przystojny, czarujący, zabawny i szanowany. W gruncie rzeczy jakie znaczenie miało to, że go nie kochała? Zawsze będzie mogła wziąć sobie kochanka, jeżeli przyjdzie jej na to ochota, za to pod względem praktycznym był to doskonały układ - Aidan zaopiekuje się nią, co w końcu było najważniejsze. Niczego jej przy nim nie zabraknie, poza tym był naprawdę niezły w grze wstępnej. Matka będzie zadowolona, że się jej pozbędzie, zresztą cała rodzina potrzebowała teraz jakiegoś radosnego wydarzenia, by oderwać się od rozmyślań o samobójstwie Monty'ego.

Postawiła róże na stole, odwróciła się twarzą do narzeczonego i pozwoliła, aby wziął ją w ramiona.

- Jesteś szczęśliwa, ukochana? - Pieścił wzrokiem jej twarz.

- Bardzo - odparła szczerze.

Upokarzające uczucie, że została w jakiś sposób wykorzystana, na szczęście już ją opuściło. Aidan miał ją przecież poślubić, a dziadek przybył na ratunek w odpowiednim momencie, niczym doświadczony ratownik. Krótko mówiąc, Celestria była na tyle szczęśliwa, na ile pozwalały okoliczności. Popatrzyła na Aidana tak, jak w dzieciństwie patrzyła na okazujących jej uwielbienie dorosłych - z oczami pełnymi czułości, lecz sercem pustym jak bańka mydlana. Aidan uśmiechnął się, dumny i zadowolony. Nie miał już cienia wątpliwości, że narzeczonea naprawdę go kocha.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł zacząć cię rozpieszczać!
Kupimy sobie wspaniały dom i wypełnimy go dzieciakami! Zostaniesz panią Cooney, najmiłsza... Jak to brzmi?

Średnio, jeśli mam być szczerą, pomyślała Celestria, lecz perspektywa zostania mężatką mimo wszystko dosyć jej się podobała. ,

- Będę musiał poprosić o zgodę twoją mamę - dodał poważnie. - Kiedy wraca z Kornwalii?

- Ach, właśnie... - Uwolniła się z ramion narzeczonego. - Muszę z tobą porozmawiać.

- O co chodzi? - Aidan wszedł za nią do salonu.

- Mama wraca w czwartek, ale ja wyjeżdżam do Włoch.

- Do Włoch? - powtórzył ze zdumieniem. - Kiedy?

- W przyszłym tygodniu.

- Nic mi o tym nie wspominałaś...

- Bo przyszło mi to do głowy dopiero wczoraj. Mój dziadek przyjechał do Londynu i zaproponował, żebym zrobiła sobie wakacje.

- Ale chyba nie jedziesz sama?

- Zabieram z sobą panią Waynebridge, naszą gospodynię, chociaż ona nic jeszcze o tym nie wie. Dziadek wszystko zorganizuje, nie muszę nic załatwiać. Potrzebuję trochę czasu, żeby odzyskać równowagę po śmierci ojca, chyba sam rozumiesz...

Wyciągnęła się na sofie jak duży biały kot.

- Ależ oczywiście... Straszny ze mnie egoista... Na jak długo wyjeżdżasz?

- Na krótko, dwa tygodnie, miesiąc, sama jeszcze nie wiem. Tak czy inaczej, na pewno nie na dłużej niż miesiąc.

Aidan wyraźnie się uspokoił.

- Cóż, chyba jakoś przeżyję miesiąc bez ciebie.

- Naturalnie, kochany... - Celestria pociągnęła go na kanapę i pokryła jego twarz drobnymi pocałunkami.

- Nie zakochasz się w jakimś przystojnym Włochu, prawda?

- Nie znoszę Włochów - powiedziała, nie mogąc sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miała z jakimś do czynienia.

- Czeka mnie najgorszy miesiąc w życiu... - westchnął Aidan. - Będę żył ze świadomością, że zaręczyłem się z najpiękniejszą dziewczyną na świecie i nikomu nie mogę o tym powiedzieć.

- Nie wolno ci nikomu powiedzieć, w żadnym razie! -przeraziła się Celestria, podświadomie drażąc wyjście w łączącym ich porozumieniu na wypadek, gdyby jednak chciała się z niego wycofać.

- Moi rodzice będą tobą zachwyceni - ciągnął. - Chciałbym cię im jak najszybciej przedstawić.

Entuzjazm Aidana trochę ją przerażał, podobnie jak pomysł spotkania z jego rodzicami. W łańcuchu pokarmowym Aidan z pewnością znajdował się blisko szczytu, jeśli chodzi o majątek i klasę, nie była jednak do końca przekonana, czy jest lwem, chociaż może nie miało to jednak wielkiego znaczenia... Lew czy ogier, dobrze chociaż, że nie był bawołem... Tak czy inaczej, nie musiała teraz o tym myśleć, na razie mogła pozwolić sobie na odsunięcie wszelkich wątpliwości. Za tydzień wyjeżdżała do Włoch.

- Dokąd zabrać cię na kolację? - spytał Aidan.

- Powiem ci, ale nie teraz... - zamruczała.

Aidan przycisnął wargi do jej ust i zaczął ją całować, namiętnie i głęboko.

Później, pomyślała Celestria. Pomyślę

O tym wszystkim później...

Pamela stała na szczycie klifu i patrzyła na morze, które zaledwie przed tygodniem pochłonęło jej męża. Ostatnie wydarzenia nadal wydawały jej się kompletnie niezrozumiałe. Ciągle miała wrażenie, że tkwi w środku sennego koszmaru

i czeka na przebudzenie, ale ten wymarzony moment jakoś nie nadchodzi.

Była uwięziona w złym śnie i nie miała szans się uwolnić. Morze u stóp klifu szumiało spokojnie, obmywało brzeg tak leniwie i niewinnie, jak gdyby nigdy nikomu nie

mogło wyrządzić krzywdy. Podniosła oczy i spojrzała w niebo, malowane we wspaniałe barwy zachodu. Złociste słońce rozpalało horyzont krwistą czerwienią i intensywnym różem, barwiło także lekkie, pierzaste obłoki. Pamela czekała na jakieś uczucie, ale jej serce obciążone było nienawiścią, którą darzyła zdradliwe morze i swojego nierozważnego męża. Spodziewała się, że Bóg ukaże się na niebie w powożonym przez anioły rydwanie, albo błysku światła, który rzuciłby ją na kolana, jak Szawła na drodze do Damaszku. Miała nadzieję, że poczuje przynajmniej, jak jakaś potężna dłoń zdejmuje jej z ramion okropny ciężar, ale nie czuła nic, oprócz obecnej męczącej samotności.

Julia także obserwowała zachód słońca z tarasu, na którym siedziała sama, tylko z Purdym. Palila papierosa w łagodnym wieczornym powietrzu i rozmyślała o strasznych konsekwencjach samobójstwa szwagra. Ona i Archie mieli mało pieniędzy. Obiecana przez Monty'ego pomoc okazała się pustą obietnicą. Nie mógł ich ratować. Czy dlatego się zabił? Bo naobiecował wielu ludziom, że będzie ich wspierał i nie chciał żyć z uczuciem wstydu?

Nie mieli się do kogo zwrócić. Elizabeth także nie była zamożna. Na terenie farmy stało kilkanaście domków, ale przynosiły marny dochód, Utrzymanie Pendriff Hall ciążyło im coraz bardziej. Część dachu wymagała natychmiastowego remontu. Do tego wszystkiego dochodziły opłaty za szkoły dzieci.

Julia westchnęła. Podobnie jak Archie, kochała Pendriff Hall. Był to jedyny dom, jaki znały ich dzieci, a mały Bouncy po prostu uwielbiał lato nad morzem. Z każdym dniem coraz bardziej pewny siebie, zaczynał samodzielnie odkrywać liczne korytarze i pokoje. Uśmiechnęła się na wspomnienie „skarbów”, które często znajdowała w najmniej spodziewanych miejscach - kawałków układanek, wrzuconych do szuflad w gościnnym pokoju, pluszowej zabawki pod łóżkiem, okularów do czytania niani, beztrąsko wetkniętych w doniczkę... Po tym szlaku psot mogła chodzić cały dzień. Nie próbowała

już powstrzymać łez, które napłynęły jej do oczu i zmoczyły policzki. Bez przerwy zastanawiała się, co robić. Nieuchronność sprzedania Pendrift Hall trafiła do jej podświadomości już dawno, lecz teraz wypłynęła na powierzchnię jako szokująca rzeczywistość. Gdyby tylko udało im się zdobyć pieniądze na spłatę długu Archiego... Niestety, takie kwoty nie są łatwe do zdobycia. Jakiś czas temu Julii przyszło do głowy, że mogłaby sama zacząć pracować - posiadała pewne zdolności dekorator-skie, umiała też projektować - ale nie była już młoda i nie wiedziała, od czego zacząć. Zresztą stworzenie firmy wymagało czasu, a oni potrzebowali pieniędzy teraz, natychmiast. Pomyślała o Wilfridzie, Samie i ukochanym Bouncym - jaka przyszłość ich czekała, gdyby Pendrift Hall zostało sprzedane... Pamela mogła sobie opowiadać bzdury, że boi się biedy, w głębi serca nie wątpiła jednak, że bogaty ojciec zasili jej konto bankowe potężnym zastrzykiem gotówki. Julia nie miała ojca, który pośpieszyłby na ratunek. Teraz pomoc mógł im jedynie Bóg. Ksiądz Dalglish ze smutkiem obserwował, jak rodzina Monty'ego stopniowo traci ducha i popada w przygnębienie. Modlił się za nich wszystkich i starał się pomóc, kiedy odwiedzali go na plebanii. Elizabeth Montague uważała, że powinien wiedzieć, czy jej syn żyje, czy nie. Któregoś dnia spojrzała na niego z oburzeniem, gdy powiedział jej, że „kabel telefoniczny”, łączący go z Bogiem, działa tylko w jedną stronę. - Czuję Boga w sercu - wyjaśnił jej. - Ale On nie przekazuje mi raportów ani biuletynów informacyjnych. Elizabeth nie rozumiała, dlaczego spotyka ją takie cierpienie. - Monty był moim ukochanym dzieckiem - powiedziała, podnosząc na księdza lśniące ze wzruszenia stalowoszare oczy. - Taki podobny do ojca... Jeżeli Bóg zabrał mi także i Roberta, nie będę miała po co żyć. Pamela Bancroft Montague szukała kogoś, na kim mogła

by się wesprzeć. Mąż odszedł, ojciec był dla niej prawie obcym człowiekiem, miała więc teraz tylko Kościół, który wcześniej darzyła wielką pogardą. Po spotkaniu z księdzem Milesem nie zjawiała się na mszy, być może ze strachu lub wstydu, bo przecież przez tyle lal drwiła z Kościoła wobec rodziny męża. Ksiądz modlił się, aby otworzyła serce i wpuściła do niego Boga podczas cichej modlitwy, do której szczerze ją zachęcał. Miał nadzieję, że po pewnym czasie poczuje się gotowa, aby dołączyć do krewnych w pierwszej ławce bez wewnętrznych oporów i zażenowania.

Julia Montague, którą ksiądz Miles bardzo polubił, była pobożną i dobrą kobietą. Często odwiedzała go, by zrzucić z siebie ciężar myśli.

- Martwię się o Harry'ego, jest jeszcze taki młody... Celestria, podobnie jak jej matka, bardziej martwi się o siebie niż o niego.

Duchowny przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Celestrią. Oczami wyobraźni widział, jak dziewczyna ucieka w objęcia mgły, z twarzą rozpaloną rumieńcami. Nie wiedział, gdzie jest teraz i co się z nią dzieje, ale coś mu mówiło, że wyjechała z Pendrift. Nie czuł jej obecności.

- Celestria nie jest złą osobą - rzekł ostrożnie. - Wydaje się całkowicie zagubiona, to wszystko.

Zdawał sobie sprawę, że kiedy o niej mówi, na jego policzki wypełza rumieniec.

- Och, wcale nie uważam, że jest zła, proszę księdza, pewnie tylko zbyt ładna... Sęk w tym, że matka potwornie ją rozpuściła. Celestria zawsze musiała myśleć wyłącznie o sobie.

- Życie kształtuje nas w najmniej spodziewanych chwilach - powiedział ksiądz. - Śmierć ojca musiała być dla Celestrie bardzo bolesnym ciosem. Jeżeli jeszcze nie zaczęła go naprawdę oplakiwać, to zrobi to później...

- Jej dziadek przyjechał do Londynu, na pewno przyniosło jej to ogromną ulgę. To niezwykle, wspaniały człowiek. Zaopiekuje się nią. Pamela mówi, że zamierza wysłać ją na odpoczynek do Włoch.

- Do Włoch?
- Tak. Biedny Harry będzie męczył się w szkole z internatem, a jego siostra ma wygrzewać się w słońcu we Włoszech... - Julia pokręciła głową. - To niesprawiedliwe, nie uważa ksiądz?
- Najprawdopodobniej szkoła to teraz najlepsze miejsce dla Harry'ego. Znajdzie się wśród przyjaciół, rutyna szkolnych zajęć nie pozwoli mu roztrząsać tragedii, która go spotkała.
- Celestria jest bardzo podobna do matki - westchnęła Julia. - Kiedy tylko Pamela ma jakiś problem, kładzie się do łóżka z migreną, Celestria nie chce myśleć o śmierci ojca, więc ucieka do Włoch.
- Każdy z nas reaguje inaczej, jednak nikt nie ma szans uciec przed samym sobą, choćby nie wiem jak się starał.
- Ale ta dziewczyna jest taką egoistką!
- Ma wielkie serce, Julio... Rzuciła mu sarkastyczny uśmiech.
- Mówi tak ksiądz z racji swojego zawodu... Widzi ksiądz dobro w każdym człowieku, bo w pewnym sensie takie ma ksiądz zadanie... Gdybyś widziała rozpacz w jej oczach, zrozumiałabyś, że bezradnie czeka na ratunek w mrocznym, zimnym miejscu, pomyślał ksiądz Miles.
- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - powiedział. Żałował, że nie może poznać prawdy o śmierci Monty^{ego}, ale musiał powtarzać sobie, że nie jest detektywem. Jego obowiązkiem było zapewnienie pociechy tym, których Monty opuścił. Byłoby to o wiele prostsze, gdyby mogli pogrzebać jego ciało. Sytuacja ta bardzo ciążyła całej parafialnej społeczności. Jediną osobą, która czerpała radość ze skandalu, była pani Hoddel.
- Moim zdaniem zabił się, żeby uciec od Pameli - powtarzała, nie zwracając uwagi, że nikt nie pyta jej o zdanie w tej kwestii.

- Dlaczego uważa pani, że chciał od niej uciec? - zapytał ksiądz Miles.
- A czy ksiądz nie chciałby się zabić, gdyby był jej mężem? Wyszedł z pokoju, nie widział innego wyjścia. Nigdy w życiu nie słyszał czegoś równie bezsensownego.

Pani Waynebridge zdziwiła się i trochę zdenerwowała, kiedy Pamela zatelefonowała do niej z prośbą, aby w następnym tygodniu towarzyszyła Celestii w podróży do Włoch. Jej policzki zarumieniły się, poszarzały, wreszcie pobladły, przybierając kolor tłuczonych ziemniaków. Starsza pani odłożyła słuchawkę, usiadła przy kuchennym stole i zaczęła na Celestnę, która niebawem wróciła do domu na podwieczorek.

Celestria położyła torebkę na blacie pod oknem i popatrzyła na panią Waynebridge, która właśnie powoli podnosiła się z miejsca.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze, Wayne! Co się stało?
 - Twoja matka poprosiła mnie, żebym pojechała z tobą do Włoch.
- Twarz Celestii rozjaśnił uśmiech.
- Och, doskonale! Pojedziesz, prawda?
 - Raczej nie mam wyboru...

Dziewczyna podbiegła i chwyciła gospodynię za rękę.

- Będzie cudownie, zobaczysz! Nigdy nie byliśmy we Włoszech!
- Ja nigdy nie byłam dalej niż w Londynie... Urodziłam się i wychowałam w Yorkshire... - Pani Waynebridge miała ochotę się rozpłakać. - Co ja będę robiła w tych Włoszech?
- Będiesz wylegiwać się na słońcu i czekać, aż inni cię obsłużą.
- Nie sądzę, żeby mi się to spodobało... Gdzie się zatrzymamy?
- W boskim pensjonacie w Apulii, w południowej części Włoch, tam, gdzie jest słynny „włoski obcas”.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco...

~ Pensjonat położony jest nad morzem. Pomyśl tylko o wspaniałym włoskim jedzeniu i winie... Będziemy się świetnie bawić, Wayne!

- Wiesz, co mówią o Włochach?

- Są czarujący! - roześmiała się Celestria. - Wojna skończyła się już dawno temu, nie masz się czego obawiać! Kto wie, może nawet się zakochasz...

Pani Waynebridge znowu oblała się rumieńcem.

- Naprawdę, Celestrio, co ty wygadujesz! W moim wieku?!

- Będę się tobą opiekować, a ty mną! Nie wydaje ci się, że nadszedł czas, żebyś zobaczyła kawałek świata?

- Zaparzę herbatę... - Pani Waynebridge uwolniła dłonie z uścisku Celestrii i napełniła czajnik wodą. - Lepiej uważaj na tych Włochów, moja droga. Twoja matka dostałaby ataku serca, gdybyś zakochała się w jednym z nich.

- Aidan także - mruknęła cicho Celestria, zachwycona, że pani Waynebridge zdecydowała się z nią jechać.

Usiadła przy stole i zrzuciła pantofle.

- Nie, nie wybieram się do Włoch po to, żeby zostać tam na stałe, broń Boże! Nie wyobrażam sobie bardziej odizolowanego miejsca niż Apulia. Jadę tam, by odkryć, kto popchnął mojego ojca do samobójstwa, a potem zrobię wszystko, by w najokropniejszy sposób zemścić się na tej osobie! A ty, Angelo Dorothy Waynebridge, pomożesz mi w tym dziele!

- Czasami wygadujesz potworne bzdury, skarbeńku. - Gospodyni postawiła pełny czajnik na kuchence.

Celestria parsknęła śmiechem.

- Dziadek też tak mówi! - zawołała.

Elizabeth Montague stała na szczycie klifu i słuchała przenikliwego pogwizdywania słonego wiatru. Wsparta na lasce, przygarbiona, trwała tak nieruchomo, chociaż wiatr podrywał w górę jej czarną pelerynę, przez co wyglądała jak skrzydła nietoperza. Elizabeth wpatrywała się w niebo nad szarym

Atlantykiem. Był wieczór. W pobliżniejsza, gdzie złociste słońce tonało w morzu, mlecznopopielate chmury poprzecinane były różowymi i pomarańczowymi pasmami o rozmaitych odcieniach. Starsza pani buntowniczo wysunęła brodę do przodu, ale rozpacz rozdarła jej serce i wypełniła całe ciało. Zamrugła, aby powstrzymać łzy, głęboko zawstydzona, że tak łatwo się poddaje i nagle wargi zadrżały jej jak w gorączce. Kiedy umarł Ivan, nie płakała. Zepchnęła cierpienie na samo dno duszy i zamknęła je tam. Teraz szczelny pojemnik pękł i wszystko wypłynęło na zewnątrz. Stary ból zmieszał się ze świeżym i Elizabeth nie miała już siły zmagać się z ogarniającą ją potężną falą. Zaciśnęła rękę na gałce laski, aż knykcie zbieleły, a żyły wyraźnie wystąpiły pod skórą, podobne do błękitnych robaków. Elizabeth nie odrywała wzroku od morza, zdradzieckiego morza, nad którym mieszkała całe życie. Jako młoda kobieta pływała, kąpała się w nim i żeglowała, gdy się zestarzała, znalazła spokój i ukojenie w rytmach jego przyprawów i odpływów, w niepozornych skarbach, które wyrzucało na brzeg, i w widoku dzikich ptaków, w poszukiwaniu pożywienia nurkujących w fale niczym spadające z nieba anioły. A teraz to morze odpłaciło jej śmiercią syna za miłość i zachwyty.

Stała tak, dopóki nie przemarzła do szpiku kości. Czowała się zmęczona, a przy tym dziwnie spokojna. Otarła twarz wierzchem dłoni i powoli zawróciła w stronę Pendrift Hall, myśląc o małym Bouncym. Nigdy jej się nie bał, chyba jako jedyne z jej wnucząt. Weszła do domu i pchnęła wysokie drzwi, prowadzące do salonu. Przechodząc przez hol, usłyszała przyciszone głosy, dobiegające z gabinetu Archiego. Julia i Archie dyskutowali o czymś z zapalem. Elizabeth przystanąła na moment i nagle usłyszała dwa słowa: „sprzedać dom”. Jej serce zwinęło się w kłębek z bólu. Niemożliwe... Czy mówili o jej domu? O Pendrift Hall? Łzy znowu napłynęły jej do oczu. Zaczęła wspinać się po schodach na górę, do pokoju Bouncy'ego. Powtarzała sobie, że na pewno się przesłyszała. Z podsłuchiwania cudzych rozmów nigdy nie wynika nic dobrego.

Niania siedziała na brzegu łóżeczka Bouncy'ego i czytała mu książeczkę o Czerwonym Parowozie, kiedy w progu pojawiła się czarna, imponująca postać Elizabeth Montague. Niania podniosła wzrok i przerwała w pół zdania. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy Elizabeth ostatni raz odwiedziła piętro Pendrift Hall. Stara kobieta była blada jak prześciera-
dło, siwe włosy w nieładzie, oczy błyszczące od łez. Niania wstała.

- Dobrze się pani czuje, pani Elizabeth? - spytała. Pamięć podsunęła jej obraz przystojnej młodej kobiety,

w której domu zaczęła pracować przed wielu laty.

- Przyszłam zobaczyć się z wnukiem - powiedziała Elizabeth, powoli wchodząc do pokoju.

Niania odsunęła się, żeby starsza pani mogła usiąść obok chłopca. Po chwili cicho wymknęła się z pokoju i pobięła na poszukiwanie pani Julii.

Elizabeth oparła łaskę o ścianę u szczytu łóżeczka i usadowiła się wygodniej. Panujące w pokoju przyjemne ciepło sączyło się przez jej ubranie, ogrzewając zziębnięte ciało. Bouncy popatrzył na babkę i uśmiechnął się,

- Nie boćć smutna, babsiu - odezwał się.

Widok jego niewinnej buzi sprawił, że gardło Elizabeth ścisnęło się boleśnie, Wyciągnęła wychudzoną, pomarszczoną dłoń, ujęła małą, pulchną łapkę i pogłaskała kciukiem delikatną skórę.

- Już nie jestem smutna...

Samotna łza popłynęła po jej policzku i wsiąkła w głęboką bruzdę, biegnącą od kącika nosa do ust.

- To dlaczego płaczesz?

- Bo tak się cieszę, że cię widzę - powiedziała z uśmiechem Elizabeth.

Malec rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Dorośli czasami płaczą ze szczęścia - wyjaśniła:

W korytarzu rozległy się szybkie kroki. Chwilę później do pokoju wpadli Archie i Julia.

- Dobrze się czujesz, mamó? - spyta! Archie.

Zerknął na żonę, która w odpowiedzi lekko wzruszyła ramionami.

- Przyszłam powiedzieć dobranoc mojemu wnukowi -oświadczyła Elizabeth i wzięła do ręki leżącą na kołdrze książeczkę. - Ach, opowiadania o Czerwonym Parowozie... Moje ulubione! Poczytać ci? Bouncy skinął głową i spojrzął na rodziców, zadowolony, że znajduje się w centrum uwagi dorosłych. Elizabeth zaczęła czytać, z ożywieniem i przejęciem. Czytała prawie jednym tchem, jeśli nie liczyć chwili przerwy, kiedy Bouncy położył rączkę na jej dłoni i przesunął palcami po tej części, gdzie skóra była nadal gładka, lecz pokryta ciemnymi wątrobianymi plamami.

- Chcę cię wyleczyć, babsiu - wyszeptał.

Głos Elizabeth zadrżał i załamał się, ale starsza pani mocno zacisnęła zęby.

- Dziękuję ci, skarbie - odparła. - Już czuję się o wiele lepiej...

Julia wzięła Archiego za rękę i bez słowa wyprowadziła jego i nianię z pokoju. Czuła, że jej teściowa chce zostać sama z Bouncym. Jeżeli ktokolwiek był w stanie uleczyć serce starej kobiety, to właśnie trzyletni synek Julii. Widok wilgotnych oczu i potarganych włosów Elizabeth podpowiedział jej, że proces leczenia już się rozpoczął.

Po powrocie do Londynu Pamela zastała dom pełen czerwonych róż.

- Och, ludzie są naprawdę bardzo mili... - westchnęła, rzucając walizkę na podłogę w holu.

Celestria nie miała serca rozwiewać jej złudzeń, nie wyjaśniła więc, że wszystkie bukiety dostała od Aidana. Nie powiedziała też matce o zaręczynach. Doszła do wniosku, że zrobi to dopiero po powrocie z Włoch, ponieważ na razie potrafiła skupić się jedynie na rozwikłaniu tajemnicy śmierci ojca.

Godfrey, lokaj Monty'ego, niedawno wrócił z urlopu i z przerażeniem dowiedział się o śmierci swego chlebodawcy. Niewysoki, mocno zbudowany mężczyzna o srebrzystych włosach pracował dla pana Montague prawie tak długo jak pani Waynebridge. Bardzo oficjalnym tonem, nabytym przez lata wiernej służby, w kilku krótkich zdaniach złożył kondolencje pani Pameli, potem położył na stole w holu tacę z listami i zaniósł walizkę na górę. Zanim zostawił ją w sypialni Pameli, przystanął na moment w progu garderoby Monty'ego, Powietrze zachowało tu jeszcze jego zapach, obicia

mebli wciąż pachniały jego cygarami, lecz Godfrey wiedział, że ten ulotny cień szybko zniknie. Jak zagubiony pies stał w drzwiach, nie mając pojęcia, co dalej robić.

- Bez ojca dom wydaje się okropnie pusty - powiedziała Pamela do córki, wyczuwając w pokojach nieobecny wcześniej chłód.

Harry minął ją i ruszył po schodach na górę, ciągnąc za sobą swoją walizkę. Kornwalia była dla chłopca miejscem tragedii, ale także wielu tak potrzebnych mu teraz rozrywek. Dom, do którego wrócił, rozbrzmiewał echem przerażającej straty. Pokoje wydawały się większe, sufity wyższe, a powietrze obce i nieprzyjazne. Wspomnienia ojca kładły się cieniem na każdym przedmiocie. Harry usiadł na łóżku i poczuł, jak rozpacz zagarnia go gigantyczną faią. Podobno po śmierci ojca powinien zająć jego miejsce, zostać głową rodziny, lecz wciąż czuł się małym chłopcem, który nie ma najmniejszego pojęcia o życiu.

Pamela nie zdążyła jeszcze złapać oddechu, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Dzwonił natarczywie, jakby bardzo mu się śpieszyło.

- Gdzie jest Godfrey? - warknęła Pamela, podnosząc wzrok znad stosu listów, które właśnie przeglądała.

- Na górze - odparła Celestria. Pamela prychnęła ze zniecierpliwieniem.

- Nie słyszy dzwonka, czy co?

- Ja otworzę... - dziewczyna przewróciła oczami. Drzwi znajdowały się w odległości kilku kroków od miejsca, gdzie stała obok matki.

- Powiedz Waynie, żeby zabrała Poochiego do kuchni, na pewno chętnie coś przekąsi! - Pamela weszła do salonu, usiłując przeczytać nazwisko nadawcy, niewyraźnie napisane na jednej z kopert.

Celestria otworzyła drzwi. Na progu stała Lotty, a wokół niej unosił się obłok perfum Chanel No 5.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Celestria, wciągając kuzynkę do środka. - Na jaką okazję tak się wystroiłaś?!

Lotty umalowała wargi czerwoną szminką i ułożyła włosy w loki.

- Muszę z tobą porozmawiać... - syknęła, rozglądając się po holu oczami zaszczutego zwierzątka.

- Co się stało?

- Gdzie ciocia Pamela? Celestria się odwróciła.

- Była tu przed chwilą...

- Powiedz jej, że wpadłam do ciebie, dobrze? - poprosiła Lotty.

- Och, teraz rozumiem! Wybierasz się gdzieś, tak? Mamo, to tylko Lotty!

- Nie zapomnij o jedzeniu dla Poochiego! - odkrzyknęła z salonu Pamela.

- I pamiętaj, że o szóstej przyjedzie dziadek!

- Chodźmy na górę - zaproponowała Celestria.

- Nie, nie mogę! Umówiłam się z Francisem!

- I chcesz, żebym cię kryła? - Celestria uśmiechnęła się szeroko. - Czy to znaczy, że podjęłaś już decyzję? Zamierzasz z nim uciec?

Lotty sprawiała wrażenie zmieszanej i chyba odrobinę przestraszonej.

- Nie jestem pewna... No, po prostu nie wiem... Najpierw muszę się z nim porozumieć.

- Nie wydaje mi się, żeby rozmowa okazała się pomocna w takiej sprawie... - Celestria pokręciła głową. - Od roztrząsania różnych „za” i „przeciw” dostaniesz tylko migreny, poza tym miałaś przecież całe lato na przemyślenie problemu. Jeśli śmierć ojca czegoś mnie nauczyła, to tego, że dziewczyna w pierwszym rzędzie potrzebuje kogoś, kto się nią zaopiekuje. Tym kimś powinien być albo ojciec, albo mąż. Nikomu nie polecam życia w ubóstwie aż do grobu. Całe szczęście, że mam bogatego dziadka...

Lotty uważała, że jej kuzynka poważnie przesadza. Nie miała pojęcia o biedzie.

- W żadnym razie nie chciałabym jeszcze raz przeżyć te-

go, co dotknęło nas w ciągu ostatnich dni. - Celestria zniżyła głos i spoważniała. - Tobie też nie życzę, żebyś kiedykolwiek musiała liczyć się z każdym groszem! Lotty postanowiła zmienić temat.

- Melissa i Rafferty myślą o sobie całkiem na poważnie. Są bardzo zakochani. Pomyślałam, że może powinnaś o tym wiedzieć...

Celestria popatrzyła na nią spod zmarszczonych brwi.

- Och, nic mnie to nie obchodzi! - rzuciła kwaśnym tonem. - Dobrze się składa, biorąc pod uwagę, jak Melissa skompromitowała się na balu...

- O czym mówisz?

- Rafferty wytarosił ją gdzieś w krzakach, zachowywał się zupełnie jak dzikie zwierzę...

- Serio?

- Oczywiście! Można to było wyczytać w jej oczach. Nie należy pozwalać na tyle mężczyźnie, a potem nie wyjść za niego... Bardzo łatwo jest zniszczyć sobie reputację, Londyn to małe miasto... Tak czy inaczej, Rafferty na pewno jest bogaty i przystojny, więc doskonale nadaje się na męża, a małżeństwo niekoniecznie trzeba zawierać z miłości.

- Moim zdaniem koniecznie - przerwała jej cicho Lotty. - Miłość jest o wiele ważniejsza niż pieniądze. Życie jest takie krótkie...

Jeżeli śmierć Monty'ego czegokolwiek ją nauczyła, to przede wszystkim tego, że w życiu nie liczy się nic poza miłością.

- Jesteś beznadziejną romantyczką! - prychnęła Celestria. - Decyzje dotyczące przyszłości należy podejmować rozsądnie, z chłodną głową. Później będziesz miała czas na miłość i namiętność. Wyjdź za Eddiego, Lotty, ale kochaj Francisa! To bardzo łatwe! W ten sposób będziesz mogła czerpać korzyści z jednego i drugiego świata,...

Lotty wykonała gest pełen oburzenia. Wyprostowała się i wysoko podniosła głowę.

- A ty co zamierzasz zrobić ze swoją przyszłością, Celestria?

Jej kuzynka odwróciła się, iekko wzruszając ramionami.

- Wyjść za mąż dla wygody, jak już mówiłam... Niewykluczone, że czasem pokocham męża, a jeżeli nie, to obdarzę uczuciem kogoś innego, ale oczywiście zrobię to bardzo dyskretnie, Nie widzę w tym nic złego. Tata mawiał, że jedenaste przykazanie brzmi: „Nie daj się przyłapać” i miał całkowitą rację. Nie zamierzam dać się przyłapać, to pewne...

- Cóż, najwyraźniej bardzo się różnimy! Trudno... Tak czy inaczej, kryj mnie dzisiaj, dobrze?

- Jasne! - Celestria otworzyła drzwi.

Ulica na zewnątrz skąpana była w słońcu, w komunalnym ogródku na rogu pieniła się zieleń. Celestria przypomniała sobie o czekającej ją wycieczce do Włoch i jej serce zadrżało z radosnego podniecenia. W takim stanie ducha okazywanie dobroci innym nie sprawiało jej najmniejszego wysiłku.

- Niezależnie od tego, co zdecydujesz, zawsze będę cię wspierać, Lotty!

- Dziękuję... Mam nadzieję, że wycieczka do Włoch zakończy się sukcesem.

- Nie martw się, jestem już na tropie!

- Napiszesz do mnie, tak?

- Jeżeli obiecasz, że odpiszesz i zdradzisz mi, co postanowiłaś. Gdybyś nie mogła tu dłużej wytrzymać, zawsze możesz przyjechać do mnie, do Apulii. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby ciotkę Penelope miała ucieszyć wiadomość o twoich zaręczynach z Francisem...

Uściskały się serdecznie i Celestria z progu patrzyła, jak Lotty szybkim krokiem idzie w kierunku Belgrave Square. Naprawdę bardzo się różnimy, pomyślała z zadowoleniem. Ja nigdy nie zrezygnuję z wygodnego życia dla miłości...

Pamela zabrała się do rozpakowywania rzeczy. Wszystkie jej ubrania były świeżo uprane i wyprasowane, musiała więc tylko odłożyć je na miejsce. Nie ośmieliła się wejść do

garderoby Monty'ego. Widok pustego pokoju na pewno przyprawiłby ją o kolejną migrenę. Zwykle zajmowała się także rzeczami męża, co uważała za nudny, męczący obowiązek, lecz teraz z radością poukładałaby na półkach jego skarpetki i koszule.

Skończyła już prawie, kiedy uświadomiła sobie, że nigdzie nie widzi prezentu od Monty'ego, broszy z gwiazdami z brylantów, tej, którą przypięła do sukni, ubierając się na urodzinowy bal Archiego. W pierwszej chwili pomyślała, że ozdoba zsunęła się na dno walizki, kiedy jednak opróżniła ją do końca, przeżyła niemiłe zaskoczenie.

- Celestrio! - zawołała, wychodząc na podest schodów. - Widziałas moją broszkę?

Celestria wyjrzała ze swojej sypialni.

- Nie.

- Niemożliwe, żebym zostawiła ją w Pendrift!

- Odpięłaś ją od gorsetu sukni po balu? - spytała Celestria.

- Bardzo niewiele pamiętam z tego, co wydarzyło się po balu, pewnie z powodu szoku...

- Ostatecznie to tylko broszka - pocieszyła ją córka.

- Nie! - odparła ostro Pamela. - To coś znacznie ważniejszego!

Wieczorem Richard Bancroft II przyjechał do domu pod numerem 13 przy Upper Belgrave Street. Jego szofer został na zewnątrz, obok czerwonego bentleya, spragniony możliwości spokojnego wypalenia papierosa. Godfrey otworzył drzwi i wprowadził pana Bancrofta do salonu, gdzie czekała i w niego córka z wnukami. Celestria pierwsza uściskała dziadka, który z czułością poklepał ją po plecach i pocałował w czoło. Harry nie znał go tak dobrze jak siostra i czuł się w jego obecności trochę nieswojo. Nie wiedział, czy powinien ucałować gościa, czy ucisnąć mu dłoń, bo przecież teraz był nie tylko wnukiem, ale i głową rodziny. Na szczęście

Richard Bancroft nie należał do niezdecydowanych - chwycił chłopca w objęcia i serdecznie pocałował w oba policzki. Harry zaczerwienił się, ponieważ od śmierci ojca po raz pierwszy miał fizyczny kontakt z mężczyzną, musiał jednak przyznać, że sposób bycia dziadka bardzo mu się podobał.

- Wyrosłeś na silnego młodego człowieka - pochwalił go Richard.

Długo przyglądał się wnukowi, podziwiając jego inteligentną twarz i szczerze żałując, że małego dotknęła tragedia, która znalazła odbicie w wyrazie jego jasnoszarych oczu.

- Założę się, że ojciec był z ciebie bardzo dumny - dodał. -I wcale mu się nie dziwię...

Harry nie był w stanie odpowiedzieć. Oczy piekły go od łez, zdołał jednak zapanować nad uczuciami i mocno zacisnął zęby.

Pamela, trzymając Poochiego pod pachą niczym torebkę, ujęła rękę ojca obiema dłońmi i ucałowała jego ogorzały policzek.

- Witaj, tato - powiedziała.

Najczęściej nie potrafiła się z nim porozumieć, była mu jednak wdzięczna, że przyjechał.

- Przykro mi, kochanie... - Richard pogłaskał ją po rękę i usiadł. - Nie wiesz nawet, jak mi przykro, że spotkało cię coś takiego.

Godfrey nalał Pameli kieliszek sherry z barku stojącego za kanapą, gdzie złociste alkohole w kryształowych karafkach lśniły w świetle pod dużym jaśminem w doniczce.

~ Nalej mi whisky, Godfrey - polecił Richard. - Czystą, bez lodu.

Służący podał mu szklaneczkę na srebrnej tacy.

- Coś jeszcze, proszę pana?

- Na razie nie, Godfrey. Zrób sobie chwilę przerwy, co ty na to?

Ojciec Pameli pociągnął łyk alkoholu, patrząc, jak lokaj ostrożnie zamyka za sobą drzwi pokoju. Kiedy upewnił się, że zostali sami, uważnie popatrzył na córkę.

- To straszna tragedia... - odezwał się poważnie, przyciszonym głosem. - Chcę jednak, żebyście wiedzieli, że chociaż nie jestem w stanie sprowadzić Monty'ego z powrotem, mogę przynajmniej wesprzeć was finansowo, abyście nadal żyli na poziomie, do jakiego przywykliście. Kiedy wracasz do szkoły, Harry?

- Dziewiątego września - odparł chłopiec.

Ogarnęła go ogromna ulga na myśl, że dziadek wszystkim się zajmie.

- Jeszcze dziś wieczorem zatelefonuję do twojego wychowawcy. Jesteś teraz głową rodziny, synu. To ciężki obowiązek, zwłaszcza dla kogoś tak młodego, ale niewykluczone, że dzięki tej sytuacji szybciej dojrzejesz i staniesz się naprawdę dzielnym człowiekiem. Prędzej czy później śmierć przychodzi po nas wszystkich... Musisz pamiętać, że wasz ojciec ofiarował wam najlepsze lata swego życia. Wiesz, co mówią jezuici? Dajcie nam chłopca, który jeszcze nie skończył siedmiu lat, a oddamy wam mężczyznę. Pierwsze siedem lat życia ma ogromne znaczenie, jest to fundament, na którym zbudujesz swoją przyszłość. Twój fundament, chłopcze, jest bardzo solidny. Teraz masz trzynaście lat i jesteś już młodym mężczyzną, a te przeżycia mogą cię tylko wzmocnić, rozumiesz? Kiedy Harry odpowiedział niepewnym spojrzeniem, dziadek zaśmiał się cicho.

- Kiedyś zrozumiesz...

Richard wyjął grubą białą kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył ją Celestii.

- Oto plan podróży dla ciebie i pani Waynebridge. Wylatujecie w czwartek. Jutro rano przyjedzie tu Rita i przejrzy z wami program. Fred odwiezie was na lotnisko. Każdy etap podróży jest starannie przygotowany, o nic nie musicie się troszczyć. Pomyślałem, że twoja matka życzyłaby sobie, aby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Po plecach Celestii przebiegł dreszcz podniecenia.

- Dziękuję, dziadku! - zawołała.

Była zachwycona, że tylko ona i Richard znają prawdziwy powód wycieczki, natomiast on szybko zauważył, że Pamela prawie się nie odzywa. Siedziała na kracie kominka i białymi palcami gładziła psa, w skupieniu słuchając ojca z napiętą, pobladłą twarzą.

- Zostawcie mnie teraz z waszą mamą, żebyśmy mogli spokojnie omówić nudne szczegóły - zaproponował Richard, wychylając szklaneczkę do dna.

Celestria i Harry posłusznie wyszli z pokoju.

- Dzięki Bogu, że nie musimy być biedni - powiedziała dziewczyna do brata, kiedy wchodzili na piętro.

Harry ze zniecierpliwieniem klasnął językiem o podniebienie. Jego pewność siebie wróciła w chwili pojawienia się dziadka.

- Ty i mama jesteście czasami po prostu śmieszne! - odparł. - Od początku nie groziło nam, że będziemy biedni!

Richard Bancroft nie spuszczał wzroku z twarzy córki. Znał ją na wylot, chociaż przez minione dwadzieścia lat powoli tracił z nią kontakt.

- Co cię gryzie, dziewczyno? - zapytał. - Z twojego milczenia potrafię wyczytać tylko tyle, że bardzo cierpisz... Zrobiłem coś, co cię uraziło? Policzki Pameli oblał różowy rumieniec. Z trudem przełknęła ślinę.

- Czuję się tak okropnie... - wyznała cicho, spuszczać oczy. - Od dwudziestu lat nie prosiłam cię o pieniądze!

- Wyszłaś za mąż, Pam, ale ja nigdy nie przestałem być twoim ojcem.

- Monty obrabował mnie ze wszystkiego...

- Wiedział, że zajmę się wami.

- Dlaczego nie pomyślał, że ściągnie na nas taki wstyd?!

- Nie masz się czego wstydzić, mała. Ci, którzy was kochają, współczują wam z całego serca.

- Znam mnóstwo takich, którzy wcale nie darzą nas miłością, możesz mi wierzyć! - Zaśmiała się gorzko.

- Jeżeli Monty wpakował się w kłopoty, to nie sądzę, aby

myślał o czymkolwiek poza ucieczką. Musiał znaleźć się na dnie, skoro popełnił samobójstwo.

- To do niego zupełnie niepodobne, tato!

- Nie wszystko w życiu jest czarno-białe... Podniosła głowę i popatrzyła na ojca. Nagle zapragnęła

zadać mu pytanie, które przez ponad dwadzieścia lat spychała pod powierzchnię świadomości. Wcześniej nie ośmieliła się poruszyć tej kwestii, ponieważ bała się reakcji Richarda. Teraz, gdy jej mąż nie żył, przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie, lecz odpowiedź ojca mogła rzucić światło na wiele spraw.

- Dostrzegłeś w nim tę słabość już na początku? - zapytała.

Richard Bancroft powoli skinął głową. Zawsze był mistrzem w ocenianiu ludzi, odgadywaniu ich intencji, ambicji i pragnień; zawsze umiał zaglądać do ich serc. Monty nie stanowił wyjątku.

- Nigdy go nie lubiłem - powiedział.

- Tak mi się wydawało... - Pamela czuła, jak dzielący ich mur rozpada się pod wpływem szczerości. - Dlaczego?

- Nie ufałem mu.

- Ale przecież wszyscy mu ufali! Dlaczego nie ty?

- Bo dla mnie jesteś ważniejsza niż dla „wszystkich”... Jesteś moim jedynym dzieckiem, Pam. Monty nie był dość dobry dla ciebie.

- Mama go lubiła?

- Widziała tylko jego przystojną twarz i osobisty urok. Kiedy ty i matka wbijecie sobie coś do głowy, nic was nie powstrzyma. Pozwoliłem ci odejść, nie mogłem postąpić inaczej. Miałem tylko nadzieję, że dane mi będzie przyjść ci z pomocą, jeśli okaże się to konieczne.

- Nie mogłeś przewidzieć, że tak się to skończy!

- Nie mogłem, oczywiście... W tej chwili nie potrafię sobie nawet uświadomić, z jakiego dokładnie powodu nie miałem do niego zaufania. Może dlatego, że był aż zbyt dobry, by mógł być prawdziwy, czasami czułem się tak, jakbym pa-

trzyt na pozbawioną pęknięć piękną fasadę... Każdy ma jakieś wady, nawet ja, człowiek prawie doskonały...

Oboje roześmiali się głośno. Łzy popłynęły po policzkach Pameli i zmoczyły jej żółty kaszmirowy sweter.

- Tak, jesteś prawie doskonały, tato... Przykro mi, że tak się od siebie oddaliśmy, naprawdę... Musiało ci być ciężko, kiedy obserwowałeś mnie z Mon tym, ze świadomością wad charakteru, które tak starannie ukrywał.

- A ty jesteś uparta jak osioł, odziedziczyłaś tę cechę po mnie. Nie mogłem mieć do ciebie pretensji, że wyszłaś za mężczyznę, którego wybrało twoje serce. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo i na pewno nie zwracałbym uwagi na opinię mojego ojca... Nie słucham niczyich poleceń i sugestii, i ty zachowujesz się tak samo. Podziwiam cię za to.

- Czuję się zdradzona, bo naprawdę go kochałam,

- Ale nie jesteś sama... Chodź tutaj i usiądź obok starego ojca...

Pamela przytuliła się do niego i odetchnęła zapachem dzieciństwa.

Richard pachniał domem, niezależnie od tego, gdzie była.

- Co mam zrobić? Harry zaraz wyjedzie do szkoły, Celestria do Włoch...

Zostanę tu całkiem sama.

- Celestria i Harry bardzo cię teraz potrzebują.

- A co z moimi potrzebami?

Pocałował ją w czubek głowy i parsknął śmiechem, rozbawiony jej egoizmem.

- Nigdy się nie zmienisz, Pam, prawda? Jesteś jeszcze młoda i piękna.

Może znowu się zakochasz, kiedy będziesz na to gotowa, kto wie...

- Nie wydaje mi się, aby moje serce mogło znieść nową miłość...

- Och, sądzę, że twoje serce pełne jest sekretnych zakamarków, do których nigdy dotąd nie zaglądałaś!

Pamela wyprostowała się nagle i zmierzyła ojca pełnym skupienia wzrokiem.

- Wierzysz w Boga, tato?

Richard wzruszył ramionami,

- Oczywiście! Musi przecież istnieć ktoś potężniejszy ode mnie!
- Ale ja pytam poważnie! Wierzysz w Boga?
- Tak, wierzę.
- Więc dlaczego ja nie?
- Może jeszcze Go nie znalazłaś...
- Mówisz jak ksiądz Dalglish...
- Wygląda na to, że ksiądz Dalglish jest bardzo mądrym człowiekiem!
- Wcale nie chcę wierzyć, że po wszystkich tych ciężkich zmaganiach czeka mnie spotkanie z nicością... - westchnęła Pamela. - Chciałabym mieć przekonanie, że zmierzamy w jakimś określonym kierunku... Że Monty gdzieś jest...
- Dobry człowiek pójdzie do Nieba niezależnie od tego, czy wierzy w Boga, czy nie - rzekł Richard łagodnie, pocieszającym tonem, zupełnie jakby rozmawiał z małym dzieckiem.
- Ale na tym polega problem, tato! Wcale nie jestem dobra! Popatrzył na nią z czułością.
- Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć się starać, Pam.
- To okropnie trudne!
- Nie, kochanie... Ja zacząłem dziś rano i wcale nie jest tak źle, jak sobie wyobrażałem.

Roześmiała się, zirytowana i rozbawiona.

- Żartujesz sobie ze mnie!
- Nie. Po prostu nie znam odpowiedzi na tak ważne pytania i myślę, że nie zna ich nawet twój ksiądz Dalglish. Sama będziesz musiała zmagać się z wątpliwościami, aż w końcu znajdziesz wiarę tutaj... - położył dłoń na sercu. - Tutaj, nie w słowach innych ludzi.
- Jesteś dobry, tato, uratowałeś nas...

Richard pomyślał, że jego córka od dwudziestu lat nie patrzyła na niego z taką czułością i sympatią. Jego stare serce zatrzepotało z radości, niczym feniks skrzydłami powstający z popiołów.

- To dopiero początek! - Zaśmiał się. - Mam do nadrobienia sześćdziesiąt lat bycia niedobrym! W inny sposób chyba nie zbudowałbym mojego imperium... Tam, gdzie drwa rąbią, wióry lecą - tak to już jest, kochanie! Pani Waynebridge spakowała ubrania. Jako kobieta o prostych gustach i ograniczonych środkach nie miała wielu rzeczy. Myśl o podróży samolotem budziła w niej najgłębszy lęk, chociaż Celestria zapewniła ją, że polecą pierwszą klasą. Pierwsza klasa czy nie, będą musiały wznieść się w powietrze, a zdaniem pani Waynebridge te maszyny po prostu nie wyglądały przyzwoicie na niebie.

- To przeciwne naturze - narzekała. - Gdyby Bóg chciał, żebyśmy latali, dałby nam skrzydła!

Musiła jednak przyznać, że była mocno podekscytowana perspektywą przygody. Pomyślała nawet, że jeżeli zdoła pokonać zdenerwowanie, pobyt we Włoszech może okazać się całkiem przyjemny. Tego ranka zobaczyła dwie sroki, które przysiadły na jej małym tarasie. Jedna sroka przynosi smutek, dwie radość... Było to bardzo pocieszające.

Pani Waynebridge była wdową. Wiodła samotne życie w zgodzie z wygodną, choć niezbyt ciekawą rutyną. Nie miała pojęcia, jacy naprawdę są Włosi, lecz ich kraj słynął z piękna. Porządnie złożyła rozpinany sweter i umieściła go obok niedzielnej sukienki. Celestria mówiła, że wprawdzie lato jeszcze się nie skończyło, ale wieczory mogą być chłodne... Pani Waynebridge westchnęła. Fartuch tym razem do niczego się nie przyda... Podniosła się i popatrzyła na małą walizkę. Jej widok napawał ją niepokojem. Wyjeżdżała z domu. Opuściła Anglię.

Wyruszyła w drogę do obcego kraju. Zniosła bagaż na dół i zostawiła go w małym holu. W czwartek rano miał po nią przyjechać szofer pana Bancrofta. Weszła do salonu i przysiadła na brzegu krzesła, z dłońmi splecionymi na kolanach, podniecona i przestraszona. Dobrze, że nie widziała stąd walizki... Na dworze ro-

biło się już ciemno. Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma trzydzieści. Była zbyt zdenerwowana, żeby coś zjeść, choćby tylko podgrzać sobie zupę. Ogarnęła wzrokiem salonik w małym domku w Fulham i nagle poczuła się całkowicie zagubiona. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wszystko, co znała i kochała, odpływało od niej, unoszone niewidoczną falą. Czy jej dom będzie na swoim miejscu, kiedy do niego wróci? Celestria nie zamierzała się pakować, wiedziała bowiem, że następnego dnia Wayne pomoże jej to zrobić. Zafundowała sobie gorącą bąbelkową kąpiel i długo się w niej wylegiwała, czując, jak uczucie spokoju i wyciszenia obmywa ją całą równie dokładnie jak pachnąca dzwonkami woda. Powiedziała Aidanowi, że jest zmęczona, ale tak naprawdę miała już dosyć oczekiwania na rozpoczęcie podróży. Aidan zaproponował kino, lecz Celestria nie miała ochoty na pieszczoty w ostatnim rządzie. Postanowiła wcześniej pójść do łóżka i porządnie się wyspać, dla zdrowia i urody. Wiedziała, że jeżeli ma odnaleźć osobę odpowiedzialną za przewrócenie jej świata do góry nogami, będzie potrzebowała całej energii.

Słońce już zaszło i niebo nad Londynem pociemniało. To samo niebo rozpościerało się nad Apulią, tyle że gwiazdy świeciły tam o wiele jaśniej, a wolny od chmur księżyc, pełny i okrągły jak krążek mozzarelli, oświetlał fosforyzującym blaskiem Morze Egejskie, nadając powierzchni wody mlecznozielony odcień.

Tam, na południu Włoch, pod wszędobylskim i ciekawskim księżycem, ktoś podtrzymywał mały płomyk, palący się w pachnącym kwiatami mieście zmarłych naprzeciwko Convento di Santa Maria del Mare. Wokół panowała cisza, tylko leciutki wietrzyk szemrał wśród sosen, których cienie tańczyły na porośniętym trawą placyku i brukowanych drózkach, biegnących między rzędami milczących grobowców. Powietrze przesycone było zapachem lilii, świece rzucały złociste akcenty na kamienne mury krypt, w których spoczywały du-

chy zmarłych. Tylko jeden z nich nie mógł zaznać spokoju. Przed grobem młodej kobiety klęczał wysoki mężczyzna. Płakał. Podtrzymywał migotliwy płomyk samą siłą rozpacz, która targała jego sercem. Duch zmarłej próbował wyruszyć w dalszą drogę, ale nie mógł tego zrobić.

CZEŚĆ DRUGA

Podróż do Apulii trwała trzy dni. Pani Waynebridge ledwo zdążyła złapać oddech, odkąd w czwartek wczesnym rankiem opuściły Londyn. Padał deszcz. Duże, ciepłe krople lądowały na suchych jak pieprz chodnikach i spływały kanałami, już zapchanymi wcześniej opadłymi jesiennymi liśćmi. Pani Waynebridge wstała o świcie i była gotowa godzinę przed spodziewanym przybyciem Celestii, która miała przyjechać po nią samochodem dziadka. Siedziała na krześle w holu, z torebką na kolanach, w zapiętym pod szyję przeciwdeszczowym płaszczu i kapeluszu na miękkich siwych lokach, z twarzą wyostrzoną niepokojem. W rękę trzymała paszport, który Rita załatwiła jej w astronomicznym tempie, dzięki dalekosiężnym koneksjom pana Bancrofta. Z mieszanymi uczuciami wpatrywała się w wiszący nad kominkiem zegar. Jedną jej część czuła się jak oczekujący na zgilotynowanie indyk w gwiazdkowy poranek, druga natomiast jak ten sam ptak, obdarzony magicznymi skrzydłami i gotowy pierwszy raz wznieść się w powietrze. W tej chwili miała też wrażenie, że okazała się idiotką, pozwalając namówić się na udział w tej głupiej przygodzie.

Rozejrzała się po domu, w którym mieszkała najpierw z mężem, przez całe czterdzieści sześć lat, potem jako wdowa. Wiedziała, że zostawia wszystko, co doskonale знаła, a przede wszystkim codzienną rutynę - właśnie to najbardziej ją przerażało. Nie miała pojęcia, jak poradzi sobie bez ustalonego programu działania, prawie zawsze takiego samego. Żyła w ten sposób od chwili, kiedy w wieku szesnastu lat zaczęła pracować jako służąca. Była pewna, że bez rutynowych zajęć będzie się czuła jak pozbawione szkieletu ciało.

Jednak gdy Celestria w końcu przyjechała, pół godziny spóźniona, pewna siebie i uśmiechnięta, jej entuzjazm stłumił wszystkie niepokoje starszej kobiety.

Zostawiły daleko za sobą szare, obwisłe chmury i wylądowały w Rzymie, gdzie powietrze było duszne, gorące i pachnące karmelem. Niebo nad miastem wydawało się bardziej błękitne niż gdziekolwiek, ptaki głośno śpiewały w parasolo-watych koronach sosen, prawie zagłuszając uliczny ruch wesołą kakofonią dźwięków, i oto nagle pani Waynebridge, która ze zdenerwowania gadała przez cały lot, kompletnie zabrakło słów. Nie wiedziała, co powiedzieć, i tyle. Włochy olśniły ją urodą.

Z Rzymu wyruszyły pociągiem do Spongano, przesiadając się w Casercie, Brindisi i ostatni raz w Lecce. Celestria czytała otrzymanego w prezencie od dziadka *Bel Ami* Maupassanta, natomiast pani Waynebridge robiła na drutach sweter dla swojej podopiecznej. Celestria nigdy nie widziała brzydszego odcienia zieleni, który Wayne nazwała „papuzią zielenią”, podkreślając, że papuga to ptak przynoszący szczęście i radość. Celestria skupiła się na powieści, nie chcąc tłumaczyć towarzysze, że gdyby odłożyła na bok przesady, na pewno sama by uznała, że o wiele lepiej byłoby wybrać inny kolor. Pani Waynebridge w milczeniu patrzyła przez okno na cyprysy, oliwne gaje i małe skupiska domów z piaskowca, migoczących w południowym upale. Nie chciała przeszkadzać dziewczynie w lekturze; Celestria nigdy nie miała za dużo cierpliwości i nie znosiła, kiedy ktoś jej przerywał. Dopiero kiedy

poszły coś zjeść do wagonu restauracyjnego, Wayne rozgadała się z entuzjazmem, radosna jak spuszczonej ze smyczy psia.

- Wcześniej może i miałam ochotę zwiedzać świat... - powiedziała, bawiąc się obrączką, którą nadal nosiła. - Ale w dzień naszego ślubu do kościoła weszła gęś i od razu zrozumiałam, że przeznaczone mi jest domowe ognisko, nie życie pełne przygód.

- Gęś? - zdziwiła się Celestria.

- Tak jest, gęś. Weszła sobie do kościoła, jak gdyby nigdy nic, nie wiadomo skąd. I to był znak. Wiedziałam, że to nie przypadek, bo rozumiem tajemną naturę ptaków. Alfie popukał się w głowę, kiedy mu o tym powiedziałam, ale przez całe życie nigdzie mnie nie zabrał, więc to chyba coś znaczy, prawda? Może zresztą po prostu skorzystał z okazji... Gdybym nie zauważyła tej gęsi, mogliśmy mieć ciekawsze życie... - Westchnęła z żalem.

- Och, głupiutka z ciebie stara gąska, Wayne, że wierzysz w takie głupstwa.

- Kiedy będziesz starsza, zrozumiesz, o co mi chodzi. Świat jest pełen znaków i informacji, trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać.

- Nie pozwolę, żeby moim życiem kierowały przesady!

- Pewnie nie pozwolisz, skarbenku, bo ty zawsze kierujesz się własnym zdaniem.

- Chyba znudziło mi się już podróżowanie, Wayne. Jedziemy tym pociągiem tyle czasu, że długo nie będę miała ochoty wsiąść do następnego.

Wayne pokręciła głową.

- Podróżujemy przecież pierwszą klasą, skarbenku! Ja tam mogłabym spędzić w pierwszej klasie cały tydzień i na pewno by mi się nie znudziło. Celestria była zdania, że widziała tyle świata, ile dziewczyna na progu małżeństwa powinna widzieć. Żadne miasto nie

mogło równać się z Nowym Jorkiem i Londynem. Kilka razy była z matką w Paryżu, lecz Luwr śmiertelnie ją znudził.

Uważała, że kiedy teraz wróci do domu, nic nie zmusi jej do odbycia podróży dalszej niż do Kornwalii. Wycieczka do Włoch miała być wyprawą w poszukiwaniu prawdy. Planowała, że po wywarciu strasznej zemsty na osobie odpowiedzialnej za śmierć ojca wróci do wygodnego życia w Londynie, gdzie Aidan będzie troszczył się o nią i zapewniał jej wszelkie luksusy, aż do śmierci, rzecz jasna. O samym Aida-nie myślała ostatnio z coraz większym niepokojem. Cała ta sytuacja była w ogóle dziwnie trudna do zaakceptowania. Raz po raz powtarzała sobie, że miłość wcale nie jest warunkiem niezbędnym do zawarcia małżeństwa; jeżeli będzie miała ochotę, znajdzie sobie miłość później. Najważniejsze było przecież to, że Aidan ją kochał... Problem polegał jednak na tym, że im więcej myślała o tych planach, w tym mniejszym stopniu wierzyła w słuszność swojego rozumowania. Sięgnęła po widelec i zaczęła ze zniechęceniem przesuwając nim kawałek pasztetu po talerzu, zupełnie jakby ktoś poczęstował ją porcją ogrodowych robaków.

Słońce już zachodziło, kiedy pociąg wreszcie się zatrzymał. Wayne i Celestria, ledwo żywe ze zmęczenia, wysiadły na wąski peron. Od celu podróży dzieliło je już tylko kilka kilometrów. Napęłniły płuca aromatycznym, pachnącym sosnową żywicą powietrzem i poczuły, że powoli odzyskują siły. Po stukocie kół pociągu panująca wokół cisza była cudownie kojąca, morska bryza przyjemnie chłodziła rozgrzane, spoczone twarze podróżniczek. Celestria przeciągnęła się, z przyjemnością obserwując ślicznego niebieskiego ptaka, który przyglądał im się ze szczytu drzewa. Pomyślała, że ten błękit idealnie nadawałby się na sweter.

Ich uwagę zwrócił niski, krępy mężczyzna w berecie i kamizelce, który zmierzał ku nim zdecydowanym krokiem. Przywitał je po włosku z uśmiechem tak czarującym, że pani Waynebridge znowu z zachwytem zaparło dech w piersiach. Błysk niebieskich oczu mężczyzny wydawał się przeczyć je-

go dość zaawansowanemu wiekowi. Błękitne źrenice przybysza lśniły jak turmaliny w skale, ich wyraz był szczery, a jednocześnie łobuzerski.

- *Vengo da parte dalia signora Gancia, dal Convento di Santa Maria del Mare* - odezwał się głosem miękkim i lekkim jak puszysta mąka.

- *No parlo italiano* - odparła Celestria, wykorzystując swoją znajomość francuskiego i dodając „o” na końcu.

Mężczyzna roześmiał się i energicznie kiwnął głową.

- *Jo, Nuzzo* - oświadczył.

Przycisnął dłoń do piersi i wymówił swoje imię powoli i dobitnie, jakby miał do czynienia z przygłuchymi.

- Witaj, Nuzzo - uśmiechnęła się dziewczyna. - Nazywam się Celestria Montague, a to pani Waynebridge.

Nuzzo ściągnął krzaczaste brwi. Popatrzył na oniemiałą panią Waynebridge i jego twarz rozjaśnił wyraz współczucia. Starsza pani była szara ze zmęczenia. Mężczyzna powiedział coś niezrozumiałego i schylił się po bagaże. Pani Waynebridge miała tylko jedną niewielką walizkę, lecz Celestria zabrała ze sobą trzy granatowe walizy, oklejone barwnymi nalepkami. Nuzzo musiał rozłożyć transport walizek na kilka etapów, ale jego jowialny uśmiech ani razu nie przybladł.

Celestria ze zdziwieniem odkryła, że ostatnią część podróży mają odbyć na zaprzężonym w konia wozie. Krzepkie zwierzę czekało cierpliwie w wieczornym słońcu, co jakiś czas oganiając się od wielkich tłustych much, bzycających dookoła jego głowy. Nuzzo ułożył walizki na jednym siedzeniu i gestem zachęcił panie, aby zajęły miejsca. Pani Waynebridge nie miała nic przeciwko temu, ponieważ w dzieciństwie i wczesnej młodości używała głównie takiego środka transportu, więc posłusznie oparła się na dłoni Nuzzo. Zawahała się na moment, niepewna, czy zmęczone nogi nie zawiodą jej przy wsiadaniu. Nuzzo zachęcił ją słowami, których nie rozumiała, lecz ton jego głosu był tak łagodny, a szeroki uśmiech tak czarujący, że oblała się rumieńcem i prawie wskoczyła na wóz. Celestria była oburzona. Konny wóz po eleganckim

czerwonym bentleyu jej dziadka, co za upadek... Jakby w odpowiedzi na jej snibistyczne kaprysy, koń uniósł ogon i puścił okropnie cuchnącego bąka.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła z obrzydzeniem, machając dłonią przed nosem. - Nie przyjechałam do Włoch, żeby podróżować czymś takim! Trafiłyśmy chyba na koniec świata, Wayne.

- Tu jest cudownie - odparła pani Waynebridge. - Moim zdaniem to najprawdziwszy raj. Nigdy nie widziałam tak pięknego miejsca...

Nuzzo lekko ściągnął lejce i koń powoli ruszył przed siebie piaszczystą dróżką. Pani Waynebridge patrzyła na szerokie plecy Nuzza, widoczne spod podwiniętych białych rękawów silne, opalone na ciemny brąz przedramiona oraz wystające spod bereciku kępki szpakowatych włosów i czuła, że jego obecność koi wszystkie jej lęki.

Jadąc drogą wzdłuż brzegu, w milczeniu przyglądały się wysuszonej, twardej ziemi. Apulia w niczym nie przypominała zanurzonej w obfitej zieleni, pagórkowatej Toskanii. Tu teren był płaski, usiany białymi skałami i stadami pasących się na trawie owiec. Rozsypujące się kamienne mury, znaczące granice między poszczególnymi działkami, kojarzyły się Celestii z Kornwalią, chociaż unoszący się w powietrzu zapach tymianku i rozmarynu był o wiele bardziej egzotyczny. Kredowe klify czuwały nad lśniącem turkusowym morzem, które sięgało aż do Albanii. W najwyższej położonych miejscach stały wzniesione wieki temu strażnicze wieże, teraz zredukowane do roli opuszczonych, nikomu niepotrzebnych dekoracji. Przejeżdżali przez wioski ze zbudowanymi z piaskowca domami o płaskich dachach i żelaznych balustradach balkonów; bezpańskie psy włóczyły się brukowanymi uliczkami w cieniu sosen i wiśniowych drzew. Stare kobiety w czerni stały w drzwiach domów, a starzy mężczyźni w beretach siedzieli na ławkach przy skwerach, paląc fajki, obserwując wydłużające się cienie i z żalem wspominając stare dobre czasy. Szarawe oliwkowe gaje wyrastały z suchej, szorstkiej i spę-

kanej ziemi, po której chodziły kozy i biegały dzieci, niewzruszające najmniejszej uwagi na matki, które zwoływały je do domu.

Celestria i pani Waynebridge były zmęczone i nieco oszołomione przebytą w ciągu tego dnia odległością. Celestria zaczęła się nawet zastanawiać, po co właściwie tu przyjechała. Z pewnością łatwiej byłoby zaakceptować śmierć ojca jako samobójstwo i pójść dalej, myślała ponuro, czując, jak poziom jej energii z każdą chwilą spada. W Anglii przeprowadzenie prywatnego dochodzenia wydawało się dobrym pomysłem, lecz tutaj wszystko przedstawiało się inaczej. Nuzzo nie mówił po angielsku, a jej włoski ograniczał się do kilku zwrotów. Wstydziła się, że założyła z góry, iż wszyscy obcokrajowcy znają angielski. Co będzie, jeżeli komunikacja z Salazarem okaże się równie skomplikowana? Czy w ogóle zdoła coś z niego wydobyć? Próbowwała pocieszać się, że w Convento na pewno znajdzie kogoś, kto będzie w stanie tłumaczyć z angielskiego na włoski. Pani Waynebridge wyczuła niepokój Celestria i sama zaczęła się denerwować. Jej oczy spoczęły na szerokich barkach Nuzza, którego siła i sprawność w powożeniu gwarantowały bezpieczne dotarcie do celu podróży, i natychmiast poczuła się lepiej.

W końcu znaleźli się w małym miasteczku Marelatte. Na spotkanie wybiegła im grupka kundli, które węszyły po ziemi w poszukiwaniu resztek jedzenia i z zapalem merdały cienkimi ogonkami.

- *Dei cani della signora Federica Gancia* - powiedział Nuzzo, ruchem głowy wskazując psy.

Ach, chodzi o słynną Preddie, pomyślała Celestria, przypomniawszy sobie list, znaleziony w pudle dokumentów, które jej ojciec przeznaczył do spalenia. Wóz skręcił z drogi i zatrzymał się pod jasnym, nierzucającym się w oczy budynkiem, sąsiadującym z ładnym kościołem o wysokich dębowych odrzwiach i łukowatych witrażach. Z różowego dachu dumnie wznosiła się w górę czterokątna dzwonnica. Nuzzo trochę sztywno zszedł z kozła i ruchem ręki wskazał wielkie

wrota Convento, w które wprawione były mniejsze drzwi z tego samego drewna.

- **II** Convento di Santa Maria del Mare! - zawołał, łapiąc szybko oddech. Pani Waynebridge podniosła się niepewnie, nie wiedząc, jak zsiąść z wozu, lecz Nuzzo natychmiast pośpieszył z pomocą i wyciągnął rękę, aby mogła się na nim oprzeć. W tej samej chwili ich spojrzenia spotkały się i błysk w oczach Nuzza, tak jasny i zaraźliwie wesoły, sprawił, że serce zabiło jej mocniej, a na delikatnie zaróżowionej twarzy pojawił się uśmiech.

- *Va bene, signara* - rzekł uprzejmie, kiedy pani Waynebridge postawiła obolałe nogi na suchej, twardej ziemi, wdzięczna losowi, że wreszcie czuje pod stopami solidny grunt.

- Dziękuję... - odparła, odzyskując równowagę.

- *Fa nientc, signora.* - Uśmiechnął się, patrząc w jej oczy trochę dłużej, niż wypadało.

Celestria zeskoczyła na ziemię bez pomocy, zbyt głęboko pogrążona we własnych myślach, aby zwrócić uwagę na subtelny flirt między Włochem i panią Waynebridge. Bez słowa podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Chwilę nic się nie działo, a potem usłyszała kroki, zgrzyt zamków i drzwi się otworzyły, ukazując szeroką, atrakcyjną twarz Federiki Ganek. Celestria z ulgą uświadomiła sobie, że ta kobieta nie mogła być kochanką jej ojca - była zdecydowanie za stara.

Federica Gancia utkwiała jasnobrażowe, ciepłe oczy w bladej twarzy Celestrie i uśmiechnęła się, odsłaniając uroczo krzywe zęby.

- Witam panią, panno Montague - powiedziała. - Proszę wejść, na pewno jest pani bardzo zmęczona.

Jej angielski był nienaganny, z niemal niezauważalnym akcentem.

Spojrzała na kryjącą się w cieniu Celestrie panią Waynebridge, która mocno przyciskała do piersi torebkę, i uśmiechnęła się jeszcze raz, serdecznie i zachęcająco.

- Miałyście przyjemną podróż? - spytała. - Apulię dzieli od Anglii daleka droga.

Pani Waynebridge zdziwiła się, że Włoszka zwraca się tak-

że do niej, nie tylko do Celestii, i pośpiesznie skinęła głową. Federica podziękowała ich przewodnikowi i wtedy starsza kobieta ośmieliła się jeszcze raz spojrzeć na odjeżdżającego w stronę głównego placu miasteczka mężczyznę.

- Mam nadzieję, że udało się wam go zrozumieć - rzekła Federica, machając mu na pożegnanie. - To wspaniały człowiek, ale, niestety, nie mówi po angielsku. Wysłałabym po was mojego męża Gaitana, ale dziś wieczorem musiał pojechać do Brindisi.

Celestria i pani Waynebridge weszły na brukowany dziedziniec, z czterech stron otoczony klasztorными budynkami i oświetlony tuzinem dużych kościelnych świec, które rozjaśniały mrok i podkreślały głęboką czerwień murów. W krużgankach piętrzyły się stosy dużych barwnych poduszek, wyszywanych złotą, połyskliwą nicią. Dwa koty przyglądały im się uważnie szeroko otwartymi, błyszczącymi, podobnymi do srebrnych monet oczami. Na wciąż jeszcze jasnym niebie zamrugła pierwsza gwiazda, a na parapecie małego okienka w murze sennie zagruchała synogarlica. Pani Waynebridge wydała cichy okrzyk na widok ptaka, ponieważ synogarlica jest symbolem miłości, i szybko spojrzała na Celestrię. Była pewna, że to nie jej była przeznaczona miłość, bo przecież była już za stara na takie rzeczy, ale nagle ogarnęła ją fala zmęczenia tak silnego, że nie miała siły się odezwać, a poza tym jej młoda towarzyszą z wielkim zaciekawieniem rozglądała się dookoła, zauroczona dziwną magią miejsca, hipnotycznym blaskiem świec i ciężkim aromatem powietrza.

Mimo wyczerpania Celestria poczuła nagle prawdziwy zachwyt i bez trudu zrozumiała, dlaczego jej ojciec tak polubił to miejsce - czuła się tu jak w domu.

- Witajcie w Convento - odezwała się Federica. - Bardzo się cieszę, że przyjechała pani do nas, panno Montague. Pani ojciec jest naszym drogim przyjacielem...

Celestria spojrzała na panią domu i dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie wie ona o śmierci Mon ty'ego. Wahala się chwilę, niepewna, jak przekazać tę wiadomość. Zerknęła na

panią Waynebridge, ale twarz starszej kobiety była szara ze zmęczenia i Celestria zrozumiała, że nie może spodziewać się od niej pomocy. Federica spoważniała.

- O co chodzi? - spytała, zaciskając dłoń na medaliku z Madonną, zwisającym na obfitym biuście.

- Mój ojciec nie żyje - rzekła Celestria. Federica długo patrzyła na nią w milczeniu.

- Nie wiem, co powiedzieć... - wymamrotała.

Wzięła głęboki oddech. Między jej brwiami pojawiła się głęboka, wyraźna zmarszczka. Wpatrywała się w Celestrię z takim wyrazem twarzy, jakby za wszelką cenę próbowała pojąć to, co przed chwilą usłyszała. W końcu położyła lekko drżącą dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Bardzo pani współczuję z powodu tej straty, która jest także i naszą - powiedziała zachrypniętym, łamiącym się głosem. - Zapraszam do środka na posiłek... Musi być pani bardzo wyczerpana...

Poprowadziła je przez dziedziniec ku niskim drzwiom, przez które wchodziło się do wąskiego, otwartego korytarza i kuchennego ogrodu, gdzie stały potężne gliniane donice z bazylią i szałwią, a w zaułku muru urządziła sobie przytulne mieszkanie rodzina młodych, gibkich czarnych kotów. Celestria podniosła głowę i westchnęła z zachwyty na widok olbrzymiej, świetlistej kuli na powoli ciemniejącym niebie - wydawało się, że wisi bardzo nisko, zaledwie parę metrów nad ziemią. Nigdy dotąd nie widziała tak wielkiego, krągłego księżyca.

Federica bez słowa otworzyła drzwi do kuchni. Powietrze w ciepłym wnętrzu pachniało świeżo mieloną kawą. Jedną ścianę zdobił kołaż z wykonanych z surowego drewna desek do krojenia chleba, drugą równy rząd czarnych chochli do zupy. Na biegnącej nad zlewem i blatem do przygotowywania posiłków długiej półce stały większe i mniejsze kolorowe doniczki oraz dzbanki, podobne do tych, jakie można kupić na targu w krajach arabskich. Po paru dniach pobytu w Convento Celestria odkryła, że Federica Cancia była zapaloną kolek--

cjonerką. Jeżeli zakochała się w jakimś przedmiocie, nie wystarczało jej, że kupi tylko ten, który wpadł jej w oko; musiała kupić całe stadko rzeczy tego samego rodzaju. Zbierała dzbanki do kawy i deski do krojenia chleba, lecz także meksykańskie lalki, afrykańskie rzeźby i maski. Kupowała je jak w natchnieniu, po kilkanaście, czasami kilkadziesiąt, i eksponowała grupami. Każdy pokój miał swój własny temat, niepowtarzalny klimat i urok. Federica posiadała wyjątkowe wyczucie koloru i faktury, dzięki czemu umiała przeistoczyć ascetyczne mnisie cele we wnętrza pulsujące ciepłem i życiem. Na końcu kuchni znajdowały się drzwi prowadzące do ogrodu warzywnego i rozciągającego się dalej pomarańczowego gaju.

- Napijcie się wina albo może kawy? - spytała Federica, patrząc na gości zmęczonymi, smutnymi złocistymi oczami. -Luigi zostawił gorącą zupę i prosciutto na kolację, do tego mamy pyszny chleb, który sami wypiekamy...

Pani Waynebridge woląa zaczekać, aż Celestria dokona wyboru. Miała nadzieję, że dziewczyna poprosi o herbatę.

- Obie chętnie wypijemy kieliszek wina, signora Gancia -odparła Celestria.

Pani Waynebridge w myśli załamała ręce. Alfie dużo pił, lecz ona zawsze ograniczała się do szklaneczki sherry na zakończenie pracowitego dnia. Pod wpływem alkoholu stawała się nadmiernie gadatliwa, co było zupełnie nie na miejscu w rezydencji Montague przy Upper Belgrave Square, gdzie rządziła dyskrekcja, ani w jej własnym domu, ponieważ Alfie kochał ciszę. Odkąd została wdową, nigdy nie piła w samotności, bojąc się, że zacznie gadać sama do siebie i nie będzie wiedziała, jak i kiedy przestać.

- Proszę mówić do mnie „Freddie” - odezwała się Federica. - Wszyscy tak robią, poza tym „signora” sprawia, że czuję się stara...

Celestria nie miała pojęcia, dlaczego Federice miałyby to przeszkadzać - była stara, musiała mieć sześćdziesiąt parę lat. Gospodyni nalała im wina i zaprowadziła przez jadalnię,

udekorowaną dużymi misami świeżych granatów i gruszek do pokoju o niskim sklepieniu, w którym stare kanapy i fotele ustawiono wokół pustego o tej porze roku kominka. Okrągły stół, przy którym z pewnością mogło zmieścić się osiem osób, nakryty był dla dwóch. Celestria szybko przełknęła ślinę na widok szynki prosciutto i świeżo upieczonego chleba. Gdy usiadły i spróbowały wina, nastrój pani Waynebridge natychmiast się poprawił. Przelykając chłodny napój, pomyślała, że nigdy nie piła lepszego.

Federica także usiadła i napełniła swój kieliszek. Pociągnęła łyk wina, zapanowała nad emocjami i spojrzała na Celestrię.

- Bardzo mi przykro, że pani ojciec nie żyje. Szczerze mówiąc, jest to dla mnie prawdziwy szok. Darzyłam go wielką sympatią, był dla mnie niemal jak członek rodziny. Tak trudno mi to wyjaśnić... - Westchnęła ciężko, jej oczy zalśniły w łagodnym blasku świec. - Czy mogę zapytać, w jakich okolicznościach odszedł?

- Utonął w morzu, to był wypadek.

Celestria za bardzo się wstydziła, żeby spojrzeć w oczy pani Waynebridge. Szybko sięgnęła po kieliszek i pocieszyła się, że pozwoliła sobie tylko na drobne kłamstwo.

- Och, to straszne! Wyobrażam sobie, jak jest pani ciężko! - Starsza kobieta łagodnie dotknęła dłoni Celestrie. - Dlaczego zdecydowała się pani tu przyjechać?

- Ponieważ ojciec bardzo kochał to miejsce. Chcę poczuć, że jestem blisko niego. Musiałam też dać sobie trochę czasu na przemyślenie różnych spraw. Było to najtrudniejsze lato mojego życia i chciałam chociaż na krótko znaleźć się z dala od domu...

Oczy Federiki złagodniały, jej twarz rozjaśnił smutny uśmiech.

- Tak się cieszę, że wybrała pani Apulię! Pani ojciec po prostu zakochał się w tym zakątku Włoch i przyjeżdżał tu, kiedy tylko mógł.

- Prowadził tu jakieś interesy?

Federica się roześmiała.

- Nikt nie prowadzi tu żadnych interesów, moja droga! Przyjeżdżał z tego samego powodu co pani - żeby uciec przed światem.

Pani Waynebridge była tak zachwycona kolacją i winem, że kłamstwo Celestria w ogóle jej nie oburzyło. Rozumiała zresztą, co kierowało dziewczyną. Samobójstwo nie było wydarzeniem, którym można się chwalić.

- Pan Montague zawsze dużo pracował - odezwała się. Celestria odwróciła ku niej głowę, wyraźnie zaskoczona.

Od chwili przyjazdu na miejsce pani Waynebridge nie powiedziała ani jednego słowa.

- Przepraszam, ale nie przedstawiłyśmy się sobie jak należy... - Federica wyciągnęła rękę do pani Waynebridge. - Przez tę smutną wiadomość zasady dobrego wychowania zupełnie wyleciały mi z głowy.

- To pani Waynebridge - powiedziała Celestria, z ustami pełnymi chleba i prosciutto. - Pracuje u nas od Bóg wie jak dawna... Jak długo u nas pracujesz, Wayne?

- Ponad czterdzieści lat. Dziesięć lat temu straciłam rachubę. Jako młoda dziewczyna pracowałam dla babki Celestria, opiekowałam się panem Montague jak własnym synem. Nie miałam dzieci, tak chciało przeznaczenie... Kiedyś znalazłam martwego gila w pojniku dla ptaków i od razu wszystko zrozumiałam. Martwy gil - bezpłodne łono. Alfie uważał, że zwariowałam, ale ja miałam rację. Przecież to logiczne, prawda? Co dobrego może wiązać się z martwym ptakiem... Albo jakimkolwiek innym martwym stworzeniem, chociaż nigdy nie nauczyłam się, co zapowiadają martwe zwierzęta, znam tylko znaczenie martwych ptaków.

Celestria z przerażeniem wpatrywała się w swoją towarzyszkę. Pani Waynebridge, która od przybycia do Spongano milczała jak zaklęta, teraz nie mogła przestać mówić.

- Mama nie chciała puścić mnie samej, więc biedna stara Wayne musiała się zgodzić, by towarzyszyć mi w podróży - powiedziała Celestria z nadzieją, że uda jej się poskromić ga-

datliwość pani Waynebridge. - Wcześniej nigdy nic ruszała się dalej niż z Kornwalii do Londynu!

- Miło mi panią poznać, pani Waynebridge. - Federica lekko skinęła głową.

Pani Waynebridge odpowiedziała jej radosnym uśmiechem. Była zadowolona, że tu przyjechała.

Kiedy jadły, psy, które wcześniej polowały w miasteczku, wpadły do pokoju. Federica przywitała je serdecznie.

- Oto moim czworonożni przyjaciele - powiedziała. - Pompea, Fiametta, Primo, Cyrus i Maialino. Pierwszą znalazłam Pompeę, reszta dołączyła później, jedno po drugim. Mam stale powiększającą się rodzinę...

- Mieszkacie tu z mężem sami? - zapytała Celestria, patrząc, jak pani domu z czułością poklepuje psy.

Wszystkie były kundlami, ale Federica najwyraźniej kochała je za serce i charakter.

- Mieliśmy córkę, która mieszkała z nami, ale zmarła trzy lata temu. Jest pochowana po drugiej stronie drogi, w mauzoleum, które wybudowaliśmy specjalnie dla niej. Jej mąż Ha-mish nadal tu mieszka... - Przez twarz Federiki przemknął cień. - Jak widać, ja także znam gorzki smak śmierci... - Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Celestrie. - Rozumiem pani stratę, ponieważ także to przeżyłam.

Przerwała. Z wysiłkiem przełknęła ślinę, cofnęła rękę i długą chwilę wpatrywała się w swój kieliszek, próbując odzyskać równowagę. Pompea wetknęła jej nos pod pachę i z ciężkim westchnieniem oparła głowę na kolanach.

- Strata dziecka to coś znacznie gorszego niż strata ojca. - Celestria powoli odłożyła łyżkę, którą jadła zupę. - Tata zdążył przynajmniej chociaż trochę nacieszyć się życiem.

- Cóż, musimy żyć dalej, chociaż czasami łatwiej byłoby przestać... - szepnęła Federica, pocierając srebrny medalik kciukiem i palcem wskazującym.

- Ma pani inne dzieci?

- Tak. Syna, który pracuje w Mediolanie, i jeszcze jedną córkę, która z mężem i dziećmi mieszka w Wenecji. Natalia była

najmłodsza... No i oczywiście mam moich gości! Niektórzy z nich, tak jak pani ojciec, stają się nam bliscy jak rodzina...

Federica znowu spuściła wzrok i utkwiała go w wyhaftowanych na obrusie kwiatach. Celestria przyglądała się jej uważnie. Freddie była atrakcyjną kobietą o delikatnej, jasnej skórze i pięknych rysach twarzy, naznaczonej zaskakująco niewieloma zmarszczkami. Długie szpakowate włosy spięła klamrą w duży, nieporządny węzeł. Nie była umalowana. Jej jedynymi ozdobami były błyszczące żółte korale, srebrny medalik z Madonną i duże złote kolczyki w mięsistych płatkach uszu. Miała na sobie oliwkowe spodnie, pantofle na płaskim obcasie i zielony rozpinany sweter do kolan. Celestria zawsze sądziła, że Włoszki mają ciemniejszą skórę i kruczoczarne włosy, podobnie jak Sophia Loren, tymczasem Federica wyraźnie odstawała od tego stereotypu.

Po kolacji pani domu zaprowadziła je do pokoi. Znowu przeszły przez dziedziniec i weszły na piętro po schodach z białego kamienia.

Nieregularny korytarz biegł wzdłuż trzech ścian klasztorного budynku. Podłogę przykrywały grube perskie dywany i chodniki, tu i ówdzie widać było wysokie stosy książek, w niszy pod oknem stał niewielki fortepian. - Hamish gra - powiedziała Federica. - Albo raczej grał... Od dawna nie siadał do fortepianu, ale gdybyś miała okazję go usłyszeć, zaniemówiłabyś z wrażenia. Te wszystkie książki zaczynają nam trochę przeszkadzać - dodała, mijając jeden ze stosów. - Dzięki Bogu, że Gaitano przebudowuje altankę w ogrodzie na bibliotekę. Sam wszędzie ustawia te bezcenne wieżyczki... Książki to jego namiętność, jest najszczęśliwszy, kiedy spędza czas, otoczony swoimi ukochanymi tomami. Traktuje je jak domowe zwierzęta, głaszcze, poklepuje, no i od czasu do czasu wyciera z kurzu.

Otworzyła wąskie drewniane drzwi, prowadzące do wspaniałej sypialni. - To pani pokój, Celestrio. Pani ojciec zawsze tu mieszkał. Celestria przestąpiła próg i natychmiast zauroczył ją słod-

ki zapach lilii, którym przesycone było powietrze. Szerokie łóżko przykryto barwną tkaniną w różnych odcieniach różu, zieleni i żółci. Na kamiennej posadzce leżał dywan, w drugim końcu pokoju znajdowała się duża żeliwna wanna oraz wychodzące na dziedziniec okno.

- Jeszcze nigdy nie ucieszył mnie tak widok łóżka! - wykrzyknęła Celestria. - Jaki piękny pokój!

- Fani ojciec także bardzo go lubił - odparła cicho Federica.

Przez jej twarz znowu przemknął mroczny cień. Obrzuciła Celestrię długim, uważnym spojrzeniem i wzięła głęboki oddech przez nos, jakby chciała odsunąć myśl, która przed chwilą wpadła jej do głowy.

- W tej chwili mamy jeszcze tylko jednego gościa, panią Halifax, także z Anglii... To malarka, urocza kobieta. Myślę, że ją polubicie. Jest bardzo ekscentryczna, codziennie wkłada inną parę butów, uderzająco kolorowych... - Federica uśmiechnęła się porozumiewawczo i lekko uniosła brwi. - Ciągłe mnie czymś zaskakuje, ale ogromnie ją lubię.

- Hu gości jesteście w stanie przyjąć? - spytała Celestria. Zauważyła, że ktoś przyniósł już jej bagaże do pokoju.

- Jedenaście osób, ale teraz, pod koniec sezonu, jest tu cicho i pusto. Na lato wszystkie pokoje są rezerwowane z dużym wyprzedzeniem. W przyszłym tygodniu ma przyjechać do nas jeszcze jedna pani, więc Gaitano i Hamish znajdą się w zdecydowanej mniejszości, biedacy... W gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia, ponieważ i tak zwykle rzadko widuję ich w ciągu dnia. Hamish jest... Cóż, nic nie mogę na to poradzić... - Lekko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z przymusem. Mimo udanego spokoju było oczywiste, że myśli o zięciu z głęboką troską. Mięśnie jej twarzy napinały się wyraźnie, kiedy wymawiała jego imię, co z jakiegoś względu czyniła dość często.

- Teraz zaprowadzę panią do pani sypialni, pani Wayne-bridge - zaproponowała.

Panią Waynebridge olśniły bogate kolory i zapachy Con-

vento. Wino złagodziło jej zmęczenie, ale także ograniczyło nieco zdolność swobodnego poruszania się. Wzięła Celestrię pod rękę i powoli, lekko utykając, ruszyła korytarzem za Federicą. Nagle poczuła się bardzo stara.

Pokój pani Waynebridge był mniejszy, ale, podobnie jak sypialnia Celestii, udekorowany pięknymi tkaninami. Naprzeciwko drzwi stało duże łóżko, ze ścian w kilku miejscach zwisały barwne zasłony, a trzy małe okna z okiennicami także wychodziły na dziedziniec.

- Łazienkę ma pani w korytarzu, pierwsze drzwi po prawej. Dzieli ją pani z panią Halifax, mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza... Następne drzwi prowadzą do jej pokoju.

- W ogóle mi to nie przeszkadza - powiedziała pani Waynebridge, opanowana silnym pragnieniem wyciągnięcia się na łóżku. - Pójdę już spać. Dla takiej starej kwoki, która prawie całe życie spędziła w jednym miejscu, wyprawa do Mara... Mare... No, wszystko jedno... Tak czy inaczej, tak długa podróż to dla mnie poważny wysiłek.

Federica uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Dobranoc, życzę pani dobrego wypoczynku. Śniadanie będzie czekać w jadalni od ósmej, ale proszę zejść wtedy, kiedy będzie pani gotowa. Luigi dopilnuje, żeby na stole nie zabrakło niczego, na co miałybyście ochotę...

- Może rano już się nie obudzę... - odparła pani Waynebridge, próbując przywołać uśmiech. Jej policzki obwisły jak dolna część wypełnianych wodą balonów, które Celestria i Harry robili jako małe dzieci. - Ty też śpij spokojnie, Celestrio. Gdybyś mnie potrzebowała, to jestem tutaj, za ścianą...

Kiedy Celestria i Federica znalazły się na korytarzu, dziewczyna wreszcie zadała pytanie, które pragnęła postawić pani domu od chwili przyjazdu.

- Czy nazwisko Salazar coś pani mówi? Federica kiwnęła głową.

- Oczywiście - odrzekła. - Francesco Salazar to prawnik, który mieszka tuż obok, w Marelatte. Bardzo pompatyczny i pewny siebie.

- Parę dni temu zabrałam się do porządkowania spraw ojca i natknęłam się na korespondencję z Salazarem oraz różne rzeczy, które muszę wyjaśnić. Pomyślałam sobie, że może mogłabym zrobić to w czasie pobytu tutaj...

Federica zmarszczyła brwi i jej twarz na ułamek sekundy przybrała podejrzliwy wyraz.

- Może to pani zrobić, naturalnie... - Wzruszyła ramionami. - Poproszę Nuzza, żeby pani towarzyszył.

- Na przykład w poniedziałek - zasugerowała Celestria.

Żałowała, że przyjechały akurat w piątek. Nie miała pojęcia, co będą tu robić przez cały weekend. Klasztor był uroczym miejscem, to prawda, ale nie chciała pozostać tu dłużej, niż okazałoby się to konieczne.

- Nie spotkała pani przypadkiem Węgierki, która przedstawia się jako „hrabina Valonya”? - dorzuciła.

Federica potrząsnęła głową.

- Nie... Takie nazwisko na pewno utkwiliby mi w pamięci. - Lekko zmrużyła oczy. - Szuka pani kogoś jeszcze?

Celestria roześmiała się cicho.

- Nigdy nie wiadomo...

Ziewnęła, zasłaniając usta dłonią, weszła do swojego pokoju i ciężko usiadła na łóżku.

- Nigdy nie wiadomo, to prawda... - powtórzyła Federica. - Jeżeli będzie pani potrzebna moja pomoc, zrobię wszystko, co w mojej mocy, proszę tylko powiedzieć. *Va bene*, mam nadzieję, że będzie pani dobrze spała...

Przystanęła w progu i otworzyła usta, jakby zamierzała dodać coś jeszcze. Celestria odwróciła się z zachęcającym uśmiechem, ale starsza kobieta przymknęła oczy i przepaszająco potrząsnęła głową.

- *Niente*... - rzuciła lekkim tonem. - Do zobaczenia rano!

- Dobranoc - odpowiedziała Celestria.

Zamknęła drzwi za gospodynią. Wiedziała, że wino, zupa i świeże morskie powietrze przygotowały ją na długi, zdrowy sen.

Gdy Celestria otworzyła oczy, promienne słońce wlewało się do pokoju przez dwa niewielkie kwadratowe okna w ścianie za łóżkiem, a dźwięczny głos dzwonów zwoływał wiernych na mszę. Ptaki śpiewały radośnie, na drodze za klasztorem ujadał pies. Dziewczyna z przyjemnością wciągnęła powietrze, czując niesiony wiatrem aromat sosen i rozmarynu zmieszany z mocnym zapachem lilii. Przeciągnęła się z zadowoleniem i ogarnęła wzrokiem pokój, który za dnia sprawiał jeszcze przyjemniejsze wrażenie. Śmiałe kolory tkanin doskonale łączyły się z przyćmionymi, ciepłymi odcieniami czerwieni i brązu dywanów. Nie ulegało wątpliwości, że Federica wybierała mieszczące się tu sprzęty z miłością, nie usiłując dopasować ich do sztywno ustalonej z góry linii kolorystycznej. Celestria była pewna, że ojciec czuł się tu równie dobrze jak ona. Przewróciła się na bok i popadła w zamyślenie. Teraz, kiedy była sama w pokoju, który znali tylko ona i ojciec, pozwoliła sobie na chwilę prawdziwej tęsknoty. Nie tęskniła za nim tak jak w Anglii, gdzie unikała bólu i zastanawiała się tylko nad niedogodnościami, wynikającymi z jego śmierci, ale całym sercem czuła smutek jego

nieobecności. Dopiero teraz w pełni dotarło do niej, że już nigdy go nie zobaczy.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie ojca w tym pokoju. Na pewno leżał na łóżku w piżamie, oddychał tymi samymi zapachami, słuchał tych samych odgłosów, szukał schronienia przed światem dokładnie tak jak ona... Czy przyjechał tu, gdy jego firma upadła, aby ukryć nawet przed sobą fakt, że nie ma już pracy? Czy marzył tu, że na zawsze ucieknie przed problemami? Jeżeli tak bardzo mu się tu podobało, dlaczego zdecydował się zadać sobie śmierć? Po co takie ostateczne rozwiązanie, skoro miał tyle powodów, aby żyć? Te myśli tylko utwierdziły ją w podjętym w Anglii postanowieniu. Wstała i ubrała się w białe spodnie i jasnoniebieską bluzkę koszulową. Potem zawiązała na szyi jedwabną apaszkę od Hermesa i wyszczotkowała długie jasne włosy, które miękkimi falami opadały na ramiona.

Na dole psy Federiki rzuciły się na nią z entuzjazmem. Dwie pokojówki przywitały ją uśmiechem, objuczone naręczami czystych ręczników i pościeli. Obie były niskie, o brązowych twarzach i lśniących czarnych włosach, spływających po plecach aż do pasa. Najwyraźniej mocno poruszone jej widokiem, zaczęły z ożywieniem rozmawiać, gdy tylko oddaliły się parę kroków. Waynic jadła już śniadanie przy długim refektarzowym stole, zastawionym naczyniami z chlebem, prosciutto i owocami.

- Dzień dobry, Celestrio - odezwała się pogodnie. - Chyba nigdy w życiu nie spałam tak dobrze jak tutaj... To łóżko jest znacznie lepsze od tego, które Alfie kupił, kiedy wprowadziliśmy się do domu przy Anselm Road. Już wtedy było nie wiadomo jak stare... Alfie wziął je od Pete'a Duffa, który miał magazyn w Harrogate, pełny Bóg wie jakich śmieci, w zamian za jakieś roboty hydrauliczne. Alfie nigdy nie płacił, jeśli mógł tego uniknąć. Nawet za obrączkę... - Spojrzała na złoty krążek na swojej dłoni i uśmiechnęła się. - Nie robi mi to różnicy, w końcu najbardziej liczy się myśl, intencja.

Celestria podeszła do bufetu, łakomie wpatrując się w granaty i figi, ułożone w stosy na drewnianych misach.

- Podoba mi się tutaj, Wayne - powiedziała, biorąc kilka owoców. Wayne się uśmiechnęła.

- Wiesz, nigdy bym się tego nie spodziewała, ale ja też dobrze się tu czuję. Wcześniej bardzo denerwowałam się podróżą, lecz w tym miejscu jest coś magicznego... - Zniżyła głos, podejrzliwie rozejrzała się po pokoju i pochyliła nad stołem. - Czujesz zapach lilii? A przecież nie widać ani jednego kwiatu, prawda? To czary... - Wyprostowała się i pokiwała głową. - Nie wiem, na czym to polega, ale już mam wrażenie, że od-młodniałam o dobre dziesięć lat... Piękny jest głos tych dzwonów, zupełnie niepodobny do naszych w Anglii... Powinnam była spać jak niedźwiedź, lecz obudziłam się z przyjemnym uczuciem podniecenia. Niedługo zdarzy się coś niezwykłego, jestem tego pewna.

- Widziałas jakiegoś ptaka, który potwierdziłby to wrażenie? - zażartowała Celestria, siadając obok.

- Żartujesz sobie ze mnie, a to nieroztropne! Jestem stara i nie wiadomo, jak to zniosę!

Obie odwróciły się, kiedy do jadalni wszedł wysoki mężczyzna o srebrzystych włosach oraz drugi, znacznie młodszy, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Witam panie - odezwał się starszy. - Nazywam się Gaitano, jestem mężem Freddie...

Podobnie jak żona, bardzo dobrze mówił po angielsku, lecz jego akcent był wyraźniejszy. Celestria wyciągnęła rękę, nad którą Gaitano pochylił się z szacunkiem, podnosząc ją prawie do samych ust. Jego małe brązowe oczy patrzyły na nią przyjaźnie zza okularów w srebrnych oprawkach. Serce Celestria ścisnęło się z bólu. Jedyнным mężczyzną, który witał się z nią w taki sposób, był jej ojciec. Nagle zalała ją fala wspomnień.

Przypomniała sobie dzień, kiedy wypłynął w morze z Har-rym i synami Archłego - chyba właśnie wtedy ostatni raz pocałował ją w rękę... Wciąż widziała pełen czułości błysk w jego oczach, gdy zapraszał ją na pokład łodzi. Pośpiesznie zepchnęła budzący się ból w głąb podświadomości i skoncen

trowała się na Gaitanie. Mąż Freddie miał szlachetne rysy -prosty rzymski nos, mocno zarysowaną szczękę i wysokie kości policzkowe. Nadal był wybitnie przystojnym mężczyzną.

- A to Luigi, najbardziej utalentowany kucharz w Puglii... Luigi nie zna angielskiego - wyjaśnił Gaitano, serdecznie poklepując młodego człowieka po plecach. - Na szczęście jedzenie to wspólny język całej ludzkości, prawda?

- Oczywiście! - Celestria pokiwała głową. - To jest pani Waynebridge - przedstawiła. - Żadna z nas nie mówi po włosku, ale obie lubimy jeść! Od razu poczuła ogromną sympatię do Gaitana, który uprzejmie pochylił głowę przed panią Waynebridge, ta jednak była zbyt zdenerwowana, aby podać mu rękę.

- Ach, pani Halifax! - uśmiechnął się Gaitano na widok pulchnej starszej kobiety, która weszła do jadalni, podpierając się laską obwieszoną maleńkimi dzwoneczkami.

Pani Halifax miała wesołą, okrągłą twarz pociętą zmarszczkami i bruzdami nakreślonymi przez śmiech i smutek. Jej brzoskwiniowa cera była niczym mapa, na której pełne, czynne życie narysowało najrozmaitsze linie. Celestria natychmiast przypomniała sobie komentarze Federiki na temat pantofli pani Halifax i zerknęła na jej stopy. Nie doznała rozczarowania - tego dnia starsza pani nosiła pantofelki z zielonego aksamitu, ozdobione na czubkach złocistymi futrzanymi kuleczkami.

- Dzień dobry, młody człowieku - odezwała się do Gaitana niskim, nieco zachrypniętym głosem. - Och, widzę, że mamy towarzystwo,.. Jak to miło... Jest pani Amerykanką?

Celestria nie miała pojęcia, w jaki sposób pani Halifax mogła tak błyskawicznie odgadnąć jej pochodzenie.

- Słyszałam, jak wczoraj wieczorem rozmawiała pani w korytarzu - wyjaśniła staruszka.

- Ach, rozumiem... Tak, moja matka jest Amerykanką, ale ojciec... Mój ojciec był Anglikiem.

Pani Halifax zauważyła pośpieszne przejście z czasu teraźniejszego na przeszły i dyskretnie zmieniła temat.

- Bardzo cieszy mnie towarzystwo krajanek.
 - To jest pani Waynebridge - przedstawiła Celestria swoją towarzyszkę.
 - Miło mi panią poznać... - rzekła pani Waynebridge, odstawiając filiżankę i pozwalając, aby jej prawa dłoń oderwała się od kolana i uściśnęła rękę pani Halifax.
 - Och, na pewno pochodzi pani z Yorkshire! - Pani Halifax oparła łaskę o stół i usiadła na krześle, które podsunął jej Gaitano. - Spędziłam wiele cudownych tygodni na północy, w pobliżu Skipton... Zna pani Skipton? Jest tam wspaniały stary zamek. Rodzina Fattorini to moi bardzo bliscy, drodzy przyjaciele...
- Pani Waynebridge kiwnęła głową. Znała słynny zamek niedaleko Skipton, lecz nigdy tam nie była, jeili zaś chodzi o rodzinę Fattorini, to z pewnością nie ośmieliłaby się nawet zbliżyć do któregoś z jej członków.
- Wszyscy Fattorini to prawdziwa sól ziemi - ciągnęła pani Halifax. - Zawsze mówią, co myślą, przyprawiając tę szczerą ucziwą dawką ciepła i poczucia humoru... - Potrząsnęła głową, wprawiając w drżenie stroik z fioletowych piór, który wpięła we włosy. - Chętnie wypiję filiżankę kawy, Luigi - dodała. - I zjem jajko... Czy to nie za duży kłopot? Gotowane dokładnie cztery i pół minuty, i jeszcze grzanek, lekko przypieczoną, nie spaloną... Nienawidzę spalonych tostów, a wy? Luigi, który zrozumiał prośbę pani Halifax wyłącznie dlatego, że przez ostatni miesiąc zamawiała na śniadanie zawsze to samo, zawrócił do kuchni, zostawiając Gaitana samego z kobietami.
 - Jeżeli miałyby panie ochotę na coś do jedzenia, Luigi chętnie zrealizuje każde zamówienie, Nuzzo zaś zawiezie panie wszędzie, gdziekolwiek zapragniecie.
- Gaitano skierował to przemówienie do Celestri i, ale to pani Waynebridge zaczerwieniła się na dźwięk imienia Nuzzo.
- Nuzzo może być waszym prywatnym przewodnikiem - dorzucił Gaitano.

- Będzie nam^vbardzo miło - odparła Celestria. - Chętnie rozejrzemy się trochę po okolicy, prawda, Wayne?

Pani Waynebridge przytaknęła z entuzjazmem.

- Nuzzo wróci koło południa. Musiałem wysłać go w pewnej sprawie do Castellino. Czy mogę zasugerować paniom przejażdżkę w górę wybrzeża i lunch na plaży?

- Zupełnie jak w Kornwalii! - zaśmiała się dziewczyna. -Będziemy czekać na dziedzińcu po dwunastej.

- Doskonale. Luigi przygotowuje coś do zjedzenia. Teraz zostawię panie, żebyście mogły bliżej się poznać.

Gaitano znowu uklonił się uprzejmie, próbując ukryć ironiczny uśmiech. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że trzy kobiety mają ze sobą bardzo niewiele wspólnego.

Luigi przyniósł pani Halifax jajko i małą filiżankę czarnej kawy, która wydzielala tak obezwładniający aromat, że Celestria nawet nie próbowała mu się oprzeć.

- Nie przepadam za kawą, ale ta pachnie po prostu wspaniale! -

Przechyliła się przez stół i zbliżyła twarz do filiżanki.

- Mielą ją tutaj, oto cały sekret - wytłumaczyła pani Halifax. - Nigdzie indziej kawa nie smakuje tak cudownie, proszę mi wierzyć. Z gorącym mlekiem jest równie pyszna jak czekolada...

- Świetny pomysł, muszę spróbować! - zachwyciła się Celestria. -

Mogłabym dostać filiżankę, Luigi?

Kiedy kucharz wrócił, wskazała palcem kawę pani Halifax i stojący na środku dzbanek z mlekiem.

- I dużo mleka, *mucho mucho* - poprosiła, rzucając mu rozbrajający uśmiech.

Sprawiło to, że uszy Luigiego przybrały intensywnie czerwony kolor, a jego żołądek skurczył się z podniecenia.

- *Si signora, molto lattel* - zapewnił z zachwytem. Poszedł do kuchni z zamiarem zaparzenia dla dziewczyny najlepszej *caffè latte* na świecie.

- Była tu już pani wcześniej, pani Halifax?

- Tak, od czterech lat przyjeżdżam tu na lipiec, sierpień i wrzesień.

Poznałam Freddie i Gaitana jakieś sześć lat temu,

kiedy spędzałam wakacje pod Pizą. Wtedy mieszkali jeszcze w Toskanii, lecz niedługo potem odkryli to cudowne miejsce i kupili je.

Doprowadzenie Convento do przyzwoitego stanu wymagało ogromnej pracy i miłości, ponieważ klasztor był w ruinie. Ostatnio ich sytuacja trochę się pogorszyła i dlatego musieli otworzyć pensjonat... - zniżyła głos. - A nie jest to dla nich łatwe... Tak czy inaczej, nigdy nie opuszczają Convento, zostawiliby tu za dużo wspomnień... No, ale to już inna historia i nie ja powinnam ją opowiedzieć... - Westchnęła ciężko i wyprostowała się. - Lubię malować. Znajduję sobie jakieś miejsce, które mi się podoba, i wracam do niego co roku, trochę jak jaskółka. Dawniej podróżowałam z dwiema przyjaciółkami, ale potem Debo zmarła, a wycieczki we dwie zmieniły się w ponury festiwal wspomnień. Poza tym Gertie i ja ciągle się kłóciłyśmy. Kiedy byłyśmy we trzy, nasze stosunki układały się nie najgorzej, bo Debo rozdzielała nas niczym bufor, lecz przebywanie z samą Gertie nie było już tak miłe. Odwiedzałam wiele różnych miejsc, ale po Maurilliac we Francji żadne naprawdę nie przypadło mi do gustu aż do chwili, gdy ujrzałam Convento. Freddie i Gaitano są teraz dla mnie jak rodzina...

- Mieszkała pani we Francji? - spytała Celestria.

- Nie. Malowałyśmy tam po wojnie w imponującym *chateau*, przerobionym na hotel. Anglia była w tym okresie przerażająco szara i biedna, natomiast Francja zachwycała niezwykłym pięknem.

Wybrałyśmy się tam w następnym roku, ale wszystko było już inaczej... - Uśmiechnęła się ze smutkiem i pociągnęła łyk kawy. - Jestem głupią starą kobietą, która za bardzo przywiązała się do przeszłości... To długa historia i pewnego wieczoru, jeśli starczy mi zapału, może ją pani opowiem.

- Bardzo bym chciała - powiedziała cicho Celestria. Pani Halifax szybko odzyskała równowagę.

- Przyjechałyście tutaj pierwszy raz? - zapytała pogodniejszym tonem.

- Tak.

- W pobliżu jest mnóstwo ciekawych miejsc. Tutejszy kościół to prawdziwa perełka architektury, a po drugiej stronie drogi znajduje się pełne uroku miasto zmarłych.

- Miasto zmarłych? - powtórzyła pani Waynebridge z pewnym niepokojem.

Oczy pani Halifax zajaśniały.

- To cmentarz, magiczne miejsce - powiedziała. - Nie czujecie zapachu lilii? Musicie tam koniecznie pójść! Ten widok uspokaja duszę.

Malowałam go kilka razy, bo zmienia wygląd w zależności od oświetlenia. Mam wrażenie, że nasycy jakiś głód, drzemiący w moim wnętrzu. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Może teraz, kiedy robię się naprawdę stara, koi mój lęk przed śmiercią.

- Kto jest tam pochowany? - zapytała Celestria, marszcząc nos na myśl o czymś tak nieprzyjemnym jak śmierć.

- Ludzie, którzy mieszkali w okolicy. Jest to otoczone murami miasto pięknie zbudowanych krypt z białego kamienia i marmuru. Są duże, małe, rodzinne, pojedyncze, proste, obficie zdobione, a wszystkie niezwykle zadbane, ożywione kwiatami i świecami. Chyba najbardziej niesamowite jest to, że nigdy nie widziałam tam ani jednego zwiędłego kwiatka. Ani jednego, wyobrażacie sobie? Tutejsi dbają o swoich zmarłych z miłością i poświęceniem, i tak to powinno wyglądać, nie tak jak w Anglii, gdzie grobowce najczęściej zarastają mchem i chwastami...

Celestrię ogarnęło zaciekawienie, lecz pani Waynebridge czuła lęk na myśl o mieście pełnym martwych ciał. Cmentarze były dla niej ponurymi miejscami, które odwiedzała z najwyższą niechęcią.

- Chyba pozwolę ci wybrać się tam samej - odezwała się do Celestrii.

- Nie żartuj, Waynie! Pójdiesz ze mną, czy ci się to podoba, czy nie! Powinnaś nasycić się tutejszą atmosferą, poznać jak najwięcej lokalnych zwyczajów!

- Proszę nie sądzić, że miasto zmarłych w czymkolwiek przypomina angielskie cmentarze, pani Waynebridge - uspo-

koła ją pani Halifax. - Nic bardziej błędnego... To naprawdę magiczne miejsce, zobaczy pani! - Lekko cmoknęła, dając wyraz swojemu zachwytowi. - Całkowicie magiczne...

Po śniadaniu pani Halifax zabrała laseczkę i poszła malować, zostawiając Celestrię i jej towarzyszkę, aby mogły do woli nacieszyć się cudownym przeżyciem, jakim miały okazać się odwiedziny miasta zmarłych.

Obie kobiety wyszły z budynku prosto w oślepiające promienie słońca. Celestria, której już zrobiło się gorąco, zdjęła z szyi apaszkę, przewlokła ją przez szlufki spodni i zawiązała z boku. Włożyła okulary przeciwsłoneczne i głęboko odetchnęła zapachem morza, którego migotliwą, lśniąca powierzchnię widziała w oddali między małymi domkami, wznoszącymi się za murami miasta zmarłych. Pani Waynebridge osłoniła głowę białym kapeluszem i wyciągnęła z rękawa chusteczkę, aby otrzeć pot, który już zaczął przesiąkać przez warstwę pudru na twarzy i małymi kroplami gromadzić się na nosie. Dookoła panowała cisza. Mieszkańcy Marelatte uczestniczyli w mszy odprawianej w małym kościółku tuż obok Convento.

Droga, biegnąca z miasta w dziką, skalistą okolicę, usianą niskimi murami z cegieł oraz stadami owcami, była zupełnie pusta. Minęły zgraje bezpańskich, wychudzonych psów, które z wysoko uniesionymi ogonami węszyły przy ziemi. Miasto zmarłych wznosiło się tuż przed nimi, poranne słońce nadało jego murom barwę jasnej, łagodnej żółci.

Imponująco potężna brama stała otworem, gotowa wpuścić i ludzi, i psy, lecz wszystko wskazywało na to, że w środku nie ma nikogo. Celestria i pani Waynebridge w milczeniu weszły na teren cmentarza. Przystanąły, aby popatrzeć na długie, brukowane alejki, biegnące między rzędami małych zbudowanych z kamienia mauzoleów, które skrywały szczątki zmarłych.

- Chodźmy dalej... - mruknęła Celestria, bojąc się zakłócić panujący tu spokój.

Aromat lilii, ciepłego wosku i sosen uderzał do głowy. Pani Waynebridge podążyła za podopieczną z nerwowym wa-

haniem. Celestria ruszyła przed siebie lekkim, prawie tanecznym krokiem. Pośrodku cmentarza widniał porośnięty trawą placyk obsadzony wysokimi sosnami, na ich gałęziach gnieździły się rozśpiewane ptaki. Słoneczne promienie przedostawały się między igłami, tworząc jasne, świetliste plamy na porządnie przystrzyżonym trawniku.

- Widzisz? - uśmiechnęła się Celestria. - Wcale nie jest tu strasznie, przeciwnie, jest pięknie! Bardzo bym pragnęła, żeby po śmierci pochowano mnie w takim miejscu... - Westchnęła. - Panuje tu niebiański spokój, prawda?

- Mimo wszystko nieprzyjemnie jest myśleć, że wszystkie te domy są pełne martwych ludzi - odparła pani Waynebridge, czując, jak po plecach przebiega jej dreszcz.

- Och, moim zdaniem jest to dosyć romantyczne... Zajrzyjmy do któregoś z nich, co ty na to?

- Nie powinniśmy tego robić! - zaprotestowała starsza kobieta. - To naruszenie własności.

- Przecież nikt nie będzie miał nam tego za złe, a zmarli na pewno się na nas nie poskarżą!

Celestria wbiegła po paru schodkach i zniknęła w rodzinnej krypcie. Rzędy niewielkich tabliczek oznaczały groby - przed każdym stał wazon ze świeżymi kwiatami. Tabliczki pokrywały obie ściany krypty od posadzki aż do sufitu, zaświadczać o miejscu wiecznego spoczynku całych rodzin. Kiedy pani Waynebridge weszła do środka, Celestria ze zmarszczonymi brwiami przesuwiała palcami po wyrytych w metalu słowach.

- Popatrz, tu pochowano rodzinę noszącą nazwisko Salvatore - powiedziała.

Obok każdego imienia widniała mała portretowa fotografia.

- Leżą tu sami starzy ludzie... - ciągnęła Celestria. - Miło pomyśleć, że długo żyli i w końcu spoczęli tutaj... Nie chciałabym znaleźć zdjęcia młodej osoby, bo chyba dotknęłoby mnie to w zbyt osobisty sposób...

Na końcu krypty stał mały ołtarz ze świecami, których płomyki migotały łagodnie w powietrzu przesyconym ciężkim

aromatem kwiatów. Celestria pomyślała o ojcu, równie martwym jak pochowani tu ludzie. Szkoda tylko, że w przeciwieństwie do nich, Monty miałby jeszcze przed sobą dużo dobrych lat do przeżycia...

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek znajdziemy jego ciało - szepnęła. - Gdybyśmy mogli go pochować, mielibyśmy gdzie przychodzić i wspominać. Zupełnie nie mogę wyobrazić sobie ojca w trumnie, nieżywego... - Odwróciła się do pani Waynebridge i popatrzyła na nią ze smutkiem. - Nie umiem sobie wyobrazić ojca martwego, wiesz?

Pani Waynebridge mocno zacisnęła dłonie, pełna niepokoju i lęku.

- Chodźmy już stąd... Za dużo tu śmierci, aż zimno się robi.

Celestria wyszła za nią na słońce. Kiedy zmierzały w kierunku bramy, Celestria zauważyła grobowiec wyraźnie wyróżniający się spośród innych. Stał nieco z boku i wyglądał na niedawno wybudowany - kamień był bielszy niż w pozostałych. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że budowla rzuca mroczny cień na miejsce, w którym ją postawiono.

Grobowiec był prosty, pozbawiony ozdób, a w marmurze nad drzwiami wycięto tylko inicjały - N. McC. Dziewczyna czuła, że coś każe jej wejść do środka.

Wewnątrz dwie świece płonęły na ołtarzu przed fotografią w srebrnych ramkach, obok której stał ogromny wazon pełen białych lilii, pachnących tak intensywnie, że Celestria zakręciło się w głowie. Podeszła bliżej.

Fotografia przedstawiała młodą kobietę o promiennej, uśmiechniętej i olśniewająco pięknej twarzy na tle błękitnego nieba. Jej włosy w odcieniu głębokiego brązu rozwiewał wiatr, a w oczach malował się wyraz pogodnej bez troski. Dziewczyna spojrzała na grobowiec, w którym znajdowała się trumna - wykonany z marmuru, ozdobiony był reliefowym motywem kiści winogron. Zastanawiała się, kim była śpiąca tu wiecznym snem dziewczyna i w jaki sposób umarła. Myśl o nieodwracalnym końcu tak młodego, tryskającego energią życia szczerze ją zasmuciła.

Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, na progu pojawił się jakiś cień. Celestria odwróciła się gwałtownie i ujrzała wysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę o twarzy poszarzałej z wściekłości. Wspierał się na lasce, ale nie był stary. Włosy miał jasne, potargane i o wiele dłuższe, niż nakazywała moda. Krzyknął coś po włosku głosem głębokim i zachrypniętym, podobnym do ryku niedźwiedzia, i usunął się na bok, aby mogła wyjść.

- Przepraszam, byłam po prostu ciekawa... - wykrztusiła, podrywając rękę do piersi. - Nie chciałam nikomu zrobić przykrości...

- Cholerna Amerykanka! - Nieznajomy natychmiast przeszedł na angielski. - Wszyscy jesteście tacy sami! Czemu nie pilnuje pani własnych spraw, co?!

Nikt nigdy nie odezwał się do Celestria w tak niegrzeczny, brutalny sposób. Dziewczyna nie wiedziała, jak zareagować, nie umiała sobie radzić ze źle wychowanymi ludźmi. Mężczyzna wpatrywał się w nią jasnozielonymi oczami, w których płonęło oburzenie. Celestria poczuła, że czerwieni się ze wstydu, zaraz potem do oczu napłynęły jej łzy.

Nieznajomy się opanował.

- Proszę wyjść... - powiedział, wskazując drzwi. Celestria bez słowa przecisnęła się obok niego. Był bardzo wysoki, musiał mieć koło metra dziewięćdziesięciu wzrostu, a jego ramiona wydawały się tak szerokie, że dziewczyna poczuła się przy nim jak karzełek. Pani Waynebridge czekała na zewnątrz, blada ze zdenerwowania. Miasto zmarłych od początku ją przerażało, a pojawienie się rozczochranego, nieogolonego demona, który nakrzyczał na nie, tylko nasiliło to wrażenie. Celestria wzięła ją pod rękę i szybko ruszyły ku bramie. Dziewczyna czuła na plecach płonący wzrok mężczyzny, którego oczy dosłownie wwierały się w jej jasnoniebieską bluzkę. Zerknęła przez ramię dopiero wtedy, kiedy znalazły się kilkanaście kroków od niego. Ku jej przerażeniu nadal stał w progu krypty i nie spuszczał z niej wzroku. Odwróciła głowę i przyśpieszyła kroku.

- Dobry Boże, co za gbur! - wykrzyknęła pani Waynebridge, gdy były już za bramą. Zdjęła kapelusz i powachlowała rondem rozpaloną twarz. - Cała trzęsę się jak galareta!

- Okropny! - przyznała Celestria. - Mam nadzieję, że więcej już na niego nie wpadniemy.

Kolana jej drżały. Szybkim ruchem otarła oczy wierzchem dłoni.

- Jak śmiał tak na mnie wrzeszczeć?! Ostatni cham, nie dżentelmen! A podobno Włosi są tacy czarujący...

- Jaki tam z niego Włoch! - prychnęła pani Waynebridge.

- Więc kim jest?

- To Szkot!

- Szkot? - powtórzyła ze zdumieniem Celestria.

- Nie inaczej! Wszędzie rozpoznam ten akcent!

- Tak mnie wystraszył, że nie zwróciłam na to uwagi - mruknęła dziewczyna.

- Ciekawe, co tu robi Szkot... - Pani Waynebridge pokręciła głową.

- Pewnie pasie te owce, które wczoraj widziałyśmy!

- Nie mam pojęcia, skąd się wziął, wyskoczył na nas jak diabeł z pudełka!

- żołądkowała się Wayne.

- Chciałam tylko obejrzeć ten grobowiec - powiedziała cicho Celestria. - Była taka piękna...

- Leży tam młoda kobieta, tak?

- Tak. Może jego córka... Niepotrzebnie tam weszłam, miałaś rację, Wayne. Nie należy wtykać nosa w nie swoje sprawy. Och, Boże, zrobiłam z siebie kompletną idiotkę.

- Cała drżysz!

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że jestem już daleko od tego szaleńca.

- Wcale nie zrobiłaś z siebie idiotki, skarbenku - uspokoiła ją pani Waynebridge pełnym współczucia tonem. - Pewnie więcej go już nie zobaczysz, a gdyby nawet, po prostu przejdź na drugą stronę drogi, i tyle! Ja zawsze tak robię, jeżeli nie życzę sobie z kimś rozmawiać!

Celestria z ulgą weszła na dziedziniec Convento. Psy rzu-

cily się na jej powitanie, a ona przykucnęła i wtuliła twarz w psie kudły, aby ukryć łzy. Po chwili podniosła się i spojrzała na zegarek. Było wpół do dwunastej.

- Zaraz będzie tu Nuzzo - powiedziała. - Idę na górę trochę się odświeżyć. I wbiegła do budynku, aby pani Waynebridge nie zauważyła jej zaczerwienionych oczu. Zamknęła za sobą drzwi pokoju i oparła się o nie, biorąc głęboki oddech.

- O, Boże... - jęknęła, usiłując opanować drzenie mięśni. - Co ja teraz zrobię?

Potarła twarz i w zdenerwowaniu przygryzła skórę przy paznokciu kciuka. Podeszła do okna i wyjrzała. Ze swojej sypialni miała widok na dziedziniec i dzwonnice małego kościółka. Nie widziała miasta zmarłych, chociaż rozciągało się tuż obok, czuła jednak wypełniający kryptę zapach lilii tak wyraźnie, jakby kwiaty ścigały ją aż tutaj.

Nikt nigdy dotąd nie odzywał się do niej tak brutalnie. Była upokorzona, zła i, ku swemu przerażeniu, trochę wystraszona. Naprawdę miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy tego strasznego człowieka...

Zrobię, co do mnie należy i wrócę do domu, pomyślała. Nie zamierzam zostać tu ani chwili dłużej, niż będzie to konieczne.

Pół godziny później zbiegła na dziedziniec w o wiele lepszej formie i zastała panią Waynebridge pogrążoną w rozmowie z Nuzzem, ubranym w elegancki czarny garnitur z kamizelką oraz starannie wyprasowaną białą koszulę. Beret trzymał w ręku, odsłaniając sterczące tu i ówdzie kępki siwych, rzadkich i kręconych włosów. Rzucił Celestria łobuzerski uśmiech, utkwiał w niej spojrzenie okrągłych, brunatnych oczu i uklonił się uprzejmie.

- *Buon giorno, signorina* - powiedział głosem słodkim jak najlepszego gatunku cukier.

Nie ulegało wątpliwości, że w krótkim czasie zdołał podbić serce pani Waynebridge, ponieważ była zarumieniona jak młoda, pierwszy raz w życiu zauroczona dziewczyna.

- Dzień dobry, Nuzzo - odparła Celestria. Zastanawiała się, w jaki sposób pani Waynebridge porozumiewa się z Włochem, który w ogóle nie znał angielskiego.

- *lo parlo* malutko angielski. - Nuzzo najwyraźniej czytał w jej myślach, i zademonstrował swój poziom znajomości obcego języka,

unosząc do oka palec wskazujący i kciuk, które prawie stykały się ze sobą.

- Malutko to więcej niż nic - zauważyła trzeźwo Celestria. - Jesteś gotowa, Wayne?

Jej towarzyszka kiwnęła głową i mocniej ścisnęła w rękę torebkę.

- Bardziej gotowa raczej nie będę - wykrztusiła bez tchu, wychodząc za Nuzzem prosto w słońce.

Celestria z trzaskiem zamknęła prowadzące na dziedziniec ciężkie drewniane wrota. Zerknęła na drugą stronę drogi, gdzie miasto zmarłych drzemało w ciszy i spokoju, z mieszanką lęku i nadziei, że zza muru nagle wyłoni się okropny Szkot. Nuzzo czekał w alei sosen, którymi wysadzana była prowadząca do miasta droga.

Z uprzejmością godną średniowiecznego rycerza pomógł im wsiąść do bryczki. Pani Waynebridge podała mu rękę bardzo chętnie, ale nieco omdlewająco, jak zauważyła Celestria, chyba po to, aby przedłużyć przyjemną chwilę, natomiast dziewczyna sama szybko zajęła miejsce na koźle. Nuzzo prawie nie zwracał na nią uwagi, ponieważ przez cały czas wpatrywał się w panią Waynebridge. Nim ruszyli, wyciągnął spod marynarki papierową torebkę,

- *Mele* - rzekł, wyjmując z niej dwa błyszczące, czerwone jabłka.

- Jaki on troskliwy! - westchnęła z zachwytem pani Waynebridge.

Wzięła jedno jabłko, a drugie podała Celestria.

- Wydawało mi się, że nie ufasz Włochom - syknęła dziewczyna.

- Nie ufam, to prawda... - Jej towarzyszka kilka razy obróciła owoc w dłoni. - Ale bardzo mi się podoba jego zachowanie. Dobry Boże, przez ostatnie pięćdziesiąt lat żaden mężczyzna nie okazywał mi zainteresowania, bo Alfie dał sobie z tym spokój, kiedy już mnie zdobył... Oto, jacy są mężczyźni, fascynuje ich głównie pogoń za kobietą, później przestają się nami zachwycać.

Cyprysy wznosiły się ku czystemu, błękitnemu niebu, na jego tle wysoko nad skałami dryfowało w powietrzu kilka ptaków o potężnych skrzydłach. Morze szumiało łagodnie, fale lśniły w słońcu jak cekiny. Co jakiś czas znad łąk, gdzie pasły się owce, rozlegał się dźwięczny odgłos dzwonek. Serce pani Waynebridge mocno biło z radości, roztaczające się przed jej oczami nowe widoki napełniały duszę miłym uczuciem oczekiwania na przygodę. Upał zupełnie jej nie przeszkadzał, chociaż wcześniej była przekonana, że nie będzie się dobrze czuła w gorącym klimacie. Bardzo podobał jej się aromat tymianku i rozmarynu, rosnących wśród skał, a już największą przyjemność sprawiał pełen czułości uśmiech, z jakim Nuzzo spoglądał na nią co parę chwil.

Celestria myślała o ojcu. Zastanawiała się, co by o niej pomyślał, gdyby wiedział, jak daleko wyprawiła się, aby pomścić jego śmierć. Miała nadzieję, że byłby z niej dumny. Ale nawet jeżeli ona niczego się nie dowie, przynajmniej spróbuje.

Pozwoliła, aby świeży wiatr znad morza rozwiewał włosy, przesycając je lekkim zapachem sosny. Słońce ogrzewało skórę, przed nią rozciągał się horyzont, budząc w sercu słodką, niezrozumiałą tęsknotę. Grupa umorusanych dzieciaków kręciła się między skałami. Pomachały do Nuzza i zawołały coś do chudego kundla, który rzucił się za bryczką, dla zabawy kłapiąc zębami przy kołach. Minęli kilka innych konnych wozów; Nuzzo zatrzymał się na krótką pogawędkę ze starszym mężczyzną, którego koń ciągnął duży ładunek drewna, przeznaczonego na nową bibliotekę Gaitana.

W końcu Nuzzo stanął przy ścieżce, wiodącej w dół do osłoniętej ze wszystkich stron zatoczki. Na ścieżce widać było odciski małych stóp - najwyraźniej dzieci lubiły bawić się tu po lekcjach. Teraz dookoła panowała cudowna cisza. Kiedy powoli zeszli między skały, trzy białe ptaki poderwały się w powietrze i wzleciały wysoko pod niebo, zostawiając na falach resztki wodorostów, które wcześniej skubały.

- Urocze miejsce... - odezwała się pani Waynebridge, zdejmując kapelusz i delikatnie przyglądając włosy.

- Szkoda, że nie wzięłam kostiumu kąpielowego - westchnęła Celestria. - Nie bardzo mogę rozebrać się do bielizny w obecności naszego przyjaciela, prawda?

Nuzzo nie rozumiał, o czym mówiły. Znalazł przyjemne miejsce w cieniu, postawił na kamieniu piknikowy koszyk, który przygotował dla nich Luigi, rozłożył koc i szerokim gestem wskazał go pani Waynebridge.

- Dziękuję! - rzekła z uśmiechem.

- *Grazie* - Nuzzo zachęcająco kiwnął głową.

Starsza pani zerknęła na Celestrię, lecz ta zajęta była zdejmowaniem pantofli.

- *Grazie...* - powtórzyła pani Waynebridge.

- *Brava!* - zachwycił się Nuzzo. - *Grazie!*

- Dziękuję..., - zaśmiała się Wayne.

- Siekuje - powtórzył Nuzzo.

- Nie, nie... D-z-i-ę-k-u-j-ę. - Pani Waynebridge z naciskiem wymówiła wszystkie głoski. - Dziękuję!

Nuzzo starannie powtórzył dźwięki, przyciskając język do górnych zębów.

- Dziękuję - powiedział powoli, bardzo zadowolony z siebie.

- Świetnie! - Jego nauczycielka z entuzjazmem zaklaskała w dłonie.

Nuzzo otworzył kosz i wyjął butelkę wina i dwa kieliszki.

- Och, cudownie... - uśmiechnęła się pani Waynebridge.

- *Vino*. - Nuzzo podniósł butelkę. - *Vino...*

- *Vino* - powtórzyła. - *Grazie...*

- *Bravissima!*

W głosie Nuzza brzmiał tak wielki zachwyt, że pani Waynebridge parsknęła niepowstrzymanym śmiechem. Nuzzo nalał wina do kieliszków i podał jej.

- *La signorina?* - popatrzył na Celestrię, która w podwiniętych spodniach brodziła po kolana w wodzie.

- Zostawmy ją. - Pani Waynebridge lekko dotknęła jego ramienia.

Nuzzo popatrzył na jej palce i uśmiechnął się szeroko. An-

gielka pośpiesznie cofnęła rękę, przerażona swoją śmiałością, i pociągnęła łyk wina.

- Bardzo dobre. Proszę, napij się... *Vino*, ty...

- *Jo?*

- Tak, ty... Jest bardzo dobre...

Pociągnęła jeszcze łyk. Nuzzo usiadł obok niej i przytknął kieliszek do ust.

- Dobre... - powtórzył.

- Dobre.

- *Buono* - przetłumaczył.

- *Buono...*

- *Lei e brava e buona* - rzekł, wiedząc, że kobieta go nie zrozumie. - *E bella...* - dorzucił cicho. - *Buona e bella...*

- Zimna woda! - zawołała Celestria z uśmiechem. - Cudowna!

- Chodź coś zjeść! - odkrzyknęła pani Waynebridge.

- Dziękuję, jestem zbyt podekscytowana, żeby jeść!

- Podekscytowana? Czym? Celestria westchnęła.

- Sama nie wiem...

W palcach stóp czuła miłe mrowienie, jej włosy tańczyły z wiatrem, a serce biło szybko, przepełnione nieoczekiwaną radością.

- To niezwykle miejsce - dodała. - Chciałabym, żeby do mnie należało.

Moja własna zatoka...

- Wydaje mi się, skarbenku, że jest to jedna z niewielu rzeczy, których dziadek nie mógłby ci kupić!

Celestria zwróciła się twarzą do morza. Wyglądało zupełnie inaczej niż ciemnoniebieskie fale w Kornwalii. Zamknęła oczy i wystawiła twarz na działanie słonecznych promieni. Była tak daleko od Anglii, matki, stryja Archiego i ciotki Julii, wuja Milтона i ciotki Penelope, babki i chłopców, Davida, Lotty i Melissy... Od domu dzieliło ją mniej więcej tysiąc kilometrów. Tutaj, w tej samotnej zatoczce, tak dalekiej od ponurych wydarzeń, które sprowadziły ją do Włoch, ogarnęło ją zupełnie nieznane, podniecające uczucie. Była wolna. Wyczuwała

bliską obecność ojca, który także czuł się w Marelatte jak w domu. Nie wiedziała, co tak podobało mu się w tym zakątku, miała jednak nieodparte wrażenie, że zaczyna poznawać tę tajemnicę.

- Chyba powinniśmy coś zjeść - powiedziała pani Wayne-bridge do Nuzza.

Żołądek skręcał jej się z głodu, od śniadania minęło już parę godzin.

- Zjemy w dwoje - ciągnęła, ogarniając wzrokiem nieregularne rysy Włocha i uśmiechając się z przyjemnością. - I muszę przyznać, że twoje towarzystwo bardzo mnie cieszy...

Do Convento wrócili na popołudniową herbatę. Pani Waynebridge poszła na górę, żeby się uczesać, ponieważ morska bryza kompletnie zburzyła jej fryzurę. Celestria, która nie jadła lunchu, teraz była głodna jak wilk. Przeszła przez dziedziniec, minęła śpiące psy, warzywniak, w którym młoda rodzina czarnych kotów drzemała między donicami z szałwią i bazylią, i wtargnęła do kuchni. Luigi właśnie zmywał po lunchu, a w powietrzu unosił się zapach risotta.

- Zostało coś? - Celestria uniosła pokrywkę rondla. - Boże, ależ pachnie!

- *Lei vuole mangiare?* - Luigi wyciągnął ku niej porcelanową miskę.

- Ach, cudownie! - zawołała.

- *La signora Halifax mangia a tavola.* - Kucharz wskazał ręką jadalnię.

Celestria zrozumiała, o co mu chodzi i skinęła głową.

- Jest pani tutaj, pani Halifax! I też spóźniła się pani na lunch!

- Malowałam i kompletnie zapomniałam o lunchu - wyznała Angielka. -

Chyba przypaliłam sobie twarz na słońcu, bo strasznie mnie piecze... -

Potarła palcem grzbiet nosa.

- Jest trochę zaczerwieniona - przyznała Celestria, siadając. - Mnie też pieką policzki, ale nie bardzo mi to przeszkadza. Oczywiście mama skrzyczałaby mnie, że niszczę sobie cerę. Jej zdaniem opalenizna jest po prostu wulgarna.

- Myli się - odparła Daphne. - Tobie bardzo z nią do twarzy. Cóż, pewnie we wszystkim byłoby ci ładnie... Bóg dał ci piękne rysy i kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy.

Luigi przyniósł Celestria miszkę risotto i parę kromek chleba. Kiedy zaproponował wino, zgodziła się bez wahania.

- Przyjemnie spędziłaś rano? - Pani Halifax z uśmiechem przyglądała się, jak Celestria nabiera risotto na widelec, wsuwa porcję do ust i z zachwytem przymyka oczy.

- Bardzo przyjemnie, jeśli nie liczyć okropnego początku...

- Okropnego początku? To nie brzmi zbyt zachęcająco, moja droga.

- Poradziła mi pani, żebym obejrzała miasto zmarłych, prawda?

- Tak, to niezwykle miejsce.

- Wyjątkowo piękne. - Celestria kiwnęła głową. - Way-nie i ja byśmy tak zaciekawione, że nawet zajrzałyśmy do dwóch krypt.

- Założę się, że nie znalazłyście ani jednego zwiędłego kwiatka!

- Rzeczywiście, nie znalazłyśmy, za to natknęłyśmy się na najbardziej opryskliwego, nieuprzejmego mężczyznę w całych Włoszech.

Pani Halifax ze zdumieniem uniosła brwi.

- Aż tak bardzo niegrzecznego? Cóż, Włosi uchodzą za szczerych do bólu, ale to chyba przesada... Kto to był?

- Nie mam pojęcia. Był na tyle niemiły, że nie przyszło mi do głowy, żeby się przedstawić.

Celestria czuła dreszczyk emocji, kiedy opowiadała o spotkaniu z przerażającym gburem. Miała też nadzieję, że pani Halifax wyjaśni jej, kto to mógł być.

- Przyglądałam się pięknej fotografii na małym ołtarzu

wewnątrz grobowca, kiedy ten potwór ryknął na mnie od progu...
Pani Halifax odłożyła widelec i próbowała jej przerwać, ale Celestria nawet tego nie zauważyła.

- Pewnie ta dziewczyna była jego córką. Pani Waynebridge rozpoznała u niego szkocki akcent, ale co Szkot robi we Włoszech, w dodatku w tak odległej części kraju? Może hoduje owce, bo przecież w Szkocji też są owce, prawda? Muszę powiedzieć, że nikt nigdy tak mnie nie obraził. Ten facet był rozczochrany jak miotła, wyglądał okropnie, słowo daję...

Zanim pani Halifax zdołała odpowiedzieć, obie zauważyły mężczyznę, który stał w drzwiach między salonem i jadalnią, mroczny i potężny jak drzewo.

Celestria upuściła widelec na talerz.

- O, Boże! - jęknęła. - To pan...

Gość zbliżył się do stołu i wyciągnął do niej rękę. Podwinięte rękawy białej koszuli odsłaniały opalone, muskularne ramiona, porośnięte jasnobrązowymi włosami.

- Nazywam się Hamish McCloud - rzekł bez cienia uśmiechu. - Nie mogę powiedzieć, że miło mi panią poznać.

Celestria zupełnie nie wiedziała, jak zareagować. Czując się trochę jak w środku złego snu, przedstawiła się i pozwoliła mężczyźnie ująć swoją dłoń. Kontakt z jego skórą sprawił, że żołądek skulił się jej ze zdenerwowania. Twardo odwzajemniła jego spojrzenie, ale wewnątrz dygotała jak w febrze.

Kiedy w końcu się odezwał, usłyszała miękki, jakby przydymiony szkocki akcent.

- Powinienem przeprosić, że na panią nakrzyczałem, lecz na swoją obronę powiem, że niepotrzebnie weszła tam pani nieproszona... Kobieta ze zdjęcia była moją żoną. Ale jeśli chodzi o owce, to zajmuję się nimi tylko wtedy, gdy w postaci średnio wypieczonej pieczeni jagnięcej leżą na moim talerzu, z odrobiną sosu miętowego oraz galaretki z czerwonej porzeczki. I jeszcze jedno - niezbyt często czeszę włosy, ponieważ nie widzę wielkiego sensu w tego rodzaju zabiegach. Jestem artystą, nie urzędnikiem biurowym. Jeżeli pani to się nie podoba, proszę na mnie nie patrzeć. Założę się, że przy odrobinie wysiłku z obu stron nie będziemy musieli się widywać. Mam nadzieję, że odpowiedziałem na wszystkie pani pytania.

Gdybyśmy się jeszcze kiedyś spotkali, dołożę wszelkich starań, żeby na panią nie wrzeszczeć...

Celestria nie wiedziała, czy Hamish żartuje, ponieważ jego twarz była całkowicie poważna. Nie przyszło jej do głowy, że siedział w salonie obok jadalni i słuchał uważnie wszystkiego, co mówiła. Kiedy nie odpowiedziała, odwrócił się na pięcie i przez kuchnię wyszedł do ogrodu. Dziewczyna czuła się tak, jakby uderzyło w nią tornado.

Pani Halifax podniosła widelec i znowu zabrała się do jedzenia.

- Próbowałam cię ostrzec, moja droga - zaczęła ostrożnie. - Ale ty nie zwróciłaś na to uwagi...

Dziewczyna straciła apetyt.

- Co on tutaj robi?

- To zięć Freddie i Gaitana.

- Ach... - ciężko westchnęła Celestria, która wreszcie wszystko zrozumiała. - Był mężem ich córki.

- Tak, Natalii, która umarła trzy lata temu. Spadła z klifu, to była straszna tragedia. Zginęła na miejscu.

- Jak mogłam wejść do jej grobowca?! To niewybaczalne...

- Nieprawda - pocieszyła ją pani Halifax. - Miasto zmarłych jest otwarte dla wszystkich. Wolno ci wchodzić, gdzie chcesz, oczywiście pod warunkiem, że traktujesz to miejsce z szacunkiem. Nie sądzę, aby pozwolono tam wdrzeć się bandzie hałaśliwych dzieci z piłką do gry w nogę, ale ty i pani Waynebridge nie zachowywałyście się niewłaściwie...

Cóż, wydaje mi się, że od śmierci żony Hamish nie umie poradzić sobie z rzeczywistością... Dawniej był najzabawniejszym człowiekiem na świecie, miał cudownie zaraźliwe poczucie humoru i dowcip. Te cechy sprawiały, że ludzie cieszyli się jego towarzystwem. Jest też utalentowanym pianistą i malarzem, chociaż wydaje mi się, że od śmierci Natalii namalował niewiele, najwyżej kilka obrazów, bardzo mrocznych i ponurych. Szkoda, bo przecież otacza go tyle piękna... - Chwilę uważnie obserwowała Celestrię. - Nie przejmuj się, nic ci nie grozi z jego strony, po prostu źle się czuje we własnej skórze. Trudno

jest przeżyć śmierć bliskiej osoby. Hamish na pewno czuje się opuszczony i samotny, bo naprawdę bardzo kochał Natalię... -Spuściła wzrok i dokończyła risotto. - Mój synek umarł na polio. Po jego śmierci już nie udało mi się wrócić do normalnego życia. Lata mijają, wyglądamy coraz starzej i czujemy się coraz gorzej, ale wewnątrz wciąż jesteśmy tacy sami, nasze serca wcale się nie zmieniają... Dziś tęsknię za moim synem równie mocno jak w ciągu pierwszych miesięcy po jego odejściu. Pewnie dlatego rozumiem biednego Hamisha... Myślę, że w końcu odzyska równowagę, chociaż teraz wydaje mu się, że to niemożliwe. Wszyscy kiedyś zaczynamy żyć od nowa. Życie jest dla żywych, a z naszymi zmarłymi spotkamy się na tamym świecie, i to szybciej, niż nam się wydaje...

- Przykro mi z powodu pani synka.

- Był bardzo kochanym chłopcem.

- Dlaczego Hamish utyka?

- Spadł z konia podczas polowania, wiele lat temu, jako bardzo młody człowiek i od tamtej pory ma kłopoty z nogą. Czasami kontuzja dokucza mu bardziej, czasami mniej. Zdarza się, że nie potrzebuje laski. - Rzuciła Celestii porozumiewawcze spojrzenie. - Jest całkiem atrakcyjny, prawda?

- Jest nieuprzejmy - sprostowała dziewczyna.

- To prawda, ale potrafi być też wyjątkowo czarujący.

- Nie mam ochoty sprawdzać na sobie siły jego uroku! Pani Halifax uśmiechnęła się, zasłaniając usta kieliszkiem.

Federica siedziała w małej kamiennej altanie, która niedługo miała stać się biblioteką Gaitana, kiedy na podłogę niespodziewanie padł cień Hamisha.

- Ależ mnie przestraszyłeś... - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. Zdawała sobie sprawę, dlaczego jest wściekły, i wyrzucała sobie, że nie ostrzegła go w porę.

- Co ona tutaj robi?

- Chodzi ci o Celestrię?

- Tak, o Celestrię Montague! Co ona robi w Apulii, do diabła?!

Gaitano podniósł z podłogi taśmę mierniczą i przyłożył ją do ściany.

- Przytrzymaj drugi koniec - poinstruował żonę, całkowicie ignorując oburzony ton Hamisha.

Gaitano nie znosił konfrontacji. Jego zięć jeszcze przed śmiercią Natalii zaczął zachowywać się jak zraniony niedźwiedź, więc Włoch nauczył się nie zwracać uwagi na jego nastroje.

- Nie wiem... - Federica wzruszyła ramionami, chwyciła koniec miarki i przytknęła do ściany po prawej stronie. - A co się stało, spotkałeś ją?

- Weszła do krypty Natalii zupełnie jak jakaś obrzydliwa amerykańska turystka! Nawet się nie zastanowiła... Och, ci przekłęci Amerykanie!

- To piękny grobowiec. Powinieneś być z niego dumny.

- Nie w tym rzecz! Nie przyszła go podziwiać!

- Pewnie zachowałeś się wobec niej bardzo nieuprzejmie... - Federica podała taśmę mężowi, który pośpiesznie zapisał wymiary w notatniku.

- To córka Roberta Montague! - warknął Hamish. - Nienawidziłem go!

Federica nerwowo zerknęła na Gaitana.

- Nie miałeś po temu żadnego powodu - powiedziała, wychodząc na słońce.

Hamish podążył za nią.

- No tak, kobiety z mojej rodziny radośnie rzucały się prosto w jego sieci, więc dlaczego właściwie miałbym go nienawidzić? Może ja także powinienem go kochać?

- W ogóle go nie znałeś! - syknęła Federica, nerwowo zerkając w stronę altany.

- Nie, za to uważnie obserwowałem!

- A wiesz, dlaczego tak się działo? Bo twoje serce jest zamknięte!

Myślisz, że Natalia by chciała, żebyś pilnował jej grobu jak pies i szarpał zębami każdego, kto ośmielił się zbliżyć?

Życie cię omija, Hamish! Natalia odeszła. Możesz żyć albo tylko wegetować, ale nie zmienisz jednego - ona nie żyje i w żaden sposób nie zdołasz sprowadzić jej tu z powrotem. Nikt z nas nie jest w stanie tego zrobić. Sądzisz, że mnie jest lekko? Nie, bo moje dziecko umarło! Nigdy już jej nie przytulę, nigdy nie poczuję zapachu pomarańczy, jakim przesiąknięte były jej włosy... Nigdy nie dotknę jej skóry, świadoma, że część mnie żyje w innej istocie... Nosiłam ją w sobie, wykar-miłam, wychowałam i doprowadziłam do progu kobiecości. Widziałam, jacy byliście ze sobą szczęśliwi, i wydawało mi się, że jej przyszłość jest pewna i jasna. Myślisz, że nie płaczę nad jej śmiercią, codziennie, dzień w dzień? Nie mam do ciebie żalu, ale nie podoba mi się twoja nienawiść i egoizm. Przestań uważać się nad sobą! Jeżeli Natalia patrzy na ciebie z góry, na pewno oplakuje stratę człowieka, któremu oddała serce i rękę. Czasami zupełnie cię nie poznaję i cierpię z tego powodu, bo jesteś przecież tą częścią mojej córki, która została tutaj, na tym świecie. Nie, w moim sercu nie ma radości, ale staram się być na tyle szczęśliwa, na ile jest to możliwe w przypadku kobiety, która straciła rękę albo nogę. Powinieneś zrobić to samo, a przynajmniej spróbować, bo twoja zapiekła furia niczego nie zmienia.

- Nie rozumiesz mnie - rzekł cicho, potrząsając rozczochraną głową.
 - Nie mam już siły walczyć...
 - Nie chodzi o Natalię, ale o Roberta Montague.
 - Może na początek porozmawiaj z Celestrią - zaproponowała Federica. - Niewykluczone, że okaże się całkiem miłą i godna sympatii.
 - Nic nie wiesz, Freddie... Patrzysz na nią przez te same różowe okulary, przez które patrzyłaś na jej ojca.
- Federica obrzuciła go czujnym spojrzeniem i lekko przygryzła dolną wargę.
- To naprawdę sympatyczna dziewczyna - powiedziała szybko.
 - Znam ten typ. Nie podoba mi się.

Z piersi kobiety wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Och, po co ja się wysilam... Twoje serce jest przepełnione nienawiścią, już dawno przestałam cię rozumieć.

Hamish się zawahał. Przez chwilę oboje patrzyli na siebie ze złością i zniechęceniem.

- Nie mogę ci wyjaśnić, dlaczego tak o niej myślę - odezwał się w końcu surowym, smutnym głosem.

Ciężko oparł się na lasce i ruszył w stronę domu.

- Nie pozwolę, żebyś źle ją traktował, Hamish! - zawołała za nim Federica. - I nie zapomnij, że Gaitano potrzebuje twojej pomocy przy budowie biblioteki!

- Z jakiego powodu cała ta sprzeczka? - zagadnął Gaitano, wychodząc z altany i mrużąc oczy w słońcu.

Federica pokręciła głową.

- Ach, ten chłopak!

- To mężczyzna - sprostował Gaitano.

- Ale zachowuje się jak chłopak! Gaitano położył rękę na ramieniu żony.

- Jest młody - powiedział. - Za jakiś czas znowu się zakocha i wtedy spojrzy na śmierć Natalii z innej perspektywy...

- Kto go zechce, na miłość boską?!

Mąż Federiki zaśmiał się cicho i uniósł brwi.

- Na pewno ktoś już na niego czeka, wierz mi! Odwróciła się twarzą do niego.

- Jeżeli masz na myśli Celestrię Montague, to trafiłeś jak kulą w płot!

- Moim zdaniem, tak piękna dziewczyna stanowi wyzwanie dla każdego mężczyzny, nawet najsilniejszego.

- Jest córką człowieka, którego nienawidził!

- Nienawidził? Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby nienawidzić Roberta Montague...

- Ja też tego nie pojmuję - przyznała cicho Federica, wracając do altany.

Gaitano został na zewnątrz i długo patrzył, jak przygarbiona sylwetka jego zięcia znika za bramą po drugiej stronie dro-

gi, tam, gdzie rozciągało się spokojne i ciche miasto zmarłych. Zmarszczył brwi i z namysłem podrapał się po głowie. Wszystko to razem było bardzo dziwne...

Celestria znalazła Wayne w jej pokoju. Starsza pani zdjęła pantofle i z pełnym zadowolenia uśmiechem leżała wygodnie wyciągnięta na łóżku.

- Wayne, nigdy nie zgadniesz, kogo przed chwilą spotkałam!

Pani Waynebridge usiadła gwałtownie.

- Dobry Boże, ale mnie przestraszyłaś!

- Przepraszam, Wayne, ale muszę z tobą porozmawiać. Pani Waynebridge poklepała materac obok siebie.

- W takim razie siadaj, skarbenku. Celestria usłuchała jej rady.

- Nie uwierzysz, słowo daję! Ten okropny facet, który na-wrzeszczał na mnie na cmentarzu, to nie kto inny jak zięć Fe-deriki i Gaitana, Hamish McCloud!

Pani Waynebridge przycisnęła dłoń do piersi i wytrzeszczyła oczy.

- Coś takiego!

- Siedziałam sobie spokojnie w jadalni z panią Halifax i opowiadałam o nieprzyjemnym spotkaniu z tym dzikusiem, które przeżyliśmy rano, kiedy nagle w drzwiach salonu stanął on sam, we własnej osobie! Na dodatek okazało się, że słyszał każde moje słowo, każdzi u teńkie!

- O, mój Boże! Chyba nie nakrzyczał na ciebie znowu, co? Nie ośmielił się tak zachować w obecności pani Halifax, prawda?

- Nie, ale nie był zachwycony moją obecnością. Nic dziwnego, bo właśnie opowiadałam jej o jego chamskim występie z najdrobniejszymi szczegółami... Wyciągnął rękę i przedstawił się z zimnym wyrazem twarzy. Powiedział, że Natalia była jego żoną i że jeżeli spotka mnie jeszcze kiedyś, postara się nie krzyczeć. Raczej nie żartował...

- Powinien cię przeprosić! - oburzyła się pani Waynebridge. - Co za źle wychowany człowiek!

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości! Ani słowem nie odezwał się do pani Halifax, wyobrażasz sobie?
- Co za gbur! Przecież obie jesteście gośćmi w jego domu!
- Och, mam to w nosie, Wayne! Nic będę zwracała na niego uwagi, to wszystko. Szkoda poświęcać czas takim jak on. To facet bez klasy, i tyle! Żałoba nie stanowi wymówki dla najzwyklejszego chamstwa!
- Masz całkowitą rację, skarbenku. Jego strata...

Hamish przyklęknął przy grobie żony. Czuł się samotny i zagubiony. Nikt nie rozumiał jego uczuć, nawet Natalia. Wrócił myślami do Roberta Montague. Doskonale pamiętał przystojnego mężczyznę w kapeluszu panama i lnianym garniturze. Pamiętał jego lekki uśmiech i wesołe oczy, kurze łapki, znaczące opaloną skórę wokół oczu i nonszalancki sposób bycia, który wydawał się przyciągać do niego ludzi jak aromat nektaru przyciąga motyle do kwiatów. Pamiętał, jak Federica chichotała w jego towarzystwie i zachowywała się niczym młoda dziewczyna, jak rumieniła się i rzucała mu nieśmiałe spojrzenia spod rzęs, jak okręcała wokół palca kosmyk siwiejących włosów. Pamiętał też, jak Natalia obserwowała go w milczeniu, podobna do myszy, zahipnotyzowanej przez sprytnego kocura. Jak zwinięta w kłębek na fotelu w ogrodzie nerwowo obgryzała paznokiec kciuka i patrzyła na Roberta Montague poważnie, prawie nie mrugając, jakby bała się przegapić jakiś jego gest. Jakże nienawidził wtedy Anglika za to, że obudził w jego żonie coś ciemnego i niebezpiecznego, coś, co nigdy nie wychyńłoby na powierzchnię, gdyby go nie spotkała. Ale jakie to miało znaczenie teraz? Natalia nie żyła. Zamknął oczy i oparł czoło o twardy, zimny kamień. Bezlitosna pamięć podsunęła mu obraz zmiażdżonego ciała u stóp skały, rozchylonych ust, strużki krwi ciekącej po białym policzku, szeroko otwartych oczu, w których malowało

się zdziwienie. Zaskoczenie z powodu gwałtownego zderzenia z ziemią czy z powodu świadomości, że stała się kimś, kogo sama nie poznawała? - Och, Natalio... - jęknął Hamish, uderzając czołem o krawędź grobu. - Co ty najlepszego zrobiłaś?

Tego wieczoru Federica zeszła na dół ubrana w prostą czarną suknię, tylko z różańcem w kieszeni. Gaitano i Hamish byli zajęci biblioteką. Na dworze panowało jeszcze przyjemne ciepło, słońce przypominało rozpaloną kulę bursztynu i powoli zsuwało się po niebie o wodnistym odcieniu błękitu. Psy próbowały pobiec za nią, ale zostawiła je na dziedzińcu, za zamkniętą bramą, żeby nie ujadły na drodze i nie uganiały się za mieszkającymi na cmentarzu kotami. Powietrze było gęste, przesycone zapachem sosen, na trawie i liściach osiadały już lśniące krople rosy. Ostrożnie pchnęła drzwi kościoła i wślizgnęła się do środka. Padre Piętro odwrócił się, żeby przez snujące się w powietrzu smugi dymu świec i kadzidła zobaczyć, kto zmierza ku niemu środkową nawą. Spojrzał na zegarek. Spowiadać zaczynał dopiero o ósmej. Na widok Federiki odłożył Pismo Święte na pulpit i uśmiechnął się. Odpowiedziała mu niepewnym, nerwowym grymasem warg. Przeżegnała się przed ołtarzem i przyklękła.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał ksiądz.

- Muszę się wyspowiadać - odparła poważnie.

- Przyszłaś trochę za wcześnie... Spowiedź zaczyna się o ósmej.

Padre Piętro należał do ludzi, którzy lubią rutynę.

- Wiem, proszę księdza, ale wtedy nie będę mogła przyjść. Mam gości, którymi powinnam się zająć,

- Rozumiem...

- Muszę wyznać swoje grzechy, proszę...

Podniosła oczy i malująca się w nich rozpacz poruszyła księdza.

- Skoro to takie pilne, możesz przystąpić do spowiedzi. Odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję - wyszeptała. - Bardzo dziękuję.

W niedzielny rano Celestrię znowu obudziły kościelne dzwony, wzywające wiernych z Marelatte na mszę. Przeciągnęła się rozkosznie, nie mając najmniejszego zamiaru wypełnić świątecznego obowiązku. Pomyślała o księdzu Milesie Dalglishu, który teraz był już tylko odległą postacią w jej wspomnieniach. Świadomość dzielącej ich odległości sprawiła, że dziewczyna niemal zapomniała o księdzu. Dobrze czuła się w miejscu, gdzie nie znał jej nikt poza Wayne, wynikające z tego uczucie wolności było wręcz odurzające. Była lekka, pogodna i szczęśliwa jak nigdy dotąd. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w świergot ptaków, dźwięk dzwonów i ujadanie psów Federiki. Lekki poranny wiatr przyjemnie chłodził skórę i niósł zapach lilii, leżała więc nieruchomo, by przedłużyć spokojne chwile.

Federica i Gaitano poszli na mszę, pani Halifax piła kawę w ogrodzie, pogrążona w lekturze powieści *Zaczarowany kwiecień*, natomiast pani Waynebridge wybrała się na spacer pomarańczową aleją, myśląc o samych przyjemnych rzeczach. Kiedy Celestria zeszła na dziedziniec, psy podbiegły do niej, ciężko zdyszane po porannych gonitwach, wymachując ogonami na znak zadowolenia, że znowu udało im się oznaczyć swoje terytorium i odstraszyć ewentualnych intruzów. Celestria schyliła się, żeby poklepać Maialina, który z zapalem szturchał nosem jej stopę. Pani Halifax na moment podniosła wzrok, zaraz jednak znowu spuściła oczy, najwyraźniej nie życząc sobie, aby ktoś odrywał ją od fascynującej lektury.

Celestria chwyciła jabłko z misy w jadalni. Nie była głodna, miała wrażenie, że jej żołądek pełny jest powietrznych bąbelków. Ruszyła przed siebie wyżwirowaną ścieżką, mijając donice z ziołami i obsadzone przekwitającymi powoli różami kwietniki. Maialino biegł za nią, zostawiając innym psom tak

nudne zajęcia jak wylegiwanie się w cieniu, chłęptanie wody z fontanny i beznadziejne wpatrywanie się w duże pomarańczowe ryby, pływające w basenie. Celestria otworzyła bramę i chwilę stała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w jasne mury miasta zmarłych po drugiej stronie drogi. Lilie pachniały mocniej niż poprzedniego dnia. Dziewczyna odwróciła się i zamknęła za sobą bramę. Czuła, jak jej serce przyspiesza na myśl, że Hamish na pewno czuwa przy grobie żony, strzegąc go z większą zazdrością niż duchy.

Brukowaną sosnową aleją ruszyła w stronę miasta. Od przyjazdu nie była jeszcze w Marelatte, a cóż innego miała do roboty w ten piękny niedzielny ranek.

Nagle jej uwagę zwrócił jakiś ruch za murem Convento. Spojrzała w tamtym kierunku. Hamish stał przed kamienną altaną, w której Gaitano zamierzał urządzić bibliotekę. Miał na sobie tylko płócienne szorty w kolorze khaki, które zwisały luźno z bioder, i mocno sfatygowany słomkowy kapelusz, ocieniający twarz. Ciało Hamisha było muskularne i opalone. Celestria gwałtownie wciągnęła powietrze. Przystanąła i oparła zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach, bez słowa rzucając mu wyzwanie. Patrzyli na siebie długo, bardzo długo, w każdym razie tak jej się wydawało. Usiłowała odczytać wyraz twarzy Hamisha. Jego rysy skrywał cień, miała jednak wrażenie, że dostrzega zamyślony uśmiech na jego wargach. Uniósł rękę i potarł pokrywający policzki zarost. Przez sekundę była pewna, że zaraz ruszy ku niej i w myślach przygotowała się na konfrontację. Hamish wykonał krótki, prawie niedostrzegalny gest i krew natychmiast zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Zaraz potem chyba zmienił zdanie, bo potrząsnął głową, jakby pragnął pozbyć się jakiejś natrętnej myśli, i wszedł do altany.

Celestria została na środku drogi, wściekła i rozczarowana. Dlaczego jej unikał? Czy spotkanie z nią było naprawdę aż tak okropne? Maialino znowu szturchnął ją w piętę. Celestria ze zniecierpliwieniem klasnęła językiem o podniebienie, odrzucając pokusę, aby pójść za Hamishem, odwróciła się i pode-

szła do malej furtki. Nie miała już ochoty na spacer do Mare-latte. Gburowaty Szkot zepsuł jej ranek.

Hamish stał w chłodnym wnętrzu altany z piłą do drewna niedbale opartą o łydkę, jakby zapomniał, co planował zrobić. Westchnął ciężko, zdjął kapelusz i podrapał się po rozgrzanym czole. Sam widok córki Roberta Montague rozpałił furie w jego sercu. Co ona tutaj robiła? Po co przyjechała? Jak śmiała? W przeciwieństwie do Federiki, nie pozwolił zwieść się jej urodzie i urokowi. Ta dziewczyna była taka sama jak jej ojciec. Natura naznaczyła ją tym samym powierzchownym pięknem, miała ten sam płytki blask w oczach, te same lekko wydęte wargi osoby przywykłej do podziwu i uwielbienia. Gardził nią tak samo, jak wcześniej jej ojcem, i czuł większy niż kiedykolwiek żal do Federiki, która znowu popełniła oczywisty błąd w ocenie ludzkiego charakteru.

Ze zdecydowaniem typowym dla dawnego Hamisha, tego sprzed śmierci Natalii, która pozbawiła go całej pewności siebie, wskoczył do zakurzonej lancii flaminii Gaitana, zaparkowanej przy murze Convento. Ruszył w kierunku Castellino z mocno zaciśniętymi zębami i głową tak pełną myśli o Celestii, że nie było w niej już miejsca na cokolwiek innego. Nie odwiedzał Costanzy od ponad miesiąca, bo nie miał na to ochoty. Teraz, spięty i zdenerwowany, potrzebował jej kojącego dotyku, który zwykle zapewniał mu parę chwil rozluźnienia.

Costanza właśnie wróciła z niedzielnej mszy. Była pulchną kobietą o obfitych, wspaniałych kształtach i taniej cnocie, dlatego bezustannie czuła wewnętrzny przymus odbywania pokuty za liczne grzechy. Jej mąż zmarł na gangrenę dziesięć lat wcześniej, pozostawiając ją samotną i bezdzietną. Z czasem Costanza nauczyła się jednak cieszyć niezależnością i straciła wszelką ochotę na ponowne zamażpójście, chociaż nie skarżyła się na brak kandydatów. Uważała, że wszyscy Włosi noszą w sobie zazdrość, a to zupełnie jej nie odpowiadało. Chcieli być właścicielami swoich kobiet, ich panami... A ona była teraz panią samej siebie, lecz co jakiś czas z przyjemno-

ścią przyznawała prawo dzierżawy mężczyźnie, który akurat wpadł jej w oko. Miała wielu kochanków, ale żaden z nich nie był taki przystojny i pełen wigoru jak jej Szkot, ale też tak udręczony wewnętrznie.

Szczerze ucieszyła się, kiedy wszedł do ogrodu. Odrzuciła w kącie czarny kapelusz z woalką oraz resztki żalu za grzechy i pozwoliła, aby wziął ją w ramiona. Miał na sobie tylko szorty, skóra na jego piersiach i barkach była gorąca i lepka od potu. Pocałowała go, śmiejąc się z radości, jaką sprawiła jej ta nieoczekiwana wizyta. Nie odezwali się do siebie ani słowem.

Wzięła go za rękę i poprowadziła przez dom do sypialni, którą znał równie dobrze jak własną. Hamish podpierał się laską, bardziej niż zwykle odczuwając sztywność stawu kolanowego.

Położyli się na łóżku nadzy i zaczęli się kochać. Costanza całowała go z czułością i gładziła po włosach, otwierając swoje aksamitne ciało i pozwalając mu pozbyć się napięcia i frustracji dzięki mocnym pchnięciom i ochrypłym jękom, które wydobywały się z samej głębi jego jestestwa. Wziął ją z furją, którą ona wzięła za namiętność, i to kilka razy.

Fotem rozstali się z tym samym niewymagającym słów zrozumieniem.

Wystarczył pocałunek, czułe spojrzenie, uśmiech wdzięczności, łagodny gest. Costanza z żalem patrzyła za odjeżdżającym. Nigdy nie zostawał u niej na długo. Nigdy z nią nie rozmawiał. Pragnęła wdrzeć się w głąb jego myśli i pojąć, co go gnębi. Wiedziała, że gdyby jej pozwolił, mogłaby uczynić go szczęśliwym. Cóż, kiedy Hamish stracił ukochaną żonę, a wraz z nią pewnie także wolę i zdolność kochania. Machała mu ręką, dopóki samochód nie zniknął za rogiem, i dopiero wtedy z uśmiechem wróciła do domu. Odkąd zostali kochankami, nigdy jeszcze nie był tak namiętny i pełen zapału.

Celestria spędziła niespokojną noc. Żołądek bolał ją ze zdenerwowania przed spotkaniem z Salazarem, męczyło ją także pytanie, dlaczego Hamish znowu nie usiadł z nimi do kolacji. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna koncentrować się na opryskliwym Szkocie, lecz na poszukiwaniu zabójcy ojca, nie była jednak w stanie wygonić Hamisha z myśli. Wypełniał je, dominował w nich i sprawiał, że jej krew wrzała ze złości.

- No, dobrze... - powiedziała Celestria do Nuzza, który następnego dnia rano czekał na nią na dziedzińcu. - Zawiezie mnie pan do Salazara, tak?

- Salazar, *Si signorinal* - Nuzzo pokiwał głową i odwrócił się do pani Waynebridge. - *Ciao signora...* - rzekł z szerokim uśmiechem.

- Dzień dobry, Nuzzo - odparła.

Patrzyła, jak podchodzi do bramy na wygiętych w kabłąk nogach, zupełnie jakby większość życia spędził na koniu. Celestria popatrzyła na nią i lekko uniosła brwi.

- Chyba dosyć mu się podobasz...

- Naprawdę uroczy z niego człowiek - przyznała pani Waynebridge.
- Nie daj się złapać na ten jego urok. Słyszałam, że Włochom nie można ufać.

Pani Waynebridge skrzywiła się ze smutkiem, zaraz jednak dostrzegła ironiczny uśmiech na twarzy dziewczyny.

- Ja tak powiedziałam? - szepnęła, czując jak jej policzki oblewa gorący rumieniec.

- Tak.

- O, Boże, strasznie się wstydzę... Lubię Włochów...

- A już na pewno tego jednego!

Pani Waynebridge uniosła oczy ku małemu okienku w murze klasztoru, gdzie zaraz po przyjeździe zobaczyła synogarlicę. Czy to możliwe, że ptak gruchał tam ze względu na nią?

- Powodzenia, skarbenku - powiedziała, klepiąc Celestrię po ramieniu. - Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

- Ja także na to Uczę. Wtedy będziemy mogli wrócić do domu!

Uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy starszej kobiety. Celestria pożałowała swoich słów, zwłaszcza że sama również wcale nie miała ochoty wracać.

Włożyła ciemne okulary i przez furtkę wyszła za Nuzzem na drogę skąpaną w gorących promieniach słońca. Włoch pokazywał jej rozmaite drobne ciekawostki, które jego zdaniem mogły zainteresować *signorinę*. Rzuciła szybkie spojrzenie na altanę Gaitana, podświadomie spodziewając się, że ujrzy tam Hamisha z piłą w ręku i lśniącym w słońcu opalonym torsem.

Centralnym miejscem w Marelatte był plac delia Vittoria. Wysokie palmy wznosiły się ku niebu między drzewami oliwnymi i pomarańczowymi, na brukowanych chodnikach stały metalowe ławki, kamienne fontanny i kwietniki zachwycały barwami kwiatów. W gałęziach drzew głośno świergotały ptaki. Para młodych ludzi spacerowała w cieniu, trzymając się za ręce, a z pobliskiej ławki z zazdrością obserwowało zakochanych dwóch starsuszków. Celestria i Nuzzo

przeięli plac i poszli w górę szeroką ulicą, na jej środku dumnie rozpieiał się barokowy ratusz, większy i bogaciej zdobiony niż otaczające go budynki. W lewo odbijała wąska uliczka, przy której stał dom o prostej, skromnej fasadzie i metalowych balustradach balkonów, obwieszonych doniczkami z czerwonymi pelargoniami, dalej zaś jasnoróżowy kościół z łamanym dachem, tworzącym ładny rysunek na tle bezchmurnego nieba. Nuzzo głośno witał się z ludźmi, których mijali po drodze. Celestria zauważyła, że prawie wszyscy obrzucali ją pełnymi podziwu spojrzzeniami. Grupka małych, mocno opalonych chłopców przestała kopać piłkę i znieruchomiała, aby z zaciekawieniem popatrzeć na anielsko piękną blondynkę. Kiedy dziewczyna uśmiechnęła się do nich, zaczęli trącać się łokciami i gorąco kłócić o to, do którego z nich skierowany był uśmiech.

- / *ragazzi* lubią *signorina* - roześmiał się Nuzzo. Celestria także parsknęła śmiechem, chociaż nie rozumiała słów, jakie chłopcy wykrzykiwali na pożegnanie. W końcu Nuzzo skręcił w brukowaną ulicę, do której nie docierało słońce. Było tu znacznie chłodniej. Na ich widok szara kotka przestała czochrać się grzbietem o ścianę i uciekła na trzech zdrowych nogach, oszczędzając zranioną czwartą. Nuzzo zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami domu o płaskim dachu. Okno po prawej stronie przesłonięte było siatkową firanką, lecz Celestria dostrzegła w środku zarysy biurowych mebli.

- *Ci siamo* - oświadczył Nuzzo.

Obok drzwi znajdował się dzwonek i mosiężna tabliczka z nazwiskiem: F.G.B. Salazar. Celestria zawahała się chwilę, usiłując zebrać myśli. Wcześniej nie zaplanowała sobie, co powie, a teraz nie było już na to czasu. Nacisnęła dzwonek i z mocno bijącym sercem czekała, co się wydarzy. Po dość długim czasie drzwi się otworzyły i w progu stanęła wyraźnie zdenerwowana kobieta.

- *Buon giorno, signora, e arrwata la signorina Montague per il*

signar Salazar - powiedział Nuzzo, z szacunkiem zdejmując kapelusz.

- *Non c'e*. - Kobieta potrząsnęła głową.

Nuzzo zadał jej jeszcze kilka pytań. Odpowiedziała na nie krótko, wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi.

- Co powiedziała? - zapytała Celestria. Nuzzo spojrział na nią ze współczuciem.

- *Il signor Salazar* no.

- Nie ma go tutaj? W takim razie kiedy wróci?

Z irytacją patrzyła na biednego Nuzza, który bezradnie rozłożył ręce. Nie rozumiał jej pytań i nie był w stanie udzielić odpowiedzi.

- Co za idiotyczna sytuacja! - zezłościła się Celestria. - Przyjechałam tu aż z Anglii, żeby się z nim zobaczyć! Jak długo go nie będzie? Jak długo mam na niego czekać?

Nie kryła rozdrażnienia. Nuzzo chyba przestraszył się jej gwałtownej reakcji, a przecież nie była to jego wina. Celestria zrobiło się go żal.

- Wracajmy do Convento - powiedziała łagodniejszym tonem. -

Zapytamy Federicę, co zrobić z tym fantem...

- *Convento? ha signora Ganda?* - Oczy Włocha rozbliły, włożył kapelusz i wyszedł na słońce. - *Andiatno!* - rzekł, ponagłając Celestrię ruchem ręki.

Jeszcze chwilę stała przed domem, wpatrując się w okno i wmawiając sobie, że Salazar zaraz się pojawi, następnie z gniewnym westchnieniem ruszyła za Nuzzem.

Wróciła do Convento spocona i zła. Gaitano gawędził na dziedzińcu ze starym człowiekiem, którego poprzedniego dnia widziała z ładunkiem drewna w drodze na piknik. Mąż Federiki uśmiechnął się do niej, a staruszek z szacunkiem zdjął kapelusz. Zakończyli rozmowę i rozstali się. Dostawca drewna ucieszył się na widok Nuzza, który kręcił się blisko wejścia do holu, chwilowo pozbawiony zajęcia. Gaitano uprzejmie odwrócił się do Celestria i pytająco uniósł brwi.

- Nie wygląda pani na szczególnie zadowoloną.

- Miałam nadzieję spotkać się dziś z Salazarem - odparła. -

Okazało się jednak, że nie ma go w biurze. Nikt tu nie mówi po angielsku, więc może mógłby pan zapytać Nuzza, co powiedziała mu sekretarka Salazara?

Gaitano krzyknął coś do Nuzza, który natychmiast przerwał rozmowę z przyjacielem i wyłonił się z cienia. Zamienili kilka zdań. Gaitano pokiwał głową, przeniósł wzrok na Ce-lestrię i z przeproszającym wyrazem twarzy wzruszył ramionami.

- Tak to już jest we Włoszech... - powiedział. - Salazar wyjechał w interesach, a sekretarka nie wie, kiedy wróci.

- Co mam robić? Muszę z nim porozmawiać, to bardzo ważne!

- Na pewno wróci za parę dni - odrzekł Gaitano.

Starał się nadać głosowi pocieszający ton, bo widział podenerwowanie dziewczyny. Skinął głową w stronę Nuzza, który znowu schronił się w cieniu.

- Za parę dni? Co mam robić w tym czasie?

- Lubi pani książki? Niechętnie kiwnęła głową.

- Ja także. Buduję właśnie bibliotekę w ogrodzie. Pokażę pani moją angielską kolekcję, dobrze?

Przez niskie drzwi weszli do dużego, łukowato sklepionego pomieszczenia pełnego książek. Leżały w stosach pod ścianami, na stołach, zajmowały niemal całą posadzkę.

- To wszystko angielskie książki? - spytała Celestria ze zdumieniem.

- Lubię czytać książki w wersji oryginalnej, jeżeli to tylko możliwe... -

Gaitano patrzył na swój zbiór z miłością, zupełnie jak na ukochane dzieci.

- Teraz rozumiem, dlaczego musi pan zbudować bibliotekę.

W chłodnym pomieszczeniu od razu poczuła się lepiej. Chodziła między stosami książek, schylając się, żeby przeczytać tytuły na grzbietach, i szybko zapomniała o Salazarze.

- Widzę, że naprawdę lubi pani książki - uśmiechnął się Gaitano.

- Zatracam się w literaturze - odparła, biorąc do ręki zbiór wierszy Wordswortha. - Mój dziadek zawsze kupuje mi książki. Ma doskonały gust, wszystkie jego prezenty czytam z zapartym tchem... Wordsworth to jeden z moich ulubionych poetów... - Pieszczotliwie pogładziła palcami zakurzoną obwolutę. - *Błąkałem się samotny jak chmura płynąca wysoko nad dolinami i wzgórzami, kiedy nagle ujrzałem wielki tłum, całe stado złocistych żonkili...*

- *Nad jeziorem, pod drzewami, poruszały płatkami i tańczyły na wietrze* - dokończył Gaitano.

Jego oczy rozbłysły podziwem.

- Jaka książkę lubi pani najbardziej? - spytał.

- *Hrabiego Monte Christo* - odpowiedziała bez chwili wahania.

- Aleksander Dumas... - Lekko uniósł brwi, - To także ukochana powieść Hamisha.

- Och, coś takiego - mruknęła niechętnie.

Nie chciało jej się wierzyć, że tak szorstki w obyciu człowiek może cenić dobrą literaturę.

- Czytał ją w oryginale? - zagadnęła, odkładając wiersze Wordswortha na poprzednie miejsce.

Gaitano się roześmiał.

- Bardzo wątpię! Kiedy przyjechał do Włoch, mówił tylko po angielsku, jednak szybko odkrył w sobie zdolności językowe. Nie było to dla mnie zaskoczeniem, ponieważ jest muzykalny, a tacy ludzie często są utalentowanymi lingwistami.

- Dziadek zmusił mnie, żebym przeczytała *Hrabiego* po francusku, ale przyznaję, że później przeczytałam powieść po angielsku i dopiero wtedy naprawdę się w niej zakochałam...

- Tak dzieje się z każdą dobrą książką, można ją czytać i czytać, i ciągle znajdować w niej nowe rzeczy. Dobra książka zawsze wydaje się tak samo interesująca.

- To prawda. - Rzuciła Gaitanowi czarujący uśmiech. - A pan? Jaka książkę pan lubi najbardziej?

- *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, *A la Recherche du temps perdu*. - Francuski Gaitano był nienaganny. - Kocham wielu autorów, ale najmocniej Prousta.

- Żałuję, że nie mogę przeczytać wszystkich tych książek w oryginale... - Westchnęła, biorąc do ręki *Annę Kareninę*.

- Nie radzę sobie z rosyjskim - wyznał Gaitano, patrząc na dziewczynę nowymi oczami. - języki łacińskie są łatwe i podobne do siebie, dlatego nie mam z nimi trudności, ale rosyjski to zupełnie inna sprawa. Muszę czytać Tolstoja po angielsku.

Celestria pokiwała głową.

- Moim zdaniem najczęściej nie doceniamy pracy tłumacza - powiedziała.

- Tłumacze to prawdziwi bohaterowie, wyłącznie dzięki nim z przyjemnością przeczytałam tyle książek zagranicznych autorów. Mimo to nie potrafię wymienić nazwiska żadnego tłumacza i naprawdę się tego wstydzę.

- Bardzo chętnie pożyczę pani jakąś książkę, żeby mogła pani zająć się lekturą do powrotu Salazara - zaproponował entuzjastycznie Gaitano, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu pozycji, która sprawiłaby przyjemność jego gościowi.

- Och, wspaniale! - zawołała. - Dziękuję panu!

Na myśl o nowej książce opanowało ją znajome uczucie przyjemnego podniecenia.

- Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż możliwość zanurzenia się w nowym świecie - rzekł Gaitano.

- Zgadza się. Każda książka to niezależny mały świat. Można nosić ją w ręku, a przecież przestrzeń, jaką tworzy w naszym umyśle, jest nieograniczona.

Gaitano przykucnął i powiódł palcami po grzbietach książek leżących na stosie pod oknem,

- To mój dział literatury amerykańskiej - oświadczył. - Czytała pani *Wiek niewinności*!

- Edith Wharton! - uśmiechnęła się Celestria. - „Amerykanie chcą uciec od rozrywki jeszcze szybciej niż ku niej pędzili” ... Tak, czytałam to.

- Właśnie widzę...

- Mój dziadek jest Amerykaninem.

- Więc chyba powinienem poszukać czegoś w innym dziale... - Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, poprawił okulary na nosie i schylił się. - Tu mam dział literatury angielskiej dwudziestego wieku - wyjaśnił, z namysłem przyglądając się tytułom i mamrocząc coś pod nosem. - O, mam! *Saga rodu Forsyte'ów*

- Nie czytałam tego - odparła.

Gaitano wyciągnął tom ze stosu ostrożnie, by nie zachwiać równowagi sięgającej mu do pasa wieży.

- John Galsworthy - podał książkę Celestii. - Dobry pisarz, spodoba się pani...

- Wystarczy mi na wiele dni! - zawołała. - Wcale nie cieńsza od *Wojny i pokoju*

- Ale o wiele przyjemniej się ją czyta!

- Jeżeli zniknę na cały tydzień, pan będzie temu winny! - roześmiała się. Rzucił jej pełne sympatii spojrzenie.

- Jeżeli zniknie pani na cały tydzień, Celestrio, sam obarczę się winą! Patrzył na nią, kiedy szła przez dziedziniec. Co za niespodzianka, pomyślał, pełen radosnego ciepła po ich spotkaniu. Nigdy bym nie pomyślał, że to namiętna wielbicielka książek...

Uśmiechał się jeszcze, kiedy do prowizorycznej biblioteki zajrzał Hamish.

- Szukałem cię - powiedział.

- Tak? - Gaitano zdjął okulary i wsunął je do kieszonki na piersi.

- Muszę wiedzieć, jak głębokie mają być te półki.

- Rozmawiałem właśnie z Celestrią - oznajmił Gaitano swobodnym tonem. - Dzieliliśmy się swoją miłością do książek...

Hamish milczał.

- Zgadnij, jaka jest jej ulubiona powieść? - spytał Gaitano. Jego zięć wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia!

- *Hrabia Monte Chństol*

- *Hrabia Monte Christo?* - powtórzył Hamish ze zdumieniem.

Zmarszczył brwi. Nie wyobrażał sobie, aby ta powierzchowna i płytką dziewczyna mogła przebrnąć przez tak niezwykłą książkę.

- Pierwszy raz przeczytała ją po francusku - ciągnął Gaitano. - Cytowała mi też Wordswortha i Wharton...

- Pewnie nie ma żadnego pożytecznego zajęcia, więc całymi dniami leży i czyta! - warknął Hamish.

Gaitano spojrzał na niego spod oka.

- A czy istnieje jakieś lepsze i bardziej pożyteczne zajęcie? Hamish zignorował jego uwagę.

- Więc jak, pójdiesz teraz ze mną i popatrzysz na te półki? - spytał. - Nie chcę, żeby później okazały się zbyt płytkie!

Gaitano wyszedł za nim na dziedziniec.

- Chciałbym ustawić po dwa szeregi książek na półce, inaczej zwyczajnie ich nie zmieszczę!

- I będziemy musieli rozejrzeć się za następną altaną! - zaśmiał się Hamish.

- Freddie mówi, że powinienem pozbyć się części zbiorów.

- Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że masz jedną z najbogatszych bibliotek we Włoszech?

Z piersi Gai tana wyrwało się melodramaty czne westchnienie.

- Freddie nie jest wielbicieleką literatury, w przeciwieństwie do nas. Ta niemądra kobieta po prostu nie rozumie, że byłoby to jak pozbycie się części mojego ciała...

Hamish pocieszająco poklepał teścia po plecach.

- Nie martw się, zmieścimy je wszystkie, a jeśli nie, to zbudujemy półki w Convento. Freddie będzie musiała udostępnić ci trochę miejsca, pozbywając się niektórych własnych kolekcji.

- Gdyby do tego doszło, sam jej to powiesz, Hamish! Jesteś jedyną osobą w okolicy, która ryczy głośniejsz niż Freddie!

Obaj wybuchnęli śmiechem, z rozmachem klepiąc się po ramionach. Celestria usłyszała głosy na dziedzińcu i wyrzała z za zasłony. Hamish i Gaitano szli do wejściowych drzwi. Szkot obejmował ramieniem teścia, który w zestawieniu z mocną postacią i bujną, kudłatą czupryną zięcia wyglądał na bardziej kruchego i łysego niż zwykle. Było coś naprawdę wzruszającego w tym, jak Hamish poklepywał teścia po plecach, zupełnie jakby byli dwoma przyjaciółmi, równymi sobie pod względem wieku i siły. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego Gaitano kochał zięcia. Do tej pory nie zauważyła żadnych oznak uroku Hamisha, o którym pani Halifax mówiła w samych superlatywach, nie potrafiła też dopatrzeć się w nim człowieka zafascynowanego wielką powieścią Dumasa. Hamish był szorstki i opryskliwy, bynajmniej nie rycerski i uprzedzająco uprzejmy. Patrzyła na obu mężczyzn z narastającym oburzeniem. Skoro Hamish umiał być taki czarujący wobec pani Halifax i serdeczny w stosunku do Gaitana, to dlaczego dla niej nie mógł być po prostu miły, nic więcej... Zjadła lunch z Wayne, Federicą i panią Halifax, gorzko skarżąc się na fiasko planu spotkania z Salazarem.

- Możliwe przecież, że wyjechał na długo! - zakończyła ze zniechęceniem.

- W takim razie twój pech jest naszym szczęściem - powiedziała pani Halifax. - Bo będziemy mogły dłużej cieszyć się twoim towarzystwem.

- Dobrze chociaż, że Gaitano pożyczył mi powieść.

- Ach, więc Gaitano znalazł jeszcze jedną bratnią duszę - zauważyła sucho Federica. - Na pewno jest zachwycony. Ja nie mam cierpliwości do czytania, a Natalia pod tym względem była podobna do mnie, nigdy nie miała dość wytrwało-

ści, żeby doczytać książkę do końca, wołała ładne ubrania. Hamish uwielbia książki. Czasami przez cały wieczór dyskutują z Gaitanem o jakiejś powieści...

- Mój dziadek nazywa to „rozbieraniem na kawałki” dobrej powieści - rzekła Celestria, ignorując uwagę Federiki o Hamishu. - Oboje bardzo lubimy to robić, nawet do białego rana. Jest coś magicznego w godzinach przed świtem, kiedy wszyscy od dawna już śpią i tylko my dwoje wędrujemy razem po zupełnie innym świecie...

- Wiem, o czym mówisz... - Pani Halifax wzięła jeszcze jeden kawałek szynki prosciutto. - Ja też lubię najwcześniejsze godziny ranka albo zmierzch, kiedy światło jest najdelikatniejsze i człowiek uświadamia sobie ulotność wszystkich rzeczy... Właśnie wtedy rozumiemy, że życie to tylko mgnienie. Lubię przeżywać to w samotności, gdy nic nie rozprasza uwagi. Mogę spokojnie zastanowić się nad swoim życiem i docenić całą jego wartość.

- Lubi pani czytać, pani Waynebridge? - zagadnęła Federica. Wayne zaczerwieniła się i potrząsnęła głową. Nie zamierzała przyznać się, że jest analfabetką.

- Wayne robi na drutach najpiękniejsze swetry na świecie - wtrąciła Celestria, wyczuwając zażenowanie starszej pani.

- Robię teraz dla Celestrie zielony - wyznała pani Waynebridge. - W odcieniu papuziej zieleni...

- Papuzia zieleń? - Oczy pani Halifax zabłysły zachwytem. - To mój ukochany kolor! Mam cudne pantofle w tym odcieniu, naszywane fioletowymi cekinami. Szczęściara z ciebie, Celestrio! Nie mogę się już doczekać, kiedy włożysz ten sweter!

Celestria uśmiechnęła się słabo na myśl o konieczności noszenia papuziej zieleni.

- Och, to jeszcze trochę potrawa... - powiedziała z nadzieją w głosie.

- Wcale nie - zaprotestowała pani Waynebridge. - Jeśli ten

Salazar dalej każe na siebie czekać, za parę dni sweter będzie gotowy! Wieczorem Celestria wykapała się i ubrała w gorączkowym podnieceniu. Była przekonana, że tym razem Hamish usiądzie z nimi do stołu, nie miała natomiast pewności, jak powinna go potraktować. Zignorować? Odplącić nieuprzejmością za nieuprzejmość? Świadomość, że będzie musiała z nim rozmawiać była najgorsza ze wszystkiego. Nie zdarzyło się dotąd, aby ktoś darzył ją antypatią, to doświadczenie było dla niej całkowicie nowe i wyjątkowo nieprzyjemne.

Wciągnęła jasnoniebieskie spodnie i lekki kaszmirowy sweter, ponieważ wieczory bywały już chłodne, i związała włosy w koński ogon. Nie umalowała się - nie chciała, aby Hamish doszedł do wniosku, że specjalnie dla niego starała się jak najlepiej wyglądać.

Schodząc na dół, postanowiła odnosić się do niego z chłodną obojętnością. Maialino i Fiametta leżały pod ścianą na stosie purpurowych poduszek. Nie zrywały się już na widok Celestria, ponieważ przywykły do jej obecności w Convento. Świece były zapalone, chociaż jeszcze nie całkiem się ciemni-ło, i zapach pszczelego wosku mieszał się ze słonym aromatem morza. Przyćmione różowawe światło wpadało przez małe okno w murze i wydobywało z mroku kamienie, którymi wybrukowano dziedziniec. Celestria przeszła przez kuchnię do ogrodu, gdzie wszyscy popijali wino w pogodnej atmosferze.

Hamish górował wzrostem nawet nad wysokim Gaitanem. Kiedy Celestria wynurzyła się z mroku, podniósł oczy i popatrzył na nią. Dziewczyna starannie omijała go wzrokiem, nie czuła się jednak swobodnie, uwięziona w sieci jego spojrzenia. Federica podała jej kieliszek i podprowadziła do krzesła między panią Halifax i Wayne, które zachwycyły się pięknem wieczornego nieba, a szczególnie różowymi chmurami, po-

dobnymi do targanych lekką bryzą różowych strzępków cukrowej waty.
- Rozumie pani chyba, dlaczego tak lubię przyjeżdżać tutaj i malować -
mówiła pani Halifax. - Niebo codziennie jest inne, każdego dnia mam
okazję podziwiać cuda przyrody...

Przerwała i odwróciła się do Celestii.

- Ach, moja droga, wyglądasz po prostu prześlicznie!

- Dziękuję - odparta dziewczyna.

Kątem oka zauważyła czubki ekscentrycznych pantofli, wystające spod
długiej fioletowej sukni malarki.

- Papuzia zieleń! - zawołała ze śmiechem.

- Moje ulubione buciki - przytaknęła pani Halifax. - Włożyłam je dziś,
żeby zrobić przyjemność pani Waynebridge.

- Może powinnaś ofiarować ten sweter pani Halifax, Way-nie - podsunęła
Celestria.

- Jeżeli zostaniemy tu odpowiednio długo, zrobię jeden dla ciebie i drugi
dla pani Halifax - oświadczyła pani Waynebridge.

- Och, naprawdę?! - wykrzyknęła artystka. - Bardzo chciałabym mieć
papuziozielony sweter z dodatkiem odrobiny fioletu! Idealnie pasowałby
do moich pantofli!

- Z przyjemnością go dla pani zrobię - obiecała pani Waynebridge,
odczuwając przyjemne zawroty głowy po wypitym winie.

Celestria skupiła uwagę na Gaitanie, który rozmawiał z Hamishem. Gdy
na moment przeniosła spojrzenie na Szkota, napotkała jego wzrok.
Zaczerwieniła się gwałtownie, drgnęła, jakby się nagle sparzyła, i
przybrała wyniosły wyraz twarzy, potem zaś pośpiesznie odwróciła się do
pani Halifax.

Federica podeszła do męża i zięcia.

- Czy będziemy mogli cieszyć się twoim towarzystwem przy kolacji,
Hamishu? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie zostanę - odparł.

- Nie wydaje ci się, że zachowujesz się trochę dziecinnie?

- Nie mam obowiązku dotrzymywać towarzystwa gościom.
 - Prowadzimy rodzinną firmę, a ty należysz do rodziny. Zależy mi, żebyś raz na jakiś czas siadał z nami do stołu.
 - W takim razie raz na jakiś czas spełnię twoje życzenie, ale nie dzisiaj - rzekł spokojnie. - Mam inne plany na wieczór. Do zobaczenia jutro!
 - Zamierzasz wyjść, nawet się z nią nie przywitawszy? - Federica nie kryła gniewu.
 - Nie sądzę, aby zależało jej na uprzejmych gestach z mojej strony, Freddie. To samo zresztą mogę powiedzieć o sobie.
- Hamish odwrócił się na pięcie i wyszedł do kuchni. Celestria cofnęła się, jakby odrzucił ją do tyłu nagły powiew zimnego wiatru, i pytająco spojrzała na Federicę i Gaitano.
- Zostaw go w spokoju - poradził żonie Gaitano.
 - Zachowuje się bardzo nieuprzejmie - warknęła.
 - To minie...
 - Powtarzasz to od miesięcy!
 - Nigdy nie mówiłem, że szybko poradzi sobie z przygnębieniem...
 - Powinien wreszcie wziąć się w garść!
- Uważała, że Celestria powinna się jakieś wyjaśnienie na temat zachowania Hamisha.
- Siadajmy do kolacji - odezwała się, biorąc dziewczynę pod ramię. - Mój zięć miewa zmienne nastroje, bardzo mi przykro, że akurat dzisiaj ma zły dzień - powiedziała, kiedy przechodziły przez kuchnię do jadalni.
 - Nie musi pani przeproszać za jego nieuprzejmość, naprawdę!
 - Znam ludzi, którzy mogliby poczuć się urażeni...
 - Proszę się nie denerwować, ja do nich nie należę - odparła Celestria. - Gaitano, chciałabym usiąść obok pana i kontynuować naszą rozmowę o książkach! Czuję, że mamy mnóstwo wspólnych tematów!
 - Ja także - rzekł z uśmiechem Gaitano, podsuwając jej krzesło. - Na razie dotknęliśmy tylko powierzchni...

Celestria była szczerze zadowolona z towarzystwa Gaitana. „Rozbieranie powieści na części” było jedynym zajęciem na tyle pochłaniającym, że pozwalało jej to oderwać myśli od mężczyzny, który najwyraźniej postanowił ją traktować we wrogi sposób jedynie dlatego, że ośmieliła się wejść do krypty jego żony.

Hamish siedział w barze Saveria i grał w scopa ze starym Leopoldem, jego synem Manfredem oraz swoim przyjacielem Vitalinem. Słońce już zaszło i piaszczysta droga przed barem była pusta, tylko od czasu do czasu przebiegały nią bezpańskie psy, poszukujące resztek jedzenia. Saverio, właściciel baru, smętnie kiwał się nad filiżanką czarnej kawy i jękliwym tonem opowiadał kilku dobrym znajomym o kwaśnych humorach swojej żony i jej zdecydowanej niechęci do obowiązków małżeńskich. W pewnej chwili zerknął na Hamisha, którego udreńczoną twarz częściowo zasłaniały trzymane w ręku karty, i poczuł się trochę lepiej - on nadal miał żonę, natomiast Hamish został sam i nie miał już nawet na kogo narzekać.

Hamish wpatrywał się w karty, ale nie widział ich. Był rozdrażniony i czuł się tak, jakby ktoś wyciągnął go ze skóry i zaraz wepchnął w nią z powrotem, bardzo niedbale i byle jak. Kilka razy westchnął i próbował usiąść wygodniej, lecz nic to nie dało. Vitalino uważnie obserwował go spod oka. Był najdawniejszym z tutejszych przyjaciół Hamisha i rozumiał go lepiej niż ktokolwiek inny. Chciał pochwycić jego spojrzenie

i wesprzeć pełnym współczuciu i sympatii uśmiechem, ale Hamish błądził myślami w innym świecie.

Vitalino przypomniał sobie tryskającego energią i radością życia Hamisha, tego sprzed śmierci Natalii. Tamten Hamish malował z ogromnym zapałem, grał na fortepianie z pasją i uczuciem i potrafił każdego rozbawić do łez opowieściami nawet o najpowszedniej szych, codziennych zdarzeniach. Nikt nie umiał śmiać się tak serdecznie jak Hamish, który odrzucał głowę do tyłu i dosłownie ryczał ze śmiechu... Teraz zdarzało mu się to ogromnie rzadko, a jeśli chodzi o malowanie, to Vitalino ostatni raz widział go przy pracy przed wieloma miesiącami. A jednak z czasem można było odnieść wrażenie, że Hamish powoli wraca do siebie. Vitalino pomyślał, że przyjaciel chyba postanowił rozpocząć długą wspinaczkę po skale, z której runęła Natalia. Zaczął znowu malować, a budowanie biblioteki Gaitana obudziło w nim nawet odrobinę entuzjazmu, ponieważ książki były jedną z jego wielkich miłości. Taki stan utrzymywał się do ostatniego tygodnia, kiedy to nagle, bez widocznej przyczyny, wspinaczka Hamisha została przerwana. Jego twarz znowu poszarzała, w oczach pojawiła się udreka. Wydawało się, że w jakiś niewytłumaczalny sposób cofnął się do dni bezpośrednio po śmierci Natalii, gdy z wyrazami współczucia, które otrzymywał od ludzi, mieszały się zjadliwe szeptki, wyrażające podejrzenia co do jego roli w tragedii.

Stary Leopoldo zerknął na syna i wzruszył ramionami. Nie rozumiał, dlaczego Vitalino nie próbuje wyrwać Hamisha z ponurego zamyślenia. Szukał jakiejś wskazówki w zachowaniu Vitalina, lecz on także nie wiedział, co robić. Jeżeli Hamish nie chciał podzielić się z nimi kłopotami, nikt nie był w stanie nakłonić go do zwierzeń.

- Zagrajmy jeszcze jedną rundkę - zaproponował Vitalino, żartobliwie klepiąc Hamisha po plecach.

- Napiję się kawy - odparł Szkot.

Położył karty na stole i potoczył wzrokiem po zatroskanych twarzach towarzyszy.

- O co chodzi? - zapytał z lekkim uśmiechem.

- Jesteś jakiś nieswój - rzekł Leopoldo, którego szorstki, zachrypnięty głos brzmiał wyjątkowo łagodnie. - Nic ci nie dolega?

Hamish westchnął.

- Przepraszam, ale nie mogę skupić się na grze. Manfredo złożył karty.

- Dajmy spokój grze - powiedział. - Nie możesz ciągle przegrywać, to nikomu nie poprawia nastroju!

Hamish z wahaniem odwzajemnił jego uśmiech. Vitalino przywołał Saveria, który przerwał swój gorzki monolog, aby zaparzyć dla nich kawę.

- To ta blondynka, prawda? - odezwał się Vitalino. Hamish rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

- Wszyscy ją widzieliśmy. Wygląda jak łabędzica między świniami...

- Prawdziwa piękność - przytaknął Leopoldo, z podziwem kręcąc siwą głową. - Czas zacząć życie od nowa, chłopcze. Minęły już trzy lata, Natalia jest u Boga...

Twarz Szkota oblał gorący rumieniec gniewu.

- Nie wiesz, co mówisz, Leopoldo! - warknął. - Tak czy inaczej, to nie jest dziewczyna w moim typie!

- W takim razie ja chętnie się nią zajmę - zażartował Manfredo.

- Proszę bardzo, droga wolna! - mruknął Hamish. Podniósł się i rzucił garść lirów na stół.

- Za kawę, to moja kolejka.

Podszedł do drzwi i otworzył je mocnym szarpnięciem. Po paru krokach przystanął i oparł się na lasce, oddychając głęboko. Drzwi kafeterii zaskrzypiały cicho i u boku Hamisha pojawił się zaniepokojony Vitalino.

- Poruszył cię jej przyjazd, co? - odezwał się.

- Tak... - wymamrotał Hamish.

Ruszył drogą w kierunku Convento. Vitalino szedł obok niego.

- Musisz nauczyć się kochać od nowa, stary - rzekł. - Jesteś młody i...

- Daj spokój! - przerwał mu Hamish. - Leopoldo naprawdę nie ma pojęcia, o czym mówi! Nie zna jej!

- Kim ona jest?

Hamish przystanął i spojrzał na Vitalina. Chwilę zbierał się w sobie, nie mogąc wykrztusić znienawidzonego nazwiska.

- Córką Roberta Montague...

Vitalino drgnął, jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Dobry Boże, co ona tutaj robi?!

- Nie wiem. - Hamish ruszył dalej. - Ale dałbym wiele, żeby jak najprędzej wyjechała.

Vitalino się zamyślił. Poprzedniego dnia widział Celestrię z Nuzzem w miasteczku. Uderzyła go jej uroda, anielsko promienna i pełna wdzięku. Całe Marelatte gadało o pięknej Angielce.

- Posłuchaj... - zaczął ostrożnie. - Nie możesz z góry zakładać, że jest taka sama jak jej ojciec. Nie potępiaj jej tylko dlatego, że ma w sobie jego krew, bo to niesprawiedliwe.

- Nie mogę na nią patrzeć!

- Moim zdaniem, to dosyć łatwe...

- Nie żartuj sobie!

- Nie wydaje ci się, że robisz z igły widły, stary?

- Myślałem, że przynajmniej ty mnie zrozumiesz! - oburzył się Hamish.

- Rozumiem cię, słowo! Ale ta dziewczyna to nie jej ojciec, nie wmawiaj sobie takich rzeczy! To inny człowiek i tak powinieneś ją traktować...

Rozmawiałeś z nią?

- Raczej nie...

Hamish wzruszeniem ramion zbył spotkanie w krypcie. Za bardzo się wstydził, aby opowiedzieć o tym przyjacielowi.

- Więc w gruncie rzeczy w ogóle jej nie znasz, tak? Hamish niechętnie skinął głową.

- I osądziłeś ją z góry?

- Tak...

- Jak na inteligentnego faceta zachowujesz się okropnie głupio!

Hamish się skrzywił. Jak mógł oczekiwać, że przyjaciel go

zrozumie, skoro nigdy nie powiedział mu całej prawdy... Tylko on i Natalia znali tajemnicę, zbyt straszną, by ją komukolwiek wyjawić. W ciągu następnych dwóch dni Celestria zaglądała do Marelatte z nadzieją, że uda jej się zastać tajemniczego Salazara, lecz w biurze za każdym razem witała ją ta sama kobieta z wyrazem narastającego zmieszania na szczupłej twarzy. Czekając na powrót Salazara, Celestria głównie przesiadywała w ogrodzie, bez reszty pochłonięta lekturą *Sagi rodu Forsyte'ów*, zgodnie z przewidywaniami Gaitana. Przeżycia powieściowej rodziny pozwalały jej przynajmniej na jakiś czas oderwać się od własnych problemów. Od rozmyślania o ojcu bolała ją głowa, dlatego książka działała jak okład z lodu. Dziewczyna wyczuwała ponurą obecność Hamisha w Convento, chociaż widywała go rzadko i tylko przelotnie. Wiedziała, że pracuje nad biblioteką Gaitana i nie śmiała się do niej zbliżyć, głęboko denerwowało ją jednak, że Szkot tak całkowicie ją ignoruje i myślała o nim częściej, niżby chciała. Wciąż dręczyło ją pytanie, dlaczego zachowuje się wobec niej w tak arogancki sposób. Spędziła już w Convento cztery dni i pięć nocy, i przez cały ten czas prawie nie wspominała o ojcu. Monty istniał tylko w jej wspomnieniach, i celowo spychała go w głąb świadomości fascynacją losami rodziny Forsyte'ów, by uniknąć jeszcze większego cierpienia. Jednak piątego wieczoru frustracja wynikająca z niemożności porozumienia się z Salazarem, w połączeniu z kojarzącą się Celestirii z ukochanym dziadkiem serdecznością, jaką okazywał jej Gai tano, opryskliwością Hamisha oraz zbyt dużą ilością wypitego do kolacji wina przepełniła czarę goryczy i wywołała w niej ogromny smutek. Poszła do łóżka z ciężkim sercem, pragnąc wypłakać się w poduszkę, ale łzy nie chciały popłynąć. Wyjęła fotografię ojca w kapeluszu panama, którą znalazła w liście od Federiki, i przytuliła ją do piersi.

Nie mogąc zasnąć i czując potrzebę wyrażenia dręczącego ją bólu, narzuciła na ramiona szlafrok i zeszła do holu, w którym stał fortepian. Usiadła na taborecie przy oknie, przez które wpadał do środka promień srebrzystego światła i wydobywał z mroku klawiaturę. Fortepian przywoływał ją od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła, nie chciała jednak, aby ktoś usłyszał jej grę. Nie miała ochoty grać melodii, których pracowicie uczyła się od wczesnego dzieciństwa, lecz skomponowane przez siebie piosenki. Pragnęła je zaśpiewać, ale bardzo się wstydziła. Wiedziała, że jej głos jest niepewny, niski, odrobinę zachrypnięty, chwilami nie umiała nawet wydobyć z gardła odpowiedniej nuty, lecz nie знаła bardziej satysfakcjonującego sposobu wyrażenia uczuć. Kiedy śpiewała, jakieś mocno napięte struny rozluźniały się w piersi, a serce wypełniało uczucie ukojenia i lekkości. Śpiew był jej sekretną przyjemnością, teraz potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek. Oparła zdjęcie ojca o podpórkę do nut i położyła dłonie na klawiszach. Zaczęła powoli grać, bardzo cicho, aby nikogo nie obudzić. Palce naciskały akordy, tworząc melodię, którą mruzczała pod nosem. Potem pojawiły się słowa, te zaś ułożyły się we frazy i zdania opowiadające o miłości i smutku, znajdując kulminację w refrenie, który Celestria powtórzyła kilka razy, aż wreszcie łzy popłynęły spod jej rzęs i szybko pobiegły po policzkach.

Nie wiedziała o tym, ale Hamish także nie mógł zasnąć. Unikał spotkań z młodą Angielką. Pracował przy budowie biblioteki Gaitana i jadł posiłki razem z Vitalinem oraz jego dużą, spontanicznie okazującą uczucia rodziną, lecz rada przyjaciela mocno utkwiała mu w pamięci. Nie mógł jej zlekceważyć, ponieważ w głębi duszy wiedział, że Vitalino ma rację. Osądzanie Celestria na podstawie czynów jej ojca było najzwyczajniej w świecie niesprawiedliwe.

Hamish długo rzucał się w rozgrzanej upałem pościeli, dręczony nocnymi lękami i rosnącym rozgoryczeniem. W końcu poszukał schronienia w swojej chłodnej pracowni, która znaj-

dowała się na półpiętrze, w niewielkiej odległości od holu. Kiedy usłyszał delikatne, ciche nuty, biegnące ku niemu korytarzem, wydawało mu się, że śni. Wstrzymał oddech i wbił wzrok w drzwi, czujnie nasłuchując. W Convento nie grał nikt poza nim. Instynktownie odgadł, kto dotyka klawiszy. Zaciekawiony, na palcach pokonał korytarz i wyjrzał zza rogu, trzymając się w cieniu. To, co zobaczył, wzruszyło go głęboko i niespodziewanie. Celestria siedziała w księżycowym blasku z twarzą mokrą od łez i śpiewała cicho. Włosy falami opadały jej na ramiona, tworząc esy floresy na białym szlafroku, luźno związanym w pasie i odsłaniającym gładki dekolt i koronkę nocnej koszulki. Grała smutną melodię, myliła klawisze, ale wydawało się, że nawet tego nie zauważa. Głos miała niski, o nieco chropowatym brzmieniu i w gruncie rzeczy nie miało znaczenia, że trochę fałszowała. Wyglądała pięknie i, co ważniejsze, bardzo subtelnie. Hamish zapomniał o swoich uprzedzeniach i zapragnął mocno ją przytulić. Z zapartym tchem długo przyglądał się kobiecie, którą uważał za twardą i arogancką. Poczul wstyd. Vitalino miał słuszość - okazał się głupcem.

Obserwował ją przez blisko godzinę, nieświadomy upływu czasu. Wreszcie Celestria podniosła się z wysiłkiem, wyraźnie wyczerpana płaczem. Otarła twarz rękawem szlafroka, ostrożnie zamknęła wieko fortepianu i wróciła do swojego pokoju. Hamish cofnął się głębiej w mrok, żeby go nie zauważyła, i odetchnął leciutkim zapachem leśnych dzwonek. Patrzył, jak dziewczyna wchodzi do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Ogarnięty tęsknotą, podszedł do taboretu, na którym siedziała, jakby drgające jeszcze w powietrzu ciepło mogło sprowadzić ją z powrotem. Nagle zobaczył opartą o nuty fotografię i natychmiast rozpoznał sportreto-wanego mężczyznę. Zdjęcie zostało zrobione w Convento i przedstawiało Monty'ego w charakterystycznym kapeluszu panama i jasnym garniturze. Hamish wziął je do ręki i zadał sobie pytanie, dlaczego Celestria w tak oczywisty sposób tęskni za ojcem.

Celestria była już w łóżku, kiedy czyjaś ręka wsunęła zdjęcie przez szparę pod drzwiami. Usłyszała szelest, usiadła i utkwiała wzrok w fotografii. Bała się poruszyć, ponieważ wiedziała, kto jest po drugiej stronie. Najbardziej przeraziło i poruszyło ją nie to, że Hamish musiał słyszeć, jak śpiewała, ale że z całą pewnością słyszał jej płacz.

Następnego ranka zaraz po przebudzeniu jej oczy spoczęły na leżącej na podłodze fotografii. Nowy dzień zalał pokój promieniami słońca i przegnał wszystkie kryjące się w mrokach demony. Celestria nie czuła już lęku ani wstydu. Pomyślała, że może zdjęcie zwrócili jej Gaitano albo Federica, którym z pewnością nie przyszłoby do głowy, by gardzić nią dlatego, że widzieli ją płaczącą. Podniosła fotografię i oparła o lustro na toalecie, aby patrzeć na nią, gdy będzie szczotkowała włosy.

Wcześniej zjadła śniadanie i wciąż w radosnym porannym nastroju wyruszyła do biura Salazara. Była prawie pewna, że tego dnia wreszcie odniesie sukces.

Zadzwoiła do drzwi i chwilę czekała. Z trudem poznała kobietę, która jej otworzyła, teraz usminkowaną, ze starannie ułożonymi włosami i trochę za mocno umalowanymi różem policzkami. Kobieta uśmiechnęła się i gestem zaprosiła ją do środka. Serce Celestrie mocno biło z podniecenia. Wiecznie nieobecny Salazar wreszcie wrócił. Kobieta powiedziała coś po włosku i łagodnie popchnęła Celestrię w stronę pełniącego funkcję poczekalni salonu. Była tam kanapa oraz dwa fo-

tele, stolik do kawy z wazonem żółtych kwiatów i obraz o tematyce marynistycznej na ścianie.

- *Cajfe?* - zapytała Włoszka.

Celestria potrząsnęła głową. Była zbyt zdenerwowana, aby tracić czas na picie kawy.

- Proszę czekać... - Sekretarka wyraźnie zmagala się ze swoim marnym angielskim.

Celestria usiadła, przywołując na twarz pewny siebie wyraz, i sięgnęła po gazetę. Sekretarka zniknęła. Z głębi korytarza dobiegł szmer przyciszonych głosów. W końcu drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył przystojny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w garnitur koloru kości słoniowej i błyszczące półbuty w dwóch odcieniach brązu. Był niewysoki, miał starannie zaczesane czarne włosy, niskie, zupełnie gładkie czoło, gęste brwi, podobne do kudłatych gąsienic, oraz szeroki uśmiech człowieka przywykłego do pokonywania oporów i obaw klientów swoim urokiem osobistym.

- *Signorina Montague!* - wykrzyknął, otwierając ramiona, jakby miał ochotę ją objąć. - Jakże się cieszę, że wreszcie mogę panią poznać! Bystre oczy koloru gorzkiej czekolady zmierzyły ją pełnym podziwu spojrzeniem.

- Jest pani piękniejsza od swego ojca! - rzekł z uśmiechem. - Zapraszam do gabinetu...

Przeszła obok niego, na moment zanurzając się w chmurze gęstego, słodkawego zapachu jego wody kolońskiej, i znalazła się w wyłożonym boazerią pokoju, z dużą szafą na książki, zajmującą jedną ścianę i dwoma mahoniowymi szafami na dokumenty, ustawionymi między oknami wychodzącymi na małe brukowane podwórko. Pod sąsiednią ścianą stało szerokie angielskie biurko, które bardziej by pasowało do gabinetu urzędnika wysokiej rangi niż prowincjonalnego prawnika.

Salazar wskazał jej miejsce i sam usadowił się w skórzanym fotelu.

- Ja także mam córki - rzekł, szerokim gestem ogarniając

rodzinne fotografie w srebrnych ramkach, stojące na biurku między papierami i elegancką aktówką z lśniącej skóry.

- Włoszki są piękne, ale pani, *signorina*, przyćmiewa je swoją urodą... Celestria nie była w nastroju do wysłuchiwania pustych pochlebstw.

- Przyjechałam tu w sprawie mojego ojca - odezwała się zdecydowanym tonem.

- Oczywiście... *Signor* Montague należał do moich najlepszych klientów...

Celestria drgnęła. Nie przypuszczała, że Salazar wie o śmierci Monty'ego.

- Kto powiedział panu, że ojciec nie żyje? - zapytała, Teraz to Salazar popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Nie żyje? - Potrząsnął głową i wyprostował się. - Nie powiedziałem nic takiego!

- Użył pan czasu przeszłego, powiedział pan, że ojciec należał do pana najlepszych klientów!

- I co z tego? - Wzruszył ramionami. - Po prostu nie prowadzimy już razem interesów... - Z namysłem potarł podbródek. - Więc *signor* Montague nie żyje?

Uśmiech zniknął z jego twarzy, w dziwny sposób czyniąc ją bez kształtu i bez wyrazu.

- Zginął na morzu.

- W jakich okolicznościach?

- Wypłynął łodzią podczas burzy i utonął.

- Utonął? - Oczy Salazara rozszerzyły się z przerażenia, policzki nagle pobladły. - Bardzo pani współczuję z powodu straty...

Celestria lekko skinęła głową.

- W czym mogę pani pomóc? - Rozluźnił węzeł krawata. Zaczął się pocić i z wyraźnym trudem przywołał na twarz niepewny uśmiech.

- Porządkuję sprawy ojca, ale nic nie wiem o jego sytuacji biznesowej. Na razie dowiedziałam się, że regularnie przekazywał panu spore sumy pieniędzy i chciałabym, aby

mi pan wyjaśnił, na jaki cel były przeznaczone i co się z nimi stało... Salazar wahał się chwilę. Sięgnął do srebrnej szkatułki, otworzył ją i wyjął krótkie cygaro.

- Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę?

Kiedy Celestria potrząsnęła głową, zaczął szukać zapalniczki w kieszeniach marynarki. Zorientowała się, że celowo zwleka z odpowiedzią.

- Życie to mgła, dym i gra luster - rzucił.

- Co pan ma na myśli? - zapytała, nie kryjąc irytacji.

- Cóż mogę pani powiedzieć? Interesy pani ojca stały fatalnie, zabrał więc niewielką sumę, jaka mu pozostała, i wyjechał.

- Gdzie podziały się te grube tysiące funtów?

- Poszły na dno, szanowna pani, podobnie jak pani ojciec, w pewnym sensie...

- Nie rozumiem! O jakich interesach pan mówi? Salazar ciężko westchnął, zaciągnął się głęboko cygarem i oparł je o krawędź pełnej popielniczki. Jego twarz była teraz czerwona i wilgotna od potu. Pochylił się do przodu.

- *Signońna*, to męski świat. Na pani miejscu zostawiłbym sprawy biznesowe chłopcom, którzy potrafią się nimi zajmować... Sama pani powiedziała, że nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi, a ja nie mam dość czasu ani cierpliwości, żeby teraz wyjaśniać rozmaite skomplikowane kwestie.

Celestria poczuła się urażona. Salazar wstał i wyciągnął szufladę w jednej ze stojących między oknami szaf. Dziewczyna popatrzyła na podwórko. Żelazna furtka u szczytu kilku schodków strzegła wejścia do pięknego jabłkowego sadu. Kamiennie stopnie skojarzyły się Celestria z mauzoleum w mieście zmarłych i jej myśli znowu powędrowały ku Ha-mishowi.

Prawnik wyjął z szuflady teczkę, położył ją na biurku i usiadł. Zaczął przerzucać znajdujące się wewnątrz koperty i kartki pokryte kolumnami cyfr oraz nazwiskami.

- To wszystko, co zostało mi po pani ojcu - oświadczył, uderzając wierzchem dłoni w jedną z kartek.

- Co to takiego?

- Lista wierzycieli. - Spojrzał na Celestrię spod lekko uniesionych brwi. - *Signor Montague* zostawił za sobą sporo rozwścieczonych ludzi, domagających się zwrotu pieniędzy...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Do pokoju wsunęła głowę zdenerwowana sekretarka.

- *C'è una signara alia porta che dice di volerti vedere, dice che é urgente. E' arrivata direttamente da Parigi...*

Salazar uśmiechnął się do Celestii, ale znowu rozluźnił krawat.

- Proszę jej powiedzieć, że jestem zajęty - odparł chłodno. - Niech przyjdzie jutro.

Kobieta kiwnęła głową i zamknęła za sobą drzwi. Celestria utkwiała w prawniku pytające spojrzenie.

- Wygląda na to, że jestem dziś dosłownie obelżony przez kobiety!

Szczęściarz ze mnie! - Sięgnął po cygaro i zaciągnął się głęboko. - Zaraz, zaraz, o czym to mówiliśmy?

- O interesach mojego ojca. Prowadził je sam?

- Nie, miał współnika, no i hrabinę, oczywiście...

- Hrabinę? - Celestria skrzywiła się lekko. - Hrabinę Va-lonya?

Sekretarka znowu otworzyła drzwi, tym razem bez pukania.

- *Dice che la vedra. E' furiosa!*

Salazar zaśmiał się nerwowo. Kobieta nie skrywała przestachu, była blada i mówiła bardzo szybko, głośniejsz niż poprzednio.

- Ta dama, która właśnie przybyła, jest we mnie zakochana - oświadczył Salazar z pompatycznym westchnieniem, kiedy sekretarka zniknęła. - Co mam robić? Francuzki są bardzo przebojowe, nie przyjmują do wiadomości odmowy... Wcześniej codziennie wydzwaniała do mnie z Paryża, domagając się spotkania, wyobraża pani sobie? - Na chwilę zawiesił głos. - Mam do czynienia z najrozmaitszymi ludźmi, *signo-rina*, obracam się w różnych kręgach, od byłego króla Włoch po obecnego króla naftowego... Wszystkich traktuję tak samo,

z wielkim szacunkiem. Ta praca wymaga dyskrecji. Moi klienci to wysoko postawieni ludzie, którym nie mieści się w głowie, że ktoś mógłby ich zwodzić i oszukiwać... - Zmrużył powieki i patrzył na Celestrię przez mglisty woal dymu. - Pani ojciec był hazardzistą. Czasami wygrywał, kiedy indziej przegrywał, ale ogólnie biorąc, grał o trochę za wysokie stawki. Rozumie pani, o co mi chodzi?

Celestria powoli skinęła głową, chociaż wolałaby, aby Salazar wyrażał się jaśniej.

- Jaka rolę odgrywała w jego sprawach hrabina?

- Nigdy jej nie lubiłem. Powiedzmy, że jej rola była nieco dwuznaczna. *Signor* Montague przysyłał ją, kiedy sam nie mógł się zjawić. Hrabina była jak cień, który bez trudu wtapia się w ciemność...

Nagle rozległ się huk. Sekretarka wpadła do gabinetu, za drzwiami coś łomotało. Salazar zerwał się z fotela i zadzwonił po policję. Celestria ostrożnie wyjrzała zza drzwi. Szyba obok wejścia była rozbita, na podłodze leżały kawałki szkła. Po paru minutach do środka wkroczyło dwóch karabinierów w mundurach khaki. Salazar wyszedł na schody, z szybkością karabinu maszynowego wyrzucając z siebie słowa skierowane do kobiety, którą teraz wzięli między siebie policjanci. Kobieta odwróciła się i zasypała Salazara gradem obelg w języku francuskim, usiłując wyrwać się stróżom porządku.

Celestria zdążyła zauważyć, że zatrzymana była w średnim wieku, wielkiej urody, o lśniących, rozdzielonych z boku brązowych włosach, zaczesanych w gładki kok. Miała na sobie kremowy, dopasowany w talii kostium z wąską spódnicą nieco za kolana. Nosła pantofle na wysokich obcasach w dokładnie tym samym jasnym kolorze co elegancka torebka. W żadnym razie nie wyglądała na osobę, która rzuca cegłą w okno; Celestria od razu wyobraziła ją sobie na przyjęciu, z kieliszkiem szampana w jednej ręce i zapalniczką w drugiej.

Salazar wylewnie uściśnął dłoń Celestrie. Dziewczyna nie miała cienia wątpliwości, że zataił ważne informacje, był jednak śliski jak węgorz i w tej chwili nic więcej nie mogła zrobić.

Wyszła niechętnie, świadoma, że niczego się nie dowiedziała. Hrabina wykonywała brudną robotę za jej ojca - w to łatwo mogła uwierzyć, ale nie miała pojęcia, co to właściwie oznaczało... Salazar nie zdradził żadnych szczegółów, ona zaś nie dysponowała żadnymi środkami, aby dowiedzieć się, czy ojciec faktycznie wycofał swoje pieniądze. Bardzo żałowała, że nie ma przy sobie dziadka, ponieważ zrozumiała, że sama nigdy nie rozwikła ponurej zagadki.

Wyszła na *plac* i usiadła na ławce w słońcu. Ulicą przejechał konny wóz, załadowany meblami z sosnowego drewna. Popatrzyła na woźnicę i szczerze pozazdrościła mu dość beztroskiego życia. Gdy zaburczało jej w brzuchu, spojrziała na zegarek i spostrzegła, że dochodzi już druga, a ona od śniadania nic nie jadła. Myślała o ogromnej sumie, którą Monty jakoby wycofał z konta Salazara na tydzień przed śmiercią. Komu przekazała ją hrabina? Czy Monty był szantażowany? A jeżeli tak, to dlaczego nikomu nie powierzył nękających go trosk? Przez ostatnie dwa lata w ogóle nie pracował, trwonił tylko pieniądze rodziny. Gdzie podział się cały ich majątek? I przed czym Monty uciekł?

Celestria podniosła się z ławki i ruszyła w stronę Convento, kiedy nagle jej wzrok zatrzymał się na budynku posterunku policji po drugiej stronie placu. Ciekawość w jednej chwili pokonała głód i dziewczyna postanowiła sprawdzić, co stało się z napastliwą Francuzką. Na placu i ulicy nie było żywej duszy. Rozejrzała się dookoła, przystanąła u stóp schodów i nadstawiła uszu.

Z wewnątrz dobiegł wybuch śmiechu, a potem kobiecy głos, gładki i jedwabisty jak skondensowane mleko. Rozpoznała go bez trudu. Przyszło jej do głowy, że gdyby zdołała nakłonić Francuzkę do współpracy, może razem dowiedziałyby się czegoś interesującego o tajemniczym Salazarze. Uznała, że nie ma nic do stracenia.

Weszła do środka i zobaczyła Francuzkę, która siedziała na krześle, otoczona wianuszkiem ośmiu zachwyconych policjantów. Jeden zapalał jej papierosa, którego trzymała mię-

dzy szkarłatnymi wargami, drugi podawał małą filiżankę kawy. Wszyscy śmiali się z czegoś, co przed chwilą powiedziała. Jej włoski brzmiał nienagannie.

Na widok Celestii zmrużyła oczy i natychmiast przestała się śmiać.

- *Chi è lei?* - rzuciła, wskazując dziewczynę ruchem głowy.

- Rozmawiałam z Salazarem, kiedy pani...

- Kiedy rozbiłam cegłą jego okno - dokończyła Francuzka płynnym angielskim z wyraźnym akcentem. - Ale co to panią obchodzi?

Zaciągnęła się i wypuściła dym z ust, z lekceważeniem patrząc na Celestrię. Policjanci nie kryli rozbawienia.

- Wydaje mi się, że jesteśmy w podobnej sytuacji - powiedziała Celestria.

- Może pani sobie myśleć, co się pani podoba, *chérie*... Celestria westchnęła. Francuzka nie okazywała najmniejszej gotowości do współpracy.

- Mogłybyśmy porozmawiać w cztery oczy? Kobieta zaśmiała się złośliwie.

- Może umknęło to pani uwadze, ale jestem aresztowana. - Ogarnęła wzrokiem swoich wielbicieli, poprawiła jednemu czapkę i poklepała ją żartobliwie. - Chyba powinna pani poszukać sobie ciekawszego miejsca... Celestria zamrugnęła, dotknięta do żywego i rozgniewana. Francuzka powiedziała coś po włosku, policjanci spojrzeli na Celestrię i zgodnie parsknęli śmiechem. Dziewczyna odwróciła się na pięcie i wybiegła z twarzą zaczerwienioną z upokorzenia.

Założyła ręce na piersi i zdecydowanym krokiem ruszyła do Convento drogą między sosnami.

- Popęłniłam poważny błąd, przyjeżdżając tutaj - mamrotała ze złością. - Dlaczego ci wszyscy ludzie zachowują się w taki okropny sposób, na miłość boską?!

Jej wzrok mimo woli powędrował ku murowi, za którym rozciągało się miasto zmarłych. Kiedy dotarła do Convento, w drzwiach do holu wpadła na Hamisha. Zesztywniała ze

złości, bez zastanowienia wyrzuciła z siebie to, co leżało jej na sercu.

- Och Boże, to znowu pan! Jedyna osoba, której nie miałam ochoty dzisiaj spotkać!

- Ja... - zaczął niepewnie Hamish, wyraźnie zaskoczony.

- Proszę sobie darować! - przerwała mu z ciężkim westchnieniem. - Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest, ale dosłownie roi się tu od bardzo nieuprzejmych ludzi! W moim kraju wszyscy są uprzedzająco grzeczni i dobrze nastawieni do obcych. I wie pan co? To, co mówię, wcale nie dotyczy Włochów! Nie, Nuzzo jest prawdziwym skarbem, a Freddie i Gaitano są po prostu uroczy! Nieuprzejmi są Szkoci i Francuzi, którzy przecież powinni wiedzieć, jak należy się zachowywać!

- Powiniennem przeprosić... - odezwał się pośpiesznie Hamish, wyraźnie zaniepokojony jej wybuchem.

- Na przeprosiny jest już za późno! Miał pan mnóstwo okazji, aby zrobić to wcześniej, ale co mnie to właściwie obchodzi... Przyjechałam tu, żeby załatwić ważną sprawę, bynajmniej nie na wakacje! I nie ma znaczenia, czy potrafię się dogadać z kimś takim jak pan, czy nie! Najważniejsze jest dla mnie zadanie, które mam wykonać, więc może jednak po-krzyczałby pan sobie na kogoś innego, co? Nie mam czasu, śpieszy mi się. -

Skrzyżowała ramiona i rzuciła Hamishowi buntownicze spojrzenie. -

Należałoby poznać pana z tą Francuzką, na którą miałam nieszczęście się natknąć! Jestem pewna, że od razu przypadlibyście sobie do serca!

Hamish niechętnie odsunął się na bok, żeby ją przepuścić. Był oszołomiony. Nie spodziewał się ataku ze strony Celestii i jej agresywne zachowanie zupełnie zbiło go z tropu. Patrzył, jak idzie przez dziedziniec i wbiega na schody. Nawet się nie obejrzała, nie mówiąc już o tym, że nie przyjęła jego przeprosin.

Po lunchu Celestria ułożyła depeszę do dziadka. Napisała, że Salazar okazał się wyjątkowo mało pomocny i że najprawdopodobniej ukrywa interesujące ją fakty. Że ona sama nie zna włoskiego i nie ma żadnych „koneksji”, które mogłaby wykorzystać. Wspomniała też o Francuzce i jej zachowaniu wobec Salazara. Zakończyła pytaniem, co ma dalej robić. Ruszyła do miasteczka, aby poszukać poczty.

Pani Waynebridge i Nuzzo szli drogą wiodącą po szczytach klifów, gdzie na skalistej glebie miejscami pojawiały się kępki szorstkiej trawy i zioła. Kędzierzawe owce pasły się na spadzistych zboczach, najwyraźniej całkowicie wolne od lęku przed upadkiem ze skał. Powietrze słodko pachniało leczniczym eukaliptusem, a fale rytmicznie uderzały o kamienisty brzeg. Nuzzo zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając opalone, muskularne ramiona. Beret chronił jego głowę od słońca, lecz twarz miał mocno ogorzałą i wysmaganą wiatrem, bo większą część życia spędzał na świeżym powietrzu, narażony na działanie sił przyrody.

Pani Waynebridge spociała się pod kapeluszem i z przyjemnością wystawiała twarz na powiew świeżej bryzy znad oceanu. Słońce stało wysoko na niebie i biała, usiana piegami skóra na przedramionach kobiety na jej oczach szybko przybierała różowawy odcień. Nuzzo żartobliwym tonem próbował uczyć ją włoskiego, wskazując rozmaite rzeczy i wymawiając ich nazwy tak samo wyraźnie i dobitnie, jak przedstawił się przybyłym przed kilkoma dniami.

- *Pécora* - powiedział, wskazując owce.

- *Pécora* - powtórzyła pani Waynebridge. Twarz Nuzza rozjaśnił radosny uśmiech.

- *Pécora, brava!* - Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś innego. - *Mare* - wyciągnął rękę w kierunku morza. - *Mare!*

- *Mare...*

- *Brava, signara! Mare...*

Serce pani Waynebridge wezbrało wzruszeniem. Entuzjazm Nuzza sprawiał, że znowu czuła się młoda.

- *Cielo* - Nuzzo podniósł rękę do góry. - *Cielo...*

- *Cielo* - powtórzyła.

Potrząsnął głową, wyraźnie zachwycony.

- *Bravissima!*

Schylił się i zerwał mały żółty kwiatek, który rósł między dwoma białymi kamieniami.

- *Piore* - wymówił wyraźnie, podając kwiat pojętnej uczennicy.

- *Piore...* - powtórzyła cicho.

Nuzzo popatrzył na nią z nieskrywaną czułością.

- *Bella...* - rzekł nieśmiało.

Pani Waynebridge głośno przełknęła ślinę. Nawet ona wiedziała, co znaczy słowo „bella”.

- *Bella...*

- *No, signora!* - Nuzzo pokręcił głową i dotknął jej dłoni. - *Lei é bella...*

Pani Waynebridge zamrugła niepewnie.

- Ja? - wyszeptała.

- *Si, signora. Lei é bellissima.*

*

Celestria wróciła z poczty i wyszła przez kuchnię do ogrodu. Usiadła na ławce, otoczonej glinianymi donicami z lawendą i wśród aromatycznej ciszy zaczęła się zastanawiać nad następnym krokiem. Spotkanie z Salazarem nic nie dało, więc teraz nie pozostało nic innego, jak tylko czekać na instrukcje dziadka. Chociaż bardzo się starała, nie potrafiła wyrzucić z myśli twarzy Hamisha, która przy każdej okazji pojawiała się przed jej oczami, natrętnie domagając się uwagi. Uratował ją dopiero powrót pani Waynebridge, zaróżowionej i radosnej, która poruszała się lekkim, prawie tanecznym krokiem i co chwilę wachała trzymanym w ręku żółty kwiatek.

- Niczego się nie dowiedziałam - wyznała szczerze Celestria. - 1
doprawdy nie mam pojęcia, gdzie miałabym teraz szukać informacji.
Starsza pani usiadła obok niej, wdzięczna za cień, który rzucał na ławkę duży płócienny parasol.

- Możliwe, że szukasz czegoś, co nie istnieje...

- Istnieje, istnieje... Ten drań nie chciał mi nic powiedzieć, i tyle. Bawił się ze mną jak kot z myszą. Nie mówię po włosku, więc nie mam szans sprawdzić, czy mówił prawdę.

- To może wyciągnij się na trawie i ciesz wakacjami... - Pani
Waynebridge uśmiechnęła się tajemniczo i zdjęła kapelusz, żeby się nim powachlować. - Jesteśmy w takim pięknym miejscu... *Bella, pécora, cielo, mare, flore, bella...*

Umilkła.

- Nie spocznę, dopóki się nie dowiem, dlaczego ojciec popełnił samobójstwo - oznajmiła twardo Celestria. - Podejrzewam, że powodem był szantaż.

- Szantaż?

- Przepraszam cię, Waynie... Nie wiem, dlaczego spodziewam się, że od razu wszystko zrozumiesz, skoro nie opowiedziałam ci o spotkaniu z Salazarem... Nic z niego nie wynikło, ale spotkałam okropną Francuzkę, która rzuciła cegłą w okno

biura Salazara i została zatrzymana przez policję. Nie ulega wątpliwości, że Safazar nie jest osobą szczególnie popularną i cieszącą się sympatią, a w tym miasteczku kręci się mnóstwo wyjątkowo nieuprzejmych, odrażających ludzi...

*- I całkiem sporo bardzo miłych... - Pani Waynebridge popatrzyła na kryjące się w cieniu sosen domki za pomarańczowym gajem.

- Przypuszczam, że znowu flirtowałaś, tak? Naprawdę, Wayne, jestem wstrząśnięta! Jesteś tu przecież dopiero kilka dni!

Pani Waynebridge pokręciła w palcach żółty kwiatek.

- Odrobina flirtu nikomu nie zaszkodzi... - Westchnęła. - Od śmierci Alfiego chyba ani razu nie spojrzałam na innego mężczyznę... A ten Nuzzo to bardzo miły człowiek.

- Jak się porozumiewacie? On nie zna angielskiego!

- Jakoś sobie radzimy...

Celestria nie mogła usiedzieć na miejscu i zaproponowała spacer, lecz pani Waynebridge, zmęczona poranną wycieczką, odmówiła. Miała wielką ochotę posiedzieć spokojnie na słońcu, sama ze swoimi myślami. Od dawna nie nawiedzały jej tak miłe refleksje... W tej sytuacji Celestria wyruszyła na przechadzkę sama. Bardzo rozgniewała się na samą siebie, kiedy odkryła, że wszędzie szuka wzrokiem Hamisha.

Na szczycie klifu natknęła się na panią Halifax, która malowała ruiny starej fortecy.

- Czy wiesz, że Apulia znajdowała się pod władzą Greków, Rzymian, Bizantyńczyków, Normanów, Francuzów, Hiszpanów i

Neapolitańczyków? - Pani Halifax nie odrywała wzroku od morza. - Te strażnice budowano po to, aby jak najwcześniej ostrzec ludność przed atakami Turków. Wartownicy rozsyłali sygnały, zapalając ogniska lub pochodnie. Bardzo romantyczne, nie sądzisz?

Celestria usiadła na suchej, kłującej trawie i także zapatrzyła się na morze.

- Można tu też znaleźć przepiękne budowle w arabskim stylu - ciągnęła pani Halifax. - Apulia to kocioł, w którym wy-

mieszały się wpływy wielu kultur. Bardzo lubię tę część Włoch.

- Myślałam, że Apulia będzie podobna do Toskanii... Pani Halifax się roześmiała.

- W żadnym razie! I właśnie w tej odmienności kryje się jej wielki urok!

- Bardzo dobrze pani maluje. - Celestria popatrzyła na płótno.

- Mam za sobą kilkanaście lat praktyki.

- I nie nudzi to panią?

- Skądże znowu... Dlaczego miałoby mnie nudzić? Każda scena, jaką maluję, jest inna.

- Ale ciągle jest pani sama!

- Otoczona niezwykłym pięknem przyrody... To piękno napełnia moją duszę i nie pozwala cierpieć z powodu samotności. Poza tym, naprawdę lubię przebywać sama, w towarzystwie własnych myśli. Wspominam przeszłość i to daje mi dużo radości.

- Dlaczego przestała pani jeździć do Francji?

- Ach, rozbudziłam twoją ciekawość!

- Obiecała mi pani, że opowie, jaki był powód. Pani Halifax odłożyła pędzel.

- Zakochałam się.

Celestria popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Zakochała się pani?

- Wiem, co myślisz, przecież starsze damy nie zakochują się, bo to nie przystoi... Ale nie było tak, jak sądzisz. Zakochałam się w małym chłopcu, który mieszkał w *château*...

- Ach, tak... - Celestria pokiwała głową.

- Jego matka pracowała w hotelu, a on był niemową. Uroczy, śliczny malec o bardzo jasnych, prawie białych włosach i dużych, pełnych ciekawości i inteligencji błękitnych oczach... Przypominał mi mojego synka... - Westchnęła i znowu zaczęła malować. - I nagle, pewnego dnia w czasie mszy zdarzył się cud - Bóg oddał chłopcu głos...

- To był prawdziwy cud?

- Tak. Prawdziwe cuda się zdarzają, chociaż rzadko. Czasami wystarczy im na to pozwolić...

- I co się stało z tym chłopcem?

- Wyjechał na stałe do Ameryki. Jego matka zakochała się w Amerykaninie, który przyjechał do hotelu. Nie dziwię się, bo był to przystojniak jakich mało... Kiedy wyjechali, pobyt w *chateau* przestał mnie bawić. Bez Mischy zamek wydawał się zimny, pusty i pozbawiony radości. Nigdy tam już nie wróciłam, ale nie zapomniałam o chłopcu. Ma w moim sercu specjalne miejsce, obok mojego syna i męża.

- To musi być bolesne miejsce...

- Bolesne? Nie, kochanie, najbardziej radosne, jakie znam, pełne jasnych, pogodnych wspomnień o tych, których kochałam... Z czasem dowiesz się, że miłość pojawia się pod różnymi postaciami i uderza wtedy, kiedy najmniej się jej spodziewasz, a często nawet wtedy, gdy wcale jej nie pragniesz i nie szukasz. Czasami zagarnia cię tak szybko, że aż trudno uwierzyć. I w końcu okazuje się, że nie ma ważniejszej rzeczy niż miłość... Tylko ją zabieramy ze sobą na drugą stronę życia...

Starsza pani patrzyła na morze z lekkim, pełnym zachwytu uśmiechem.

- Bardzo tutaj cicho, prawda? - odezwała się Celestria po dłuższej chwili.

- Minie trochę czasu, zanim uwolnisz się od trującego wpływu wielkiego miasta.

- Och, ale ja uwielbiam Londyn!

- Ja też go lubię, oczywiście w bardzo małych dawkach! Chcesz może coś namalować?

- Nie sądzę, żebym potrafiła!

- Może jednak spróbuj, co ty na to? *Zajrzy*) do mojej torby, jest tam mały szkicownik. Weź kawałek węgla i narysuj coś. Nie musisz przecież nikomu pokazywać...

Celestria doszła do wniosku, że dopóki dziadek nie odpowie na jej depeszę, rzeczywiście nie ma nic do roboty. Postanowiła naszkicować panią Halifax. Starsza kobieta miała na głowie słomkowy kapelusz i siedziała w cieniu powoli usy-

chającego świerku, którego gałęzie pokryte były kłującymi, zrudziałymi igielkami. Co jakiś czas ustawiała sobie pędzel na wprost nosa, aby w przybliżeniu zmierzyć odległość. Rysując, Celestria zabawiała malarkę opowieściami o swojej rodzinie w Kornwalii. Pani Halifax śmiała się głośno.

- Och, strasznie zabawne z ciebie dziecko! - powiedziała, ocierając oczy. - Twoja ciotka Penelope to prawdziwy żandarm, w każdym razie tak ją przedstawiasz.

- Wyraża się bardzo soczyście - dodała Celestria, zadowolona z efektu. - Jej styl wysławiania się przypomina miskę soczystych, dojrzałych śliwek. Szkic wyszedł okropnie, ale Celestria wcale się tym nie przejęła. Odkryła, że cieszy ją spokojne popołudnie, cichy szum fal, liżących kamienie u stóp klifów, i odległe ujadanie psów. Cieszyło ją też towarzystwo pani Halifax.

- Jesteś bardzo ładną dziewczyną, Celestrio. Na pewno masz w Anglii kilku wielbicieli, prawda?

Celestria przelotnie pomyślała o Aidanie.

- Raczej nie... - odparła.

Nagle dotarło do niej, jak bardzo mija się z sensem okłamywanie kogoś, kto nie ma nic wspólnego z jej życiem w Anglii.

- Szczerze mówiąc, zaręczyłam się z kimś - dodała.

- W takim razie będziesz musiała zerwać zaręczyny, prawda?

Celestria zamrugnęła ze zdziwienia.

- Dlaczego miałabym je zerwać?

- Ponieważ nie jesteś zakochana, to oczywiste.

- Ale on jest bardzo miły...

- Jeżeli „miły” to najlepsze określenie, jakie przychodzi ci do głowy, zdecydowanie powinnaś zrezygnować ze spaceru do ołtarza. Kiedy byłam w szkole, nauczyciele zabraniali nam używać słowa „miły”, ponieważ uważali je za płytkie i pozbawione treści. Moja droga, jeżeli ziemia nie poruszyła się pod tobą, na pewno nie jest to mężczyzna twojego życia.

- Nigdy nie czułam, żeby ziemia poruszyła się pode mną, pani Halifax!

- Bo jesteś jeszcze dzieckiem, kochanie! Masz mnóstwo czasu na takie przeżycia, wszystko jeszcze przed tobą... Ziemia na pewno poruszy się pod tobą i jakimś mężczyzną, wierz mi. Poruszy się, zadrży i zawiruje, a ty nie będziesz miała żadnych wątpliwości, że wreszcie się zakochałaś.... A skoro już rozmawiamy o tak osobistych sprawach, to przestań zwracać się do mnie w ten potwornie oficjalny sposób. Mam na imię Daphne. Tego wieczoru, biorąc kąpiel przed kolacją, Celestria zastanawiała się, jak dziadek przyjął jej depeszę. Miała nadzieję, że wkrótce do niej dołączy. Spędziła dużo czasu w swoim pokoju, nacierając ciało olejkami i malując paznokcie u stóp jasnoróżowym lakierem. Nagle przez otwarte okno dobiegł ją z dziedzińca znajomy głos. Owinęła się ręcznikiem i ostrożnie wyjrzała, unosząc żaluzje. Pod jej oknem stał Hamish, pogrążony w rozmowie z teściem. Żołądek Celestrie skurczył się ze zdenerwowania. Hamish wskazywał palcem różne miejsca pod krążankiem, a Gaitano w zamyśleniu pocierał dłonią brodę. Rozmawiali po włosku.

Celestria zaczęła się ubierać. Drżała na całym ciele, podniecona nagłym przyływem adrenaliny. Uznała, że dobrze zrobiła, stawiając czoło Hamishowi - ta nieunikniona konfrontacja przywróciła jej pewność siebie. Szybko włożyła ładną białą sukienkę do połowy łydek, która znakomicie podkreślała smukłą sylwetkę, oraz rozpinany błękitny kaszmirowy sweter, skropiła perfumami przeguby dłoni i zagłębienia pod uszami. Była przekonana, że tego dnia Hamish zjawi się na kolacji, chociażby po to, aby dowieść, że to do niego należy ostatnie słowo. Po kamiennych schodach zbiegła prosto na dziedziniec. Zerknęła na małe drzwi, za którymi kilka minut wcześniej zniknęli Hamish i Gaitano, z nadzieją, że lada chwila znowu się pojawią. Schyliła się i poklepała Prima, który sennie przeciągał się na jednej ze szkarłatnych poduszek, leżących obok

niskiego stołu zajętego przez pięknie wykonane, ręcznie haftowane lalki z Afganistanu. Grała na czas, ale Hamish już się nie pojawił. W końcu, kiedy zauważyła, że na dworze robi się coraz ciemniej, zrozumiała, że musieli pójść na kolację.

Fani Halifax zajęta była ożywioną rozmową z panią Waynebridge i Federicą, lecz Hamisha i Gaitana nie było w jadalni.

- Przepraszam za spóźnienie... - bąknęła Celestria, zajmując miejsce obok Federiki, naprzeciwko pozostałych dwóch kobiet.

- W Convento nie ma czegoś takiego jak „spóźnienie” - uśmiechnęła się Federica. - Jesteście naszymi gośćmi i możecie przychodzić i wychodzić, kiedy wam się podoba... Poza tym wcale nie przyszedł ostatnia.

- Ślicznie wyglądasz, Celestrio - zauważyła pani Waynebridge. - Nie uważa pani, że w tej sukience jest jej przepięknie, pani Halifax?

- Och, gdybym tak mogła znowu być młoda i nosić takie urocze, kobiece szmatki... - Pani Halifax westchnęła, uśmiechając się do Celestrie. -

Rekompensuję sobie tę stratę moimi śmiesznymi, zabawnymi bucikami. Celestria dostrzegła na stole jeszcze dwa nakrycia i uznała, że przeznaczone są dla Gaitana i Hamisha. Jej serce znowu zabiło szybciej na myśl o spotkaniu z mrocznym, lecz fascynującym Szkotem.

- Dosłownie przed chwilą przysłała do ciebie depesza - powiedziała Federica. - Weź, zanim zapomnę ci ją dać.

Wyjęła z kieszeni białą kopertę, którą Celestria natychmiast otworzyła, nie kryjąc podniecenia.

- To od mojego dziadka - oświadczyła radośnie, lecz zaraz przez jej twarz przemknął cień rozczarowania. - Nie przyjedzie - wymamrotała.

- Co napisał? - spytała pani Waynebridge.

Miała nadzieję, że nie będą musiały wyjeżdżać właśnie teraz, kiedy zaczęła się dobrze bawić. Zasuszyła już mały żółty kwiatek między kartkami książki.

- „Mój najdroższy Sherlocku, jeżeli ktoś potrafi rozwikłać tę zagadkę, to właśnie ty. Posłuż się sprytem i wyobraźnią. Chyba już najwyższy czas, aby Anglia zawarła pokój z Francją, nie uważasz?”

- Co on właściwie ma na myśli? - zdziwiła się pani Way-nebridge.

- Wiem, o co mu chodzi - rzekła z westchnieniem Celestria i spojrzała na Federicę. - Liczyłam, że może jednak przyjedzie i pomoże mi. Widzi pani, nie jestem tu na wakacjach... Chcę się dowiedzieć, dlaczego mój ojciec popełnił samobójstwo.

Federica zbladła.

- Monty popełnił samobójstwo?

- Niestety, nie powiedziałam wam całej prawdy...

- Nie czuj się winna. - Federica lekko dotknęła dłoni Celestria. - Jej twarz przybrała wyraz głębokiego smutku. - Nie byłoby lepiej zostawić go w spokoju? - dodała.

- W żadnym razie. Jestem zdeterminowana.

Zanim Federica zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach jadalni stanęła Francuzka, którą Celestria ostatni raz widziała na posterunku policji.

- Co za dzień - odezwała się ze zmęczeniem. - Naprawdę trudno o gorszy...

- Nie jest pani odosobniona w tym mniemaniu - zauważyła pani Halifax. Celestria z przerażeniem wpatrywała się we Francuzkę. Kobieta miała teraz na sobie granatowe spodnie i dopasowaną bluzkę w biało-niebieskie pasy, a na szyi jedwabny szal. Długie włosy zaczesła do tyłu i ściągnęła w koński ogon. Nad górną wargą widniała cieniutka biała blizna, która prawie sięgała nosa.

- Nie miała pani jeszcze okazji poznać Celestria - odezwała się Federica. Francuzka spojrzała na dziewczynę i natychmiast ją poznała.

- Spotkałyśmy się już. Przepraszam, że zachowałam się wtedy tak nieuprzejmie... - Wyciągnęła rękę. - Jestem Armel.

Usprawiedliwia mnie chyba tylko to, że miałam wyjątkowo zły dzień...

- Odniosłam wrażenie, że całkiem nieźle się bawiłaś - zauważyła

Celestria sarkastycznym tonem,

- Pozory mogą mylić, nie wiesz, jak wyglądało to z mojej strony...

Francuzka usiadła. Luigi nalał jej wina, najpierw je powąchała, a potem pociągnęła mały łyk.

- Bardzo dobre - oceniła. - Jak na włoskie wino... Federica zignorowała tę uwagę, lecz Celestria uznała ją za

bardzo niegrzeczną.

- Co robiłaś w biurze tego kłamliwego szczura? - pytała Armel.

Celestria zeszywniała z oburzenia, zaraz jednak przypomniała sobie radę dziadka i uznała, że nie warto wszczynać wojny, z której i tak nie wynikną dla niej żadne korzyści. Postanowiła podsunąć Francuzce fajkę pokoju.

- Podejrzewam, że ukradł pieniądze mojego ojca - odparła, nie spuszczać wzroku z Armel.

Federica potrząsnęła głową.

- Nic powierzyłabym Salazarowi ani grosza... - mruknęła.

- To pompatyczny dureń! - warknęła Celestria.

- Najwyraźniej coś jednak nas łączy - oświadczyła Armel, splatając długie opalone palce. - Mam podstawy podejrzewać, że Salazar okradł mojego męża...

- Myślisz, że co tydzień musi korzystać z usług szklarza? - Celestria uśmiechnęła się słabo.

- To aż nieprawdopodobne! - wykrzyknęła Federica. - I obie zjawiliście się tutaj w tym samym czasie, nie do wiary!

- Ten cały Salazar chyba jeszcze nie zdążył się zorientować, komu nadepnął na odcisk... - Pani Halifax się roześmiała.

- Próbowałam wydobyć jakieś informacje z tutejszych policjantów - powiedziała poważnie Armel, patrząc na Celestrię głęboko osadzonymi brązowymi oczami.

- A mnie się wydawało, że tylko przyjmujesz hołdy! - zażartowała Celestria.

Armel się nie uśmiechnęła.

- Liczyłam, że dowiem się, czym się naprawdę zajmuje -ciągnęła. - Może jest notowanym przez policję oszustem albo czymś w tym rodzaju.

Dostrzegła zdumienie w oczach Celestria i ze zniecierpliwieniem klasnęła językiem o podniebienie.

- Me poradzę sobie z tym sama... Nie mam żadnych znajomości tutaj, we Włoszech. Tylko przypadkiem odkryłam, że mój mąż przekazywał pieniądze Salazarowi. Muszę się dowiedzieć, co się z nimi stało. Salazar twierdzi, że mój mąż je wycofał, ale to nieprawda!

Uśmiech znikł z twarzy Celestria. Dziewczyna zbladła i na moment przymknęła oczy.

- Twój mąż wysłał pieniądze Salazarowi? - spytała powoli.

- Wysłał. Mój mąż nie żyje.

Federica z zaskoczeniem popatrzyła najpierw na Armel, potem na Celestrię.

- Zaczynam się bać - szepnęła, zaciskając palce na zwisających z jej szyi koralach. - To jakieś szaleństwo...

Celestria nagle zakręciło się w głowie, twarz Armel widziała teraz jak przez mgłę.

- Łączy nas więcej, niż sądziłaś - powiedziała. - Mój ojciec także nie żyje...

Chłodna obojętność Armel rozwiąła się w jednej chwili. W jej oczach zalśniły łzy, usta zadrżały.

- Wybacz mi - rzekła cicho.

Zanim zdążyła odzyskać równowagę, Celestria i pani Waynebridge wymieniły przestraszone spojrzenia. Fani Halifax nie wiedziała, jak zareagować na ten nagły zwrot akcji, a Federica odniosła wrażenie, że traci grunt pod nogami. Wszystko wskazywało na to, że w Marelatte dzieje się coś bardzo złego.

- Musimy porozmawiać, ty i ja - odezwała się wreszcie Armel. - Może cała ta sytuacja dotyczy nie tylko nas...

- Myślisz, że oszukał nie tylko nas?

- Oczywiście! - Wzruszyła ramionami. - Sałazar to hochsztapler, bez dwóch zdań! Sądzę, że mój mąż został zamordowany i że za tym morderstwem stoi właśnie Sałazar...

- Co z tym zrobimy? - Celestria zaczęła ogryzać skórkę wokół kciuka. Piękna twarz Armel wydawała się teraz starsza, ale i łagodniejsza.

- Nie wiem... - Uśmiechnęła się lekko, chociaż w jej oczach malowała się beznadziejna rozpacz. - Na szczęście mamy siebie...

- Nie zapominajcie o nas - powiedziała Federica, której policzki odzyskały już normalną barwę. - Macie także nas! Pamiętajcie, że jestem Włoszką i mam tu znajomości.

Odwróciła się do Celestria. Wyraz zawołanej podejrzliwości na jej twarzy wreszcie zniknął.

- Chcę wam pomóc - oznajmiła szczerze. - Naprawdę chcę...

W tej chwili do jadalni wszedł Gaitano w asyście Prima i pozostałych psów.

- Proszę wybaczyć mi spóźnienie - rzekł pogodnie, zajmując ostatnie wolne miejsce.

Celestria poczuła ostre ukłucie rozczarowania, gdy zrozumiała, że Hamish nie usiadzie z nimi do kolacji.

- Miałem parę spraw do omówienia z zięciem - wyjaśnił Gaitano. -

Budowa mojej biblioteki to stale rozrastający się projekt... Dzieło miłości.

- Nadal przebudowujemy niektóre części Convento - dodała Federica, starając się rozproszyć ponurą atmosferę, jaką wniosły do jadalni dwie cudzoziemki.

Jej sztuczna pogoda ducha nie zwiodła jednak Gaitana.

- Co się dzieje? - zapytał poważnie, patrząc na cztery kobiety.

Federica westchnęła i opowiedziała mu całą historię.

- To bardzo zagadkowa sytuacja - zakończyła. - Anglik i Francuz zginęli po przekazaniu ogromnych sum na konto Salazara...

- Mój mąż nie był Francuzem - sprostowała Armel. - Był Anglikiem.
- Mój ojciec prowadził interesy w Paryżu - rzekła Celestria.
- Mój mąż bardzo często jeździł w interesach do Londynu...
- Nie przypuszczasz chyba... - Celestria umilkła.

Nie sądziła, aby wszystko to było wyłącznie zbiegiem okoliczności.

- Że się znali? - dokończyła Armel, pociągając łyk wina. -A właściwie dlaczego nie?

Po kolacji Armel zgasiła trzeciego papierosa i dopiła wino.

- Jedno mogę wam powiedzieć, z pewnością nie wyjadę stąd, dopóki nie zdemaskuję mordercy mojego męża -oświadczyła, niepewnie podnosząc się z krzesła.

Bardzo różniła się teraz od ostrej, aroganckiej kobiety, którą Celestria widziała na posterunku policji. Sprawiała wrażenie kruchej i zrozpaczonej, bursztynowy blask świec podkreślał cienie pod oczami. Gaitano wstał.

- Proszę pozwolić, abym odprowadził panią do pokoju -zapropował. Armel nie odmówiła.

Pani Waynebridge z troską spojrzała na Celestrię.

- Masz za sobą długi dzień, skarbenku - odezwała się serdecznie. -

Powinnaś porządnie się wyspać, moja mała...

Celestria wiedziała, że Wayne ma rację, bo głowa bolała ją ze zmęczenia i nadmiaru przeżytych wrażeń. Pożegnała się z Federicą i panią Halifax, i wyszła z jadalni razem z panią Waynebridge.

Idąc korytarzem, zauważyła kilka schodów, prowadzących do pomieszczenia, którego wcześniej nie widziała. Drzwi by-

ły otwarte i w środku paliło się światło, chociaż nikogo tam chyba nie było. Kątem oka dostrzegła stół zastawiony słoiczkami z farbami. Serce nagle zabiło jej mocniej. Pomyślała, że jest to zapewne studio Hamisha i zupełnie niespodziewanie odkryła, że wcale nie jest aż tak bardzo zmęczona. Gdy pani Waynebridge zostawiła ją w pokoju, stanęła przed lustrem w ładnej białej sukience i uważnie popatrzyła na swoje odbicie. Taka wystrojona, a nie ma dokąd pójść, przemknęło jej przez głowę. W Marelattc nie było żadnych przyjęć ani balów, był tylko Hamish, mroczny i zagadkowy. Hamish, który najwyraźniej nadal jej unikał. Cicho zamknęła drzwi pokoju i na palcach pobiegła w kierunku schodów, wiodących do pracowni mężczyzny, który rozpalał jej wyobraźnię. Czujnie rozejrzała się dookoła, weszła po stopniach i ostrożnie pchnęła drzwi, które lekko zaskrzypiały. Z okna kwadratowego pokoju roztaczał się widok na morze. Księżyc w pełni rozjaśniał powierzchnię wody śmiałymi srebrzystymi pasmami. Po lewej stronie znajdował się stół pokryty zaciekami zaschniętej farby oraz barwnymi słoiczkami i tubami akwareli i farb olejnych. W rogu stały brudne słoje z pędzlami i ustawione jedno na drugim wąskie brązowe pudełka. Po prawej pod ścianą drzemały duże płótna. Celestria z przerażeniem odkryła, że część z nich przedstawia ciemne, ponure, okropnie powykrzywiane twarze, inne zaś były tak abstrakcyjne, że nie potrafiła nawet odgadnąć przewodniej myśli malarza. Odwróciła się i podeszła do opartego o sztalugi obrazu. Farba była jeszcze błyszcząca i wilgotna, nie ulegało więc wątpliwości, że Hamish malował go tego dnia. Obraz był ciemny, podobnie jak pozostałe. Jakiś człowiek siedział skulony na ziemi, okryty czarnym płaszczem, z odwróconą twarzą. Przed nim, w prawym rogu obrazu, widniały uchylone drzwi, za którymi widać było jasną, przesyconą złocistym światłem przestrzeń. Kontrast między blaskiem i mrocznym światem skulonego człowieka robił porażające wrażenie. Celestria wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła płótna. Szybko cofnęła palce i potarła je o drugą

dłoń, usiłując pozbyć się wciąż jeszcze lepkiej farby. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Całą sobą odbierała pragnienie artysty, aby szeroko otworzyć drzwi i wejść w światło. Obraz poruszył jej serce w dziwny, nieznany dotąd sposób i napełnił je głębokim współczuciem.

Nagle w korytarzu rozległy się kroki. Celestria zamarła. Nie miała się gdzie ukryć. Odwróciła się, gorączkowo szukając w myśli wymówki, jak wytłumaczyć Hamishowi, że znowu nieproszona wtargnęła do jego świata. Wcześniej działała pod wpływem fałszywej pewności siebie, teraz było jej zwyczajnie głupio. Kiedy na podłogę padł cień stojącego w progu mężczyzny, zrobiło jej się gorąco ze strachu i wstydu, Dałaby wszystko, by zagłuszyć głośnie, nieregularne bicie serca.

Podniosła wzrok i zobaczyła Gaitana, który patrzył na nią ze zdziwieniem. Odetchnęła z ulgą.

- Znowu uległam ciekawości, niestety - przyznała niepewnym tonem.

Gaitano uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ciekawość popycha panią do śmiałych posunięć...

- Chyba aż zbyt śmiałych... Pana zięć ma mi za złe, że weszłam do grobowca jego żony, więc pewnie udusiłby mnie, gdyby zastał mnie tutaj.

- Grobowiec Natalii to dla niego święte miejsce.

- Wiem o tym i rozumiem, że źle zrobiłam. Nie powinnam była tam zaglądać.

Gaitano westchnął.

- Uważam, że zmarłych nie wolno siłą zatrzymywać w naszym świecie...

Trzeba pozwolić im odejść...

- Sądząc po tych obrazach, Hamish nie jest gotowy, aby pozwolić jej odejść.

- Raczej nie chce - rzekł Gaitano. - Zadręcza się wyrzutami sumienia, bo był z nią wtedy, gdy spadła z klifu, i uważa, że ponosi winę za jej śmierć. Freddie i ja wiemy, że był to wypadek.

- Tak mi przykro... - szepnęła Celestria.

Popatrzyła na obraz. Teraz rozumiała, dlaczego Hamish nie

mógł dosięgnąć jasnej przestrzeni za drzwiami - uważał, że na to nie zasługuje.

- Natalia zginęła trzy lata temu. Nie chciałyby, żebyśmy ciągle trwali w żałobie. Była pogodnym, beztroskim duchem, wierzyła w życie po śmierci i nie bała się odejścia, więc chyba my także powinniśmy pozbyć się lęku...

- Śmierć mojego ojca rozdarła serce naszej rodziny - powiedziała Celestria.

Zależało jej, by wiedział, że ona także rozumie ból po stracie bliskiej osoby. Że nie jest przybyszem z zewnątrz, który pragnie pożywić się czymś nieszcześnie.

- Moja matka jest niepokieszona - ciągnęła. - Ojciec był całym jej światem, bez niego jest kompletnie zagubiona...

Gaitano spojrział na nią, w zamyśleniu pocierając podbródek.

- Jeżeli można w jakikolwiek sposób pomóc pani i Armel, chętnie to zrobię. Najlepiej będzie jeszcze raz zastanowić się nad tą sprawą po dobrze przespanej nocy. Każdy ma słabe punkty, nawet Salazar.

- Dziękuję - odparła Celestria.

- I proszę się nie bać Hamisha. Pod szorstką skorupą nosi miękkie, łagodne serce.

- Och, wcale się go nie boję! Możemy z łatwością uniknąć następnych spotkań!

Gaitano uśmiechnął się domyślnie.

- Oczywiście... - wymamrotał.

Kiedy wychodzili, zgasił światło i zamknął drzwi pracowni. Celestria miała ogromną ochotę zapytać, gdzie jest Hamish i dlaczego nie zjawił się na kolacji, ale ugryzła się w język. Gaitano odprowadził ją do drzwi jej pokoju i pożegnał się. Dziewczyna rozebrała się i umyła zęby. Gdy usiadła na brzegu łóżka, usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi i kroki na dziedzińcu. Instynkt kazał jej podejść do okna i ostrożnie rozchylić żaluzje. Z wielkim zdziwieniem ujrzała Hamisha, który stał nieruchomo, wpatrzony w jej okno. Przeczesał włosy palcami i wyraźnie się wahał, jakby zastanawiał się, co dalej

robić. Ich oczy spotkały się na sekundę, lecz Celestria natychmiast odskoczyła do tyłu jak oparzona, z policzkami oblanymi gorącym rumieńcem, zawstydzona, że pozwoliła się tak przyłapać. Zamarła bez ruchu, żałując, że rozchyliła deszczu-ki żaluzji, zwracając w ten sposób jego uwagę. Długo czekała z mocno bijącym sercem, aż wreszcie na dole znowu rozległy się kroki i zaraz ucichły.

Wtedy położyła się i zgasiła światło. Ten moment milczącego porozumienia utrwalił się w jej umyśle jak na kliszy. Nie musiała nawet zamykać oczu, by zobaczyć jego zamyśloną twarz, tak przystojną i pociągającą w świetle księżyca. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś ich łączy, a Hamish przyciąga ją do siebie niczym mocny magnes. Długo nie mogła zasnąć i po mniej więcej pół godzinie usłyszała jego kroki w korytarzu. Zesztywniała, wstrzymała oddech. Nie było żadnego powodu, by miał zapukać do jej drzwi albo chociażby przystanąć pod nimi, a jednak była pewna, że zwolnił kroku, gdy był już blisko. Krew pulsowała jej w uszach. Czowała jego spojrzenie na drzwiach, jego oczy paliły drewniany panel, jakby za wszelką cenę chciał zajrzeć do ciemnego pokoju i zobaczyć ją, podekscytowaną i drżącą w łóżku. Potem poszedł dalej, a Celestrię ogarnęły wątpliwości, czy wszystko to nie było dziełem jej wyobraźni.

Następnego ranka znalazła Armel w ogrodzie, w dużych ciemnych okularach, słonecznym kapeluszu na głowie i z małą filiżanką kawy w ręku. Miała na sobie te same granatowe spodnie co poprzedniego wieczoru i tę samą bluzkę. Zobaczyła Celestrię i pomachała do niej.

- *Bonjour* - przywitała ją przyjaźnie. - Może przyłączysz się do mnie? Celestria usiadła na wyplatanej krześle obok Francuzki.

- Widziałaś Wayne'a?

- Wydaje mi się, że poszła do miasteczka - odparła Armel.

- Sama?

- Nic, był z nią jakiś starszy człowiek.
- Nuzzo... - uśmiechnęła się Celestria. - Wayne chyba znalazła miłość...
- Szczęściara! - rzuciła sucho Armel. - Ja straciłam swoją... - Podniosła do ust filiżankę. - Wczoraj wieczorem za dużo wypiałam i teraz boli mnie głowa.
- Cała ta sprawa jest trudna do pojęcia - przyznała Celestria. - Co zrobimy, Armel?
- Nie wiem. - Skrzywiła się lekko.
- Musimy podjąć jakieś kroki. Jako zespół jesteśmy silniejsze.
- Przed snem starałam się wymyślić, w jaki sposób mogłybyśmy dostać się do biura Salazara - powiedziała Armel. - Ale nie mam wątpliwości, że nawet jeżeli kiedyś przechowywał tam dokumenty, dzięki którym udałoby się przejrzeć jego grę, na pewno zdążył się już ich pozbyć.
- W tych śmiesznych dwukolorowych butach wygląda jak szef mafii! - prychnęła Celestria.
- Przypuszczam, że prowadził jakieś interesy z moim mężem i twoim ojcem, może także i z innymi, a potem zagarnął pieniądze dla siebie. Komu przyszłoby do głowy, żeby połączyć dwie śmierci w dwóch różnych krajach, co?
- Jak nazywał się twój mąż?
- Benedict Devere. Spotkaliśmy się w Paryżu przed wojną, na wyścigach. Był taki przystojny, że nie mogłam oczu od niego oderwać!
- Masz dzieci?
- Nie. Chciałam, ale los zdecydował inaczej, a teraz jestem już za stara. Żałuję, że nie zostawił mi dziecka, które byłoby jego częścią... Ty możesz przynajmniej nieść pociechę swojej matce... Przekręciła pierścionki na trzecim palcu lewej ręki. Jeden z nich ozdobiony był dużym brylantem.
- Mam jeszcze młodszego brata...
- Więc nie jesteś sama, macie siebie nawzajem... - szepnęła Armel.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję ojca, dopóki nie odszedł.

- Zwykle tak bywa. Salazar ukradł mi nie tylko męża, ale na dodatek zostawił mnie bez grosza przy duszy. Mam tylko dom w Paryżu i biżuterię, którą przez długie lata małżeństwa dostałam od Benedicta... Teraz wyprzedaję ją stopniowo i wkrótce zostanę z niczym, sama więc rozumiesz, dlaczego po prostu muszę odzyskać te pieniądze.

- Czym zajmował się Benedict?

- Był przedsiębiorcą. Kupował i sprzedawał dzieła sztuki, nieruchomości, czasami konie wyścigowe...

- Trochę jak mój dziadek.

- Po jego śmierci siłą rzeczy musiałam zainteresować się stanem finansów

- ciągnęła Armel. - Wtedy odkryłam, że wszystkie pieniądze przekazał Salazarowi. - Zmarszczyła brwi i dopiła kawę. - Wygląda na to, że znalazł tu jakąś wyjątkową okazję do zainwestowania, to dość oczywiste, ale jaką?

- Myślisz, że Benedict i tata zainwestowali razem? Właściwie nie bardzo wiem, jakie interesy prowadził ojciec, ale dowiedziałam się, że jego firma upadła dwa lata temu. Przez cały czas utrzymywał, że jeździ do Paryża w sprawach zawodowych, lecz w rzeczywistości przyjeżdżał wtedy tutaj. Czy Benedict kiedykolwiek wspominał o moim ojcu? Nazywał się Robert Montague, zdrobniale Monty...

Armel zdjęła okulary i jej zmęczone oczy rozbliły.

- Ależ tak, doskonale znam to przezwisko! Monty był twoim ojcem?

- Tak. Poznałaś go?

- Nie, ale Benedict często o nim mówił. Nie mam pojęcia, co robili razem, lecz Monty był przyjacielem, którego Benedict odwiedzał w Londynie.

Twoja matka ma na imię Pamela?

- Tak...

- I jest Amerykanką tak jak ty? Oczywiście! Słyszałam o niej od Benedicta! - Armel uśmiechnęła się do wspomnień. - Mówił, że Pamela jest bardzo piękna i bardzo wymagająca.

- Faktycznie, trzeba poświęcać jej dużo czasu i uwagi... Fatalnie znosiła długie wyjazdy taty, między innymi dlatego tak wstrząsnęła nią wiadomość, że przez ostatnie dwa lata nie miał żadnej pracy.

- Może i nic miał pracy takiej jak poprzednio, ale jeżeli prowadził interesy razem z Benedictem, z pewnością pracował, i to ciężko, możesz mi wierzyć. Nie przy biurku, jak wcześniej, lecz niewątpliwie musiał dużo podróżować...

- To dla mnie duża ulga - powiedziała Celestria, której serce wezbrało wdzięcznością. - Mnie także bardzo to niepokoiło, nie tylko mamę... Ciężko było mi myśleć, że ojciec wyjeżdżał z domu tylko po to, żeby przed nami uciec.

- Posłuchaj, Benedict nikomu nie zdradzał, co robi i dokąd jeździ, taka była specyfika jego pracy. Czasami przegrywał, kiedy indziej wygrywał. Ja również nie angażowałam się w te sprawy. Był niezależnym duchem i nie życzył sobie, żeby żona cały czas zrzędziła mu nad głową.

- Wydaje mi się, że mama doprowadzała tatę do szaleństwa swoimi wymaganiami...

Celestria z niesmakiem przypomniała sobie ostatnią rozmowę matki z ojcem. Powiedział jej wtedy, że jest zepsuta i rozpuszczona, i że im szybciej ona, Celestria, wyjdzie za mąż, tym lepiej, bo w przeciwnym razie upodobni się do Pameli i także zacznie go dręczyć różnymi żądaniami.

- Palisz? - zapytała Armel. Celestria wzięła papierosa.

- Teraz, po śmierci ojca, mama nie wie, co ze sobą zrobić - odezwała się. - Bo widzisz, tata dał Salazarowi nie tylko własne pieniądze, ale też pieniądze mamy, nie wspominając już o tym, co zgodnie z prawem należało się mnie i Harry'emu.

- *Mon Dieu!* - Armel pokręciła głową i wypuściła dym kącikiem ust. - Musiał trafić na naprawdę wielką okazję, skoro tyle zaryzykował.

- Więc nie sądzisz, że po prostu ukradł te pieniądze? - Celestria z zawstydzeniem pomyślała, że wszyscy bliscy Monty'ego, również ona, od razu przyjęli takie założenie.

- Niekoniecznie... Może był przekonany, że zarobi dla was znacznie więcej...

- Ale my i tak mieliśmy mnóstwo pieniędzy.

- Może chciał podwoić wasz majątek... Jeżeli był choć trochę podobny do Benedicta, to na pewno nie przyszło mu nawet do głowy, że może wszystko stracić. Benedict inwestował dla mnie i zwykle jego starania przynosiły mi spore zyski.

- Czy twoje własne pieniądze też trafiły w ręce Salazara?

- Miałam bardzo niewielki majątek, Celestrio, i nawet tę sumę traktowałam jako nasze wspólne pieniądze. Benedict opiekował się mną, zaspokajał wszystkie moje potrzeby. Teraz zostałam sama, nie ma nikogo, kto by się o mnie zatroszczył. Mam czterdzieści pięć lat i puste konto. Najprawdopodobniej muszę sprzedać dom i kupić małe mieszkanie. Przywykłam do życia na pewnym poziomie, a teraz będę musiała zaczynać praktycznie od początku, wyobrażasz to sobie?

Celestria głęboko wciągnęła powietrze. Wiedziała, jak trudno jest pogodzić się ze stratą najbliższej osoby, ale zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić, jak czuje się Armel, która straciła nie tylko męża, lecz także wszelkie zabezpieczenia finansowe. Ona, Celestria, miała dziadka, gotowego w każdej chwili pośpieszyć na ratunek.

Na razie obie mogły tylko czekać. Armel była pewna, że z pomocą Freddie i Gaitana wcześniej czy później zdołają znaleźć jakiś słaby punkt w chroniącej Salazara zbroi. Celestria w gruncie rzeczy nie miała nic przeciwko czekaniu - zdawała sobie sprawę, że im dłużej pozostanie w Convento, tym większą ma szansę na spotkanie z Hamishem, który w ostatnich dniach dominował w jej myślach, wypierając z nich nawet ojca. Spędziła popołudnie z Daphne Halifax oraz panią Waynebridge i Nuzzem. Włoch i pani Waynebridge mieli chyba jakąś wspólną wesołą tajemnicę, ponieważ co chwilę żartobliwie tręcali się łokciami i dobitnie wypowiadali słowa po włosku albo angielsku, aby jedno z nich mogło je powtórzyć. Wszyscy czworo poszli do miasta. Miejscowi witali ich ciepło,

a dzieci biegały za nimi grupkami i z zaciekawieniem gapiły się na Angielki, zasłaniając rozchichotane usta brązowymi palcami.

Weszli do małego sklepu z artykułami spożywczymi i pocztówkami. Za ladą stała młoda kobieta, a jej stara matka, od stóp do głów w czerni, siedziała w kącie na taborecie i haftowała szal. Dwójka małych dzieci bawiła się w progu. Nuz-zo z szacunkiem zdjął beret i zaczął przerzucać się żartami ze sprzedawczynią, doprowadzając do śmiechu nawet starą kobietę o smutnych oczach. Celestria kupiła kartki, które zamierzała wysłać do Lotty, Melissy i matki. Wiedzioną poczuciem winy, wybrała w końcu także jedną dla Aidana. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, ponieważ odkryła, że Daphne miała rację - jej uczucie do narzeczonego okazało się tak słabe, że od chwili przyjazdu ani razu za nim nie zatęskniła.

Pani Waynebridge również kupiła parę pocztówek, a Daphne zamieniła kilka słów ze sprzedawczynią w łamanym angielskim. Potem poszli jeszcze na przechadzkę wzdłuż wybrzeża, z przyjemnością przyglądając się mijanym po drodze skalistym zatoczkom. Nuz-zo zbierał kwiaty, wszystkie, jak Celestria trafnie odgadła, przeznaczone dla Wayne.

Dziewczyna chciała zapytać, gdzie zginęła żona Hamisha. Klify wszędzie wydawały się tak samo wysokie i strome, więc mogło to się zdarzyć w każdym miejscu. Nuz-zo na pewno wiedział, skąd spadła, ale Celestria czuła, że jednak nie powinna zadawać takiego pytania.

Tego wieczoru Hamish także nie pojawił się na kolacji. Celestria była zniechęcona i rozgoryczona. Freddie i Gaitana widywała co najmniej kilka razy w ciągu dnia i zupełnie nie rozumiała, jak to możliwe, że Hamish tak skutecznie unika spotkania. Ciągle sobie wyrzucała, że weszła do krypty Natalii; gdyby tego nie zrobiła, Hamish nie podsłuchałby ostrych słów, które później wypowiedziała w rozmowie z Daphne, i może zostaliby przyjaciółmi.

Przy posiłku rozmowa niespodziewanie skupiła się na Ha-mishu. Gdy Federica wspomniała o barze Saveria, który Ha-mish podobno odwiedzał każdego wieczoru, do późnej nocy grając w scopa z miejscowymi, Celestria przyszedł do głowy szalony pomysł. Po kolacji pożegnała się z panią Waynebridge, ale zamiast pójść do swojego pokoju, wymknęła się z Convento i wyruszyła do miasteczka.

Szybkim krokiem szła pod sosnami, z przyjemnością oddychając świeżym, rześkim powietrzem, przesyconym zapachem żywicy, ziół oraz lilii, zdobiących groby w mieście zmarłych. Światło księżyca było jasne jak srebrzysty blask słońca. Ogarnęły ją nagle wątpliwości, nie była pewna, czy nie powinna zawrócić. Co pomyśli Hamish, kiedy zobaczy ją w barze? Nikogo tam nie znała. Co zrobi, jeżeli jego akurat nie będzie? I co mu powie, jeśli go zastanie?

Niewielkie grupki mężczyzn siedziały przy stolikach przed lokalem, grając w karty, paląc i pijąc. Celestria od razu zauważyła, że nie było między nimi ani jednej kobiety. Patrzyli na nią, niektórzy z wyraźną wrogością, inni z marnie skrywaną uciechą. Starła się zachowywać z dużą pewnością siebie, lecz w głębi serca czuła się kompletnie zagubiona. Wiedziała, że nie jest tu mile widzianym gościem. Nagle znajomy głos zawołał ją po imieniu. Odwróciła się i zobaczyła Salazara w płaszczu z szerokim futrzanym kołnierzem i niemodnych dwukolorowych półbutach. Wyglądał śmiesznie.

- Panna Montague - odezwał się, rozbawiony, że spotyka ją w miejscu, gdzie z pewnością nie spodziewał się zobaczyć. -Jaka miła niespodzianka...

Jego uśmiech wydał się Celestria dziwnie przebiegły i nieprzyzwoity. Wyciągnął do niej *ramiona*, jakby chciał ją objąć.

- Pozwoli pani, że poczęstuję panią kieliszkiem *limoncel-lo*... Chciałbym godnie przywitać panią w moim mieście i muszę przeprosić za tak pośpieszne zakończenie naszego poprzedniego spotkania. Tamta kobieta była potwornie natrętna...

Potrząsnął głową i wyciągnął rękę, żeby wprowadzić ją do

środka lokalu. Celestria nie miała cienia wątpliwości, że teraz wręcz musi udawać pewną siebie, ponieważ tylko w ten sposób poradzi sobie z Salazarem.

- Była bardzo nieuprzejma, rzeczywiście - przytaknęła z nadzieją, że zdoła przekonać do siebie prawnika.

- Francuzki najczęściej są fatalnie wychowane - rzekł. - Wolę robić interesy z Brytyjkami, to chyba oczywiste.

Czuła na sobie coraz więcej oburzonych spojrzeń. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Włosi mają jej za złe wizytę w barze, zupełnie jakby bez zaproszenia wdarła się na prywatne przyjęcie. Salazar zamówił *limoncello*, a dla siebie kawę i popatrzył na nią z nieskrywanym podziwem.

- Jest pani bardzo odważna. Przyszła tu pani całkiem sama, prawda? Nawet żona nieszczęsnego Saveria obsługuje klientów tylko za dnia, lecz ona jest wiecznie skrzywiona i równie atrakcyjna jak roboczy wół.

- Naprawdę? - Celestria chłodno uniosła brwi.

Drapieżny wzrok Salazara wędrował po jej ciele, jakby adwokat zastanawiał się, którą jego część pożreć w pierwszej kolejności.

- Czyżby Włosi zaraz po zachodzie słońca przeistaczali się w wampiry? - spytała.

Zaśmiał się cicho.

- Mama nie ostrzegała pani, że noc to niebezpieczna pora dla małych dziewczynek?

- Powinnam zacząć się bać? Wzruszył ramionami.

- Nie w moim towarzystwie... Salazar zaopiekuje się panią...

Przelotnie zerknął na ryczących ze śmiechu mężczyzn w kącie sali.

Celestria odwróciła głowę i ujrzała przy stoliku Hamisha, zajętego grą w karty z kilkoma Włochami w czapkach. Odrzucił do tyłu głowę i pękał ze śmiechu, jego włosy opadały nieporządną, kudłatą grzywą. Przez chwilę poczuła ulgę, zaraz jednak zorientowała się, że Hamish jej nie widzi, ponieważ siedzi zwrócony twarzą do ściany. Przeniosła

wzrok na Salazara, którego obecność coraz bardziej ją niepokoiła.

- Nie ma tu nikogo, kto by panią znał, co? - zagadnął.

- Nie mam czego się obawiać - odparła twardo. - To małe miasteczko i raczej się tu nie zgubię.

- Pod warunkiem, że będzie się pani pilnowała, aby nie ogarnęły ją zbyt mroczne cienie! - Parsknął śmiechem, zaciągnął się cygarem i dmuchnął jej dymem prosto w twarz. - *Po-verina!* - Jego oczy zatrzymały się na wargach dziewczyny dłużej, niż nakazywała uprzejmość. - To nie jest odpowiednie miejsce dla młodej osoby, więc może odprowadzę panią do domu, dobrze? Gdzie się pani zatrzymała? W Convento?

Zanim Celestria zdążyła odpowiedzieć, za jej plecami odezwał się głos Hamisha.

- Nie musisz się trudzić, Salazar, ja odprowadzę panią do domu. Mieszka u nas.

Celestria gwałtownie odwróciła się ku niemu, strącając z barowej lady pusty kieliszek.

- Idziemy? - zapytał Hamish.

Kąciki jego ust uniosły się leciutko w zapowiedzi uśmiechu.

- Jestem gotowa...

- *Che peccato!* - westchnął Salazar. - Właśnie zaczęliśmy się lepiej poznawać...

- Opowiedz o tym swojej żonie - rzucił Hamish, opierając rękę na plecach Celestria i delikatnie popychając ją w kierunku drzwi.

- Dziękuję - mruknęła, kiedy znaleźli się na zewnątrz. Drżała, przestraszona bardziej, niż chciałaby się przyznać.

- Za co? Że na panią nie nakrzyczałem? - Uśmiechnął się cynicznie.

- Nie, za to, że uratował mnie pan przed Salazarem.

- Zachowuje się pani jak głupia Amerykanka - rzekł, opierając się na lasce i wkładając drugą rękę do kieszeni spodni. - Wydaje się pani, że to Manhattan?

Ruszyli drogą w kierunku Convento. Hamish podpierał się laską i utykał, co nie pozwalało mu iść zbyt szybko. Celestria odczuwała jego bliskość każdą cząstką ciała, jej nerwy były napięte jak u przyczonego zwierzęcia, niepewnego, czy ma do czynienia z przyjacielem czy wrogiem. Jednego była pewna - teraz Hamish nie mógł przed nią uciec.

- Dlaczego przyszedłeś do baru? - zapytał szorstko, niespodziewanie rezygnując z oficjalnego sposobu zwracania się do dziewczyny. - Co ci strzeliło do głowy?

- Nudziło mi się w Convento, a nie miałam jeszcze ochoty się położyć.

- Często sama włóczysz się po nocy?

- Oczywiście że nie! Co ty właściwie sugerujesz?!

- Tylko żartowałem... Owszem, to małe miasteczko, ale i tak nie sądzę, żeby nocne wycieczki były bezpieczne dla takiej dziewczyny jak ty.

- To znaczy? Popatrz na nią uważnie.

- Lepiej pasujesz do Ritza niż do prowincjonalnego baru, mekki niewychowanych wieśniaków.

- Źle mnie oceniasz!
 - Zawsze dobrze oceniam ludzi.
 - Pozwalasz się zwieść pozorom... W ogóle mnie nie znasz. Przystanął i jeszcze raz zmierzył ją taksującym wzrokiem, jakby miał przed sobą wystawioną na sprzedaż rasową klacz.
 - Dobrze obcięte i zadbane włosy, bardzo jasne, co w tej okolicy jest rzadkością... Wypielegnowane dłonie i skóra, czyste, eleganckie ubrania, codziennie świeża sukienka, eleganckie skórzane pantofle, polakierowane paznokcie u nóg, wyrafinowany szyk i wyniosłe zachowanie, które wyraźnie mówi, że rodzice z zapalem cię rozpuszczali... Nie udawaj, że doskonale czułaś się w barze Saveria, bo wyróżniałaś się tam jak łabędzica między wieprzkami. Starannie ukryła zadowolenie, jakim napełniła ją świadomość, że tak uważnie ją obserwował, i przybrała arogancką minę.
 - Gdyby opierać się wyłącznie na pozorach, sam nie wypadłbyś zbyt dobrze - oznajmiła chłodno, naśladując jego ton. - Włosom przydałoby się porządne mycie i szczotkowanie, zarost, którego wreszcie należałoby się pozbyć... Przygarbione ramiona, typowe dla człowieka, który źle czuje się we własnej skórze albo, w najlepszym razie, ze swoim pokaźnym wzrostem... Przypadkowo wybrane, znoszone ubrania, bardziej pasujące do pastucha niż artysty, bo ten naprawdę powinien mieć lepszy gust... Buty, które warto byłoby wyczyścić... Jednak ja nie osądzam cię tylko na podstawie zewnętrznego wyglądu.
 - Nie wiesz, o czym mówisz...
 - Mylisz się, ale co do jednej rzeczy masz rację, ten bar wcale mi się nie podobał.
- Znowu ruszył przed siebie.
- To dlatego, że podrywał cię największy oszust w Mare-latte!
 - A uratował mnie przed nim najbardziej gniewny mężczyzna w Marelatte!

Spojrzał na nią z rozdrażnieniem, lecz jej uśmiech okazał się zaskakująco zaraźliwy i po prostu nie mógł nie uśmiechnąć się w odpowiedzi.

Celestria roześmiała się triumfalnie.

- Mam powody, żeby czuć gniew... - Zmarszczył brwi. -I nikomu nie muszę się z tego tłumaczyć, a już na pewno nie tobie!

- Niewątpliwie jesteś dorosły i możesz robić, co ci się podoba!

- Tak, niewątpliwie... Ile, twoim zdaniem, mam lat? Zaśmiała się znowu, chociaż wszystkie mięśnie jej twarzy

i szyi napięły się boleśnie.

- Nie wiem... Jesteś starszy ode mnie, to jasne.

- Większość ludzi w Marelatte jest starszych od ciebie. Dopiero zaczynasz życie, wypływasz z portu jak piękna żagłówka... Pewnie pierwszy raz opuściłaś bezpieczny dok, w każdym razie tak mi się wydaje. Na twoim miejscu dalej trzymałbym się blisko staruszków. W Convento jesteś bezpieczniejsza niż poza jego murami.

- Nie sądzę, żeby ten konkretny dok był taki bezpieczny, kiedy ty jesteś w pobliżu!

- Nie boisz się chyba kulawego faceta? Jest trochę szorstki, to prawda, ale raczej nie gryzie...

- Odniosłeś kontuzję na polowaniu, tak? - Uniosła ku niemu głowę.

Gdy popatrzył na nią z zaciekawieniem, zrozumiała, że się zdradziła.

Hamish zorientował się, że wypytywała o niego i kąciki jego warg znowu uniosły się w pełnym rozbawienia uśmiechu.

- Od tamtego dnia ani razu nie wsiadłem na konia - odparł.

- Brakuje ci tego?

- Masz cholerną rację, bardzo mi tego brakuje. Nigdy nie czułem się tak wolny jak w siodle... Pędziłem przed siebie niczym wiatr, jednym skokiem pokonywałem przeszkody... Byłem w tym dobry.

- Ja nigdy nie jeździłam konno.

- Nie?

- Nie, ale za to jestem bardzo doświadczona, jeżeli chodzi o jeżdżenie taksówkami. W Nowym Jorku są żółte, a w Londynie czarne. Bezbłędnie łapię taksówki, świetnie maluję sobie paznokcie u stóp i do perfekcji opanowałam przesiadywanie w salonach fryzjerskich...

Hamish parsknął śmiechem. Zmarszczki wokół jego oczu i ust się pogłębiły, i Celestrię ogarnęło nagłe pragnienie, aby pieśczośliwie dotknąć ich palcami.

- A przy tym wszystkim uwielbiasz książki... - powiedział cicho. Teraz ona pojęła, że rozbudziła w nim ciekawość.

- Gaitano mówi, że mamy wspólną ulubioną książkę.

- *Hrabiego Monte Ckristo*.

- Jego przeżycia w strasznym Château d'If... - dorzuciła z uśmiechem.

- Co jeszcze lubisz? Westchnęła głęboko,

- Taniec, grę na fortepianie...

- Tak, wiem... - wymamrotał. Zarumieniła się.

- Freddie mówiła mi, że to ty jesteś świetnym pianistą.

- Już nie.

- Dlaczego?

- Kiedy gram, zawsze ogarnia mnie smutek.

- A mnie melancholijne melodie wyrywają ze złego nastroju!

Odwrócił się i objął wzrokiem jej twarz.

- Naprawdę?

Nie mogła mieć już żadnych wątpliwości, że to właśnie on był świadkiem jej łez. Spuściła wzrok.

- Tak. Wyrażając uczucia, uwalniam się od nich.

Szli pod sosnami, przez ciemne pasma cienia i srebrzyste plamy księżycowego światła. Budynki Convento wynurzyły się przed nimi z pozornie nieprzeniknionej ciemności. Brama była zamknięta, małe okienko w kamiennym murze,

gdzie w wieczór przyjazdu Celestria gruchała synogarlica, teraz wydawało się ślepe i puste. Dzwonnicę na dachu kościoła posrebrzył księżyc. Oboje czuli zapach kwiatów, napływający z nad miasta zmarłych po drugiej stronie drogi. Celestria poczuła, że chciałaby, aby ta noc nigdy się nie skończyła.

- Masz ochotę popatrzeć na morze ze starej wartowni? -zapytał Hamish. - W świetle księżycy zawsze wygląda wyjątkowo pięknie.

Przystanął i spojrzął na mury miasta zmarłych. Jego twarz nagle spoważniała, a na czole uwydatniły się zmarszczki, jakby niewidzialny ciężar w jednej chwili zdławił w nim całą radość.

- Bardzo chętnie... - Oczy Celestria także podążyły ku cmentarzowi. Wiedziała, że Hamish myśli o Natalii. Opanowała ją zazdrość o ducha, który wciąż rościł sobie prawo do jego serca. Zdawała sobie sprawę, że sama poznała Hamisha zaledwie przed kilkoma dniami i nie może liczyć na jego uczucie. Znowu oparł dłoń na jej plecach i przeprowadził ją na drugą stronę drogi, chociaż o tak późnej porze z pewnością nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Ciepło jego ręki paliło ją przez suknię.

W milczeniu minęli bramę cmentarza, za którą krypty drzemały w głębokim, spokojnym mroku. Hamish rzucił niespokojne spojrzenie na cmentarny plac, strzeżony przez wysokie sosny. W mieście zmarłych wciąż żył duch jego żony, zamknięty w małym, oświetlonym płomykami świec mauzoleum, duch, z którym Hamish dzielił niewypowiedziane tajemnice.

- Ciemność to po prostu brak światła - mruknął.

- Przebywasz w ciemności? - zapytała łagodnie.

- Co ty wiesz o ciemności? - rzucił szorstko.

- Czuję ją - odparła, idąc za nim wąską kamienistą ścieżką, prowadzącą ku klifom, gdzie na tle nieba rysowała się sylwetka starej wartowni. -

Czuję ją, kiedy jestem z tobą...

Przystanął i patrzył na nią długą chwilę, szukając w jej oczach czegoś, co najwyraźniej było mu niezbędnie potrzebne.

- Co powiedziałaś?

Nachylił się ku niej. W jego głosie wibrowało cierpienie.

- Czuję ciemność, która cię otacza... Bez słowa odwrócił się i ruszył dalej. W końcu usiadł na suchej trawie, bardzo blisko miejsca, gdzie poprzedniego dnia siedziała Celestria, towarzysząc zajętej malowaniem Daphne. Stara forteca była pełna cieni, ponura i opuszczona jak Hamish, przesycona głębokim, trudnym do wyobrażenia smutkiem i obecnością demonów. Siedzieli obok siebie i w ciszy wpatrywali się w pomarszczoną powierzchnię morza i bezkresne, rozświetlone gwiazdami niebo. I w tym momencie, siedząc u boku mężczyzny, którego tak nieoczekiwanie pokochała, Celestria poczuła, jak płyty tektoniczne planety drżą i przesuwiają się pod nią.

- Co robisz w Apulii? - odezwał się wreszcie Hamish.

Popatrzyła na jego profil, na mocną linię szczęki, długi garbaty nos i lśniące oczy o kształcie migdałów, ocienione gęstymi, pierzastymi rzęsami.

- Przyjechałam odnaleźć mordercę mojego ojca - odparła spokojnie.

- Twój ojciec został zamordowany? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Kilka tygodni temu popełnił samobójstwo w Kornwalii, w każdym razie wszyscy tak uważają. Znalaziono jego łódź i coś, co można nazwać pożegnalnym listem... Gdybyś jednak znał mojego ojca, byłbyś równie pewny jak ja, że w żadnym razie nie odebrałby sobie życia. Odkryłam, że przekazywał duże sumy Salazarowi i dlatego postanowiłam się z nim spotkać. Salazar twierdzi, że później ojciec wycofał te pieniądze, ale ja mu nie wierzę. Myślę, że ukradł pieniądze i w jakiś sposób pozbył się ojca... Hamish milczał przez chwilę.

- Może masz rację... - wymamrotał, w zamyśleniu bawiąc się gałką laski.
- Na pewno bardzo cierpisz.

Teraz już rozumiał, dlaczego płakała, i jego serce wypełniło współczucie. A więc Celestria, podobnie jak on, dobrze знаła rozpacz i ból po stracie najbliższej osoby.

- Wiesz, czego najbardziej się boję? - Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, pod powiekami piekły łzy. Tylko niezwykła atmosfera pięknej nocy i świadomość, że tyle łączy ją z Hami-shem, skłoniły dziewczynę do opuszczenia gardy. Pierwszy raz od śmierci ojca jej serce naprawdę ścisnęło się z bólu, zupełnie jakby w końcu otworzyła je na fale bezbrzeżnego smutku.

- Tego, że jednak się mylę. Że dowiem się, że ojciec ukradł nasze pieniądze, a potem zabił się, bo nie mógł znieść hańby. Jeżeli tak jest, to chyba nigdy go nie znałam...

Otarła dużą łzę, która powoli spływała po policzku. Ha-mish otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Oparła głowę na jego piersi i przymknęła oczy. Nie wstydziła się łez, może dlatego, że wylewała je w ciemności, a może dlatego, że Hamish również cierpiał.

- Ludzie, których pozornie znamy najlepiej, wprawiają nas w największe zaskoczenie - powiedział z goryczą. - Ci, których najbardziej szanujemy, mogą się stać naszym wielkim rozczarowaniem. Dotyczy to nawet najbliższych, wierz mi. W gruncie rzeczy nie znamy ich wcale i jedyną rzeczą, jaką faktycznie mamy, jest zaufanie, którym ich darzymy.

Cofnął ramię i znowu zaczął bawić się gałką laski.

- Mam nadzieję, że w Anglii czeka na ciebie jakiś miły młody człowiek, który uczyni cię szczęśliwą.

Jego uwaga zraniła Celestrię. Nie chciała miłego młodego człowieka, równie powierzchownego jak ona. W oczach Ha-misha dostrzegła głębię, którą wprawdzie mogły zmącić smutek i radość, a mimo to całkowicie nieprzewidywalną. Wiedziała, że teraz nie wystarczą jej już płytkie kałuże, z których wystawały kamienie. Jej serce tęskniło za jego dotykiem, prag-

nęło znaleźć spokój w jego objęciach, ale słowa o miłym młodym człowieku w Anglii sprawiły, że poczuła się urażona. Jeżeli uważał, że ona ma narzeczonego, to dlaczego siedział z nią na trawie w środku nocy...

- Czeka na mnie wielu młodych ludzi - odpała, chcąc go dotkliwie zranić. - Kiedy tylko rozwikłam tajemnicę ojca, wrócę do domu.

- Takie dziewczyny jak ty zawsze dobrze wychodzą za mąż - rzekł ironicznie. - Uczą was nie tylko śpiewać i tańczyć, ale także myśleć w kategoriach bogactwa i majątku. Większą część życia spędziłem w Anglii, więc wiem, o czym mówię. Ty i inne kobiety z klasy wyższej żyjecie w wyjątkowym świecie, który ma jednak wiele minusów. Liżecie skórkę owocu życia, ale nigdy nie wgrzacie się w miąższ i nie znacie jego gorzko-słodkiego smaku...

- Bardzo się mylisz. Kiedy ja się zakocham, ziemia zadrży i zadygocze, i to niezależnie od tego, czy wybrany przeze mnie mężczyzna będzie miał pieniądze, czy nie.

Podniosła się i ruszyła w dół zbocza do fortecy, zaskoczona własnymi słowami, w których brzmiała uczciwość i szczerść, o jakie nawet się nie podejrzewała.

W starych, zrujnowanych murach panowała ciemność. Ziemia była wilgotna, kamienie zimne i twarde. Celestria słyszała, jak morze liże stopy klifów mokrym jęzorem. Serce biło jej mocno, krew łomotała w uszach. Miała nadzieję, że Hamish pójdzie za nią. Szybkim krokiem podeszła do muru, w którym zachowało się wysokie okno z widokiem na lśniący ocean i granatowe niebo, ozdobione krągłym, ocieżałym lampionem księżycy. Patrzyła na morze, a wiatr zimnymi palcami przeczesywał jej włosy. Po chwili nie tyle usłyszała, ile raczej wyczuła zbliżające się kroki.

I wreszcie poczuła na karku dotyk nie palców wiatru, lecz Hamisha. Pieścił jej skórę, potem zaś wziął ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Spojrzał na nią niepewnie, ten wyso-

ki, silny mężczyzna o oczach tak wrażliwych i nieśmiałych jak u dziecka.

- Przepraszam... - odezwał się, sunąc palcem po jej policzku i szyi. -

Głupio się zachowałem. Nie jestem mistrzem w takich rozgrywkach.

- Więc po co w ogóle grasz?

- Bo nie chcę się w tobie zakochać. - Nie spuszczał wzroku z jej twarzy, jakby zahipnotyzowało go to, co w niej ujrzał. - Przyciągasz mnie... Nie myśl, że nie próbowałem się bronić...

- Dlaczego miałbyś się bronić? Nie zasługujesz na szczęście?

Był bardzo blisko, tuż przy niej. Czują ciepło jego ciała, powiew oddechu na czole... Jego wargi dzieliło od jej ust najwyżej kilka centymetrów, w dole brzucha czuła rozkoszne pulsowanie.

- Chyba nawet już nie zdołałem się bronić... - jęknął. Zamknął oczy i pocałował ją.

Skupiona wyłącznie na jego obecności, trwała w tej chwili, delektując się czułością jego dotyku, ciepłem szorstkiej skóry, pieśczętą gładkich, gorących warg i uczuciem, że nagle znalazła się w samym oku cyklonu, w miejscu, skąd już nie można zawrócić.

Milczeli. Hamish myślał o zbyt wielu rzeczach równocześnie i nie wiedział, jak jej wyjaśnić, co się z nim działo. Nie był zresztą pewny, czy by go zrozumiała. Teraz on także żył darowaną im przez los chwilą i sycił się smakiem kobiety, która oładnęła jego zmysłami od tamtego pierwszego nieprzyjemnego spotkania na cmentarzu. Obserwował ją z ukrycia, próbował otrząsnąć się z jej fascynującego wpływu, przez cały czas świadomy, że za uchylonymi drzwiami czeka na niego światło, jeśli tylko potrafi do niego dotrzeć. Nie mógł jednak znieść myśli, że Celestria jest córką Roberta Montague...

Wiedział, że nie powinien jej całować, ale który mężczyzna mógłby oprzeć się ciepłemu, promiennemu blaskowi skóry, zmysłowości warg, zapierającej dech w piersiach sile przycią-

gania, zestawionej z chłodnym, formalnym zachowaniem, typowym dla ludzi jej klasy... Walczył z własnymi argumentami i przegrał bitwę z instynktem. Jak cudownie byłoby zatracić się w tej dziewczynie bez reszty, zapomnieć o przeszłości i tragedii.

W końcu oderwał się od niej.

- Chodź, odprowadzę cię do Convento - powiedział z żalem, zdradzając tym uczucie zagubienia.

Wziął ją za rękę, w drugą dłoń chwycił laskę i razem wrócili na ścieżkę. Gdy mijali miasto zmarłych, widoczny wysiłek, z jakim Hamish starał się nie patrzeć w tamtą stronę, powiedział Celestii, że już go straciła. Dotarli do Convento i wtedy dziewczyna dostrzegła, że małe okienko obok bramy nie jest puste - spała tam nie jedna pulchna synogarlica, ale dwie. Hamish przekręcił klucz w zamku i pchnął bramę, żeby przepuścić Celestrię, która dopiero teraz uświadomiła sobie, że gdyby nie spotkała go w barze, nie dostałaby się na dziedziniec Convento. Bez słowa weszli po schodach na piętro. Celestria pragnęła, żeby Hamish coś powiedział. Miała świadomość, że przekroczyli niewidzialną granicę i nie mogą już zawrócić. W milczeniu odprowadził ją korytarzem do drzwi jej pokoju. Dziewczyna oparła palce na klamce i zawahała się, czekając na uspokajające, dodające odwagi słowa.

- Co teraz? - spytała wreszcie, odwracając się twarzą do niego.

Pokręcił głową i zmarszczył brwi. Unikał jej spojrzenia.

- Nie wiem...

- Nie możesz tak bez końca wegetować, kochając ducha, Hamish.

W jego oczach pojawił się wyraz wrogości.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - wyszeptał. Wyciągnęła rękę i położyła na jego ramieniu, zaraz jednak pomyślała, że wygląda ona tam dziwnie nie na miejscu.

- Chcesz udawać, że to się w ogóle nie zdarzyło?

- Zdarzyło się, ponieważ oboje tego pragnęliśmy, ale tobie nie powinno na mnie zależeć. - W głosie Hamisha nie było ani

odrobiny uzalania się nad sobą. - Twoi wielbiciele z Londynu na pewno mają ci dużo więcej do zaoferowania, wierz mi.

- Nie wyciągaj tych zgranych argumentów, dobrze? W porządku, masz trzydzieści parę lat, kulejesz, powinieneś zadbać o włosy, nauczyć się kilku zasad dobrego wychowania i cierpliwości, lecz ja mogę z tym wszystkim żyć. Nie umiem jednak rywalizować z kobietą, której po prostu nie mam szans stawić czoła.

Kiedy Celestria wspomniała o Natalii, powietrze wokół nich nagle znieruchomiało. Hamish popatrzył na nią surowo, chłodny i daleki, jakby to, co połączyło ich w starej wartowni, rozwiało się jak dym.

- Nie rozumiesz... - Zamknął oczy, usiłując opanować gniew. - Jesteś młoda i nic nie wiesz o miłości.

- Nie rozumiem dlatego, że nie chcesz mi nic wyjaśnić! I oczywiście masz rację, jestem młoda, ale o miłości wiem całkiem sporo!

- Naprawdę?

- Tak! Bo teraz już rozumiem, że to, co wcześniej nazywałam miłością, dotyczyło wyłącznie mnie! Chcę dotknąć twoich ran i sprawić, żeby się zagoiły. Chcę całować cię tak długo, aż przeszłość zniknie, chcę nappełnić twoją przyszłość światłem i radością...

Jej szczerość całkowicie go rozbroiła.

- Nie znasz mnie - rzekł z niedowierzaniem i odrobiną lęku.

- Ale mimo to kocham cię. - Patrzyła mu w oczy spokojnie, opanowana i pewna znaczenia swoich słów. - Twoja przeszłość nic mnie nie obchodzi, nie ma ze mną nic wspólnego...

- O, Boże... - jęknął cicho. - Moja przeszłość ma z tobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje!

Długo bez słowa wpatrywali się w swoje twarze. W końcu Hamish dotknął policzka Celestrie szorstką, pokrytą odciskami dłonią i potrząsnął głową.

- Nie wiem, co o tobie myśleć...

Odwróciła głowę i pocałowała jego rękę.

- Jestem światłem za drzwiami... - wyszeptała. Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Żyjesz w ciemności z własnego wyboru - dodała.

- Chciałbym, żeby to było takie proste. - Schylił się i musnął jej czoło pocałunkiem. - Dobranoc, Celestrio.

Odwrócił się i odszedł.

Kornwalia

W Pendrift Hall Archie i Julia niespokojnie czekali na przyjazd gości. Był piękny, słoneczny dzień, mieli więc pewność, że dom zrobi na przybyszach jak najlepsze wrażenie. Wilfrid i Sam poszli do szkoły, a mały Bouncy został wysłany na kilka godzin do babki, aby ewentualni kupcy mogli spokojnie rozejrzeć się dookoła. Agent nieruchomości wycenił posiadłość znacznie wyżej, niż oczekiwał Archie, ale mimo to wcale nie chcieli sprzedawać Pendrift Hall. Archie częściej niż zwykle tracił cierpliwość, Julia się dąsała, lecz oboje doszli do wniosku, że w gruncie rzeczy nie mają innego wyjścia. Musieli spłacić długi, a teraz z największym trudem wiązali koniec z końcem. Żadne nie miało dość odwagi, aby powiedzieć o tym Elizabeth, Archie usiłował uwolnić się od sentymentalnych zahamowań. Powtarzał sobie, że ostatecznie dom to tylko cegły i zaprawa murarska, nic więcej. Gorzej było z Julią, której pamięć wciąż podsuwała obrazy z wczesnego dzieciństwa chłopców, wspomnienia czające się w każdym kącie, pod każdym krzesłem i stołem, w ogrodach i na plaży, słowem, wszędzie, gdzie bawili się jej synowie. Ich śmiech wciąż wibrował w powie-

trzu Pendrift i Julia nie mogła znieść myśli, że wyrwie dzieci z jedyne-
go domu, jaki znały. Wiedziała, że ten krok zachwieje ich poczuciem
bezpieczeństwa, a w nietrwałym świecie bardzo chciała dać im ten jeden,
jedyne pewny punkt, z którego mogłyby wyruszyć dalej. Nosiła w sercu
głębokie przekonanie, że nic nie pozbawi ich tego magicznego
fundamentu, niezależnie od tego, jakie życie zgotuje im los. A teraz jej
nadzieje legły w gruzach.

W końcu przed domem zatrzymał się srebrzysty sportowy mercedes.
Soames czekał na gości na schodach prowadzących do głównego wejścia,
sztywno wyprostowany, w czarnym fraku i wypolerowanych do połysku
butach, kołysząc się lekko na piętach, z uniesionym podbródkiem, żeby
bez większego trudu obdarzyć potencjalnych kupców wyniosłym spoj-
rzeniem. Z samochodu wysiadły trzy osoby - pan Townley,
wyelegantowany agent nieruchomości w trzyczęściowym garniturze w
prążki i białej koszuli z krawatem, oraz pan i pani Weavel, którzy,
zdaniem Soamesa, wyglądali okropnie pospolicie.

Lokaj niechętnie wprowadził ich do holu, starając się nie wdychać
słodkawego zapachu wody kolońskiej, w której pan Weavel najwyraźniej
wykąpał się tego ranka i którą chyba także wypił zamiast porannej kawy,
ponieważ jej aromat sączył się ze wszystkich jego porów. Archie i Julia
wiedzieli, że goście już są, ale nadal siedzieli w salonie, udając pochłonię-
tych lekturą gazet. Oboje byli zbyt zdenerwowani, żeby naprawdę czytać.
Julia paliła trzeciego papierosa z rzędu, a Archie cały czas nerwowo
szarpał wąsy. Kiedy w holu rozległy się kroki Soamesa, oboje zerknęli na
siebie z ukrytym lękiem. Julia zdusiła papierosa w popielniczce, a palce
Archiego znieruchomiały na górnej wardze.

- Proszę wejść! - zawołał Archie w odpowiedzi na pukanie służącego.

Soames wszedł do środka, nieszczęśliwy i ponury.

- Państwo Weavel oraz pan Townley - obwieścił. Archie złożył gazetę i
wstał. Julia poszła za jego przykładem.

dem, rzucając ilustrowane czasopismo na stolik do kawy na środku pokoju.

- Bardzo miło nam państwa poznać - rzekł Archie, wyciągając rękę.

- Mają państwo przepiękny dom! - pochwaliła pani Weavel egzaltowanym tonem, wsuwając wiotką jak zdechły gołąb rękę w dłoń Archiego. - Dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam!

- Byliśmy tutaj bardzo szczęśliwi - odparł Archie, świadomy, że Julia jest zbyt zdenerwowana, aby się odezwać.

Nie umiała zdobyć się nawet na uśmiech, który przecież zawsze gościł na jej wargach.

Pan Townley mocno i z entuzjazmem potrząsnął dłonią Archiego. Liczył na spory procent od tej transakcji, jako że Weavelowie byli bardzo bogaci.

- Mają państwo dzieci? - zapytała Julia.

Z oburzeniem obserwowała, jak pani Weavel przechadza się po salonie w obcisłym szarym kostiumiku i szpilkach, bez cienia zażenowania zaglądając we wszystkie kąty. Czy ta kobieta nie zdawała sobie sprawy, że dom zostanie sprzedany bez mebli?

- Nie, nie mamy dzieci - odrzekła pani Weavel. - Paul i ja raczej nie przepadamy za dziećmi.

Zaśmiała się nienaturalnie, prychnęła i lekko wzruszyła ramionami.

- Ten dom jest idealny dla dużej rodziny - powiedziała Julia z naciskiem.

- Och, ale przecież my nie będziemy tutaj mieszkać! - oznajmiła pani Weavel i spojrzała na męża, który przywitał śmiechem tak absurdalny pomysł. - Czy pan Townley nic państwu nie powiedział? Zamierzamy urządzić w Pendrift Hall hotel.

Julia utkwiała rozwścieczony wzrok w twarzy męża, lecz Archie pośpiesznie odwrócił głowę, Jakiego miało znaczenie, co ci ludzie zrobią z jego domem?

- Może oprowadzę państwa, dobrze? - zaproponował,

wychodząc do holu. - To duży dom, a państwo na pewno mają mnóstwo zajęć i mało czasu...

Państwo Weavel podążyli za nim. Propozycja Archiego zbiła nieco z tropu pana Townleya, który wolałby oprowadzić klientów sam. Z doświadczenia wiedział, że łatwiej jest sprzedać posiadłość, kiedy właściciele nie kręcą się w pobliżu.

Julia słyszała, jak rozmawiali w holu. Stała nieruchomo, mocno zaciskając ręce i zastanawiając się, gdzie mogłaby się ukryć. Myślała o tym, że ci przekleci ludzie będą teraz zaglądać do wszystkich pokoi i deptać po jej wspomnieniach. Nie mogła tego znieść. Na domiar złego nie znosili dzieci... Pani Weavel była tak płytka i zaszuszone, że Julia szczerze wątpiła, czy kiedykolwiek była w stanie począć i urodzić dziecko, a pan Weavel wręcz dobił ją tym ohydny zapachem wody kolońskiej, którym pewnie zdążyły nasiąknąć obicia wszystkich mebli oraz zasłony. Czuła, że zaraz po ich wyjściu będzie musiała dokładnie wywietrzyć cały dom. Opadła na kanapę i utkwiała wzrok w oknie. Więc jej dom miał stać się hotelem... W tym pięknym salonie urządzią palarnię, gdzie przesiadywać będą bogaci, obcy ludzie, gotowi słono zapłacić za obcowanie z historią... Oczami wyobraźni już widziała szkarłatno-złote dywany i stoliki z czasopismami. Na myśl o tym, co zrobią z dziecinnymi pokojami, zrobiło jej się niedobrze. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Gdyby Monty żył, nic takiego na pewno by się nie wydarzyło, pomyślała. On by na to nie pozwolił, znalazłby jakieś rozwiązanie...

Po godzinie Archie zszedł do holu razem z Weavelami oraz Townleyem, który zacierał ręce z radości. Jego klienci byli zachwyceni domem i widokami. Nie kryli, że będą musieli wyciąć parę drzew, aby zrobić miejsce dla gazebo, oraz zlikwidować staw i mały kwadratowy trawnik przed domem, ponieważ musieli gdzieś urządzić parking dla hotelowych gości. Taras doskonale nadawał się na oranżerię - pani Weavel uwielbiała oranżerie.

- Goście będą mogli cieszyć się widokiem ogrodu nawet przy złej pogodzie - oznajmiła z satysfakcją.

Pan Townley nie mógł się nachwalić jej pomysłowości. Stali w holu uśmiechnięci, z wyjątkiem Archiego, który miał na twarzy trudny do opisanego grymas.

- Idealne miejsce! - rozpromieniła się pani Weavel, biorąc męża za rękę.
- Chciałbym złożyć państwu ofertę, której nie będziecie mogli odrzucić - rzekł pan Weavel.

Nie ulegało wątpliwości, że należy do ludzi, którzy lubią imponować, i spodziewa się, że Archie w jakiś sposób da wyraz zadowoleniu. Niestety, Archie nadal wyglądał na głęboko nieszczęśliwego,

- Nie będą państwo żałować tego zakupu - włączył się pan Townley i dyskretnie otarł spocone czoło. - To niezwykle zakątek Anglii, prawdziwy klejnot, zwłaszcza że tuż obok znajduje się urocze miasteczko Pendrift!

- Mamy tego świadomość - odparł pan Weavel, dumnie wypychając do przodu pierś. - I nasi klienci także szybko to docenią... To ogromna strata, kiedy te stare domy powoli obracają się w ruinę, ponieważ rodziny, które od wieków w nich mieszkają, nie mają dość pieniędzy, by utrzymać swoje rezydencje w odpowiednim stanie. Wtedy do akcji wkraczają ludzie tacy jak my! Chętnie rzucimy państwu linę ratunkową! - Popatrzył na piękne stiuki na suficie i pokręcił głową. - I pomyśleć, że to wspaniałe miejsce pozostawało w ukryciu przez trzysta lat... Co za szkoda! Teraz wszyscy będą mogli cieszyć się jego widokiem!

Czerwony jak burak, upokorzony Archie daremnie starał się opanować gniew. Nikt nigdy go tak nie obraził. Usiłował skupić się na długu i ofercie, którą zamierzali złożyć Weave-lowie, i zignorować ich brak delikatności.

Nagle tuż za drzwiami rozległ się cienki głosik Bouncy'ego i serce Archiego podskoczyło z radości i ulgi. Uczucie to było jednak krótkotrwałe, ponieważ chłopca trzymała za rączkę Elizabeth, której dolna warga wysunęła się do przodu z wściekłości.

Troje gości odwróciło się, kiedy starsza kobieta pojawiła

się w drzwiach prowadzących z kuchennego skrzydła do holu.

- Mamo! - zawołał przerażony Archie. - Co ty...

- Jak śmiałeś nie poinformować mnie, że nosisz się z zamiarem sprzedania Pendrift?! - wybuchnęła staruszka. - Musiałam dowiedzieć się wszystkiego od mojego wnuka!

Z rozmachem uderzyła laską w podłogę, jakby jej twarz w niedostateczny sposób wyrażała uczucia. Bouncy wpatrywał się w babkę z wielkim podziwem, ponieważ teraz nawet jej uszy zrobiły się ciemnoczerwone.

- Przepraszam na chwilę... - zwrócił się Archie do Weavelów.

Miał nadzieję, że uda mu się wepchnąć matkę do salonu, ale ona nie chciała ruszyć się z miejsca niczym uparta jałówka.

- Zamierzaliśmy powiedzieć ci dopiero po ustaleniu wszystkich szczegółów... - wyjaśnił łagodnie, choć przez zaciśnięte zęby.

Julia, która naturalnie usłyszała gromki głos teściowej, wybiegła do holu.

Wyraz paniki, malujący się na perfekcyjnie umalowanej twarzy pani Weavel, pobudził ją do histerycznego chichotu, który pośpiesznie stłumiła. Soames, ukryty w spiżarni, uśmiechnął się do siebie. Nie wątpił, że przy odrobinie szczęścia Elizabeth Montague zniechęci do kupna Pendrift każdego, kto będzie miał pecha natknąć się na nią.

Elizabeth z godnością odwróciła się do gości.

- Wiecie państwo, jak długo mieszkam w Pendrift? Prawie sześćdziesiąt lat! Sześćdziesiąt lat! Mój zmarły mąż Ivan Montague spędził tu całe życie! Ten dom jest własnością jego rodziny od trzystu lat! Jeśli sądzicie, że pozwolę, aby para takich pospolitych dorobkiewiczów jak wy pozbawiła mnie domu, to bardzo się mylicie!

Pan Townley zbladł, jakby miał zaraz zemdleć. Tego się zupełnie nie spodziewał. Był pewny, że Weavelowie w żadnym razie nie kupią teraz Pendrift.

Elizabeth Montague skupiła na nim gorące jak płomień spojrzenie.

- A jeśli chodzi o pana, to nie chcę więcej tu pana widzieć, rozumiano?! Jestem już stara, to prawda, ale mam laskę i dość siły, aby przepędzić stąd niejednego nieproszonego gościa!

Znowu uderzyła laską w podłogę, żeby podkreślić swój punkt widzenia.

Bouncy pokazał język pani Weavel, która lękliwie szarpnęła się do tyłu.

- Wychodzimy, kochanie! - wykrzyknęła do męża, który stał w miejscu jak wmurowany. - Już! - wrzasnęła, ruszając biegiem w stronę wyjścia.

Soames wyrósł jak spod ziemi i otworzył drzwi. Nie był w stanie zamaskować zadowolenia, które powlokło jego blade policzki rumieńcem. Townley milczał. Wyszedł za Weavelem i usiadł na tylnym siedzeniu mercedesa z miną oblanego wrzątkiem szczura. Spod opon trysnęły fontanny żwiru, kiedy pan Weavel zbyt zdecydowanie wrzucił bieg. Po paru sekundach agent i niefortunny kupcy zniknęli za zakrętem podjazdu.

Julia rozplakała się z radości. Bez zastanowienia podbiegła do Elizabeth i chwyciła ją w objęcia.

- Kocham cię, mamó! - zawołała.

Elizabeth przez chwilę sprawiała wrażenie całkowicie zaskoczonej, lecz po chwili jej wargi zadrżały i twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Julia czuła, jak potężnie zbudowana starsza kobieta drży ze wzruszenia.

- Myśleliście, że pozwolę wam sprzedać Pendrift Hall? Po moim trupie! Odwzajemniłaby uścisk Julii, ale jedną jej rękę mocno trzymał Bouncy, a druga zaciśnięta była na gałce laski. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i poczuła, jak jej serce zalewa wielka fala radości. Było jej dobrze z uczuciem szczęścia, zwłaszcza że już prawie zapomniała, jaki ma ono smak. Jak bardzo jej go brakowało...

- Wstyd mi tego, co zrobiłem, mamó... - odezwał się Archie, nie odrywając wzroku od swoich butów.

- Wpakowałaś się w aż tak duże kłopoty? - zapytała łagodnie.

- Tak, niestety... - wyjąkał, znowu przyglądając wąsy.
- Więc dlaczego nic mi nie powiedziałeś?
- Nie chcieliśmy cię denerwować...
- Bzdury! Na pewno nie zdenerwowałabym się tak bardzo jak teraz! - Elizabeth potrząsnęła głową. - Kocham ten dom i wszystkich jego mieszkańców... Wilfrid, Sam i mały Bouncy powinni dorastać właśnie tutaj... Nie zapominajcie, że to najmłodsze pokolenie rodu Montague... Bouncy ucieszył się, że babka o nim mówi i pobiegł poskakać na sofach w salonie. Odkąd niania na dobre przeszła na emeryturę i zamieszkała w jednym z domków na terenie majątku, mnóstwo czasu upływało mu na skakaniu w różnych częściach domu, takich, z których wcześniej go przeganiało, natomiast jego mama miała zbyt miękkie serce, aby kazać mu przestać, a może po prostu widok radości małego sprawiał jej przyjemność.
- Boli mnie, że uznałeś, iż nie możesz ze mną porozmawiać - ciągnęła Elizabeth. - Czy jestem aż takim potworem?
- Co teraz zrobimy? - zapytała Julia, którą znowu ogarnął niepokój.
- Nie wiem, moja droga... - Elizabeth wyprostowała się, gotowa do dalszej walki. - Ale tak czy inaczej nie sprzedamy Pendrift. jakoś sobie poradzimy, nie poddamy się. Ojciec Archiego przewróciłby się w grobie na samą myśl, że to miejsce mogłoby trafić w ręce takich prostaków, a mnie na pewno by to wykończyło... - Uśmiechnęła się łobuzersko. - W tej chwili wydaje mi się jednak, że zdenerwowanie obudziło we mnie chęć do życia. Soames, poproszę dzin z tonikiem, dobrze? Chodźcie, usiądziemy sobie w salonie. Gdzie jest ksiądz Dal-gliesh? Chyba przyszedł czas, żeby nawiązał bezpośredni kontakt z Bogiem...
Potrzebujemy boskiej interwencji, bez dwóch zdań!
Julia uniosła brwi i popatrzyła na męża, który odpowiedział jej równie zdumionym spojrzeniem. Nigdy dotąd nie widział matki w tak doskonałej formie.

Penelope czuła się znacznie gorzej niż Elizabeth, ponieważ Lotty uciekła z Francisem Browne'em. Nie mogła pojąć, co wstąpiło w jej córkę i dlaczego zrezygnowała ze wspaniałej przyszłości, wybierając miłość człowieka bez odpowiednich środków do życia. Talent miał bardzo niewielką wartość, jeśli dzięki niemu na stole nie pojawiał się jedzenie.

- Każdy musi być realistą i stać mocno na ziemi - powiedziała Penelope do Melissy, która była tak samo wstrząśnięta jak matka.

Melissa nie była pewna, co zaskoczyło ją bardziej - fakt, że siostra uciekła z mężczyzną, czy raczej to, że nie dopuściła jej do tajemnicy. Na dodatek ucieczka Lotty nastąpiła niedługo po śmierci Monty'ego... Dwie katastrofy w jednej rodzinie to więcej, niż można znieść.

- W dzisiejszych czasach znacznie ważniejsza jest wygoda niż miłość - oznajmiła Penelope. - Można nauczyć się kochać męża, to wymaga jedynie czasu... Ja pokochałam Milтона i teraz trudno byłoby znaleźć szczęśliwszą od nas parę.

Nie była to do końca prawda, lecz Penelope umierała ze strachu, że Melissa pójdzie w ślady siostry i ucieknie z tym okropnym Raffertym, który był prawie tak samo nieodpowiednim kandydatem na męża jak Francis Browne.

- Poza tym namiętna miłość nigdy nie trwa długo - ciągnęła. - Jest jak pożar, który najpierw błyskawicznie pochłania wszystko, co stanie mu na drodze, a potem przygasa... O wiele trwalsza i uczciwsza jest przyjaźń.

Biedny Edward, ta straszna wiadomość kompletnie go zniszczy... I oczywiście, jeśli cały ten Browne zostawi Lotty na lodzie, Edward nigdy nie zgodzi się przyjąć z powrotem... Żaden człowiek na przyzwoitym poziomie nie zechce się z nią ożenić. Podejrzewam, że nie pomyślała o tym, kiedy zdecydowała się uciec z tym zerem.

- Jeszcze nie jest za późno - powiedziała Melissa. - Może Lotty jednak zmieni zdanie...

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Mylisz się, moja droga, na odwrót jest już za późno. Co się stało, to się nie odstanie.

- Ty i tata nie pozwolicie chyba, żeby została bez grosza przy duszy!

- Lotty dokonała wyboru i teraz poniesie konsekwencje, a my będziemy musieli znosić tę hańbę...

- Wszyscy będą o tym gadać! - jęknęła Melissa.

- Teraz gadają wyłącznie o śmierci Monty'ego... - Penelope westchnęła

tak głęboko, że jej biust podjechał wysoko na spotkanie trzeciego

podbródka. - Nigdy dotąd nie byliśmy aż tak interesujący dla innych...

Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby zrobić coś takiego jak Lotty, słyszysz, moja droga? Nie zniosłabym tego po raz drugi!

Melissa pomyślała o Raffertym CTGradym i posłusznie skinęła głową.

Tego wieczoru ksiądz Miles Dalglish usiadł do stołu z Archiem, Julią i

Elizabeth Montague w jadalni Pendrift Hall. Przyjechał na rowerze i

zostawił go pod ścianą przy wejściu. Zgodnie ze zwyczajem, w progu

przywitał go Soames, ale był to zupełnie inny Soames niż ten, który

zawsze przyjmował go z kwaśną, niezadowoloną miną. Twarz lokaja

wydawała się całkowicie odmieniona, nawet jego nos sprawiał wrażenie

mniejszego i krótszego. Ksiądz Miles przyjrzał mu się uważnie, kiedy

wchodził po schodach, i nagle olśniła go myśl, na czym polega niezwykła

zmiana - Soames pierwszy raz nie patrzył na niego z chłodną

wyniosłością.

- Dobry wieczór księdzu! - przemówił odmienionym głosem, pogodnym i sprężystym jak guma.

- Dobry wieczór, Soames - odparł kapłan. - To bardzo miła niespodzianka

- dodał, mając na myśli zaproszenie na kolację.

- Tak jest, proszę księdza. Pani Elizabeth bardzo zależało na księdza obecności.

Ksiądz Miles przeżył średnio przyjemne zaskoczenie - od początku trochę obawiał się tej dostojnej, autorytatywnej kobiety. Soames wprowadził go do holu i duchowny nie miał już czasu myśleć o swoich poprzednich, dość trudnych spotkaniach ze starszą panią Montague. Ksiądz bardzo się zdziwił, kiedy zza otwartych drzwi salonu usłyszał wybuchy śmiechu.

Dobiegł go też cienki głosik dziecka, co natychmiast poprawiło mu nastrój. Uwielbiał małego Bouncy'ego, który w czasie każdej niedzielnej mszy niestrudzenie biegał w tę i z powrotem główną nawą kościoła.

- Ach, jest ksiądz! - ucieszył się Archie, wstając z krzesła. Oczy miał zaczerwienione, a twarz zmęczoną, lecz radośnie uśmiechniętą.

- Prosimy do środka - zachęcił.

Julia i Elizabeth siedziały na dużej sofie i obserwowały Bouncy'ego, który właśnie zeskakiwał ze stolika do kawy na mniejszą kanapę. Malec miał na sobie piżamę w biało-niebieskie paski, jego czupryna była porządnie przygładzona i rozdzielona przedziałkiem z boku głowy.

Pyzata, zarumieniona buzia o błyszczących brązowych oczkach stanowiła wyjątkowo miły widok.

Księdza Milesa najbardziej zdumiał pełen uroku, nieoczekiwanie fascynujący uśmiech na twarzy Elizabeth. Nigdy wcześniej nie widział starej damy w tak znakomitym nastroju.

- Niechże ksiądz razem z nami popatrzy chwilę na Bouncy'ego! -

powiedziała, gestem zapraszając księdza na miejsce obok siebie. -

Położyliśmy go już spać, ale ten mały tygrysek wymknął się ze swojego pokoju i znowu tu przybiegł...

- Cieszę się, że go widzę - rzekł ksiądz Dalglicsh.

- Och, my także! To wielka radość patrzeć na to kochane dziecko!

- Dobry wieczór księdzu... - rzekła z uśmiechem Julia. - Bouncy zaraz pójdzie do łóżka, jest już bardzo zmęczony.

- To dlatego, że przez cały dzień bawił się ze mną! - zawołała z dumą Elizabeth. - Jest moim małym kumplem, prawda, Bouncy?

Dzieciak posiał jej łobuzerski uśmiech, zeskoczył ze stolika i z radosnym piskiem wylądował na kanapie. Z tym wyrazem twarzy przypominał Elizabeth do złudzenia jej ukochanego młodszego brata.

- Jak układają się państwa sprawy? - zagadnął ksiądz, siadając w fotelu.

Siedzące naprzeciwko kobiety przesłaniało mu skaczące dziecko.

- Niezbyt dobrze, szczerze mówiąc... - Arenie nerwowo przyglądał wąsy.

- Niezbyt dobrze.

- Bardzo mi przykro.

- Znaleźliśmy się w sporych kłopotach... - Archie zawiesił głos.

- Walczymy o to, aby nie sprzedać domu - podjęła za niego Julia. - Nie chcemy tego zrobić, to chyba oczywiste, będziemy musieli jednak podjąć jakieś kroki, jeżeli zależy nam, aby zostać w Pendrift.

Duchowny westchnął.

- Mogę wam jakoś pomóc? - spytał.

- Naturalnie! - wykrzyknęła Elizabeth. - Sam ksiądz mówi, że modlitwa ma ogromną moc, więc proszę szepnąć słówko za nami... Modlitwy nie przywrócą nam Monty'ego, wreszcie to do mnie dotarło, ale mój mąż i syn przewróciliby się w grobie, gdyby się dowiedzieli, że chcemy sprzedać nasz rodzinny dom. Nie, za żadne skarby nie zdecydujemy się na takie rozwiązanie! Ksiądz jest naszą ostatnią deską ratunku.

- Zwykle traktujemy Boga właśnie w taki sposób - zauważył ksiądz z leciutką nutą ironii, poprawiając okulary. - Zrobię, co w mojej mocy, chociaż nie jest to wiele... Z doświadczenia wiem, że cuda naprawdę się zdarzają, tyle że najczęściej przybierają zupełnie nieoczekiwaną postać. Jeżeli Bóg wysłucha waszych modłów, powinniście spodziewać się czegoś zupełnie zaskakującego...

Nie czuł się dobrze ze świadomością, że oto wszystkie swoje nadzieje pokładają w jego modlitwach. Odwrócił głowę i jego wzrok przypadkiem spoczął na oprawionej w srebrne

ramki fotografii Celestii na stoliku obok. Była promiennie uśmiechnięta, jasne włosy rozwiewał wiatr; ubrana w wiązany na szyi top w kropki, siedziała na piasku, a morze lśniło i migotało za jej plecami. Serce księdza Milesa na moment zgubiło rytm, kiedy przypomniał sobie tamtą niedobłą chwilę w jego saloniku. To przeżycie wstrząsnęło nim do głębi, nie dlatego, że zrobił coś złego, lecz dlatego, że w głębi ciała, w dole brzucha czuł wtedy tak głębokie podniecenie.

- Piękne zdjęcie Celestii, prawda? - Julia się uśmiechnęła, biorąc Bouncy'ego na kolana. - Zrobione tuż przed śmiercią jej ojca. Była jeszcze taka szczęśliwa...

- Co dzieje się z nią teraz? - spytał ksiądz z nadzieją, że leciutkie drżenie głosu go nie zdradzi.

- Nadal jest we Włoszech. Nie mieliśmy od niej żadnych wiadomości, ale jak wiadomo, brak wiadomości to dobra wiadomość...

- Wyjazd z miejsca, gdzie spotkała ją tragedia, powinien dobrze jej zrobić - rzekł duchowny.

Z pewnym trudem oderwał oczy od fotografii. Jej wyjazd dobrze zrobi także i mnie, pomyślał z ulgą. Kiedy wróci, znowu będę silny jak dawniej.

Marelatte

Rano Celestria znalazła Armel i Federicę w ogrodzie, zajęte rozmową przy kawie. Mówiły przyciszonymi głosami, a na jej widok przerwały i uśmiechnęły się na przywitanie.

- Chodź do nas! - Federica ruchem ręki wskazała sąsiedni fotel. - Mam ci coś do powiedzenia!

Celestria usiadła, z zaciekawieniem patrząc w zarumienioną z podniecenia twarz Federiki.

- *Lnigi, un caffè latte per la signorina, per favore!* - zawołała pani domu. Kucharz natychmiast wsypał mieloną kawę do metalowego ekspresu i postawił go na kuchni.

- Zdarzyło się coś ważnego - powiedziała Federica.

- Dzięki twojemu zięciowi - wtrąciła Armel. - Tajemniczemu Hamishowi...

Celestria zarumieniła się, lecz dwie starsze kobiety były tak pochłonięte swoim odkryciem, że nie zwracały na nią najmniejszej uwagi.

- Dziś rano, kiedy nakrywałam stół do śniadania, do jadalni wszedł Hamish - podjęła Federica. - Wyglądał jakoś inaczej, był pogodny i skupiony. Zapytał mnie o Salazara. Powie-

dział, że widział cię z nim wczoraj, Celestrio, i że bardzo go to niepokoi, ponieważ Salazar jest raczej podejrzaną postacią, no, w każdym razie na pewno niezasługującą na zaufanie. Mam nadzieję, że nie rozgniewasz się, ale opowiedziałam mu całą tę skomplikowaną historię tak, jak ja ją rozumiem. Wtedy Hamish oświadczył, że jeżeli chcemy wyciągnąć z Salazara prawdę, musimy zwrócić się o pomoc do jego kochanki Rosannny...

- Salazar ma rodzinę - odezwała się Armel, w zamyśleniu gładząc bliznę nad górną wargą. - Pięcioro dzieci oraz dobrą, lojalną żonę, której rodzina cieszy się w okolicy wielkim szacunkiem. Salazar w żadnym razie nie chciałby, żeby krewni jego żony dowiedzieli się o Rosannie.

- Jak mamy ją namówić, żeby nam pomogła? - zapytała Celestria.

- Rosanna jest siostrą Nuzza. - W głosie Federiki brzmiała triumfalna nuta.

- A Imuzzo wie o naszych problemach? Federica skinęła głową.

- Jeszcze ważniejsze jest to, że Nuzzo zakochał się w pani Waynebridge i nie ma rzeczy, której by dla niej nie zrobił. Zwierzył się ze swoich uczuć Luigiemu, a żona Luigiego powtórzyła to mnie.

- Niezwykle sprawny telegraf bez drutu - mruknęła Celestria.

Dobrze chociaż, że telegraf jeszcze nie nadał na całą okolicę wiadomości o przygodzie, która poprzedniego wieczoru spotkała ją w barze...

Luigi wyłonił się z kuchni, niosąc na srebrnej tacy kawę dla Celestriei.

Postawił ją na stole, zapytał, czy potrzebują czegoś jeszcze, i zniknął.

- Więc co zrobimy? - zapytała niecierpliwie dziewczyna.

- Nuzzo porozmawia dzisiaj z siostrą.

- Co będzie, jeśli ona się nie zgodzi?

- Zaapelujemy do niej razem, porozmawiamy z nią jak kobiety z kobietą - odparła Armel.

- My, Włosi, traktujemy śmierć w bardzo poważny sposób, Celestria - powiedziała poważnie Federica. - Jeżeli Salazar rzeczywiście maczał palce w samobójstwie dwóch ludzi, Rosanna nie będzie chciała go osłaniać.

Celestria rzuciła Armel zaskoczone spojrzenie.

- Benedict także popełnił samobójstwo? Francuzka skinęła głową.

- Nic mi nie mówiłaś...

- Nie przyszło mi do głowy, że może to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Wszystkie te podobieństwa są zbyt uderzające, aby je zignorować! -

Celestria przygryzła wargi. - Nie umiem tylko sprecyzować, co najbardziej mnie w nich niepokoi, umyka mi jakiś powtarzający się motyw... Czy to tylko moje wrażenie, czy może was także prześladowuje to dziwne uczucie? Widzicie coś, czego ja nie potrafię dostrzec?

- Chyba nie... - Armel zamyśliła się na chwilę. - Nic poza tym, że obaj nie byli skłonni poddawać się przygnębieniu, a tym bardziej myśleć o samobójstwie. Moim zdaniem obaj zostali zamordowani.

- Ja też tak uważam - przyznała Celestria. Federica energicznie zatarła ręce.

- Bierzmy się do roboty! - powiedziała. - Nigdy nie lubiłam Salazara, jest zdecydowanie zbyt pewny siebie!

Armel zapaliła papierosa i wypuściła kłębek dymu w ciepłe powietrze. Zmrużyła powieki.

- Jeżeli Salazar zabił mojego męża, nie wyjdzie żywy z moich rąk - oświadczyła.

- Istnieją inne rodzaje zemsty, nie musimy uciekać się do przemocy - zauważyła Federica. - O wiele trudniej jest żyć z poczuciem winy niż umrzeć i uciec przed wyrzutami sumienia...

Celestria pomyślała o Hamishu. Federica miała rację. Czy jego także często dręczyło pragnienie ucieczki? Czy to dlatego spędzał tyle czasu w mauzoleum, modląc się o śmierć, która połączyłaby go z żoną i pozbawiła poczucia winy? Czy dla niego śmierć była światłem za uchylonymi drzwiami?

Wieczorem Celestria przebierała się do kolacji, kiedy usłyszała melancholijne dźwięki fortepianu. Wiedziała, że przy klawiaturze siedzi Hamish. Nie widziała go cały dzień, chociaż ciągle szukała wzrokiem. W końcu ogarnęło ją rozczarowanie, czuła bowiem, że on coraz bardziej się od niej oddala. Nie spodziewała się, że w taki sposób zareaguje na pocałunek, który połączył ich w starej fortecy, a przecież próbując nawiązać z nim kontakt, mogła polegać jedynie na swoim instynkcie i mocnej wierze, że są sobie przeznaczeni, nie znała go bowiem dość dobrze, aby móc przewidzieć następny krok. Włożyła jasnoniebieską sukienkę i poszła korytarzem w kierunku holu. Jej serce biło szybko i nierówno, niepewne, czy Hamish wyciągnie po nie rękę, czy też nie.

Siedział przy fortepianie wśród stosów książek oraz kolekcji figurynek, które zbierała jego teściowa, na taborecie o wiele za niskim dla długich nóg. Celestria uśmiechnęła się nieśmiało, a on odpowiedział spokojnym uśmiechem, zupełnie jakby w jego wcześniejszej nieobecności nie było nic dziwnego.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała, opierając się o wieko fortepianu.

Hamish nie przerwał gry.

- Byłem sam na sam ze swoimi myślami. Myślałem o tobie...

Serce Celestria podskoczyło z radości. Hamish patrzył na klawisze, jego palce bez trudu wydobywały z nich właściwe dźwięki. Spoważniał i nachylił się niżej nad klawiaturą, a muzyka stała się bardziej dramatyczna.

- Grasz smutną melodię - mruknęła.

- Ale czuję się szczęśliwy. Masz rację, muzyka uwalnia uczucia. Przenika duszę i przegania ból. Teraz wypełnia mnie całego i pozwala uwierzyć, że wszystko jest możliwe...

Przymknął powieki i grał jeszcze parę minut. Potem nagle przerwał w połowie frazy.

- Chodź... - Wstał i wziął ją za rękę.

Poprowadził ją korytarzem do wąskich schodków i swojej pracowni. Powietrze w pokoju przesycone było ostrym zapachem farby i Celestria zrozumiała, że właśnie tu spędził cały dzień. Pragnęła zobaczyć, co namalował, ale sztalugi odwrócone były do ściany.

Hamish zamknął drzwi, wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował. Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję, wtuliła się w jego ciało, czując, że wreszcie odnalazła swoje miejsce na ziemi. Przez szeroko otwarte okno do studia wpadły łagodne promienie zachodzącego słońca i cichy szum morza; nie było tu ciemności, w której Hamish mógłby się ukryć, nie było nocy ani księżyca, tworzącego magiczny stan zawieszenia, nie-mający nic wspólnego z rzeczywistością. Tutaj Hamish całował ją szczerze, otwarcie i bez żalu.

Nie porównywała go już z innymi mężczyznami, ponieważ zrozumiała, że takie porównania pozbawione są sensu. Hamish był zwierzęciem nieznanego gatunku, tak odległym od łańcucha pokarmowego, istniejącego w londyńskim świątku, jak to tylko możliwe. I tutaj, oddychając pachnącym sosną i eukaliptusem powietrzem Włoch, Celestria także czuła, że zostawiła swoją przeszłość daleko za sobą.

- Jesteś aniołem, który zjawił się, żeby uratować mnie przede mną samym... - Hamish delikatnie potarł policzkiem jej szyję. - Żle cię oceniłem, teraz już to rozumiem. Pragnę cię i potrzebuję...

- Ja także - wyznała cicho.

- Nie zastanawiajmy się nad przeszłością. Najwyższy czas rozstać się z nią raz na zawsze.

- Jeżeli tego chcesz,.. - szepnęła.

- Tak, tego chcę. Chcę zacząć z tobą nowe życie. Chcę, byś zapomniała, że kiedykolwiek na ciebie krzychałem i sam też wyrzucę to z pamięci.

Pragnęła zapytać go, w jaki sposób zginęła Natalia i dlaczego nękało go tak wielkie poczucie winy, wiedziała jednak, że nie powinna tego robić - jeżeli zechce powierzyć jej tę tajem-

nicę, sam wyjaśni jej wszystko wtedy, gdy uzna to za stosowne. Na razie przepełniała ją uczucie szczęścia, że może z nim być, chociaż nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że dwie świece w mauzoleum po drugiej stronie drogi płoną teraz jeszcze jaśniej, domagając się uwagi i pamięci. Po kolacji wymknęli się na plażę i rozpalili ognisko w otoczonej ramionami klifów zatoczce, która już pierwszego dnia podbiła serce Celestii - tak małej, że było w niej dość miejsca tylko dla dwojga tańczących ludzi. Blask księżyca odbijał się od fal, ogień trzaskał i wysyłał iskry w słone, wilgotne powietrze.

- Jestem pewny, że życie nad morzem nie służy mojej nodze - rzekł Hamish, ciasno obejmując Celestrię. - Trzeba było zostać w górach... Tańczyli powoli, stąpając po kamieniach w rytm melodii, którą czuli w sercach.

- Więc dlaczego wciąż jesteś tutaj? Wzruszył ramionami.

- Bo tutaj jest moja przeszłość.

- Ale twoja przeszłość jest smutna... Dlaczego miałbyś nie wyjechać i nie zacząć od nowa? Zostaw to wszystko za sobą.

Popatrzył na nią pełnymi czułości oczami.

- Nie wyjeżdżam, bo kocham to miejsce. Kocham tutejsze dźwięki, zapachy, spokój... W tej ziemi drzemie jakaś głęboka magia, która trzyma mnie mocno... - Spojrzał na morze i lekko zmarszczył brwi. - Nie mógłbym na dobre rozstać się z Marelatte.

- Powiedziałaś, że jestem twoim aniołem, który uratował cię przed tobą samym. Może twój anioł ma zabrać cię stąd w inne miejsce...

Uśmiechnął się i pogładził jej policzek palcem.

- Może, ale i tak zawsze bym tu wracał.

- Nie tęsknisz za Szkocją?

- Ani trochę.

- I nigdy nie ciągnie cię, żeby tam pojechać?

- Nic na świecie nie skłoniłoby mnie do powrotu. Wszystkie szczęśliwe wydarzenia mojego życia związane są z Mare-latte. Na pewien czas straciłem zdolność doświadczania radości, ale ty znowu napełniłaś nią mój świat. Obdarowałaś mnie szczęściem tutaj, więc tutaj zostanę... - Jego uśmiech zbladł, twarz spoważniała, przyglądał się jej badawczo. - Mógłbym cię pokochać, wiesz? - odezwał się bardzo cichym głosem. - Mógłbym pokochać cię całym sercem...

Zanim zdążyła się zastanowić nad wagą jego słów, pocałował ją znowu. Zachwycona pieszczotą jego warg, zapomniała o wszystkim, bez reszty zagubiła się w mlecznym blasku księżyca nad Marelatte.

Następnego dnia rano Celestria, Armel, Federica, pani Waynebridge i Nuzzo spotkali się z Rosanną w małym kościółku obok Convento.

Codzienna msza już się skończyła, ksiądz poszedł na plebanię i tylko płonące na ołtarzu świece przypominały o odmawianych tu szeptem modlitwach i wypowiedzianych życzeniach, migocząc wśród duchów, które czekały, aby je pozbierać. Przeszli główną nawą między prostymi drewnianymi krzesłami, a espadryle Celestrie cicho uderzały o posadzkę ozdobioną mozaiką przedstawiającą, o dziwo, znaki zodiaku.

Dziewczyna przeżegnała się przed ołtarzem i zapaliła świecę. Myśląc o ojcu, wymamrotała krótką modlitwę, aby jego dusza spoczywała w pokoju, gdziekolwiek jest. Zerknęła na Armel i zauważyła, że wargi Francuzki także się poruszają w modlitwie; spod jej przymkniętych powiek spływały łzy.

Usiedli w małej kaplicy, oddzielonej od reszty kościoła czarną kratą i furtką. Na przykrytym białym obrusem ołtarza stały dwie grube kremowe świece, a między nimi wyrzeźbiona w marmurze postać Chrystusa na krzyżu. Celestrie przemknęło przez myśl, co by pomyślał ksiądz Dalgliesh, gdyby wiedział, że spiskują w Bożym domu, i poczuła ukłucie wy-

rzutów sumienia na wspomnienie chwili, w której skompromitowała nie tylko siebie, ale i jego. Nie miała jednak teraz czasu rozmyślać o Pendrift, ponieważ w kutej z metalu furcie pojawiła się Rosanna, ubrana na czarno, w czarnym koronkowym szalu udrapowanym na głowie i zasłaniającym twarz. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, garbiła się i rozglądała dookoła, sprawdzając, czy nikt jej nie obserwuje. Nuzzo zerwał się z miejsca, wziął siostrę za rękę i przedstawił ją Armel i Celestria. Dłoń Rosanny była drobna i miękka, z zadbanymi, długimi palcami. Kobieta nie podniosła szala. Usiadła obok brata, splatając palce obu rąk na kolanach.

Mówiła głównie Federica, lecz Armel przerywała jej co jakiś czas w nienagannym włoskim i gestykulowała gorączkowo, nie potrafiąc ukryć wściekłości i rozpacz. Celestria zauważyła, że pani Waynebridge patrzy tylko na Nuzza, który uśmiechał się lekko mimo powagi miejsca i sytuacji, jakby zachowanie surowego wyrazu twarzy było dla niego zbyt wielkim wyzwaniem.

Celestria uświadomiła sobie, że pani Waynebridge bardzo się zmieniła. Nuzzo przywrócił jej młodość, niezależność i ducha przygody. Od przyjazdu do Włoch dziewczyna rzadko widywała swoją towarzyszkę. Wayne spędzała całe dni na zwiedzaniu okolicy, jeżdżąc wszędzie z Nuzzem jego wozem i wracając z każdej takiej wyprawy z poszerzonym zasobem włoskich słów oraz bukietami kwiatów, które zasuszała w modlitewniku. Ponieważ obawy przestały jej ciążyć, poruszała się lżej niż kiedykolwiek, a łobuzerski błysk, wiecznie obecny w oku Nuzza, znalazł także odbicie w jej spojrzeniu.

Federica zaczęła opowiadać o śmierci Benedicta i Monty'ego oraz ich związku z Salazarem. Rosanna słuchała w milczeniu, mrugając dużymi oczami za zasłoną z cienkiego, przejrzystego szala. Potem głos zabrał Nuzzo, mówiąc błagalnym, ponagającym tonem. Uniósł otwarte dłonie, wzruszył ramionami i zrobił smutną minę, chociaż jego wargi jakby wbrew niemu lekko wyginały się do góry. W końcu zapadła

cisza. Celestria bała się, że Rosanna nie będzie chciała im pomóc.

Wyglądała na tak nieśmiałą i lękliwą...

Rosanna powoli podniosła woal. Jej odsłonięta twarz miała kolor *caffé latte*. Brwi i długie lśniąco-rzęsy stanowiły piękne obramowanie dla dużych brązowych oczu. Jej zmysłowe, pełne wargi miały kształt łuku i umalowane były czerwoną szminką, doskonale dopasowaną odcieniem do lakieru na paznokciach. Delikatna, okrągła twarz tchnęła

współczuciem, jakie wywołała w sercu Rosanny niezwykła historia, oraz lękiem przed kochankiem. Z tonu jej głosu Celestria wywnioskowała, że kobieta przekazuje im bardzo ważne informacje. Rosanna skończyła mówić, opuściła szal na twarz, przeżegnała się przed ołtarzem i zniknęła tak szybko jak odlatujący w mrok ptak.

Mniej więcej dziesięć minut później grupka przyjaciół opuściła kościół i zebrała się na naradę w Convento. Federica szybko streściła treść rozmowy z Rosanną po angielsku.

- Musieliśmy ją dość długo przekonywać, ponieważ boi się Salazara, ale ostatecznie zgodziła się nam pomóc. Spotyka się z Salazarem w małym domku w Castellino. Celestria i Armel muszą być tam dzisiaj o piątej po południu. Poproszę Hamisha, żeby z wami pojechał, bo to silny mężczyzna i Salazar nie będzie miał ochoty wdawać się z nim w bójkę.

- Czy Salazar odgadnie, że Rosanna go zdradziła? - zapytała Celestria, niespokojna o bezpieczeństwo Włoszki.

- Raczej nie... Rosanna będzie udawała, że wasze pojawienie się jest dla niej takim samym zaskoczeniem jak dla niego, a wy musicie zachowywać się tak, jakbyście widzieli ją po raz pierwszy. To ważne... - Federica na moment zawiesiła głos. - Salazar jest nadętym głupcem, ale niekoniecznie mordercą. Nie mam pojęcia, co stało się z twoim ojcem i mężem Armel, i słusznie twierdzicie, że podobieństwa między tymi dwoma sprawami aż znanadto rzucają się w oczy, pamiętajcie jednak, że Salazar może być niewinny...

- Może... - Celestria wzruszyła ramionami. - Ja wolę wierzyć, że jest winny jak wszyscy diabli.

Nuzzo wrócił do pracy, a Federica do swoich codziennych zajęć w Convento. Armel usadowiła się na słońcu z Celestrią i panią Waynebridge. Rozmawiały o ewentualnej niewinności Salazara.

- Chcę, by wiedział, że ani na minutę nie przestaję myśleć

O moim mężu - powiedziała Armel z zajadłą goryczą. - Że czuję się tak, jakby ktoś raz po raz wbijał mi sztylet w serce... Salazar pozbawił mnie chęci do życia, szczęścia i radości... Mówiłam ci, że Benedict był przedsiębiorcą i biznesmenem, prawda?

- Tak.

- Zajmował się jednak nie tylko robieniem pieniędzy, pracował też dla rządu, był ważnym człowiekiem... Tajemniczym mężczyzną o skomplikowanym, wielowarstwowym charakterze. Obawiam się, że w najmroczniejszym zakątku serca mógł ukrywać przestępcze skłonności...

- Z piersi Francuzki wyrwało się pełne znużenia westchnienie. - Dopiero po jego śmierci, kiedy musiałam przejrzeć rozmaite dokumenty, zorientowałam się, że handlował bronią. Kupował uzbrojenie i sprzedawał je Izraelowi, działał jednak na dwie strony. Wstyd mi, ale wcale nie kocham go przez to mniej...

- W jaki sposób wszedł w kontakt z Salazarem?

Armel zapaliła papierosa. Wciągnęła nikotynę do płuc, rozluźniła się trochę i potarła czoło.

- Znalazłam różne rachunki wystawione na Benedicta i opłacone przez Salazara, a później pojawiła się ta odrażająca Węgierka. W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi o romans. Mój mąż lubił kobiety i z całą pewnością nie byłam jedyną w jego życiu... Jestem przecież Francuzką, my rozumiemy, że mężczyzna ma swoje potrzeby, ale kiedy ją zobaczyłam...

- Hrabinę Valonya?

- Znasz hrabinę Valonya?

- Miałam nieszczęście ją poznać, tak... Pracowała dla mojego ojca.

- I dla mojego męża...

Obie patrzyły na siebie, oszołomione i niepewne. Żadna nie była w stanie wyrzucić z siebie lęku, który przenikał ich serca niczym żrący kwas.

Pani Waynebridge nagle otrząsnęła się z zamyślenia.

- Brzmi to trochę tak, jakby pani mąż i pan Montague byli jedną i tą samą osobą... - powiedziała.

Parsknęła śmiechem, rozbawiona absurdalnością tej myśli, ale Celestria i Armel nie zawtórowały jej.

- Masz fotografię ojca? - spytała cicho Armel, której twarz była biała jak lilia w żałobnym wieńcu.

- Nie sądzisz chyba... To niemożliwe...

Słowa utknęły Celestria w gardle. Wydawało jej się, że usta ma pełne waty. Nieprzytomna z przerażenia, pobiegła na górę, do swojego pokoju.

- Och, Boże, błagam... - wymamrotała, patrząc w twarz ojca, którego traciła, z każdym dniem coraz bardziej.

Przyszło jej do głowy, że niedługo w ogóle nie będzie miała pojęcia, kim naprawdę był. Kiedy wróciła do ogrodu, Armel gorączkowo paliła następnego papierosa. Celestria bez słowa podała jej zdjęcie. Z gardła kobiety wydarł się ochrypy jęk, podobny do agonialnego rżenia. Armel zgięła się w pół i uderzyła czołem o swoje kolana.

- *Mon Dieu...* - wykrztusiła.

Celestria usiadła. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że w jednej chwili stała się mała i przerażająco krucha.

- To Benedict? - wyszeptła, chociaż już znała odpowiedź na to pytanie. - Mogłyśmy domyślić się wcześniej...

Ptaki świergotały na drzewach, przy drodze do Convento ujadły psy, nieruchome, gorące powietrze południa rozdarło rzenie konia. Marelatte żyło jak zwykle, czas toczył się powoli, trochę leniwie. Tylko świat Armel i Celestria nagle przestał istnieć.

W drzwiach kuchni stanęła zaniepokojona Federica.

- Co się stało? - zapytała.

Armel wciąż siedziała skulona, z głową opartą na kolanach.

Popiół z jej papierosa zwisał nisko, podobny do długiej szarej gąsienicy, coraz bliżej jej palców. Celestria zabrakło słów, nie mogła nic wykrztusić. Próbowwała, ale z jej gardła wydobywał się tylko stłumiony, syczący dźwięk.

- Zażartowałam, że chyba mąż Armel i ojciec Celestria to ten sam człowiek, ale ani przez chwilę nie myślałam, że mogę mieć rację... - Pani Waynebridge kręciła głową, przyciskając dłoń do lewej strony klatki piersiowej. - Skąd mogłam wiedzieć, naprawdę... To straszny szok... W jej oczach zalśniły łzy, a blask młodości, który obudził w niej Nuzzo i który dodawał urody jej policzkom, znikł w jednej chwili.

Federica osunęła się na krzesło, jej twarz była kredowobiała.

Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w ziemię.

- To wiele tłumaczy, prawda? - odezwała się z goryczą, takim tonem, jakby mówiła sama do siebie.

- Raczej tak... - zgodziła się pani Waynebridge, obserwując ją z niepokojem.

- Tak mi przykro... - Federica wyciągnęła rękę i pogładziła Celestrię po ramieniu.

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

- Pochowałeś go? - wychrypiała.

Armel podniosła głowę. Popiół oderwał się od papierosa i rozsypał na ziemi.

- Nie. A ty?

- Nie.

- Nie było ciała? - spytała Armel.

- Nie... Ojciec zginął na morzu. Armel pokiwała głową.

- Benedict także. Musiał to wszystko bardzo starannie zaplanować. -

Zamrugła, jakby nagle w głowie zaświtała jej jakaś niezwykła myśl. -

Czy myślisz to, co ja?

Spojrzenie Armel w ułamku sekundy stało się twarde i zimne jak kamień.

Celestria kiwnęła głową, rozpaczliwie zbierając myśli.

- Czy to możliwe? - szepnęła.

- Chwileczkę, teraz już się pogubiłam - wyznała pani Waynebridge i przeniosła wzrok na Federicę. - Tylko ja, czy pani też?

- Nie śmiem się odezwać... - mruknęła Federica, nerwowo obracając w palcach medalik.

- To, co przyszło mi do głowy, wydaje się kompletnie nieprawdopodobne... - Armel wzruszyła ramionami. - Myślę, że Benedict Devere alias Robert Montague wcale nie zginął. Zaplanował swoją śmierć, a raczej zniknięcie, przekazując na konto Salazara pieniądze, które potem hrabina Valonya wycofała w jego imieniu, żeby mógł zacząć nowe życie w innym zakątku świata. Skoro Benedict potrafił wieść podwójne życie, to dlaczego nie potrójne?

- Jeśli trafiłaś w dziesiątkę, to mimo wszystko nie docenił nas - oświadczyła spokojnie Celestria.

- Oczywiście! - przytaknęła Armel. - Jeżeli żyje, znajdziemy go, choćbyśmy miały szukać całe lata...

Federica wstała i wróciła do kuchni. Długą chwilę stała nieruchomo, oparta plecami o drzwi, z dłońmi kurczowo splecionymi na piersi, oddychając szybko i płytko. Uspokoila się dopiero po paru minutach. Sięgnęła po butelkę wina, przeżegnała się i w myśli poprosiła Boga o przebaczenie.

Celestria pobiegła wąską ścieżką do starej warowni. Gardło miała ściśnięte, z trudem łapała oddech i starała się powstrzymać łzy. Wreszcie stanęła przy oknie zrujnowanej budowli, utkwiała wzrok w kojąco rozkołysanych falach i zaszlochała. Dźwięk, który wydarł się z jej piersi, do złudzenia przypominał skowyt śmiertelnie ранego dzikiego zwierzęcia, a kiedy raz zaczęła już płakać, nie była w stanie się opanować. Płakała tak, jakby wszystkie przeżycia po zniknięciu ojca nagle znalazły szczelinę w tamie, jaką wybudowała wokół nich, i rozerwały mur na strzępy. Oszustwo ojca całkowicie ją załamało, równie dobrze mógł jednym ruchem przekreślić albo wymazać całą jej przeszłość. Najgor-

sze jest to, że w ogóle nie wziął pod uwagę tego, co się ze mną stanie, pomyślała. Odciął się ode mnie. Ojciec, którego kochałam, w ogóle nie istniał...

Łzy paliły jej policzki i spływały po brodzie na śliczną białą sukienkę. Zacisnęła dłonie na kamiennym parapecie okna, żeby nie upaść. Wciąż tak stała, gdy Hamish wreszcie ją znalazł.

Bez słowa wziął ją w ramiona i pozwolił wypłakać się na swojej piersi. Z czułością gładził jej włosy, ocierał łzy i całował, daremnie próbując zasklepić głębokie rany. Minęło sporo czasu, nim oddech Celestii stał się miarowy.

- Federica mi powiedziała - szepnął. - Tak mi przykro...

- Całe życie mnie okłamywał... Ożenił się z Armel zaraz po wojnie, mniej więcej wtedy, kiedy mama i ja wróciłyśmy z Ameryki. Mówił, że wyjeżdża w interesach, ale naprawdę budował drugie życie. - Odsunęła się na odległość ramienia i uniosła ku niemu oczy. - A ja mu ślepo wierzyłam... Kochałam go bezwarunkowo, a on wcale nas nie kochał... Jak mógłby odejść, gdyby darzył nas miłością? Co powie na to wszystko mama? I Harry... Mój Boże, co zrobi moja rodzina, kiedy im powiem? Ta wiadomość zniszczy nas wszystkich...

- Dobrze się zastanów, zanim im powiesz - powiedział poważnie Hamish.

- Ale on żyje... - Ściągnęła brwi. - On żyje, wcale nie umarł...

Niepotrzebnie go opłakiwałam, bez sensu! - wybuchnęła gniewem. -

Plakałam po nim, przeklinałam morze za to, że mi go zabrało! Jęczałam z bólu, wyobrażając sobie, jak cierpiał! Modliłam się, żeby nie trafił do piekła! A tymczasem on po prostu upozorował swoją śmierć! Zaplanował nasze łązy! Oszukał nas, okradł po to, żeby cieszyć się życiem gdzie indziej, z kim innym! A co z naszym życiem, co z naszą przyszłością?!

- Twoja przyszłość jest tutaj, ze mną - oznajmił Hamish zdecydowanym głosem, mocno tuląc ją do siebie. - Tu, w Marelatte. Tutaj jest twoje miejsce.

- Nie wiem już, komu mogę wierzyć... - szepnęła.

- Mnie. Mnie możesz zaufać.

Popatrzyła w jego głębokie, nieodgadnione oczy i znowu zauważyła, jak bardzo różnił się od jej ojca, Aidana, Rafferty'ego i Dana. Hamish nie był gładki i uprzejmy, nie fascynował czarującym uśmiechem, nie udawał, nie grał. Jego uczciwość była surowa i naturalna. I za to szczerze dziękowała losowi.

Hamish jechał należącą do Gaitana lanią flamią do Castel-lino, małego miasteczka o architekturze w mauretańskim stylu, położonego na południe od Marelatte. Armel siedziała obok niego, Celestria z tyłu. Samochód wibrował, spod maski wydobywały się odgłosy do złudzenia przypominające piskliwy jęk źle nastrojonych skrzypiec.

Budynki w Castellino, wzniesione z tego samego jasnego piaskowca co w Marelatte, miały płaskie dachy i wysokie brązowe drzwi, za którymi znajdowały się wewnętrzne dziedzińce, ukryte przed wzrokiem przechodniów. Mauretańskie wpływy były tu widoczne gołym okiem - łukowate fasady, ślimakowate kolumny i bogato zdobione balkony oraz balustrady wyglądałyby na miejscu także w Maroku. Wiatr od morza poruszał liśćmi eukaliptusów. Kilku starych mężczyzn siedziało na ławkach i obserwowało zachodzące słońce z głęboką przyjemnością, zrodzoną z niepewności, ile jeszcze zachodów dane im będzie oglądać, a grupa wychudzonych kundli kręciła się na placu w poszukiwaniu resztek jedzenia,

Dom, który opisała Rosanna, był mały, jasnożółty i nieco

oddalony od pozostałych, zbudowany na wzgórzu, którego zbocze zbiegało ku kredowobiałym klifom. Nie robił szczególnie imponującego wrażenia, wyglądał nawet na niedokończony, jakby właściciele nagle przerwali budowę, ponieważ zabrakło im pieniędzy.

Hamish spojrzął na zegarek. Przyjechali odrobinę za wcześnie. Odwrócił się do siedzącej za nim, milczącej Celestii i ujął jej rękę.

- Wszystko w porządku? - zapytał troskliwie.

- Mdli mnie ze zdenerwowania, a ciebie, Armel?

- Mnie także, ale zaraz zapalę i trochę się uspokoję. - Otworzyła torebkę. - Chcesz papierosa?

- Bardzo proszę - odparła Celestia, czerpiąc siłę z ciepłej dłoni Hamisha. Kiedy trzymała go za rękę, czuła się bezpieczna.

- Przynajmniej dowiedcie się prawdy. - Hamish lekko zmarszczył brwi.

- Może trzeba było zostać w Anglii i opłakiwać go razem z resztą rodziny... - powiedziała dziewczyna. - Nieświadomość była prawdziwym błogosławieństwem... Co zrobimy, jeśli go znajdziemy? - Odwróciła głowę w stronę Armel, która podała jej ogień.

Koniuszek papierosa rozżarzył się jak robaczek świętojański i przygasł.

- Nie wiem... - Armel bezradnie potrząsnęła głową.

- Wolałabym, żeby naprawdę zginął. Byłybyśmy czegoś pewne, prawda?

- W głosie Celestii zabrzmiała twarda nuta.

- I nie czułybyśmy się tak okropnie upokorzone... Nie kochał nas zbyt mocno, skoro wyreżyserował własną śmierć głównie po to, żeby się nas pozbyć. - Armel zaśmiała się cynicznie, zapatrzona w dal.

- Nie znacie prawdy - odezwał się Hamish. - I może nigdy się nie dowiedziecie, jak to było. Całkiem możliwe, że tak jest lepiej.

Wysiedli z samochodu i chwilę stali przed domem, skąpa-

ni w pomarańczowym świetle zachodzącego słońca. Wdeptali papierosy w piasek i powoli ruszyli do drzwi. Hamish trzymał Celestrię za rękę. Jeżeli nawet Armel to zauważyła, nie powiedziała ani słowa i nie przestała ponuro patrzeć prosto przed siebie. Mieli zadanie do wykonania i nic nie powinno rozpraszać ich uwagi.

Rosanna zgodnie z obietnicą zostawiła drzwi uchylone. Hamish pierwszy wszedł do środka. Chłodne powietrze wewnątrz domu pachniało świeżo zmieloną kawą. Posadzkę ułożono z kamiennych płyt, ściany były białe, nad kominkiem wisiał prosty drewniany krucyfiks. Nie musieli wspinać się po schodach, ponieważ dom był parterowy. Hamish odwrócił się do kobiet i kiwnął głową. Byli gotowi. Żołądek Celestrii skurczył się ze strachu. Czują wdzięczność, że Hamish przyjechał tu razem z nią. Nie miałyby odwagi stawić czoła Salazarowi tylko z Armel u boku.

Z pokoju w końcu korytarza dobiegły ich głosy i fontanna śmiechu Rosanny. Zza drzwi sączył się zapach tanich perfum. Hamish na palcach przeszedł przez korytarz, znieruchomiał na chwilę i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi.

Rosanna leżała na łóżku w szlafroku z kremowej satyny, ciemnobrązowe włosy w lśniących lokach opadały na ramiona. Salazar w krótkich kalesonach stał u stóp łóżka; los widocznie postanowił upokorzyć go do końca, ponieważ na nogach miał skarpetki, podtrzymywane czarnymi gumkami, oraz wyglansowane dwukolorowe buty. Wyglądał karykaturalnie.

W pierwszej chwili jego gładką twarz wykrzywił spazm złości, potem pojawił się na niej wyraz zaskoczenia, a w końcu lęku, gdy już pojął, dlaczego przyszli. Ani przez chwilę nie pomyślał, że Celestria może zawrzeć sojusz z Armel. Krzyknął coś po włosku, Hamish odpowiedział mu spokojnie i rzucił na łóżko przewieszony przez oparcie krzesła zielony szlafrok. Rosanna skuliła się, udając przerażenie. Okazała się dobrą aktorką. Salazar zaczął błagać, aby uszanowali ją i pozwolili jej odejść. Hamish zgodził się i Rosanna pobiegła do

łazienki, skąd po chwili wyszła, całkowicie ubrana i bez słowa wymknęła się za drzwi. Było jasne, że Salazar nie chce, aby kochanka słyszała jego wynurzenia.

- Więc to tak... - Armel usiadła na brzegu łóżka i założyła nogę na nogę. - Masz kochankę...

- Nie wasz interes... - odburknął Salazar, wyraźnie wstrząśnięty. Hamish podszedł do okna i założył ręce na piersi.

- Nie martw się, nikt nie będzie wtrącał się w twoje sprawy, jeżeli coś dla nas zrobisz - rzekł.

- Powiedziałem wam wszystko, co wiem!

- Mówiłeś, że Robert Montague miał wspólnika - odezwała się Celestria. - Kto to był?

- Benedict Devere - odparł prawnik.

Armel pochwyciła spojrzenie Celestria i kiwnęła głową. Salazar sprawiał wrażenie mocno przestraszonego. Jego włosy, teraz nieprzygładzone brylantyną, grubymi kosmykami opadały na czoło. Odgarnął je do tyłu, upokorzony, że oglądają go w takim stanie.

- *Senti*, nigdy go nie spotkałem - wyrzucił z siebie. - Kontaktowałem się z Robertem Montague i hrabiną. Instrukcje otrzymywałem listownie, telefonicznie albo w depeszy. Hrabina Valonya działała w imieniu ich obu i otrzymywała wynagrodzenie z mojego biura. To ona wykonywała za nich brudną robotę, ja tylko pośredniczyłem w zawieraniu kontraktów i pilnowałem, aby Montague i Devere nie mieli kłopotów z prawem...

- Jakie kontrakty im nagrałeś? - spytał Hamish.

- Na samoloty. Sprzedawali używane amerykańskie i brytyjskie myśliwce Egipcjanom.

- *Mon Dieu!*

- Kiedy weszli w ten biznes? - zapytała Celestria.

- Osiemnaście miesięcy temu. Devere już wcześniej zajmował się handlem bronią. Roberta Montague poznałem w czasie jego pobytu w Convento. Zdecydowaliśmy, że spróbujemy razem robić interesy. Mieli hangar, w którym Devere

składował zakupione samoloty. Z Egipcjanami skumał się w kasynie w Monako i dowiedział się, że chętnie kupią każdą liczbę. Ja mam kontakty we Włoszech, więc byłem im potrzebny. To nie ja ich zabiłem, na miłość boską... Musieli to zrobić Egipcjanie albo mafia.

- Dlaczego? - Hamish zmierzył prawnika czujnym spojrzeniem.

- Chcecie wiedzieć, dlaczego? W takim razie muszę zaprowadzić was do tego hangaru, wtedy wszystko zrozumiecie! Mnie także wystawili do wiatru!

Wydawało się oczywiste, że Salazar nie ma pojęcia, iż De-vere i Montague to jedna i ta sama osoba. Celestria wyczuła, że Włoch mówił prawdę. Działał tylko jako pośrednik i prawdopodobnie nie podejrzewał, podobnie jak wcześniej oni, że jej ojciec upozorował swoją śmierć. Ruszyli dalej na południe. W końcu ujrzeni duży biały hangar, stojący samotnie pośrodku skalistego pustkowia. W zasięgu wzroku nie było żadnych domów. Salazar odblokował kłódkę i pchnął drzwi, które ze zgrzytem przejechały po metalowej szynie.

- Popatrzcie tylko! - zawołał triumfalnie, wchodząc do środka. - Nic dziwnego, że zostali zamordowani! Kto chciałby wziąć te zardzewiałe, beużyteczne wraki, które nawet nie mogą unieść się w powietrze!

- Jak im się udało, do diabła? - Hamish uniósł brwi, ze zdziwieniem tocząc wzrokiem po zniszczonych samolotach, rozsypujących się na kawałki niczym szkielety dinozaurów.

- To bardzo proste, bułka z masłem! - wyjaśnił Włoch. - Montague i Devere pożyczyci pieniądze na zakup samolotów. Egipcjanie wpłacili zaliczkę. Devere i Montague zabrali pieniądze i zniknęli. Teraz ja mam na karku wierzycieli, których bynajmniej nie cieszy myśl, że zostali oszukani. Rozumiecie, co mówię? - Popatrzył na nich z rozpaczą. - Salazar jest niewinny, nie ma ani kropli krwi na rękach!

- On wcale nie został zamordowany! - prychnęła z wściekłością Armel, podchodząc do jednego z samolotów, żeby

przyjrzeć mu się z bliska. - Ukrywa się! Jeżeli cenisz sobie życie, nigdy więcej nie rób interesów z takimi ludźmi!

- On? - niepewnie powtórzył ogłupiały Salazar. - Jaki on?

- Obudź się wreszcie, ty głupcze! - Armel zupełnie straciła cierpliwość. - Mój mąż i jej ojciec to ten sam człowiek! Jedna i ta sama osoba!

Salazar podrapał się po głowie. Wyglądał teraz na bardzo zmęczonego.

- Ta węgierska suka odwalala za nich brudną robotę, żeby nikt się nie zorientował, że „oni” to „on”! To geniusz! Prawie podziwiam go za to, że dopuścił się tak śmiałego oszustwa! Oszukał mnie, nabrał nas wszystkich, ciebie także, Salazar! - Armel zaśmiała się cynicznie. - We wszystkich interesach z tobą brał dla siebie dwie działki, co ty na to?

Prawnik znowu podrapał się po głowie.

- Nie wierzę...

- Więc jesteś jeszcze większym idiotą, niż myślałam! - krzyknęła ostro. - Ale ja jeszcze z nim nie skończyłam!

- Piekło nie zna takiej furii... - zaczął Hamish.

Rzucił Celestii porozumiewawczy, pełen współczucia uśmiech.

- W tej sytuacji możemy założyć, że ojciec żyje - powiedziała cicho Celestia. - Ucieka nie przed nami, ale przed Egipcjanami. Przynajmniej tyle...

- Och, miał dwie żony i na pewno marzy o trzeciej, czwartej, a może i piątej! - wrzasnęła Armel. - Zabrał nasze pieniądze i właśnie zaczyna gdzieś nowe życie!

- Zabrał też forszę Egipcjan - wtrącił Salazar. - Mam nadzieję, że nigdy go nie znajdą.

- A ja mam nadzieję, że nie odegrasz w tej całej sprawie roli kozła ofiarnego, Salazar! - rzucił Hamish. - Zimno mi się robi, kiedy pomyślę, co mogliby ci zrobić Egipcjanie...

Na chwilę w oczach Salazara zagościł paniczny lęk, zaraz jednak Włoch wzruszył ramionami i odzyskał pewność siebie.

- Życie to mgła, dym i gra luster - rzekł. - Raz wygrywasz, raz przegrywasz, ale dla takiego biznesmena jak ja zawsze

znajdzie się jakiś biznes! A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym już wrócić do Castellino. Zmarnowałem całe popołudnie, nie chciałbym stracić także i wieczoru!

Odwieźli Salazara do Castellino i zostawili go pod jego miłosnym gniazdkiem.

- Nadal uważam, że jest winny jak sam diabeł... - mruknęła Celestria, patrząc, jak Włoch wchodzi do domku i zamyka za sobą drzwi.

- Ukradł pieniądze, to pewne - powiedziała Armel. - Ma wypisane na twarzy, że jest oszustem, ale nie jest winny morderstwa.

- Więc gdzie jest tata?

- Oto, moja przyjaciółko, pytanie za milion dolarów...

Tego wieczoru Hamish i Celestria siedzieli pod murem starej fortecy i patrzyli, jak różowawy blask zachodzącego słońca odbija się w wodzie.

Hamish oparł się o powykręcany pień sosny i otoczył ramionami Celestrię.

- Tata może być gdziekolwiek... - Westchnęła. - Ciągle wyobrażałam sobie, jak tonie w morzu, jak powoli idzie na dno... Skazał nas wszystkich na piekło, a sam pewnie cieszy się życiem na jakiejś złotej plaży.

- Jeżeli ucieka ze strachu przed śmiercią, nie będzie mógł normalnie żyć. - W głosie Hamisha zabrzmiała gorzka nuta.

- Nie jest zbyt bystry, prawda? - Celestria zaśmiała się sarkastycznie. - Wysłałam depeszę do dziadka, na pewno bardzo się zdziwi... Cóż, ojciec niedokładnie zatarł ślady.

- Najprawdopodobniej się nie spodziewał, że zwątpisz w historyjkę, którą odegrał na użytek rodziny.

- Przecież od początku wiedziałam, że nie mógł popełnić samobójstwa! Mama i cała reszta przyjęli do wiadomości, że odebrał sobie życie, ale ja czułam, że to zupełnie nie w jego stylu! Kiedy pomyślę, jaką krzywdę zrobił mojej biednej mamie i Harry'emu... Oboje uważają, że nie żyje... Zrujnował im życie. Co zrobi mama, kiedy jej powiem, że ojciec miał drugą

zone? Nie podniesie się po takim ciosie. Teraz żałuję, że jednak się nie zabił... Śmierć jest o wiele lepsza od zdrady!

Hamish milczał, lecz Celestria poczuła, jak jego mięśnie napięły się gwałtownie.

- Wstyd mi za niego! Myślałam, że jest mądrzejszy!

- Nie docenił cię, to pewne...

- I co teraz? Nie mogę ścigać go po całym świecie, poza tym on wcale nie życzy sobie, żeby ktoś z nas go znalazł! Pewnie uciekł najdalej, jak to było możliwe!

- Musisz pozwolić mu odejść, - Musnął wargami jej skroń.

- Założę się, że Armel nie odpuści tak łatwo!

- Armel nie ma żadnego innego celu w życiu. Ty masz rodzinę i przyszłość przed sobą.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Kochasz mnie? - spytała. Hamish milczał chwilę.

- Wiem, że mógłbym cię pokochać - odparł, starannie dobierając słowa.

- Ja cię kocham. Myślę, że zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia...

- Mimo że nakrzyczałem na ciebie?

- Może właśnie dlatego... Zachowałeś się uczciwie, otwarcie, niczego nie udawałeś. Teraz wiem, że w moim życiu nie było za dużo uczciwości...

Parsknął śmiechem.

- Zabawna jest ta twoja miłość...

- Dostrzegłam twoje cierpienie i od razu zapragnęłam uwolnić cię od niego. - Odchyliła się do tyłu i pocałowała go w usta. - Widzisz, wcześniej nigdy nie myślałam o nikim poza sobą... Stąd wiem, że cię kocham. Bo troszczę się o ciebie bardziej niż o siebie.

- W Apulii nikt nie urządza eleganckich przyjęć ani balów...

- Byłam już na tylu eleganckich przyjęciach, że wystarczy mi do końca życia.

- Nie mam pieniędzy...
- Masz talent!
- Sam talent nie opłaci domu i jedzenia...
- Opłaci, jeżeli sprzeda się go we właściwy sposób. - Dźwigam paskudny ciężar smutku...
- Stanie się lżejszy, jeżeli podzielisz się nim ze mną. Hamish zamilkł i długo wpatrywał się w twarz dziewczyny.
- Wiesz, w co się pakujesz? - zapytał.
- Dostyc już tego przerzucania się argumentami, najdroższy... Kochaj mnie, tylko na tym mi zależy...

Znowu przycisnęła wargi do jego ust. Nic mogąc się jej oprzeć, objął ją mocno i zaczął namiętnie całować. Starał się odsunąć od siebie tragedię, która drzemała w mrocznym zakątku jego serca. Miał nadzieję, że kochając Celestrię, napelni duszę wszystkim, co dobre i radosne. Słońce zsunęło się za linię horyzontu i morze przybrało atramentowoczną barwę. Hamish rozpiął sukienkę Celestrii, odsłaniając jej delikatne, pełne i białe w fluorescencyjnym blasku księżycy ciało. Gładził jej skórę, piersi, ciężkie od nadziei młodości i obietnicy macierzyństwa, i czuł, że w tej dziewczynie czeka na niego przyszłość, płodna i jasna; mógł mieć tę przyszłość, ale najpierw musiał pożegnać się z przeszłością. Celestria wyczuła jego niepokój, wiedziała jednak, że fizyczna bliskość jest jedyną rzeczą, której Natalia już nie może mu dać. Powoli zsunęła koszulę z ramion Hamisha. Jego klatka piersiowa była obficie owłosiona, muskularna i brązowa. Kontrast opalonej skóry z jej własną, świetlistą jasną, rozbudził w niej podniecenie. Daphne Halifax miała rację. Teraz, gdy była z mężczyzną, którego naprawdę kochała, ziemia wyraźnie pod nią zadrżała. Zadrżała i na moment wstrzymała bieg. W tej niezwykłej chwili Celestria mocno wierzyła, że nic nie może ich rozdzielić. Powiedziała sobie, że Hamish wybierze życie, nie śmierć, światło, nie ciemność i przyszłość, nie przeszłość. Mimo to świece wciąż płonęły w mieście zmarłych i tylko on mógł je zgasić.

Celestria leżała w łóżku z zamkniętymi oczami, jak przez gęstą mgłę słysząc świergot ptaków i ujadanie psów. Uśmiechnęła się na wspomnienie minionej nocy. Kochali się. Było cudownie. Czuła, jak wypełnia ją niepoohamowana radość. Miała ochotę głośno krzyczeć przez okno, aby wszyscy dowiedzieli się o jej szczęściu. Na chwilę ogarnęły ją wyrzuty sumienia - ojciec zdradził ją i całą rodzinę, więc nie powinna być tak szczęśliwa... Mimo to miłość do Hamisha dominowała w jej sercu nad wszystkimi innymi uczuciami.

Włożyła jasnoniebieską sukienkę w białe groszki. Kątem oka zauważyła fotografię ojca, którą zostawiła na stole, wśród kolekcji malowanych glinianych figurek Federiki. Uśmiechał się do niej spod runda założonego nieco na bakier kapelusza, trochę kpiąco, uchwycony na tle łuków klasztoru. Zawahała się na moment i jej serce wypełnił głęboki smutek. Ten uśmiechnięty człowiek równie dobrze mógł być kimś prawie obcym, z kim dawno temu łączyła ją przelotna znajomość. Nie, to nie był jej ojciec. To nie on zabierał chłopców w morze na swojej łódce, aby bawić się z nimi w piratów, nie on rysował dla nich mapy skarbów na piasku i sprawiał, że migre-

ny jej matki zniknęły w jednej chwili. Nie, jej ojciec, człowiek, którego kochała, umarł tamtego dnia w Kornwalii, była tego absolutnie pewna. Powinno się go opłakiwać, ponieważ nie było już żadnych szans na jego powrót. Wsunęła zdjęcie do kieszeni sukienki i wyszła z pokoju.

W korytarzu natknęła się na Daphne Halifax, ubraną w długą fioletowo-turkusową suknię i najdziwniejsze pantofelki pod słońcem, fioletowe ze złocistymi piórkami na czubkach.

- Dzień dobry, kochanie... - Starsza pani uśmiechnęła się do niej serdecznie. - Wyglądasz dziś cudownie, po prostu promieniejesz.

- Dziękuję! Jestem szczęśliwa!

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Och, Daphne, czy mogę wejść na chwilę do twojego pokoju? - Celestria nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie podzieli się z kimś swoim sekretem.

- Oczywiście, chociaż wydaje mi się, że znam ten powód... Dziewczyna weszła za panią Halifax do środka i padła na łóżko, szeroko rozkładając ramiona.

- Jestem zakochana! - zawołała. - I ziemia się poruszyła, naprawdę, dokładnie tak, jak mówiłaś!

Daphne usiadła obok, wyraźnie zachwycona.

- Wiedziałam, że ty i Hamish jesteście dla siebie stworzeni! Zdradzę ci, że Freddie też tak uważała... Kiedy przyjechałaś, powiedziała: „Oto dziewczyna dla Hamisha”.

- Naprawdę?

- Owszem! Czasami my, starzy ludzie, widzimy rzeczy, które umykają młodym. Nie zapominaj, że spędziłam sporo czasu na tym świecie...

- Och, świat jest cudowny! Hamish bywa nierówny i nieprzewidywalny, ale nigdy nie zależało mi na nikim tak jak na nim! Czuję jego cierpienie, zupełnie jakby dotykało także i mnie, a kiedy się uśmiecha, wszystko wydaje mi się piękniejsze! Ma wspaniałą uśmiech i charyzmę, która opromienia go całego! Gdyby moja matka się dowiedziała, dostałaby ataku

serca... Szczerze mówiąc, cara moja rodzina raczej nie będzie zachwycona...

- Dlaczego, na miłość boską?

- Ponieważ Hamish jest piętnaście lat starszy ode mnie, był już żonaty, nie ma żadnego majątku i nie czesze włosów. Mama od razu by mu poleciła, żeby je obciął, a ciotka Penelope by zapytała, gdzie znajduje się jego posiadłość, i z przerażeniem odkryłyby, że wspomniana posiadłość nie istnieje. Tylko dziadek potraktowałby nas ze zrozumieniem, bo on także zaczynał tid zera.

- Rodzice Hamisha mają przepiękną posiadłość w Szkocji - wtrąciła pani Halifax.

- Naprawdę?

- Tak. Hamish posprzeczał się z nimi i wyjechał. Nie odwiedza ich od wielu lat. Widzisz, moja droga, twój ukochany to prawdziwy wolny duch, który dusi się w atmosferze konwencji. Nienawidzi brytyjskiej obsesji na punkcie pochodzenia i pieniędzy. Trudno go za to winić, ponieważ wszystkie te przekonania są szalenie płytkie...

- Więc moja rodzina także raczej nie przypadnie mu do gustu...

Daphne zamilkła na chwilę i na jej twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Hamish nigdy nie wróci do swojej rodziny - powiedziała. - Był bardzo nieszczęśliwy w Szkocji. Rozumiesz to, prawda?

- Tak, naturalnie...

- Jeżeli zdecydujesz się z nim być, będziesz musiała pogodzić się z wieloma rzeczami.

- Zrobię dla niego wszystko! Starsza pani uśmiechnęła się lekko.

- Miłość to nie tylko poświęcenie... Mam nadzieję, że Hamish obdarzy cię szczęściem.

- Och, na pewno! Oboje postanowiliśmy zacząć nowe życie!

- No, właśnie... Co z twoim ojcem? Czego się dowiedziałaś?

- Że zajmował się handlem bronią i sprzedawał zdewastowane samoloty z demobilu Egipcjanom, których poznał w kasynie w Monako. Zarobił mnóstwo pieniędzy i uciekł z nimi.
 - Chcesz powiedzieć, że wcale nie zginął?!
 - Akurat tego nie mogę być całkowicie pewna, wiem jednak, że upozorował swoją śmierć i zniknął.
 - Dobry Boże! Freddie nic mi o tym nie mówiła!
 - Ani o tym, że był także mężem Armel?
- Daphne obrzuciła dziewczynę pełnym przerażenia spojrzeniem.
- Mężem Armel?!
 - Okropne, prawda? Trudno to wszystko pojąć, ale mój ojciec prowadził podwójne życie.
 - Jak się tego dowiedziałaś, na miłość boską?! Celestria wyjęła z kieszeni fotografię i podała ją pani Halifax.
 - Pokazałam Armel to zdjęcie i ona go rozpoznała. Robert Montague to także Benedict Devere...
 - Co za komiczne nazwisko! - prychnęła Daphne. - Każdy by odgadł, że wymyślone! Doprawdy, powinien wykazać się większą wyobraźnią! Zaczekaj, zaraz włożę okulary... Ach, teraz dokładnie go widzę... - Nagle gwałtownie wciągnęła powietrze i zasłoniła usta dłonią. - Boże miłosierny! - wykrzyknęła, podnosząc wzrok na Celestrię. - Coś takiego!
 - O co chodzi? Nie byłaś chyba jego trzecią żoną, co? Daphne się nie roześmiała.
 - O co chodzi?
 - Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić... - Starsza pani pokręciła głową.
 - O czym?
- Daphne zamyśliła się na długą chwilę i wyduła wargi. Zastanawiała się, wobec kogo powinna być lojalna. W końcu oddała Celestrii zdjęcie.
- Moje drogie dziecko, cała ta sprawa nie ma ze mną nic wspólnego, uważam jednak, że zawsze należy mówić prawdę... Masz prawo wiedzieć...

Żołądek Celestii skurczył się boleśnie.

- Mów... - poprosiła cicho.
- Widziałam tego mężczyznę dwa dni przed twoim przyjazdem.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie. Zapamiętałam sposób, w jaki nosił kapelusz, lekko na bakier... No i uśmiech... Naprawdę trudno byłoby pomylić ten uśmiech.
- Zatrzymał się tutaj?
- Nie. Wyraźnie nie chciał, żeby ktoś go zauważył.
- Co robił?

Daphne ciężko westchnęła.

- Był z Freddie - odparła.
- Z Freddie? - powtórzyła Celestria ze zdumieniem. - Dwa dni przed moim przyjazdem?
- Tak. Rozstawiłam sztalugi w pobliżu starego fortu i zauważyłam tego człowieka za murem. Teraz wydaje mi się, że sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Nie mógł spokojnie ustać w miejscu, palił papierosa i przekładał go między palcami w taki sposób. - Daphne zademonstrowała, co ma na myśli.
- To rzeczywiście on...

Celestria odkryła, że ojciec najwyraźniej miał moc pozbawienia jej całej radości, jaką czuła.

- Potem pojawiła się Freddie i na jej widok uśmiechnął się szeroko... Wtedy zwróciłam uwagę na ten jego uśmiech. Nie sposób go zapomnieć...
- Nie mów mi tylko, że byli kochankami, błagam! Daphne potrząsnęła głową.
- Tego nie wiem. Uściskali się i rozmawiali ponad godzinę. Twój ojciec coraz bardziej się denerwował, aż w końcu rozplakał się w jej ramionach. Wzruszyło mnie to... Freddie wyglądała na załamaną. Potem dał jej mały pakunek i odszedł. Może zostawił samochód gdzieś w pobliżu, nie mam pojęcia... Po prostu zniknął, a Freddie jeszcze długo szlochała na tym samym zboczach, gdzie parę dni temu ze mną siedziałaś...

- Co było w paczce?
- Nie wiem, nie otworzyła jej.
Ceiestria założyła ręce na piersi i zacisnęła wargi w wąską linijkę.
- Więc Freddie przez cały czas wiedziała, że tata nie popełnił samobójstwa!
- Chyba tak...
- Sądzisz, że powiedział jej o swoim małżeństwie z Armel? Daphne bezradnie wzruszyła ramionami.
- Trudno odgadnąć, ile wiedziała... Może oszukiwał ją tak samo jak twoją matkę i Armel, bo to jest powtarzający się motyw w tej historii...
- Ale tylko Freddie wiedziała, że nie zginął! Ojciec upozorował swoją śmierć w Anglii i we Francji! Dlaczego właśnie ją potraktował inaczej?
- Chyba nie łączył ich romans... - powiedziała Daphne. - Freddie jest od niego sporo starsza, poza tym jest żoną Gaitana...
- Dowiem się, o co tu chodzi! - warknęła Ceiestria. Dostrzegła wyraz lęku na twarzy starszej pani i szybko położyła dłoń na jej ręce.
- Nie martw się, nikomu nie zdradzę, że opowiedziałas mi o ich spotkaniu
- dodała uspokajająco.
- Dziękuję ci... Dobry Boże, co za strasznie zagmatwana historia...
Ceiestria opuściła pokój Daphne z żołądkiem zwiniętym w ciasny węzeł ze zdenerwowania. Dręczyło ją pytanie, którego nie ośmieliła się zadać malarce; czy Hamish także o tym wiedział? Czy wiedział od samego początku i nie zdradził się przed nią ani słowem? Czy dlatego starał się zachować dystans między nimi? Wcale nie z powodu Natalii, pochowanej w mieście zmarłych, ale z racji głęboko skrywanego sekretu?
Na dziedzińcu spotkała Armel z walizką, w otoczeniu psów. Francuzka rozmawiała z Federicą. Ceiestria zeszywniała. Miała ochotę zaatakować Federicę od razu, wiedziała jednak, że ostrożność bardziej się opłaci.
Skoro Federica oka-

zala się zdolna do odegrania całego tego przedstawienia, to ona, Celestria, powinna postarać się jeszcze bardziej. Przywołała na twarz uśmiech, chociaż wcale nie było jej wesoło, i podeszła do kobiet.

- Wyjeżdżasz, Armel? - zapytała.

- Tak... Nie mam tu już nic do roboty... - Francuzka westchnęła ze smutkiem. - Wrócę do Paryża i spróbuję jakoś uporać się z resztą życia.

- Będzie mi ciebie brakowało - wyznała szczerze Celestria. - Stanowimy zgrany zespół...

- Ja też będę tęsknić za tobą... Wpadnij do mnie, gdy będziesz w Paryżu, dobrze? Nasze spotkanie to jedna z niewielu dobrych rzeczy, jakie wynikły z tej katastrofy.

- Odwiedzę cię, obiecuję!

- Co zamierzasz teraz robić?

- Będę nosić po nim żałobę, tak jak cała rodzina. Jeżeli o mnie chodzi, ojciec nie żyje. - Celestria kątem oka zerknęła na Federicę, ale Włoszka nawet nie drgnęła. - Wolę pamiętać go takim, jaki był przed zniknięciem. Nie pozwolę, aby to, co odkryłyśmy, zniszczyło moje wspomnienia o nim...

- Masz rację - powiedziała Armel. - Trzeba patrzeć w przyszłość.

Armel wyjechała. Psy biegły za wozem aż do zakrętu. Obłok kurzu stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu zupełnie zniknął i tylko metalowe części końskiej uprząży jeszcze chwilę migotały w słońcu, jakby na pożegnanie.

- Bez Armel Convento wydaje się dziwnie puste... - Federica westchnęła, bawiąc się sznurem błyszczących różowych kryształów, który sięgał jej do pasa. - Bardzo ją polubiłam.

- Zawsze przywiązujesz się do ludzi, którzy się tu zatrzymują? - zapytała Celestria.

Federica nawet nie mnignęła.

- Tak, chyba tak... Widzisz, moja droga, to nie jest hotel, ale dom, a wy jesteście naszymi gośćmi... - Uśmiechnęła się lekko, ze smutkiem. - Jadę do Castellino, nie będzie mnie cały ranek. Masz ochotę pojechać ze mną?

Celestria podeszła z nią do bramy.

- Dziękuję, ale pójdę poszukać Wayne. Nie widziałaś jej przypadkiem?

- Zjadła śniadanie z Armel, a potem wyszła.

- Straciłam ją, prawda? - Celestria pokręciła głową. Federica się roześmiała.

- Obawiam się, że tak. Włochy mają dziwny wpływ na ludzi, mówi się, że ten kraj potrafi skraść człowiekowi serce. Mam nadzieję, że ukradł i twoje...

Celestria nie odpowiedziała. Federica okazała się zdrajczy-nią, ale dziewczyna nie mogła stłumić sympatii do niej.

Odczekała pół godziny, a potem poszła przeszukać pokój Freddie. Mały pakunek, który Włoszka dostała od jej ojca, musiał gdzieś tu być. Chwilę stała pod drzwiami, czujnie nasłuchując. W ciągu ostatnich tygodni najwyraźniej stała się prawdziwym detektywem. Czuła, że jest kimś zupełnie innym niż frywolna dziewczyna, która bawiła w Kornwalii. Zniknięcie ojca sprawiło, że szybko wydorosła, no i dało jej Hamisha... Śmierć jednego związku, narodziny innego...

Ściany pokoju Federiki pokryte były obrazami, które od razu przykuły uwagę Celestria. Pociągnięcia pędzlem były śmiałe, kolory żywe i intensywne, sceny przemawiające do wyobraźni. Od razu uświadomiła sobie, skąd zna ten styl -z pracowni Hamisha, rzecz jasna. Podeszła bliżej i przesunęła dłoń po nierównej, gruzłowatej powierzchni farby. W lewym dolnym rogu widniały inicjały - HMcC. Jakże odmienne wydawały się te obrazy od mrocznych, ponurych płócien, które stały pod ścianą w pracowni Hamisha...

Pod najdalszą ścianą ustawiono duże metalowe łoże, nakryte barwną, wzorzystą narzutą i zarzucone amarantowymi i szkarłatnymi poduszkami. Okna były otwarte, lniane zasłony wzdymał wiatr, obok łóżka na toaletce pyszniły się miseczki z pierścionkami i naszyjnikami, wyżej wisiało duże lustro, ozdobione sznurami koralu. Na środku pokoju tkwił stół zastawiony drewnianymi misami, wypełnionymi kryształami wszystkich kolorów, kształtów i wielkości, nanizanymi na ni-

ci i przechowywanymi luzem. Przypominało to czarodziejski sklep. W szafach pod ścianami wisiały ubrania, na podłodze leżały dywany, niemal całkowicie zakrywające kamienne płyty. Celestria pomyślała, że jeśli Federica właśnie tu ukryła otrzymaną od jej ojca paczkę, nigdy nie znajdzie jej w tym pełnym najrozmaitszych drobiazgów pokoju. Nie wiedziała nawet, od czego zacząć ani czego właściwie szuka, bo przecież mogło to być cokolwiek...

Westchnęła z rezygnacją i zabrała się do przeglądania zawartości szuflad w toalecie. Każda była po brzegi wypełniona koralami, naszyjnikami, pierścionkami oraz innymi ozdobami, które Federica przywoziła z licznych podróży. Celestria nie miała żadnych szans.

Nie mogła stawić czoła Federice bez paczki, ponieważ obiecała nie wydać Daphne Halifax. Przeszukała szafy i szafki w łazience, wreszcie usiadła na łóżku, przygarbiona i smutna, pewna, że będzie musiała odejść z niczym.

Nagle z dziedzińca dobiegły ją głosy Federiki i Luigiego. Ostrożnie wyjrzała przez okno i zobaczyła uśmiechniętą Freddie, która klepała łaszące się do niej psy; na ramieniu miała kosz pełen zakupów.

Najwyraźniej zmieniła plany i wcześniej wróciła do domu. Celestrię ogarnęła fala wielkiego rozgoryczenia. Odwróciła się już w stronę drzwi, gdy nagle kątem oka dostrzegła znajomo wyglądające czerwone puzderko, częściowo ukryte w jednej z mis z kryształami. Wsunęła rękę głębiej, wyciągnęła puzderko i z radością podniosła je do twarzy. Miała wrażenie, że czuje lekki zapach tuberozy. Ze środka mrugały do niej dwie lśniące brylantowe gwiazdy. Zaginione gwiazdy jej matki... Te same, które Monty podarował Pameli, aby później je ukraść...

Zamknęła pudełko i usiadła na brzegu łóżka. Teraz była gotowa stawić czoło Federice. Serce skakało jej w piersi niczym konik polny, ale dziewczyna nigdy nie unikała konfrontacji. Pomyślała, że może wreszcie teraz pozna całą prawdę, a nawet dowie się, gdzie przebywa jej ojciec. Wpatrywała się w drzwi chłodno i spokojnie, nawet nie mrugając. W końcu

usłyszała kroki w korytarzu i szybkie oddechy dyszących psów. Federica otworzyła drzwi i drgnęła na widok Celestria, siedzącej na jej łóżku i trzymającej na kolanach obite czerwonym aksamitem pudełko.

Psy wbiegły za nią do środka i poukładały się w różnych miejscach.

Federica zamknęła drzwi, postawiła torebkę na krześle i odwróciła się twarzą do Celestria. Nie sprawiała wrażenia rozgniewanej wtargnięciem obcej w końcu osoby do jej pokoju, ani też przestraszonej; na jej twarzy malował się smutek.

- Tata dał je mojej mamie - odezwała się ze złością Celestria. -

Powiedział, że musiał znaleźć gwiazdy dość duże i jasne, aby przyćmiły blask jej oczu... Zawsze wyobrażałam sobie, że moi rodzice są jak te dwie gwiazdy, ale dla ojca ich małżeństwo nic nie znaczyło.

- Bardzo mi przykro. - Federica usiadła obok dziewczyny. - Nie wiedziałam...

Celestria pragnęła porazić ją nienawiścią, lecz nie umiała.

- Więc powiedz mi przynajmniej, ile wiedziałas!

- Niewiele więcej od ciebie... - westchnęła Federica. - Tylko tyle, że nie zginął. Wybacz mi...

- Dlaczego udawałaś, że nie wiesz?

- Ponieważ prosił, żebym nikomu nie mówiła o naszym spotkaniu.

Uśluchałam, bo go kocham.

Łagodnie ujęła dłoń Celestria. Dziewczyna nie wyrwała jej, lecz nie odpowiedziała serdecznym gestem.

- Kiedy przyjechałaś i powiedziałaś, że Monty nie żyje, byłam rozdarta - ciągnęła Freddie. - Nie wiedziałam, jak sobie z tym wszystkim poradzić, więc udawałam, chociaż chyba jeszcze nigdy nie było mi tak ciężko...

Gdy oznajmiłaś, że zamierzasz przeprowadzić prywatne śledztwo, dostrzegłam swoją szansę i wykorzystałam ją. Zachęcałam cię do działania, ponieważ sama nie mogłam ci nic powiedzieć, Liczyłam, że może prawda sprowadzi go z powrotem...

- Nic nie sprowadzi go z powrotem, a już na pewno nie prawda!

- Ale ja miałam taką nadzieję... - szepnęła Federica.
- Wcale nie chcę, żeby wrócił!
- Celestrio, wiem, ile złych rzeczy zrobił, ale to mimo wszystko twój ojciec... Jego życie jest w niebezpieczeństwie, musiał uciekać. Wpakował się w ogromne kłopoty...
- Przed ślubem z Armel czy później? - prychnęła Celestria. Federica zagryzła wargi. Wiedziała, że Monty nie ma nic na swoją obronę, ona także nie umiała go bronić.
- Więc nikomu nie powiedziałaś? - spytała dziewczyna.
- Nikomu.
- A co z Gaitanem?
- Jemu także nic nie powiedziałam... Celestria głośno przełknęła ślinę.
- Hamish... - zaczęła drżącym głosem. - Czy Hamish wiedział?
- Nie.

Twardy, napięty supeł w żołądku Celestrii trochę się rozluźnił.

- Przynajmniej tyle... - mruknęła. - Gdzie jest teraz ojciec?
- Nie wiem. Od tamtego dnia nie miałam żadnej wiadomości i nie spodziewam się jej otrzymać.
- Był twoim kochankiem? Rzucił cię?

Federica roześmiała się, porażona absurdalnością pytania.

- Oczywiście że nie! Mogłabym być jego matką, nie zauważyłaś? Nie, pokochałam go jak syna, Celestrio. Nie ręczę, że nie zakochałabym się w nim, gdybym była znacznie młodsza, ale jestem starą mężatką i znam swoje ograniczenia. Połączyło nas wzajemne zrozumienie i poczucie bliskości, to wszystko...
- Wszystkie kobiety tak mówią... Powinnaś wiedzieć, że jesteś tylko jedną z wielu, które są przekonane, iż on je kocha.
- Może... - Federica wzruszyła ramionami. - Dla mnie nie ma to znaczenia. Monty przywiózł radość do Convento. Po śmierci naszej córki byłam zupełnie zagubiona, to z pomocą twojego ojca wróciłam do równowagi. Nauczyłam się kochać jej pamięć, ale nie zatrzymywać jej tu siłą...

Szkoda, że Hamish nic umie tak żyć, pomyślała Celestria z żalem.

- Ojciec jest jak doktor Jekyll i Mr Hyde - powiedziała. - Dwóch ludzi w jednym ciele. Jeden wszędzie niesie szczęście i radość, drugi kłamie, oszukuje i zadaje ból...

- Twój ojciec jest uroczym, charyzmatycznym mężczyzną, lecz ma w sercu mroczną skazę. Ze wszystkich sił stara się wszystkich zadowolić, spełnić oczekiwania swoich bliskich i znajomych. Chce być supermanem w oczach każdego człowieka, którego spotka, a to przecież zwyczajnie niemożliwe, niewykonalne, nawet dla Monty'ego. Właśnie dlatego stworzył wszystkie te światy, których centrum stanowi on sam... - Włoszka z czułością popatrzyła na Celestrię. - Przez chwilę stanowił też centrum mojego świata... Zgaduję, że takich światów było wiele, zbyt wiele, aby mógł je kontrolować. Twój ojciec nie jest dobrym człowiekiem, moja droga, ale ja kocham go mimo jego wad i błędów...

- Dlaczego nosi w sobie tę skazę? Stryj Arenie i ciotka Penelope są zupełnie normalni! jaki błąd popełnili ich rodzice?

- Czasami ludzie przychodzą już na świat z takimi skazami, kochanie. Nie wydaje mi się, aby wina leżała po stronie twoich dziadków... Z opowieści Monty'ego wiem tylko, że jego matka rzeczywiście chciała widzieć w nim wzór wszelkich cnót. Był jej ukochanym, złotym chłopcem, ale jej miłość miała swoją cenę. Musiał na nią zasłużyć, nie była bezwarunkowa. Był wspaniałym Montym, lecz w głębi serca czuł się winny, niegodny uczucia i zachwytów...

- Winny? Czego?

- Chyba tego, że nie lubił swojej rodziny.

- Nie lubił nas?

- Nie znosił oczekiwań, nadziei, które wszyscy w nim pokładali. Ciężko mu, czuł, że jest ich więźniem...

- Więc założył drugą rodzinę, bo tej pierwszej miał dosyć?

- Nie wiem, kochanie.

- Wydaje mi się, że bardzo dużo o nim wiesz! - wymamrotała niechętnie Celestria.

- Traktował mnie jak matkę, jak osobę, z którą zawsze można porozmawiać. Kogoś, kto kocha go, ceni, ale nie nakłada na niego żadnych zobowiązań...

- Nienawidzę go!

- Nie, nie powinnaś... On zasługuje na twoją litość, naprawdę...

- Lituję się nad sobą! Im bardziej staram się zapamiętać go takim, jakim był przed zniknięciem, tym mniej ufam swoim wspomnieniom!

Wszystko, czego ostatnio się dowiedziałam, podważa jego obraz jako ojca! Przez dwadzieścia jeden lat uważałam go za swojego tatę, lecz kim był naprawdę? Kochał mamę, a jednak dał ci gwiazdy, kupione dla niej, prezent, który tak bardzo ceniła... Jego serce musi być puste!

- Albo może zbyt pełne... Oddaj te gwiazdy matce. - Federica podała jej puzderko. - Powiedz, że znalazłaś je pod łóżkiem albo gdziekolwiek. Nie mów jej prawdy. Sama zdążyłaś już zrozumieć, że w tym wypadku prawda jest o wiele gorsza od kłamstwa...

Celestria zamknęła pudełko i wstała.

- Zdradził nas wszystkich - powiedziała.

- Ale znaleźliśmy się nawzajem i to jest ważne.

- Tak... - Celestria pomyślała o Hamishu. - I znalazłam Marelatte...

Gdy wróciła do swojego pokoju, napisała do dziadka, opowiadając mu o wszystkich swoich odkryciach. Dziadek wierzył w jej instynkt, popierał zamiar rozwikłania ponurej zagadki, a teraz potrzebowała jego rady.

Chciała wiedzieć, czy popełniła straszliwe głupstwo, zakochując się w Hamishu.

Po południu Celestria znalazła panią Waynebridge w ogrodzie. Siedziała w słońcu i rozmawiała z Daphne Halifax, obie zaśmiewały się z czegoś pod rondami słonecznych kapeluszy. Gdy dostrzegły dziewczynę, pani Waynebridge pomachała do niej, a malarka sztywno dźwignęła się z fotela.

- Zostawię was same - powiedziała, podnosząc zrobioną szydełkiem torebkę, w której nosiła książkę i okulary do czytania. - Muszę jeszcze trochę popracować, dopóki światło jest dobre...

Celestria usiadła na jej miejscu.

- Ostatnio prawie cię nie widuję, Wayne - rzekła ze smutkiem.

Miała już zacząć opowiadać o brylantowych gwiazdach, kiedy nagle uświadomiła sobie, że jej towarzyszka nie jest tym zainteresowana. Jej spojrzenie było dziwnie nieobecne.

- Nuzzo poprosił mnie o rękę...

- W jaki sposób? Wymyślił jakąś szaradę? - Celestria natychmiast pożałowała swojego kpiącego tonu i dorzuciła z nadzieją, że pani Waynebridge nie poczuła się urażona. - A może nauczył cię włoskiego?

- Doskonale się rozumiemy... - Wayne dumnie podniosła głowę.
- I zgodziłaś się?
- Tak.
- Och, tak się cieszę! - Celestria uściskała ją mocno.
- Naprawdę? - zapytała pani Waynebridge niepewnie.
Bała się powiedzieć dziewczynie o swojej decyzji. Nie podobało jej się, że Celestria będzie musiała sama wracać do Anglii.
Celestria starała się wyglądać na bardzo szczęśliwą.
- Naprawdę - potwierdziła, lecz nagle łzy popłynęły jej z oczu i nie mogła dłużej ukrywać swoich prawdziwych uczuć. - Przepraszam, że jestem taką egoistką... - wykrztusiła. - Czeka cię szczęście w tym pięknym miejscu, u boku Nuzza, a ja myślę wyłącznie o sobie...
- Nie przepraszaj, rozumiem cię... Nie zapominaj, że znam cię od dnia twojego przyścia na świat...
- To był taki dziwny i okropny tydzień, Wayne! Przyjechałam szukać taty, a znalazłam miłość...
- Znalazłaś miłość? - powtórzyła ze zdumieniem starsza pani.
Była tak pochłonięta własnymi sprawami, że nie zauważyła, co dzieje się z Celestrią.
- W kim się zakochałaś? - zapytała. Celestria nieśmiało spuściła wzrok,
- W Hamishu...
- Myślałam, że go nie znosisz!
- Zmieniłam zdanie. Kocham go...
- Ale co skłoniło cię do takiej zmiany?
- Poznałam go... - Policzki Celestria były mocno zarumienione, oczy lśniły. - Początek naszej znajomości to było jedno wielkie nieporozumienie, ale zostawiliśmy to już za sobą. Pani Halifax miała rację, Hamish jest uroczy, inteligentny i zabawny... Kiedy wreszcie zaczęliśmy rozmawiać, szybko się okazało, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Przy nim czuję się bezpiecznie i dobrze... - Westchnęła. - Naprawdę go kocham,

Waynie... Nie mam ochoty wracać do Londynu, wolę proste życie tutaj, razem z nim. Chcę spacerować z nim po plaży, trzymając go za rękę, tańczyć w świetle księżyca, przyglądać się, jak maluje... Grać na fortepianie i śpiewać, przeczytać wszystkie książki z biblioteki Gaitana i urodzić Hamishowi dzieci, które będą cieszyć się takimi samymi prostymi rzeczami jak my... Chcę sprawić, żeby był szczęśliwy...

- Więc dlaczego płaczesz? Celestria otarła łzy.

- Bo nie wiem, co robić... Zostać tutaj czy jechać do domu? Hamish nie poprosił mnie o rękę...

- Daj mu trochę czasu, dopiero się poznaliście!

- A jeżeli nadal jest zakochany w swojej zmarłej żonie? -pociągnęła nosem Celestria.

- Nie na wiele mu się to przyda...

- Gaitano mówi, że Hamish czuje się winny, ponieważ Natalia spadła z klifu w jego obecności. Uważa, że ponosi za to odpowiedzialność.

- Czas leczy rany, skarbeńku!

- Minęły już trzy lata! Jak długo jeszcze będzie się obwiniał?

- Przecież naprawdę dopiero cię poznał... - powiedziała pani Waynebridge.

- Ale jestem tutaj! Ja, żywa, oddychająca dziewczyna, która bardzo go kocha! Natalia jest już na tamtym świecie i nie może obdarzyć go miłością!

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Sama nie wiem... W tej chwili nic mnie tutaj nie trzyma. Mam zostać czy jechać?

- Zostań, skarbeńku, i walcz o swoje!

- Może jednak nie jest to moje miejsce... Może powinnam wrócić do Londynu, wyjść za Aidana i zapomnieć, że w ogóle spotkałam Hamisha.

- Połowa twojego serca zostałaaby tutaj, prawda?

- Oddałam ją Hamishowi, ale wiem, że potowa jego serca nadal należy do Natalii...

Los sam podjął decyzję za Celestrię i obwieścił ją w depeszy, która nadeszła od Pameli. Celestria przeczytała telegram raz, potem drugi. Nic nie rozumiała, nie chciała zrozumieć. Zaczęła czytać od nowa, ale litery rozmazywały się we łzach.

„TWÓJ DZIADEK ZMARŁ DZIŚ RANO STOP WRACAJ DO DOMU STOP". Celestria osunęła się na poduszki w krużganku, wzięła na kolana Prima i Maialina, szukając pocieszenia w ciepłe ich ciał. Hamish usiadł obok i wyjął biały kartonik depeszy z drżących palców dziewczyny.

- Dobry Boże... - wymamrotał, całując ją w czubek głowy. - Kochałaś go jak ojca, prawda?

Kiwnęła głową. Nie była w stanie się odezwać. Siedzieli tak długo. Primo i Maialino wyczuły rozpacz i oparły łby na piersi Celestria. W końcu z ciężkim westchnieniem złożyła telegram.

- Muszę wracać do domu - powiedziała, ocierając oczy wierzchem dłoni.

- Wiem.

- Co zrobimy? - spytała cicho.

- Będę czekał tu na ciebie.

- Chcesz, żebym wróciła? - Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi.

Pragnęła poczuć jego miłość, mieć ją wyłącznie dla siebie.

- Tak. - Ujął jej twarz między dłonie i nieśpiesznie pocałował w usta. -

Bardzo, bardzo chcę, żebyś wróciła...

Pani Waynebridge współczuła Celestria z całego serca.

- Straciła nie tylko ojca, ale i dziadka, którego kochała bardziej niż kogokolwiek innego, nawet niż matkę. - Pokiwała ze smutkiem głową, rozmawiając z Federicą i Daphne. - I nie powinno to dziwić nikogo, kto zna mamę tego biedactwa...

- Co z Hamishem? - spytała Daphne.

- Mam nadzieję, że Celestria wróci - powiedziała Federi-

ca. - Hamish bardzo jej potrzebuje, zresztą mogą być tacy szczęśliwi razem...

- Na pewno wróci... - Pani Waynebridge uśmiechnęła się leciutko. - Kobieta nigdy nie jest już taka sama, kiedy odwiedzi Włochy.

Tej nocy Hamish kochał się z Celestrią pod starą wartownią. Ciemne chmury zasłaniały gwiazdy i księżyc, nad morzem wisiała gęsta mgła, powietrze było dziwnie ciepłe i wilgotne. Nadchodziła burza. Leżeli na kocu, mocno wtuleni w siebie, niepewni, co przyniesie przyszłość.

Rano Celestrią spakowała walizki i wyniosła je na dziedziniec. Miała tu zaczekać na Gaitana, który chciał odwieźć ją do Spongano. Padał deszcz. Duże krople rozbijały się na kamieniach i skapywały z krużgankowych łuków, pod którymi spały psy. Pani Waynebridge i Daphne Halifax pożegnały się z nią w jadalni, obie zbyt wzruszone, żeby patrzeć na jej odjazd. Hamisha nigdzie nie było.

Nagle na dziedziniec wbiegła Federica, wykręcając sobie palce ze zdenerwowania.

- Hamish prosił, żebym przekazała ci, że jest na cmentarzu... Chciałby zobaczyć się z tobą przed twoim wyjazdem... - rzuciła Celestrii niespokojne spojrzenie. - Mówi, że to ważne.

Celestrią przebiegła przez drogę, czując jak deszcz moczy jej sukienkę i pantofle, i przylepia pasma włosów do twarzy. Pod bramą cmentarza siedziały dwa przytulone do siebie czarne koty, które najwyraźniej schroniły się tu przed deszczem. Wbiegła do środka, do miasta zmarłych, gdzie krople deszczu spadały na ciepłą ziemię i nasycaly powietrze cudownym zapachem wilgotnej sosny. W wąskich alejkach świergotały ptaki, szukające suchych kryjówek, a docierający z mauzoleów ciężki zapach lilii mieszał się z aromatem rozgrzanego

wosku. Celestria dotarta do krypty Natalii i wspięła się na schodki. Hamish stał nieruchomo, z rękami opartymi o grób i wzrokiem wbitym w posadzkę. Kiedy weszła, powoli podniósł głowę. Jego twarz miała odcień popiołu, oczy były zaczerwienione. Przez ułamek sekundy była prawie pewna, że zaraz zacznie na nią krzyczeć.

- Pozwalam jej odejść - odezwał się. - Chcę związać się z tobą na dobre, ale najpierw muszę ci wszystko powiedzieć. Powinienem być zrobić to wcześniej...

W milczeniu wyprowadził ją na zewnątrz. Deszcz przeszedł w lekką mżawkę. Kamienistą ścieżką ruszyli w stronę starej fortecy. Hamish podpierał się laską, ale utykał mniej niż zwykle. Na szczycie klifu nie skręcili w prawo, lecz w lewo i zatrzymali się po kilkuset metrach. Przemoczona sukienka kleiła się do nóg Celestria, jej płócienne pantofle mlaskały, nasiąknięte wodą.

- Tutaj zginęła - rzekł Hamish, rzucając laskę na ziemię i chwytając dziewczynę za ramiona.

Spojrzała w dół. Byli wysoko, bardzo daleko od plaży. Natalia nie miała szans - jej ciało z pewnością roztrzaskało się

o skały, zanim zorientowała się, co się dzieje. Hamish wpatrywał się w Celestrię oczami pełnymi bólu.

- Natalia miała romans - podjął głosem podobnym do trzasku miażdżonego szkła. - Dowiedziałem się i zażądałem wyjaśnień.

Oskarżyła mnie, że mam zmienne nastroje i interesuję się wyłącznie sobą, że stało się to z mojej winy. Zaczęliśmy się kłócić. Natalia miała temperament równie wybuchowy jak ja, byliśmy jak dwa języki ognia, oszalałe z gniewu

i bólu. Kazałem jej wybrać, on albo ja, lecz ona nie była w stanie podjąć decyzji. Kochała go, chociaż zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później złamie jej serce, może zresztą już wtedy je złamał,.. - Hamish głęboko wciągnął powietrze, jakby musiał znaleźć odwagę, aby mówić dalej, i mocno zacisnął dłonie na ramionach Celestria. - Tym drugim mężczyzną był twój ojciec...

Celestria szarpnęła się do tyłu, z trudem łapiąc oddech, jakby ktoś wymierzył jej cios w żołądek.

- Mój ojciec?!

- Powinienem być powiedzieć ci od razu...

- Mój ojciec? Mój ojciec miał romans z twoją żoną? - Cofnęła się jeszcze o krok. - To niemożliwe!

- To prawda.

Minęła długa chwila, nim przyjęła jego słowa do wiadomości.

- To dlatego mnie nienawidziłeś... Bo jestem jego córką... Teraz rozumiem...

- Ale zakochałem się w tobie! - Hamish patrzył na nią z rozpaczą.

- Okłamałeś mnie...

- Nie, nie okłamałem! Nie powiedziałem ci całej prawdy, ale nie kłamałem!

- Więc dlaczego mówisz mi o tym teraz, kiedy wyjeżdżam?

- Ponieważ po twoim powrocie chcę zacząć od nowa, z czystym kontem. Chcę zamknąć przeszłość, raz na zawsze pożegnać się z Natalią i twoim ojcem... Chcę, żeby nasze wspólne życie było wolne od cieniów przeszłości... Jesteś jedyną osobą, która zna całą prawdę... Ale to jeszcze nie wszystko...

- Nie wszystko? - powtórzyła otepiąta z bólu Celestria.

- Natalia powiedziała, że nie potrafi wybrać między mną i Robertem, bo jest w ciąży i nie wie, czyje dziecko nosi pod sercem...

Oczy Hamisha wypełniły się łzami. Celestria czuła, że zaraz także się rozpłacze i jej łzy mieszały się ze spływającymi po jej policzkach kroplami deszczu.

- Nosila w sobie nowe życie, Celestrio... To mogło być moje dziecko...

Jak to możliwe, że nie wiedziała? Straciłem panowanie nad sobą, zacząłem na nią krzyczeć, lecz ona tylko patrzyła na mnie wyniośle, jakby cieszyła ją władza, którą miała nade mną... Nie było w niej ani odrobiny żalu czy

skruchy... Jak niewiele dzieli miłość od nienawiści... W tamtej chwili kochałem ją tak mocno, że aż jej nienawidziłem. Pamiętam tylko, że poślizgnęła się i spadła. Nie popchnąłem jej, przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłem, ale bardzo niewyraźnie pamiętam tamte chwile... Miałem mgłę przed oczami... Czy możliwe, że pchnąłem ją, wiedząc, że jest w ciąży?

- Więc oplakiwałeś nie tylko Natalię, lecz także dziecko, które mogło być twoje...

Gdy kiwnął głową, serce Celestii pękło na dwie części.

- Och, kochany... - Objęła go mocno i przytuliła. - Nie wątpię w ciebie... - szepnęła.

Celestria siedziała w pociągu w suchych rzeczach, w które zdążyła przebrać się przed wyjazdem, i patrzyła, jak krajobraz Włoch przemyka za oknem wagonu. W torebce wiozła brylantowe gwiazdy, które miała oddać matce. Postanowiła już, że nie powie Pameli, czego się dowiedziała. Zachowa wszystko dla siebie, chociaż jej ojciec z pewnością nie zasłużył na taką powściągliwość. Pamela nigdy nie pozna prawdy, będzie nadal wierzyła, że Monty kochał tylko ją. Harry będzie dorastał z radosnymi wspomnieniami o ojcu, który konstruował dla niego pułapki na szkodniki w lasach Pendrift, budował z nim zamki z piasku na plaży i zabierał go łodzią w morze, żeby bawić się w piratów. Celestria miała świadomość, że nie mówiąc im prawdy, strzeże ich przeszłości i ochrania przyszłość. Była to dobra decyzja.

Wygodnie oparła głowę i zamknęła oczy. Zobaczyła dużą twarz dziadka i jego błyszczące oczy. Miała wrażenie, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby przesunąć palcami po głębokich zmarszczkach i nieco podobnym do kartofla nosie. Kochała go całym sercem, był zawsze obecny w jej życiu, miał na nią ogromny wpływ. Pewność, że w każdej sytuacji pośpieszy na ratunek dawała jej wielkie poczucie bezpieczeństwa. I oto dziadek odszedł. Została sama.

Zrozumiała, że był jedynym mężczyzną w jej życiu, który kochał ją w uczciwy sposób. Ojciec zjawiał się co jakiś czas, uzbrojony w prezenty i komplementy, lecz to dziadek głębiej interesował się jej poczynaniami. Celestria nigdy naprawdę nie poznała ojca, ale on także jej nie poznał. To dziadek nie szczędził wysiłku, aby ją zrozumieć. Kiedy była mała, zachęcał ją do lektury i nauki, i to w tych drobnych rzeczach przejawiało się jego uczucie. Młodzi ludzie, z którymi się spotykała, podziwiali jej urodę, tymczasem dziadek był dumny z jej odwagi, inteligencji i dowcipu. Po zniknięciu ojca pragnęła schronić się w jego ramionach, nie szukała pocieszenia u nikogo innego. Gorzko żałowała, że nie może podzielić się z nim swoimi włoskimi przeżyciami. Nie omieszkałby jej powiedzieć, że szanuje ją za odwagę, z jaką dążyła do poznania prawdy o pozorowanym samobójstwie ojca, i kołby ból, gdy jej przeszłość zaczęła rozwijać się jak ładna wstążka z rolki, odsłaniając kryjącą się pod spodem paskudną rzeczywistość. Teraz o niczym nie będzie mu już mogła opowiedzieć i nigdy więcej nie poczuje ciepła jego kojącej bliskości.

Pamela poszła do kościoła. Nie miało dla niej znaczenia, że kościół pod wezwaniem św. Piotra nie był katolicką świątynią; jej zdaniem Bóg powinien uważać się za szczęściarza, że w ogóle do Niego przysłała. Usiadła na jednym z krzeseł w pierwszym rzędzie i zaczęła rozważać najbardziej niezwykle zdarzenie, jakie miało miejsce w jej życiu. Wszystko zaczęło się w przedostatnią noc. Pamela wypła kubek gorącego kakao i położyła się, samotna i opuszczona. Harry był w szkole, Celestria we Włoszech, zajęta Bóg wie czym, a ona miała do towarzystwa tylko Poochiego i z każdą chwilą coraz bardziej użalała się nad sobą. Jej ojciec przebywał w Szkocji, w swoim olbrzymim, zbyt bogato dekorowanym gotyckim zamczysku, otoczony służbą i przyjaciółmi. Rozmawiała z nim tego dnia wcześniej przez telefon. Był na polowaniu z hrabią Rosebu-rym, czuł się znakomicie i był bardzo z siebie zadowolony. Teraz, po latach chłodu i niechęci, Pamela znowu czuła, że są sobie bliscy.

Obudziła się w środku nocy. Ciemność rozjaśniało tylko złociste światło latarni przed domem. Zamrugła niepewnie na widok postaci, która pojawiła się przed jej oczami.

Z ogromnym zdziwieniem uświadomiła sobie, że patrzy na ojca. Jego postać była mglista, nie całkiem materialna, lecz nasycona barwami. Wyglądał młodziej niż ostatnim razem, gdy go widziała. Nie odezwał się ani słowem, wyczuła jednak, że stara się z nią porozumieć i zrozumiała, o co mu chodziło. Przyszedł się pożegnać i otoczyć ją swoją miłością. Oczy Pameli wezbrały łzami, chciała zatrzymać go przy sobie. Na jego twarzy zajaśniał charakterystyczny szeroki uśmiech.

- Jestem gotowy - powiedział bez słów. - Zrobiłem już wszystko, co miałem zrobić na świecie, ale zawsze będę w pobliżu...

Usiadła, zdecydowana chwycić go za rękę, lecz zniknął, jego postać rozwiała się w powietrzu.

O ósmej rano zadzwonił telefon i Pamela dowiedziała się, że ojciec w nocy doznał zawału i zmarł. Teraz siedziała w kościele i nie miała cienia wątpliwości, że parę godzin wcześniej widziała duszę ojca, który chciał pożegnać się z nią przed rozpoczęciem ostatniej podróży do Nieba.

Oznaczało to, że życie po śmierci jednak istnieje i Bóg także... Bóg, który usłyszał ją i podarował jej ten niezwykły prezent... Nie mogła się już doczekać, kiedy powie o tym księdzu Dalglieshowi. Postanowiła, że zadzwoni do niego zaraz po powrocie do domu.

Czuła się trochę dziwnie, bo chociaż w ciągu niecałych dwóch miesięcy straciła męża i ojca, uczucie osamotnienia zniknęło. Wiedziała, że obaj towarzyszą jej duchem i ta pewność napełniała ją ogromnym spokojem. Po latach trwania w ateizmie wreszcie pojęła, dlaczego ludzie chodzą do kościoła. Zrozumiała, że życie to coś więcej niż pusty blask materialnego świata. Istniał również świat ducha, istnienie po śmierci, a to nadawało całemu jej życiu całkowicie nowe znaczenie. Poza tym doszła do wniosku, że jeżeli kiedyś ma stanąć przed Stwórcą, musi szybko „odpracować” swoje złe zachowanie.

Celestria wróciła do Londynu, lecz związane z tym podniecenie przytłumił głęboki smutek po śmierci dziadka. Nieobecny wzrokiem wpatrywała się w okno taksówki, nie czując nic poza przerażającą pustką. Litowała się nad sobą, dziewczyną, która w ciągu kilku tygodni straciła dwóch najbliższych ludzi. Trochę lepiej poczuła się dopiero wtedy, gdy wygodnie wyciągnięta na łóżku matki wysłuchiwała historii o ucieczce Lotty z nauczycielem gry na fortepianie oraz o trudnym do opisanie oburzeniu Penelope.

- Droga Lotty popełniła okropny błąd - powiedziała Pamela. - Jakie życie czeka ją u boku zwyczajnego nauczyciela muzyki? Gdzie będą mieszkać? Nie wyobrażam sobie, aby była szczęśliwa, kiedy okoliczności zmuszą ją do zamieszkania w marnej dzielnicy...

Celestria podziwiała odwagę kuzynki. Wypowiedzenie posłuszeństwa ciotce Penelope było nie lada przedsięwzięciem...

- Dlaczego wszyscy uważacie, że bogactwo zapewnia szczęście? - zapytała lekkim tonem.

- Ponieważ za pieniądze można kupić wolność.

- Nie można przecież kupić sobie wolności od ciotki Penelope! - zaśmiała się Celestria.

- Staram się być dobra, więc udam, że tego nie słyszałam.

- Dlaczego starasz się być dobra, mamó? Czy to wymaga dużo wysiłku?

Pamela leciutko pociągnęła nosem i wzięła Poochiego na kolana.

- Odnalazłam Boga - oświadczyła. Celestria prychnęła z niedowierzaniem.

- Nie śmieć się ze mnie, skarbie! W noc śmierci twojego dziadka widziałam jego ducha. Przyszedł do mnie.

Celestria spoważniała.

- Naprawdę?

- Tak. Uśmiechał się szeroko, jak to on, i powiedział, że zawsze będzie w pobliżu. Była to bardzo wyraźna, jasna wizja, a ja byłam rozbudzona i trzeźwa. Rano obudził mnie telefon z wiadomością o jego śmierci we śnie. Dotarło do mnie, że

Bóg jednak istnieje i twój dziadek po prostu przeszedł na drugą stronę. Jestem tak samo zaskoczona jak ty, ale przysięgam, że stanę się lepszą osobą, bo po śmierci chcę do niego dołączyć. Po co mam tkwić w piekle z twoim ojcem, skoro mogę przebywać w niebie z moim tatą...

- Mamo, ojciec nie jest w piekle!

- Na pewno jest. Oczywiście nie zagrzeje tam długo miejsca, ponieważ będziemy modlić się za jego duszę, ale jednak...

Celestria pragnęła powiedzieć Pameli prawdę, ale wiedziała, że matka tego nie znieśie.

- Kiedy odbędzie się pogrzeb? - spytała.

- W sobotę. Mama przyleci z Nowego Jorku. Strasznie rozpacza, że nie było jej przy nim, kiedy umierał. Tak więc masz parę dni, żeby odpocząć po wyprawie do Włoch, zanim wyjedziemy do Szkocji. Zatrzymamy się w zamku. Będę musiała go sprzedać, naturalnie. Mama go nie chce.

- Na pewno nie masz ochoty tam zamieszkać?

Pamela rzuciła córce spojrzenie pełne udawanej pogardy.

- W tym okropnym gmaszysku z kamieni? Nie mam pojęcia, dlaczego ojciec w ogóle go kupił. Spędzał tam tak niewiele czasu...

- Miałam mu tyle do powiedzenia... - szepnęła ze smutkiem Celestria.

Nagle z przerażeniem przypomniała sobie o liście, który wysłała do dziadka i który musiał dotrzeć na miejsce już po jego śmierci. Co będzie, jeżeli mama go znajdzie, pomyślała. Z trudem przełknęła ślinę i obiecała sobie, że znajdzie i zniszczy list zaraz po przybyciu do zamku.

- Wierzę ci, kochanie. - Pamela pokiwała głową. - Możesz to zrobić, bo on naprawdę jest w pobliżu.

Celestria popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Mówisz jak odmieniona!

- Jestem odmieniona - przyznała poważnie Pamela. - Zrzuciłam starą skórę, przeszłam metamorfozę. Jak upłynął ci pobyt we Włoszech?

Waynie jakoś poradziła sobie z tymi Włochami, których tak się obawiała?

- Mamo, Wayne została we Włoszech...
- Wróciłaś do domu sama?!
- Nie jestem dzieckiem, na miłość boską!
- I co ona tam robi?!
- Wychodzi za mąż...

Pamela przestała głaskać Poochiego i poderwała rękę do ust.

- Żartujesz sobie ze mnie! Wayne?!
- To prawda, niestety. Wayne już nie wróci do Anglii.
- Co się dzieje z tym światem? - jęknęła Pamela. - Tracę wszystkich po kolei...

Celestria westchnęła. Wiedziała, że nie może teraz powiedzieć matce o Hamishu.

- Wayne jest szczęśliwa. Ty znalazłaś Boga, a ona miłość. Gdybyś wiedziała, jak wzruszająco razem wyglądają... Wayne odmłodziła o dobre dziesięć lat!

Pamela zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

- Ty też jesteś jakaś inna. Mam nadzieję, że się nie zakochałaś!

Celestria pośpiesznie spuściła wzrok i zaczęła bawić się frędzlami narzuty z klockowej koronki.

- Po prostu świetnie wypoczęłam... - wymamrotała.

- Harry wrócił do Eton - ciągnęła Pamela. - Teraz to najlepsze miejsce dla niego. Opiekun jego klasy dzwonił do mnie i mówił, że Harry dobrze się czuje w otoczeniu kolegów. A właśnie, Aidan Cooney telefonował kilka razy z pytaniem, kiedy wracasz... Może zadzwoniłabyś do niego? Ten chłopak zdecydowanie tkwi na samym szczycie łańcucha pokarmowego... No, muszę lecieć, skarbie! Jestem umówiona u fryzjera, nie chcę się spóźnić!

Celestria zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiała stawić czoło Aidanowi. Nawet gdyby miała nie brać pod uwagę Hamisha, nie mogła wyjść za Aidana. Daphne Halifax miała rację - po co skazywać się na życie z mężczyzną, którego bliskość nie wprawiała ziemi w drżenie...

Zatelefonowała do narzeczonego i zaproponowała, aby zjedli razem lunch w Knightsbridge.

- Kochanie, bardzo ci współczuję z powodu śmierci dziadka! Staruszek miał w sobie ducha walki!

- Dziękuję ci...

- Jesteś teraz dziedziczką wielkiej fortuny! Nie muszę już ratować cię od biedy!

Celestria poczuła się nieswojo, nie z powodu niedelikatności Aidana, lecz dlatego, że nagle uświadomiła sobie, jak bardzo zmienił ją pobyt we Włoszech. Kilka tygodni wcześniej śmiałyby się z uwag narzeczonego.

- Bardzo za nim tęsknię - powiedziała cicho.

- Teraz ja się tobą zaopiekuję, skarbie!

Celestria powoli odłożyła słuchawkę. Czowała, że wcale nie ma ochoty, aby ktokolwiek się nią opiekował. Sama była zdolna zająć się swoimi sprawami. Napuściła wody do wanny i wzięła długą kąpiel. Kiedy przymknęła powieki, ujrzała Ha-misha, którego szeroka twarz tchnęła powagą, zielone oczy były głębokie i niespokojne, a włosy dzikie i potargane. Nie czuła zapachu olejku różanego, lecz aromat sosnowej żywicy, słyszała śpiew ptaków w gałęziach migdałowych drzew, ujadanie psów na drodze i niczym niezakłóconą ciszę miasta zmarłych. Apulia zmieniła dziewczynę tak bardzo, że nie pasowała już ona do dawnej formy i londyńskiego życia, chociaż na dnie jej serca wciąż czaił się lęk, że miłość Hamisha to nie wszystko. Może jednak postanowiła zagrać o zbyt wysoką stawkę... Czy nie byłoby prościej, gdyby spróbowała pozbierać kawałki starego życia?

Czekała na Aidana w holu. Dom w Londynie wydawał jej się teraz obcym miejscem. Bez ojca był głuchy, jakby to obecność Monty'ego była decydującą nutą, której brak burzył całą harmonię. Kiedy rozległ się dzwonek, chwyciła torebkę, pewna, że to Aidan, lecz w progu stał doręczyciel przesyłek z największym bukietem lilii, jaki kiedykolwiek widziała. Wtuliła nos w kwiaty i głęboko odetchnęła ich zapachem, który przypominał jej Włochy.

- To typowe dla Aidana - powiedziała do Godfrey'a, podając mu kwiaty. - Proszę wstawić je do wody, dobrze? I postawić wazon w moim pokoju. Są takie piękne...

- Oczywiście, panienko Celestria - odparł Godfrey. Miał wielką ochotę zapytać o panią Waynebridge. Czy to prawda, że miała już nigdy nie wrócić? Zawahał się na moment, a Celestria odgadła jego myśli.

- Pani Waynebridge wychodzi za Włocha, którego poznała w Apulii - rzekła.

Oczy starego służącego się rozszerzyły.

- Włochy zupełnie ją odmieniły... - Celestria westchnęła i popatrzyła na lilie. - Zresztą mnie także...

Godfrey zabrał kwiaty i zniknął. W końcu pod domem zatrzymał się samochód Aidana, a jego właściciel wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na widok narzeczonej jego twarz rozjaśnił czuły, szeroki uśmiech. Celestria zdążyła już zapomnieć, jaki jest przystojny.

- Kochanie! - zawołał, biorąc ją w ramiona. - Wyglądasz przepięknie! Boże, jak to dobrze, że wreszcie wróciłaś, staruszko!

Gdy pocałował ją w usta, Celestria zapomniała podziękować mu za lilie.

- Zabieram cię do Ritza! - oznajmił. - Wszystko co najlepsze dla mojej ukochanej!

W jego uścisku było coś pocieszającego. Celestria poczuła się trochę tak, jakby włożyła parę starych, wygodnych kapci.

- Mieliliśmy przecież zjeść lunch w Knightsbridge! - zaprotestowała słabo.

- Zmieniłem zdanie - rzekł ze śmiechem Aidan.

Nie miała ochoty na lunch w Ritzu. Ten hotel nieodmiennie kojarzył jej się z dziadkiem.

- Mam dla ciebie niespodziankę! - dorzucił Aidan, bardzo z siebie zadowolony.

- Nie trzeba było... - wymamrotała niepewnie. Zastanawiała się, kiedy powinna powiedzieć mu, że nie może za niego wyjść. Aidan otworzył drzwiczki samochodu i pomógł jej wsiąść. Jeszcze niedawno zachwycała się jego

lśniącym, zielonym austinem healeyem; teraz jej serce tęskniło za Nuzzem i jego zaprzężonym w konia wozem.

Przed wejściem do Ritza przywitał ich portier, który serdecznie ujął dłonie Celestii w obie swoje.

- Miałem wielki szacunek dla pana Bancrofta, panienko - powiedział ze współczuciem. - Wszystkim tutaj będzie go brakowało...

- Bardzo dziękuję - szepnęła Celestia.

Pomyślała, że byłoby o wiele lepiej, gdyby Aidan wybrał jakikolwiek inny lokal w Londynie, byle nie ulubioną restaurację dziadka. W wyłożonym dywanami holu na jej spotkanie pośpieszył pan Windthorne.

- Wszyscy szczerze pani współczujemy, panno Montague - oświadczył. - Londyn straci dużo ze swego blasku bez pana Bancrofta...

Ruszyli korytarzem, mijając herbaciarnię, w której razem z dziadkiem często jadła rogaliki z dżemem.

- Wybrałem dla państwa stolik za filarem, żeby zapewnić wam odrobinę prywatności - rzekł pan Windthorne, dyskretnie mrugając do Aidana.

Celestrię ogarnęło nagle straszne przeczucie. Była przekonana, że pan Windthorne pomaga Aidanowi w jakimś spisku, na dodatek przypomniała sobie zapowiedzianą przez narzeczonego niespodziankę. Nie zamierzał chyba ogłosić ich zaręczyn, nie ustalwszy tego z nią wcześniej...

Za filarem czekał na nich długi stół, a przy nim rodzina i przyjaciele.

Celestii na moment zrobiło się słabo. To nie był dobry moment na poznanie rodziców Aidana... Wszyscy podnieśli się z miejsc i zaczęli klaskać, przejęci i zachwyceni.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, skarbie? - zawołała Pamela, obejmując córkę. - Jestem taka szczęśliwa! Weźmiecie ślub wiosną, już zarezerwowałam kościół!

Celestii znowu zakręciło się w głowie. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, było to oczywiste. Ramiona matki owinęły się wokół niej jak macki, była uwięziona w obłoku zapachu tuberozy.

Ach, to będzie wspaniały ślub, kochanie! - entuzjasmowała się Pamela. - Dokładnie taki, jak życzyłyby sobie twój dziadek!

Celestria doskonale wiedziała, że dziadek życzyłyby sobie tylko tego, czego chciałyby ona sama. Powoli ruszyła wokół stołu, witając wszystkich gości uśmiechem i pocałunkiem, chociaż w głębi serca pragnęła umrzeć.

- Bardzo się cieszę, że wreszcie możemy cię poznać - powiedziała matka Aidana, serdecznie całując Celestrię. - Trudno mi wyobrazić sobie szczęśliwszy dzień...

Ojciec Aidana także uściskał narzeczoną syna. Celestria zrobiło się przykro. W innych okolicznościach na pewno szczerze pokochałyby najbliższych Aidana.

- Nie musiałeś organizować tego przyjęcia - szepnęła, siadając u boku Aidana. - Wystarczyłyby mi kwiaty, które przysłałeś...

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Kwiaty? Jakie kwiaty?

- Lilie, które posłaniec przyniósł mi przed twoim przyjazdem...

Aidan sprawiał wrażenie nieco zbitego z tropu.

- Nie przysłałem ci dziś kwiatów - powiedział i odwrócił się w stronę Pameli. - Kto mógł przysłać kwiaty mojej narzeczonej?

- Och, nieważne! - Celestria wzruszyła ramionami. - Może doręczyciel pomylił adres... Nie zdążyłam przeczytać kartki...

- Na pewno ktoś przysłał je dla mnie - odezwała się Pamela, zbyt podekscytowana, aby naprawdę zastanawiać się nad czymś tak trywialnym. - Ludzie są bardzo mili, dostałam mnóstwo listów z kondolencjami...

Celestria nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w swój kieliszek do szampana. Wiedziała, że kwiaty nie były przeznaczone dla jej matki. Przypomniała sobie zapach lilii, unoszący się zza muru miasta zmarłych i przez jej twarz przemknął uśmiech.

- Przyjęcie weselne urządzimy chyba w Londynie, prawda, skarbie? - ciągnęła beztrąsko jej matka.

- W Londynie?

- No, tak... Plotka głosi, że Arenie sprzedaje Pendrift... -mruknęła Pamela. Celestria gwałtownie otrząsnęła się z zamyślenia.

- Stryj Archie sprzedaje Pendrift? - powtórzyła głośno.

- Niepotrzebnie ci o tym powiedziałam... - zatroskała się Pamela.

Żałowała, że o tym wspomniała. Córka bardzo zbladła, a przecież był to dzień, który powinien być najszczęśliwszym w jej życiu.

- Moim zdaniem, wiosną kwiaty w Londynie są po prostu przepiękne - dorzuciła.

Celestria wstała.

- Przepraszam bardzo... - mruknęła, wyraźnie zdenerwowana.

Aidan ściągnął brwi, Pamela rzuciła mu niepewne spojrzenie, reszta gości ze zdziwieniem patrzyła na wychodzącą z sali szczęśliwą narzeczoną.

- Pójdę z nią. - Pamela także podniosła się z krzesła. -Wszystkie te przeżycia trochę ją przytłoczyły... - Uspokajająco poklepała Aidana po ramieniu. - Nie przejmuj się, za chwilę wrócimy...

Znalazła Celestrię w holu, czekającą na płaszc.

- Nie możesz teraz tak po prostu wyjść! - wykrztusiła.

- Nie mogę wyjść za Aidana! - sprostowała Celestria. - To jakieś fatalne nieporozumienie! Kocham Hamisha!

- Hamisha? - Pamela otworzyła usta ze zdziwienia.

- Hamisha McClouda.

- A któż to jest, do diabła?!

- Szkot.

- Przecież ja go nawet nie znam! - Pamela chwyciła się za szyję, jakby miała poważne problemy z oddychaniem. -1 nic o nim nie wiem!

Celestria daremnie próbowała skryć uśmiech.

- Ma trzydzieści parę lat, jest wdowcem, utyka na jedną nogę, nie czesze włosów, jest utalentowanym malarzem bez grosza przy duszy i sprawia, że ziemia drży i przestaje się obracać. Jest wybuchowy, namiętny i dobry, i chociaż robiłam, co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić, zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia...

Podczas gdy Pamela starała się znaleźć jakąś odpowiedź, do holu wkroczył Aidan.

- Co się dzieje? - zapytał na widok wkładającej płaszcz Celestria.

- Nie trzeba było mówić ludziom o naszych zaręczynach! - oświadczyła ze złością.

- To była niespodzianka, myślałem, że będziesz zadowolona!

- Nie mogę za ciebie wyjść. - Celestria w końcu odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego?!

- Ponieważ cię nie kocham. Lubię cię, ale to nie wystarczy.

- Mogę cię uszczęśliwić! - oznajmił Aidan desperackim tonem, biorąc dziewczynę w ramiona.

Pan Windthorne obserwował nabierający rozpędu dramat zza biurka w recepcji.

- Wiem, że możesz. - Celestria delikatnie uwolniła się z objęć Aidana. - Zależy mi jednak na czymś więcej i tobie także powinno...

- Ale ja cię kocham!

- Przykro mi.,.

- Kochanie, musisz to sobie jeszcze przemyśleć - wtrąciła Pamela, która wreszcie odzyskała głos. - Nie jest jeszcze za późno, możesz zmienić zdanie! Dopiero co straciłaś ojca i dziadka, nic dziwnego, że nie jesteś sobą... Chodźmy do domu i porozmawiajmy o tym spokojnie, nie na oczach personelu...

Pan Windthorne pośpiesznie odwrócił wzrok, udając, że w ogóle nie zwraca na nich uwagi.

- Nie ma o czym rozmawiać - powiedziała Celestria. -

Podjęłam już decyzję i możesz mi wierzyć, że nigdy nie byłam bardziej trzeźwa i zrównowazona niż w tej chwili... jeżeli śmierć bliskich czegoś nas uczy, to przede wszystkim tego, że na świecie nie liczy się nic poza miłością. Nie da się zabrać majątku na tamten świat, prawda? - Nagle przypomniała sobie o czymś, co przed sekundą umknęło jej uwadze. - Mamo, nie mówiłaś mi, że stryj Archie ma kłopoty...

- To nie nasz problem!

- Gdyby tata żył, nie pozwoliłby im sprzedać Pendrifr! Aidan zacisnął pięści, rozwścieczony niespodziewaną zmianą tematu.

- Ale Monty nie żyje! - warknęła Pamela. - Poza tym i tak nie miał już żadnych pieniędzy, wiesz o tym równie dobrze jak ja!

- Ale my je mamy... Pamela zmrużyła oczy.

- Cóż, jesteś teraz bardzo zamożną kobietą - rzuciła. - Założę się, że ten twój Harry McCloud będzie z tego bardzo zadowolony! - Chwyciła Aidana za rękę. - Ten młody człowiek dysponuje odpowiednimi środkami, aby się tobą zaopiekować, i to niezależnie od majątku, który zostawił ci dziadek! Moim zdaniem Harry McCloud będzie czuł się upokorzony, że utrzymuje go kobieta!

- Łatwo znaleźć na to lekarstwo, nie sądzisz?

- Co masz na myśli? - zaniepokoiła się Pamela.

- Jeżeli ja także nie będę miała pieniędzy, będziemy sobie równi. I spróbuj zapamiętać, że on ma na imię Hamish, nie Harry, mamo... - Celestria odwróciła się do Aidana. - Przykro mi, naprawdę, ale teraz muszę już iść. I wyszła, nie oglądając się za siebie. Aidan i Pamela patrzyli za nią w milczeniu.

Celestria wróciła do domu przy Upper Belgrave Street podekscytowana i szczęśliwa. Radość wypełniała ją jak rozgrzane powietrze balon, więc prawie unosiła się nad ziemią. Za-

wołała Godfrey a, który wyłonił się z kuchni niezbyt pewnym krokiem, ponieważ do lunchu wypił trochę za dużo wina.

- Gdzie jest kartka, która była przymocowana do bukietu, Godfreyu?

- Wyrzuciłem ją, panienko...

- W takim razie wygrzeb ją ze śmieci! Jest mi potrzebna! Godfrey zniknął, a Celestria zaczęła spacerować po holu, nie mogąc ustać w miejscu. Po paru minutach lokaj wrócił.

Celestria otworzyła małą białą kopertę. Na pozbawionej ozdób kartce widniały słowa: JESTEŚ ŚWIATŁEM ZA DRZWIAMI. Dziewczyna przycisnęła kartkę do ust.

- Daphne! - szepnęła z uśmiechem.

Wiedziała, że Daphne Halifax zaaranżowała to ze względu na Hamisha. Godfrey przyglądał się jej ze zdumieniem.

- Coś jeszcze, panienko?

- Tak. W sobotę zaraz po pogrzebie wracam do Włoch, a dziś jadę do Pendrift.

- Do Pendrift, panienko? - Nieszczęsny Godfrey nic już z tego wszystkiego nie rozumiał.

- Proszę przekazać mojej mamie, że pojechałam do Pendrift pociągiem i że wrócę na czas, by wyruszyć z nią do Szkocji.

- Będzie panienka bardzo zmęczona... - wyjąkał służący, przytłoczony podróżniczymi planami Celestria.

- Człowiek się nie męczy, kiedy jest szczęśliwy. A ja jestem bardzo szczęśliwa, Godfreyu!

Kiedy Celestria dotarła do Pendrift Hali, Julia i Archie siedzieli w salonie i pili kawę z Elizabeth, która przyszła do nich na kolację. Dziewczyna stanęła w progu z małą walizką, piękna i promienna jak po doskonale przespanej nocy.

- Dobry wieczór! - Uśmiechnęła się, zadowolona z niespodzianki.

- Dobry Boże, Celestria! - wykrzyknął Archie, zrywając się z fotela. - Skąd się tu wzięłaś?

- Ze stacji. Złapałam taksówkę.

- Jest już późno, trzeba było zatelefonować... - Julia wstała i uściskała dziewczynę. - Bardzo się cieszę, że przyjechałaś... Świetnie wyglądasz, kochanie.

- Dobry wieczór, babciu. - Celestria schyliła się i pocałowała Elizabeth w policzek.

Gdy starsza pani się uśmiechnęła, wnuczka od razu zauważyła, że zaszła w niej jakaś zmiana.

- Kiedy wróciłaś z Włoch? - spytała Julia.

- Dziś rano.

- Musisz być ledwo żywa ze zmęczenia... - Julia spostrzegła, że oczy Celestria lśnią jak gwiazdy.

- Nie, w ogóle się nie zmęczyłam. Spałam w pociągu.
- Czemu zawdzięczamy tę przyjemną niespodziankę? -zagadnął z uśmiechem Archie.

Spontaniczne odwiedziny w żaden sposób nie pasowały do jego obrazu Celestii.

- Zaraz wam wszystko opowiem, ale najpierw chciałabym się czegoś napić, najlepiej kieliszek czerwonego wina.

Dziewczyna uważnym wzrokiem potoczyła po pokoju, w którym co roku spędzała ryle czasu, a nigdy jakoś nie zdążyła mu się przyjrzeć. Archie podszedł do barku i nalał kieliszek wina.

- Pendrift Hall to magiczne miejsce - powiedziała Celestria.
- Wyjątkowe, prawda? - Oczywiście Archiego były pełne smutku. -Jedynie w swoim rodzaju...

- Dzięki ludziom, którzy w nim mieszkają - dodała Elizabeth, z dumą patrząc na syna i synową. - Przez te wszystkie lata wszyscy odcisnęliśmy na nim swoje ślady... Pendrift Hall pełne jest miłości wszystkich, którzy tu przebywali.

Archie podał Celestii kieliszek, ona zaś pociągnęła łyk wina i poczuła, jak ciepłą stróżką spływa do pustego żołądka.

- Mama powiedziała mi, że nosicie się z zamiarem sprzedania Pendrift.
- Skąd Pamela o tym wie? - Archie nie potrafił ukryć urazy.
- Możliwe, że zna tych okropnych Weavelów... - Julia zapaliła papierosa.
- Pamela niczym nie zdoła mnie zaskoczyć.
- To prawda - oświadczyła Elizabeth ze stoickim spokojem. - Pendrift Hall jest w tarapatach, i tyle.

Teraz znowu wyglądała jak stara, rozczarowana życiem kobieta. Zupełnie jak przed wyjazdem Celestii.

- Chcę dotrzymać obietnicy, którą złożył mój ojciec. Troje ludzi patrzyło na Celestrię szeroko otwartymi oczami.
- Jakiej obietnicy? - zapytała Elizabeth, przenosząc wzrok na Archiego.

Celestria spojrzała na Julię.

- Podśledzałam waszą rozmowę w małym salonie - wyjawiała bez cienia wstydu. - Tata obiecał, że pomoże wam wybrnąć z kłopotów.

- Ach... - Julia z zażenowaniem przygryzła wargę. - Monty zawsze był gotowy pośpieszyć z pomocą... - Podniosła oczy na męża. - Teraz, kiedy go nie ma, wszystko się rozpada.

- Okazało się, że jestem bardzo bogata - oświadczyła Celestria. - Razem z mamą i Harrym odziedziczyłam majątek dziadka. Nie mogę zatrzymać wszystkich tych pieniędzy dla siebie, bo jest ich więcej, niż ktokolwiek zdołałby wydać w ciągu jednego życia, nawet ja! Poza tym i tak nie będą mi potrzebne tam, dokąd się wybieram! - Wino sprawiło, że osiągnęła stan cudownej lekkości i beztroski. - Tata nigdy by nie dopuścił, żebyście sprzedali Pendrift...

- Z całą pewnością - przyznała Elizabeth, uderzając językiem o podniebienie.

- Więc ja także na to nie pozwolę!

Julia zamrugała niepewnie. W jej oczach zalśniły łzy.

- Naprawdę chcesz uratować nasz dom? - zapytała, całkowicie oszołomiona. - Nie sądziłam, że lubisz Pendrift...

- To nie jest tylko wasz dom, ale także i mój. Wszystkie moje najszczęśliwsze wspomnienia wiążą się właśnie z Pendrift, chociaż nigdy dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy...

- Moja droga... - zaczęła Elizabeth drżącym głosem. Uświadomiła sobie, że Bóg rzeczywiście zesłał im cud.

Ksiądz Dalglish miał rację - pomoc przyszła z zupełnie nieoczekiwanej strony.

- A ja uważałam cię za najbardziej samolubne z moich wnucząt... - dokończyła cicho.

- Tata też miał o mnie takie zdanie - odparła Celestria. - I może nadal jestem egoistką, bo uratowanie Pendrift sprawia mi przyjemność...

Widzicie, zakochałam się. To najzupełniej nieodpowiedni kandydat na męża i mama jest wściekła, ale dziadek cieszyłby się z mojego wyboru i wspierałby mnie.

Wbrew pozorom, wcale się tak bardzo nie zmieniłam... Gdybym nie była egoistką- wyszłabym za Aidana Cooneya, żeby uszczęśliwić mamę, tymczasem ja po pogrzebie dziadka zamierzam wrócić do Włoch i ją unieszczęśliwić...

Lekko wzruszyła ramionami, nieporuszona wizją głęboko niezadowolonej matki.

- Dobry Boże! - Na blade policzki Archiego wypełził rumieniec. - Ojciec byłby z ciebie bardzo dumny, Celestrio!

- Dziękuję ci - pokornie powiedziała Elizabeth. - I dzięki Ci, Boże, że dałeś mojej wnuczce tak wielkie serce! A teraz możesz opowiedz nam o swoim ukochanym, co? Czym się zajmuje?

Może sprawiło to wypite na pusty żołądek wino, a może świadomość, że nie musi szukać aprobaty w oczach innych ludzi, nie wiadomo... Tak czy inaczej, Celestria opowiedziała im o Hamishu szczerze i bez wahania, a chociaż Arenie upuścił filiżankę z kawą i poplamiał dywan, nikt nie czuł się uprawniony do krytykowania jej decyzji.

Rano Celestria obudziła się dość późno. *Bouncy* bawił się w ogrodzie z Purdym, kopiąc piłkę na trawniku. Dziewczyna długą chwilę stała przy oknie. Widok *Bouncy*'ego, który uganiał się po trawie na krótkich, pulchnych nóżkach, wprawił ją w doskonały humor. Cieszyła ją myśl, że dzięki niej będzie spokojnie dorastał w Pendrift Hall i może nigdy się nie dowie, jak niewiele brakowało, aby utracił rodzinny dom.

Popatrzyła na morze, niewinnie lśniące w bladym świetle poranka. Z całej rodziny tylko ona wiedziała, że ojciec nie utonął w tym miejscu. Tylko ona знаła rozmiary jego oszustwa. Ratując Pendrift, przekreślała część jego winy i sprawiała, aby ludzie zapamiętali go takim, jakim sama pragnęła zachować go w pamięci. Zdecydowała, że nikt nigdy się nie dowie, jak było naprawdę. Będą jej dziękować, że honoruje dane przez niego słowo i robi to, co on by zrobił, gdyby nic jego życia nie została tak nagle i okrutnie przecięta.

Ale ona będzie wiedziała... Nie przestanie się zastanawiać, gdzie jest ojciec i co robi, i czy jego dwulicowość przyniosła mu szczęście. Nie sądziła, aby można zbudować udane życie na fundamencie czyjegoś bólu. Monty samolubnie zaspokajał swoje pragnienia, nie Ucząc się z cierpieniem ludzi, których serca łamał po drodze. Postanowiła, że nie pozwoli mu więcej ranić bliskich. Świadomość, że dba o zachowanie pozytywnego obrazu ojca w ich wspomnieniach, napępiała ją najgłębszą satysfakcją.

Szła przez trawnik w stronę prowadzącej na plażę ścieżki, kiedy nagle piłka uderzyła ją w łydkę, a mały Bouncy zaniósł się radosnym śmiechem.

- Pseprasam... - wyseplenił, jak zwykle pełen uroku. Purdy nadbiegł wielkimi susami i chwycił piłkę w zęby, aby zanieść ją swemu panu.

- Nieźle kopiesz... - Celestria rozcierała łydkę. - Wygląda na to, że będziesz dobrym piłkarzem.

Malec przystanął obok niej.

- Masz teraz mamę całkiem dla siebie, prawda? - Po plecach przebiegł jej dreszcz, kiedy przypomniała sobie tamten dzień, gdy niani nie udało się upilnować chłopca.

- Mama jest moją najlepszą psyjaciółką - oświadczył Bouncy.

Purdy skoczył na niego i prawie przewrócił na trawę. Bouncy rzucił się w pogoń za labradorem, usiłując złapać go za ogon.

- A babcia? - zapytała z rozbawieniem Celestria.

- Babcia bawi się ze mną, a tatuś zuca mnie wysoko do góry!

- Założę się, że babcia nie gra z tobą w piłkę?

- Babcia jest bardzo stara - odparł Bouncy. - W piłkę grają ze mną Wilfrid i Sam, no i Purdy...

Wyskoczył w górę i mocno kopnął piłkę, która poleciała łukiem nad trawę. Purdy pobiegł za nią, radośnie machając ogonem, a Bouncy natychmiast podążył za psem.

Celestria podniosła głowę i zobaczyła obserwującą ich

z okna w salonie Julię. Dla Julii dar Celestria miał największą wartość z możliwych, ponieważ Pendrift było nie tylko jej domem, ale przede wszystkim domem jej dzieci.

Na plaży Celestria usiadła na piasku, ciesząc się samotnością i łagodnym rytmem fal. Pozwoliła, aby wspomnienia zabrały ją do krainy dzieciństwa, świadoma, że już nigdy nie przyjedzie do Pendrift na wakacje. Jeden rozdział został zamknięty, drugi dopiero się zaczynał. Nie wiedziała, dokąd poprowadzi ją los, wierzyła jednak, że dzięki odwadze i cierpliwości znajdzie szczęście u boku Hamisha.

Nagle usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się i zobaczyła brnącego ku niej po piasku księdza Dalgliessa.

- W Pendrift Hall powiedziano mi, że tu cię znajdę! - zawołał, starając się przekrzyczeć szum fal. - Mogę ci chwilę potowarzyszyć?

- Oczywiście!

Usiadł obok niej, z trudem łapiąc oddech.

- Co za niezwykła niespodzianka - rzekł. - Julia mówi, że uratowałaś Pendrift. To bardzo hojny dar...

- Nie aż tak hojny, jak mogłoby się wydawać. Dziadek zapisał mi duży majątek i naprawdę cieszę się, że mogę pomóc stryjowi Archiemu. Mój ojciec właśnie tak by postąpił.

- Na pewno... - przytaknął ksiądz. - Byłby z ciebie ogromnie dumny.

Zapadło długie milczenie. Ksiądz Miles zdjął okulary i wyjął z kieszeni sutanny chusteczkę, aby je wyczyścić.

- Jak podobało ci się we Włoszech? - zagadnął.

- Piękny kraj...

- Nie znam Apulii. Jaki to region?

- Suchy, skalisty, płaski, z imponującymi klifami. Miejscami podobny do Kornwalii, tyle że zawsze świeci tam słońce i niebo jest niewiarygodnie błękitne...

Opowiadając mu o cmentarzu, małym kościółku obok Convento i starej fortecy z każdą chwilą utwierdzała się w przekonaniu, że Apulia jest jej miejscem na ziemi, mimo nieszczęścia, które dotknęło tam Hamisha.

Gdyby nie Natalia, Hamish

nie byłby tym mężczyzną, którego Celestria poznała i pokochała. Wiele zawdzięczała Natalii, mocno w to wierzyła. A gdyby nie Freddie, Gaitano i Daphne, może nigdy by się nie zmieniła... Uciekanie od tego wszystkiego nie miało najmniejszego sensu.

- Wygląda na to, że wspaniale wypoczęłaś... - Ksiądz Miles schował chustkę i włożył okulary.

Mówił szczerze - Celestria była piękniejsza, niż pamiętał, sprawiała też wrażenie całkowicie zrelaksowanej, jakby we Włoszech jej serce w końcu odnalazło spokój.

- Chciałem porozmawiać z tobą o tamtym dniu... - zaczął. Celestria przerwała mu, lekko dotykając jego dłoni.

- Proszę, nie mówmy o tym... Strasznie się wstydzę mojego zachowania... Nie myślałam, co robię i byłam okropnie głupia...

- Byłaś zagubiona, co jest zupełnie zrozumiałe. Nie chciałem, żebyś czuła się zawstydzona, ale uciekłaś...

- Dobrze zapamiętałam wyraz oczu księdza...

- Wyraz moich oczu?

- Tak. Patrzył ksiądz na mnie z wielkim współczuciem, ale na dnie księdza oczu zobaczyłam odbicie mojej brzydoty...

Potrząsnął głową.

- Jesteś piękna.

- Tak, zewnętrznie, lecz wewnętrznie potwornie brzydka... Nawet własny ojciec uważał mnie za rozpuszczoną, wymagającą i zepsutą. Mama uważa, że się zmieniła, bo w noc śmierci dziadka widziała jego ducha.

- Naprawdę?

-- Możliwe, że faktycznie odnalazła Boga, ale nadal jest tą samą osobą... - Celestria wzruszyła ramionami. - Niektórzy ludzie są za starzy, żeby się zmienić, a może za mocno zakorzenieni w swoich przyzwyczajeniach... Ja nie należę do żadnej z tych kategorii, więc pobyt we Włoszech zdołał mnie zmienić. Kocham Pendrift Hall, ale wydaje mi się, że mam już z tym miejscem niewiele wspólnego...

- Dlatego że to, co znałaś, uległo zmianie - powiedział ksiądz Miles.

- Wiem. Mój ojciec miał bardzo silną osobowość, bez niego Pendrift wydaje się puste,

- Daj sobie trochę czasu.

Pokręciła głową i jasne loki rozsypały się na ramionach.

- Nie. Wracam do Apulii.

- Wracasz? - uniósł brwi.

- Tak. Spotkałam tam pewnego mężczyznę, proszę księdza...

- Ach, rozumiem... - z trudem ukrył rozczarowanie.

- Jestem mu potrzebna.

- Czy on także jest potrzebny tobie?

- Bardziej, niż sądziłam...

- W takim razie musisz wracać. Będzie cię nam brakowało... Uśmiechnęła się domyślnie.

- Księdzu będzie mnie brakowało, prawda? Odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

- Tak. Ale będę cieszył się twoim szczęściem... Nikt nie powinien oczekiwać, że zechcesz zostać w miejscu, gdzie spotkało cię tyle złego.

- Nie, to nieprawda! Dzięki Pendrift dorosłam i kocham ten dom mocniej, niż mi się wydawało... Jednak Apulię też pokochałam. Myślałam, że lepiej będzie rozpocząć nowe życie zupełnie gdzie indziej, lecz nie chcę stamtąd uciekać, ponieważ właśnie tam dostałam od losu wielką szansę...

- Zaśmiała się, wiedząc, że ksiądz Miles nie może zrozumieć, o co jej chodzi. - Gdyby nie Apulia, stałabym się taka jak mama, i niech ksiądz spróbuje sobie wyobrazić, jakie to by było straszne! Mama już wcześniej była okropna, a teraz, kiedy znalazła Boga, zmieniła się na gorsze! Założę się, że niedługo zjawi się tutaj i zacznie dyrygować życiem parafii, układać bukiety do dekoracji ołtarza i organizować kolekty!

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro rano.

- Więc mamy trochę czasu na spacer?

- Z przyjemnością - odparła, podnosząc się.

- Bardzo się cieszę... - Ruszył przez plażę w kierunku

ścieżki wiodącej na szczyt klifu. - Przynajmniej tym razem nie pada...

- Widzę, że włożył ksiądz skarpetki z tej samej pary! - Roześmiała się, biorąc go pod ramię.

- Zauważyłaś?

- Oczywiście! Od początku zwracałam uwagę na księdza skarpetki!

Hamish siedział w barze Saveria i grał w scopa z Leopoldem, Manfredem i Vitalinem. Na dworze padał deszcz, powietrze w sali przesycone było tytoniowym dymem i parą wodną. Mężczyźni z Marelatte zgromadzili się przy stolikach, aby popijać kawę i narzekać na swoje kobiety. Hamish przypomniał sobie tamten wieczór, kiedy dostrzegł w barze Celestrię, zajętą rozmową z Salazarem. Doskonale pamiętał oburzenie, z jakim myślał o bezczelnej, lekceważącej granicy jego sanktuarium córce Roberta Montague, połączone z pragnieniem, by ochronić ją przed sytuacją, w której była skazana na porażkę. Wpatrywał się w swoje karty i wspominał, jak szybko Celestria owładnęła jego wyobraźnią i sercem; wystarczyło, że ujrzał ją, muskającą palcami motyw winorośli na płycie nagrobnej Natalii. Jej wewnętrzne światło i uroda jaśniały równie mocno jak tamte dwie świece. Poczł się rozbrojony. Zawstydził się swego wybuchu i pierwszy raz od trzech lat uświadomił sobie boleśnie, jak nisko upadł. Kiedy odkrył, że ma do czynienia z córką mężczyzny, który uwiódł mu żonę, zrozumiał, że musi jej unikać. Dobrze znał swoje serce i wiedział, że trudno będzie stawić jej opór. Chciał nienawidzić, ale nic nie mógł poradzić na to, że zakochał się bez pamięci. Otworzyła jego serce i wylała miód na rany, posługując się poczuciem humoru i współczuciem, sprawiła, że znowu obudziła się w nim nadzieja. I znowu odkrył romantyczną miłość... Piękno narodziło się z tragedii niczym wyrastający na skale kwiat. Uznał, że jej beztroski uśmiech i jasnoszare oczy mówią o egoizmie i przewrotności, lecz źle ocenił ją i samego

siebie. Teraz czuł, że stał się innym człowiekiem, nie wiedział jednak, czy Celestria zechce do niego wrócić...

- O czym tak myślisz, Hamishu? - zagadnął szorstko Leopoldo, pocierając pokryty zarostem podbródek. - Nie wiesz chyba nawet, jakie dostałeś karty...

- To miłość! - prychnął Vitalino. - Chcesz utopić smutki w jeszcze jednym drinku, stary?

- Nie mam żadnych smutków. - Hamish rzucił przyjacielowi szatański uśmiech. - Okpię was wszystkich, zobaczycie!

- Uważasz, że masz dziś szczęście? - burknął Manfredo. - Jak na razie przegrałeś we wszystkich rozdaniach! - Pochwycił spojrzenie ojca i wzruszył ramionami.

- Nie widzicie, że się ogolił? - Vitalino ze śmiechem pokręcił głową. - Tylko kobieta może skłonić mężczyznę do takiego kroku! To prawdziwa tragedia, słowo daję! Nieszczęsny facet nie jest w stanie skupić się na grze, bo myśli o kobiecie pięknej jak anioł!

- Skoro zmusiła cię, żebyś się ogolił, to co jeszcze może z tobą zrobić? - zamruczał Leopoldo.

Hamish się roześmiał, odrzucając głowę do tyłu niczym lew o skudłonej grzywie.

- Może zrobić ze mną wszystko, co zechce - przyznał, kapitulując.

- Nawet zabrać cię z Marelatte? - Vitalino uśmiechnął się niepewnie. - Nie posunęłaby się chyba tak daleko, co?

- Tęskniłbyś za mną? - Hamish żartobliwie poklepał go po plecach.

Zgodnie ryknęli śmiechem, lecz Hamish z niepokojem myślał o złożonej Celestria obietnicy. Wiedział, że Marelatte jest jego miejscem na ziemi. Wszedł z baru razem z Vitalinem. Deszcz przestał padać, ziemia była pachnąca i lśniąca od wilgoci. Chmury wypłynęły daleko nad morze i odsłoniły usianą gwiazdami czarną połąć nieba z jasną latarnią księżyca pośrodku. Hamish wiedział, że księżyc zawsze będzie przypominał mu chwile spędzone z Celestrią.

- Jeszcze trochę, i zwariuję - zwierzył się przyjacielowi. -Marelatte wydaje mi się bez niej okropnie puste i niekompletne...

Vitalino zaśmiał się cicho.

- Sam wydajesz się bez niej niekompletny...

- Boję się, że... - zaczął Hamish.

- Czego się boisz?

- Że nie dałem jej dość konkretnego powodu, aby tu wróciła.

- Ty sam nie jesteś dość konkretnym powodem? - Vitalino uniósł brwi.

- Powiniennem być powiedzieć jej, co czuję.

- Nie zrobiłeś tego? - Vitalino uważał się za prawdziwego eksperta w sprawach miłosnych. - Kobiety potrzebują pewności!

- Nie powiedziałem dość jasno, że ją kocham!

- Kobiety lubią poezję, poetyckie gesty i wyznania, kapujesz? Mieszkasz tu już ładnych parę lat i jeszcze nie nauczyłeś się włoskiej metody uwodzenia? Cała tajemnica kryje się w słowach i sposobie ich wypowiedzenia! To dlatego Włosi są najlepszymi kochankami na świecie, dlatego słyniemy z romantyzmu! Jesteś zbyt oszczędny w słowach, stary, na tym polega problem... Może to dlatego, że jesteś Szkotem. Tak czy inaczej, najwyższy czas zrozumieć, że kobiety uwielbiają ozdobne miłosne wyznania, możesz mi wierzyć...

- Gadasz bzdury, Vitalino!

- Ale te bzdury działają, stary! - Włoch wyprostował się i wypiął pierś do przodu, lecz Hamish nadal górował nad nim wzrostem. - Krótko mówiąc, boisz się, że ona wróci do swojego świata i zapomni o tobie, tak?

- Tak... - Głos Hamisha nagle się załamał. - Dopiero kiedy kobiety odchodzą, uświadamiasz sobie, ile dla ciebie znaczą, tak to już jest...

- Nie obwiniaj się, stary. Jeśli naprawdę cię kocha, wróci!

- Jest jeszcze bardzo młoda. Młode dziewczyny są zmienne.

- I namiętne w miłości...

Hamish się uśmiechnął, wspominając, jak kochali się na zboczu pod starą fortecą.

- To prawda... - Odwrócił się do przyjaciela i przepaszająco potrząsnął głową. - Mam za dużo wątpliwości, bo spotkałem wyjątkową kobietę, i teraz trzęsę się ze strachu, że mógłbym ją stracić...

- Rozumiem i zazdroszczę - westchnął Vitalino. - Ja tam jakoś nie mogę zakochać się na stałe... Ledwo moje serce zabije dla jakiejś damy, a już inna wyciąga po nie rękę. Bez przerwy uganiam się za nimi po mieście! Obaj parsknęli śmiechem. Vitalino dopiero teraz zauważył, że Hamish nie podpira się laską.

- Gdzie twoja miotła, staruszkę? - zapytał.

- Nie potrzebuję jej.

- Na twoim miejscu szybko bym ją odszukał, bo kobiety wykorzystują słabych, wrażliwych mężczyzn!

- Przepadło. Żona Saveria odleciała na niej na sabat! Vitalino roześmiał się i serdecznie poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Straciłeś serce i głowę, to prawda, ale dobrze, że zostało ci chociaż poczucie humoru!

W dzień pogrzebu Richarda W. Bancrofta 11 na niebie wisały grube jak kozuch szare chmury, z których bez chwili przerwy sączyła się dokuczliwa mżawka. Sceneria była ponura, drzewa gubiły liście, a mokrą ziemię przykrywała warstwa gnijącej roślinności. Wbrew temu wszystkiemu w klapie płaszcza Pameli migotały brylantowe gwiazdy, a w nich uwięziona tęcza.

Nabożeństwo żałobne odbyło się w zimnym kamiennym kościele w niewielkim miasteczku. Pamela zamówiła dużo kwiatów, lecz wewnątrz świątyni i tak wyglądało mrocznie i ponuro. Na nabożeństwo przyszli wszyscy pracownicy z zamku i posiadłości oraz mnóstwo ludzi z miasteczka, chociaż większość z nich nigdy nie poznała ekscentrycznego Amerykanina, który kupił zamek, ale rzadko w nim bywał.

Przedstawiciele szlacheckich rodów z sąsiedztwa, z którymi Richard wielokrotnie polował na dzikie ptactwo i leśną zwierzynę, wysiadali z błyszczących samochodów, ubrani w czarne garnitury i kapelusze, aby pożegnać człowieka o wybitnej osobowości. Harry pocieszał babkę, która przyleciała z Ameryki, natomiast Pamela w modlitwach zapewniała ojca, że w najbliższym czasie zamówi w jego intencji uroczyste nabo-

żeństwo żałobne w Nowym Jorku, gdzie zostanie upamiętniony w sposób bardziej godny i odpowiedni niż w tym marnym, żalosnym miasteczku. Najwyraźniej zapominała, że jej ojciec żyje już teraz tylko duchem i tak przyziemne drobiazgi są mu całkowicie obojętne.

Ku wielkiej radości i zaskoczeniu Celestii na ceremonię przyjechali Lotty i Francis. Pamela przywitała ich ciepło, zdecydowana być dobrą osobą, szczególnie w domu Bożym. Kuzynki uściskały się serdecznie, świadome, że teraz mają ze sobą więcej wspólnego niż kiedykolwiek wcześniej. Usiadły obok siebie w ławce i Lotty pochwaliła się Celestii pierścieniem zaręczynowym z malutkim brylantem, który nosiła razem ze złotą obrączką.

- Pobraliśmy się dwa dni temu w Kent - powiedziała. - Była to skromna ceremonia, ale naprawdę piękna i wzruszająca. Mama i tata nie przyjechali, cóż, taką podjęli decyzję, lecz zjawili się David i Melissa. Och, żebyś wiedziała, jaka jestem szczęśliwa!

- A jak tam Melissa?

- Jeżeli zastanawiasz się, czy ona i Rafferty pójdą w nasze ślady, to muszę rozwiązać twoje wątpliwości - Melissa już się wycofała.

- Romantyczna historia dobiegła końca? - Celestria uniosła brwi.

- Melissa załamała się pod presją.

- Pod wpływem perswazji cioci Pénélope, chciałaś powiedzieć?

Lotty kiwnęła głową.

- Melissa zawsze robi to, co należy...

- Niekoniecznie! - Celestria uśmiechnęła się kpiąco. - Ma jeszcze dużo czasu na popełnienie błędu.

- Brakowało mi twojego sarkastycznego poczucia humoru. Wydaje mi się, że nie widziałyśmy się całe wieki...

W zamku napiły się herbaty i podzieliły ciekawymi historiami. Lotty była zachwycona, że Celestria również zerwała z konwencjonalnymi zasadami.

- Lepiej się czuję, wiedząc, że nie jestem jedyną rebeliantką w rodzinie! -
Zaśmiała się.

- Nikt się nie spodziewał, że odważysz się na coś takiego - powiedziała Celestria. - Od urodzenia byłaś przykładną, grzeczną panienką, a tu taki pasztet... Co innego ja - zawsze było wiadomo, że zrobię coś nieobliczalnego...

- Na przykład wyjdiesz za hrabiego albo księcia - dokończyła Lotty. - Kto by pomyślał, że zakochasz się w artyście bez grosza przy duszy, zupełnie jak ja.

- Mama ciągle nie może się z tym pogodzić. - Celestria westchnęła. - Jest oburzona. Co właściwie stało się z tą naszą rodziną?

- Nie chodzi o naszą rodzinę, ale o twojego ojca. Gdyby wuj Monty nie zginął, nie odważyłabym się uciec z Francisem... Jego śmierć pokazała mi, że życie jest krótkie i niezwykle cenne, i że trzeba chwycić każdy dzień. Tak się cieszę, że posłuchałam instynktu, a nie twoich rad... Z Eddiem Richmondem nigdy nie byłabym szczęśliwa...

- Ja także nie byłabym szczęśliwa jako żona Aidana Cooneya. Trochę mu dokuczyłam, niestety... Mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczy. Lotty z zaciekawieniem zajrzała kuzynce w oczy.

- Powiedz mi, jaki jest Hamish...

- Jedyne w swoim rodzaju - odparła Celestria. - Mój dziadek na pewno by go zaakceptował!

Pamela siedziała w bibliotece ojca na brzegu starego skórzanego fotela, w którym po kolacji wypalał cygaro przy kominku, i rozmyślała o swoim życiu. Decyzja Celestria, że oto wraca do Wioch, aby wyjść za sporo starszego wdowca, była dla Pameli wielkim rozczarowaniem.

Dziewczyna powinna postąpić zgodnie z radą matki i wyjść za Aidana, ale cóż, z czasem sama zrozumie, że popełniła błąd. Pamela zawsze wiedziała najlepiej. Dobrze chociaż, że Harry na razie nawet nie myślał o ucieczce z bezpiecznego gniazda... Harry był

rozsądnym chłopcem i zajmował pozycję na samym szczycie społecznego łańcucha pokarmowego, tak samo jak jego ojciec. W trakcie tych rozważań zauważyła niewielki plik listów na biurku. Wstała i wzięła koperty do ręki, by wrzucić je do płonącego w kominku ognia, lecz jej uwagę przykuła koperta na wierzchu, zaadresowana do ojca Pameli charakterem pisma Celestii. Długą chwilę obracała ją w palcach. Jej córka nie pofatygowała się, żeby napisać do niej, prawda? Pamela poczuła się trochę urażona i już wsunęła długi paznokiec pod zaklejone skrzydło koperty, gdy nagle uświadomiła sobie, co właściwie robi. Przecież teraz starała się być dobrą osobą! List nie był zaadresowany do niej, więc z jakiej racji w ogóle się nim interesowała... Westchnęła ciężko, chora z ciekawości i frustracji. Założę się, że opowiedziała mu wszystko o tym całym Harrym McCloudzie, pomyślała ze złością. Postukała krawędzią koperty o otwartą dłoń, tocząc walkę między złą osobą, jaką była, a dobrą osobą, jaką pragnęła zostać. Podniosła wzrok i popatrzyła w dziarsko trzaskający ogień.

- O, Boże... - jęknęła z irytacją. - Cholernie trudno jest być dobrą... Podeszła do kominka, wmawiając sobie, że zerknie tylko na ostatnich kilka linijek. Celestria nigdy się nie dowie, zresztą była przecież jej matką i posiadała pewne prawa, może nie? Czowała jednak, że Bóg uważnie ją obserwuje. Westchnęła jeszcze ciężiej niż poprzednim razem i potrząsnęła głową.

- Lepiej, żebym za takie wyrzeczenie naprawdę trafiła do nieba... - mruknęła, wznosząc oczy do sufitu.

Wrzuciła list do kominka i przyglądała się, jak płonie. Potem zeszła po schodach do sali, w której odbywała się stypa, z niezwykle przyjemnym poczuciem spełnienia dobrego uczynku. Teraz muszę jeszcze okazać radość, że moja córka wychodzi za tego McClouda, pomyślała i lekko się skrzywiła.

- Z tym już chyba trochę przesadziłeś, Panie Boże... - wymamrotała.

W holu zaskoczył ją widok wielkiego jak niedźwiedź faceta, z którego kurtki krople deszczu spływały prosto na dość cenny dywan. Przybysz miał długie włosy, opaloną skórę i był byle jak ubrany. Na nogach nosił sandały, całkowicie niepraktyczne w Szkocji, zwłaszcza jesienią, i pochłapane farbą. Pamela obrzuciła go przerażonym spojrzeniem i przystanęła w bezpiecznej odległości na wypadek, gdyby okazał się włóczęgą, który bezprawnie wtargnął do zamku.

- Kim pan jest? - zapytała z niesmakiem.

- Nieistotne... - warknął, zwracając się w kierunku drzwi do salonu, zza których napływał przyciszony gwar głosów i smugi papierosowego dymu.

- Nie może pan tam wejść! - wykrzyknęła Pamela. - Boże dobry, nie...

Odwrócił głowę i popatrzył na nią spod zmrużonych powiek. Przez jego twarz przemknął błysk rozpoznania, uśmiechnął się z rozbawieniem.

Pamelę zdumiała ta nieoczekiwana przemiana, poczuła, jak na jej policzki wypełza rumieniec. Uśmiech nieznanego był niewiarygodnie atrakcyjny, wręcz szatańsko uroczy. Przeżegnała się pośpiesznie.

- Proszę się nie obawiać - powiedział spokojnie. - Przyszedłem po Celestrię...

- Po moją córkę?! - wykrztusiła. - Po... po Celestrię? Zrobiło jej się słabo. Sam diabeł przybył do zamku, aby zabrać jej dziecko...

- Nazywam się Hamish McCloud.

Celestria nadal siedziała na sofie razem z Lotty, kiedy w drzwiach stanął potargany, ociekający wodą Hamish. Przerwała w pół zdania, wyczuwając jakąś zmianę w powietrzu. Lotty spojrzała nad jej ramieniem w kierunku wejścia i otworzyła usta ze zdumienia.

- Kto to jest?! - wykrztusiła.

Serce Celestria załomotało, jeszcze zanim się odwróciła. Zobaczyła go, nim on dostrzegł ją. Zmarszczył brwi i rozglądał się po salonie. W jednym momencie załapała ją fala radości i współczucia - wyglądał tak nie na miejscu wśród elegancko

ubranych gości... Podniosła się. Kiedy w końcu ją ujrzał, jego twarz złagodniała, rozjaśniona szerokim, zaraźliwym uśmiechem. Z otwartymi ramionami ruszył między ludźmi, którzy rozstępowali się przed nim, zaskoczeni i lekko oszołomieni.

- Przyjechałeś po mnie... - szepnęła.

Pozwoliła, aby objął ją mocno i unióśł wysoko, tak że wysokie obcasy jej czarnych pantofli zawisły nad podłogą. Odrzuciła do tyłu przypiętą do kapelusza woalkę i przycisnęła wargi do jego ust. Zapach Hamisha przypomniiał jej wszystkie dobre chwile, jakie przeżyła w Marelacie. Zamknęła oczy, czując, jak jego pragnienie ciągnie ją do Marelatte, do starej fortecy, małej zatoczki i tego wyjątkowego miejsca pod sosną o powykręcany pniu.

- Przyjechałeś po mnie - powtórzyła z radością.

- Nie, przyjechałem, żeby być z tobą.

Odsunęła się i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Zostaniesz tu ze mną?

- Kocham cię, Celestrio, i chcę po prostu być z tobą. Nie obchodzi mnie już, dokąd zaprowadzi mnie to pragnienie, chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Twoje szczęście jest nierozłącznie związane z moim, rozumiesz?

W jego oczach zobaczyła coś nowego - przypominały jej wymyte ulewą niebo.

- Mówiłeś chyba, że nigdy nie wyjedziesz z Marelatte...

- Tylko ty mogłabyś mnie do tego skłonić...

Pamela stała w progu, patrząc na nich z takim samym osłupieniem jak reszta gości. W salonie zapanowała cisza. Wszyscy mieli wrażenie, że nagle zrobiło się jaśniej, jakby słońce w końcu wychyło z za chmur i wpadło do pokoju, chociaż na dworze nadal padało.

Więc to jest człowiek, który ukradł serce mojej córki, pomyślała Pamela. Westchnęła, nie odrywając oczu od dziwnego obłoku złocistego światła. Sama miała mieszane uczucia co do Hamisha, wyczuła jednak pełną miłości obecność ducha swego ojca i doszła do wniosku, że on na pewno zaakceptowałby wybór Celestii.

- Judźmy do domu - odezwała się dziewczyna, kiedy jej stopy znowu dotknęły ziemi.

- To znaczy dokąd? - Hamish ujął ją za rękę.

- Do Marelatte - odparła nonszalancko, usiłując odczytać jego reakcję z wyrazu twarzy.

Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

- Do Marelatte?

- Tak. Tam jest nasze miejsce, razem ze wszystkimi wspomnieniami, dobrymi i złymi.

- Naprawdę tak myślisz? - Malujące się w jego oczach szczęście napełniło ją radością.

- To nie jest poświęcenie z mojej strony - powiedziała. - Chcę tam żyć, chcę wychować nasze dzieci na tej kamienistej plaży... Pokazać im wielki, podobny do mozarelli księżyc... Mówisz, że nasz los jest na zawsze związany, a skoro tak, to nasze miejsce jest właśnie w Marelatte.

- I weźmiesz ze mną ślub w kościele obok Convento?

- Wayne może zostać moją druhną! - rzekła ze śmiechem Celestria.

Trzymając się za rękę, podeszli do Pameli, która wciąż wyglądała tak, jakby zobaczyła diabła.

- Nazywam się Hamish McCloud. - Hamish wyciągnął do niej rękę. - Nie zostaliśmy sobie przedstawieni...

Apulia bardzo przypadła Pameli do gustu. Podróż była długa, a należącej do Gaitana lancii flaminii przydałoby się porządne mycie, ale pogoda była piękna, a klasztor uroczy, chociaż może nieco prymitywny. Ślub głęboko ją wzruszył, podobnie jak Harry'ego. Ślubna suknia miała odrobinę prowincjonalny krój, czemu nie należało się dziwić, ponieważ uszyto ją w Marelatte, lecz Celestria wyglądała w niej przepięknie.

Pamela trochę bała się Hamisha, jednak zięć potrafił rozbawić ją do łez, a przecież ostatnio prawie wcale się nie śmiała, no i uszczęśliwił jej córkę, co ostatecznie było najważniejsze. Celestria uratowała Pendrift, to prawda, ale nie roz-

dala całego spadku. I całe szczęście... Bardzo romantycznie było wyjść za artystę, lecz zbliżająca się wystawa obrazów Ha-misha w Wenecji mogła zakończyć się fiaskiem, a romantyczny malarz i jego żona musieli przecież z czegoś żyć... Pamela zdążyła się jednak zorientować, że utrzymanie w Marelatte, gdzie wszyscy prowadzą bardzo prosty styl życia, pewnie nie będzie ich drogo kosztować.

Usłuchała sugestii ekscentrycznej pani Halifax i odwiedziła miasto zmarłych, pachnące sosnową żywicą oraz stopionym woskiem, bardzo spokojne. Z radością wyczuła obecność Boga wśród wąskich alejek, zabudowanych kamiennymi kryptami. Zaskoczył ją ciepły urok tego miejsca. Natknęła się na kryptę stojącą w pewnym oddaleniu od innych i weszła po schodkach, żeby zajrzeć do środka. Zobaczyła niewielki ołtarz, a na nim dwie świece, niezapalane od dłuższego czasu. Był to bardzo ładny grobowiec, tchnął jednak pustką i wilgocia. Chwilę przyglądała się płycie, ozdobionej reliefowym motywem ciężkich gron winorośli.

Płaskorzeźba skojarzyła jej się z płodnością i nieśmiertelnością.

Celestria i Hamish siedzieli na zboczu wzgórza nad starą fortecą i patrzyli na rozciągające się przed nimi morze, co w nadchodzących latach mieli robić często i zawsze chętnie. Celestria oparła głowę na ramieniu Hamisha, a on trzymał ją za rękę, bawiąc się prostą złotą obrączką, którą nosiła teraz na palcu jako symbol łączącej ich nierozzerwalnej więzi. Milczeli, ponieważ słowa wydawały się powierzchowne i zbędne w obliczu wypełniających ich serca uczuć.

Po łuku ciemniejącego nieba wędrował ku górze jasny półksiężyc. Nie liczyło się, że na razie był to tylko nów, ponieważ zakochani mieli oglądać jeszcze wiele, wiele pełni nad Marelatte. Celestria zamknęła oczy i głębiej wtuliła się w ramiona Hamisha. Wiedziała, że wreszcie naprawdę wróciła do domu, bo dom był tam, gdzie Hamish.

Epilog

Ksiądz Dalgleish zastanawia! się nad szybkim upływem czasu. Minęło już pięć lat od chwili, gdy Celestria przeniosła się do Włoch. W Pendrift niewiele się zmieniło. Merlin nadal opowiadał marne dowcipy w gospodzie Snout & Hound, a Trevor nadal śmiał się z nich do rozpuku. Julia zaczęła odnawiać Pendrift Hall, Archie natomiast poczynił dla odmiany kilka dobrych inwestycji, dzięki którym mógł kupić więcej ziemi, nie zaciągając pożyczek. Wilfrid i Sam studiowali już na uniwersytecie, a w czasie wakacji, na które do Pendrift jak zwykle przyjeżdżał Harry, nadal zastawiali w lesie pułapki na szkodniki. Pułapki zawsze pozostawały puste, chociaż młodzi ludzie uwielbiali straszyć ładne dziewczęta, które spotykali na plażach w Rock, opowieściami o całych stosach uśmierconych gryzoni. Elizabeth i Bouncy stali się sobie jeszcze bliżsi. Teraz, kiedy starsza pani zaczęła tracić wzrok, Bouncy całymi popołudniami przesiadywał z nią na trawniku przed domem, w którym nadal mieszkała, i opowiadał, czego nauczył się w szkole. Czytywał też szkolne podręczniki, a ona nigdy się nie nudziła. Ksiądz Miles często myślał o Celestria i razem z mieszkań-

cami Pendrift Hall zawsze wznosił za nią toast w czasie kolacji, gdy przyjeżdżał tam z wizytą. Celestria uratowała Pendrift i jej bliscy byli jej za to ogromnie wdzięczni. Nigdy nie rozmawiali o śmierci Monty'ego, nie ze wstydu, lecz dlatego, że woleli wspominać go w ciszy i spokoju. Czasami duchowny widział, jak ktoś z nich nieobecny wzrokiem wpatruje się w morze i wtedy nie miał cienia wątpliwości, o kim myślał. Sam rzadko myślał o Montym, oczywiście jeśli nie liczyć tamtych tygodni, które spędził w Meksyku...

Wybrał się do odległej wioski Zihuatanejo z misją ewangelizacyjną, aby głosić Dobrą Nowinę. Drugiego dnia pobytu poszedł na spacer po plaży. Był sam i delectował się tą kojącą samotnością po trudnej, wymagającej wysiłku i skupienia pracy. Stał z rękami w kieszeniach i patrzył w morze, kiedy jego uwagę przyciągnął siedzący na piasku człowiek. Mężczyzna machał do dwojga dzieci o brązowej skórze, które bawiły się w wodzie z matką, ładną Mulatką w czerwonej bawełnianej sukience. Dzieciaki zamachały mu w odpowiedzi i wróciły do zabawy.

Ksiądz Dalglish podszedł bliżej. W siedzącym na piasku było coś znajomego. Na głowie miał włożony nieco na bakier kapelusz panama, a w rękę trzymał dymiące cygaro, które przekładał między palcami. Podniósł wzrok na księdza i dość długo przyglądał mu się uważnie. Nagle uchylił kapelusza. Ksiądz Miles wstrzymał oddech - nie wątpił, że został rozpoznany. Roberta Montague widział tylko raz, na przyjęciu z okazji pięćdziesiątych urodzin Archiego, ale nie miał wątpliwości, że ten mężczyzna to nie kto inny, jak właśnie Monty. Pomyślał, że to niemożliwe. Oszołomiony i pełen niedowierzania, nie mógł się zdecydować, co robić.

Mężczyzna podniósł się i ruszył w stronę dzieci. Ksiądz Dalglish potrząsnął głową. Pomyliłem się, pomyślał. Przecież to po prostu niemożliwe...

Był już wieczór, ale słońce nadal mocno grzało. Duchowny zaczął się pocić. Nie wiedział, czy powinien podejść i porozmawiać z mężczyzną, czy udać, że go nie rozpoznał. Czyżby

ten tutaj by! tylko bardzo podobny do oplakiwanego przez rodzinę Monty'ego? Czy był to jakiś okropny zbieg okoliczno-
Podczas gdy ksiądz wciąż się zastanawiał, mężczyzna przystanął na linii liżących brzeg fal, zagubiony w myślach. Potem przykucnął i chwilę przesuwając palcem po wilgotnym piasku. Zawahał się na moment i odwrócił twarzą do księdza, mrużąc oczy w słońcu. Ksiądz Miles przyglądał się ze zdumieniem i niepewnością, jak tamten bierze za rękę mniejsze dziecko i idzie w kierunku biegnącej w głąb wioski ścieżki. Mężczyzna się nie obejrzał, a kobieta i drugie dziecko poszli za nim, śmiejąc się wesoło.
Duchowny z żalem patrzył za nimi. Jego oczy spoczęły na piasku, w miejscu, gdzie mężczyzna przed chwilą napisał coś albo narysował. Ksiądz nie wątpił, że pozostawiona wiadomość przeznaczona była dla jego oczu. Żołądek ścisnął mu się boleśnie ze zdenerwowania na myśl, że zmarnował szansę, która już nigdy nie będzie mu dana.
Na wilgotnym piasku widniały dwa słowa: WYBACZCIE MI. Parę sekund później podstępna fala dopadła brzegu i zmyła napis.